PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK TRZECI. — TOM XI.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1886.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1886.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	XVI	wiersz	8	*zamiast:*	jednakże	*czytaj:*	jednakie
„	314	„	29	„	worek	„	nurek

CELOWOŚĆ PRZYRODY

W OBEC KRYTYKI DZISIEJSZEJ[1].

Νοῦς πάντα διεκόσμησε.
Anaksagor.

Prawdy nie mające styczności z życiem i przeznaczeniem człowieka wykluwają się i rosną spokojnie w ogrodzie wiedzy ludzkiej. Nikt nie zakłóca ich normalnego rozkwitania, chyba chwilowo tylko osobiste namiętności wynalazców lub ich wrogów zatrzęsą ich koroną. Inny jest los prawd dotyczących choć z daleka religijnej lub moralnej sfery. Niech jaka prawda do którejbądź gałęzi nauk należy, niech w jakiejkolwiek przedstawia się oczywistości lub z jakiemikolwiek dowodami, jeśli mieści choć odrobinę tego czegoś głębokiego, co duszę ludzkości obchodzi, zaraz wznieci burzę, poruszy namiętności, nietylko prywatne lecz ogólno-ludzkie, i pewne kotłowanie około tej prawdy nigdy już nie ustanie: zawsze znajdą się ludzie, którzy przeciw niej ciskać będą zarzuty, budować systemy, obmyślać wykręty. Zdaje się, iż ludzkość nigdy się w takich prawdach nie godzi. Ale to tylko pozór: w gruncie ludzkość trzyma się takowych z większą jeszcze powszechnością i mocą niż prawd obojętnych; tylko rój nielicznych lecz hałaśliwych przeciwników sprawia pozór rzeczywistej walki.

I celowość przyrody zanadto blisko dotyczy wysokich zagadnień ludzkości, aby mogła istnieć bez boju. Ludzkość jest faktycznie o tej celowości przekonana. Ogrom objawów mądrości w naturze, jest dla niej, jak widzieliśmy, najracyonalniejszym dowodem i upewnieniem. Ale po obu stronach tej pewności, skrajne zboczenia umysłu, stare jak historya myśli — materyalizm i idealny pan-

[1] Ob. art. „Celowość w przyrodzie“ w *Przeglądzie Powsz.* T. IX. str. 235. Luty 1886. Rzecz obecna est dalszym ciągiem tej rozprawy.

teizm [1] — wiecznie jej z dwóch stron przeciwnych zaprzeczają. Materyalizm wychodząc z bezwiednej materyi, przeczy wręcz istnieniu celowości: wszystko, jego zdaniem, dzieje się przypadkiem, pozór porządku, który w świecie widzimy jest tylko koniecznym wynikiem ślepych praw mechaniki świata — więc, mówi on w końcu, nie potrzeba rozumu Twórcy. Panteizm, snujący świat z myśli, uznaje wprawdzie dążność celową w naturze, uznaje w niej rozum, ale ten rozum jest immanentny; świat, jego zdaniem, nie jest jak zegarek, który objawia rozum zegarmistrza, ale jak myśl, która jest samymże umysłem w czynie, — więc (i on tak kończy) nie ma nic poza światem, nie ma stwórcy od świata różnego.

Ta sama piosnka od blisko 30 wieków. Czy to znaczy, że kwestya jest nierozstrzygnięta? że wszystko zależy od stanowiska na jakiem się kto postawi? Żadną miarą. Gdyby szło o obojętną kwestyę z mechaniki lub historyi naturalnej, spór między uczonymi byłby dowodem wątpliwości rzeczy. Ale tu co innego. Celowość jest wprawdzie także faktem naturalnym, prawem natury, jednem z najpowszechniejszych, dającem się wyprowadzić z obserwacyi i doświadczeń, tak samo jak prawo ciążenia lub stateczności siły — ale ponieważ ma styczność z wyższemi zagadnieniami, przeto musi mieć wiecznie przeciwników. Opozycya więc i hałas około tej i każdej takiej kwestyi nie dowodzi jeszcze bynajmniej jej wątpliwości lub nierozstrzygnienia. Chcąc o tem sądzić, trzeba wniknąć w same racye i dowody oponentów, zobaczyć czy one są przedmiotowemi, opartemi na faktach lub wywodzie logicznym, czy przeważają albo czy zachwiewają przynajmniej dowody twierdzące. Tak uczyńmy i przypatrzmy się najprzód zarzutom materyalistów.

Stary materyalizm Epikurejczyków nie widział innej odpowiedzi na majestatyczne świadectwo przyrody, któremuśmy poprzednio dali uwagę, jak wręcz przeczyć jej słowu: twierdzić upornie, że oko nie jest do widzenia, a noga nie do chodzenia:

---

[1] W jaki sposób materyalizm i panteizm mają pewien zaród w naturze umysłu, i przeto, acz są chorobliwemi zjawiskami, pojawiają się niemal regularnie po obu stronach prawdy, w historyi umysłowości ludzkiej, wyłożyłem to w książce „Filozofia i jej zadanie“ rozdz. II.

Lumina ne lacias oculorum clara creata
Prospicere ut possimus, et ut proferre viai
Proceros passus, ideo vestigia posse
Surarum ac feminum pedibus fundata plicari...

Tak już śpiewał Lukrecyusz [1] — a po 20 wiekach plejada Encyklopedystów jeszcze na tym samym punkcie stała: Diderot i towarzysze bawili się jeszcze w przypuszczanie, że gdy się rzuci czcionkami drukarskiemi o ziemię, może się przypadkiem złożyć druga Iliada — i że podobnie natura, trzęsąc odwiecznie rzeszotem świata, mogła w końcu wytrząść ten szczęśliwy układ atomów, któremu byt zawdzięczamy. — Odpowiadano im na to bardzo rozumnie: Jeśli przypadkowe powstanie przypuszczacie dla wszechświata, czemuż na seryo nie przypuszczacie że Iliada takimże przypadkiem, bez niczyjej myśli powstała? Przecież nie więcej rozumu objawia się w jednej Iliadzie, niż w całym świecie, do którego i mózg Homera należy.

Najśmielsi dowodzili nawet konieczności takiego szczęśliwego przypadku. Między możliwemi kombinacyami atomów, mówili, była i ta, w której istniejemy; więc, w nieskończonym szeregu odmian musiała wypaść i wypadła. — Z koniecznością powoli! Przypuściwszy nawet odwieczne istnienie i nieskończone mnóstwo atomów, nie ma żadnej konieczności, nie ma nawet racyi, żeby te atomy były w ruchu raczej niż w odwiecznym spoczynku: istotna im bezwładność, o ile ją znamy, jest względem obu stanów obojętną. Przypuściwszy znów przypadek ruchu, nie ma żadnej konieczności, żeby ten ruch nie był zawsze jednaki, nie ma racyi, żeby nie kołował w szeregu form nic rozumnego nie zawierających, jak wydmy piasku na Saharze.

Owszem, póki nad tym chaosem nie przypuścimy inteligencyi, wytwory racyonalne są zgoła niemożebne. W bryle marmuru wszelkie formy i układy cząstek są możliwe — a czemuż, kiedy dziś wykopują w Azyi Mniejszej wspaniałe posągi, nikomu na myśl nie przychodzi twierdzić, że może te rzeźby bez rzeźbiarza powstały? — Oto dlatego, że wszelkie układy cząstek są w sobie możliwe możliwością abstrakcyjną, tj. niesprzecznością ze strony składników; ale żeby dany układ mógł się urzeczywistnić, potrzeba

[1] Ks. IV. w. 824.

jeszcze odpowiedniego czynnika, czyli przyczyny sprawczej; układowi zaś noszącemu wyraźne znamiona inteligencyi, odpowiada jedynie przyczyna rozumna, i bez niej taki układ realnie jest niemożliwy.

Na to obrońcy chaosu mają jedno jeszcze słowo: „Rozumowanie to, mówią, polega na błędnem pojmowaniu harmonii czyli „porządku, jako czegoś danego z góry *a priori* — podobnie jak „z góry dany był wiersz, któryby miano przypadkowem rzucaniem „liter odtworzyć... Ale porządek obecny świata nie był dany „z góry, lecz powstał *a posteriori*: jakabykolwiek kombinacya powstała z jakiegokolwiek chaosu, to zawsze wyda się ona harmonią, „porządkiem, dla świadomości powstałej na podstawie, na prawach „takiej kombinacyi; świat zewnętrzny musi być, że się tak wyrazimy, współpostaciowy z naszą myślą, i ta to współpostaciowość, „ta zgodność zjawisk świata z naszem myśleniem, jest właśnie tą „naszą harmonią; dla istoty innej organizacyi, wzrosłej na zasadzie innej kombinacyi elementów chaosu, nasza harmonia wyda „się chaosem. A zatem... każda kombinacya z każdego chaosu „może stać się porządkiem".

Wypisuję te mądre słowa z *Przeglądu Tygodniowego* r. 1883 nr. 48 — i pytam szan. autora, który wprawdzie tego pomysłu nie wynalazł, ale jednak powtórzył go i przyswoił sobie — pytam go najprzód: czy na seryo myśli, że każda kombinacya chaotyczna wytworzy świadomość? Czyż nie widocznie możliwe są miliony kombinacyj, które nic zgoła nie wytworzą, a więc nie mogą znaleść mózgu, w obec którego uchodziłyby za harmonie? A dalej, czyż możliwa jest choć jedna kombinacya materyi, z którejby świadomość wynikła? Dubois Reymond uważa takową za nie do pojęcia; a jeśli i p. Skiba, jak przypuszczam, jej nie pojmuje, jakimże prawem jej możliwość tak gładko suponuje? Ale pomijając już ten zasadniczy błąd, w każdej materyalistycznej teoryi tkwiący, i odpowiadając wprost panu Skibie, powiedzieć muszę, że główna myśl, którą on wojuje, tj. względność wszelkiej harmonii, albo jak inni mówią, względność praw rozumu, jest grubą pomyłką. Względnemi są właściwe prawa przyrody, jak: prawo powszechnej grawitacyi, prawo prężności gazów i t. p. Tych zaś umysł w sobie nie znajduje. Uznaje je jako fakta, ale nie jako pryncypia: wie z doświadczenia że tak jest, ale nie widzi, żeby tak być musiało a inaczej żadną

miarą być nie mogło. Heglowskie próby wyprowadzenia tych praw *a priori*, najmizerniej zawiodły. Po nad temi prawami, w wyższej i odrębnej sferze, są *principia*, absolutne pewniki, prawa metafizyczne, normujące zarówno wszelki byt i wszelkie myślenie: jak pewnik identyczności, pewnik przyczynowości, pewnik racyi dostatecznej. Te pewniki są już bezwzględne i w wszelkich przypuszczeniach i kombinacyach koniecznie prawdziwe. Pojmuję, że w innej kombinacyi kosmicznej nie byłoby może ciążenia atomów, ale 2 atomy i 2 atomy stanowiłyby zawsze 4 atomy (zasada identyczności)... zjawiska inaczejby może po sobie następowały, ale każde zjawisko miałoby zawsze swój powód przed sobą (zasada przyczynowości)... ustroje byłyby zapewnie inne, ale każdy ustrój byłby systemem środków z zamiaru celu wynikłem (zasada celowości)... Nietylko inaczej rzeczy p o j ą ć nie mogę, ale pojmuję, że inaczej rzeczy b y ć nie mogą: a kto bezwzględność tych pewników w wątpliwość podaje, ten faktycznie nie wie co mówi i nie uważa, że niczego twierdzić ani przeczyćby nie mógł, gdyby rzeczywiście o tych pewnikach wątpił [1].

Otóż harmonia, którą w świecie spostrzegamy, właśnie na tych bezwzględnych pryncypiach polega: podziwiamy mądrość natury nie dla tego, że jest w niej to lub owo prawo ciężkości lub spójności — pojmujemy przecież, że te prawa mogły być bezładnie i niemądrze użyte — ale dla tego, że natura racyonalnie tych praw używa: środki do celów stosowne zdala gotuje, wybiera najkrótszą drogę, przeprowadza plan jednolity... Jakichkolwiek natura używa czynników i praw: czy tych, któremi się sami w naszych dziełach celowych posługujemy, czy innych, jej tylko właściwych lub jeszcze niezbadanych — skoro spostrzegamy, że s p o s ó b i c h u ż y c i a jest r a c y o n a l n y, tj. kierowany temi absolutnemi pryncypiami, które tylko rozum posiąść może, a które zbiorowo nazwać można

[1] Jeżeli wątpliwemi są np. pryncypia sprzeczności lub identyczności, wówczas 2 razy 2 może być 5, twierdzenie że Darwin nie istniał, jest zarówno prawdziwem, jak twierdzenie że istniał;... Jeżeli pryncypium przyczynowości nie jest pewnem i absolutnem, wówczas wnioski już się nie wiążą z przesłankami, zjawiska nie muszą ulegać prawom, ziemia może jutro stanąć w obiegu bez powodu... Słowem, pryncypia te, jak się w każdej porządnej logice dowodzi, warunkują wszelką pewność i wszelki byt.

harmonią, zawsze wnosić możemy i wnosimy, że natura jest dziełem inteligencyi. Słowem, prawa przyrody są względne, ale mądrość, która się w ich zestawieniu i użyciu przejawia, jest bezwzględna.

Ostatecznie, zarzut powyższy rozbija się o inne zarzuty, które ci sami materyaliści przeciwko celowości czynią, kiedy wytykają w naturze rozmaite braki racyonalności i przezorności. Büchner widzi brak Opatrzności w tem, że człowiek nie ma skrzydeł, że czaszka jego nie jest dość grubą do wytrzymania uderzenia spadającej dachówki, żali się, że morze jest słonem, co wystawia marynarzy na śmierć z pragnienia pośród wody; Martins dowodzi, że korona kwiatu, przeznaczona do chronienia zalążków od niepogody, źle spełnia to zadanie, a najgorzej w roślinach najpotrzebniejszych człowiekowi; Darwin wymienia kilka ustrojów niepraktycznie urządzonych, jak żądło u pszczoły, które godząc w napastnika wyrywa się i jej samej śmierć zadaje, wylicza też kilkanaście organów u zwierząt i u człowieka, jak gruczoły piersiowe u mężczyzny, skrzydła u kazuara do lotu nieudolne; Lange i inni zarzucają całemu gospodarstwu natury nieład i bezmyślną rozrzutność.

Cóż stąd wynika? Jeżeli przyroda wydaje się naszemu umysłowi racyonalną i celową, dlatego jedynie, że nasz umysł jest także tejże przyrody wykwitem, i jakąkolwiekby była, zawszeby się umysłom z jej łona pochodzącym taką wydawała — jak nam przed chwilą mówiono — toć wszyscy ludzie powinniby wszystkie prawa i ustroje przyrody za celowe uznawać. Jeżeli zaś, jak niniejsze zarzuty dowodzą, jedne urządzenia przyrody zdają nam się mniej racyonalne niż drugie, jeżeli w niektórych zupełny brak celowości upatrujemy, jeżeli w wielu rzeczach cele przyrody i odpowiedniość jej środków przenikamy, w innych zrozumieć ich dotąd nie możemy, nie jestże to widocznem, że w zdaniu naszem o przyrodzie jest coś niezależnego od przyrody, że mamy w myśli jakąś modłę absolutną, według której przyrodę sądzimy: innemi słowy, że absolutną logikę celu, środków, skutku, przyczynowości .. rozumiemy i według niej rzeczywistość mierzymy[1]?

---

[1] Ta sama uwaga zwalcza zdanie Kanta, przedstawiające celowość jako prawo subjektywne. Dokładniej ten błąd Kanta rozebrał i wytknął Herbart: *Einleitung in die Philosophie* §. 132, tudzież Trendelenburg: *Logische Untersuchungen* t. III., p. 47.

Ale co sądzić z drugiej strony o przedmiotowej wartości tych wrzekomych niecelowości w przyrodzie? Gdybyśmy znaleźli na odludnej wyspie budowlę, noszącą widoczne cechy pracy ludzkiej: odpowiedniość do mieszkania ludzi, ślady ognisk, rysunki zwierząt na ścianach, okruchy malowanych naczyń... a przytem niektóre szczegóły, w których żadnej stosowności do potrzeb ludzkich nie moglibyśmy upatrzyć, czybyśmy z tego powodu podali w wątpliwość pochodzenie tej budowli od człowieka? czybyśmy nie przypuścili bez wahania, że owi ludzie mogli mieć cele, których się nie domyśliwamy, albo może w niektórych szczegółach ulegali wymaganiom materyału? Otóż i natura jest takim gmachem, w którym nieprzeliczone odkrywamy ślady ręki rozumnego budowniczego. Ile praw, ile szczegółów znamy dokładnie w botanice, w zoologii, w anatomii, w fizyologii, tyle niemal znamy okazów racyonalnych urządzeń. Pozory i podejrzenia niecelowości tam zwykle się zaczynają, gdzie grunt mniej znany, gdzie się kończy ścisła wiedza; a im więcej ta granica się oddala, im bardziej sfera nauki się rozszerza, tem więcej rozwidnia się celowość, tem częściej się przekonujemy, że i to co się nam wprzódy bezcelowem zdawało, ma w ekonomii natury mądre powody, i że tam gdzieśmy widzieli tylko bezład, panuje myśl.

W wielu rzeczach wystarczy chwila zastanowienia, aby się przekonać, że natura mędrsza, niż karły co ją sądzą. Słoność morza np. naraża majtków w rzadkich przypadkach na śmierć z pragnienia, ale gdyby morza nie były słone, czyby się ostały normalne warunki zdrowia dla miliardów żyjących w morzach i na wybrzeżach? Grubsza znacznie czaszka uchroniłaby kilku ludzi od nagłej śmierci — ale byłaby dla wszystkich ludzi przez całe życie ciężkiem brzemieniem. Kto z nas chciałby nosić ustawicznie hełm, ażeby się zabezpieczyć od możliwego przypadku spadnięcia dachówki?

W wielu innych razach urządzenia przyrody zdają nam się niedoskonałe, czyli wystawiamy sobie możliwość dopięcia celu w sposób skuteczniejszy; ale jednak urządzenia te służą w pewnej mierze celowi. Lepsze, byłyby może w danym razie nieracyonalne, jak nieracyonalne byłoby używanie brzytwy do krajania drzewa; a może sprzeciwiałyby się dalszym natury zamiarom. Oko nasze mogłoby być urządzone do dalekiego widzenia, jak teleskop, ale

i tak jak jest, nie jestże wybornie do potrzeb życia dostrojonem? skrzydło strusia nie służy mu do lotu, ale służy mu znakomicie do biegu; korony pewnych kwiatów, mniej niż inne ochraniają zalążki od niepogody, ale jednak do pewnego stopnia je ochraniają; żądło pszczoły nie jest bronią dla jednostki, ale zawsze dzielną jest bronią dla roju, któremu jednostka życie poświęca; gruczoły piersiowe u mężczyzny nie mają funkcyi, ale nie przeto są faktem nieracyonalnym, ani, jak chce Darwin, okazem atawizmu po jakichś przodkach nierozdzielonej jeszcze płci — lecz są poprostu dziedzictwem po matce, którego natura nie ma powodu w zupełności zacierać. Natura w wielu rzeczach, jak w mnożeniu zarodków, zdaje się rozrzutną; ale to rozrzutność bogacza, nie szaleńca. Pod tą rozrzutnością ukrywa się zawsze głębsza myśl: przyroda wydaje na świat, zwłaszcza w niższych i wątłych gatunkach, miliardy zarodków i żyjątek, z których tylko mała część normalny bieg życia przebędzie; ale nadzwyczajna płodność tych gatunków jest właśnie środkiem przez naturę obranym do zabezpieczenia ich bytu, oraz systemem do zaopatrzenia w organiczną żywność gatunków wyższych, i w końcu sposobem, jak powiedziałem inną razą, obdarzenia życiem choćby na krótki czas jak największej ilości materyi i największej mnogości istót. Rozrzutność godna mądrości: wyrachowana i dobroczynna.

Wreszcie zarzuty Darwina i jego zwolenników, o członkach i organach nieużytecznych, znajdują racyonalną odpowiedź w teoryi jedności planu przyrody, przez Jouffroy de St. Hilaire i Agassiza rozwiniętej: mianowicie, że przyroda, modelując ustroje według jednego typu, o tyle tylko ten typ w różnych rodzajach odmieniła, o ile rozmaite warunki ich życia wymagały; w ten sposób cechy ustrojów tłumaczą się w części ich własnemi potrzebami, w części wspólnością planu — bez potrzeby uciekania się do wspólności pochodzenia.

A choćby się też miało przyjąć darwinistowską teoryę pochodzenia, toby jeszcze celowego tłumaczenia bynajmniej nie uchylało. Geneza każdego organu przez dobór naturalny i walkę o byt suponuje bądźcobądź pożyteczność tego organu. Czy zaś ten organ w obecnym stadyum jest pożyteczny, choć jego użytku nie znamy, czy był pożyteczny dawniej, w niższych ustrojach, jak Darwin często twierdzi, a później straciwszy racyę bytu począł atrofiować się

i zanikać: to tylko kwestya pochodzenia gatunków, kwestya przyczynowości sprawczej, która czy tak czy owak się rozstrzyga, zawsze użyteczność zostaje warunkiem istnienia organów, zawsze więc nad nią panuje celowość.

Wszelako ponieważ darwinizm, a raczej w ogóle ewolucyonizm, uchodzi dzisiaj za główną antytezę nauki o celowości, musimy mu się dokładniej z tego punktu przypatrzyć.

Przyparty z jednej strony postępem nauk przyrodniczych, który coraz więcej celowy porządek w przyrodzie uwidocznia, ściśnięty z drugiej strony rozwojem rachunku prawdopodobieństwa, który zamknął wrota dowolnym nad przypadkiem spekulacyom [1], materyalizm dzisiejszy porzucił dawną teoryę szczęśliwego trafu, zaniechał obliczeń możliwych kombinacyj, a schronił się niemal wyłącznie w teoryi ewolucyonizmu: z niej ostatecznie zrobił, pod egidą Spencera, swój symbol, swoją filozofię, swoją warownię.

Przypatrzmy się z bliska tej ciekawej warowni. Myśl ewolucyi zależy w gruncie na tem, że istoty nie od razu, ale powoli, przez nieskończenie małe ulepszenia, kształcą się i rozwijają. Cóż w tem przeciwnego celowości? — Właściwie nic, i w istocie myśl ewolucyi nie jest wynalazkiem Spencera, ani Darwina, ani w ogóle szkoły materyalistycznej, ale przeciwnie jest pomysłem teleologów i spirytualistów. Już Kartezyusz w głównych rysach naszkicował możliwość ewolucyi kosmicznej; Leibnitz ją właściwie przeprowadził i wyraził w sławnem zdaniu: że „teraźniejszość brzemienna jest przyszłością"; Hegel ze swoją teoryą powszechnego „stawania się" jest skończonym ewolucyonistą. U tych wszystkich myślicieli ewolucya jest najwyższym wyrazem celowości, antytezą materyalistycznego mechanizmu.

W rzeczy samej, jeśli mam przypuścić przypadek naśladujący coś celowego, to już łatwiej go przypuszczę w jednorazowym rzucie; ale kiedy widzę, że do końcowego rezultatu, mającego wszystkie znamiona celowego dzieła, przygotowują się z wolna i z daleka warunki, gdy widzę, że przyrastają jedne po drugich składniki, na razie nieużyte, ale do końcowego ustroju potrzebne, wówczas wszelka

[1] Między innemi: znane dziś w matematyce prawo wielkich liczb wykazuje, że z wielkiej sumy przypadków nic dodatniego wyniknąć nie może, bo przypadki, w różnych kierunkach wypadające, w zupełności znosić się muszą

możliwość przypadku niknie, przechodzi w *absurdum* — a celowość ujawia się żywcem: widać naocznie jak idea końcowego kształtu panuje nad przygotowawczą robotą. Dzieła niezaprzeczalnie celowe, jakiemi są dzieła przemysłu ludzkiego, kształcą się ewolucyjnie: substancye przeznaczone na sukno, na cukier, przechodzą w maszynach i rękodzielniach przez szereg stopniowych transformacyj, które są istotną ewolucyą ku zamierzonemu stanowi. W przyrodzie, klasycznym typem ewolucyi jest rozwój zarodka w jajku albo w ziarnku roślinnem: kiedy w tem jajku, wprzódy jednolitem, zaczyna się budować z jednej strony główka, z innych stron łapki i skrzydła, które dopiero po wyjściu z jajka będą przydatne, kiedy w ciemności kształcą się oczy, tak utrafione do praw światła, z którem dopiero kiedyś spotkać się mają, kiedy zaczynają się tworzyć w różnych miejscach jajka żyły i arterye, które powoli dopiero spotkają się i złączą w cudny system krwionośny, kiedy i płuca i wszystkie organa wyrabiają się z taką odpowiedniością do warunków i do funkcyj przyszłych — nie jestże widocznem, że tu przyszłość panuje nad teraźniejszością, że przyszła funkcya jest istotnie celem powodującym i regulującym teraźniejszą pracę? Rozszerzyć zaś tę ideę ewolucyi na wszystkość, asymilować świat z rozwijającym się embryonem, nie jestże to w najwyższym stopniu celowość usankcyonować? Samo pojęcie e w o l u c y i, r o z w o j u, czyż nie wyraża, że coś na jaw się wydobywa, co już było jakimś sposobem w rzeczy zawartem? a więc afirmuje, stawia choć potencyonalną egzystencyę końcowego rezultatu.

Skądże więc przyszli do tego materyaliści, że w idei ewolucyi szukali ucieczki od celowości? Otóż wydało im się, że wiążąc zjawiska w nieprzerwany łańcuch przyczynowości z drobnych przyczyn, uchylą przez to pierwszą przyczynę [1]. Przypuszczając, że wyższe gatunki zwierząt powstały przez ewolucyę z niższych, uchylają, jak im się zdaje, potrzebę stworzenia tych gatunków; przyjmując że pierwsze życie ewolucyjnie powstało z nieorganicznej materyi, zno-

[1] Wielu ewolucyonistów otwarcie się przyznaje do tej dążności; Haeckel np. raz po raz powtarza: „musimy przyjąć ewolucyonizm, mimo wszelkich trudności, bo inaczej uniknąć nie możemy kreacyanizmu“, tj. stworzenia i Stwórcy. Inni często z mniejszą lub większą świadomością pod wpływem tej samej dążności zostają.

szą potrzebę interwencyi Stwórcy w tym początku; przypuszczając, że systemy planetarne ewolucyjnie kształcą się z mgławic, spychają Pana Boga tak w dal i wstecz, że już go myśl ludzka szukać nie potrzebuje... Ale jednej rzeczy nie postrzegają — że im bardziej zmniejszają poszczególne interwencye Stwórcy, tem więcej potęgują objaw Jego mądrości w świecie: a więc całe ich rozumowanie chybia celu.

Kiedy widzę zegarek, oddaję cześć zmyślności ludzkiej, która ten narząd wymyśliła i części składowe wyrobiła i złożyła; kiedy się dowiaduję, że przemysł dziś do tego doszedł, iż maszyna fabrykuje kółka i sprężyny do zegarków, tem więcej sztukę ludzką podziwiam; gdyby do tego jeszcze doszło, żeby maszyna nietylko wyrabiała kółka i sprężyny, ale je też składała, i żeby wystarczało wrzucać jej kawały stali, a ona wyrzucałaby gotowe zegarki, byłby to jeszcze nierównie wyższy objaw geniuszu ludzkiego. Jeżelibym zaś z tego punktu brał asumpt do zaprzeczenia sztuki ludzkiej, gdybym mówił: pocóż tu szukać rozumu ludzkiego kiedy bezwiedna maszyna wszystko robi? za kogóżby mię wzięto? A tak właśnie rozumują ewolucyoniści, kiedy w celu zaprzeczenia objawu mądrości w obecnych tworach przyrody, uciekają się do przypuszczenia, że świat jest wielkim mechanizmem, co takie dzieła wytwarza. Jeśli tak jest, odpowiadam, to objaw celowości i myśli bożej w przyrodzie jest jeszcze nierównie większy, niż go sobie ludzie dotąd wystawiali. W jednem oku zwierzęcia widzę już mądrość; w sile rodzajowej, która to oko potrafi ukształcić, stokroć wyższą uznać muszę mądrości manifestacyę — a jeśli pierwotna mgławica zawierała już wirtualnie i życie i siłę rodzajową i oko... to już objaw nieskończonej mądrości wszelkie nasze pojęcie przechodzący.

Całość więc ewolucyonizmu, o ile zmierza do zaprzeczenia celowości i usunięcia przyczyny rozumnej w tłumaczeniu świata, najzupełniej chybia celu. Wchodząc znów w szczegóły i badając jak pojedyńczy mistrzowie tej szkoły usiłują tłumaczyć ewolucyę bez celowości, widzimy, że albo niczego zgoła nie tłumaczą, albo opierają się na faktach, które zamiast wykluczać celowość, najwyraźniej ją suponują.

Pierwszy w tym kierunku występuje materyalista Lamarck

i stawia dwa czynniki odmian i rozwoju gatunków, mianowicie: środowisko *le milieu* i potrzeby *les besoins*. „Środowisko odmienia typy a potrzeba stwarza organa“: — puste słowa, które jakoś dziwnie przypominają stare *horror vacui*[1]. Środowisko, rzecz jasna, nie zastosowuje do siebie organizmu własną siłą, zmiany w środowisku same przez się mogłyby tylko destrukcyjnie na organizmy działać, jak widzimy że działają na minerały i na maszyny ludzkie; że zaś organizmy żywotne do pewnego stopnia przystosowują się do nowych warunków, jestto objaw właściwej im zdolności adaptacyi do otoczenia, przymiot arcycelowy, którego nawet mechanicznie wytłumaczyć nie możemy. Również potrzeba, drugi *horror vacui*, jest tylko rzeczą ujemną, która nic stworzyć nie może, chyba tylko śmierć; a że w istotach żyjących potrzebom odpowiadają zdolności, uszkodzeniom siła lecznicza i t. d., to nie środki zastępujące celowość, ale jej objawy i nowe dowody jej istnienia. Sam Darwin, choć kontynuator Lamarcka, zdaje się rozumieć, że te dwa czynniki nie prowadzą do jego celu, i wyraża się o nich lekceważąco. „Nie mamy wielkiego zaufania, mówi, do tych czynników“. Sam tedy wprowadza trzeci działacz: selekcyę, czyli dobór naturalny.

Nie myślę tu polemizować z samą zasadą teoryi Darwina: rzecz już dostatecznie wyświecona, i w samym *Przeglądzie* dosyć się o niej pisało[2]. Zwracamy tylko uwagę na dwie rzeczy w dzisiejszej kwestyi rozstrzygające. Najprzód selekcya naturalna, choćby w myśl Darwina istniała, nie może być powodem wielu odmian i właściwości wyższych postaci życia: co sam Darwin, po przeczytaniu swoich krytyków, Nägeli, Broca i innych, z godną pochwały szczerością uznał[3]; a zatem, chcąc utrzymać ewolucyę, trzeba albo wrócić w części do wyśmianych czynników Lamarcka — jak to czyni półgębkiem Darwin w przytoczonem miejscu — albo wyznać, że się bez celowości obejść nie można.

Po drugie, sama ta selekcya naturalna, którą Darwin czy

[1] Co z dwojga jest bardziej nie do pojęcia, czy średniowieczne *horror vacui*, podnoszące wodę w pompie, czy Lamarcka potrzeba, tworząca organa? Jedno i drugie przecież opierało się poniekąd na eksperymencie — ale jedno i drugie brało nicość za przyczynę.

[2] Ob. „Darwinizm w obec nauki i rozumu“. *Przegląd Powsz.* r. 1885.

[3] Darwin: La descendence de l'homme. Część I., rozdz. 2.

odkrył, czy wymyślił, suponuje celowość natury, nie mniej jak lamarkowskie czynniki. Wiadome jest np. prawo biologii przez Cuvier'a wyświecone, o r ó w n o w a d z e o r g a n ó w, mianowicie: że jeśli którykolwiek organ w jednym gatunku znajduje się więcej lub inaczej rozwinięty, niż odpowiedni w drugim gatunku, to wszystkie inne organa, które zostają z nim w ściślejszym stosunku funkcyonalnym, muszą się znaleść w pierwszym gatunku proporcyonalnie odmienne od takichże organów drugiego gatunku. Odmienny np. kształt zębów, każe wnosić o proporcyonalnej odmianie w żołądku i kiszkach. Jakżeż więc to prawo może się iścić w ewolucyi darwinistowskiej, na podstawie walki o byt i selekcyi? Jednostka, dajmy na to, zdobyła przypadkiem jakąś minimalną korzyść w jednym organie; dajmy jeszcze na to, że szczęśliwie spotkała jednostkę drugiej płci, tę samą korzyść posiadającą. Już dosyć sądzę włożyliśmy na karb szczęścia. Czy trzeba jeszcze przypuścić, że ta sama pierwsza jednostka zdobyła również p r z y p a d k i e m podobne korzyści we wszystkich innych organach zawisłych od pierwszego? czy wierzyć nadto, że ta jednostka spotka jednostkę drugiej płci, w którejby się takaż suma szczęśliwych przypadków jednocześnie zbiegła? Nie, powie oczywiście Darwin, symultanności, jednorazowego zbiegu przypadków nie potrzeba, byłoby to właśnie systemowi przeciwnem; ale skoro przez wpływ selekcyi wzmoże się jeden organ, to samo już pociągnie za sobą rozwój organów zależnych. Darwin gdzieś nazywa tę zawisłość „korrelacyą rośnięcia". Wybornie, ale skądże ta korrelacya? Przypadek wywołuje zmianę w jednym miejscu organizmu, selekcya tę zmianę, jeśli korzystną jest, utrwala; cóż zaś równocześnie przystosowuje do części zmnienionej resztę organizmu w sposób tak odpowiedni? Oczywiście nie co innego tylko znowu jakaś zdolność organizmu do wnętrznego dostrojenia się, do znalezienia wnętrznej równowagi, nie mechaniczej, ale czysto celowej, między funkcyą a organem, znowu to coś racyonalnego co panuje w całej sferze życia i tkwi aż w samych jego głębinach.

Jednem słowem, i Lamarck i Darwin budują swe teorye antycelowe na faktach i prawach wziętych z natury, ale już zawierających i suponujących celowość. Dotknęliśmy tylko jednego przykładu, ale w mnóstwie innych faktów i praw, któremi się posługuje

darwinizm, jak np. że organa żywotne przez użycie się wzmagają (w mechanizmie rzecz dzieje się odwrotnie), że narządy nieużywane ulegają atrofii i zanikają i t. p, znamię celowości jest równie widocznem.

Cała wreszcie selekcya darwińska, za pomocą walki o byt, jest istotnie tylko czynnikiem negatywnym, eliminującym jednostki nieudatne, tj. nie dosyć celowo nastrojone, a więc, albo niczego nie tłumaczy, albo suponuje w naturze jakiś inny pierwiastek dodatni, adaptujący, jak niektórzy mówią, plastyczny. Potrzeba takiego czynnika przejawia się niekiedy pod piórem samego Darwina, a całkiem wyraźnie u wielu darwinistów, którzy w rzecz wmyślili się głębiej. Za co ich wszystkich karci Spencer, wytykając im, że nie całkiem naukę z celowości oczyścili. „Jakkolwiek się ten pierwiastek określi, „mówi on, w jakichkolwiek słowach się ukryje... zawsze przy„puszczenie jakiejś stałej mocy plastycznej w organizmie, determi„nującej go do rozwijania się w coraz wyższe kształty, jest hipo„tezą antyfilozoficzną, zarówno nie do przyjęcia, jak hipoteza po„szczególnych kreacyj; owszem zlewa się z tą ostatnią w gruncie „rzeczy, z tą tylko różnicą, że pochód fragmentowy (poszczegól„nych stwarzań) przemienia w pochód ciągły i jednolity“ [1]. Jestto to samo, niemal dosłownie, cośmy wyżej o całej ewolucyi powiedzieli.

A cóż natomiast postawi sam Spencer, najwyższy przedstawiciel i filozof ewolucyi? Nie chcę tu z całością jego systemu polemizować, ale twierdzę, że jak Lamarck i Darwin, tak samo i Spencer, uciekając od celowości, do niej mimowolnie zawraca, i zwalczając celowość, posługuje się faktami, które ją suponują i zatwierdzają. I w rzeczy samej, jakże Spencer tłumaczy życie? przez dwie funkcye: „koordynacyę wewnętrzną“ czyli zdolność organizmu do wytwarzania rozmaitości organów (diferencyacya) i zestrajania ich w harmonijną jedność (integracya) — oraz „korespondencyę do zewnętrza“ tj. adaptowanie się istot żywotnych nietylko do obecnego stanu otoczenia, ale też do stanu mającego nastąpić. Cóż bardziej celowego być może jak te dwie funkcye? Spencer wprawdzie nagromadza mnóstwo abstrakcyjnych poglądów, śmiało rzucanych porównań, analogij do mechanicznych praw istniejących lub domnie-

[1] *Biology*. Część III. rozdz. 8.

manych, żeby wytłumaczyć te dwie funkcye mechanicznym sposobem; ale jak się tę całą uczoność ściśle rozbiera, znajduje się na dnie wszystkiego tylko te trzy już nam znajome ewolucyi czynniki: wpływ adaptujący środowiska, selekcyę i przypadek. Ale dwa pierwsze czynniki, jak widzieliśmy wyżej, suponują celowość, trzeci niczego nie tłumaczy. Więc nie ma wyjścia bez celowości.

Oceńmy rzecz na przykładzie. Wystawmy sobie bryłki protoplazmu, coś jak monery Haeckla, zanurzone w wodzie, dostarczającej im zasobów oddychania i karmienia się. Dajmy na to, że takie warunki same utrzymują w nich życie. Ale te warunki, jak przypuszczamy następnie, zmieniają się: pożywienie np. wprzódy roztworzone w całej wodzie, wydziela się i skupia w kilku miejscach. Jakże teraz nasze żyjątka swej strawy dosięgną? potrzeba im na to narządów lokomocyi, i według prawa adaptacyi, te narządy mają się pojawić. Ale co je stworzy: czy woda otaczająca? czy sama potrzeba? czy selekcya? czy przypadek?... O wodzie tu ani mowy; sama potrzeba tylko umorzyć te żyjątka zdoła; przypadek sprawi, że niektóre z nich znajdują się w zetknięciu z żywnością i te ocaleją, inne potrzeba umorzy. W ten sposób zrobi się selekcya, ale czysto przypadkowa, nie na korzyść zdolniejszych. Lecz idźmy dalej: po tem pierwszem posileniu się, wszystkie nasze monery znajdą się oddalone od żywności, bo przylegającą spożyły; trzeba im koniecznie sposobu poruszania się; co więcej, potrzeba im jakiegoś poczucia, któreby kierowało ich ruchami ku miejscom, gdzie się żywność znajduje: np. wzroku. Skądże więc dostaną odpowiednich narządów? Rozumiem, że selekcya zgładzi te osobniki, które takowych nie dostaną, ale sama żadnemu ich nie da, owszem zgładzi wszystkie, jeżeli niektóre nie otrzymają tych narzędzi od jakiejś innej przyczyny. Tą zaś przyczyną nie może już być tym razem przypadek, więc musi być coś, coby istotnie dążyło do utrzymania życia tych żyjątek.

Od korespondencyi zewnętrznej przejdziemy znów do wnętrznej koordynacyi. Nabywszy jakimkolwiek sposobem zdolności poruszania się i używając jej coraz więcej, nasze żyjątka muszą doznawać jakiegoś braku równowagi w swym ustroju: przy tym ruchu pierwotna metoda odżywiania się, przez nasiąkanie całej masy pożywczem płynem, nie dosyć prędko funkcyonuje, trzeba osobnego organu na pochłanianie i rozprowadzanie żywności. Spencer afirmuje znów, że ten

organ się pojawi na mocy koordynacyi, w ten sposób uiści się najprzód dyferencyacya, podział pracy, potem integracya, większa solidarność i zależność pojedyńczych części od całości. Zgoda: są to prawa, podług których ma się wytworzyć organ, ale pytam o sposób, o przyczynę sprawczą tego wytworzenia. Spencer powołuje się na ogólne prawa mechaniczne: równowagi, segregacyi części podobnych i t. d. Ale te prawa, możliwe w świecie anorganicznym, tu są chyba metaforą: bo przecież harmonia organów do uiszczenia życia, właściwa integracya istoty żyjącej, nie jest żadną równowagą mechaniczną, ale jednością idealną, samą celowością. Rzecz jest tak widoczna, że sam Spencer nieraz zapominając się, zamiast przyczyny sprawczej, podaje wręcz przyczynę celową: mówi np. że „większa dyferencyacya wymaga większej integracyi, inaczej nie mogłoby istnieć życie". — W końcu nic innego nie zostaje Spencerowi poza celowością, tylko selekcya, zawsze i jedynie selekcya — selekcya, która tylko niszczy niedostrojone organizmy; a skądże tamtym co żyć mają przychodzi koordynacya i adaptacya? — „Trafia im się" szczęśliwym przypadkiem. „Cały aparat naukowy Spencera, mówi ze słusznem „oburzeniem Paweł Janet, cały stos jego przykładów do przesytu „nagromadzonych, całe jego słownictwo mechaniczne i dynamiczne, nie „zdołają ani zamaskować ani ulepszyć tego brutalnego i banalnego „wyniku, na którym te wszystkie amplifikacye kończą: mianowicie, „że postacie organiczne są rezultatem układów materyi przypadko„wych. I w istocie nie ma innego wyjścia, skoro się odrzuca wszelki „pierwiastek kierowniczy, wewnętrzny czy zewnętrzny. P r z y p a d e k, „to prawdziwy mistrz, w tej doktrynie, to b ó g u k r y t y, którego „nazwy ze wstydu się nie wymienia, ale którego trzyma się wciąż „za kulisami"[1].

Przyszliśmy więc do naszego wniosku: ewolucya albo niczego zgoła nie tłumaczy, albo zwraca się do celowości. (Dok. nast.)

X. M. Morawski.

[1] *Les Causes finales*, l. I. chap. 9, p. 391.

BAZYLIKA LITEWSKA.

III.

Kaplica Gasztoldowska. — Pomniki grobowe kanclerza Wojciecha Gasztolda i księcia Pawła Holszańskiego, biskupa Wileńskiego.

Bojarski dom Gasztoldów jest jednym z najdawniejszych na Litwie. Gasztoldowie byli tu pierwszymi wyznawcami wiary Chrystusowej. Sławni już byli ze zwycięztw nad Krzyżakami od wieku XIV., z czasów Gedymina i Olgierda. Wspomnieliśmy już wyżej, że Piotr Gasztold, za panowania Olgierda przyjął wiarę rzymsko-katolicką i sprowadził do Wilna Franciszkanów. Następcy jego również byli krzewicielami katolicyzmu i przez nich to zbudowaną została kaplica, Gasztoldowską zwana, przy katedrze Wileńskiej. Czas założenia kaplicy nie daje się ze ścisłością oznaczyć, dla straty dawnych jej napisów. W r. 1433 Jan Gasztold, ochmistrz młodego wówczas Kazimierza Jagiellończyka, wojewoda Trocki, następnie Wileński, za wiedzą króla Jagiełły i wielkiego księcia litewskiego Zygmunta Kiejstutowicza, zapisał kościołowi katedralnemu wioskę Rzeszniki-Gasztowta zwaną, ale nie wspomina o tej kaplicy [1]. Musiała więc być założoną w drugiej połowie XV. wieku, albo przez Marcina Gasztolda, wojewodę Trockiego, namiestnika kijowskiego [2],

[1] Privilegia Capitularia p. 303. — Metryka kancel. większej W. Ks. L. Lib. 213, f. 73.

[2] Mianowany namiestnikiem kijowskim po śmierci Siemiona Olelkowicza, kniazia słuckiego i kijowskiego w r. 1471. Niesiecki opuścił Marcina Gasztolda w spisie trockich wojewodów, a że piastował ten urząd, to widocznie z testamentu syna jego Wojciecha, w którym ojca swojego Marcina mianuje wojewodą trockim.

albo też przez syna jego Wojciecha, wojewodę wileńskiego i sławnego kanclerza litewskiego. W roku bowiem 1495 Wojciech Tabor, biskup wileński, w zapisie na kaplicę biskupią Wniebowzięcia wspomina, że leżała od południa, w środku pomiędzy kaplicą Gasztolda, a wyższą wieżą czoła kościelnego.

Pożar 1530 r. znacznie uszkodził tę kaplicę; kanclerz Gasztold na nowo ją odbudował i przyozdobił, na pierwotnej posadzie, ale posuwając więcej ku południowi, dla rozszerzenia kościoła. Po wygaśnięciu Gasztoldów, prawo opieki nad kaplicą przeszło na Jana Chodkiewicza, kasztelana wileńskiego, znanego w dziejach starosty żmudzkiego, który też testamentem r. 1579 porobił znaczne zapisy na utrzymanie czterech mansyonarzy przy kaplicy, przez co nazywano ją czasami Chodkiewiczowską[1].

W tej tedy kaplicy spoczywają zwłoki sławnego Wojciecha Marcinowicza Gasztolda, wielkiego kanclerza litewskiego, hrabiego na Gieranonach, dziedzica i pana na Tykocinie, wojewody wileńskiego, starosty bielskiego i mozyrskiego, dzierżawcy bobrujskiego, borysowskiego i uciańskiego, pod którego przewodnictwem dokonany został układ pierwszego statutu litewskiego, zmarłego w r. 1540. Syn jego Stanisław, pierwszy mąż królowej Barbary, wzniósł mu wspaniały pomnik, do dziś dnia istniejący, a pod względem sztuki i materyału, tak samo jak i pomnik księcia Pawła Holszańskiego, biskupa wileńskiego, w tejże kaplicy znajdujący się, wcale nieustępujące pomnikom w kaplicy Zygmuntowskiej w Krakowie. Najpiękniejsze to pomniki w Wilnie.

Pomnik Gasztolda wyobraża zbrojnego męża, którego postać wyryta w płaskorzeźbie na marmurze.

Przez długie lata zaczynając od kapituły do najznakomitszych pisarzy, jak Kraszewski, najfałszywsze podawano wiadomości czyj

---

[1] Wizyta kościoła katedralnego w r. 1828 mylnie poczytała tę kaplicę za Montwidowską, której położenie między statuą bronzową pozłacaną biskupa Jerzego Tyszkiewicza, a głową z marmuru Samuela Paca, na wprost trzeciego i czwartego filaru południowego, w opisie wizyty biskupa Zienkiewicza najwyraźniej określone. Porównaj: Opisanie statystyczne Wilna, Michała Balińskiego, str. 176. — Inni znów kaplicę tę nazywali Trojecką (ŚŚ. Trójcy). I to jest błąd. Kaplica Trojecka przed ostatnią restauracyą kościoła katedralnego, w ciągłej kolei z południa czwarta od wielkiego ołtarza, czyli trzecia od marmurowej kaplicy św. Kazimierza, gdzie dziś kruchta od południa.

to jest pomnik. Byli i tacy, którzy wyobrażali, że sam Witold przedstawiony na pomniku. Kraszewski w swojem „Wilnie“ [1] idąc za wizytą kościelną z r. 1828 mylnie napisał jakoby ten pomnik wzniesiono Aleksandrowi Hawnulewiczowi Nadziwojowi, kasztelanowi wileńskiemu, lub synowi jego, wojewodzie trockiemu, a to dla tego, że na tarczy w liczbie innych znalazł się herb i Nadziwojów.

Musimy szerzej pomówić o tem i przytoczyć stanowcze udowodnienia, że ów bogaty i piękny grobowiec jest niezawodnie pomnikiem Wojciecha Gasztolda, musimy dla tego, że wzmianka ta nasza będzie pierwszą ściśle opracowaną, chociaż już przedtem krótko wzmiankował o tem Homolicki w Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych [2], a i my wspomnieliśmy w Przechadzkach po Wilnie, oraz w Przewodniku po Wilnie [3].

Że to jest niezawodnie grobowiec Wojciecha Gasztolda przekonywa nas i wszelką wątpliwość usuwa czterodzielna tarcza, na tym grobowcu wyryta i dokładnie przechowana. Na tej tarczy widzimy te same herby, jakie są na monstrancyi Gieranońskiej, przez tegoż Gasztolda ofiarowanej, a do dziś w skarbcu katedralnym przechowującej się. Mając przytem zapis testamentowy i rodowód Gasztoldów, z łatwością przyjdzie wyjaśnienie tych herbów [4].

Na pierwszem, czyli wyższem prawem miejscu tarczy widzimy ojczysty herb Abdank. W drugim, albo wyższym lewym przedziale tarczy, w którym zwykle kładzie się herb macierzysty, umieszczony Hippocentaur, tj. rodowity klejnot księżniczki Trabskiej, córki Siemiona Siemionowicza i Maryny z książąt Trabskich, a żony Marcina Gasztolda, wojewody Trockiego. Książęta

---

[1] Wilno, II, 241.

[2] T. XXII., 143.

[3] Przechadzki, drugie wyd., str. 24; Przewodnik, pierwsze wyd., str. 104. Szerzej i dokładniej rzecz całą wyłożyliśmy w Skarbcu katedralnym w Wilnie, w kwartalniku Kłosów, z r. 1877, tom II., str. 180. — Homolicki też nie zgłębił do gruntu rzeczy, skoro w tychże Wizerunkach wątpi o pokrewnych stosunkach Gasztolda z Pawłem księciem Holszańskim, którego grobowiec w tejże kaplicy umieszczono.

[4] O tych monstrancyach pomówimy opisując Skarbiec katedralny; tu tylko zwrócić musimy uwagę, że jedna zwała się Gieranońska, o której tu mowa, druga zaś Gasztoldowską, która zaginęła.

Trabscy, od posiadania zamku Traby tak nazwani, z linii Dowszprungowskiej pochodzący, wspólnego książęcego herbu używali Hippocentaura. Traby, miasteczko niegdyś starościńskie, dziś skarbowe, nad rzeką Gawią, w powiecie Oszmiańskim, gubernii wileńskiej, były stolicą księcia Trabosa, nad znaczną dzielnicą Litwy w drugiej połowie XIII. wieku panującego. Wspomniana zaś przez nas księżna Trabska, świekra Marcina Gasztolda, była wnuczką Siemiona Iwanowicza księcia Holszańskiego, przezwanego „Lutym", wielkorządzcy Nowogrodu wielkiego, a rodzonego brata wielkiej księżnej litewskiej Julianny Witoldowej. Jabłonowski w swojej Heraldyce uważa tę Marynę, księżnę Trabską, za córkę Dymitra księcia Zubrowieckiego; Baliński zaś, w Starożytnej Polsce (III, 224), mieni ją być córką księcia Dymitra Dąbrowickiego. Takiego księcia nie było nigdy, a byli książęta Dubrowieccy z linii Dowszprunga; Zubrowieccy zaś z linii Włodzimierza wielkiego, tj. książąt kijowskich. Rzecz niezawodna, że ta Maryna była córką Dymitra Zubrowieckiego, chociaż Niesiecki nie wiedział nawet o tej znakomitej rodzinie, widocznie mięszając ją z Dubrowieckimi [1].

W trzeciej, albo niższej lewej dzielnicy tarczy, zwykłej osadzie rodowitego klejnotu babki z ojca, położony Płomieńczyk, albo

[1] Dodać tu jeszcze winniśmy, że, jak z innych źródeł pokazuje się, ów Dymitr był szwagrem, nie zaś ojcem księżnej Maryny Trabskiej, jak to dowodzą nasi historycy. W spisach metropolitalnego niegdyś archiwum litewskiego, wyjętych z autentyku przez prof. M. Homolickiego i nam w odpisie udzielonych, widzimy, że w r. 1486, d. 7 sierpnia Zofia księżna Dymitrowa Zubrowiecka i Maryna księżna Siemionowa Trabska zapisały na cerkiew katedralną wileńską Przeczystej Bogarodzicy, wyłącznie zaś na korzyść samego metropolity wileńskiego, kijowskiego, halickiego i całej Rusi, Symeona Rusina i jego następców, majętność swoją ojczystą w Turcu, którego część już był dawniej na tęż cerkiew legował dziad ich kniaź Siemion Iwanowicz Holszański. Obecnym był zapisowi brat ich, kniaź Siemion Jurjewicz Holszański, wnuk księcia Siemiona, fundatora. Więc podług tego świadectwa, Zofia ks. Zubrowiecka i Maryna ks. Trabska były córkami Jerzego, a wnuczkami Siemiona Holszańskiego, przezwanego Lutym. Zachodzi tu jeszcze jedna wątpliwość: Stebelski, w swojej chronologii (t. III., 184) powiada, że Symeon Rusin był metropolitą od r. 1477—1482; albo więc data (1486) zapisu mylnie położona w sumaryuszu, co się często przydarza, przez niedokładną redukcyę rachuby lat greckich od stworzenia świata, na rzymskie od Narodzenia Chrystusa; albo się i Stebelski mógł pomylić, co się też niekiedy mu przydarza.

Zadora, jest herbem Elżbiety Dowgiałłówny, córki Jana Hanullewicza Dowgalisa, chorążego litewskiego, przodka domu Dowgiałłów [1].

Niesiecki (II.—76, 184; III. 392; IV. 88 edyc. lipskiej) mylnie po dwakroć wydaje ją za Marcina Gasztolda; widzieliśmy bowiem, że ten ostatni miał za sobą księżniczkę Trabską, i że Elżbieta Dowgiałłówna była nie żoną, ale matką Marcina, co też dowodzi i samo położenie rodowego jej Płomieńczyka na niższem lewem miejscu tarczy Wojciecha, kiedy przeciwnie na monstrancyi Gasztoldowskiej, po ojczystym Abdanku, drugie zaraz miejsce zajmował herb macierzysty Płomieńczyk. Niesiecki powiada, że Jan Gasztold, wojewoda wileński, ochmistrz młodego Kazimierza Jagiellończyka, a od roku 1440 do 1446 prawie rządzca W. ks. litewskiego, zmarły w r. 1460, zostawił kilku synów, a tymczasem w liczbie ich nie wymienia Marcina, wojewody trockiego, gdy archiwalne źródła dowodnie świadczą, że właśnie był synem Jana. W roku bowiem 1433 Jan Gasztold, nadając kapitule wileńskiej wioskę Rzeszniki Gasztowtowskie, pisał się dziedzicem na Gieranonach, a wielki kanclerz Wojciech tytułował się hrabią na zamku Gieranońskim (comes a murata Gieranoni). Więc ta majętność, na-

[1] Ten Jan Hanullewicz, albo Hawnulewicz, syn Aleksandra Nadziwoja, kasztelana wileńskiego, a wnuk Hanula, Hanulona, albo Hamillona, który dopomagał Jagielle podstępnie odzyskać wielkie księstwo od Kiejstuta, a który za Zygmunta Kiejstutowicza, r. 1435, w bitwie Litwinów pod Wiłkomierzem, przeciw Świdrygielle i Krzyżakom, dał dowody nadzwyczajnego męztwa, przez co nazwany był po litewsku Dowgalis, to jest przemożny, od czego i cały ród następnie przezwał się z polska Dowgiałami. Przodek tego domu, Hanull, otrzymał herb Płomieńczyk, albo Zadora, na zjeździe Horodelskim. Bezzasadny jest domysł niektórych, jakoby Jawno, wojewoda trocki za Witolda, miał być synem Hanulla, dowódzcy zamków wileńskich pod Kiejstutem, a namiestnika Wilna pod Jagiełłą, wysłanego w liczbie innych do królowej Jadwigi, do Krakowa, gdzie wraz z Jagiełłą i jego braćmi przyjął wiarę rzymsko-katolicką. Jawno, czasami nazywany Hanko, po litewsku nazywał się Jawinis (Działyński: Zbiór praw, str. 21), przez Polaków nazywany Hanulem. Nie było to imię, ale nazwisko. Tytułował się on, zwyczajem od Polaków przyjętym, dziedzicem, na Kienach, a właściwie na Nakienach (haeres in Nakienni), jak go mianuje przywilej Zygmunta I. z r. 1522, wyliczający i potwierdzający wszystkie dawne nadania na klasztór Franciszkański w Wilnie. Antoni Grzybowski bodaj pierwszy (w swoim Skarbcu nieoszacowanym OO. Franciszkanów) przez złe wyczytanie tego tytułu utworzył dziwaczny wyraz „Nakiemna“, niby nazwisko familijne Hawnula, co też i inni za nim ciągle powtarzali.

leżąca do liczby ogromnych dóbr, przez Zygmunta Kiejstutowicza Janowi podarowanych, równie jak Tykocin, bądź wcześniejszym działem, bądź już po zgonie starszych jego synów, prostą sukcesyi zstępującej drogą spadła na Marcina, wojewodę trockiego, ojca kanclerza [1].

Nakoniec na ostatniej, tj. czwartej albo niższej lewej dzielnicy rodowej tarczy kanclerza, widzimy, obok dłuższego ramienia krzyża, cztery horyzontalne półksiężyce, rogami obrócone do siebie, po dwa z każdej strony. Jest to herb Druck pierwiastkowy, gdyż później zamiast krzyża postawiono między czterema półksiężycami goły miecz, krzyżową rękojeścią prosto do góry, a ostrzem na dół obrócony. Zofia bowiem, księżniczka Drucka-Sokolińska, była żoną wielkiego kanclerza.

Co do przydatkowych części herbowej tarczy: nad hełmem korona szlachecka, a w szczycie wystający więcej, niż do pół ciała mąż zbrojny z mieczem gołym w dwóch rękach, za oba końce po nad głową poprzecznie wyniesionym. Na nagrobku, właściwa tarcza zamiast bocznic, objęta jest większą, fleryzowaną, po brzegach wyginaną tarczą, którą trzyma przed sobą wspięty za nią do połowy lew, w takiejże jak nad hełmem koronie. Na wieku grobowem, z pięknego szwedzkiego marmuru czerwonego, w wybornej płaskorzeźbie wyobrażony zbrojny wizerunek Gasztolda, większy od naturalnej wielkości, trzymający w ręce prawej chorągiew wojewódzką o dwóch końcach.

Jako niewątpliwe jeszcze udowodnienie pogrzebienia tu zwłok Gasztolda, dodać winniśmy, że tenże Wojciech Gasztold, testamen-

---

[2] Dostatki i zamożność tego domu, przed bliskiem jego zgaśnięciem, zwiększyły się i przez to jeszcze, że jeden z synów Jana Hanullewicza Dowgalisa, chorążego, Marcin Dowgalis, albo Dowgiałło, dziedzic na Daugielisznach, będąc bezpotomnym, uczynił dóbr swoich dziedzicem siostrzeńca swego Gasztolda, którym był właśnie Marcin, wujowskie imię noszący. Nadto i świekra jego, Maryna z Zubrowieckich księżna Trabska, zamek i dobra Traby zapisała dla swego wnuka Wojciecha Marcinowicza Gasztolda, natenczas wojewody trockiego. Stąd tedy owa świetność dworu, bogactwo i przepych, jakiemi ostatni z tego rodu, Stanisław, pierwszy mąż królowej Barbary, towarzysząc w r. 1515 Zygmuntowi I. na zjazd z królami węgierskim i czeskim, Władysławem i Ludwikiem i z cesarzem Maksymilianem w Presburgu i Wiedniu, Niemców i Węgrów zadziwiał.

tem r. 1539, wyraźnie zastrzega, że chce być pogrzebionym w kaplicy rodzinnej, Gasztoldowską zwanej, przy kościele głównym św. Stanisława na zamku wileńskim, jak również, że tymże testamentem zapisał dla probostwa Infułacyi Gieranońskiej monstrancyę, o której powiemy niżej, a która do dziś dnia przechowała też same herby, jakie widzimy na wieku grobowem.

W tymże testamencie Wojciecha Gasztolda czytamy: „zapisuję do kaplicy rodzinnej, na ustawiczną pamiątkę obraz (tabulam) przesławnej Boga Rodzicy, greckim obyczajem malowany, kamieniami drogiemi i perłami sadzony. Niechaj go postawią w głowach grobu mojego, gdzie wiecznie trwać, a z tego miejsca ruszany lub gdzieindziej przenoszony być nie ma. Także wizerunki z alabastru i rogu jednorożcowego, przednim kunsztem rzezane, w srebro zewsząd oprawne, które zwykle s e y s u s y (?) zowią, chcę, aby postawiono z boku przy grobie moim i nigdy stamtąd nie ruszano".

Wola Gasztolda czasowo tylko była spełnioną. Ani obrazu, ani wizerunków dawno już nie ma przy grobie.

Wspomnieliśmy już o wyświeconem pokrewieństwie kanclerza Gasztolda z Pawłem książęciem Holszańskim, biskupem wileńskim, którego on bratem (stryjecznym) nazywał w aktach familijnych[1]. Może dlatego w tejże kaplicy po drugiej stronie wzniesiono pomnik temu znakomitemu biskupowi, pogrzebionemu w r. 1555 najprzód w Taborowskiej kaplicy Wniebowzięcia, skąd później szczęty jego przeniesione zostały do kaplicy Gasztoldowskiej i tu w ścianie za wiekiem złożone. Na wieku grobowem, z takiegoż szwedzkiego marmuru czerwonego, w pięknej płaskorzeźbie, a niezawodnie roboty

[1] „Dalijeśmy Jeho Miłośti (Wiżajle, biskupowi żmudzkiemu) plac swój otczynnyj z budowaniem i korczmoju wolnoju, a wotmenu za tol plac T. M. kotoryj J. M. miał o d b r a t a n a s z e h o, kniazia Pawła Aleksandrowicza Holszańskaho biskupa Łuckaho. (22 czerwca 1531).

Narbutt (t. VII., dodatek X., 417) mylnie mieni księcia Pawła synem Siemiona Jurjewicza, wprowadzony w błąd przez kronikę ruską, która Jerzemu Holszańskiemu daje dwóch tylko synów, Siemiona i Daniela (poległego w bitwie pod Wiłkomierzem); gdy tymczasem miał on i trzeciego syna, Aleksandra, ojca Pawła biskupa. Był więc biskup Paweł prawnukiem Siemiona Iwanowicza, wielkorządcy Nowogrodu wielkiego, przezwanego L u t y m (zły, okrutny, sierdzisty), a brata rodzonego małżonki Witolda, wielkiej księżny litewskiej Julianny.

jednej i tej samej ręki, która i grobowiec Gasztoldowi rzeźbiła, jednostajnych z tym ostatnim rozmiarów, wyobrażony biskup Holszański z pastorałem, w infule i szatach biskupich, z księgą dużą w lewej ręce.

Czterodzielna tarcza herbowa, znamionująca nagrobek księcia Pawła Holszańskiego taka jest zupełnie, jaką na pergaminowych jego przywilejach widzimy, a jaką dokładnie opisał Jabłonowski w swojej Heraldyce.

W pierwszej albo wyższej prawej dzielnicy umieszczony własny herb książąt Holszańskich, tj. Hippocentaurus; w drugiej P o g o n i a książąt Olelkowiczów słuckich; w trzeciej herb macierzysty Trąby Sudymontów; w czwartej Leliwa Montwidów. Nad tarczą bez hełmu, mitra książęca i nad nią infula biskupia ze sterczącemi nieco ukośnie z tyłu tarczy, pastorałem od prawej strony, a od lewej mieczem, jako godła, że biskupi wileńscy mieli prawo miecza, od wielkiego księcia Aleksandra nadane.

Sądzimy, że wyjaśnienie to dostatecznie przekonać może, iż piękne grobowce w kaplicy Gasztoldowskiej (z obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela, pędzla Czechowicza, a przedtem z obrazem Wszystkich Świętych, pędzla Bärkoffa), w katedrze wileńskiej, które najrozmaiciej tłumaczono, wzniesione zostały nad zwłokami wielkiego kanclerza litewskiego Wojciecha Marcinowicza Gasztolda, zmarłego w r. 1540 i pokrewnego jego, Pawła książęcia Holszańskiego, biskupa wileńskiego, zmarłego w r. 1555, a nie mają nic wspólnego z grobowcami Witolda, Nadziwoja albo Dowgiałły, jak również biskupów Wojciecha Tabora, albo Abrahama Wojny, jak to nawet wizyta kościelna z r. 1828 (f. 81) fałszywie twierdziła.

Po wojnie za Jana Kazimierza spustoszoną i ogołoconą kaplicę Gasztoldowską ks. Benedykt Żuchorski, wówczas kanonik wileński, a później biskup sufragan Żmudzki, wielkim nakładem podźwignął i przyozdobił. Przy tak wyporządzonej kaplicy, ks. Mikołaj Słupski, prałat wileński, biskup, sufragan białoruski w r. 1671, za dozwoleniem Klemensa X. papieża założył arcybractwo Panny Maryi. Król Michał Korybut Wiśniowiecki i królowa Eleonora, jak również najznakomitsze osoby w kraju do bractwa tego wpisali się. Biskup wileński Aleksander Sapieha z całą kapitułą wileńską, oraz członkami kapituł żmudzkiej i smoleńskiej i z całem duchowieństwem

miasta Wilna, 8 marca (1671) wprowadził to bractwo w procesyi publicznej od kościoła Dominikańskiego, w której to procesyi lane ze srebra Imię Maryi na tryumfalnym wozie ciągnione było zaprzęgiem sześciu koni, trzymanych na wodzy od rotmistrzow i towarzyszów kawaleryi narodowej, a w której uczęstniczyli wszyscy senatorowie i ministrowie litewscy, hetmani wielki i polny, kanclerz wielki i inni najznakomitsi dygnitarze i panowie przy nieustannem biciu z dział i moździeży po drodze rozstawionych [1]. Na tej uroczystości ks. Kazimierz Kojałowicz T. J., były rektor akademii wileńskiej (brat sławnego historyka) miał kazanie w katedrze.

Od tego to czasu kaplicę Gasztoldowską nazywano już kaplicą Imienia Maryi. Wszakże później to arcybractwo przeniesiono do biskupiej kaplicy, czyli Taborowskiej, Wniebowzięcia, gdzie do ostatnich czasów (1864) uroczyście obchodzono rocznicę Imienia Maryi.

(Dok. nast.) *A. H. Kirkor.*

[1] Acta V. C. V. 1670, f. 101. — 1671 f. 117. — 1673 f. 125. — 1686. f. 237.

O PROJEKTACH

WPROWADZENIA CZASU WSZECHSPÓLNEGO.

(Dokończenie).

II.

Co do wszystkich trzech kwestyj, na początku rzeczy naszej wspomnianych, przytoczywszy okoliczności dzisiaj je obciążające, zobaczmy teraz, kiedy, gdzie i przy jakiej sposobności je podniesiono, a nawet przed forum publiczności stawiono, następnie zaś, jaką radę przeciw nim podać uchwalono.

Powszechna zgoda i uznanie potrzeby zaprowadzenia jednego pierwszego południka, dla wszystkich krajów wspólnego, po tylu próżnych usiłowaniach, zaczęły dopiero przed 15 laty wyraźniej występować. Pobudkę do tego dał zwołany na lato 1870 r. do Antwerpii pierwszy geograficzny kongres, na którego porządku dziennym sprawie tej pierwszeństwo oddano. Gdy jednak kongres ten z powodu wojny prusko-francuskiej do skutku nie przyszedł, a późniejsze jej okolicznościowe omawiania na różnych zgromadzeniach i zjazdach naukowych do żadnego dodatniego rezultatu nie doprowadziły, podniósł ją znów w r. 1879 wspomniany już przez nas S. Fleming w swym memoryale, przesłanym Akademii w Toronto. W nim to przedstawiwszy liczne niedogodności z używania czasów lokalnych, dla środków komunikacyjnych coraz więcej rosnące, i na ich miejsce proponując zaprowadzenie czasów normalnych, radzi także, aby z dotychczasowemi pierwszemi południkami już raz wziąść rozbrat, a zastąpić je jednym i jedynym na wszystkich kar-

tach i mapach geograficznych w przyszłości wydawanych, — a jako taki, aby wszelkich możliwych narodowych niechęci i zazdrości uniknąć, wskazuje on południk w okolicy cieśniny Behringa, o 180° od Grynicz przesunięty. W tym samym duchu przemawiał już w r. 1870 O. Struve, dyrektor obserwatoryum petersburskiego, wezwany do wypowiedzenia swego zdania w tej mierze przez tameczną Akademię umiejętności. Na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego rosyjskiego przedstawił on najprzód powody, które za ogólnem przyjęciem południka w Grynicz, jako pierwszego, przemawiają, — ewentualnie zaś, gdyby zgoda na takowy, zwłaszcza ze strony francuskiej, na niepokonane trudności trafiła, proponował przyjęcie południka o 12 godzin od Grynicz odległego, który ląd stały tylko na wysokiej północy w niezamieszkałych okolicach kraju Czukczów w pobliżu cieśniny Behringa przecina, zresztą zaś w całej swej długości przez ocean Spokojny i oba morza Lodowate bieży.

Pierwsze atoli, niejako już urzędowe nad tym przedmiotem rozprawy odbyły się dopiero w r. 1883 w Rzymie na generalnej konferencyi europejskich pomiarów, gdzie rzecz ta, za inicyatywą miasta Hamburga na porządku dziennym postawioną została, obok niej zaś i sprawa wprowadzenia jednozgodnego sposobu liczenia czasu. Do konferencyi tej, prócz stron interesowanych w europejskich pomiarach, zaproszone zostały także rządy Anglii i Stanów Zjednoczonych. Po wyczerpujących debatach w głównej kwestyi, tj. co do wyboru pierwszego południka, znaczną większością przyjęty został południk grynicki, który pomijając inne powody, już przez to samo się zalecał, że blisko $^9/_{10}$ wszystkich w użyciu będących kart geograficznych do niego się stosuje, a stąd ogólne jego zaprowadzenie najłatwiej da się uskutecznić i bardzo małych ofiar ze strony innych państw wymagać będzie. Prócz tej uchwały, przeciw której nawet Francuzi, licznie i przez naukowe powagi reprezentowani, nie wystąpili, od głosowania się tylko wstrzymując, powzięto jeszcze kilka innych (w ogóle wszystkich 9); z nich to niektóre nas tu obchodzące przytaczamy:

Uchwała 3). „Konferencya proponuje rządom za pierwszy przyjąć południk przez Grynicz idący, naznaczony stale przez środek filarów lunety południkowej tamecznego obserwatoryum. Południk ten, od którego długości geogr. w przyszłości liczyć

się mają, odpowiada wszystkim warunkom naukowym, i jako najwięcej już dziś w użyciu będący, daje rękojmię, że znajdzie ogólne przyjęcie".

Uchwała 4) „Poleca się liczenie wszystkich długości od południka w Grynicz tylko w kierunku od zachodu ku wschodowi (tj. od 0^0 do 360^0)".

Uchwała 5) „Ze względu na niektóre potrzeby naukowe i na wewnętrzną administracyę wielkich zarządów przedsiębiorczych, jak kolei żelaznych, żeglugi parowej, poczt i telegrafów, uznaje konferencya za pożyteczne, przyjąć godzinę uniwersalną, obok której naturalnie w obywatelskich stosunkach także i miejscowe lub krajowe godziny w użyciu nadal pozostają".

Uchwała 6) „Konferencya poleca jako początek uniwersalnych godzin i dat kosmopolitycznych, godzinę południową w Grynicz, która schodzi się z północą czyli początkiem dnia cywilnego pod południkiem miejsca o 12 godzin czyli 180^0 na wschód od Grynicz leżącego. Godziny te uniwersalne mają być liczone od 0 do 24".

Uchwała 7) „Pożądanem jest, ażeby te państwa, które celem wspólnego ustalenia długości geogr. i godzin, południk swój zmienić muszą, nowy system długości i godzinny o ile można jak najprędzej u siebie zaprowadziły, bez zwłoki zaś w szkołach go zastosowały".

Uchwała 8) „Konferencya spodziewa się, że jeżeli wszystkie państwa zgodzą się na ujednostajnienie długości geogr. i godzin, a południk w Grynicz przyjmą za pierwszy, Anglia ze swej strony skłoni się na korzyść jednostki miar i wag, przystępując do konwencyi metrycznej z 20 maja 1875 r".

Uchwały 1 i 9 były formalnej natury, uchwała 2 tyczyła się wprowadzenia dziesiętnego podziału ćwiartki koła, którą tu, jako nas nieobchodzącą, pomijamy. Przydłuższa ożywiona dyskusya poprzedziła uchwałę 7, a mianowicie pytanie, czy przy użyciu czasu uniwersalnego początek dnia a więc i daty miesiąca, od południa, czyli też od północy czasu grynickiego ma być liczonym. Do rozstrzygnięcia na korzyść pierwszego skłonił prawdopodobnie wzgląd na dotychczasowy zwyczaj astronomów a po części i żeglarzy, również wzgląd na trudności, jakieby przez zaniechanie tego zwyczaju tak dla astronomicznej chronologii jak i dla rachmistrzów efemeryd powstały. Uchwała 8 przeważnie z grzeczności dla Francuzów i jako

nagroda za ich ustępstwo i rezygnacyę z południka Ferro została powziętą, a do niej zastosowali się Anglicy już w r. 1884.

Konferencya rzymska była niejako przygotowaniem do kongresu międzynarodowego, jaki się odbył w roku następnym w Waszyngtonie. Rząd Stanów Zjednoczonych, zawezwany do zwołania go uchwałą tychże Stanów, otrzymawszy poprzód od wielkiej liczby innych rządów przyrzeczenie udziału w takowym, a prócz tego na podstawie rzymskich obrad przekonany, że zgoda co do wyboru pierwszego południka łatwo osiągniętą zostanie, wysłał do wszystkich cywilizowanych państw zaproszenie na konferencyę na dzień 1 października 1884 r. Stawiło się na nią w ogóle 25 delegatów, których oficyalnie wysłały następujące państwa europejskie: Anglia, Austrya, Dania, Francya, Hiszpania, Niderlandy, Niemcy, Rosya, Szwajcarya, Szwecya, Turcya i Włochy, — zaś Brazylia, Chili, Columbia, Costa Rica, Guatemala, Hawaii, Japonia, Liberia, Meksyk, Paraguaj, San Domingo, San Salvador, Venezuela i Stany Zjednoczone z innych części świata. Po większej części byli to dyplomaci akredytowani przy rządzie Stanów Zjednoczonych, którym naturalnie na tem zależało, by przedłożone im pytania i wnioski, nietylko z naukowego ale i z ogólnego, społecznego stanowiska rozważyć, — byli tam atoli także i znani w świecie uczeni, jak Adams dyrektor obserwatoryum w Cambridge, sławny spektroskopista francuski Janssen, S. Newcomb wydawca amerykańskich roczników astronomicznych, L. M. Rutherford z N. Jorku, W. Thomson fizyk i t. d. Od 1-go października do 1 listopada odbyto 8 posiedzeń, na których prezydował Rodgers, wysoce zasłużony admirał marynarki amerykańskiej. Głosowano nad wnioskami według państw z równouprawnieniem, tj. bez względu na stan ich kultury, na wielkość ich powierzchni lub liczbę mieszkańców, przyczem wielu delegatów naprzód oświadczyło, że te tylko uchwały kongresu przedłożą swym państwom do przyjęcia, za któremi sami głosować będą.

Przebieg obrad waszyngtońskich nie poszedł tak gładko, jak się tego spodziewano. Delegat Francyi, Janssen, już co do pierwszej sprawy, tj. obioru głównego południka, otrzymawszy od rządu swojego wskazówki niezgodne z uchwałą rzymskiej konferencyi, w świetnej swej mowie podniósł dawne zasługi swego kraju w tej mierze i ofiary, jakich od niej teraz przez przyjęcie południka gry-

nickiego żądają. Nie należy lekceważyć czynności Francyi na polu hydrografii, mówił on, — najstarsze nautyczne efemerydy tu się okazały, a z trudnością znalazłby się gdzie kawał ziemi, gdzieby Francuzi pomiarów swoich nie prowadzili. Zważywszy, że wielka różnica zachodzi między astronomicznym południkiem a takimże dla hydrograficznych wyłącznie celów, ostatni bowiem ani tak ściśle wyznaczonym być nie potrzebuje, ani nawet na kartach geogr. tak dokładnie naznaczonym być nie może, to żądanie, aby międzynarodowy pierwszy południk koniecznie przez jakieś obserwatoryum pierwszorzędne przechodził, jest nieusprawiedliwione. Najlepszem wyjściem z tej sprawy byłoby według niego przyjęcie południka graniczącego z starym i nowym światem, lub też pozostanie przy południku Ferro, — gdyby jednak konferencya na południk grynicki się zgodziła, Francya pozostanie nadal przy południku paryskim! Przeciw tym wywodom Janssena podniósł znów zarzuty F. Evans, reprezentant Anglii, dowodząc, że w praktyce już dzisiaj można uważać grynicki południk za pierwszy, corocznie bowiem 180 do 230 tysięcy kart morskich wychodzi z druku w Anglii, które, również jak i roczniki astronomiczne, do tego południka daty swe odnoszą, i na wszystkich morzach są używane. Aby jednak Francyi przyjęcie angielskiego południka ułatwić, zwrócono uwagę jej delegata na to, że ponieważ tu nie chodzi o nazwę ale o rzecz, południk więc ten, jako przechodzący także przez Havre, nazwę tego miasta będzie mógł nosić, a Anglikom wystarczy samo przekonanie, że to tylko jest zamaskowany południk grynicki. Przy głosowaniu nad tą całą kwestyą, przyjęto 22 głosami południk grynicki za pierwszy, Francya i Brazylia wstrzymały się od głosowania, a przeciw oświadczyło się San Domingo!

Następna uchwała konferencyi rzymskiej, tycząca się liczenia długości geogr. w kierunku tylko od zachodu ku wschodowi, czyli od 0 do 360°, nie znalazła zwolenników w Waszyngtonie. Podniesiono przeciw tej zmianie dotychczasowego zwyczaju, że jest ona połączona z niedogodnościami dla kartografii, a żadnych naukowych korzyści nie przyniesie, nadto liczenie długości do 360° a względnie do 24 godzin, ewentualnie potrzebną zamianę czasu cywilnego na projektowany uniwersalny utrudni i niejasną uczyni. Uchwała zapadła w myśl dotąd używanego sposobu liczenia długości.

Również przeciwną uchwałę powzięto w Waszyngtonie w kwestyi, czy dzień uniwersalny ma się liczyć od południa czy od północy czasu grynickiego. Podczas gdy w Rzymie uchwalono południe jako początek dnia uniwersalnego, uwzględniając w tem szczególnie interes astronomów i żeglarzy, w Waszyngtonie ze strony obecnych na kongresie żeglarzy, uznano rzecz tę za małoznaczącą w praktyce, tem więcej, że w północno-amerykańskiej marynarce ogólnie dzień liczą od północy tak, jak i w stosunkach cywilnych. Podniesiono natomiast obawę zamieszania, jakieby zmiana daty dnia w godzinach najwięcej ożywionych przyniosła handlowi i innym stosunkom społecznym, wobec czego interesa astronomów na tem wrzekomo cierpiące, ustąpić muszą. Uchwałę rzymską co do liczenia godzin tak uniwersalnych jak lokalnych od 0 do 24 przyjęto.

Co się tyczy wprowadzenia czasu uniwersalnego, uchwała waszyngtońskiego kongresu tak opiewa: „konferencya proponuje do wszystkich celów, dla którychby się to okazało być korzystnem, przyjęcie dnia uniwersalnego, przez co jednak nie zostaje zniesionem używanie czasu lokalnego, gdzie tenże jest pożądany“. Za uchwałą tą głosowało 23 delegatów.

Znając już uchwałę rzymską w tej samej materyi, widzimy, że obie, tj. tak tamta jak waszyngtońska bardzo oględnie, zwłaszcza ta ostatnia, przyjęcie czasu uniwersalnego proponuje, a właściwie mówiąc, do niczego nie obowiązuje. Kongres uznając z jednej strony wielkie niedogodności i trudności, jakie przy użyciu czasów bądźto lokalnych, bądź nawet normalnych, coraz więcej w stosunkach komunikacyjnych się mnożą, z drugiej zaś mając wzgląd na zakorzeniony głęboko zwyczaj kierowania się czasem miejscowym, nie chciał jednem cięciem węzła rozcinać, aby tak ważnej reformy nie narażać na fiasko, i bezpotrzebnie publiczności przez zamach na jej stare zwyczaje nie przestraszać. Żeby czas uniwersalny zastąpił miejscowy w prywatnych i codziennych stosunkach ludzi, potrzeba przedewszystkiem dobrze zastanowić się nad tem, w jakiby sposób można wprowadzić pozorną przynajmniej zgodę między oboma, iżby zwolna potem dało się czasy lokalne wyrugować, i ludzi na używanie ich znieczulić. Do tego zaś nie wystarcza tak skąpa jak dotychczas praktyka i tak nieliczny zbiór, podjętych na małą skalę doświadczeń, jak zaprowadzenie czasów normalnych od roku dopiero w jednoli-

tych państwach Ameryki północnej, na które się zwolennicy reformy odwołują po jednorocznej zaledwo praktyce. Sprawa cała znajduje się właściwie mówiąc jeszcze w stadyum eksperymentów, i dlatego kongres waszyngtoński uchwałą swoją wprowadzenie czasu wszechspólnego jak na teraz, tylko zarządom kolejowym i telegraficznym poleca, z zatrzymaniem atoli czasu lokalnego w obywatelskich stosunkach.

Aby rzecz jednak należycie wyrozumieć, zastosujmy do niej choćby chwilowo i w przykładzie — cyfry, i zobaczmy, jakieby też ofiary z naszych zwyczajów ta ostatnia reforma za sobą pociągnęła.

Wiemy już, co jest czas słoneczny prawdziwy, średni, czem się one od siebie różnią i czem się je mierzy, — wiemy dalej co jest czas kolejowy a w obszerniejszem zastosowaniu normalny, i jak się mamy do nich stosować. Pierwszem więc pytaniem, które z pewnością każdy najprzód chciałby mieć wyjaśnionem, jest: czem się czas uniwersalny ma mierzyć, czy potrzebaby z jego wprowadzeniem do codziennego naszego życia nowych zegarów i zegarków, a przynajmniej przeróbki starych, — drugiem zaś pytaniem jest, jakaby chociaż częściowa z jego wprowadzeniem nastąpiła zmiana naszych stosunków codziennych, regulowanych dotychczas wschodem i zachodem słońca. Otóż, co do pierwszego pytania, to zupełnie możemy być spokojni o nasze zegarki i naszą kieszeń. Według propozycyi bowiem wnioskodawców i częściowych uchwał obu kongresów, zarówno jak południk grynicki ma być pierwszym południkiem, tak czas średni grynicki ma być owym czasem uniwersalnym, czyli inaczej mówiąc, ponieważ uchwały te proponują, żeby na całej ziemi rządzono się zegarem grynickim, i żeby wszystkie zegary o każdej chwili średni czas grynicki wskazywały, jestto zatem to samo, jak gdyby od nas żądano, żebyśmy swoje zegarki nie według czasu krakowskiego, lecz np. wiedeńskiego regulowali, i wedle niego się urządzali, — z tą tylko różnicą, że w tym ostatnim razie musielibyśmy nasze zegarki raz na zawsze tylko o 14 minut cofnąć w tył, tj. o różnicę długości geogr. między Wiedniem a Krakowem, podczas gdy stosując to do czasu grynickiego, różnica ta jest większą, wynosi bowiem jednę godzinę i 20 minut. O tyle więc potrzebowalibyśmy cofnąć nasze zegary, chcąc, by one nam czas

grynicki czyli uniwersalny wskazywały, a regulowanie ich odbywałoby się pośrednią drogą, tj. przez regulacyę naprzód czasu lokalnego a następnie zmniejszenie go o jedną godzinę i 20 minut. W ogóle bowiem czas uniwersalny, któregobądź miejsca na ziemi, równa się jego czasowi miejscowemu, zmniejszonemu o różnicę długości geogr. między Grynicz a temże miejscem, wyrażoną w czasie, lub też zmniejszonemu o długość geogr. tegoż miejsca, jeżeli południk grynicki przyjmiemy za pierwszy. Odpowiednio do tego, musiałby Wiedeń cofnąć swe zegary o 1 godz. 6 min., Lwów o jednę godz. 36 min., Petersburg o 2 godz., Moskwa o $2^1/_2$ godz., Lipsk o 50 min, Drezno o 55 min., Wilno o 1 godz. 41 min., Warszawa o 1 godz. 24 min. i t. p., jak znów miejsca na zachód od Grynicz leżące musiałyby czas swój lokalny powiększyć o długość swą geograficzną, liczoną w czasie od Grynicz, a więc np. Oksford musiałby swój zegar posunąć naprzód o 5 min., Dublin o 25 min., N. Jork o 4 godz. 56 min, Chicago o 5 godz. 50 min., Meksyk o 6 godz. 36 min. i t. p.

Na drugie pytanie powyżej stawione, ostatnie już cyfry dają nam częściową odpowiedź. Gdyby szło tylko o koleje, telegrafy, i t. p., to wprowadzeniu do nich czasu uniwersalnego z pewnością niktby się z nas nie sprzeciwiał, owszem nawet, — ponieważ w ten sposób wszystkie koleje rządziłyby się jednym czasem, wiedzielibyśmy raz na zawsze, że wybierając się w drogę, choćby i najdalszą, np. z Krakowa, czy to koleją północną, czy galicyjską, wystarczy nam zegarek swój na czas podróży cofnąć o 1 god. 20 min., wszędzie bowiem, czy to na zmianie dwóch linij kolejowych, czy na granicy dwóch państw, zgadzać on się będzie z czasem kolejowym, a rozkłady jazdy według czasu uniwersalnego unormowane, już nas więcej w błąd i zakłopotanie wprowadzać nie będą. Krótko mówiąc, zamiast wielości czasów kolejowych, krajowych, normalnych i t. p., mielibyśmy jeden wszystkim wspólny, coby na niezaprzeczoną korzyść dzisiejszych środków komunikacyjnych i na ich uproszczenie wypadło. Inaczej atoli rzecz się ma z zastosowaniem czasu uniwersalnego do stosunków naszych codziennych. Na wyłączną niemal korzyść podróżujących, którzy mimo wielkiego dziś ruchu, stanowią przecież bardzo mały tylko procent ludzkości, i wrzekomą korzyść niektórych nauk, z których jednym i tak używanie czasów lokalnych zbytnio

nie cięży, bo zamiana takowych na jeden wspólny, w obec samych spostrzeżeń w tych czasach odbywanych, jest już pracą małoznaczną, drugim zaś, jak np. meteorologii w pracach nad dziennemi peryodami zjawisk powietrznych, owszem na niekorzyśćby to wyszło, gdyż należałoby się nam zbyć zwyczajów, w których wzrośliśmy od dzieciństwa, a właściwie mówiąc, przywyknąć do nawiązania zajęć do innych godzin. Tak stosując tę rzecz najprzód do siebie samych, ponieważ nasze zegary cofnąć musielibyśmy o 1 godz. 20 m., stąd południe, które dla wielu klas ludności w dziennym rozkładzie ich pracy jest chwilą ważną, przypadałoby u nas o godz. 10 minut 40 czasu uniwersalnego, a to byłoby z tego powodu nawet niepraktyczne, że chwilę tę trudnoby było za pomocą zegarów publicznych i wieżowych na dalsze odległości komunikować, lecz musianoby prawdopodobnie pominąć owe 20 minut, i zapowiedzieć, że nadal południe będzie o 11 godz. Również zmiana daty dnia, która teraz odbywa się o północy czasu miejscowego, przesunęłaby się na 10 godz. 40 m. wieczorem, co zwłaszcza w sprawach i sferach duchownych nie byłoby wcale pożądaną zmianą; uczniowie, zamiast jak dzisiaj o 8 godz. rano, lub 2 po południu, zaczynaliby swą naukę wprawdzie o tym samym czasie, ale według zegaru o 6 godz. 40 m. rano lub 12 godz. 40 m. po południu; urzędnik chodzący do biura o 9 godz. rano i 3 pop. musiałby pamiętać, że ma tam być o 7 godz. 40 m. rano, lub o 1 godz. 40 m. po południu i t. p. Cały już ten rachunek z niepełnemi godzinami i dopełniany ciągle minutami, jest jak widzimy trochę niewygodny; możnaby go wprawdzie cichaczem uprościć, opuszczając jak powyżej owe 20 minut, ale gdzież w takim razie mowa o jakiejś dokładności, i jakie granice takich lokalnych poprawek? My opuszczalibyśmy 20 m., gdzieindziej zdobytoby się prawdopodobnie na taki sam rozum, i chcąc rozkład swych czynności uprościć, opuszczanoby 25, 30 m., lub też robionoby przeciwnie, tj. zamiast zaczynać swe czynności np. o 6 godz. 10 m., 15 m., 20 m., zaczynanoby je punkt o 6 i t. p., co wszystko pojęcie niewzruszonej miary czasu osłabia i niszczy.

Gorzej atoli jeszcze te stosunki przedstawiałyby się w stronach dalej od Grynicz położonych, np. w Chicago. Tu chwila południa oznaczonąby była przez 5 godz. 50 m., albo biorąc zamiast tego okrągłe 6 godzin i wprowadzając nowy sposób liczenia godzin od 0 do 24, w południe powinien tam zegar wskazywać i wybijać

18 godz., a o dzisiejszej 6 godz. po południu byłaby tam godzina 24, i początek zarazem nowej doby i daty. Przypuściwszy, że tam w lecie, tak jak u nas, dzień od 3 godz. rano do 9 godz. wieczorem, co dla nas zupełnie jasne daje pojęcie o długości dnia w tej porze roku, według nowej rachuby nazywałoby się to od 9 godz. rano, do 3 godz. wieczorem, albo od 9 do 3 godz. dnia następnego, a więc wprost przeciwne daty, rzeczy wcale nie upraszczające, lecz owszem mącące. Pomyślmy sobie dalej jeszcze jakąś miejscowość, gdzie o południu będzie np. 9 godz., albo 21 godz. według zegaru uniwersalnego; w tym ostatnim razie 24 godz., a więc i zmiana daty dnia wypadnie tam o dzisiejszej 3 godz. po południu, czyli w czasie najwięcej jeszcze ożywionego ruchu interesów miejscowej ludności; tu dzień, jak powyżej, najdłuższy w lecie trwałby od 12 godz. rano do 6 popoł., a my czytając w opisach takie daty, z pewnością z powątpiewaniem kiwalibyśmy głowami nad ich wiarogodnością.

Wszystko to wprawdzie jest rzeczą przyzwyczajenia, ale z niem się pono zawsze rachować nam należy i patrzyć, czy ono ma racyonalną podstawę, której w razie danym wymarzonemi półśrodkami nie zniszczy, a tylko wielki zamęt na długie lata wprowadzi. Czas służy człowiekowi tylko jako środek pomocniczy do uregulowania jego obowiązków, a skutkiem tego pierwszym i najważniejszym warunkiem każdej rachuby czasu jest, aby ona do potrzeb życia była zastosowaną. Te zaś jak i wszystkie urządzenia społeczne regulowane są zjawiskami dla całej ziemi w jednakowy sposób się powtarzającemi, i nasza rachuba czasu na tych zjawiskach jest opartą, musi więc także i ona być wszędzie w tym samym związku z temi potrzebami. Tak każda z naszych godzin stoi na całej ziemi w ściśle oznaczonym związku do pory dnia; 10 godzina przed południem, 3 godzina po południu i t. p., mają wszędzie to samo znaczenie odnośnie do stanowiska słońca, i toż samo znaczenie mają z pewnością wszystkie ogólne wyrażenia, jak rano, południe, wieczór i t. p. których do przybliżonego oznaczenia czasu używamy. Z tego stanowiska zapatrując się na naszą dotychczasową rachubę czasu, to ona nawet miałaby więcej prawa nosić nazwę uniwersalnej, aniżeli czas grynicki pod to miano podłożony. Tu, jak z poprzedzających przykładów widzimy, początek doby i zmiana daty w różnych okolicach ziemi na wszystkie możliwe godziny dnia

lub nocy przypadać może; godzina 10 czasu uniwersalnego zależnie od położenia względem Grynicz może oznaczać najrozmaitszą porę dnia lub nocy, tak, jak znów wyrażenie przedpołudniem, wieczorem i t. p. na różne godziny czasu uniwersalnego przypadnie, — a wszystkie te okoliczności do uproszczenia rzeczy i pojęć wcale się nie przyczynią. Czytając np. wiadomość o wielkim pożarze, że takowy przytrafił się o 10 godz. przed południem według czasu miejscowego, mamy jasne i dokładne pojęcie, kiedy i o jakiej porze dnia się to stało; jeżeli zaś przeczytamy, że stało się to o 10 godz. czasu uniwersalnego, to zupełnie o chwili tego nieszczęścia pojęcia mieć nie będziemy, jeżeli najprzód, przynajmniej w przybliżeniu nie znamy długości geogr. miejsca, gdzie ono się przytrafiło, a następnie jeżeli nie znamy związku, jaki istnieje między czasem uniwersalnym, długością geogr. i stanowiskiem słońca, które znów w różnych porach dnia jest różne. A trudno przypuścić, by ludzie, nie znając tego wszystkiego lub nie umiejąc sobie obliczyć, zbyli się swej wrodzonej, uzasadnionej lub próżnej ciekawości, i by im wystarczało na jej zaspokojenie, takie bezwzględne podanie daty, że to lub owo stało się o 10 godz., bez określenia, czy to się stało rano lub wieczorem, we dnie lub w nocy, bo sama godzina ich pod tym względem nie objaśni, skoro pozbawiono jej wszelkiego związku z lokalnemi stosunkami.

Między zarzutami, czynionemi używaniu czasów lokalnych, jeden z większych, o którym w części I. wspomnieliśmy, jest, że ten sposób liczenia czasu potrzebuje zawsze objaśnienia, do jakiego południka się odnosi, czyli wskazania, o jakim czasie w danym razie jest mowa, krakowskim czy lwowskim i t. p., podobnie jak to do niedawna mieliśmy z naszemi miarami, łokciami i t. p. Aby temu raz koniec położyć, zwolennicy nowości proponują wprowadzenie czasu uniwersalnego, nie chcąc widzieć, że cały ten zarzut i to porównanie nie mają podstawy. Przyznając bowiem, że całkiem słusznem jest żądanie, aby każda, tem samem mianem oznaczona miara, miała tę samą wartość, długość, objętość i t. p., to nasza dotychczasowa rachuba czasu, odnośnie do takiegoż żądania jej stawianego, jest w zupełnym porządku: wszędzie dzień, godzina, minuta i sekunda na całej ziemi mają też samą długość i znaczenie, i wszędzie też samą kontrolę. Ale jak dziwnem byłoby żądanie, aby

w Krakowie i w Paryżu nietylko metrem takiej samej długości, ale nadto tym samym mierzono, tak podobnież dziwnem i trudnem byłoby do spełnienia, aby na całej ziemi kierowano się w sprawach codziennych czasem grynickim, którego jedyną ponad inne zaletą jest ubranie we wspaniałą nazwę uniwersalnego lub światowego.

Wprowadzenie czasu uniwersalnego do komunikacyj telegraficznych, usunęłoby co prawda takie zagadki, jak otrzymanie depeszy wcześniej, aniżeli ona była nadaną, ale też i nic więcej! Dla nieobeznanego z wpływem długości geogr. na liczenie czasu, czyli nie znającego naturalnych zupełnie następstw wirowego obrotu ziemi, wątpliwości jakieśmy również w I. części przytoczyli, nie zostaną wcale przez to usunięte, i niewiele mu pomoże na to jego zegarek według czasu uniwersalnego ustawiony i idący. Przypatrzmy się temu konkretnie. Przypuśćmy, że pewnego dnia w lipcu o godz. 10 czasu uniw. otrzymujemy w Krakowie następujący telegram: „Chicago 9-ta godz. czasu uniw. W tej chwili zbudzeni zostali wszyscy trzęsieniem ziemi ze snu głębokiego i t. d.“ Ponieważ otrzymaliśmy telegram o 10 godz., a był on nadany o 9 godz., dotąd więc wszystko w niebywałym porządku. Ale zastanawiając się nad osnową telegramu, a więc dopiero właściwą jego treścią, nie każdemu będzie ona zrozumiałą. U nas godzina 10 czasu uniw. odpowiada 8 godz. 40 min. rano czasu krakowskiego, przed godziną zaś było to trzęsienie w Chicago, a więc o 7 godz. 40 min. czasu krak.; w chwili więc, kiedy tu u nas był już dzień wielki, stamtąd donoszą o głębokim śnie mieszkańców? I znowu, chcąc rzecz zrozumieć, potrzeba znać różnicę długości geogr. między Krakowem a Chicago, wiedzieć następnie, co z nią zrobić, a dopiero wtedy dowiemy się, że chociaż w tej samej chwili zegar w Krakowie i Chicago pokazuje 9-tą godz., to, podczas gdy w Krakowie, jestto już dzień wielki, w Chicago jest dopiero 3 godz. w nocy według czasu miejscowego, czyli noc.

Wszystko więc, jak widzimy, zostało, jak było, czas uniwersalny wcale nam rzeczy nie uprościł! Gdy jednak przez zastosowanie jego do życia naszego i stosunków naszych ani nie stracimy, ani nie zyskamy wiele, możemy więc zwolennikom jego powiedzieć: *ad libitum*, a natomiast przypatrzmy się jeszcze na za-

kończenie, czy wprowadzenie czasu uniwersalnego byłoby pożądanem w żegludze, która dziś na wysokim stopniu rozwoju stojąc, także głos swój w tej sprawie mieć powinna.

Otóż pomyślmy sobie, że z Grynicz wyjeżdżamy okrętem w podróż naokoło świata i płyniemy w kierunku wschodnim, a życie na nim ma być uregulowane według czasu uniwersalnego czyli grynickiego; w dniu wyjazdu, przypuśćmy, obiadowaliśmy na okręcie o 12 czyli w samą południową godzinę. Gdyby nadal w ciągu podróży tejże godziny siadania do stołu stale trzymać się chciano, to na Czerwonem morzu obiadowalibyśmy o dzisiejszej 3 godz. po południu, przy wyspach Sundzkich o 8 wieczorem, a na Oceanie Spokojnym jużby nas chyba ze snu budzono o północy do obiadu, w tej bowiem chwili przypada tu 12 godz. czasu uniwersalnego, współczesna południowi grynickiemu, i t. p. Ponieważ bez wątpienia mało podróżnych na taki sposób życia zgodzićby się chciało, musianoby więc inaczej tę sprawę urządzić i prawdopodobnie osą dzonoby za praktyczniejsze, codzień cokolwiek wcześniej zasiadać do objadu; w ten sposób znów postępując, na Czerwonem morzu obiadowalibyśmy o 9 godz. według zegaru zamiast o 12, w cieśninie Sundzkiej o 4, aż nareszcie gdzieś na Oceanie Spokojnym obiadowalibyśmy dwa razy w ciągu dnia uniwersalnego, czyli podwójnym obiadem zaznaczylibyśmy sobie w pamięci przekroczenie 180° stopnia długości. Inaczej mówiąc, musiałyby jeżeli nie codzień, to przynajmniej co parę dni być ogłaszane nowe rozporządzenia okrętowe, któreby gości i załogę zawiadamiały, o której godzinie śniadanie, a o której obiad, o której godzinie warty mają być zaciągane i t. p., czyli byłoby to codzienne z konieczności nawracanie do czasu lokalnego, połączone z bezcelowemi i uciążliwemi niewygodami pod firmą czasu uniwersalnego.

Na tem kończąc rzecz naszą, w której prawdopodobnie należyty i nieuprzedzony sąd sobie wyrobiliśmy, bośmy objektywnie ją traktując, nie zataili ani zamaskowali żadnych zarzutów, które starym zwyczajom lub projektowanym zmianom uczynić można, pozostaje nam jeszcze postawić sobie pytanie, czy jest nadzieja, że

uchwały waszyngtońskiego kongresu wejdą w życie i w jakich rozmiarach.

Przedewszystkiem przypomnieć sobie tu musimy, że rządy na tym kongresie reprezentowane wcale nie zobowiązały się przyjąć tych uchwał bezwarunkowo, i w prawo obowiązujące je zamienić. Można się atoli spodziewać, że potęga faktów i potrzeb przynajmniej niektóre z nich zrealizuje. Tak, ogólne wprowadzenie południka grynickiego, jako pierwszego, do kartografii i rachunku długości geogr. wkrótce i bez znacznych trudności we wszystkich krajach prawdopodobnie przyjdzie do skutku. Największe obszary ziemi i rządy ich, jak Rosya, Anglia i Stany Zjednoczone Ameryki północnej godzą się nań w zupełności, w niektórych zaś państwach jak w Niemczech lub Włoszech jest on tam nawet już wprowadzony. Jedna Francya z dumy narodowej najdłużej się temu opierać będzie, ale z czasem wzgląd na powszechne dobro i własne interesa morskie i ją ostatecznie do tego nakłoni.

Co do zarzucenia zwyczaju dzielenia doby na 2 połowy, a przyjęcia miast niego sposobu liczenia godzin od 0 do 24, to zmiana ta, o ile będzie samoistną i niezależną od wprowadzenia czasu uniwersalnego, nie dotykając społeczeństwa w najżywotniejszych jego kwestyach, i małej stosunkowo odeń żądając ofiary z jego dotychczasowych zwyczajów, wobec niektórych acz drobnych tylko korzyści dla dzisiejszych środków komunikacyjnych, może liczyć na częściowe a z czasem i na ogólne przyjęcie. Najtrudniejsza sprawa będzie podobno z wprowadzeniem czasu uniwersalnego, czyli on to ma być grynickim, czyli też jakimbądź innym, bo godzi ono na odwieczne zwyczaje, w odwiecznych a niezmiennych prawach natury uzasadnienie mające. Da się wytłumaczyć i wyrozumieć zwyczaj zaczynania i liczenia doby bądź od wschodu słońca, jak u starożytnych Babilończyków, Persów i t. p., a nawet nowożytnych Greków, bądź też od zachodu, jak u Chińczyków, Włochów, a do dziś jeszcze u Żydów i Mahometan, bądź wreszcie od północy lub południa, — ale niezbędnie z czasem uniwersalnym połączona zmiana początku doby i daty i nawiązanie ich do najrozmaitszych pór dnia i nocy, chwili mającej tak wydatne znaczenie i stanowisko w rozlicznych stosunkach społecznych, nie da się usprawiedliwić, i żadnemi pozornemi korzyściami osłonić. Pominąwszy już, że potrzebaby bar-

dzo wielkiego daru wymowy i wielkiego talentu w nauczaniu, iżby naszym bliźnim gdzieś na Kamczatce lub w głębokiej Afryce zamieszkałym, wpoić zasady i wyjaśnić fundamentalne korzyści z czasu uniwersalnego i zmiany dotychczasowego początku doby płynące, żeby ich namówić do tego, aby nadal doby liczyli od dzisiejszej 9, 11 godz. rano, lub od 4, $5^1/_2$ godz. po południu i t. p. — to przecież i u cywilizowanych ludów tej ziemi nie tak łatwo byłoby wyrobić przekonanie o praktyczności takiej rachuby czasu, znoszącej jedne, a wnoszącej inne niekorzyści i wątpliwości. Najlepszym tego dowodem, że już różne korporacye przemysłowe, jak np. izba handlowa frankfurcka, poparta przez wszystkie koła fabrykantów, budowniczych, rzemieślników i t. p. w obawie zamącenia dotychczasowych stosunków przez wprowadzenie czasu uniwersalnego, wniosła petycyę za zatrzymaniem czasów lokalnych, wykazując niekorzyści i niedogodności, jakieby za zmianą w tym kierunku iść musiały, — oświadczyli się nawet przeciw wprowadzeniu czasu normalnego czyli narodowego do zarządów kolejowych, chociaż przecie byłby to prawdopodobnie czas berliński, a nie grynicki!

Suum cuique! Co stale i z natury rzeczy do tej lub owej pory dnia jest przywiązane, niech trzyma się czasu lokalnego; co zaś od pory dnia niezależne, jak służba kolejowa lub telegraficzna, może sobie robić próby z czasem uniwersalnym lub takowego używać, nie zmuszając jednak do tego całej ludzkości. Jak długo ziemia kulą pozostanie, i jak długo tak regularnie jak dotąd około swej osi wirować będzie, nie da się czas lokalny z użycia wyrugować; o przyszłości więc jego wątpić nie potrzebujemy, bo kształtu ziemi nie zmienimy, tu przynajmniej *Kraft vor Recht*, przed prawem, ręką Boga zakodyfikowanem, w nicość upada! Jakie zaś będą dalsze losy tego niedonoszonego projektu, który sztucznie odżywiany długo zapewne jeszcze choć śpiący będzie chodził po świecie, przesądzać nie możemy, lecz miejmy pewną nadzieję, że znużony zaśnie gdzieś wreszcie na wieki!

Dr. Wierzbicki.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY.

Czem jest wiara dla człowieka? Zgodność jej z rozumem i konieczność. — Wiara w objawienie Boże nie sprzeciwia się rozumowi, ale jest potrzebą zasadniczą wszystkich ludów, skarbem najwznioślejszych pojęć. — Jak religia tak i wiara religijna jest naszym obowiązkiem. — Niemożebność religii naturalnej z dziejów i filozofii widoczna.

Poprzednie uzasadnienie wiary otwarło nam drogę do rozstrzygnięcia drugiej kwestyi żywotnej, na początku przez nas postawionej: czem jest wiara dla człowieka?

Pobudką skłaniającą nas do bliższego roztrząśnięcia tej kwestyi są obecne nasze stosunki religijno-społeczne. Tysiące ludzi nie znają wpływu wiary, bo w duszy ich zgasło jej światło, starł się może ostatni jej ślad. Żaden system naukowy, żadna hipoteza nie liczy tyle wrogów — jak wiara. W naszym wieku, w każdej niemal warstwie społeczeństwa, można się spotkać z jej przeciwnikami, co w imię rozumu lub też dobra ludzkości przeciw niej występują. Do tych wszystkich zawołaćby należało: „wierzcie i w życiu podług wiary postępujcie, a wtedy poznacie, czem wiara jest dla człowieka!“

Wiara religijna jestto u z n a w a n i e z a p r a w d ę wszystkiego, co nam Bóg objawił o Sobie samym, i o naszym do Niego stosunku, czyli innemi słowy, wiara religijna, jestto przyjęcie religii objawionej z przekonaniem o jej prawdziwości. Ale czyliż istnieje religia objawiona? Czyż mówiąc w ogóle, jest ona możebną? Na to później damy odpowiedź. Obecnie przypuszczając ją na chwilę bez dowodu — przypatrzmy się samej istocie wiary.

Gdyby wiara w objawienie zawierała w sobie coś przeciwnego godności człowieka, Bóg nie dałby mu objawienia i nie żądałby wiary: bo Bóg nie może na stworzoną przez siebie naturę wkładać obowiązków sprzeciwiających się jej istocie.

Czy więc wiara zgodną jest z rozumem człowieka? Oto pierwsze pytanie, na które jasną a niezawodną znajdziemy odpowiedź w sobie samych. Rozum nasz w całym zakresie swego poznawania na wierze opierać się musi. Nawet w naturalnem poznawaniu, wiara niepoślednią odgrywa rolę. Poznawanie bezpośrednie ograniczone jest bardzo ciasnem kołem zmysłowych spostrzeżeń. A chociaż duchowy wzrok rozumu potężnie rozszerza ten widnokrąg siłą wnioskowania, jednak podstawa jego tkwi zawsze w doświadczalnem spostrzeganiu zmysłów. Ileż prawd, ile wiadomości byłoby zakrytych przed nami, gdyby wiara nie odsłaniała nam nowego widnokręgu! Czegośmy sami nie doświadczyli, czego nie zdobyliśmy własną pracą, własnem uciążliwem badaniem, tego dowiadujemy się od innych, korzystając z ich doświadczenia, z ich osobistej wiedzy. To cudze doświadczenie, tę nie naszą wiedzę przez drugich nam objawioną, przyjmujemy za prawdę, bo przekonani jesteśmy, że ani oni w swej wiedzy nie pobłądzili, ani nas też w błąd wprowadzić nie chcieli. Bóg tak ukształcił naszą naturę, że ciasne granice własnych spostrzeżeń i socyalny charakter naszej natury dopełniają się nawzajem. Drogą zaś wzajemnego uzupełniania się jest — nauka i wiara. Wiara ta jest nadto konieczną potrzebą, wymaganiem naszej natury. Wszelkie wychowanie opiera się na wierze, wszelka nauka, wszelkie kształcenie posługuje się wiarą jako pierwszorzędnym środkiem, jako niezbędnem narzędziem. Wprzód nim dziecko pojmować i rozumieć zacznie — wierzyć musi: wiara jest dlań podstawą prawdziwej umiejętności. Gdyby wiara nie istniała, to jakżeż mogłoby dziecię tego mężczyznę uznać ojcem, tę niewiastę nazwać matki imieniem, ten majątek mienić swoją ojcowizną, to nazwisko z prawa przypadającem mu dziedzictwem?!

W życiu ludzkiem nie masz żywotniejszego pierwiastka nad wiarę. Ona to stanowi dźwignię całego społecznego życia od najniższych jego pojawów, aż do najwznioślejszych czynów — zawsze i wszędzie, we wszystkich stosunkach socyalnych, koniecznym, niezbytym warunkiem — jest wiara. W sklepie wierzymy w pocho-

dzenie, dobroć i wartość towarów. W trybunale sprawiedliwości sędzia wierzy świadkom i na ich zeznaniach opierając swój wyrok rozstrzyga o życiu lub śmierci. Panujący oznajmia narodowi, że kraj jest zagrożony niebezpieczeństwem lub jego prawa zgwałcone przez nieprzyjaciela, i wzywa poddanych do broni — a naród wierzy i w duchu tej wiary niesie w ofierze majątek i krew własną w obronie praw i bezpieczeństwa ojczyzny.

Wiara więc nie sprzeciwia się rozumowi, lecz owszem jest właściwym, naturalnym jego żywiołem. Czemużby zatem temu samemu rozumowi nieodpowiedniem być miało, skoro Bóg swą mądrość lub wolę nam objawia? Gdzież różnica między jedną a drugą wiarą? Chyba to tylko, że nie kto inny, ale właśnie Bóg objawia nam swą wiedzę. Każdy nauczyciel od uczniów swoich wiary się domaga — a Bóg z nieskończoną mądrością swoją miałżeby nie zasługiwać na wiarę? Kiedy podróżnik z dalekich wracający krain, opisuje nam ziemie, które zwiedził, jakże chętnie wierzymy jego słowom; czemuż więc ma być przeciwne rozumowi naszemu, wierzyć Bogu opowiadającemu o wielkości i majestacie swego królestwa? Wszak mądrość i wiarogodność Boga daleko skuteczniej skłaniać powinna nasz rozum do uwierzenia Jego słowom. A ów utarty aforyzm: „nie wierzę w to, czego nie widzę“, może-li mieć jakiekolwiek zastosowanie? My wszyscy przecież wierzymy niezachwianie w tyle najrozmaitszych faktów i wydarzeń, których nigdy nie widzieliśmy, i nigdy widzieć nie będziemy! Mówią też: „nie wierzę, bo nie rozumiem“. A jednak w ileż to rzeczy człowiek wierzy, ile rzeczy wie nawet, których nie rozumie. Wielu wierzy a nawet z zasad naukowych wyprowadza ten pewnik, że planety niewidzialną siłą związane są ze słońcem. Lecz czyż kiedykolwiek zrozumiał kto ten węzeł tajemniczy? czy przeniknął jego naturę? Nie masz więc żadnej racyi, żadnej przyczyny usprawiedliwiającej zarzut sprzeczności między rozumem i wiarą. Poparcie i uzasadnienie tej prawdy znajdujemy w dziejach narodów. One jasno dowodzą, że wiara religijna była zawsze niezbędną potrzebą każdego społeczeństwa.

U wszystkich narodów, we wszystkich czasach — jak to już Plutarch przeciw Kolotesowi dowodził [1], — znajdujemy ołtarze, świą-

[1] Plut. XLIX.

tynie, religijne obrządki. Wszystkie idee łączące z sobą ludzi wszelkiego stanu, wszelkiej płci i wieku, wypływają po największej części z wiary; wiara to określa bliżej, szczegółowiej owe nieliczne i tylko ogólnikowe pojęcia o Bogu, które sam rozum podaje. Żaden jeszcze naród nie odrzucił tej wiary, jakkolwiek nieraz potworne fałsze były jej przedmiotem. Skądże ta dziwna łatwość w wierzeniu obok powszechności wiary? Gdyby wiara nie zapełniała próżni dotkliwie czuć się dającej w życiu doczesnem, to z pewnością jej władza nie rozciągałaby się tak szeroko i potężnie. Podobnie jak cała ludzkość wszystkich wieków ras i stanów je i pije pod naciskiem istotnej, niepokonalnej potrzeby, tak też i wierzy z tychże samych powodów. A jeśli prawdy nie znajdzie, to wymyśla bajki, byle tylko mieć jakiś przedmiot wiary [1]. Czemu zabobonność panuje w tak olbrzymich rozmiarach właśnie tam, gdzie błędna oświata stłumiła wszelką pozytywną wiarę? Gdy filozofia niewiary w końcu ubiegłego stulecia święciła swój tryumf we Francyi, wówczas wprawdzie zagasła wiara w jednego Boga, lecz za to rozpanoszyła się wiara w szatana. Tak świadczy Portalis [2], powołując się na słowa jednego z kustoszów biblioteki narodowej; że za jego czasów żądano po największej części tylko kabalistycznych i o czarach traktujących książek. A dzisiejszy Berlin, ileżto liczy wróżbiarek, które nie wahają się kunszt swój zalecać, i to w pismach pierwszorzędnych, i nie mało mają klientów i klientek z najlepszego towarzystwa. A nowoczesny spirytyzm czyżby doszedł do takiego rozkwitu, gdyby serce ludzkie nie czuło głodu i pragnienia wiary?

Ale nie dość na tem. Wiara dostarcza rozumowi nieprzebranych skarbów prawd najwznioślejszych. Człowiek żyje wprawdzie na ziemi, w czasie, ale ani ziemia, ani czas nie wystarcza jego duchowi. Duch ten rwie się gwałtem po za granice ziemi, poza obręb czasu, w tajemnicze krainy wieczności i nadzmysłowego świata. Jakieś przeczucie zrosłe z sercem człowieka, jakiś głos brzmiący w głębi jego duszy, woła nań ustawicznie, że przecież musi być coś poza tym światem materyi, poza tym pajęczym wątkiem krótkiej doczesności. Każdy człowiek myślący, który siłą złej woli głosu prawdy w sobie nie

[1] Nicolas, l'Art de croire l. I. ch. 1.

[2] De l'usage et de l'abus de l'esprit philosophique l. 2. 171.

przytłumia, koniecznie w końcu zapytać się musi: co się ze mną stanie, gdy bramy śmierci staną mi otworem? Jestto zagadka, której rozwiązanie, ważne a przerażające, obojętnem być mu nie może. Czyż w takiej chwili nie chwyta człowiek za ową dłoń, która go obiecuje wyprowadzić z tego labiryntu niepewności? Czyż wówczas nie dzieje się z nim tak samo, jak z owym rzezańcem królowej Kandaki, który z radością przyjął Filipa za towarzysza podróży, skoro ten podjął się rozwiązać wyczytane przezeń trudności [1].

Jeśli tylko człowiek rozumem się powoduje, wtedy dojdzie niezawodnie do poznania Boga, wtedy uzna obowiązek czci religijnej i powinność pełnienia woli Bożej. Ale jakżeż niewiele wyczytać on może w księdze przyrody! Jego pragnienie dokładniejszego poznania swego Stwórcy i Dobroczyńcy tem się nie zaspokoi. On żąda wiedzieć więcej — w jaki sposób czcią ma otaczać swego Boga, jaki hołd poddaństwa Jemu oddawać powinien, przez co ma w szczególności wypełniać świętą Jego wolę. O tem wszystkiem poucza go rozum niewyraźnie, ogólnikowo, pozostawiając w duszy tysiące nierozwiązanych wątpliwości. Jak mało jest ludzi, co z labiryntu tych trudności drogę wyjścia znaleść potrafią! Jednym, brak światła w pojęciach stoi na przeszkodzie. Inni znów nie mają dość czasu, by się zabawiać rozwiązywaniem tak poważnych kwestyj, bo ich pochłania troska o chleb powszedni. A jednak wszystkich bez wyjątku świętym jest obowiązkiem Boga czcić i Jemu służyć. Widoczna więc i nieodzowna okazuje się potrzeba jakiegoś mistrza, nauczyciela, któryby wszystkie usunął wątpliwości i tak nieumiejętnym jak i zatrudnionym niósł światło prawdziwej wiedzy. Z potrzeby zaś nauczyciela wypływa potrzeba wiary [2].

Objawy zwyczajne w przebiegu życia ludzkiego potwierdzają prawdę tego cośmy powiedzieli [3]. Dopóki krew młodzieńcza żywiej krąży w żyłach, dopóki wiek męski jeszcze nie przeszedł, inne dążności i pragnienia stają na pierwszym planie: zmysłowość, żądza bogactw i sławy, w obec których potrzeby ducha idą w zapomnienie. Lecz gdy nadejdzie starość, gdy jak to najczęściej się zdarza,

---

[1] Dzieje Ap. VIII. 27. sq.
[2] Ś. Tom.
[3] Nicolas, L'Art de croire l. I. ch. 13.

zmysłowe żądze przepalą się już i zastygną, gdy z utratą męskiej energii umilknie ambicya i chciwość, wówczas nowe budzą się pragnienia i potrzeby, a raczej dawne, dotychczas namiętnością zagłuszone, odzywają się teraz z tem większą mocą, kładąc na pierwszem miejscu najpotężniejszą ze wszystkich — potrzebę wiary. Czemuż to np. starość i bliska śmierć tylu niedowiarków wprowadza do świątyni wiary, lub przynajmniej aż do jej progu? A czyż taki powrót do wiary po wielu latach niedowiarstwa, tak jest rzadkim, żeby go uważać można za jakiś chwilowy obłęd umysłu? Nie, — wszak Plato mówi o tym zwrocie ducha ludzkiego, jako o ogólnem, doświadczalnie uzasadnionem prawie [1]. Ale to wszystko jeszcze nie wystarcza, aby całą wartość religijnej wiary należycie ocenić. Wiara ta jest dalej najświętszym obowiązkiem człowieka.

Już w drugim dziale poprzedzającej rozprawy staraliśmy się wykazać, że religia stanowi pierwszy i najważniejszy obowiązek człowieka. Ale czyż człowiek siłą własnego tylko rozumu zdolen jest obowiązek ten wypełnić tak, jak tego własna godność jego i wola Boża wymaga? Dzieje ludzkości całej odpowiadają na to pytanie stanowczem: nie! Filozofia, która wszystko bada aż do głębi, orzekła nie mniej stanowczo, że lubo rozum ludzki ma w sobie dostateczną siłę, aby Boga poznać i należytą cześć Mu oddawać, jednak siła ta rozwija swą czynność w takiem otoczeniu, które ją przygniata i tysiącem przeszkód utrudnia drogę do prawdziwego poznania. Siłą rozumu zbudować prawdziwą religię, nie jest to wprawdzie fizyczne, bezwarunkowe, ale zawsze moralne niepodobieństwo, wypływające z warunków, jakim rozum ludzki w obecnym stanie jest podległy. Jeśli więc sam Bóg pospiesza z pomocą, aby mu umożebnić spełnienie tego obowiązku, jeśli krótką i łatwą drogą Objawienia uczy człowieka o swej Istocie, swoich przymiotach, swych opatrznościowych zamiarach w stworzeniu i ekonomii świata, jeśli mu wskazuje sposób czci i służby, jakiej od niego wymaga, jeśli z miłością dobrotliwego ojca poucza ludzi o najgłówniejszych obowiązkach, które oni spełnić powinni, a jednak sami przez się spełnić nie mogą, to czyż nie ma być świętą powinnością człowieka, wdzięcznem sercem skorzystać z tej

[1] Plato, De Republ. l. I.

pomocy, i z żywą wiarą w słowo Boże przyjąć taką religię i zastosować ją w życiu?

Bóg, absolutny władca człowieka, któremu przysługuje nieograniczone prawo do każdej jego myśli, do każdego aktu woli, do każdego uczucia, miałżeby nie mieć prawa podania człowiekowi obowiązującej nauki, bez której on swych powinności spełnić nie jest w stanie? Religia obejmuje całe zadanie, cały cel człowieka w czasie i wieczności. A nie masz dlań wyższego obowiązku, jak odpowiedzieć zadaniu swemu na ziemi, aby osiągnąć cel swój w wieczności. Sam Bóg tylko objawia nam to wszystko z niewątpliwą prawdą, z nieomylną pewnością, a tak przystępnie i jasno, że nawet najmniej rozwinięte umysły objawienie to pojąć i bez trudności przyswoić sobie mogą. A więc istotnie najświętszym jest obowiązkiem naszym przyjąć tę objawioną religię z radością i dziękczynieniem.

Że rozum ludzki w tej mierze nie wystarcza, dowodem tego dzieje ludzkości. Przebiegnijmy myślą całe rasy i szczepy narodów ziemi. Gdziekolwiek zagasło światło pierwotnego objawienia, jakimże to bogom cześć najwyższą składano? Postacie te, podówczas wielbione na ołtarzach i w świątyniach, dziś — ledwo w domu karnym godne znalazłyby miejsce. Bo jak słusznie powiedział Ksenofanes [1]: najgorsze występki, jak kradzież, cudzołostwo, oszustwo lub wiarołomstwo, słowem, co tylko u ludzi hańbą i bezecnością się zowie, przypisywano — bogom. A jakiż kult im oddawano? Rozpusta i mężobójstwo — oto ofiary bóstwom owym najprzyjemniejsze. Czy zaś obrzędy takie były może zwyczajem ciemnych tylko zdziczałych barbarzyńców? O! bynajmniej! Wprawdzie Tertulian [2] i Pliniusz [3] wychwalają Rzymian za zniesienie krwawych ofiar ludzkich, mimo to jednak okrucieństwa takie praktykowały się u nich i to właśnie w czasach najwyższego rozwoju oświaty. Ileż to ludzi, ile dziewic wymordował Julian Odstępca na ofiarę swemu *Deo Luno* — jakkolwiek krew ich lała się w skrytości. A jakież życie prowadzili

[1] Xenoph. Diog. l. XI. 1.

[2] Tertull. Apolog. c. 9.

[3] Historia Nat. l. XXX. 12. Cf. Plutarch. De Superstit. c. 13. Döllinger, Heidenthum und Judenthum p. 351, 389, *et passim*. De Maistre, Erläuterungen über die Opfer.

takich bogów czciciele? Życie, które sam przyrodzony rozum hańbą napiętnowaćby musiał[1]. Fakty tak są głośne, że wystarczy nam tylko ogólnie powołać się na nie. Taką była religia, którą rozum stworzył, lub przynajmniej przyjął ochoczo. Wprawdzie niekiedy błyskała jakaś iskra prawdy wśród cieniów bezustannej nocy, ale skąpe jej światełko powszechnej ciemności nigdy rozproszyć nie zdołało. Ukazywały się czasem złote ziarnka prawdy, ale zagrzebane w stosie kłamstw.

I któż mógł wówczas pouczyć narody? Kto byłby w stanie znieść ohydę religijnego kultu, sprostować pogańską moralność? Czy filozofowie? Choć między nimi znalazło się kilku, którym mozolną pracą słaby promyczek prawdy odkryć się udało, ale i ci mistrzami narodu stać się nie umieli. Naród patrzył na nich z niewzruszoną obojętnością, nie widząc żadnego powodu do poświęcenia swych tylowiekowych praktyk i tradycyj, na rozkaz tych dziwacznych ekscentryków, których powagi nie szanował, których uczoności nie znał, których mądrością pogardzał. Tacy też filozofowie nie zwracali się nawet ze swą nauką do narodu, ale tylko do nielicznej, uprzywilejowanej kasty wybranych, do szlachty całego świata[2], tak dalece, że Chrystus, nauczanie ubogich, mógł podać jako szczególne znamię swego dzieła: *pauperes evangelizantur*. Tego żaden jeszcze nie dokazał filozof. A chociażby nawet zwrócili się do ludu, to i cóż mogliby sprawić? Co dziś jeden filozof zbudował, to drugi zniszczył nazajutrz, ustępując miejsca trzeciemu. Bezustanne budowanie dla następnej ruiny — czyż nie takie są dzieje filozofii? Sam Hegel przecież nie inaczej charakteryzuje jej żywot: „Do każdego świeżo powstającego systemu filozofii zastosować można owe słowa, które Piotr wyrzekł do Safiry: Nogi tych, którzy cię pogrzebać mają, stoją już pod drzwiami[3]“.

Zresztą i wiedza owych mędrców pogańskich niezdolną była do nawrócenia narodów. Nauka, mająca zawojować świat, musi uderzyć z siłą niepowstrzymaną, jak potok, którego prądowi nic oprzeć się nie zdoła. A jakąż była wiedza filozofów? Wiedzieli oni

---

[1] S. August. De Civ. Dei l. II. c. 6.
[2] Plato, De republ. VI. 292.
[3] Hegel, Geschichte der Philos. Einleitung.

zbyt wiele, aby w starożytnym panteonie z wiarą ugiąć kolano, ale zbyt mało, aby narodom głosić prawdziwego Boga. Ich wiedza, ich nauka, nieraz tak piękna, tak wzniosła, jest raczej przeczuciem prawdy, tęsknem jej pragnieniem, ale nigdy jasną, pewną, niewzruszoną wiedzą. Ileż to zwątpienia, ile ciemnej mgły niepewności przygniata ich wiedzę! Wszak sami przecież skarżą się z goryczą i żalem na tę niemoc duchową. „Nikt jeszcze prawdy nie zbadał i nikt jej nie zbada, ani odnośnie do bogów, ani do wszechświata, a choćby mu się nawet udało zupełną prawdę wypowiedzieć, sam by o tem nie wiedział, bo na wszystkiem ciąży piętno chwiejnej tylko opinii [1]". Stąd też nawet najdzielniejsi myśliciele na oścież otwierali drogę do sceptycyzmu. Cycero temi słowy kończy swą rozprawę o naturze bogów: „Oto, co powiedzieć chciałem o istocie bogów, nie dla tego, abym zaprzeczać chciał ich istnienia, lecz abyście poznali, ile ciemnych i niezbadanych trudności omawianie tej kwestyi podaje".

Jak chwiejne być musiały te ich filozoficzne mniemania, tego dowodzi fakt, że one nawet na życie swych twórców nie potrafiły wywrzeć moralnego wpływu. Ci sami, którzy wielobóstwo i kult bałwochwalczy odrzucali w teoryi, hołdowali mu w praktyce, stawiając nawet prawodawczą zasadę, aby „cześć oddawać bogom ojczystym a żadnych zmian nie wprowadzać w obrządkach przez kapłanów i wróżbiarzy ustanowionych" [2]. Nawet Plato w ustawodawstwie idealnego państwa zatrzymuje starodawne formy czci bałwochwalczej [3]. Ksenofont wysila się na zestawienie jak największej liczby faktów, aby udowodnić, że Sokrates nigdy nie wzgardził wiarą narodu, czci starych bogów nie odstąpił, na nich zawsze przysięgał, im składał ofiary, a innym nigdy nie kłaniał się bogom [4]. Dalej, lubo ci filozofowie stawiali często zasady prawdziwie wzniosłej moralności, życie ich jednak i obyczaje zasadom tym wprost były przeciwne, owszem nieraz tak lekkie, tak występne, jakby

[1] Xenoph. ap. Sext. Empiric. VIII. 326.
[2] Cicero, De Legib. II. 10. 12.
[3] Plato, De republ. IV. p. 427; VII. p. 560.
[4] Xenoph. Apolog. 24.

przyrodzonego światła rozumu byli pozbawieni [1]. *Aliter vivis, aliter loqueris* [2], tak mawiał lud drwiąc ze swoich mędrców. Jakżeż w takich warunkach mógł być możliwym dobroczynny wpływ filozofii na całe społeczeństwo?

Czy nowsza filozofia szczęśliwszą w tym kierunku nazwać się może? Wszakże i ona nie rozwiązuje najważniejszych zagadnień życia. Wszakże i ona nie usuwa wątpliwości, które nieraz aż do głębi toczą serce. Posłuchajmy co o tem mówi Rousseau: „Wezwałem do rady filozofów, czytałem ich dzieła, badałem ich rozmaite mniemania, i znalazłem w nich wszystkich zarozumiałość, pewność siebie, dogmatyzm, nawet w rzekomym ich sceptycyzmie — poznałem, że wszystko oni wiedzą, lecz nie dowodzą niczego, tylko drwią z siebie nawzajem — i oto na tym jednym punkcie zdało mi się, że żaden z nich się nie myli. Tryumfują, występując w szranki z bronią zaczepną, lecz są bezwładni, gdy im bronić się przychodzi. Jeśli zważymy ich racye, nic w nich nie znajdziem oprócz destrukcyjnych pierwiastków, jeśli porachujemy głosy, każdy ma tylko swój własny za sobą — słowem wszyscy zgadzają się w jednym tylko fakcie — wrogiej przeciw sobie polemiki. Słuchać ich głosu, to nie był środek do wyjścia z niepewności. Zrozumiałem to jedno, że nieudolność ludzkiego umysłu, jest pierwszą przyczyną tej zdumiewającej różności poglądów“ [3]. I cóż postawiła ta nowa filozofia w miejsce nienawistnego chrystyanizmu? Większy jeszcze chaos umysłowego obłędu, straszniejsze zwątpienie o wszelkiej prawdzie i cnocie, głębszą przepaść duchowego zaślepienia. Ale o tem — potem. Teraz przejdźmy do dowodów, jakie nam na poparcie postawionego twierdzenia podaje nadto zdrowa filozofia.

Ś. Tomasz następującym dowodem rozpoczyna swą Sumę teologiczną: „Nawet i do tego co o Bogu rozum ludzki zbadać może, konieczną była człowiekowi nauka objawienia Bożego; albowiem prawda o Bogu rozumem badana, po dłuższym dopiero czasie, z przymieszką wielu błędów, i małej tylko cząstki ludzi byłaby udziałem: a jednak od poznania tej prawdy zawisło całe zbawienie człowieka, które w Bogu

---

[1] Cicero, Tuscul. II. 4.
[2] Seneca, De vita beata c. 17.
[3] Emile tom. III.

jest. Aby więc ludzie i odpowiedniej i pewniej mogli osiągnąć zbawienie, koniecznie było potrzeba, aby o rzeczach boskich Boskiem objawieniem byli pouczeni. A zatem, oprócz filozoficznej wiedzy rozumem nabytej, koniecznem było poznać świętą naukę z pomocą Objawienia“ [1].

Idźmy nieco dalej za wskazówką tych myśli. Prawdy religijne — choćby tylko najistotniejsze, choćby w głównych tylko rzucone zarysach — mogłyby być poznane przez bardzo tylko małą garstkę myślicieli, gdyby każdemu z osobna zdobywać je przyszło. Ileż to mozołu, ile wytężenia sił umysłowych, ile pracy podjąćbyśmy musieli, aby te prawdy wynaleźć. Rozum pewną kierowany ręką poznaje je bez trudności; ale dojść samemu do poznania prawdziwej natury Boga, zbadać stosunek nasz do Niego, zadanie przezeń nam wytknięte, życie które za grobem nas czeka i drogę doń wiodącą — to trud olbrzymi, to praca tytanów.

Prawdy te nie są wprawdzie ponadrozumowe *(supra rationem)*, rozum ma w sobie siły wystarczające do ich poznania — ale odkryć je, wynaleźć, niezawodnie mało komu się uda. Suarez doskonałym przykładem wyświeca tę niemożebność moralną. W ręku człowieka jest zdolność do wykreślenia koła ściśle okrągłego — jednak, czyż mu się powiedzie kiedykolwiek wykreślić takie koło bez pomocy cyrkla?

Zresztą ileż to czasu szukanie prawdy pochłonąćby musiało, a czas ten jakże często poświęcać przychodzi mozolnej pracy o kawałek chleba. Owszem, czyliż nie największa część ludzi skazaną jest na tę pracę pochłaniającą wszystkie godziny dnia, wszystkie dni roku, wszystkie lata życia? Najczęściej więc tysiące i miliony ziemskich pielgrzymów, nawet na schyłku swej doczesnej wędrówki stałyby przed milczącym sfinksem, na pierwszym szczeblu niezbada-

[1] „Ad ea etiam, quae de Deo ratione humana investigari possunt, necessarium fuit hominem instrui revelatione divina; quia veritas de Deo per rationem investigata, a paucis hominibus et per longum tempus et cum admixtione multorum errorum proveniret: a cujus tamen veritatis cognitione dependet tota hominis salus, quae in Deo est. Ut ergo salus hominibus et convenientius et certius proveniat, necessarium fuit, quod de divinis per divinam revelationem instruerentur. Necessarium igitur fuit praeter philosophicas disciplinas, quae per rationem investigantur, sacram doctrinam per revelationem haberi“. S. Th. I. q. 1. a. 1.

nej prawdy. Samo nawet sporadyczne poznawanie prawdy, byłożby zupełną, pewną, niezmąconą jej znajomością, bez przymieszki błędu? Któżby nam zaręczył za jej czystość nieposzlakowaną, za jej niewątpliwą pewność? A jednak religia — to obowiązek, który wszyscy ludzie bez różnicy wypełnić powinni, i to nie tylko na schyłku żywota, ale od pierwszej chwili, w której światło rozumu wschodzi w duszy człowieka. Religia winna być oddaniem się Bogu i Jego woli, zupełnem, bez chwiania się, bez wątpliwości: boć od spełnienia tego obowiązku zależy wiekuiste szczęście człowieka. A Bóg przeznaczył wieczność nietylko dla uprzywilejowanej garstki geniuszów, nietylko dla nielicznej klasy tych, którzy bez pracy swobodnie żyją w dostatkach; nie - Bóg chce aby wszyscy byli zbawieni, a zbawieni przez znajomość Boga, której dopełnieniem i koroną stać się ma kiedyś wiekuiste Jego posiadanie.

Nadto zważyć potrzeba i to, jak szczupły jest widnokrąg prawd religijnych, który rozum objąć potrafi. Pochodzimy od Boga — to rozum poznaje i niewątpliwie nam powiada — lecz jaką jest natura tego Boga, któż nas o tem pouczy? Rozum wysila się wprawdzie, aby przeniknąć tę ciemną dlań zasłonę, — ale to jedno tylko określić on zdoła, czem Bóg nie jest. Nie jest On stworzeniem, lecz niestworzonym mistrzem, stojącym po za obrębem stworzeń. Ile tylko doskonałości, piękna, dobroci znajduje się w dziele stworzenia, to wszystko i Stwórca posiadać musi, i to bez ograniczeń, niedostatków, niezawiśle, nieodmiennie, nieprzemijająco, lecz w nieskończonej zupełności, niezmienności, niezależności. Czem jednak są te przymioty, tego on nietylko poznać, ale i przeczuć nawet nie zdoła. — Jakie jest przeznaczenie nasze?... Rozum w dobrej wyćwiczony szkole, może nam i na to pytanie odpowiedzieć: „Aby Boga czcić, Jemu służyć i za to wieczność osiągnąć". Lecz jakiej czci Bóg od nas wymaga, na czem zasadzać się ma cześć Boga najgodniejsza i Jemu najprzyjemniejsza — to już niezbadana dlań tajemnica. Może oprócz prawa, które On wyrył w mem sercu, inny jeszcze zakon istnieje? Jaką będzie ta wieczność, którą Bóg mi zgotował? Jaka nagroda, jaka kara mię w niej oczekuje? Jeślim się sprzeniewierzył woli Bożej i zgwałcił Jego prawa, jeślim na gniew Jego zasłużył, to jakimże sposobem gniew ten ułagodzę, jakim sposobem zmażę moją winę i uniknę kary?

Wszystkie te pytania — to zagadki, na które rozum nie da i dać nie może zadawalniającej odpowiedzi. Odpowiedź w otchłaniach wiedzy i woli Bożej ukryta. Ten więc tylko dać nam ją potrafi, kto te otchłanie przeniknął i zgłębił [1]. Konieczną więc jest rzeczą, aby, jak już powiedział Platon: λόγος τις θεῖος, jakieś słowo Boże zstąpiło ku nam i zwiastowało te prawdy zakryte ... A stąd konieczny dla nas wypływa wniosek, abyśmy naukę tego zwiastuna z niezachwianą przyjęli wiarą. Jeśli niemasz wiary — to najpiękniejszym i najprawdziwszym nagrobkiem, który nad trumną naszą wyryćby potrzeba, byłyby słowa Persyusza:

Indulge genio, carpamus dulcia; nostrum est
Quod vivis; cinis et manes et fabula fies.

O! nędzna to pociecha!

Lecz posłuchajmy głosu wiary, a odsłoni się przed nami majestat nieskończonej wieczności, która kiedyś stać się ma naszą ojczyzną... W blasku tego majestatu gasną błędne ogniki ziemskich rozkoszy, a w obec ogromu owej chwały nikną trudy i cierpienia doczesnej pielgrzymki. Z tego stanowiska porównując świat nasz z wiecznością, można zawołać słowami Dante'go:

Col viso ritornai per tutte quante
Le sette spere: e vidi questo globo
Tal, ch'io sorrisi del suo vil sembiante.
E quel consiglio per migliore approbo,
Che l'ha per meno; e chi ad altro pensa,
Chiamar si puote veramente probo [2]. (C. d. n.)

[1] S. Th. I. q. 1, a. 1.
[2] Paradiso c. 22. v. 133 sq.

X. Antoni Langer.

PRAWO PRYWATNE
W ŚWIECIE STAROŻYTNYM I NOWOŻYTNYM,
I POTRZEBA DALSZEGO ROZWOJU TEGO PRAWA.

Chrystyanizm ogłaszając równość ludzi w obec Boga, wprowadził w świat, a mianowicie w pojęcia prawne, nowy czynnik, wartość indywidualną człowieka, niezawisłą od jakichbądź stosunków zewnętrznych. Pojęcie wszechczłowieczeństwa zmieniło stan świata, gdyż w przebiegu czasów rozwinąć się musiał z tego pojęcia istoty ludzkiej duch wolności, i chociaż nader ciężkie przechodził chwile, i chociaż zbaczał i zbacza nie raz na fałszywe drogi, jednak trwa i przeobraża ciągle stosunki świata.

W walce tego ducha z przekazanemi przez starożytność pojęciami, zdarzają się takie chwile jak dzisiejsza, w której poganizm z nową wydobywa się siłą. O społecznych skutkach tego stanu rzeczy nie ma się co rozwodzić. Codzień nowe przynoszą nam wieści o bolach warstw dolnych i trwogach warstw górnych, o wzajemnych krzywdach, groźbach i zamachach. Świadomi tych wszystkich objawów, nie tracimy przecież z oczu różnicy ery dawnej od nowej, i aby ją uwidocznić, wybraliśmy jeden ważny moment z życia narodów, tj. prawo prywatne. W niem też, a raczej w rozwoju jego dalszym, spróbójemy dopatrzyć się środka, zdolnego do zapobieżenia w pewnej mierze niebezpieczeństwu, grożącemu społeczeństwom chrześcijańskim.

Nim przecież wnijdziemy w temat, widzi nam się potrzebnem przedstawić pokrótce, jak się zapatrujemy na stosunek prawa prywatnego do publicznego. Zdaje nam się, że definicya odgraniczająca ściśle przedmiotowo sfery obu praw tych nie jest słuszną, albowiem

wnikają one bezustannie w siebie, i sądzimy, że ponieważ oba prawa są natury społecznej, wypada raczej przypisać ich różnicę różnym funkcyom subjektu prawnego tj. człowieka pojedyńczego, — jeśli zaś weźmiemy na uwagę prawo pozytywne — tedy funkcyom człowieka pojedyńczego w jego stosunku społecznym do współziomków.

Człowiek wkracza w naturę, ale nie niszczy jej, tylko nadaje jej kierunek wyższy, oparty na darach ducha swego; człowiek zaprzęga siły natury do rydwanu swej woli, wyswobadza się z bezpośrednich uwięzi natury szeregiem bezustannych usiłowań, a zarazem podporządkowuje własne swoje siły, woli przewodniczącej, wspólnej, wyrabiającej się w głębinach duszy narodowej. Wola ta żyje bezustannie i chociaż nieraz bywa skrzywianą przez przepisy jednostronne, kroczy coraz wyraźniej w kierunku zjednoczenia sił indywidualnych z siłami społeczeństwa. Oto jak wypływają z istoty człowieka funkcye prawa prywatnego i publicznego. Prawo prywatne jest uznaniem wolności indywidualnej ze względu na życie w ogóle, prawo zaś publiczne jest funkcyą organizmu społecznego, odpowiadającą stopniowi zapanowania woli nad popędami natury. Funkcya całkowita sfer tych obu polega na działalności bezustannej, w której to rozłączają się one, to znów łączą. — W związku przyczynowym należy się pierwszeństwo funkcyi prawa prywatnego; w indywiduach narodu spoczywa bowiem fundusz moralny i w ogóle duchowy, który żywi organizmy społeczne, jakiemi są państwa, boć państwo jako takie nie ma ani woli, ani ducha.

Prawo prywatne dwie ma strony: własność stanowi jedną, a wolność osobista drugą.

Świat europejski wyrobił w przeciwieństwie do świata wschodniego, prawo prywatne. Uczynili to mianowicie Rzymianie, nie zdołali przecież przeprowadzić idei równości prawnej i wolności indywidualnej, bo wznieść się nie mogli do pojęcia ludzkości, — które przyniosło dopiero chrześcijaństwo.

I.

Chociaż nie dostaje bezpośrednich źródeł historycznych, do odtworzenia obrazu początków uspołecznienia ludzkiego, dojrzeć jednak można w prawach najdawniejszych rzymskich, jakie doszły

do naszej wiadomości, ślady wyraźne przeszłości starej, pozwalające wnioskować o podobieństwie między sobą zarysów głównych pierwotnego porządku u różnych plemion, czy ludów. W ostatnim czasie przychodzą tu jeszcze w pomoc odkrycia ważne resztek uspołecznienia, sięgającego w jak najzamierzchlejszą starożytność. Resztki te zachowały się u Aryów indyjskich. Starożytność urządzeń gminnych w Rosyi i poniekąd w południowej Słowiańszczyźnie, zakwestyonowali badacze najnowsi.

Ze śladów pozostałych pokazuje się, że łączność pierwotna ludzi między sobą stosowała się ściśle do danych naturalnych, tj. że łączność pierwotną tworzyła familia i pochodzenie wspólne. Porządku tego pojęciem centralnem była władza naczelnika familii, którą przechowało było jeszcze — mimo zmienionych już stosunków społecznych — prawo rzymskie XII. t a b l i c. Prawo rzymskie rozłożyło władzę ojca rodziny *paterfamilias* na części składowe, jako to: na *patria potestas* (władzę nad dziećmi), *dominica potestas* (nad niewolnikami), *dominium* (nad rzeczami nieruchomemi i ruchomemi) i *manus* (nad żoną), — z drugiej przecież strony łączyło znów części te objektywnie, jako *familiam*. Pozostawmy na boku owe podziały, a uobecni nam się żywo natura władzy pierwotnej *pater familias'a*. Jest to władza bezwzględna nad żoną, dziećmi, niewolnikami i rzeczami służącemi na utrzymanie familii, władza decydująca o życiu i śmierci. Familia stanowi punkt koncentrycznych kół: rodziny, rodu i w końcu społeczności. Indywiduum jest częścią familii i może tylko zyskać samodzielność, gdy samo zostanie po śmierci *pater familias'a* takimże *pater familiasem*. Kobiety nie są nigdy samodzielne, a gdy umiera mąż, dostają się pod opiekę najstarszego członka z linii męskiej zmarłego *pater familias'a*. Syn zmarłego zyskuje samodzielność równocześnie z dojrzałością płciową. Dopóki żyje najstarszy ascendent męski, on jest panem nad wszystkimi krewnymi, którzy od niego pochodzą, oraz panem wszystkiego co do nich należy, a prawa krewnych dalszych opierają się nie na pokrewieństwie, ale na łączności, wytworzonej przez władzę ojcowską wspólnego przodka rodu. Kto występuje z pod władzy ojcowskiej, występuje, mimo związku krwi, z familii. Z drugiej strony może się powiększać familia przez t. zw. a d o p c y ę, a to dlatego właśnie, że familia jest instytucyą prawną. Podobnież rozszerzać się

mogą rody *(gentes)* przez adopcyę rodów nowych, a dzieje się to zawsze na mocy przekonania istotnego lub fikcyjnego o pochodzeniu wspólnem i wspólnych *sacra*. Jeżeli zaś *civitas* powiększa się przez przyrost ludności, która nie należy do dawnych rodów i szczepów, — jak nie należała np. *plebs* rzymska — wtenczas dawne owe rody szczepy zachowują nad nią, dopóki mogą, rolę klasy panującej, jak to czynił patrycyat rzymski.

Znamieniem charakterystycznem tego prastarego porządku jest to, iż zrodzić musiał niewolę. Filozofowie greccy upatrywali przyczynę niewoli w niższości naturalnej barbarzyńców, prawnicy późniejsi rzymscy argumentowali, że w miejsce prawa natury, które pozwalało zabijać jeńców, nastało, w skutek porozumienia się wspólnego ludów, *jus gentium*, które tamto prawo złagodziło przez zaprowadzenie niewoli. Ale, nie szukając tak daleko, widocznem jest, że niewolę zrodziło prawo pierwotne starych społeczeństw, które znało tylko władzę, ale nie znało wolności. Gdy zabrano jeńców w wojnie lub przez podstęp, nie można ich było pomieścić gdzieindziej, jak w obrębie istniejącego u siebie porządku, rozdzielano ich więc pomiędzy familie, gdzie dostawali się pod władzę absolutną naczelników familij.

Prawo ono stare przytłumiało tak dalece indywidualność, że nawet za przestępstwa odpowiadała familia, a nie przestępca. Że zaś familia nie umierała, nie było końca zemst familijnych. Własność indywidualna nie istniała, bo nie istniały prawa indywidualne i nie odłączyło się jeszcze pojęcie własności, tj. panowania nad rzeczami, od pojęcia panowania nad osobami. Należy więc wnioskować, że gospodarstwo wspólne było znamieniem starego porządku rzeczy, na co też wskazuje Anglik *H. S. Maine (Ancien law etc.)* dając nam obraz urządzeń prastarych, jakie się dotychczas ostały w Indyach angielskich. „Natrafiłem, pisze on, u Hindusów na ro„dzaj własności, który zgadza się całkiem z pojęciem jakie mamy „o pierwotnej własności. Gminy indyjskie stanowią dotychczas „grupy, zorganizowane na stopę patryarchalną i składające się za„razem z współwłaścicieli. Stosunki osobiste między ludźmi są tam „zmieszane z ich prawami własności, a mnogie błędy, jakie popeł„nia administracya angielska, pochodzą z usiłowań urzędników, „chcących położyć koniec temu zamieszaniu. W jakimkolwiek kie-

„runku badano historyę Indyj aż do czasów najdawniejszych, zawsze „napotykano na własność wspólną. Wielka ilość ludzi nauki, z któ„rych przecież żaden nie szukał z góry sprawdzenia swych teoryj, „na Aryach indyjskich, przyznaje jednozgodnie, że urządzenia gmin „indyjskich są zabytkiem prastarym, który się oparł wszelkim zmia„nom. Ani zdobycze, ani przewroty nie potrafiły zniszczyć tej starej „instytucyi, i najlepszym systemem rządzenia pokazał się być w In„dyach ten, który wziął owe urządzenia za podstawę administracyi. „Żadna instytucya świata zamierzchłego nie utrzymała się prawdo„podobnie inaczej, jak pod warunkiem, że przybrała w pomoc pe„wne fikcye prawne, ożywić zdolne pierwotną zastałość. Spółka „wiejska nie jest więc koniecznie zrzeszeniem się krewnych, ale albo jest „takowem, albo też wedle wzoru jego uformowaną korporacyą współ„właścicieli. Typ, z którymby porównać ją wypadało, jest rzymska „*gens*, a nie familia. *Gens* była także grupą, wedle wzoru familii, „była ona familią rozszerzoną za pomocą różnych fikcyj prawnych, „których czas zatarł wyraźne ślady. W czasach historycznych miała „ona te właśnie główne znamiona, które *Elphinston (History of „India)* zauważył w gminach indyjskich, tj. tradycyę prawdziwą „lub fikcyę pochodzenia wspólnego, i powrót działu majątkowego „familii — w razie jej wygaśnięcia — do majątku wspólnego. We„dle starego prawa rzymskiego przypadał spadek bez sukcesora, „współ *gentilom*. Obecnie uzupełniają się te wiejskie zrzeszenia Hin„dusów przyjmowaniem do swego łona nowych nabywców. Razem „z nabyciem działu sukceduje nabywca w zobowiązania sprzedają„cego dla gminy zrzeszonej. Jest on: *emptor familiae*. Przyzwolenie „ogółu zrzeszonych, które jest koniecznie potrzebne, przypomina „przyzwolenie, jakiego *comitia curiata* tak statecznie wymagały, „gdy szło o ważność adopcyi lub testamentu. Rozpoznać można „z każdej niemal właściwości gminy indyjskiej, starożytność jej nie„zmierną, a że istnieje w ogóle wiele innych powodów domysłu, że „w początkach uspołecznienia przemagała własność wspólna, możemy „słusznie wyciągnąć stąd ważne wnioski".

W prawie rzymskiem, jak i u nowszych prawoznawców idących jego torem, współwłasność uchodziła za stan przechodni prawa własności. Tymczasem u Aryów indyjskich ma się rzecz przeciwnie. Własność odrębna dąży tam zawsze do przemiany w własność

wspólną. Syn nabiera prawa — zaraz po urodzeniu — do majątku ojca i może, gdy dorośnie, zażądać wedle litery prawa podziału majątku familijnego. Faktycznie przecież rzadko następują działy, i własność pozostaje niepodzielną przez całe pokolenia, chociaż każdy członek każdego pokolenia ma prawo do części swojej. Majątek ten wspólny familijny administruje czasem wybrany ku temu włodarz, częściej przecież najstarszy z agnatów. Takie połączenie się właścicieli, takie posiadanie wspólne majątku familijnego jest formą najprostszą gminy wiejskiej Aryów indyjskich. „W wyobrażeniu ludu tamecznego — pisze *Elphinston* w swej *History of India* — pochodzą posiadacze wszyscy we wsi od jednego lub kilku założycieli i wyjątek jedyny stanowią osoby, które wywiodły prawa swe tytułem kupna lub innego sposobu nabycia od członków rodu pierwotnego. Faktem jest, że dotąd siedzi po wsiach małych tylko jedna familia, a po wsiach większych tylko kilka familij, a każda tak się rozrodziła, że często uprawiają ziemię sami tylko właściciele bez pomocy robotników. Przysługują im wspólnie prawa właścicieli, a chociaż zawsze czynią między sobą działy, nie dopuszczają nigdy rozdziału zupełnego. Właściciel chcąc np. sprzedać lub dać w zastaw swoje prawa, zmuszony jest pozyskać uprzednio pozwolenie wsi. Gdy wygasa familia, wraca dział jej do majątku wspólnego wsi.

Wieś rosyjska, jest tak jak wieś Aryów indyjskich, spółką zorganizowaną na podstawie pokrewieństwa wstępnego i t. d., ale zachodzi ta ważna różnica, że współwłaściciele wsi indyjskiej mają mimo zrzeszenia własności, pewne prawa swoje, że odrębność praw tych jest zupełna i trwa ciągle, podczas gdy we wsi rosyjskiej jest odrębność praw li teoretycznie zupełną, w rzeczywistości zaś trwa tylko do czasu. Po upływie pewnego terminu rozdziela się napowrót ziemia między pojedyńcze familie i powtarza się to za każdym nowym terminem.

W Serbii, Kroacyi i Dalmacyi zatrzymała dotąd pewna ilość wsi charakter zrzeczenia się osób, będących współ-właścicielami ziemi i zarazem krewnymi między sobą, czyli t. zw. *obcina* lub *zadruga;* ale wewnętrzne ich urządzenia tem się różnią od indyjskich i rosyjskich, że substancya własności jest niepodzielną tak w teoryi, jak i w praktyce. Ziemię uprawiają wszyscy mieszkańcy

razem, a plon rozdziela się między gospodarzy pojedyńczych, raz wedle potrzeby domniemanej, drugi raz podług norm stałych.

Interes, jaki wzbudzają ślady urządzeń prastarych pochodzi stąd, że rzucają one światło na rozwijanie się praw własności w łonie grup, które prawdopodobnie dzierżyły pierwotnie własność. Grupami temi były najpewniej większe zrzeszenia, wedle wzoru patryarchalnego. — Przejścia od własności starej do nowszej nie dały się zbadać dokładnie, wszelako udało się badaczom uchylić część zasłony wieków zamierzchłych, i wnioskować dziś wolno, że kształt własności obecnej wyrobił się głównie przez powolną abluicyę poszczególnych praw indywidualnych z całości praw, przysługujących pierwotnie grupom zrzeszonym.

W uspołecznieniu pierwotnem przeważała idea całości, opartej na wspólności krwi; indywiduum było tylko zarodkiem prawnym. Odkąd zaś indywiduum zyskało uznanie prawne, osiągło samo przez się własność. W najdawniejszem prawie rzymskiem był Rzymianin właścicielem tylko *ex jure quiritium*, tj. tylko w charakterze obywatela rzymskiego. Stare prawo rzymskie nie znało, ani t r a d y c y i, ani o k u p a c y i; nawet łup wojenny zabierała *civitas*, i ona dopiero rozdzielała go między obywateli. Prawne metody nabycia własności były: *in jure cessio* i *mancipatio*. — *In jure cessio* odbywała się w ten sposób, że kupujący stawał razem ze sprzedającym przed sądem i żądał rzeczy tej a tej, jako swej własności, poczem sędzia *(praetor)* przyznawał mu takową, ponieważ sprzedający nie protestował. Własność przechodziła tutaj z rąk do rąk aktem czysto formalnym i bez żadnego zresztą względu na ugodę istotną między stronami, bez pytania się o to, czy interes był kupnem, czy darowizną i t. p., lub czy nastąpiło już oddanie rzeczy. *Mancipatio* była czynnością prywatną, przy której obecnych być musiało 5 obywateli rzymskich i *libripens*, trzymający w ręku wagę. Akt główny polegał na oświadczeniu kupującego, iż rzecz jest jego własnością *ex jure quiritium*, poczem kładł na wagę kawałek metalu. I to więc było li tylko formalnością, bez względu na właściwy interes, obywatele obecni reprezentowali *civitatem*. Przedmioty mancypacyi, nazywane *res mancipii*, były to grunta italskie, niewolnicy i inwentarze żywe Gdy zaś wzmógł się później obrót handlowy przedmiotów innych, zwanych *res non mancipii*,

używać zaczęli Rzymianie formy nowej, tradycyi, która uznaną została powszechnie za stosowniejszą, bo zawierała w sobie dowód materyalny aktu woli, a nie była samą formalnością. Własności sprzedającego *ex re quiritium* nikt zaprzeć nie mógł, ale prawnicy przeciwstawili jej własność naturalną, jako własność istotną, którą też opatrzyli w prawa obrony. Wtedy dopiero wola indywidualna stanowiła o prawie własności. Prawo Justyniana uznało później jeden tylko rodzaj własności, a za formę jej przekazania przepisało tradycyę.

Najstanowczej uznaje wolę indywidualną teorya posiadania. Posiądzenie rzeczy znaczy, że posiadacz nadaje władzy faktycznej nad rzeczą którą posiada, znaczenie prawa do takowej, nie legitymując się zresztą jako jej właściciel. Prawo to zyskało obronę w interdyktach przeciw gwałtowi, i w prawie skargi przeciw każdemu, z wyjątkiem przeciw właścicielowi istotnemu. W rozwoju też prawa spadkowego objawia się wpływ coraz wyraźniejszy woli indywidualnej: że wspomnimy tylko o prawie spadkowem w początkach wyłącznie beztestamentowem i o pojawiającem się później prawie testowania, które zepchnęło tamto na stanowisko prawa pomocniczego. W tym samym kierunku rozwijały się formy testamentów. Z początku istniała forma mancypacyi, potem zastąpił ją testament, sporządzony na piśmie w obec 7 świadków. Cezarowie dodali do tego testament publiczny spisany w obecności władzy, i wydali różne przepisy o formach testamentu, których przecież ostatecznym rezultatem było: że testator miał sobie zapewnione prawo tajemnego odwołania swej ostatniej woli i że przepisane zostały pewne formy, których się trzymać musiał testator w interesie uznania prawdziwości swego testamentu.

Rzymianie, jak już wspomnieliśmy, jedyni wyrobili w starożytności prawo prywatne, jako sferę samodzielną obok sfery prawa publicznego. Rozum ich polityczny, w parze z wyrabiającą się dążnością do urzeczywistnienia t. z. *aequitas*, uzdolnił ich do wyjścia z ram społeczności pierwotnej i do zadosyćuczynienia wymaganiom słusznym plebejuszów i sojuszników. Rzymianie uzupełnili i rozszerzyli prawo prywatne narodowe *(jus civile romanum)*, które pierwotnie znało tylko obywateli rzymskich i ich prawne stosunki, tylko małżeństwo rzymskie i tylko własność rzymską, do rozmiarów prawa

powszechnego, do *jus gentium*, które zyskało nietylko za czasów cesarstwa rzymskiego, ale i przy końcu wieków średnich przewagę ogromną. Wszelako granicę, poza którą prawa Rzymian sięgnąć nie zdołały, stanowiły wyobrażenia całego ówczesnego świata, które podzielali i Rzymianie: że człowiek znaczy tylko o tyle, o ile jest członkiem jakiegoś ludu, że więc źródłem prawa nie jest człowiek, tylko lud lub *civitas*. Dlatego nie mogła się wówczas uwydatnić dusza prawa, tj. równość i powszechność. Widzimy tam wszędzie nierówności prawne: między panami a niewolnikami, między Rzymianami a sojusznikami, między Rzymem a prowincyami, wreszcie między warstwami i obywatelami samegoż ludu rzymskiego. Nierówność ta prawna przeszkadzała wytworzeniu się kształtów organicznych, a żywiąc spory i walki bezustanne, wyczerpywała siły moralne i polityczne, aż w końcu, do zorganizowania ogromnego państwa, pozostały jedynie formy niewoli.

Niedostawało światu ówczesnemu pojęcia ludzkości, niedostawało zrozumienia tej prawdy, że zgodność ludów w pewnych ich wyobrażeniach prawnych ma źródło swe we wspólnem poczuciu tożsamości istoty ludzkiej i że ze źródła tego pochodzi tak *jus civile* jak i *jus gentium*, — dalej, że oba te prawa stanowią właściwie tylko dwie strony jednego prawa, które jest pozytywnem w swym objawie, i zobowiązuje lud pojedyńczy, a równocześnie jest powszechnem i wypływa z głębin rozwijającego się ducha ludzkiego. Prawo prywatne rzymskie jak metodą tak i treścią nie dorosło do idei wolności, a stąd nie potrafiło zwalczyć niewoli. I *jus gentium* nie podjęło tego zadania; trudniło się owszem niewolą, jako prawem pozytywnem, jako instytucyą zastępującą srogie prawo zabijania jeńców. Prawo prywatne rzymskie znało już wcześnie własność indywidualną, ale subjektem jej był li tylko ojciec rodziny, a treścią jej władza zupełna tego ojca nad majątkiem, żoną, dziećmi i niewolnikami. Władza zupełna *pater familias'a* nad osobami ulegała coraz większym modyfikacyom, prawa gentilów znikły, prawa agnatów musiały ustąpić powoli prawom kognatów, ale zasada naczelna tego prawa nie zmieniła się, wolność osobista nie zyskała uznania, i dlatego nie mogła się też ani wydźwignąć budowa społeczeństwa, złożonego z części jednolitych, ani objawić się strona społeczna prawa prywatnego. Wyrobili wprawdzie Rzymianie w zna-

komity sposób prawo obligacyjne, ale mając niewolę za państwową i społeczną instytucyę, ani inicyatywy dać nie mogli prawu wolnej pracy. Praca wolna, samodzielna, musiała zmarnieć, a jeśli ją ludzie podejmowali na cudzy rachunek, wtenczas liczono ją do zakresu prawa rzeczowego. Brakowi temu prawa prywatnego rzymskiego towarzyszyć musiał z natury rzeczy, podobny niedostatek prawa publicznego, co też pokazuje wyraźnie przebieg historyi rzymskiej.

Chociaż lud rzymski dzierżył bezsprzecznie władzę prawodawczą, chociaż w nim spoczywało źródło wszystkich magistratur, nie stanowił on tak dalece o rzeczy publicznej jakby wnioskować można, stanowiły raczej o niej magistratury, odpowiedzialne wprawdzie, ale używające wielkiej samodzielności, poza niemi zaś stał senat. Co stworzyło wielkość Rzymu, to nie wola ludu, ale zaufanie jego do magistratur, i to — gdy państwo podległo przesileniu, — ułatwiło zrzeczenie się wolności i przyspieszyło cezaryzm. Nie przyprawiła rzeczypospolitej o upadek przewaga żywiołu ludowego, ale przeciwnie — słabość organizacyi tego żywiołu w porównaniu z silną organizacyą magistratur. Lud zgromadzał się w komicyach swoich, ale oba rodzaje komicyj uwieczniały rozterkę. Niedostawało im nadto organizacyi i peryodyczności, umożebniającej stałe działanie i dokładne rozpatrywanie się w przedłożonych materyach. W podziale władzy między lud i magistratury, zyskały magistratury część lwią. Podział mechaniczny nie mógł zastąpić zwartości organicznej. Dopóki przychodziły pod obrady sprawy Rzymu i Lacyum, a choćby i Italii, mogły wystarczyć ustawy rzymskiej społeczności, ale gdy Rzym zagarnął obszerne prowincye, wzrastało coraz bardziej znaczenie magistratur i wodzów zbierających laury. Cezaryzm wówczas łączy z łatwością w jednej osobie trzy najwyższe magistratury, i staje się faktycznie jedynym panem, na podstawie form wszechwładzy ludu. Powoli ustały i formy republikańskie, a Imperator posiadł całą władzę prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Za cesarza Konstantyna istniała już tylko jedna wola, wola Imperatora i narzędzia jej — urzędnicy.

II.

Wśród wzmagającego się cezaryzmu, który pochłonął wolność rzymską, ukazała się gwiazda nowa na widnokręgu świata, a towarzyszyły jej gminoruchy ludów o świeżej żywotności. Chrześcijaństwo otworzyło nowe tory dla rozwoju wolności indywidualnej.

Chrystus przemówił w Ewangelii do całej ludzkości i nadał każdemu człowiekowi wartość niepożytą, niezawisłą od jakichkolwiek potęg zewnętrznych. Nauka jego nie naruszała wprawdzie bezpośrednio nierówności, panującej w świecie ówczesnym, ale wygłaszając równość wszystkich ludzi w obec Boga, stawiała zasadę brzemienną w najwszechstronniejsze przemiany we wszystkich stosunkach ludzkich. Chrześcijaństwo poddało ludzi w rzeczach duchowych powadze Kościoła, a broniło ich przed arbitralnością władz świeckich. Myśl ta, że tak powiem ogólno-ludzka, zmieniła zupełnie położenie świata, i żadna moc nie mogła już później zapobiedz rozwijaniu się ludzkości w duchu wolności. Era nowożytna, społecznie, rozpoczęła się, odkąd w miejsce niewoli, nastało poddaństwo. W ludach świeżych, występujących na widownię, dostrzedz można wiele podobieństw do urządzeń rzymskich i do żywiołów rzymskiej społeczności, ale obok tego nową także dążność, dążność do wolności osobistej obszerniejszej, aniżeli była rzymska i odpowiedny tej dążności wstręt do centralizacyi państwowej. Silne wybijanie się na wierzch wolności osobistej wytworzyło jak najrozmaitsze stosunki panów do poddanych, przywiązane rzeczowo do posiadania ziemi i polegające na pewnych wzajemnych zobowiązaniach. Ugoda i przedawnienie wzięły zupełnie górę nad ustawą, prawa prywatne nad publicznemi, prawo dziedzictwa nad prawem wyboru, węzły stanowe nad węzłem społecznym. Prawa prywatne wyzwoliły się nietylko zpod władzy naczelnej, ale przywłaszczyły sobie nadto niejedno z praw publicznych. Połączenie to praw prywatnych z publicznemi istniało wprawdzie w niektórych stosunkach i u Rzymian, jak np. w juryzdykcyi *pater familias'a*, wszelako przemagało u Rzymian prawo publiczne. Syn, który podlegał władzy ojcowskiej wedle prawa prywatnego, równy był ojcu w obec prawa publicznego; mógł mu, jako urzędnik, nakazywać lub zakazywać. W wiekach średnich, natomiast

wytworzył duch niezawisłości, wśród pojedyńczych sfer, jak największą rozmaitość grup niemal wszechwładnych, i rozkawałkował starorzymską centralizacyę.

Duch wieków średnich reprezentował początkowe stadyum nowej wolności, chociaż nie umiał i nie mógł umieć urzeczywistnić jej inaczej, jak rozkawałkowując ją i czyniąc kawałki te własnością prywatną. Stan ten rzeczy nie mógł trwać długo, skoro się pokazało, że i ci, którzy z jednej strony byli uprzywilejowanymi, narażeni byli z innych stron na konkurencyę sobie równych lub na przewagę zupełną wyżej uprzywilejowanych. Walki, spory i starcia bezustanne sprowadziły w końcu upadek wolności średniowiecznej, i utorowały drogę wzrostowi władzy centralnej absolutnego monarchy, który przywileje i wszelkie nierówności, czyli cały system ówczesnego prawa, wziął wprawdzie w spuściznie, ale na podstawie prawa rzymskiego przeistoczył te wszystkie prawa prywatne w prawa wszechwładnej korony. Społeczeństwo pozbawione więc teraz zostało sporej części wolności, tak pod względem prawa prywatnego jak i publicznego, ale zyskało niebywałą zwartość i grunt dla rozwoju wolności ogółu. Różnica między cezaryzmem rzymskim a monarchizmem absolutnym ery naszej bije w oczy. Tamten był ostatecznym rezultatem epoki zamierającej, ten — jednym z przystanków wśród rozwoju epoki nowej, którą ożywiał duch zasad chrześcijańskich i mimo despotyzmu korony—jedną nieugaszoną aspiracyą do wolności osobistej, różnie stopniowaną, wedle warstw społecznych i ich tradycyj. Z tej kojarzni urabiało się powoli w coraz obszerniejszych kołach przekonanie, że źródłem właściwem „zwierzchniczej władzy“ jest naród, a że dążeniem jego być musi osiągnięcie równości w obec prawa, poręczonej przez uznanie wolności osobistej. Uragan rewolucyi francuskiej zepchnął wolność osobistą na stanowisko całkiem podrzędne, dając przeważnie wyraz roznamiętnionej woli narodu, ale położył skądinąd koniec przywilejom prawno-prywatnym i w ogóle wszelkim stopniom nierówności. Odtąd, zaprowadziły w odstępach dość krótkich, państwa niemal wszystkie równość f o r m a l n ą wszystkich obywateli w obec prawa.

Możnaby stąd wnosić, że życie społeczne tą równością jest teraz osłonione, i że rozwijać się może swobodnie i sprawiedliwie. Ale tak nie jest. Żądanie prawa prywatnego w erze naszej nie jest

bynajmniej jeszcze wypełnione, wartość człowieka, — ugruntowana przez chrześcijańską zasadę, — nie jest jeszcze należycie zabezpieczoną w życiu społecznem.

Rozpatrzmy się, o ile pozwalają na to ramy tej pracy w prawie prywatnem dzisiejszem. Powtarzamy tu nasamprzód, że prawo prywatne ma dwie strony: prawo własności i prawo wolności osobistej, a zarazem stawiamy tezę: że prawo prywatne nie dopisuje swemu zadaniu. Własność oswobodzoną jest wprawdzie z naleciałości feodalnych, i przeprowadzona jest zasada wolnego jej ruchu, własność uważaną jest dziś prawnie za to, za co ją chrześcijaństwo uważało od początku, tj. za rzecz i prywatną i społeczną; ale wolność osobista i jej ujawnianie się w życiu społecznem, urzeczywistnione są tylko ze strony formalnej, skutkiem czego wywiązała się obecna, grożąca społeczeństwu sytuacya. Jak się wyrobiła własność indywidualna, jużeśmy wskazali. Chodzi teraz o pogląd na przebieg walki między prawem własności a wolnością osobistą, który wykaże potrzebę reformy na rzecz wolności osobistej. Własność dąży zawsze do wyosobniania się, stosunki osób między sobą odrywają od własności różne prawa rzeczowe i użytkowe i wpychają ją w ruch społeczny. Prawo własności dąży do podporządkowania sobie osoby, dążnością zaś prawa osobistego jest wolność osobista, która się posługuje własnością. Dotąd zwycięzcą była własność, ale wolność osobista zdobyła już na niej niejedną pozycyę — nie w tym celu przecież, aby własność zniweczyć, coby było zniweczeniem swojej własnej podstawy, ale aby ją wprowadzić na drogę bardziej społeczną.

Będziesz pracował w pocie czoła twego, mówi Pismo św. do pierwszego człowieka, a doświadczenie rozprowadza słów tych ważność we wszystkich kierunkach życia. W materyi, którą się zajmujemy, pracy przypada główna rola. — Bez pracy utraciłaby własność swą wartość, tak jak znów ustałaby praca, gdyby jej własność nie dostarczała materyałów i środków. Praca i własność spowite są ze sobą, a najtrudniejszem z zadań prawodawstwa jest skojarzenie obu, odpowiednie wolności i sprawiedliwości.

Około tego obraca się też kwestya społeczna, która jest tak starą jak świat, chociaż zawsze inne pokazywała oblicze. Skojarzenie własności z pracą dwojakiego w ogóle jest rodzaju. Raz praca służy wła-

sności, drugi raz własność służy pracy. Drugi ten rodzaj istniał dotychczas tylko wtenczas, gdy właściciel i pracownik stanowili jednę i tę samą osobę. Własność zaś wielka potrzebuje robotników wielu, których w dwojaki dostaje sposób, albo wchodząc z nimi w spółkę, albo biorąc ich w służbę.

Dotąd posługiwała się własność wyłącznie niemal robotnikami wziętemi w służbę, gdyż prawo nie przeszkadzało temu pod żadnym względem. Najstarsza forma zależności osobistej była niewola. Poddaństwo średniowieczne i urządzenia cechowe złagodziły już znacznie pierwotny stan rzeczy. Czasy dzisiejsze znają już tylko takie zobowiązania do pracy, które polegają na ugodzie, — a przecież bardziej zawisłą jest dziś praca od własności, aniżeli była za wieków średnich. Wytłumaczyć tego objawu nie można odwoływaniem się na metodę zmienioną produkcyi, bo ta metoda to tylko wykazuje, że robotnik samodzielny o miernych zasobach, nie może współzawodniczyć z wielką produkcyą, i że marnieje; nie wykazuje atoli przyczyny, skąd pochodzi potęga wielkiej produkcyi, trzymająca pracę w takiej zależności, że ma zawsze na zawołanie żądaną ilość robotników po cenie ledwie starczącej na utrzymanie ich życia. Jedni mniemają, że przyczyna kommasacyi bogactw u wierzchu, niknięcia stanu średniego i wzrostu proletaryatu leży w błędnej podatkowości, drudzy podają za przyczynę usposobienie niechrześcijańskie wśród pewnych klas, dbających wyłącznie o jak największe zyski, trzeci śmią zwalać winę na prawo natury, które zowią „walką o byt“; inni jeszcze odpowiedzialnem za to czynią istniejące prawo prywatne. — Próbowaliśmy przed kilku laty[1] rozpatrzeć się w pierwszej z tych przyczyn, dziś przypatrzymy się przyczynie podanej na ostatniem miejscu i mniemamy, że ona zasługuje na pilną uwagę.

XII.

Aczkolwiek prawo prywatne poczyniło już postępy niemałe, nie pozbyło się jeszcze dostatecznie znamienia staro-rzymskiego, pozostała mu skaza pochodzenia z czasów istnienia niewoli,

[1] Bibl. Warszawska 1882. Październik.

i stąd to właśnie pochodzi że prawo to dało własności środki zapanowania nad pracą. Stosunki poddaństwa, które oddały dawniej pracę w zupełną służbę własności, nie istnieją dzisiaj; łącznikiem prawnym pracy i własności jest dzisiaj tylko zgoda między ludźmi wolnymi, ale ugoda ta daje własności tę samą przewagę i te same korzyści, jakie jej przynosiło dawniej poddaństwo. Wolność ugód nie mieści jeszcze w sobie wolności obustronnej, bo jeśli dozwolonem jest, aby zawartość ugód wykraczała przeciw wolności, to same ugody służyć będą, mimo wolności ich formalnej, do wytworzenia stosunków, materyalnie wolności przeciwnych. Liberalizm dzisiejszy lubi powtarzać do przesytu, że nikt przecież nikogo zmusić nie może do zawierania podobnych ugód, a jeśli ludzie dobrowolnie je zawierają, to czynią tylko użytek ze swojej wolności. Czcze słowa! Bo jeżeli konieczność faktyczna stale zmusza robotnika do przyzwolenia formalnego, wtedy wolność jego jest czczą formą, poddaństwo jego losem, środkiem zaś, który go przyprawił o poddaństwo, jest ugoda. Prawo może usunąć ten środek, służący do utworzenia stosunku poddańczego, bo chociaż zapobiedz podobnym ugodom nie potrafi, jednak zniweczyć może ich skutek, ogłaszając ich nieprawomocność.

Wolność ugód wymaga, aby ugody wszelkie zobowiązywały kontrahentów, z wyjątkiem, jeśli treść ich wykracza przeciw wolności, gdyż w takim razie zawierają kontradykcyę. Wszakże prawo odmawia już dziś uznania interesom, w których dostrzega naruszenia niedozwolonego wolności? Nie uznaje np. ugód, przez któreby się ktoś oddał w niewolę lub poddaństwo, nie uznaje i takich, które wykraczają przeciw swobodzie procederu. Chodziłoby więc chyba o dowód, że treść ugody pozbawia robotnika do czasu i częściowo wolności osobistej, a dowód taki jużby wystarczał na jej unieważnienie.

Dowód nie byłby — jak mniemamy — zbyt trudnym. Ugoda o płacę roboczą zatrzymała dotąd znamię rzymskiej *locatio, conductio operarum*, i pokazuje się być z tego powodu stosunkiem, podobnym do niewoli. Rzymianie nie mogli wytworzyć obok niewoli, prawa wolnej pracy, a jak mieli niewolnika za rzecz, za przedmiot własności, tak też mieli robotnika najemnego za rzecz użytkową,

za przedmiot ugody, najmu, w której tenże będąc osobiście uprawnionym, mógł być zarazem stroną ugodową.

Wziąwszy na uwagę, że w obrębie majątkowości przewodzi dziś prawo datujące jeszcze z czasów niewoli rzymskiej, łatwo pojmiemy bez dalszych wywodów, jakie stąd niedostatki społeczne wywiązać się musiały. Ugoda o płacę roboczą jest nową formą niewoli, a formy tej nie potrzeba było wynajdować, bo wypełniła ona sama przez się przestrzeń, jaka pozostała niezajętą po zniesieniu stosunków poddaństwa. Uważmy jak się ukształtował w społeczeństwie nowszem stosunek własności do pracy.

Własność rozwinęła się silnie, i może nabywać to czego potrzebuje, pozbywać się tego, co dla niej zbyteczne, skupiać się, rozszerzać, dzielić; — robotnicy najemni, którzy postradali dawne zależności, chroniące ich przynajmniej od głodu, nie pozyskali natomiast żadnego ekwiwalentu. Każdy z nich jest osamotniony i musi się oddać do dyspozycyi własności, jeśli chce żyć. Robotnicy nie mają żadnej broni prawnej, którąby ich strzegła od eksploatacyi przez własność, więc normuje się też zwykle płaca robocza kwotą, potrzebną niezbędnie robotnikowi do utrzymania życia. A nie należy tu zwalać winy na chlebodawców, czy przedsiębiorców, bo główna wina spoczywa w prawie, które zatrzymawszy unormowanie zbyt jednostronne stosunku sił społecznych, sięgające czasów starorzymskich utrudniło nadzwyczajnie, a bodaj nie uniemożebniło po największej części polepszenie losu pracy. Własność, opatrzona przez prawo w środki energiczne i szybkie, zgnębia pracę, opuszczoną przez prawo. Chociażby się przedsiębiorcy silili zadość czynić przepisom miłości i sprawiedliwości, nie zdołaliby dopiąć celu na czas dłuższy, nie chcąc własnej spowodować ruiny. Nie są oni już dziś panami położenia; lecz panem położenia jest kapitał pieniężny. U niego zadłuża się coraz bardziej wszelka praca, on plony jej coraz bardziej zagarnia w formie hipotek i papierów wartościowych.

Wrócić trzeba do dawnych urządzeń, mówią jedni. Trwajmy dalej przy zasadzie dotychczasowej, która sama w sobie znajdzie lekarstwo, mówią drudzy, uparci uczniowie szkoły liberalnej. Pierwsi nie wiedzą, że powrót do form dawnych odjąłby milionom wszelką nawet możność egzystencyi, bo zmniejszyłby jeszcze sposobność do jakiegokolwiekbądź zarobku, skoro system dawniejszy

robił wszelką czynność ekonomiczną zależną od warunków, które wypełnić mogła ograniczona tylko ilość ludzi. Nie wiedzą oni, że zwrot do wieków średnich zmniejszyłby produkcyę tak dalece, iżby dla pomnożonej w tym przeciągu czasu ludności zabrakło najpotrzebniejszych środków utrzymania. Tego bowiem nikt podobno nie zaprzeczy, że system liberalny podniósł ogromnie produkcyę materyalną, i że nowszą cywilizacyę materyalną warunkuje przeważnie kapitał. Liberalni znów, obstając przy tem, że system dotychczasowy jest jak najwyborniejszy, i że sam w sobie znajdzie środki zaradcze na wszystkie niedogodności, jakie sprawić może, mają za rzecz drugorzędną dzisiejszy rozdział własności i pracy, i kładą główną wagę na ogromny wzrost ogólnej produkcyi społecznej.

Koniec końcem nie siła własności jest złem, ale niemoc pracy, więc też zwrót ku lepszemu leży we wzmocnieniu pracy. Skoro obok własności silnej stanie praca silna, będą one ugadzać się ze sobą w równych warunkach. Potrzebaby tedy otoczyć pracę opieką z ramienia prawa, a opieka ta zasadzałaby się na wygłoszeniu prawa pracy. Chodziłoby o postawienie zasady, dotyczącej stosunku prawnego między własnością a pracą. Nie tamowałoby to wolnego ruchu, ale wprowadziłoby w jego obręb nowy czynnik, tj. pracę, opatrzoną we własne prawo. Miałby robotnik — że się tak wyrazimy — dany sobie posag prawny.

Nie możemy wchodzić w szczegóły, gdyż zamiarem naszym było tylko podać wytyczną w kierunku zmiany prawa prywatnego. Streszczamy tylko główną myśl takiej zmiany w tych słowach: jeśli praca odbywa się dla właściciela cudzego, należy jej się część, odpowiedna wartości zwiększonej produktu, i że, jeśli ugoda odstępuje od tego *minimum*, nie ma waloru w obec prawa.

Nie twierdzimy, aby wskazana reforma podziałała na kształt różczki czarodziejskiej, gdyż konieczna jest tutaj i reforma woli i serca, a więc reforma moralna. Wiemy, że potrzebaby nie lada walki, aby przełamać opór potęgi kapitalistycznej, odnoszącej korzyści z dzisiejszego stanu rzeczy, — ale kto nie stracił przekonania, że celem historyi jest zwycięstwo nad „stanem natury“, ten też przyzna, że zwycięstwo jest koniecznie zawarunkowane uznaniem realnem i wszechstronnem wartości jednostki człowieczej, jak tego żąda nauka chrześcijańska, w której zupełnem wykonaniu mieści się ostateczny tryumf ducha nad naturą.

Ludwik Żychliński.

Z WSPÓŁCZESNEJ POEZYI PROWANSALSKIEJ.

Perukarz Jasmin. — Margrabia de Fara-Alais. — Związek Felibrów. — Kalendarz prowansalski. — Józef Roumanille. — Plejada młodych poetów. — Frederi Mistral. — Pierwsza epopeja. — Teodor Aubanel. — Ksiądz Ludwik Symeon Lambert. — Prowansalskie kolędy.

Sześćdziesiąt lat temu, r. 1825 doszło do uszu paryskich literatów, że jakiś perukarz z Agen: *Jansemin* czy *Jasmin*, ogłosił zbiorek wierszy, w języku, lub jak mówiono naówczas „patois“ prowansalskim. Zdziwienie było wielkie; wiedziano wprawdzie o pieśniach trubadurów z XII., XIII. i XIV. wieku; wiedziano nawet, że lud całej południowej Francyi, rozsiadły po nad brzegami Rodanu rozmawia między sobą i słucha kazań w języku dawnych trubadurów, ale żeby w XIX. wieku we Francyi można pisać i drukować wiersze jakimś chłopskim dyalektem w Paryżu niezrozumiałym, to wielu się w głowie pomieścić nie chciało. Tymczasem nie oglądając się na sądy paryskich recenzentów, zbiorek „Las Papillotos“ (Papiloty) rozszedł się po Prowancyi w poważnej cyfrze 20.000 egzemplarzy. Z początku, — opowiada sam Jasmin w jednym z wierszyków, żona zabierała mu papier i pióro, i pędziła do męczenia włosów a nie mózgów ludzkich; ale gdy poznała praktyczną wartość wierszy, zmieniających się tak szybko w brzeczące frankówki, sama przynosiła mu najlepsze pióro i najlepszy papier. „Dalej, dalej, wołała nań, każdy wiersz to cegiełka, którą fabrykujesz dla dokończenia naszego domu“. I cała rodzina powtarza na różne tony: „Rób wiersze, rób wiersze!“. Jasmin, choć poeta, to przecież człowiek praktyczny, usłuchał dobrej rady; po „Los Papillotes“ wydał „L'abuglo de Castel-Cuille“ (Ślepy z Castel-Cuille), patetyczną powieść, osnutą na miejscowej tradycyi; „Françounetto“ i wiele jeszcze

wierszy i piosenek, czasami pisanych pod wpływem Béranger'a, czasami znowu, jak np. piosenka „Ptaki podróżne, czyli Polacy we Francyi", wznoszących się wysoko i okazujących, że prawdziwe patos, nie było obcem perukarzowi-poecie.

Dowcipna i miła muza przyniosła poecie sporo pieniędzy, za które kupił sobie domek i doszedł do względnej zamożności; ale nie wzbudziła koło siebie żywszego poetycznego ruchu, nie była zdolna stać się źródłem, z którego wypłynęłyby i użyźniły Prowancyę czyste wody narodowego natchnienia. O wiele gorzej powiodło się margrabiemu *de Fara-Alais*, bo nietylko wpływu, ale podobno i pieniędzy wierszami swemi nie uzyskał. Dopiero od r. 1847, świeży poetyczny powiew orzeźwił pola Prowancyi. Z początku na ochotnika, bez określonego celu, spróbowało kilku zdolniejszych dźwięcznego romańskiego rytmu; wnet poeci zebrali się i r. 1854 założyli towarzystwo „Felibrów" (Przyjaciół piękna). Jasno wytkniętym celem nowego stowarzyszenia było: „wrócić i zachować Prowancyi, tj. całej południowej Francyi jej mowę, obyczaje, narodowe tradycye, wzgardzone prowansalskie narzecze podnieść do rzędu języka piśmiennego". Pięćdziesięciu członków, podzielonych na siedm sekcyj, stanowiło pierwszy zawiązek stowarzyszenia; wkrótce liczba ta podwoiła się, a organ Felibrów, pojawiający się corocznie „Armana provençau..." (Kalendarz prowansalski, pociecha, zabawa i rozrywka mieszkańców południa), objąć nie mógł nasyłanych mu ze wszech stron wyrobów tak wierszem jak prozą. Naturalnie nie każdy wiersz rościć sobie mógł prawo do nieśmiertelności; niejeden młody poeta zadowolony jednorazowem wydrukowaniem swego nazwiska, wziął wieczny rozbrat z muzami; ale znalazło się też kilku prawdziwych przyjaciół piękna, ukrytego w narodowym języku i literaturze, którzy znalazłszy raz wspólny punkt oparcia, poznawszy własne swe siły, nie przestali sił tych używać na podźwignięcie swego kraju, języka i wskrzeszenie lub zachowanie zdrowych religijnych tradycyj.

Patryarchą, duchowym, jeśli nie rzeczywistym przywódzcą i założycielem Felibrów nazwać można Józefa *Roumanille'a*. Poeta pochodził z ludu:

W Saint-Remy, gdzie mała chatka się ukrywa,
Wśród jabłoni w śnieżyste ustrojonych kwiecie:

W najpiękniejszy poranek jesiennego żniwa,
Pobożnym ogrodnikom darował Bóg dziecię [1].

Dziecię podrósłszy, w 20 roku pierwszy napisało wiersz, naturalnie w języku francuskim, dotąd jedynie w poezyi upatentowanym. Dumny i szczęśliwy, odczytał młody poeta swój utwór ukochanej matce, ale ta — niezrozumiała ani słowa. Niepowodzenie podsunęło poważne myśli młodzieńczej głowie: czyżby mowa południowej Francyi miała być zdatną tylko do rozmowy między kumoszkami, do pijackich piosenek i przekleństw; czyż nie można w nią ubrać wzniosłych, poetycznych uczuć. Myśli te prześladowały Roumanille'a, a wśród prozaicznych nauczycielskich zajęć w Nyons, wśród zmudniejszej jeszcze pracy korektora w jednej z drukarń Avignon'u, zwolna rósł coraz bardziej zbiorek wierszy w pogardzonym, a dziwnie gibkim i dźwięcznym języku, nadającym się wybornie do wyrażenia wszelkich uczuć, myśli, obrazów. „Pisałem wiersze, mawiał później Roumanille o tym peryodzie swego życia, nie wiedząc, czy mają jaką wartość i do czego właściwie zmierzam".

Niebawem stanął poecie jasno przed okiem praktyczny cel dorywczo spisanych wierszy. Czasami odczytywał Roumanille w obec licznie zebranych robotników nową jaką bajeczkę, czy wierszowaną anegdotkę, a w parę dni później przekonywał się, że wierszyk jego przechodząc z ust do ust, coraz szersze koła obiega. Ileż w ten sposób dałoby się dobrego zrobić dla uszlachetnienia pojęć i uczuć współziomków, dla oczyszczenia rodzinnego języka, z odejmujących mu barwę i lotność francuskich naleciałości! Ale dla dopięcia tego celu należało koniecznie lepiej zapoznać się ze skarbami prowansalskiego języka, ukrytemi w zwrotach i wyrażeniach ludowych. Na wspólkę z humorystą Cassan'em, przebiegał Roumanille przez lat dziesięć okoliczne wioski, zasiadał do późnej nocy w jakim szynku lub sklepiku, i gdy Cassan rozweselając zebranych,

[1] „Lis Oubreto" (Dziełka) str. 1. — Do studyów nad współczesną literaturą prowansalską, prócz wspomnionego już „Kalendarza", posłużyć może wiele artykułów i krytyk z „Revue des Deux Mondes", z ostatnich lat trzydziestu; broszury i artykuły rozsypane w różnych niemieckich pismach: Hartmanna, Boltza, Böhmera; znakomite prace O. Kreitena T. J.: „Felibre und Felibringe" i „Weihnachten in der Provence" (Stimmen aus Maria-Laach, na r. 1875 i 1882). — Włoskich czytelników zapoznał z nowymi trubadurami prowansalskimi Ernest Rossi; Hiszpanów Roca de Roca y Balaguer; Anglików H. Grant.

wyciągał z ich ust coraz nowe zwroty, oryginalne przysłowia, lub zaklęcia, poeta siedząc w milczeniu na boku, skrzętnie wszystko notował. Owocem tych filologiczno-poetycznych badań, w których na szczęście filolog nigdy nie zgnębił poety, była wiązanka wierszy „Li margaritedo“, wydana w r. 1847, dzieląca się na cztery części, odpowiednio do czterech pór roku. Proste, a przecież głębokie myśli i obrazy, zdawałoby się ukradzione przecudnej przyrodzie południowej Francyi, chwyciły odrazu czytelników za serca. Pierwszy wiersz poświęcony matce: „Gdzie chcę umrzeć“? kończył poeta słowami, cechującemi cały jego kierunek i program:

Ach! dozwól Panie, gdy puchar wychylę
Gorżkiego życia, by mię śmierć zastała
Tam, gdzie mię dzieckiem matka kołysała.

Sonet do Polski zamyka się wierszem chrześcijańskim, przypominającym ulubione motto Krasińskiego:

„Polsko, tyś silna, bo ty cierpieć umiesz'.

Z okazaniem się „Li margaritedo“, język chłopski zrzucił ze siebie niezgrabną siermięgę i nagle okazał się w stroju dawnych trubadurów. Szczęściem Roumanille i idąca za nim falanga poetów wzięła tylko zewnętrzną błyszczącą formę średniowiecznych pieśniarzy, skazując na zasłużone zapomnienie treść ich pieśni, obracających się ciągle i zawsze w zaczarowanym kole niemożliwych miłostek, lub bardziej jeszcze niemożliwych okrucieństw. Trubadurzy razem z piękną formą wzięli od maurów treść niemoralną a przynajmniej jałową; Roumanille piękne to ciało ożywić pragnął piękniejszą chrześcijańską duszą; zrozumiał i nie pomylił się, że złączenie bogatej a fantastycznej formy Wschodu z szczytnemi choć prostemi pojęciami chrześcijańskiego Zachodu, stworzyć zdoła arcydzieła.

Powodzenie wydanych piosnek nie olśniło poety; nie spuszczając z oka praktycznego celu, a pragnąc co prędzej wyplenić przesądy zasiane przez rewolucyę, rozpoczął pod godłem: „Posłuszeństwo, Sprawiedliwość, Miłość“, rozrzucać po całej Prowancyi broszury i artykuły: „Li Club“, „Li Partejare“ (stronnictwa), „Un Rouge em' un Blanc“, „Li Capelan“, podbijające umysł prawdą i niewyczerpanym, choć zawsze delikatnym dowcipem. W poufnych rozmowach przyznawał się Roumanille, że więcej ceni sobie te bro-

szury, niż wszystkie wiersze, które uklecił. Ale wnet zmienić musiał zdanie, czytając nasyłane sobie do oceny z całej Prowancyi wiersze i wierszyki nieznanych i znanych prowansalskich poetów, rozentuzyazmowanych przez „Li margaritedo“. W pierwszym szeregu wystąpiła sama żona poety. Niespodzianie znalazł się Roumanille na czele całej poetycznej szkoły, dającej pierwsze znaki życia w zbiorku wydanym r. 1852 wspólnemi siłami: „Li Prouvençalo“.

Z 31 poetów podpisanych w zbiorku nie wszystkim, rzecz prosta, dano było zostać nowymi Ossyanami, Horacymi czy Homerami. Przed innymi zasługują na uwagę: Kamil *Reybaud*; filolog nowej szkoły, wszechstronnie wykształcony *Crousillat* i *Glaup* z *Orgon*. Dwaj pierwsi nie zawsze umieli trafić w właściwy ton ludowej poezyi; przypomnienia z łacińskiej, francuskiej i angielskiej literatury nie licowały z swojskiemi motywami: ale w pierwszych próbach trudno domagać się wszechstronnej harmonii i doskonałości.

Roumanille umieścił w „Li Prouvençalo“ 16 utworów, osnutych po największej części na religijnej myśli. „Ubóstwo i miłość“, „Żłóbki“ przetłumaczone na kilka języków, wywołały powszechny podziw. Czternaście kolęd o Dzieciątku Jezus, przeszły w usta i serce ludu. Podobnie jak nasze kolędy nie wszystkie stosowne są do śpiewania w kościele, ale wszystkie są oddźwiękiem prostej, lecz serdecznej pobożności. Najmilszą ludowi prowansalskiemu jest kolęda: „L'enfantoun“ [1].

Gadka niesie: dziecko było
Z złotemi loczkami,
Z różowemi policzkami
I anielskiem oczkiem.
Dziecko matkę pięknie prosi:
Poprowadź mię mamo,
Niech zobaczę Boże Dziecię,
Utulone w siano.

---

[1] M'es esta dit, qu'un enfantoun.
Qu'avié la testo bloundo,
Qu'avié lis iue d'oun angeloun
Emé si ganto roundo.
A sa maire disié:
„Maire, meno-me-ie!
Veire l'enfant qu'èi na
Dins la groupio, pecaire.

Większy, żartobliwy poemat: „La part de Diéu“, zawiera nieoceniony materyał dla badacza ludowych obyczajów. Jakiś wieśniak odkopawszy ukryty skarb, używa wesoło życia nie myśląc o jutrze. Szczęściem przezorna małżonka ukrywa część skarbu, a chociaż wszystkie zasoby się wyczerpały, nie zdradza przed nikim swej tajemnicy. Bieda uczy oszczędności i pracy; Bóg szczęści poczciwej zaradności, a rozumna gosposia, nietylko z pomocą ukrytych pieniędzy podwaja majątek, ale jeszcze jednego syna wysłać może do seminaryum. W każdym niemal domku i chatce prowansalskiej spotkać można to opowiadanie, proste, przeprowadzone z nieustającym humorem, a które pewnie więcej zrobiło dobrego niż niejeden tom nudnych morałów o pracy i oszczędności.

Z talentem łączy Roumanille głęboką pobożność i pokorę. Przed oddaniem do druku odczytuje on zazwyczaj swe wiersze jakiemu uczonemu kapłanowi, by się upewnić, że w niczem nie zadrasnął nawet prawd wiary, lub ścisłej moralności. Rozumne to poddanie własnego sądu nie szkodzi widocznie ani poetycznemu natchnieniu, ani popularności, gdyż gdziekolwiek poeta się pokaże, tłumy ludy wprowadzają i wyprowadzają go w tryumfalnych procesyach[1].

Obok Roumanille'a stoi w pierwszym szeregu prowansalskich poetów, uczeń jego *Frederi Mistral.* Po raz pierwszy zwrócił on na siebie uwagę dziesięciu utworami w „Il Prouvençalo“, błyskającemi siłą, życiem, oryginalną ludową werwą. Mistral, podobnie jak Roumanille, czuł głęboko poniżenie własnego języka i literatury. „Gdy Marta jeszcze przędła, odzywa się starzec w poemacie „Mireio“, wtedy śpiewano inne piosenki. Piękne to były piosnki, młodzi moi przyjaciele, długie i piękne... Dziś śpiewają nowe, na francuski sposób; dużo w nich wytworniejszych słówek, ale my ich nie rozumiemy“. Wzbudzić z uśpienia dawnych trubadurów, bez dawnej miękkości ich pojęć i mowy, ożenić południową słodycz z męską energią literatur północnych, stało się marzeniem Mistral'a,

[1] W czasie jubileuszu Petrarki r. 1879, przysłał Wiktor Emanuel Roumanille'owi wysoki order włoski; poeta grzecznie lecz stanowczo wymówił się od tego zaszczytu, którego przyjąć od zaborcy Rzymu nie dozwalał mu charakter katolika i Francuza. W czternaście dni po tej odmowie rząd francuski zamianował Roumanille'a kawalerem legii honorowej.

urzeczywistnionem już w części w pierwszych próbkach lat młodych. W „Amarun“ (Gorycz) prowadzi młodego rozpustnika na cmentarz i otwiera przed nim ponury widok:

Chodź, wejdź wraz ze mną w te ganki żałoby,
Gdzie kłamstwo z prawdą ukryły swe lice;
Przyjdź tu i popatrz na krzyże i groby,
A jeśli nie drżysz, odkryj tajemnice
Tych w kupę zrzuconych kości.

Myśl o śmierci, widok znikomości świata prowadzi umysł wyżej:

Popatrz na gwiazdy, co niby ogniste
Okna pałacu pełnego płomieni;
Popatrz na nieba zasłony wzorzyste,
I rzeknij, czyli nikt się tam nie kryje,
Kto wszędzie, zawsze nas widzi?
Nikt — a więc nurzaj się w rozkoszy puchu,
W szalonym zbytku wciąż nurzaj się dalej;
Lecz jeśli widzi — to zadrżej na duchu,
Jakbyś w powietrzu już słyszał zgrzyt stali,
Znającej czyny i myśli.

Opowiadanie „Mireio“ pierwszy większy poemat, bo aż w dwunastu pieśniach, nowszej prowansalskiej szkoły, rozszedł się wnet po Europie w licznych wydaniach i tłumaczeniach. W Anglii wyszły dwa odrębne przekłady; akademia francuska nagrodziła to dzieło medalem, jako „książkę bardzo moralną“ - sąd skądinąd niekoniecznie prawdziwy. Największą zasługą i powabem Mireio'a jest wierne oddanie zwyczajów i obyczajów prowansalskiego ludu. O rękę pięknej Mirelli dobijają się bogaci sąsiedzi: jeden ma tysiąc owiec, drugi sto koni, trzeci wielkie stado dzikich bawołów; ale serce dziewczyny podbił już dziarski, choć ubogi Wincenty, syn koszykarza. Pewnego wieczora przynoszą do domu Mirelli ciężko zranionego Wincentego; to jeden z odpędzonych zalotników wywarł na nim swą zemstę, nie myśląc, że w ten sposób sam wprowadzi rywala w dom ukochanej. Młode serca porozumiały się i pokochały; niestety! bogaty ojciec Mirelli ni słyszeć nie chce o „żebraku w łachmanach“. Mirella napróżno snem pragnie ukoić troskę; załamuje ręce i woła: „O Matko Boska, poradź mi co robić“! Co robić? Wewnętrzny głos jakiś odpowiada: udać się do świątyni „świętych Maryi nad morzem“, gdzie relikwie trzech świętych Maryj,

przynoszą hojne błogosławieństwo Boże Prowancyi... Choć noc, Mirella wstaje i idzie; jeden i drugi dzień idzie w spiekocie, promienie słoneczne spadają z całą siłą na odkrytą jej głowę. Już dojrzała wysoko zatknięty krzyż, już wynurza się wieża kościoła; osłabła, rażona promieniem słonecznym: doczołguje się przecież do ołtarza i zanosi długą, serdeczną modlitwę do świętych Maryj. Niebo się otwiera; we śnie, czy na jawie Mirella widzi święte, słucha ich słów pocieszających. Za chwilę znajduje się w objęciach strapionych jej zniknięciem rodziców, koło Wincentego, co wiedziony przeczuciem, przybiegł szukać ukochanej, wśród tłumów ludu zgromadzonego z całego miasteczka. Ale święte przyobiecały Mirelli stałe, a nie przemijające wesele; zbliża się kapłan, opatruje konającą ostatniemi sakramentami, a w nawach kościelnych rozlega się donośny śpiew do świętych Opiekunek, „by napełniły pokojem serca nieznające pokoju".

Mistral pragnął wyśpiewać narodową epopeję, ale obrał do niej za szczupłe ramy. Z tego głównego błędu wypłynęły inne; tak np. ostateczna katastrofa, śmierć Mirelli, nie miałaby miejsca, gdyby dziewczyna w głębokim swym żalu, nie zapomniała wziąść z domu kapelusza. Pragnąc zaznajomić czytelnika z dawnemi podaniami i zabobonami, poeta prowadzi go w biały dzień, w 19 wieku do groty czarownicy i każe przypatrywać się jej gusłom przez niekrótki przeciąg jednej pieśni. Więcej jeszcze pozostawia do życzenia kończące poemat zjawienie się świętych Maryj, nie dość odczute, by porwać bez oporu umysł i wyobraźnię w kraj cudowności.

Zachęcony powodzeniem pierwszej swej epopei, ułożył wnet poeta drugą: „Calendau", w której opiewa awantury jakiegoś rybaka, odbijającego hersztowi zbójców porwaną księżniczkę. Księżniczką tą jest Prowancya — cały poemat alegoryczną historyą Prowancyi. Mistral przedsięwziął tu bardzo trudne zadanie; nie dziw, że alegorya i historya, zbyt obciążyły skrzydła poetycznego natchnienia i przeszkodziły do genialnego wzbicia się w górę.

Zastrzeżenia te nie odnoszą się do wyszłej przed rokiem wierszowanej „nowelli": *Nerto* [1], czyli Esterki. Niektórzy krytycy nazwali ten poemat „prowansalskim Faustem"; w każdym razie nie

[1] *Nerto, nouevello prouvençalo pèr Frederi Mistral.* Paris, Hachette 1884.

jest to „nowella“ w zwykłem tego słowa znaczeniu, lecz raczej poważna, w mistrzowski rym ujęta chrześcijańska legenda. Poeta maluje walkę duszy niewinnej przeciw złemu: szatanowi i mamiącemu złotu; dla dopięcia swych zamiarów używa szatan zaprzedanego sobie człowieka, ale łaska zwycięża a w stanowczej chwili posłuszne dotąd narzędzie stawia niespodziany opór i łamie w jednej chwili wszystkie zamysły i mądrze przeprowadzone plany wroga rodu ludzkiego. Nic ci nie zaszkodzą żadne pokusy czy od piekła, czy od ludzi pochodzące, jeśli sam do nich ucha nie przyłożysz, — oto przewodnia, głęboko katolicka myśl najnowszego poematu, nie mniej pięknego co do formy, piękniej obmyślanego co do treści, od dwóch starszych swych braci.

Teodor *Aubanel*, choć również jak Mistral, uczeń Roumanille'a, poszedł pod pewnym względem w kierunku wręcz przeciwnym od mistrza. Roumanille'owi śmieje się niebo i ziemia; Aubanel wszędzie i zawsze słyszy grzmoty zbliżającej się burzy, natura występuje w żałobie, sam język nosi na sobie cechę dzikiej szorstkości, dziwnie odbijającej od przysłowiowej prowansalskiej słodyczy. Jeśli romantyzm polega na nazwaniu każdej rzeczy po imieniu, to Aubanel jest najczystszej krwi romantykiem: w wierszach jego spotkać się można z wszystkiemi częściami ubrania, przypatrzyć wszystkim kuchennym przyborom i potrawom. Najbardziej może idealnie pomyślana elegia „Per Toussant“ (W dzień wszystkich świętych), kończy się przecież twardo i energicznie:

Ku południu ciągnie burza,
Piorun, grzmot:
W Rodanie się brzeg zanurza,
A śmierć w lot
Bez litości wyrok głosi,
Starców i młodzieńców kosi.

Ballada „Dziewiątego Termidora“ jest okropnym obrazem, pełnym krwi i jęków; dość przytoczyć powtarzającą się co czterowiersz zwrotkę:

Czemuż tak dziko twój nóż spogląda,
Nóż wyostrzony?
Głów i krwi ludzkiej nóż mój pożąda,
Krwim jest spragniony.

W ostatniej zwrotce kładzie poeta te same słowa w usta już

nie kata, ale całego długo gnębionego narodu; nadeszła godzina zemsty, ostre noże gilotyny spragnione teraz krwi katów. Wrażenie sprawione niespodzianym tym lirycznym zwrotem, przejmuje słuchacza dreszczem [1].

Zbiór wierszy „La Miougrano entreduberto“ (Rozpadłe jabłko rajskie) składa się z trzech ksiąg, p. t.: „Księga miłości“, „Jasne chwile“, „Księga śmierci“. Dziwny ogólny tytuł tłumaczy poeta wstępnym czterowierszem:

Jak rajskie jabłko, pod słońca żarem,
Tak serce dojrzało moje;
Lecz nie zrównawszy myślom słów czarem,
W łez przemieniło się zdroje.

Dziwne motto, dziwniejsza skarga w ustach poety, mającego na swe usługi język jakby zrodzony do poezyi. W „Księdze miłości“ opłakuje Beatryczę swoją, nadobną, niewinną Zani; ale niestety! wpływ Petrarki, a bardziej jeszcze zmysłowej literatury francuskiej, przemógł nad wzniosłym wzorem postawionym przez Danta. Zani mogłaby być idealną Beatryczą, mogłaby porywać serca i umysły w górę, lecz sam poeta zbyt wtopił oko w realistyczne wdzięki, by zachować dość czucia na wdzięki duchowe, dość hartu aby złożyć należyty hołd poświęceniu swej ukochanej, opuszczającej świat dla klasztoru. Dopiero w ostatnich strofkach jednających nas z „Księgą miłości“, występuje znowu poeta prawdziwie chrześcijański. Poddanie się woli Bożej, łagodzi straszną boleść serca:

Znikły wiosenne światła promienie,
Znikły rozkosze, radości:
Łzy mi zostały, łzy i zmęczenie,
Z pięknego czasu miłości.

Męża, niewiasty — tak życie płynie;
Różnie — lecz każdy się dręczy:
Za krótką radość, długie cierpienie,
Aż śmierć cierpienia uwieńczy.

Z każdym porankiem twarz mi blednieje;
Co tobie? siostra mię pyta.
Ach nikt nie odgadł, co się tu dzieje,
Ach! w sercu pokój nie świta.

[1] Słodki język prowansalski nabiera tu przerażającej energii:
„Amoulas de-fres lou grand coutéu:
Tranquen la téste dou bourrèu!“

Panie! choć kroplę, kroplę pokoju,
Pokoju, zadatku nieba;
Daj mi, jak dają dziecku żebraką,
Przy bramie kawałek chleba.

Jedno, jedyne drzewo słodyczy,
Kwitnie w żałości dolinie:
Szczęśliw, kto w szczęściu, tak jak w goryczy,
Boże! do Ciebie wciąż płynie.

Między dwunastu wierszami „Jasnych chwil“ (Entrelusido) najmilszy jest ostatni: poeta posyła małemu dziecku statuetkę N. Panny „do wielkiego miasta, gdzie człowiek w zadusznych domach mieszka jak w więzieniu; gdzie w dzień i w nocy nie da uchu odpocząć tętent kopyt, turkot wozów. Ale dziecko kochające Maryę, znajdzie i w tem hałaśliwem mieście, mały, oświecony promieniami słonecznemi pokoik, w którym umieści wizerunek swej Opiekunki, otoczy go najpiękniejszemi kwiatami, światłem jarzącem, i wespół z wonią kwiatów, z promieniami światła, zasyłać będzie na ręce Maryi swe modły do nieba.

Po „Jasnych chwilach“ — „Księga śmierci“; po krótkiej chwili radości, długa boleść, życie łez pełne. W małej chatce dzieci przewracają się na łóżeczku i wołają chleba:

„Mamo, a kiedyż śniadanie?
Miałaś nam kromkę dać chleba“.
„Spać dzieci! Jeszcze zaranie,
Jeszcze wypocząć potrzeba“.

To znowu wdowa grzebie małe dziecko, ostatnią pociechę. Matki betleemskie na wszystkie tony zawodzą żałobę po zamordowanych niewiniątkach; z upodobaniem rozpaczy wyliczają najróżniejsze rodzaje śmierci biednych swych dziatek. Hymn do N. Panny zamyka znowu tę księgę, jak zamykał poprzednią; szczęśliwy poeta, co swe smutki i radości ofiarowuje Królowej aniołów, Pocieszycielce utrapionych:

Dziewico-Matko, Tobie pod nogi,
Ściele się moja piosenka:
Tyś życie moje, miłość, skarb drogi,
Zbawienia pewna jutrzenka!
Przyjm tę książeczkę, przyjm sercem całem,
Jak ją w cześć Tobie Matko, spisałem.

Wyliczeni dotąd poeci należeli wszyscy do związku Felibrów;

ksiądz Ludwik Symeon *Lambert* nie złączył się z ich gronem, obawiając się może, by z czasem ta urzędowa niejako prowansalska poezya nie zstąpiła z nieba na ziemię, nie przesiąkła niezdrowemi wpływami dawnych trubadurów [1]. Przygrywając na poetycznej harfie, nie zapominał, że nosi sutannę kapłańską.

Jestem kapłanem, jestem trubadurem.
Patrzysz z podziwem, i myślisz, że klechy,
Zdatne są tylko powiedzieć kazanie,
Odśpiewać sumę i wysłuchać grzechy.
Mój przyjacielu! jam zrodzon do pieśni:
I jako słowik piosnki nuci swoje
Wśród dziennej pracy, tak i mnie też wolno
Pieśnią łagodzić codzienne me znoje...
. . . Ależ trubadur miłość śpiewać musi?
I w mojem sercu miłość jasno płonie:
Betleemskiego Króla jam śpiewakiem,
I przeto śmiało w górę wznoszę skronie,
I wołam głośno z wieszczów świętych chórem:
Jestem kapłanem, jestem trubadurem.

„Betelèn", cyklus pieśni, kolęd i ballad na cześć Boskiego Dzieciątka, zawierać miał wedle pierwotnego planu dwanaście części, opiewających życie Zbawiciela, od narodzenia do powrotu z Egiptu. Przedwczesna śmierć (r. 1868), nie dozwoliła poecie doprowadzić swej myśli do dojrzałości; pozostałe materyały ugrupował wydawca O. Bouffier T. J. w pięć ksiąg, załączając jako dodatek kilkanaście czysto lirycznych kolęd. Do Betleemskiej stajenki zdąża cała przeszłość, z niej wypływają przyszłe dzieje świata; pojęta w ten sposób „Betelèn", jest prawdziwą a wzniosłą epopeją całej ludzkości. Po tylu utworach wieków najpierwszych, średnich, nowych, na cześć nowonarodzonego Jezusa, potrafił Lambert, jeśli już nie odnaleść nowe motywa, to przynajmniej w nowem świetle

[1] Obawiać się tego było można po ukazaniu się poematu „Farandoulo" przez Anzelma Mathieu. Czterdzieści pięć różnych utworów składających ten poemat, są nudnym a długim zbiorem coraz inaczej przyprawianych, denerwujących miłostek i romansów. Jeśli Mathieu koniecznie chciał naśladować trubadurów nawet w ich błędach, to lepiejby zrobił rozkrawując za ich przykładem w najdrobniejsze kawałeczki ukochanego przyjaciela i posyłając je w prezencie różnym książętom i królom, niż zatruwając pożyczoną od nich słodką trucizną serca prowansalskiej młodzieży. Mniej szkodzi obcować z ludożercą, niż z rozpustnikiem.

je postawić. Prześliczne są hymny aniołów unoszących się nad stajenką: Anioła morza, obłoków, burzy, wojny, głodu, zarazy, pokoju; hymny te przypominają mimowoli najwznioślejsze ustępy liryczne Kalderona w „Autos sacramentales“. Anioł np. burzy śpiewa:

Czarne jak noc chmurzysko kroczy,
Burza ze grzmotem na kraj się toczy,
Ze skałą igra, dęby rozdziera,
Tumanom piasku, deszczu potopom
Dzikim pochodem drogę otwiera.

A w pośród walki i nocy
Ogniste zjawisko,
Pisze złotemi głoskami,
Nieśmiertelnego nazwisko,
I burzy lotem
Głosi je światu
Piorunnym grzmotem.

Ludzie składają ręce, zginają kolana,
Oddając cześć Przedwiecznemu,
Którego widzę w żłobie na wiązeczce siana.

W pieśni „O piekle i jego zatraconem słońcu“ widzi poeta w męczarniach skąpców, morderców o wytartem czole, ale przedewszystkiem „obłudnych pisarzy, zagubę dusz czystych“. Widok piekła ma nam tylko lepiej uprzytomnić znaczenie dzieła Odkupienia, rozpoczynającego się w stajence Betleemskiej. Tutaj gwiazdy, góry, ptaki, zwierzęta łączą się wspólnie, by urządzić koncert Panu swemu: Bogu-człowiekowi. Śmierć staje również przed żłobkiem; trzykroć próbuje walki, i po trzykroć Jezus, śmierci śmierć zadaje. Przed zwycięzcą w długiej tryumfalnej procesyi przechodzi cały stary Testament; wszyscy ci, co oczekiwali i przygotowywali świat na przyjście Zbawcy: Patryarchowie, Prorocy, pogańskie Sybille. Nagle zmienia się ton poezyi; z idealnego przechodzi w realistyczny. To pastuszkowie: Bartki i Maćki prowansalskie wpadają z hałasem do stajenki, ofiarować dary nowonarodzonemu Królowi. Jeden z pasterzów — zdawałoby się, że autor z polskich kolęd to wypisał, — niespodzianie zbudzony, budzi swym krzykiem towarzyszy. Lamenta, gniewy, gwar nie do opisania; dopiero anioł uspokaja waśniących się już na dobre pastuszków i prowadzi ich do stajenki.

Tak raniutko,
Cóż znaczą te krzyki?
Tak raniutko,
Śpiewy i muzyki!
Di rum, di bum! Nie krzyczcie! Nie krzyczcie!
Di bum, di rum, di bi!
Hej ha! Trudna rada,
Wesoło ciągnie gromada!

Pasterze wesolo
Po łąkach mkną,
Pasterze wesolo
W dudeczki dmą.
Di rum, di bum, po kątach, po drogach,
Rumdi, bumdi, rumbum,
W piszczałki i flety,
Trąby i klarnety.

Matka N. śpiewa również Synowi kołysząc Go do snu, ale wtedy tylko gdy sądzi, że nikt Jej nie słyszy. Raz przechodzi koło stajenki gromada zmęczonych robotników: „Patrzcie, otóż i On — Mesyasz — przyszedł na świat, a Bóg postępuje z Nim, tak jak z nami; i dla Niego ziemia skąpi swych darów i Jego Matka pocić się musi przy ciężkiej robocie. Kiedy Jego pałacem stajenka, to i któż z nas śmiałby się na los swój skarżyć“. Boże Dziecię błogosławi zmęczonym, a oni z nową odwagą i siłą chwytają za ciężkie siekiery i motyki. „A teraz, kończy poeta, możecie znów spokojnie zasnąć, bogacze i potężni!“

W lutym 1868 pożegnał poeta anioła swych kolęd:

Razem szliśmy czasu wiele
Do Betleem.
Dziś nadeszła twa godzina,
Wracasz w niebo mój Aniele,
Odtąd trud mój marna strata,
Bo nie wrócisz w przyszłe lata[1].

Po kilkowiekowym letargu obudziła się dziś prowansalska poezya i od razu zakwitła całą pełnią życia. Czy to tylko gorącz-

[1] Vaqui longtemps que trève
Emé tu Bételèn,
Juei toun ouro es vengudo:
Torno au céu moun ajudo
Ema peno es perdudo!...
Vendras plus, l'an que vèn!

kowe wysilenie, czy młodzieńcza, żywotna działalność wracająca z podwojoną energią po długiej bezczynności? Dziś jeszcze nie podobna osądzić, ale rozwiązanie tego pytania zależy z pewnością od tego, czy młoda, wciąż rosnąca plejada prowansalskich poetów, puści się torem wskazanym przez Roumanille'a, śpiewając domowe tradycye i głęboko wkorzenioną religię — czy przeciwnie, szukając natchnienia i poklasku w Paryżu, ugrzęźnie w materyi i sprzedawać będzie za drogie pieniądze swym współziomkom truciznę, kryjącą się w poezyach dawnych trubadurów, bez ich woni i barwy.

X. Jan Badeni.

PO ZJEŹDZIE NAUCZYCIELSKIM[1].

(Dokończenie).

II.

Następnie dyskutowano nad umundurowaniem młodzieży szkolnej. Sprawa to nie nowa, mająca już swoją historyę od czasu, kiedy z nastaniem rządów konstytucyjnych z większą swobodą osobiste zapatrywania wynurzać się mogły. Poszczególne grona nauczycielskie, memoryały Towarzystwa pedagogicznego, sejm i ankiety poruszały lub wznawiały sprawę, lecz zawsze bez skutku. Nigdy w tym względzie nie było jednomyślności, a najwyższa władza edukacyjna w różnych dobach i w różnym swym składzie uchwałom większości stanowczo sankcyi odmawiała[2]. Pomimo tak stanowczej postawy naczelnej władzy edukacyjnej, Koło z chwalebną skądinąd wytrwałością wniosło tę sprawę na porządek dzienny walnego zgromadzenia, i pomimo gorącej i dzielnej opozycyi uzyskało uchwałę wniosku większością 32 głosów na 78 głosujących.

Zdaniem referenta wpłynie umundurowanie: na zmysł porządku, podniesie karność szkolną i pozaszkolną, ścieśni węzły koleżeństwa, wzmocni ducha korporacyjnego, zatrze różnicę stanów, położy tamę próżności, ułatwi kontrolę i przyczyni się do oszczędności, gdyż mundury mają być tańsze aniżeli upowszechnione ubieranie się młodzieży szkolnej.

---

[1] Odpowiedzialność za poglądy i zdania w tym artykule wyrażone, pozostawia Redakcya autorowi. *Przyp. Redakcyi.*

[2] Po raz ostatni a po raz pierwszy publicznie: „Sprawozdanie c. k. Rady szk. kr. o stanie szkół średnich galicyjskich w latach szkolnych 1875 do 1883“. Część II. Alegata str. XV. wiersz 28 sqq. od góry, kolumna 1-sza.

Skoroby, po zaprowadzeniu mundurów przytoczone korzyści w rzeczywistości dały się osiągnąć, nie wahalibyśmy się ani chwili jak najgoręcej za ich zaprowadzeniem przemawiać. Mamy atoli pewne wątpliwości, a nie chcąc na tem miejscu argumentów przytoczonych szczegółowo rozbierać, co gdzieindziej sobie uczynić pozwoliliśmy, niektóremi tylko ogólnemi uwagami zadowolić się zamierzamy.

Zaprzeczyć się nie da, że tylko prawdziwa dbałość i miłość dla młodzieży domaganie się mundurów podyktowały. Patrząc na coraz większy upadek społeczeństw, na coraz to bardziej rozluźniające się węzły karności publicznej, nie pogardzamy żadnym środkiem, który się tylko, chociażby w cząstce, przydatnym wydaje do powstrzymania przyszłej generacyi od spadania po tej równi pochyłej.

Śledząc jednak objawy i badając tychże przyczyny, dochodzimy do przekonania, że w dzisiejszych czasach pozór, rzecz czysto zewnętrzna, prawie z nadmierną dbałością bywa zachowywany, grunt zaś moralny, owe źródło prawdziwego postępu i rozwoju, coraz bardziej się obniża. Budzi się przeto w naszym umyśle może nie zupełnie płonna obawa, ażebyśmy przez stanowcze zalecanie mundurów nie stali się pomimowolnie poplecznikami pozoru. Widzimy bowiem, że zakłady, szkołą średnią zwane, w całej swej organizacyi tyle wykazują środków moralnie kształcących i przed zepsuciem chroniących, iż chyba tylko niedokładne lub niedokładnie pojęte tychże wykonanie do czysto zewnętrznych środków zwracać i uciekać się nakazuje. Rozbierając szczegółowo przepisy dla nauki i wychowania, jakie w szkole średniej obowiązują, nie możemy o nich inaczej sądzić jak tylko, że zupełnie odpowiadają celowi swemu tj. wychowaniu człowieka. Gdy atoli mundury zalecano, nie nabraliśmy przekonania, jakoby inne środki wychowawcze w rzeczy samej nie wystarczały, przeto z trudnością zdołalibyśmy się zgodzić na nowe próby, zanim nie nabierzemy przekonania, że dawniejsze środki, za pomocą których całe pokolenia wychowano, bezwzględnie nie wystarczają.

Nie mniej wpływa na nasze zdanie wzgląd, iż żądaniem mundurów wywieramy niejako presyę na społeczeństwo, któremu w tej mierze zupełna dotychczas przysługiwała swoboda. Przeto słuszną

wydaje nam się uwaga następującej osnowy[1]: „Mundurowanie uczniów nie mogłoby być zapewne zaprowadzone prostem rozporządzeniem władzy edukacyjnej, bez naruszenia praw obywatelskich rodziców, obejmujących także prawo ubierania swych dzieci według własnej woli i możności, w granicach powszechnie przyjętych zasad przyzwoitości". Nadto zdaje się nam, że mundur tańszym tylko dla tych być może, którzy modnej fantazyi dogadzać mogą, a ponieważ ci zawsze są w mniejszości, przeto nie uważalibyśmy za słuszne zmieniać dla nich cały dotychczasowy system.

Rozglądnąwszy się także w stosunkach, jakie panują w zakładach publicznych, w których mundury są obowiązkowe, doszliśmy do przekonania, że rozmaicie się tam dzieje. Karność i postęp okazywały się zawsze w równym stosunku do osobistości zakładem zawiadujących. O ile umiejętnie i moralnie wyższe siły na młodzież oddziaływały, o tyle też była lepszą i naukowo silniejszą, jakoteż odwrotnie. Mundury przeto pod tym względem najmniejszej nie odgrywały roli. Inaczej ma się rzecz z internatami. Tam mundury są konieczne, albowiem z duchem internatów zupełnie zgodny przedstawiają czynnik. Internaty mając mundury i stanowiąc w sobie zamkniętą całość, posiadają także organa na każdym kroku wychowanków dozorujące, czego zakłady publiczne nie posiadają. Zaprowadzając mundury, trzebaby koniecznie ustanowić także osobnych inspektorów do dozorowania młodzieży po za szkołą, przeciw czemu największe powagi pedagogiczne stanowczo się oświadczają.

Wreszcie popiera nas w powątpiewaniu o skuteczności mundurów okoliczność, że śród tylolicznych rozpraw nad wychowaniem młodzieży w szkołach publicznych nie tylko u nas, lecz na całym niemal świecie, nigdzie sprawy umundurowania nie tylko nie zaliczono do środków wychowawczych, lecz nawet wedle naszej wiadomości, nie podniesiono jej ani jednem słowem. To zastanowić może. Nie chcemy przez to powiedzieć, że tylko to dobre, co gdzieindziej się dzieje, owszem wszelkie wychowanie powinno się liczyć z każdorazowemi potrzebami i stosunkami, wśród których się odbywa, lecz mundur, który w wojsku ogólnie został przyjęty, w szkolnictwie powinienby także ogólniejsze przynajmniej budzić zajęcie, wszak mło-

[1] Sprawozdanie R. szk. kraj. l. c.

dzież wszędzie z swemi wadami i zaletami się znajduje, a nigdzie nie braknie skarg na takie lub inne zdrożności, którym u nas postawieniem na porządku dziennym kwestyi mundurowej zaradzić się starają. Zważywszy wyżej przytoczone okoliczności, nie możemy uznać za konieczną potrzeby zaprowadzenia mundurów.

III.

Wniosek Koła przemyskiego, dotyczący wydania pragmatyki służbowej dla nauczycieli szkół średnich w obec faktu, że sprawa suplentów stoi już na porządku dziennym Rady państwa, i że wniosek, jako ściśle administracyjny, tylko względnie ze sprawą wychowania się łączy, bliższej nie wymaga analizy.

W dalszym ciągu posiedzenia omówiono sprawę szkół przemysłowych. Referent w jasnem i zajmującem przedstawieniu, wniosek, o ile, nie znając się na tej kwestyi dokładnie, sądzić możemy, obszernie rozwinął i gruntownie umotywował. Sprawa ta atoli mogłaby właściwiej na walnem zgromadzeniu Towarzystwa pedagogicznego zajmującej uledz dyskusyi, albowiem z zadaniem szkół wyższych o tyle tylko zostaje w związku, o ile szkoły przemysłowe najskuteczniej zbytniemu napływowi do szkół średnich zapobiedz mogą. Skoro bowiem powstaną zakłady o wyłącznie praktycznym kierunku, szkoła średnia, dla wyższych nauk mniej przydatną a do przemysłu nadającą się młodzież, w jej własnym interesie ze swego organizmu bez najmniejszego skrupułu wyeliminować może, wskazawszy odpowiedniejsze dla jej talentu i chęci miejsce, w którem sobie byt zabezpieczyć a ludzkości pożyteczną stać się zdoła. Mając nadto takie odpływisko bardzo skutecznie także obarczeniu się zaradzi, którego obok zasadniczych powyżej poruszonych przyczyn, w niemałej części także za słabe zdolności wrodzone, za szczupły zasób materyalny na tak długotrwałą naukę i przepełnienie klas, bywają powodem. Życzyć tedy należy, ażeby w interesie podniesienia przemysłu i handlu, najważniejszej dźwigni krajowego i państwowego bogactwa, rychło powstały jak najpraktyczniej urządzone i przez jak najlepsze siły kierowane zakłady przemysłowe, któreby rozsiane po całym kraju mogły nadać zdrowy kierunek całemu ruchowi praktycznych zadań naszej kultury.

Obydwa wnioski po krótkiej dyskusyi przyjęto, jakoteż znakomicie umotywowany wniosek Koła lwowskiego, w którym referent przekonywująco uzasadnił, że w obecnych warunkach nie jest koniecznem pomnożenie liczby godzin dla języka polskiego, tudzież, że zachodzi potrzeba podniesienia normalnego etatu osób każdego grona nauczycielskiego do liczby czternaście.

IV.

Walne zgromadzenie nietylko nad sprawami młodzieży się zastanawiało, lecz po wysłuchaniu referenta przemawiającego imieniem przemyskiego Koła, przeprowadziło bardzo ożywioną dyskusyę nad wnioskami, odnoszącemi się także do sposobu kształcenia samychże nauczycieli, następującej osnowy:

1) Jest rzeczą pożądaną, aby dla kandydatów stanu nauczycielskiego w ciągu ich czteroletnich studyów uniwersyteckich zaprowadzono, bez naruszenia swobody wykładów uniwersyteckich, egzamina częściowe z nauk teoretycznych, potrzebnych do objęcia publicznych obowiązków.

2) Należy kandydatom stanu nauczycielskiego obok ich wykształcenia teoretyczno-naukowego podać także gruntowne wykształcenie pedagogiczno-dydaktyczne przed objęciem obowiązków publicznych, a to przez odpowiednio urządzone obowiązkowe wykłady z dziedziny pedagogii i dydaktyki, jakoteż przez obowiązkowe ćwiczenia praktyczne.

Na mocy zapadłej uchwały przekazało zgromadzenie pierwszy wniosek Wydziałowi do zbadania, drugi zaś uchwalono z dodatkiem, iż Koło uznaje konieczną potrzebę gruntowniejszego i ogólniejszego wykształcenia filozoficznego kandydatów nauczycielskich i z tem w związku stojącą potrzebę pomnożenia katedr filozofii w uniwersytecie.

Taki los spotkał szeroko rozwinięte w referacie, a powyżej przytoczone wnioski, które w niniejszym poglądzie krytycznym analizie poddać zamierzamy.

Sprawa w mowie będąca należy niezaprzeczenie do poważnych zagadnień, a sąd o niej na podstawie więcej aniżeli wystarczającej

literatury[1] i dostatecznego doświadczenia w długoletniej praktyce szkolnej snadnie każdy mógł sobie wyrobić. Na tej podstawie nabraliśmy przekonania, że rzecz w sobie słuszna, w wywodzie referenta nie przedstawia się tak, iżby ją za załatwioną, albo przynajmniej w stosunku do tylolicznych u nas jak i gdzieindziej zalecanych sposobów wyjścia i poczynionych prób za posuniętą o krok naprzód uważać można. O nic bowiem łatwiej na świecie jak o nakreślenie pewnego systemu przy biórku, jakich literatura właśnie w tej materyi tyle powstających i bez śladów przemijających widziała, o nic jednak trudniej jak o zadośćuczynienie pewnym domagającym się naprawy niedostatkom zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy, dla których naprawy skutecznych dobrać należy środków.

Zdaniem referenta obecne kształcenie kandydatów stanu nauczycielskiego nie jest odpowiednem celowi. Zaradzić temu powinna, jak pierwszy wniosek opiewa, zmiana sposobu przeprowadzania egzaminów teoretycznych. Egzamina nie mają się odbywać jak dotychczas po ukończeniu czteroletniego kursu, lecz analogicznie jak na wydziale prawniczym po upływie co dwóch lat, zatem po drugim i po czwartym roku.

Rzecz na pierwszy rzut oka wydaje się słuszną, ludzką, ponętną i bardzo popularną, i dziwić się można, jak twórcy nowej szkoły średniej w Austryi, mając już wzór gotowy na trzech innych fakultetach, wyjątkowy dla czwartego fakultetu *modus procedendi* stworzyli. A mimo to po głębszym namyśle[2], jak niemal wszyst-

[1] Pomijając kompendya przytaczamy np. K. Fischer, „d. Reform d. höheren Schulen". Greifswald 1876. Dr. M. Wretschko, „Die Fachbildung und Prüfung d. Lehramtscandidaten f. Mittelsch". Wien 1875. Dr. Dronke, „Pädagog. Archiv. XIX. Jhrg." 1877, Nr. 1. — Dr. E. Czerkawski, „d. wichtigsten gymnasialpädagog. Probleme etc. Ztschrift f. österr. Gymn. XXII. Jhrg. 1871 pg. 690 ff". — O. Lorenz, „über Gymnasialwesen", Pädagogik u. Fachbildung. Wien 1879". — L. Kulczyński. Wykształcenie nauczycieli gimn. Lwów 1883" — G. M. Pachtler S. J., „d. Reform unserer Gymn.". Paderborn 1883 pg. 272 do 286. — Dr. Th. Vogt., „d. pädagog. Universitäts-Seminar etc." Leipzig 1884. — R. C. Riedl, „über d. Vorbildung zum Lehramt an d. Mittelschulen, Jahresb. Gymn. d. k. k. Theres. Akad." Wien 1885, pg. 3 do 110. — „Neue Jahrbücher f. Philologie und Pädagogik 1886. Heft 1, 2 i mnóstwo innych.

[2] Byłem niegdyś zupełnie tego samego zdania co referent, jak artykuły w *Czasie* z r. 1879 świadczyć mogą. Dzisiaj nie mógłbym się na to pisać, bo zupełnie inny pogląd wyrobił się z wiekiem. Jeżeli w niejednej rzeczy się mylę, to w tem, że cofam przed kilku laty rzucony pogląd, bynajmniej.

kiemu, co wyszło z pod ręki Bonitza i Exnera, tak i temu na pozór wyjątkowemu zarządzeniu jak największą oddać trzeba słuszność. Przeniknąwszy bowiem myślą dzieło, które stworzyli, ukorzyć się trzeba przed głębokim rozumem i tak dokładnem wyrozumieniem istotnych potrzeb swego czasu, iż już dzisiaj śmiało twierdzić można, że przed sądem następnego wieku jako z najgłębszych głębiu tegoczesnej cywilizacyi wyrosłe potęgi pedagogiczne staną, których dotychczas nikt nie przewyższył, a najmniej Vogt lub Lindner, których główne rysy w referacie przemyskim bez trudności odnaleść się dadzą.

Rodzaj egzaminów teoretycznych odpowiada w zupełności pojęciu, jakie w zarysie organizacyjnym o stanie nauczycielskim przebija. Przyznać należy, że pojęcie to jedynie rozumne a dla nauczycieli zaszczytne i pochlebne. Nauczyciel, jako silna i wybitna indywidualność pojęty, mocą tej swojej indywidualności na wykształcenie i wychowanie równie silnych i wybitnych indywidualności u swoich uczniów działa. Podstawą, na jakiej ta indywidualność spoczywać ma, jest w pierwszym rzędzie gruntowna i samodzielna wiedza, z której, jeżeli nią jest w rzeczywistości, koniecznie szlachetność i wyższość umysłu wypływa. Do wiedzy tej toruje mu drogę wykład na uniwersytecie i praca w seminaryum, które mu w częściowych rysach wskazują, jaką drogą dochodzi się do zdobycia jej w całości. Jest zatem pomoc, lecz jest i możność a raczej przymus do samodzielnej pracy stworzony, co genialnym należy nazwać pomysłem, bo kto na innych kształcąco chce wpływać musi przedewszystkiem nauczyć się być samodzielnym a nadto, kto sam trudy zwalczał, jedynie innych od trudu nadmiernego ochronić może, czyli wyraziwszy to utartym a modnym obecnie frazesem: bez obarczenia nauczać potrafi. Także zapominać nie należy, że wiedza jest całością i dzielić się nie da, szczególnie u tego, którego całe działanie i główna istota na niej się zasadza. Skonstantowaniem tej wiedzy jako całokształtu jest właśnie egzamin teoretyczny, który *ipso facto* częściowo odbywać się nie może, bo przy każdej części całość zarówno musi być obecną. Zatem nie ma potrzeby dwa razy się trudzić, skoro za jednym razem to samo uzyskać można. Wreszcie szersze ogarnięcie rzeczy jest niezbitym dowodem wrodzonego talentu, jakim nauczyciel koniecznie być musi, bez tego bowiem jego nauka martwa a życie jak z liści obnażone drzewo.

Uniwersytety nie mogą przeto swej mądrej i doświadczeniem stwierdzonej organizacyi zmieniać. One mają reprezentować, podawać i rozwijać na mocy każdorazowo panujących prądów wiedzę, wdrażać w nią młode siły a oraz je sortować przy egzaminach teoretycznych, co obywatelskim ich jest obowiązkiem, który im skrupulatniej spełnią, tem bardziej zasłużą się sprawie wychowania, którego rodzaj społeczeństwu obojętnym być nie może. Obstajemy przeto przy panującym sposobie teoretycznych egzaminów[1]. Inną atoli jest rzeczą przygotowanie do takiego egzaminu i sposób przeprowadzenia go. Przedewszystkiem nie należy siłom mającym służyć szkolnictwu pozwalać się błąkać i rozpróżniaczać. Nowo wstępującym, powinien któryś z członków fakultetu w wstępnym wykładzie wskazać cel, do jakiego dojść mają i wykazać składowe części organizmu mającej się zdobyć wiedzy, oraz wykazać następstwo tychże części po sobie, co pierwej a co potem, i wskazać najgłówniejsze realne i metodyczne środki. Rzecz na innych uniwersytetach praktykowana i t. zw. programami poparta. Dalej ścisłe *colloquia* po każdym semestrze powinny być obowiązkiem dla wszystkich bez wyjątku, tak dalece, że semestru bez *colloquium* nie testuje się, a zatem i za nieprzebyty się uważa. *Civis academicus* powinien wiedzieć, że jego jedynym obowiązkiem jest sumienna i wytrwała praca nad sobą. Jeżeli to każdemu młodzieńcowi doradzać należy, to świętym obowiązkiem jest przyszłego nauczyciela pamiętać o pięknych a głębokich słowach Lenaua:

Nur wer sich mit eignen Kräften
Durch das Dickicht einen Pfad schafft,
Kann den Kranz sich dauernd heften, —
Kunst ist keine Kameradschaft.

Wreszcie powinien kandydat przy egzaminie teoretycznym, wykazawszy przy egzaminie piśm. domowym obszar oczytania, znajomość metody, stopień i samodzielność sądu, w pracy pod nadzorem[2] doraźność: nie na drobiazgach być badany, lecz jak tego

[1] „Fachwissenschaftlich tüchtige Lehrer finden sich rasch in die Lehrpraxis hinein", powiada A. Schäfer na zgromadzeniu nauczycieli wszystkich kategoryj d. 28/5 1876 w Bonn.

[2] Za zniesieniem pracy klauzurowej nie przemawiamy. Stosownie postawiona nietylko nie sprawia trudu, lecz owszem jest rodzajem satysfakcyi dla

normy egzaminowe wymagają; a przyznać należy, że są ludzkie i rozumne i każdy uzdolniony i pracowity młodzieniec w ciągu przepisanego czasu z łatwością zadość uczynić im może.

Rozwijając i uzasadniając drugi z przytoczonych powyżej wniosków, domaga się referent w pierwszym rzędzie stałego unormowania wykładów pedagogii w uniwersytecie. Na to zgoda. Skoro bowiem w naszych czasach stare jak świat wychowywanie człowieka wstąpiło na tory umiejętne i przestało być mniej lub więcej szczęśliwym trafem [1], zatem nie zaszkodzi zapoznać się z teoryą i historyą pedagogii, jak słusznie Stoy powiada [2]: „nie należy i nie można przypadkowi zostawić, czy nauczyciel do szczęśliwych tropowców się zalicza, czy też nie, albowiem i szczęśliwsza natura metodycznemi wskazówkami nie zwichnie się i nie ubezwładni". Inaczej atoli przedstawia się rzecz, gdy referent na innem miejscu domaga się aż trzech nowych katedr dla profesorów wykładających pedagogię i kreśli program obszerny i dokładny, aż do ilości godzin tygodniowych, w których pedagogia na trzech żądanych katedrach miałaby być wykładaną. Żądanie takie wydaje się równie przesadnem jak zupełnie sceptyczne zachowanie się w obec teoryi pedagogicznej [3]. Skoro kandydat z poważnemi sprawami wychowania podczas systematycznych wykładów się obeznał, spodziewać się należy, że to dla niego zupełnie wystarczającym będzie zadatkiem na dalszą drogę wychowawczej pracy. Nadto mogą kierownicy specyalnych seminaryów uniwersyteckich zgrabnie o stosunek pracy nad przedmiotem pewnym w uniwersytecie do nauki gimnazyalnej potrącić, co zupełnie wystarczy dla kandydata, ażeby wcześnie mógł poznać, że istnieje i istnieć musi różnica między nauczaniem i wymaganiami w uniwersytecie a w szkole średniej. Przeto nie można się zgodzić na żądanie za-

---

kandydata, któremu nastręcza się niejako sposobność złożenia dowodu dojrzałości i samodzielności. Niechaj atoli temat będzie w samej rzeczy odpowiednym i nie żąda historyi plamki na słońcu, o której kandydat miałby powiedzieć, którą jest z rzędu i ile już razy swą postać zmieniła. Drobiazgowość nie jest jeszcze wyrazem ani próbą wiedzy.

[1] Co Sprawozdanie Rady szkolnej prawdopodobnie pod „szczęśliwą intuicyą" rozumie. Cz. II., pag. 95.

[2] Encyklopädie str. 73.

[3] *Vide* autora niniejszego traktatu artykuły w „Czasie" z r. 1879.

mienienia uniwersytetu na wielką fabrykę rutyny dydaktyczno-pedagogicznej. Pominąwszy, że kształcenie, jakiego referent żąda, byłoby więcej jak jednostronnem, zachodzi słuszna i dająca się łatwo udowodnić obawa, że zdobycie samodzielności i gruntownej wiedzy, kardynalnych warunków dobrego nauczyciela, nie pomału ucierpieć musi, jeżeli już zupełnie zamrzeć nie ma. Skoro pewien ojciec [1], chociaż jeszcze nigdzie trzech katedr na uniwersytecie dla wykładów pedagogii nie ma [2], odzywa się: „Żal by mi było, gdyby moje dzieci w gimnazyum pierwsze zajmowały miejsca, albowiem tacy uczniowie, przy dzisiejszym nauczania systemie z małemi wyjątkami są tylko formalnemi talentami bez rdzennej istoty, i w życiu zaledwie dostateczną okazują aktualność“ – ile dopiero powstałoby żalów, gdyby aż trzy katedry pedagogii działały obok siebie równocześnie?! O takim żalu przedtem nie czytaliśmy i nie słyszeliśmy... Snać, że już obecnie więcej teoryi wychowawczo-dydaktycznej, aniżeli ze zdrowym rozwojem młodzieży pogodzić się da, do szkoły średniej się wdarło, że pod tym naciskiem jednolitość w nauczaniu ucierpiała i pewnej nieharmonijności w postępowaniu — każdemu bowiem arcy-miło być teoretycznie oryginalnym pedagogiem — tory wyżłobiła. Wreszcie referent przeoczył podobno, że pedagog-przyrodnik, pedagog-historyk i pedagog-filolog, jakich na każdej z trzech katedr uniwersyteckich przez siebie proponowanych widzieć pragnie, z natury umiejętnego ujmowania swej dyscypliny, każdy z osobna z nauką swą ściśle zespolony musiałby wysnuwać system wychowawczy, coby w praktyce na polu szkoły średniej do wręcz przeciwnego doprowadzić musiało rezultatu, aniżeli tego każdy zdrowo myślący wychowawca sobie życzyć musi — do niejednolitości wychowania. Zaprzeczyć się to nie da, bo zachodzi związek przyczynowy, zatem jedna katedra pedagogii, pouczająca kandydata o usiłowaniach ludzkości na polu wychowawczem podejmowanych, tudzież o rozmaitych metodach nauczania, obok ściśle filozoficznej zupełnie wystarczy, trzy zaś zamiast złe naprawić, tylko nieuleczalnem uczyniłby je musiały [3].

---

[1] Dr. Berger, Herm. v. Mallinckrodt. Paderborn 1884 pg. 58 Anm.

[2] W Lipsku jest coś podobnego, ale nie w rozumieniu referenta.

[3] „Nebsdem mögen in d. Volksschule und bei wissenschaftlich nicht hochstehenden Lehrern vielleicht einigen Wert haben. Aber je höher das Wis-

Wreszcie domaga się referent utworzenia przy uniwersytecie pedagogicznego seminaryum wraz ze szkołą ćwiczeń. Jestto żądanie, jakie szkoła ludowa w dawniejszych preparandach a dzisiejszych seminaryach już dawno spełniła. Rezultaty są tam widoczne, skąd wniosek, że szkoła średnia przez stworzenie osobnych seminaryów się podniesie. Wniosek niejako sam się narzuca, a mimo to po bliższem zastanowieniu się i ocenieniu rezultatów, jakie istniejące już gdzieindziej tego rodzaju zakłady wydały, nabywa się przeświadczenia, że wniosek co najmniej uludny. Seminarya dla nauczycieli szkół ludowych w żaden paragon stawać nie mogą, gdy toczy się sprawa o wychowanie i wykształcenie wyższe. Inne cele — inne środki! Potwierdza to przed wielu innymi Bonitz[1]: „Skoro się mówi o seminaryach, jako zakładach, mających kształcić nauczycieli szkół średnich, nie należy brać w porównanie seminaryów ludowych“. Próby na wielką skalę, podejmywał nader dbały o rozwój szkolnictwa w Węgrzech, minister Trefort[2], a po kilkorazowej reorganizacyi seminaryów dla nauczycieli szkół średnich w Peszcie i Klauzenburgu, do lepszych sił nauczycielskich nie doprowadził i skarg uciszyć nie zdołał zupełnie. Znane nam jest urządzenie innych seminaryów dla nauczycieli szkół wyższych; każde z nich inną wykazuje organizacyę a żadne nie może się poszczycić znaczniejszą popularnością. Jeżeliby przeto miało przyjść do utworzenia seminaryów dla nauczycieli szkół średnich, nie możnaby ich pod żadnym warunkiem przyczepiać do uniwersytetu. Seminarya wraz ze szkołą ćwiczeń praktycznych, jeżeli znajdą się rodzice na tyle naiwni, ażeby na dzieciach swoich eksperymenta robić pozwolili, mogłyby dopiero po ukończeniu kursów uniwersyteckich i zdaniu egzaminu teoretycznego *pro facultate docendi* kandydatów w zawód praktyczny wprowadzać! Zdaje się atoli, że należycie wyzyskany czas próby[3] przynajmniej tę samą przysługę uczyni, zatem osobna szkoła zbyteczną się okazuje[4].

---

sensgebiet ist, um so mehr braucht es Freiheit“ powiada B. Meyer na wyżej przytoczonem zgromadzeniu w Bonn.

[1] „Ztschrift f. österr. Gymn. 1863 pg. 239 ff.“

[2] Dr. M. Hofmann. „Die praktische Vorbildung zum höheren Schulamt auf der Universität. Leipzig 1881“.

[3] O czem gdzieindziej obszerniej pomówię.

[4] Posłuchajmy, co powiada Kehr (Pädagogik): „Wer das Lehren lernen

Dopokąd zwolennicy nadmiaru pedagogicznej rutyny bardziej do datnich rezultatów nad obecne wskazać nie zdołają, zawsze za najwyższe i najskuteczniejsze warunki dobrej szkoły średniej uważać będziemy: zdolność, dobre wychowanie, rozległą wiedzę i zamiłowanie zawodu [1].

Z innych środków, mogących się przyczynić do podźwignienia stanu nauczycielskiego, najskuteczniejszym jest niezawodnie, jak dotychczasowe doświadczenie pouczyło, zawiązywanie stowarzyszeń, które stanowią ognisko wymiany zdań, odnoszących się do nauki i wychowania. Tu się otwiera rozległe pole do zacnej pracy, do zacnego, z dążenia ku spólnej mecie wynikającego koleżeństwa, do rozpoznania istotnych potrzeb cywilizacyjnych, i środków do urzeczywistnienia tychże potrzebnych. Niechaj przeto Bóg darzy zjednoczonemu nauczycielstwu!

Dr. K. Petelenz.

---

will, muss in die Schule. Die Praxis lernt man nur durch die Praxis, und das Lehren nur durchs Lehren; daran lässt sich ein — für allemal nichts abmarkten".

[1] Oskar Jäger, Aus der Praxis. „Ein Pädagog. Testament". Wiesbaden 1883. Nr. 280, który powiada: „Du meinst, ich solle mich nicht verbittern lassen — o nein, ich weiss nach 40 Jahren besser als Du seit deinen 15, dass alle diese Dinge Bagatellen sind, gegenüber dem tiefen Glück des Lehrerberufs, dessen Kern sie nicht berühren; aber irgendwo ausgesprochen müssen diese Dinge doch werden, und mir macht es keine Ungelegenheiten mehr".

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dzieje Reformacyi w Polsce od wejścia jej do Polski aż do jej upadku. Zebrał i opowiedział *X. Julian Bukowski* św. T. dr. Proboszcz Kolegiaty św. Anny w Krakowie. Tom II. Polityczny wzrost i wzmaganie się reformacyi aż do sejmu w r. 1558/9. Kraków 1886, w 8-ce IX., 599.

Ledwo dzienniki ogłosiły wyjście z druku tomu II. „Dziejów Reformacyi w Polsce ks. dr. Bukowskiego, wnet ukazała się w jednym z poważnych miesięczników recenzya tego tomu, pióra jednego z profesorów uniwersytetu krakowskiego [1]. Przeczytałem ją pierwej, zanim ów spory tom przewertować mogłem. Uderzył mię w niej ton *ab irato,* wyrażenia takie jak np. to: „brakuje mu (ks. Bukowskiemu) zupełnie wszelkich warunków i niezbędnego przygotowania naukowego... autor zgoła nie ma wyobrażenia... obchodzi się ze źródłami w szczególny sposób, niekiedy dziwnie niedbale i lekko... dowód bezmyślnej nieuwagi... przykłady zdumiewającej naprawdę pobieżności“ i kończy kondolencyą: „żal nam, żal szczery zmarnowanej pracy“. Pomyślałem sobie: odmówić kapłanowi, który jest doktorem teologii, członkiem komisyi hist. Akademii umiejętności, lat wiele nauczał w szkołach rządowych i obecnie lata całe trawi nad naukowemi badaniami „wszelkich warunków i niezbędnego przygotowania naukowego, bezmyślną nieuwagę i zdumiewającą pobieżność“ — toć to chyba nie krytyka naukowa, ale chwilowe zapomnienie tej miary i taktu, jakim odznaczać się zwykli prawdziwi uczeni. Te były moje pierwsze myśli i wra-

[1] *Przegląd Polski* r. 1886. Maj, str. 349—354.

żenia; nie pozostały jednak bez pewnego wpływu te inwektywy recenzenta. Przyznaję, że z pewnem uprzedzeniem zabrałem się do przeczytania sporego tomu II. Historyi Reformacyi. Przewertowałem go od deski do deski, trochę uważniej, niż ów recenzent, który przyznaje się, że „zaznacza takie rzeczy, które przy pierwszem pobieżnem przeglądaniu książki wpadły mu w oko“. I jakież było moje zdziwienie: z książki nazwanej „zmarnowaną pracą“ dowiedziałem się rzeczy, których napróżno szukam w innych o tym przedmiocie książkach.

Uczciwa krytyka podnosi ujemne, ale uwydatnia także dodatnie strony książki. Nie przeczę, że styl ks. dra Bukowskiego jest rozwlekły, okresy przydługie, a w nich klamrami objęte kilkowierszowe parentezy rozrywają uwagę czytelnika; przyznaję, że charakterystyka wybitniejszych postaci jak np.: hetmana Tarnowskiego, biskupów Zebrzydowskiego, Uchańskiego, Drohojewskiego, Hozyusza, a dalej Orzechowskiego, Łaskiego, Radziwiłła Czarnego, nie jest jednolita, ale rozkawałkowana i stąd do powtarzań się prowadzi; zarzuciłbym nawet, że reformacyę w Polsce traktuje w odosobnieniu, jakby izolowaną i odciętą od reformacyi w Niemczech i innych krajach, z którą przecie jak córka z matką ściśle złączoną była; zarzuciłbym jeszcze i to, że jest to tylko historya reformacyi w Małopolsce, gdyż o Wielkopolsce i Litwie bardzo niewiele i to w ogólnych rysach podano; zgodziłbym się wreszcie i na kilkanaście błędów co do dat i nazwisk, ale z tem wszystkiem nie mogę tej książce odmówić zalet i rzetelnej zasługi historycznej.

Reformacya tak ściśle spojona jest z dziejami narodu, że ks. Janssen, najzdolniejszy bez wątpienia i najsumienniejszy historyk katolickich Niemiec chcąc napisać sześciotomowe dzieło o Reformacyi w Niemczech, nazwał je „Historyą Niemieckiego narodu od skończenia się średnich wieków“, nic więc dziwnego, że równie sumienny, ale mniej może uzdolniony i rozporządzający nierównie szczuplejszym zasobem materyałów i źródeł ks. Bukowski, pisząc „Historyę Reformacyi w Polsce“ nie mógł jej podać ani wyczerpująco ani w ten sposób, iżby wszystkim wymaganiom krytyki odpowiedziała. Nie przeto jednak nazwać ją się godzi „zmarnowaną pracą“ autorowi zaś odmówić wszystkiego. Owszem, *in magnis voluisse sat est*, podziękowaćby należało ks. Bukowskiemu, że nie

szczędził siedmiu lat iście mrówczej pracy, aby na ten chaos reformacyjnej doby w Polsce rzucić jasny promień i wyświecić wiele wypadków nieznanych albo jednostronnie pojmowanych. Tembardziej że nie nadzieja zysku, ani rachuby świetnej karyery gnały go do tej roboty, ale jedynie zamiłowanie naukowej pracy i szczera żądza odkrycia prawdy. Uznać i uszanowaćby należało w kapłanie to bezinteresowne poświęcenie czasu, talentu i trudu zamiast zarzucać mu, „że nie zna zasadniczych podstaw metody i koniecznych warunków wszelkiej pracy naukowej historycznej". Metodę pisania historyi pożyczyliśmy od Prusaków; wolno pójść za nią, ale narzucać jej wszystkim piszącym nie lża. I niech będą pewni zwolennicy metody i szkoły prusko-historycznej, że byli przed nimi i będą po nich historycy, których dzieła, pomimo, iż je pisali według swojej metody, oddały i oddadzą rzetelną usługę prawdzie historycznej. Urobić sobie pewną, choćby niewiem jak mądrą metodę naukową, podciągać pod nią wszystko, co z pod pióra ludzkiego wyszło; chwalić to, co się w ramy metody pomieściło, ganić i mianem nieuctwa piętnować, co się do tych ram wtłoczyć nie dało — to nie owa rozumna, o szerokich pojęciach krytyka, ale ciasna zarozumiałość.

A teraz do rzeczy: Ks. B. zadał sobie nie mało pracy, aby wyświecić tę rolę, jaką dwaj pierwsi senatorowie Tarnowski i Kmita zajęli w sporze rozpolitykowanej i nowinkami religijnemi roznamiętnionej szlachty z duchowieństwem zamożnem i przemożnem, a moralnie, z nielicznemi wyjątkami, rozwolnialem. W gruncie rzeczy był to stary przez wieki całe po dziś dzień powtarzający się spór państwa z Kościołem o granicę obojej władzy, świeckiej i duchownej. Jak zwykle w tych razach element świecki rozwiązywał samowolnie trudności, stawiał postulaty i narzucał takowe Kościołowi. Juryzdykcya biskupów nad szlachtą nawet, w rzeczach wiary i moralności była w Polsce uświęcona nietylko publicznem prawem kościelnem, ale wyraźnemi edyktami królów i kilkowiekowym zwyczajem krajowym. Z natury rzeczy wynikało, że średniowieczna przewaga Kościoła nad państwem w XVI wieku a tem samem i juryzdykcya biskupów uledz musiała pewnym zmianom, ale należało to do roztropności katolickiego króla i rządu, zmiany te przeprowadzić w porozumieniu i za zgodą Stolicy św., która w kompromisach tego rodzaju nie jest ani upartą, ani krótkowidzącą. Nie uczyniono tego,

i zamiast wysłać do papieża pełnomocnika królewskiego, ułożyć i przeprowadzić z nim punkta konkordatu, któreby król i rząd wewnątrz kraju podtrzymał swą powagą i władzą, wiernie i wytrwale, zostawiono na boku Rzym i papieża, biskupom rzucono w oczy garść obelg, że są uzurpatorami i tyranami, wzięto w obronę rozpustnego księdza dlatego, że był szlachcicem, prywatną jego sprawę wytoczono jako ogólną sprawę zagrożonej wolności szlacheckiej na sejmiki i sejmy, żmieniając te ostatnie z instytucyi czysto państwowej na jakiś soborczyk narodowego Kościoła. Że w tak samowolny anarchiczny sposób brała się do rzeczy szlachta, nic w tem dziwnego, ale że podbijali jej bębenka tacy mężowie stanu jak Tarnowski, to było z ich strony błędem nie do darowania. Mowa Tarnowskiego na sejmie 1552 roku, tak jak nam ją przytacza Orzechowski w swoich *Annales*, przypomina nam niedawne oracye księcia Bismarka w parlamencie niemieckim. Tu i tam ta sama dążność samowolnego podciągnięcia praw Kościoła pod władzę i prawo państwa; te same przesadne skargi na tyranię sumień wolnych obywateli, których państwo wziąść powinno w obronę. „Biskupi, woła Tarnowski, przekroczyli zakres swojej władzy w Polsce... przywłaszczyli sobie prawa królewskie mocą dekretaliów, które nie znaczą nic w Polsce, w razie jeżeli sprzeczne są z prawami polskiemi, król bowiem nie do dekretaliów, ale do praw polskich stosować się przysięgą obowiązuje... Biskupi powinni tylko zabiegać szerzeniu herezyi, a jeżeli mimo ich starania znajdą się heretycy, niech podlegają karom prawami przepisanym — ale mocą wyroku królewskiego, a nie biskupiego... Jeżeliby zaś przy winie tej król jedynie miał władzę wykonawczą, a biskupi rozpoznawanie winy (sąd i wyrok o winie), bylibyśmy w najsroższej trzymani niewoli: na skinienie bowiem księży i królby miecz z pochew wyciągnąć musiał i głowyby nasze spadały. Takiej tyranii nie ma nawet u Turczyna“ i t. d. (str. 204, 205).

Oczom własnym nie chce się wierzyć, że w tonie tak przesadnym a biskupom tak niechętnym przemawiał pierwszy senator, gorliwy katolik [1]. Inkwizycya duchowna istniała i w Polsce,

[1] Prawda, że mowę Tarnowskiego znamy tylko z Orzechowskiego, że ten wymowny, ale namiętny pisarz komponował na wzór Liwiusza oracye swo-

wykonywali ją biskupi w XV. wieku, na mocy nietylko dekretaliów ale i edyktów królewskich i ustaw krajowych; król w przysiędze swojej przyrzekał bronić wolności i praw Kościoła, skądże od razu wywieszenie zasady, że dekretalia znaczą tyle, ile im prawo państwowe da mocy, że król na podstawie swej przysięgi opierać się im musi, że sądzić o herezyę mają król z senatem i biskupami, ale jako senatorami, że juryzdykcya biskupów przez pół tysiąca lat uznana i wykonywana staje się od razu tyranią, gorszą od tureckiej niewoli, że „Polak według cudzego prawa nie może być karanym?“. Trudno się tu dopatrzeć loiki; dążność podporządkująca Kościół pod państwo ta sama i w sposób jak na owe czasy równie jaskrawy przebija na sejmach polskich tej epoki, co za dni naszych w parlamentach Europy. Biskupi milczeli, jeden tylko Zebrzydowski wysprzeczał się z Tarnowskim, ale za głosem tego ostatniego poszli oprócz Kmity prawie wszyscy katoliccy panowie, i cały tłum heretyckich senatorów i posłów. Dlaczego? bo głos ten schlebiał wolności szlacheckiej, która wyłamać się chciała z pod władzy najprzód papieża, aby potem tem łatwiej wydobyć się z pod władzy króla. Tak się też i stało. Zawsze z widocznem unikaniem wszelkiej interwencyi Stolicy św. zawieszono sądy biskupie na rok cały, herezya miała wolne pole, rozlewała się też szerokiem korytem i niszczyła podwaliny nietylko Kościoła ale i państwa. Opowiada to wszystko obszernie i na wielu miejscach ks. Bukowski (str. 195—198, 204 do 209). Fakta te były i dawniej wiadome, ale ze strony politycznej, nasz autor odsłonił nam ich stronę religijną, i w tem jego zasługa, której zapoznawać nie godzi się.

Większą jeszcze zasługę ma w odsłonięciu tejże strony religijnej sejmików i sejmów z lat 1550, 52, 54, 55, 56, 57/8. Jak za dni naszych, kiedy w parlamencie berlińskim i w radzie państwa wiedeńskiej kuto konfesyjne prawa majowe, przerabiano je, łatano, poprawiano i w części znoszono, nasłuchaliśmy się do syta rozpraw teologiczno-kościelnych, tak samo, i w wyższym może stopniu sejmy polskie przedstawiały istną kuźnię coraz to nowych pocisków prze-

---

ich bohaterów, ale treść mowy, rzecz sama była niewątpliwie taką. Zresztą jeżeli w innych wypadkach *Annales Orichovii* są źródłem, dla czegóżby w tym tylko wypadku być niem nie miały?

ciw „starej wierze przodków“ i brały w obronę „nowinki religijne“. Różnica ta, że za dni naszych akcya anty-katolicka szła od góry, od rządów, które na ruinie wolności Kościoła wszechwładzę państwa dźwigały, a wtenczas ruch ten szedł z dołu, od braci szlachty, i pchał do tej roboty króla i rząd. I stąd akcya rozgrywała się najprzód na sejmikach. Uniwersały królewskie nawołują do poprawy rzeczypospolitej, do egzekucyi praw, do opatrzenia granic i opłacenia żołdu — instrukcye dane posłom na sejmikach wołają o obalenie juryzdykcyi biskupiej, o zniesienie tyranii księży. Wierni onym instrukcyom posłowie zamiast radzić o rzpltej, bawią się w teologów, króla wzywają na rozjemcę swych religijnych sporów, chcą go mieć swym panem w rzeczach wiary i sumienia. Król chwiejny, słaby, wypuszcza władzę z rąk swoich, prawodawcza władza już cała w rękach sejmu, toczą się więc religijne dysputy bez końca, projektują się konfesyjne prawa, sobory narodowe, które inaczej pojmuje król z biskupami a inaczej szlachta; kończy się wszystko albo „rozlaniem się sejmu“ albo niedołężnym kompromisem, który sporu nie przecina, ale odkłada na dalszy termin. Raz jeden na sejmie 1556 r. udało się królowi, sprawę inflancką wtłoczyć na plan pierwszy, a religijne spory zażegnać na chwilę. Oto charakterystyka sejmików i sejmów z tej epoki. Autor nasz pozbierał skrzętnie z dyaryuszów sejmowych i innych źródeł wszystko, co się zebrać dało, i przedstawił nam zajmujący a wielce pouczający obraz tych niefortunnych sejmów, a raczej soborczyków religijnych (str. 117—132, 189—232, 263—267, 290—301, 408—434) i w tem druga jego niepoślednia zasługa.

Cóż robili biskupi, ci naturalni stróże nietykalności dogmatu i praw Kościoła? Smutny obraz episkopatu polskiego z tej doby, skreślił autor głównie na podstawie tomu I. Korespondencyi Zebrzydowskiego w rozd. 1. swej pracy. Z wyjątkiem kilku, byli to przeważnie senatorowie państwa, a nie dygnitarze kościelni, a nawet pod względem wiary ciężyły na nich zarzuty, a nuncyusz papieski doznał od nich nader chłodnego, prawie niegrzecznego przyjęcia. Walka reformacyjna zaskoczyła ich nieprzygotowanych, owszem biskup Uchański i Drohojowski otwarcie sprzyjali nowinkom i otaczali się głośnymi heretykami. Rozum i stara tradycya kościelna nakazywał akcyę wspólnemi siłami, do tego potrze-

bne było wzajemne porozumienie się tak co do walki na zewnątrz, jak co do poprawy wewnątrz dyecezyj. Synody prowincyonalne były tu jedynym środkiem. Jakoż zwołano ich w tych 11 latach 1547 do 1558 aż sześć. Cóż z tego? Na niektóre zgoła nie zjechali się zwołani listem prymasa biskupi, na inne przybyło ich kilku, reszta swoich pełnomocników wyprawiła; co się zaś dobrego i zbawiennego na nich sprawiło, było dziełem Hozyusza i legata Lipomano, ale i tym zbawiennym uchwałom brakło wykonania. (Str. 15–18, 149 do 176, 274–279, 392–407, 455–460). Nic smutniejszego jak to ześwietczenie i niedołęstwo przeważnej części ówczesnego episkopatu. Autor, lubo kapłan, nie ukrywa tej upokarzającej prawdy, czuć w jego opowiadaniu boleść, jakiej doznaje każdy uczciwy, gdy się wstydzić musi za swoich, którychby widzieć pragnął bez zarzutu i skazy; biskupa Zebrzydowskiego uniewinnia w wielu razach, podnosi jego odwagę, z jaką borykał się na sejmach z koryfeuszami wolności a raczej swawoli nowinkarzy religijnych. Nawiasowo wspomnę, że tę samą prawdomówność, ale też i wyrozumiałość zachował i w obec różnowierców; dla apostaty Łaskiego jest może zbyt wyrozumiały. A nietylko synody katolickie, ale i różnowiercze soborczyki, których było w tym czasie 11, zebrał i opowiedział szczegółowo, a bez żółci, spokojnie i z miłością; (str. 321–323, 368–375, 486–488, 499, 552–554), i w tem trzecia jego zasługa, której znów milczeniem pomijać nie godzi się.

W obec Stolicy św. i takich mężów kościelnych jak Hozyusz, Lipomano, Dziaduski, zajął nasz autor, jak należało, stanowisko wybitnie katolickie. Od lat trzydziestu i więcej Rzym poniewierany był bezkarnie przez herezyarchów, a w Polsce od śmierci Zygmunta I. naśladowali ich wielcy i mali nowinkarze. Katolicy nawet, od cesarza Niemiec i króla polskiego począwszy, nawoływali papieża do zagajenia soboru powszechnego, na którymby reformy *in capite et membris* dokonano, dając przytem nie dwuznacznie do zrozumienia, że papież najprzód siebie i swój dwór zreformować powinien, zanim się do reformy kleru i ludu zabierze. Słabła przez to powaga papieży, bo już głos powszechny Europy uważał ją za niewystarczającą, a jedyne lekarstwo widział w soborze powszechnym. To też nawet tak łagodny król jak Zygmunt August, groził Juliuszowi III. schyzmą, jeżeli ten na postawione

przez niego warunki w sprawie Iwana IV. nie zgodzi się, a słuszną odmowę papieża co do prekonizacyi biskupów Drohojowskiego i Uchańskiego, uważał za własną obrazę (239—241). Upadającą powagę Rzymu ratował w Polsce legat Lipomano. Ks. B. rehabilituje pamięć tego co się zowie kościelnego męża stanu (str. 333—363, 396—407) nie był on ani krótkowidzącym fanatykiem ani intrygantem, jak go dotąd przedstawiali nasi historycy. Nakłonić króla do obrony duchowieństwa, zagrożonego w swej juryzdykcyi na walnych sejmach od zheretyczałych senatorów i posłów, powstrzymać go od zachcianek narodowego kościoła, zniesienia celibatu i Eucharystyi pod jedną postacią, — a z drugiej strony pracować nad reformą duchowieństwa polskiego na synodach prowincyonalnych: oto cel misyi legata Lipomano. Zadanie trudne, zważywszy zwłaszcza chwiejność charakteru króla, zuchwalstwo różnowierstwa, które stało u szczytu swego rozwoju, niedołęstwo i obojętność przeważnej części episkopatu polskiego i tę okoliczność, że od lat 30 nie było legata w Polsce. Towarzyszył Lipomaniemu jako teolog legacyi, pierwszy, który zawitał do Polski, jezuita O. Salmeron, późniejszy teolog papieski na soborze trydenckim, i wspierał go dzielnie radą i czynem (Rostowski str. 131). Niezrażony nader chłodnem przyjęciem biskupów, pierwszy Lipomano nader uprzejmie zbliżył się do nich, miewał częste z nimi konferencye, popierał ich słuszne żądania u króla, uzyskał nawet nowe królewskie edykty przeciw herezyi, wizytował osobiście katedry w Gnieźnie, Poznaniu, Włocławku i Płocku, i naradzał się z kapitułami i niższym klerem, uczestniczył na synodach w Piotrkowie i Łowiczu, słowem z wielką roztropnością i gorliwością zabrał się do podniesienia ducha wśród episkopatu i kleru i zorganizowania wspólnej akcyi przeciw wylewowi różnowierstwa. Przyjęty zaraz na wstępie od króla nader łaskawie, utwierdzał go w katolickich przekonaniach a równocześnie starał się wlać nowego ducha w panów katolickich, a sparaliżować wpływy takich potentatów heretyckich, jak Radziwiłł Czarny. Napróżno oszczercze pismo biskupa apostaty Wergeryusza (podrobiony list Lippomaniego do patryarchy weneckiego Kontaryniego) usiłowało podać w nienawiść legata. Bali się go heretycy i źli biskupi jak Drohojowski, ale szanowali wszyscy; owo: *progenies viperarum* ród jaszczurczy, rzucone w oczy Lipomaniemu, skoro się ukazał

na sejmie 1556 r., mogło wyjść z ust jakiego zuchwalca heretyka, ale nie był to wyraz powszechnej przeciw niemu nienawiści. Ta rehabilitacya Lippomaniego jest czwartą zasługą naszego autora.

Filarem katolicyzmu w tej dobie i ozdobą był biskup warmiński Hozyusz. Działalność jego biskupią we własnej dyecezyi opisał wyczerpująco ks. Eichorn, autor nasz przedstawia nam religijno-polityczną rolę, podjętą przez Hozyusza na sejmach i synodach, przy boku królewskim i w pismach publicznych dla dobra polskiego kościoła w ogóle.

Możnaby kilkanaście jeszcze przytoczyć takich nowych prawd historycznych odkrytych lub wyjaśnionych rzetelnie w książce ks. Bukowskiego, ale już to, co powiedziałem, wystarczy aż nadto, aby każdego nieuprzedzonego przekonać, że to nie „zmarnowana praca", ale użyteczna i z wielu miar czytania godna, a przydany na końcu „wykaz osób, miejscowości i rzeczy" ułatwia poszukiwanie. Polecamy tę książkę wszystkim, którym dokładniejsze poznanie dziejów różnowierstwa w Polsce leży na sercu.

Ks. St. Załęski.

Z czasów Saskich spraw wewnętrznych polityki i wojny, przez *Kazimierza Jarochowskiego*. Poznań, nakładem C. F. Piotrowskiego 1886 r.

Poprzednie prace p. Jarochowskiego dały już nam poznać zawikłaną zewnętrzną politykę tej smutnej epoki, ostatnia, o której mówić zamierzamy, poświęcona przeważnie sprawom wewnętrznym, obejmuje więcej niż ćwierć wieku, bo od 1704 do 1736, wojny więc szwedzkie i nieodłączny od nich pobyt „wojsk augzyliarnych", na który żalą się *Laudy* powiatowego miasteczka Środy, z których autor pierwszy czerpie zajmujące szczegóły, odnoszące się do samorządu kraju, wykazując, jak wiele tenże posiadał materyału cywilizacyjnego. Takie *Laudy* uchwalają nie jedną ulgę dla kraju — rozkładają sumiennie podatki, przeznaczają znaczne sumy dla powszechnego dobra, jak ufortyfikowanie Kamieńca, Częstochowy, lub utrzymanie „więźniów Elbląskich", nie licząc, że stale z sum wpływających „podnoszą się i utrzymują chorągwie wojewódzkie, płaci się żołnierz, rotmistrzowie, nie szczędząc często grosza na largicye, któremi nadgradzają zasługi.

Sporo ciekawych szczegółów odnalazł autor w sejmikowych laudach wielkopolskiego miasteczka Środy, słynnego później konfederacyą zmierzającą ku detronizacyi Augusta, a w którem pozostał jedyny świadek dawnego życia, stara wieża przy kolegiacie, pamiętająca troski i bole narodu...

W tej to Środzie na obradach sejmikowych widzimy marszałkiem Franciszka Ponińskiego starostę kopanickiego, męża wielkich zdolności politycznych i wysokiego wykształcenia. Za nim podąża p. Jarochowski do Warszawy, gdzie

rada senatu, powierza mu w 1717 r. misyę do cara o wycofanie „augzyliarnego żołnierza“ z Polski. Poniński jedzie do Holandyi, gdzie wówczas car przebywał, a nie zastając go już w tym kraju, w Abbeville go spotyka i za monarchą północy jedzie do Paryża. Tam wyczekując daremnie odpowiedzi, pisuje listy do kraju z których głównie czerpie autor opowiadanie swoje. Z tej to korespondencyi widnieje nieskazitelny charakter starosty i to przejęcie się myślą służenia ojczyźnie; narzeka on tylko na zwłokę swoich zabiegów i zawód którego doznaje, nie dopiąwszy swego celu. Niestrudzony jednak podąża za carem Piotrem do Petersburga i Moskwy — gdzie choć wielce uciążliwy jest mu pobyt, nie ustaje w swoich dyplomatycznych trudach, po półrocznem dopiero oczekiwaniu, na pasport wyjeżdża, zostawiając w toku sprawę, która dopiero w Grodnie rozwiązać się miała.

W następnym szkicu kreśli p. Jarochowski przygody Rakoczego pretendenta do tronu węgierskiego a następnie polskiego, — potrąca o historyę powstania węgierskiego, szczegóły zaś odnoszące się do Polski czerpie z pamiętników współczesnych, a mianowicie z korespondencyi posłów austryackich Kinnera, Tiepolta i Martelsa. W Polsce sprawę awanturniczego pretendenta popiera prymas Radziejowski i wojewodzina bełzka, później hetmanowa w. k. Sieniawska, Lubomirska z domu, przezwana przez współczesnego pamiętnikopisarza „Wielką rządziochą“ nie bez pewnej słuszności. Listy obojga Sieniawskich potwierdzają to mniemanie, i są prawdziwem odmalowaniem politycznego zamętu w jakim pogrążona była wówczas Polska. Przez wojewodzinę, prymasa i innych protektorów młodego węgierskiego magnata, płyną z Polski pieniądze tak niezbędne dla nieszczęśliwej Rzeczypospolitej — wojewodzina utrzymuje ciągłą korespondencyę z Ludwikiem XIV., który również zdaje się protegować Rakoczego, jedynie w myśl swoich politycznych nienawiści do Rakuskiego domu, któremuby chciał Węgry oderwać, nie troszcząc się o zamieszanie, jakie niedoszłe te przewroty rodziły w Polsce.

Pełen płonnych nadziei Rakoczy, z nieodstępnym swym towarzyszem Berczenyi'm, często przebywa w Polsce, zawsze u Sieniawskich, Lubomirskich lub u Potockiego, wojewody kijowskiego, ufając, że krew babki Batorówny i przyjaźń pokrewnych magnatów odda mu berło zwycięzcy z pod Pskowa. Car Piotr zagniewany na abdykującego Augusta, ofiarowuje Rakoczemu polską koronę — układy w Warszawie zawiązane przez Berczenyi'ego nie przychodzą jednak do skutku, tworząc tylko nowe zamieszanie w kraju płonącym szwedzką pożogą, targanym niesnaskami domowemi, do których jakby z igraszki przykładają rękę wielkie magnackie rody, dopełniając tą polityką na własną rękę czarę niedoli nieszczęśliwego kraju.

Zajmując się wyłącznie prawie „Epizodem Rakoczowym“ i nieodłącznym od niego gospodarowaniem cara na polskiej ziemi, przechodzi autor dalsze losy Rakoczego, który powróciwszy na Węgry daje gościnę wojskom wojewody kijowskiego Potockiego, przedzierającym się do Mołdawii do Karola XII. Potem następuje cały szereg klęsk, dotykających domniemanego pretendenta, i znowu otwierają mu się drzwi przyjaznych polskich domów — u Sieniawskich jak zawsze i u Konst. Sobieskiego syna Jana III., który powołuje nawet chorągwie swoje pod broń, strzegąc swojego królewskiego gościa przeciw Sasom. Niebawem uchodzi Rakoczy do Turcyi — a za nim liczne zastępy Polaków — rok jednak 1718, a bardziej jeszcze zwycięstwa ks. Eugeniusza Sabaudzkiego, przecinają

te wojownicze zamiary, i pokój zostaje zawarty pomiędzy Austryą i Turcyą, która skazuje Rakoczego na przymusowy pobyt w Radosto nad morzem Marmora, gdzie kończy awanturniczy żywot.

Dalsze dwa szkice, poświęcone dwom krwawym bitwom z pierwszego dziesiątka XVIII. wieku pod Poniecem i pod Kaliszem. W pierwszej maluje autor zwycięstwo bohaterskiego Karola, przechylającego zwycięstwo osobistą odwagą — w drugiej, pomoc liczebnej siły i traf ślepy, który z Augusta robi zwycięzcę — ale zwycięzcę pysznego, obłudnego w obec Polski i wcale nie troszczącego się o dobro kraju, którego berło w niedołężną dłoń nanowo ujmował.

Zajmujące opisy tych dwóch bitew, pięknie i umiejętnie skreślone. Zgromadzono tu wiele szczegółów, oddano pozycyę z taką precyzyą, że niemasz tu chaosu, spotykanego tak często w opisach, obejmujących szeroką widownię. W przedstawionych obrazach wyraźnie widzi się ruchy wojsk — pod Poniecem z nieroztropną dziecinnością posuwające się i walczące wśród ciemności szwedzkie zastępy — umykającego przed niemi Augusta — równie jak we dwa lata później widzi się nieprzyjacielskie wojska po obu stronach Wisły, nieopodal Kalisza, i krwawą bitwę w której walczyły „chorągwie wojska koronnego, czerwona regularna jazda saska, zielona o białych wyłogach regularna dragonia rosyjska. Obok tej różnonarodowej siły — Kozacy, nadto tłumy po raz pierwszy zapewne widzianych w polskim kraju Kałmuków, na małych koniach, z długiemi warkoczami u głowy, z szablą u boku, z dzidami o płaskich jak rydliki żelezcach, z podobnemi wreszcie strzałami łuków przewieszonych przez plecy. Podjazdowy zaś żywioł stanowią Polacy niestety".

Widzimy tam Potockich, Lubomirskich, Sapiehów, walczących przeciw Sieniawskim, Rzewuskim i Szmigielskim — w działaniach zaś tych wojennych przedstawia nam autor same postacie historyczne znane, i to w świetle nieskażonej, historycznej prawdy".

Kończy te opowiadania „Oblężenie Gdańska", do którego się chroni Leszczyński po powtórnem wstąpieniu na tron Polski. W nadziei rychłych posiłków z Polski, pewnej pomocy z Francyi, którą obiecuje Monti i z przywiązania do osoby samego króla, chwytają Gdańszczanie za broń i dają opór następującemu jenerałowi Lassy. Zawiodły nadzieje w bliską pomoc; „Francya daleko, Pan Bóg wysoko;" Lassego zastąpił feldmarszałek Münich. Po długiej, rozpaczliwej a bezskutecznej obronie i po szczęśliwej ucieczce króla, podpisuje miasto kapitulacyę 7 lipca 1734 r., poniósłszy przez oblężenie i kontrybucyę blisko 2 miliony talarów straty. *M. S.*

Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, przez *Juliusza Falkowskiego*. Tom IV. Poznań 1886. Cena 6 mk.

Trzy poprzedzające tomy Obrazów, obok zajmującego opisu czasów pruskich w Warszawie, zawierają przeważnie jakby Iliadę naszych bojów i cierpień w losy Napoleona wplecionych i pod jego orłami przebytych. Tom czwarty to stan księstwa Warszawskiego i Litwy w przededniu wojny z r. 1812 i przebieg tej kampanii aż do spalenia Moskwy i wymarszu z niej głównych korpusów francuskiego wojska. Jako źródeł do niniejszej pracy użył autor listów p. prefektowej Nakwaskiej, pamiętników Romana Sołtyka, Antoniego Ostrow-

skiego (Żywot Tomasza Ostrowskiego), Michała Ogińskiego, barona Fain'a i Bignon'a, rezydenta francuskiego w Warszawie a później w Wilnie. Czerpał też w części z Thiers'a „Histoire du Consulat et de l'Empire", z Buturlina, Morawskiego i „Pamiętników" Koźmiana. Prawdopodobnie, jak słusznie zaznaczył sz. recenzent w „Przeglądzie polskim" (zeszyt XII. na czerwiec b. r.), posługiwał się też autor Historyą Skarbka, a jak nam się wydaje, niepomiernym też były mu zasiłkiem obszerne pamiętnitki J. U. Niemcewicza w formie dziennika spisywane.

Źródła te szan. autor w ogóle umiejętnie wyzyskał, zestawił systematycznie czerpane z nich wiadomości, i nie psując chronologicznego porządku, zręcznie a jasno powiązał wypadki w miłą i pożyteczną całość.

Życie towarzyskie i umysłowe Warszawy, oraz wewnętrzny stan księstwa aż po rok 1812, skreślił już autor w t. III. Tu więc tylko pobieżną o tem spotykamy wzmiankę, oraz pobieżne choć treściwe oddanie wrażeń odzywających się w narodzie pod wpływem przechodu wojsk napoleońskich. Przednia straż a raczej korpus sprzymierzonych Westfalczyków, Sasów i t. p. spadł na biedne księstwo jak szarańcza i zniszczył je jak wszystkie plagi egipskie. Najwięcej ucierpiał lud[1]. Rabusiami *primae notae* byli: jenerał Vandomme i sam król westfalski Hieronim Bonaparte. Postać tę umysłowo poziomą, a obyczajowo nikczemną doskonale scharakteryzował autor nietylko cytatami z korespondencyi p. Nakwaskiej i z pamiętnika Ostrowskiego, ale i własnym sądem.

Wandalizm wojsk napoleońskich nie poszanował, ani prawa własności, ani związków rodzinnych, ani czci niewieściej, ani ubóstwa, ani starości. Tu jednak część winy spada na nas samych: na ówczesną arystokracyę, na cywilne i wojskowe władze, które brakiem energii i uniżoną biernością swoją, zamiast ukracać, podniecały swawolę rabusiów. Znane są obietnice Napoleona, znana wiara nasza w ich szczerość. Na głos więc *Restitutora Poloniae*, na wezwanie do drugiej wojny polskiej, oddawano majątki i życie, chlebem od ust odjętym karmiono cudzoziemskie wojska. Stanęło w szeregach francuskich 90.000 polskiego żołnierza, a co ważniejsza, zwołano sejm, na którym przyszła do skutku konfederacya jeneralna. Rozpoczęto ją w kościele, Woronicz miał kazanie, poczem na zamku przemówił Matuszewicz. Piękną tę mowę przytacza autor w skróceniu wraz z dodatkiem ośmnastu artykułów konfederacyi. Radością zawrzała stolica — znajomi i nieznajomi, jakby jedna rodzina, w bratnim łączyli się uścisku. Ale niestety — wszystko to skończyło się na świetnej manifestacyi. Ale Napoleon zawinił tu nie mało. Zakazał powstania w prowincyach zabranych, konfederacyę puścił w niepamięć, zapał całego narodu ostudził chłodnem swem kunktatorstwem. Zraziła go wprawdzie nieufność Litwinów, a raczej mniej powszechny entuzyazm za Niemnem i Bugiem. Był to jednak objaw bardzo naturalny, ze względu na łagodne rządy Aleksandra I., który nawet konstytucyjne królestwo Polakom obiecywał. Zdzierstwa i gwałty, popełniane przez 30 tysięcy maroderów, kupami włóczących się po kraju, tem więcej odstręczały ludność od przechylenia się na stronę mniemanego zbawcy ojczyzny. Nadto powierzył Napoleon dowództwo znacznej części armii rozpustnemu niedołędze, bratu Hieronimowi, który mu pokrzyżował plany, a nadto stał się przyczyną mnóstwa nieporozumień i strategicznych pomyłek. Żal mu

[1] Pradt, str. 233, cytowany u Morawskiego, „Dzieje porozbiorowe", str. 142.

było pieniędzy na podtrzymanie wojny szwedzko i turecko-rosyjskiej, tymczasem Rosya z Szwecyą i Turcyą potajemne zawarłszy przymierze, pchnęła z północy i z południa kilkudziesięciotysięczne armie przeciw Napoleonowi z jednej, a Litwie i Polsce z drugiej strony. Nie mniej i w tem pobłądził Napoleon, że w odwodzie na obronę Polski zostawił pułki sprzymierzonych Niemców, którzy biernem swem zachowaniem się, nieprzyjacielowi w niczem nie przeszkadzali, a dla kraju strasznym byli ciężarem: Nie usłuchał też Napoleon zdrowych rad swych jenerałów. Jesień już nadeszła, armia coraz bardziej topniała a głód i choroby biegły w ślad za dumnym, choć w duszy przelękłym zdobywcą. Żałował on potem, że nie ogłosił się królem polskim [1], ale żal to był już niewczesny.

Znakomicie scharakteryzował p. Falkowski Napoleona, choć aby trafny sąd o nim wydać, potrzeba było targnąć się na owego kolosa pomiędzy jeniuszami i wyraz wielkości zetrzeć z jego czoła. Charakterystyki innych osobistości trafne są wprawdzie i wierne, jednak czasem nie zupełnie wszechstronne. Tak np. charaktery i działalność ks. Adama Czartoryskiego i Józefa Poniatowskiego, zostawiają jeszcze niektóre luki. Za to charakter i wpływ Pradta, mechlińskiego arcybiskupa i ambasadora Francyi, pierwszy, jak się zdaje, p. Falkowski należycie w ogólnych ocenił zarysach, wskazując zarazem wszystkie jego ujemne i dodatnie strony. Jedną jeszcze, tj. moralną stronę charakteru „nadzwyczajnego ambasadora“ należałoby uwydatnić, oraz rozstrzygnąć, czy słusznym był, więcej niż niepochlebny sąd Napoleona w tym względzie [1].

Jednego tylko błędu pominąć nie możemy: jest to zewnętrzna strona książki, wiele pozostawiająca do życzenia. Składa się na to i zbyt wysoka cena, mnóstwo omyłek drukarskich, szczególnie we francuskich cytatach i wreszcie niemało nawet gramatycznych usterek. Jednak wszystkie te drobne niedostatki nikną w obec historycznej, literackiej i historyozoficznej wartości Obrazów.

B. Jasieńczyk.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La France Juive par *Edouard Drumont.*

Habent sua fata libelli, są książki, które spokojną sobie zdobywają poczytność, są inne, które się pojawiają niby raca z trzaskiem pękająca, kartacz ognisty, zapowiedź wojny i walki. Kto słyszał dawniej imię p. Drumonta? kto o nim wczoraj jeszcze wiedział? dziś głośne to imię, jak głośne przygody i książka. Utalentowany młody dziennikarz, zaciągnięty w szeregi spółpracowników

[1] Patrz list Napoleona z dnia 5 września 1809 i Morawskiego: Dzieje porozb. str 119, i Pradt I. 233, przytoczony tamże, str. 142. Cf. Niemcewicza Pamiętnik t. I., p. 334 i 338.

na wskróś katolickiego organu *Le Monde*, od niejakiego czasu werwą swego pióra, siłą, a i pewną trywialnością dowcipu, żarem słowa, gwałtownością oburzenia a gorącością uczuć chrześcijańskich, odżywiał najlepsze wspomnienia Ludwika Veuillota. W luźnych artykułach piętnował on naprzemian wszystkie zbrodnie i podłości epoki, ubolewał nad jej ranami, wskazywał skąd pomoc, obrona i poprawa wyjść może i powinna.

Potrącając o kwestyę, która go przeważnie zaprzątała, nie raz napomykał o roli zajętej i zdobytej przez Żydów w wieku naszym. Wiek ten każdej wyższości zazdrosny, wszystko już spróbował poniżyć i do swej nikczemności dopasować, zasługę umniejszyć, charaktery spodlić, stanowiska powalić, ludzi zdeptać — z jednym a raczej dwoma wyjątkami: histriona i żyda. Dla tych dwóch jednostek otworzyły się w naszej epoce świetne czasy uznania, awansu i znaczenia dawniej niebywałego. Pod wpływem tej grozy, jął młody pisarz mnożyć spostrzeżenia, obliczenia i cyfry, aż stąd urosła książka, którą o mało co nie przyszło życiem przypłacić jej autorowi. Ponieważ bowiem w rycerskim zapale nie walczył ze spuszczoną przyłbicą, lecz jawnie zstąpił w szranki, aby wyzwać osobistości, które opanowały dziś Francyą, i ostrzedz o zwycięskim pochodzie Semitów, sypnęły się nietylko oburzone reklamacye i krytyki jadowite, ale nadto dwóch już dziennikarzy we krwi Drumonta spróbowali sprawę swoją obmyć, a gdyby nie rana, odniesiona przez doświadczeńszego szermierza pióra aniżeli szpady, i do innych wielu pojedynków by przyszło. Autor Francyi żydowskiej nie tak prędko z łóżka wstanie, czyn przez Kościół potępiony, pociągnął za sobą jego dymisyę z redakcyi katolickiego pisma, ale ta cała wrzawa wyszła na dobre samejże książce. Obiecywano sobie zdławić ją konspiracyą milczenia, a tymczasem niebywały rozgłos coraz to nowych wydań wymaga.

Dwie rzeczy można autorowi zarzucić: nie dość ścisłe sprawdzanie czy istotnie zaczepione osobistości mają odrębne jakieś stosunki z Izraelem, czy może tylko wspólny z nim bezwyznaniowy kierunek; brak gruntownej znajomości biblii i hebrajskiej przeszłości, a stąd pewne lekceważenia ludu, który bądź co bądź, przez długie wieki był ludem wybranym. P. Drumont patrzy na dzisiejszego żyda bankiera, sceptyka, ateusza, ciemiężyciela robotników,

a widok ten przejmuje go takiem oburzeniem i trwogą o przyszłość, iż woła posępnie: „Cała Francya pójdzie za wodzem, który zamiast uderzać w nieszczęśliwych robotników, wpadnie na Żydów złotem okrytych, i zawoła ubogich, aby zbierali pełnemi rękoma Paktol z rozprutych wnętrzności Semity płynący". Trochę to zakrawa na socyalizm, ale za rozbojami żydowskich spekulacyj zwykle idą socyalistyczne przełomy, a gdy sądy zmilkną i trybunały nie znają prawa, wtedy fatalnością historyczną zjawia się mściwy topór Wandala czy Attyli, tyrana czy komuny.

Za skrajne to i z pewnością za silnie wypowiedziane zdanie, ale obecny stan najbardziej wpływowej części Izraela, wywieszającej jako swe hasło, bezbożność, materyalizm i nieubłaganą dążność zaborczą, poniekąd je usprawiedliwia. Póki bowiem Izrael strzegł swej religii i chował przykazania, stanowił tylko duchową siłę i korporacyę zasługującą na tolerancyę przyznaną innym wyznaniom. Lecz dziś ręce Izraela już nie składają się do modlitwy, ale wyciągają ku zdobyciu całego świata Przed dwoma laty książęta i kapłani ludu żydowskiego, Rotszyldowie i Rabini, garnęli się w około Renana, aby od tego apostoła negacyi, który na wzór Mefistofela może o sobie mówić: *Ich bin der Geist der stets ver neint,* żądać lekcyi religii i moralności. Dziś już żydowstwo jako wyznanie zniknęło prawie z powierzchni świata, atoli tem silniej występuje ono jako plemię i kasta osobna. Francya zdaniem autora a podług nas świat cały, znajduje się dziś, nie już w obec osobnego kultu i religii, lecz naprzeciw narodu tworzącego lud w ludności, rząd w rządzie, państwo w państwie. Polityczny to dziś ustrój i autonomia, nie religijna jak dawniej gmina. Dziecię rewolucyi, spadkobierca jej idei, Napoleon I. wzmocnił siłę wyzwolonego Izraela stworzeniem w Paryżu konsystorza żydowskiego, który zamiast religijnym być zborem, stał się odrazu polityczną kolebką trzęsącego obecnie światem Izraelskiego przymierza. *Aliance israélite,* dziś bodaj największą siłą materyalną na ziemi.

I oto w tej chwili uśpienia i upokorzenia sumień przed wszechwładzą mamony, pada strzała z rąk maluczkiego, ubożuchnego pisarza, strzała tak trafna, iż cały świat izraelski czuje się nią dotknięty i zraniony. Alboż nadeszła godzina odwetu dla oblubieńcy św. Franciszka Serafickiego, i opiewana przez niego *Santa Paverta*

zwycięży żydowskiego Plutusa? nie mniemamy. Zorza swobody i poprawy nie zdaje się świtać, owszem rozwielmożnienie się żydowskiego pogaństwa, raczej zda się prostować i gotować drogi panowaniu Antychrysta. Ale głosy takie jak p. Drumonta miewają zawsze osobną doniosłość, a nie pozostają bez wpływu. Publikacye p. Brafmanna o ustroju kahału żydowskiego wyjaśniły talmudyczne, nienawistne przepisy zaprzedające każdego *Goima*, każdy kawałek ziemi chrześcijańskiej pojedyńczemu żydowi, mającemu odtąd prawo i powinność wyzyskiwania pod każdym względem przyznanej sobie ofiary. Jeśli świat dzisiejszy w żydowską poszedł niewolę, niechże przynajmniej nieświadomym nie zostaje, lecz wie co za los go spotkał, co go czeka, a może znajdzie środki i odwagę, aby się wyswobodzić. *Veritas liberabit*, chrześcijaństwo tylko zdoła oczyścić ludzkość żydowstwem zarażoną i skażoną. Niech się więc mnożą tego rodzaju ciekawe i pouczające, byle spokojniejsze, bardziej objektywne, nie z nienawiści, ale z ducha miłości dla chrześcijan i dla samychże Żydów robione publikacye, a obok *France juive* niech staną sumienne studya o żydowskiej Austryi, żydowskich Prusach i żydowskiej Rosyi, aby ostrzedz świat, zanim będzie zbyt późno.

K.

Dom François Régis, par l'abbé *J. Bersange*. Paris, libraire Dumoulin 1885.

Płodna to Matka, Kościół nasz święty katolicki, wydaje z łona swego odnawiające się wiecznie szeregi apostołów, męczenników i wyznawców. Rozczytując się w Mnichach Zachodu Montalemberta, odnosimy całą naszą cywilizacyę do trudów i potu zakonników, którzy w starej Europie karczowali lasy, osuszali bagna niedostępne, zakładali ogniska nowej, chrześcijańskiej oświaty. Ale jak słusznie powiedział ojciec Lacordaire: „Dęby i mnichy zawsze odrastają“ – a więc nie zniknęli z powierzchni ziemi, tylko na innych świata kresach snują dalej swoje cywilizacyjne posłannictwo. Benedyktyni Australię zdobywają rolnictwu, zakładami przypominającemi fundacye Chrobrego w Polsce, Algieryę podbili daleko bardziej aniżeli żołnierze marszałka Bugeaud. Trapiści przybyli tam pod wodzą Dom Franciszka Régis. Puste to było i jałowe wybrzeże, gdy je w r. 1830 Francuzi zajęli. Snuły się odtąd różne plany i projekty kolonizacyj, przeważnie zawodne i bezskuteczne. Zwiedzający niebawem nowe francuskie dzierżawy pan de Corcelles, wspomniał na dzieła pierwszych pionierów cywilizacyi w Europie, a że mieszkał w pobliżu głównego domu Trapistów we Francyi t. zw. *Grande Trappe*, jął zaklinać marszałka Bugeaud, aby ich do Algieryi sprowadził: „Spróbujcie moich Trapistów, powtarzał Corcelles, wpuśćcie kroplę świętości w algierską jaskinię zbójców“. Marszałek do

zakonników nie miał pociągu, nie rozumiał kolonizacyi przez ludzi bezżennych, marzył o osadach dla wysłużonych żołnierzy z rodzinami. Gdy jednak wszystkie jego plany na niczem spełzały, ustąpił i powołał Trapistów, oddając im na własność 1200 hektarów zupełnego pustkowia, zwanego Staneli. Nic się tam nie rodziło, a ziemia macocha, łaknęła tylko ofiar ludzkich, aby pożreć te, które ośmielały się targnąć na jej niepłodne łono. To też dziś obok klasztoru i zakładów klasztornych, na wzgórzu kapliczką uwieńczonem, pole śmierci i spoczynku zasłane mogiłami wiernych pracowników, poległych w walce z żywiołami, aby drogę oświacie torować. Tu wśród synów swego ducha a towarzyszów pracy swojej, w oczekiwaniu zmartwychwstania spoczywa i Dom Franciszek Regis, opat, a raczej wódz tych mężnych hufców, które cuda benedyktyńskie odżywiły w wieku naszym.

Wspaniała była to postać, wskrzeszona w książce, którą polecić pragniemy czytelnikom naszym. Dwanaście lat spędził Dom Franciszek Regis na posterunku sobie wskazanym. Przypadło mu w udziale dwustronne zadanie: zaaklimatyzowanie Trapistów w Algieryi a zarazem oswojenia nowych rządców kraju z Trapistami. Stąd dzieje jego życia i fundacyi rozwijają się w historyę początków algierskiej kolonii, a na tem tle rysują się postacie jenerałów francuskich, książąt Orleańskich, a między innymi i malarza specyficznie algierskiej kampanii Horacyusza Verneta, który w przyjaźni z opatem Trapistów znalazł światło przewodnie wiary i zbawienia.

Ciężkie to były początki: na czterdziestu zakonników i pracowników, niekiedy do trzydziestu febra do twardego przykuwała łoża. Padali na wyłomie, zastępowani nowemi z Francyi siłami. Duch ich się nie łamał, podtrzymywany niezłomnym hartem opata. Jedno tylko drzewo zastali na tem niegościnnem wybrzeżu: odkrycie życiodajnych przymiotów Eucaliptusa ocaliło byt kolonii, oddalając z niej zarody gorączki i febryczne wyziewy. Liście eucaliptusu pochłaniają niezdrowe cząstki powietrza, spragnione korzenie drenują poniekąd wilgotną glebę, pijąc chciwie nadmiar wody w bagnistej ziemi ukryty. Rozrost szybki owych drzew, w kilkanaście lat daje cień równający się wiekowym przeprzeszłości olbrzymom. Za pomocą eukaliptusów udało się tedy osuszyć i oczyścić to niegościnne wybrzeże. Przyszła kolej na zastosowanie odpowiednej kultury. Zboża europejskie liche tylko wydawały plony, bydło nie zbyt pomyślnie hodować się dało. Po macaniu kilkoletniem, znaleziono nareszcie właściwe tym stronom produkcye i płody. Najprzód ogromne plantacye naszych oranżeryjnych geranij, otworzyło dwustronne źródło dochodu, tak wonną esencyą z liści i kwiatów ciągnioną, jak i urządzeniem pasieki na wielką skalę. Czterysta uli dostarczają całe zastępy lotnych robotnic, ssących miód z kwiatów geraniowych. Znaczniejsze jeszcze przestrzenie obsadzono winogradem, otwierając dla zubożałej „Fylokserą“ metropolii nowe źródło wybornego wina. Winnice w Staneli były pierwszemi próbami tej kultury, rozszerzonej dziś w całej Algieryi.

Rozbudowane opactwo tworzy piękną i pomyślnie rozwijającą się osadę. Stu dwudziestu zakonników w pracy i bogomyślności pędzi tu pełne zasług życie, a warunki klimatyczno-lokalne tak dalece się odmieniły i poprawiły, iż jak to z pewnem utęsknieniem mówił do gościa z Francyi opat, który zmarłego ojca Regisa zastępuje „teraz, chyba już tylko ze starości wymieramy“.

Nie dano było założycielowi tej pięknej kolonii wśród niej żywota dokonać: wprawdzie kości jego odwieziono na ziemię, którą swym potem użyźnił, ale pod schyłek dni obfitych w zasługi, wola starszych powołała Dom Franciszka Regisa do Rzymu, aby spróbował dla rzymskiej Kampanii zrobić to, co mu się udało tak świetnie w Algieryi dopełnić. Oddano Trapistom klasztor i kościół św. Pawła *alle Tre Fontane*, trzech źródeł upamiętniających męczeństwo apostoła narodów. Miejscowość ta, położona nieco za obrębem wiecznego miasta, słynęła z niezdrowego położenia, z wiecznie panującej tam malaryi, ze szkodliwych wyziewów i zabagnionego gruntu. Trapiści po swojemu wzięli się do dzieła: plantacye eukaliptusowe zażegnały zgniłą gorączkę, umiejętne roboty zmieniły już postać rzeczy i warunki bytu w tem ustroniu. Dom Franciszek, jako prokurator generalny Trapistów w Rzymie, sprawował przytem ogólne zakonu swego rządy, i tam też padł na wyłomie, niby pokojowy żołnierz, podboje Bożej oświaty szerzący, doskonałem pełnieniem dwojakiego przykazania modlitwy i pracy. Nie dziw, że wizerunek takiego męża, odzwierciedlenie podobnego życia, przebieg tego rodzaju dzieł, uchwycony w tok jednolitego opowiadania, urósł w piękną, zajmującą, sympatyczną nad wyraz książkę, której też prasa katolicka nie szczędzi pochwał i uznania. Warto się przypatrzeć i bliżej poznać wspaniałą postać naczelną, aby wśród ogólnego wyziębienia przez egoizm zwycięski, pocieszać się widokiem cudów wiary i ofiary, które jak dawniej tak i dziś się powtarzają na ziemi.

M.

A travers l'empire britannique (1883—1884) par *M. le baron Hübner*, ancien ambassadeur, ancien ministre. Paris 1886.

Baron Hübner, znany z historycznych i literackich prac dyplomata, odbywa w nowem tem dziele, ułożonem na wzór dawniejszego *Promenade autour du Monde*, umysłową zajmującą wędrówkę po państwie Wielko-Brytańskiem. Dokładna mapka wskazuje czytelnikowi miejsca pobytu i drogi podróżnika-dyplomaty. Starym obyczajem okolił on Afrykę, zatrzymując się w Cape-Town, w kraju Kafrów, w Notalu; przez Nową Zelandyę i Australię przepłynął do Indyj, gdzie dłużej bawiąc zwiedził Oceanię i Amerykę północną.

Wśród łatwego opowiadania, przeplatanego opisami miejsc i obyczajów różnoplemiennych ludów, nagromadził baron Hübner wiele ciekawych szczegółów, odnoszących się do wewnętrznej polityki W. Brytanii. Spostrzegawcze oko dyplomaty zbadało wewnętrzne urządzenie każdego państwa z osobna, a dając trafną ocenę każdego politycznego zjawiska, wykazuje przyczyny i skutki zawikłań lokalnych, dla nas profanów nieraz niezrozumiałych.

Szczególnie zajmującym jest obraz oświaty w Indyach. Krajowcy, należący przeważnie do partyi konserwatywnej, pragną dla swego kraju cywilizacyi i oświaty, opartej na podwalinach przeszłości narodowej. Ale silniejsza postępowa partya rządowa bierze górę przerabiając całe Indye na angielską modłę, zniewalając biednych Indusów do uczenia się po zakładach naukowych Byrona i Szekspira. Bądź co bądź poważna cyfra uczęszczającej młodzieży do zakładów naukowych, zdumiewa europejczyka i mimowoli przywodzi na myśl, że kto wie, czy wkrótce nie nadejdzie chwila zmiany stosunku rządzących do rządzonych. Myśl tę podnoszą przedewszystkiem pesymiści angielscy; autor przy-

patrzywszy się osobiście potędze angielskiej w Indyach, mniej daje wiary tym pesymistycznym zapatrywaniom, choć patrząc na zaborczą dążność kolonialnej polityki W. Brytanii, przyznaje, iż wzbudza ona niechęć Rosyi i Niemiec, a lada chwila stać się może i bodaj czy nie musi przyczyną groźnych zawikłań. *M. S.*

Un devoir social et les logements d'ouvriers, par *G. Picot*, membre de l'Institut. 1 vol. in 12-o. Paris 1885.

Czy i w jaki sposób umożliwić można tysiącom robotników, pracującym zwłaszcza po większych miastach, mieszkanie zdrowe a schludne: oto pytanie, które w ostatnich paru latach, wywołało we Francyi i w Anglii, całą, bardzo obszerną literaturę. R. 1884 poruszył tę kwestyę w obszernej broszurze, znany głośno Chamberlain. Roku następnego zajął się nią we Francyi specyalnie Jourdan, a przecież nowa praca Picot'a znalazła nie mniej poważną liczbę czytelników i krytyków, wskazującą ilością swą i powszechnem zainteresowaniem na niezmierną ważność tej kwestyi, poruszanej zresztą niedawno w parlamencie angielskim. Wiadomo, że cholera najczęstszym jest gościem w mieszkaniach zbyt ciasnych i brudnych, że śmiertelność tam największa, moralność wystawiona na najcięższe niebezpieczeństwa. Ale z drugiej strony, jakże biedny robotnik paryski zdobyć się ma i może na kilkaset franków, któreby go kosztowało rocznie najęcie paru ciupek już nie wygodnych, ale jako tako umożliwiających zachowanie porządku i pierwszych zasad moralności? Problemat ważny, przedstawiający w praktycznem rozwiązaniu niemal nieprzezwyciężone trudności.

Picot zna ubogie, wstrętne jamy raczej, niż mieszkania, które opisuje. Proste uczucie ludzkości powiedziało mu: tu trzeba, koniecznie trzeba reformy, — ale jak tę reformę przeprowadzić i kto ją ma wziąść w rękę? Czy wystarczy tu proste towarzystwo akcyonaryuszów, byle zadawalniające się miernym a uczciwym zyskiem? Tak sądzi Picot, ale niestety, jak aż zbyt jasno wykazał autor znakomitego artykułu w Correspondant, kwestyi tej poświęconego [1], „jedno poruszenie czarodziejskiej tej laseczki“ z pewnością nie wystawi wygodnych mieszkań, ani dla paryskich, ani dla żadnych innych biedaków. Najdokładniejsze sprawozdania doktorów, architektów i moralistów wykazują, iż w obecnych stosunkach, żadna rodzina, która na swe mieszkanie nie może poświęcić rocznie od 350 do 400 franków, zdrowego i zabezpieczającego moralność pomieszczenia z pewnością w Paryżu nie znajdzie. A przecież ileż to tysięcy i tysięcy rodzin nie może wpisać w swym rocznym budżecie, tej bądź co bądź wysokiej sumy? Rzecz daremna — albo należy przyjąć zasadę państwowego socyalizmu, troszczącego się o wszystkich, ale poniżającego wszystkich do rzędu niewolników państwa, a w gruncie rzeczy niemożliwego; albo przyznać, że jedno tylko dobrze pokierowane chrześcijańskie miłosierdzie zdolne jest społeczeństwo z tego wrzodu wyleczyć.

Wniosku tego książka p. Picot'a nie stawia, ale z danych faktów i z samychże podawanych środków, do spełnienia niemożliwych, mimowoli do niego doprowadza. Pauperyzm dzisiejszy, przedewszystkiem po wielkich stolicach, to

[1] Anatole Langlois, „Les logements ouvriers à Paris“. — Correspondant z 25 grudnia 1885.

plaga może mniejsza, ale we wszystkich szczegółach podobna do dawnego niewolnictwa; jeden wyłącznie chrześcijanizm potrafił znieść niewolnictwo, jeden wyłącznie chrześcijanizm potrafi podać lekarstwo na toczący społeczeństwo, wyradzający socyalistów i komunistów, pauperyzm.

B.

Ostrożskaja Tipografia i jeja izdania, — istoriczeskaja Monografia *A. Sieleckawo*, Poczajów 1885, in 8-o str. 227.

Historya południowo-zachodniej Rusi przy końcu XVI. i na początku XVII. wieku, czyli, właściwiej mówiąc, dzieje religijnej kontrowersyi w tym kraju, są zarazem historyą Ostrogskiej drukarni. Takie jest założenie autora tej historycznej monografii, podzielonej na dwie części: w pierwszej (od str. 1—83) autor mówi o religijnym stanie owoczesnego społeczeństwa polsko-ruskiego w południowo-zachodniej Rusi, o t. z. reformacyi, która z Zachodu do Polski przybyła, szybko się tam rozgałęziła i zrodziła mnóstwo sekt wrogich tak katolicyzmowi, jak i kościołowi wschodniemu; w drugiej części (od str. 83—227) traktuje o samej drukarni, środkach, któremi rozporządzała i wydanych książkach.

Chociaż pierwsza część tego dzieła dość szczegółowo rozprawia o rozwoju protestantyzmu w Rusi i o wybitniejszych jego przedstawicielach i protektorach, — na podstawie rosyjskich autorów, i idąc za dr. Bukowskim — to przecież nie znajdujemy w niej nic tak nowego i ważnego; za to druga połowa monografii daleko więcej interesująca, podaje dużo nieznanych lub niedokładnie znanych faktów. Najprzód p. S. obszernie rozbiera działalność, charakter i plany Konstantego księcia na Ostrogu, fundatora tej drukarni, starając się przytem przekonać, że zarzuty Kulisza, księciu czynione: kosmopolityzm i niezbyt gorliwe trzymanie się dogmatów wschodniego kościoła, nie wytrzymują krytyki i nie mają podstawy, potem podaje genealogię książąt na Ostrogu, wyprowadzając ich od książąt Turowskich i Pińskich, następnie przystępuje do swego, właściwie głównego przedmiotu — drukarni w Ostrogu. Przy tej sposobności podaje wiadomość o ważniejszych osobistościach, których działalność kupiła się około drukarni, mówi więc o Harasymie Smotryckim, ojcu znakomitego i głośnego Melecyusza, o Krzysztofie Brańskim, twierdząc o nim, że był protestantem, czemu niektórzy literaci rosyjscy zaprzeczali, i o prezbiterach ostrogskich: Wasylu, znanym pod imieniem kleryka z Ostroga, i Damianie, bracie rodzonym Nalewajki. Dalej szczegółowo rozbiera treść ważniejszych dzieł, drukowanych w drukarni księcia Konstantego, zaczynając od owej sławnej biblii, której, jak mniema autor jedno tylko było wydanie z r. 1581, a nie dwa, z 1580 i 1581 roku. Nakoniec wylicza autor wszystkie ważniejsze i więcej znane książki, wytłoczone w Ostrogu pomiędzy rokiem 1580—1612, w którym drukarnia została przeniesiona do Ławry-Pieczerskiej w Kijowie. Miało ich być 21.

Marek Gozdawa.

Z pism peryodycznych.

Przewodnik naukowy i literacki r. 1886.

Niniejsze czasopismo obok *Gazety Lwowskiej* przez Wł. Łozińskiego założone i jako dodatek do niej raz na miesiąc wychodzące, liczy już czternasty rok swego istnienia. Kierunek i obręb w jakim się obraca, wskazuje sama nazwa. Obok prac z dziedziny historyi, geografii, etnografii i przyrody, znajdują tu miejsce artykuły społeczne, ekonomiczne i literackie. Umiejętne kierownictwo i sumienna praca zdobyły mu zaszczytne miejsce wśród naszych czasopism. Przesilenie jakie przed paru latu wywołała zmiana redakcyi minęło i *Przewodnik* utrzymał się, choć nie na pierwotnej wyżynie. Ale i dziś spotkać się w nim można z imionami pisarzy wypróbowanej wartości obok sumiennych prac początkujących literatów. Przypatrzmy się ostatniemu półroczu.

Jednym z najbardziej zajmujących artykułów jest rozbiór „Politycznej korespondencyi Fryderyka Wielkiego“ publikacyi z archiwum pruskiego 13 tomów liczącej, pióra Kazimierza Jarochowskiego. Wydawnictwo to obejmuje 16-letni okres panowania Fryderyka Wielkiego, od wstąpienia jego na tron aż do r. 1756, a choć tendencyjnie obkrojone przez wydawców ze wszystkiego, coby politykę pruską w prawdziwem świetle przedstawić mogło, mimo to ważnym jest materyałem do dziejów Polski. Skryte roboty agentów i rezydentów Fryderyka w Polsce występują tu jawnie, odkrywając nieodgadnione dotąd przyczyny „rwania się“ lub „niedochodzenia sejmów“. Fryderyk, o którym jak pisze Kojałowicz „nie lękał się największej siły, a najmniejszej sobie nie lekceważył, baczne wciąż oko zwracał na Polskę. Czując, że lada chwilę przyjdzie mu się zmierzyć z Austryą, której wydarł Szląsk, boi się słusznie zaatakowania z tyłu od Polski. Kaptuje sobie stronników wśród magnatów, choć niemi w duszy i słowie pogardza, a choć oszczędny zawsze i skąpy, szafuje pieniędzmi kiedy inaczej celu dopiąć nie może. Widmo Polski zbrojnej związanej w *foedus sanctum* z dworem wiedeńskim ciągle go straszy i popycha do gorączkowej akcyi, której owocem zerwanie sejmu Grodzieńskiego a w następstwie przeszkodzenie augmentacyi wojska i niedoszła liga.

Szeroko równie jest tu omówione dzieło hr. Pajacewicza, „Piotr Parcewicz biskup marcyanapolitański i t. d.“. Parcewicz po kilkakroć wyprawiał się do Polski, raz i drugi imieniem narodu bułgarskiego i wojewody wołoskiego z prośbą o pomoc i poparcie orężne przed uciskiem tureckim, to znowu jako legat Ferdynanda III. do Bogdana Chmielnickiego, by go pogodzić z Polską wreszcie w r. 1673 z ponowną prośbą o wsparcie dla zagrożonych przez Turków krain.

Ważną jest rozprawa Dr. W. Kętrzyńskiego „o dwu nieznanych historykach“. Chodzi tu o to, kto był autorem rękopismu, który służył za materyał do kroniki trzemeszeńskiej. Trzech rozróżnia i wymienia sam tekst kroniki: *Compilator vetus*, ks. Sierocki, i *post hunc defunctum*, *recentior*. Wbrew dotychczasowym poszukiwaniom, które dwie pierwsze osoby identyfikowały, oparty na datach i słowach kroniki dowodzi niezbicie, że to nie kto inny, ale opat tamtejszy ks. Andrzej Drzązyński. Mniej ścisłe i nie tak przekonywające jest dowodzenie co do autorstwa kroniki Oliwskiej, które p. K. przysądza ks. Stanisławowi opatowi tegoż klasztoru.

Drugą krytyczną rozprawą tegoż autora jest „założenie i wyposażenie biskupstwa płockiego“. Wśród rękopismów katedry płockiej popadł mu w ręce rękopism pergaminowy, w którym obok traktatów teologicznych znajdnje się 29 listów i dokumentów niezamieszczonych w kodeksie księstwa mazowieckiego wydanym przez ks. T. Lubomirskiego. Dwa zwłaszcza dokumenty zwracają jego uwagę, z których jeden: *Istae sunt castellaniae ecclesiae Plocensis cum villis pertinentibus ad easdem*, zestawia z odnośnym dokumentem w kodeksie ks. Lubomirskiego i wykazuje, że ostatni jest podrobionym w końcu XIV. lub XV. wieku, przeciwnie odnaleziony istotnym zabytkiem odległej przeszłości.

Krytyczne także studyum odbywa p. E. Schirmer nad kroniką Chwalczewskiego. Zdania dotychczasowych krytyków przyznają mu oryginalność jako pisarzowi, ale nie godzą się co do źródeł, z których czerpał Chwalczewski. P. Schirmer udowadnia, że kronika Chwalczewskiego jest prostem tłumaczeniem kroniki Miechowity. Odmówiwszy jej wszelkiej wartości historycznej i oryginalności przyznaje, że jest ona cennym jedynie zabytkiem językowym z XVI. wieku.

W krótkiej znowu rozprawie p. Z. Lisiewicz rozbiera, jakim był język urzędowy na Czerwonej Rusi między rokiem 1340 - 1506. Mając bogaty przed sobą materyał różnych aktów, przychodzi do konkluzyi, że do r. 1430 używano języka ruskiego w urzędowych sprawach, później na podstawie sejmowego przywileju w Jedlinie, i po zrównaniu Rusi co do praw z resztą Rzeczypospolitej, językiem urzędowym został łaciński.

Przyczynkiem do historyi porozbiorowej są „Dzieje Rzeczypospolitej krakowskiej“, spisane przez ówczesnego senatora Jacka Mieroszowskiego, a obejmuje jej początek, urządzenie i dalsze koleje do czasu, w którym Kraków dostał się pod berło Habsburgów.

Naukowo-historycznym a nas bliżej obchodzącym jest artykuł „Legioniści na wyspie San Domingo“. Rozpoczyna ją p. Gustaw Meinert geograficzno-statystycznym opisem wyspy, a skreśliwszy pokrótce powstawanie zamorskich kolonij europejskich przystępuje do historyi wyspy San Domingo, pierwotnych osad tak hiszpańskich jak i francuskich, dalej kreśli przyczyny powstania Murzynów, ich bohaterskie usiłowania w celu wybicia się z pod uciążliwej potęgi białych na wolność, czemu stawiają zaporę legiony przez Bonapartego wysłane, który ustąpiwszy Egipt Anglikom, chce swą stratę powetować innym bogatym nabytkiem. W jednym z końcowych zeszytów zapoznaje nas p. Ottman bliżej z Glicznerem Skrzetuskim a p. Czermak zwraca uwagę na dziełko Błażeja Lipkowskiego w 1660 r. wydane, pod tytułem „Piechotne ćwiczenie albo wojenność piesza“.

Obok powyższych znajdujemy tu studyum estetyczne pióra Kazimierza Chłędowskiego, pod tytułem „Dawni mistrze“, dalej: „Podróż do Kijowa przez ks. St. Chołoniewskiego“ z wielką werwą i humorem napisana a krótką przedmową Dr. Antoniego J. poprzedzona; wreszcie cały szereg ciekawych artykułów z niedrukowanego dotąd Dzieła „Puławy“, pióra p. Ludwika Dębickiego. Kronika literacka, w której rozbiór kilku ważniejszych nowszych publikacyj zamyka każdy miesięcznik.

Nie brak więc i artykułów i rozmaitości mogącej zaciekawić czytelników. Jedno, naszem zdaniem, możnaby zarzucić „Przewodnikowi“, że mając obfitość artykułów, w zbyt małych dozach je podaje i karmi nas podobnie jak „Czas“ „Potopem“. Obok tego nie-

dość starannie prowadzona korekta, który zarzut nie tak redakcyę jak raczej administracyę dotyka.

Z. B.

La Civiltà cattolica.

Trzydzieści siedm lat temu, z wyraźnego rozkazu Piusa IX., pozostającego wówczas na wygnaniu w Gaecie, założyli Jezuici włoscy dwutygodnik pod znaczącym tytułem: *La Civiltà cattolica* — Cywilizacya katolicka z godłem *Beatus populus, cujus Dominus Deus ejus.* Nowe pismo pozyskało sobie wnet tysiące prenumeratorów nietylko we Włoszech, ale i poza ich granicami; przecież przez pewien czas uważano je nawet za półurzędowy organ watykański. Jeden z założycieli, a przez długie lata główny redaktor O. Curci, w znakomitych artykułach pół-politycznych, pół-filozoficznych, walczył przeciw wrogom papiestwa i chrześcijaństwa; O. Liberatore, Taparelli, Salis-Seewis, Caterini, dzisiejszy redaktor O. Cornoldi i wielu innych, w obszernych filozoficznych rozprawach, które z czasem wyrosły w grube księgi, wykładali jasno i popularnie główne zasady Prawdy, ucierali się z grasującym we Włoszech „rosminianizmem“, lub bronią nauki i ostrej satyry uderzali w koryfeuszów niewiary: Renana, de Gubernatisa, Darwina. Jednocześnie O. Brunengo odkrywał przed zdumionemi oczami czytelników zakopaną w zapomnieniu historyę dawnego Babilonu i Niniwy, i odtwarzał wizerunki pierwszych papieży-królów; O. Zocchi zdejmował fotografie współczesnych poetów i literatów włoskich; O. Previti zastanawiał się nad przyczynami upadku literatury włoskiej Wojskowi obsypywali pochwałami fachowe studya nad wojną z 1870 r.; archeolodzy — studya i odkrycia O. Garucciego; a już wszyscy bez wyjątku czytali kronikę polityczną, pisaną wytrawnym piórem O. Fantoniego, i czekali z niecierpliwością na dalszy ciąg powieści znanego szeroko, — postrach wolnomularzy — Brescianiego. Naturalnie pismo liczące już blisko czterdzieści lat życia, nie mogło się zawsze utrzymać na tej samej wysokości: powieści OO. Franca, Rondiny, Balleriniego, Previtiego, nie zawsze równy budziły interes; zagraniczni korespondenci nie zawsze równie dobrze byli wybrani i o wszystkich szczegółach powiadomieni. Naturalnym też biegiem rzeczy i w skutek powstania innych pokrewnych pism, nie ma już *Civiltà* tego wpływu

co dawniej, kiedy nieraz jedna jej krytyka zabijała dziennik, odejmując mu wszystkich prenumeratorów. Wszakże w ostatnich paru latach, od czasów objęcia redakcyi przez O. Cornoldiego, i te względne niedostatki coraz mniej czuć się dają, wpływ *Civilty* wzrasta, a nowo zaciągnięci młodzi pisarze dodają staremu pismu nowego życia i werwy.

Taką jest w paru słowach pobieżna notatka o czterdziestoletniej historyi dwutygodnika *Civiltà cattolica*. Krótkie streszczenie ostatniego półrocznika zaznajomi nas lepiej z jej duchem i treścią.

Na pierwszem miejscu uderzają oko rozprawy zasadnicze o najważniejszych kwestyach, stojących w związku z współczesną historyą i polityką. Artykuł wstępny: Życzenia noworoczne dla Włochów, w krótkim, ale przerażającym obrazie streszcza obecny ekonomiczny, społeczny i moralny stan Włoch kielnią wolnomularską zjednoczonych. Kto przed dwudziestu paru laty płacił pięćdziesiąt lir podatku, ten dziś płaci pięćset; z pół miliarda rocznego rozchodu, dziś poskoczyło państwo na półtora; z dwóch miliardów długu na dwanaście. Każdego roku dług państwowy powiększa się o przeszło pół miliarda. Z dnia na dzień pokazują się książki, pisane przez samychże nawet zwolenników liberalizmu, jakim np. jest Bonghi, które wykrywając ohydę i upodlenie rządu, przyznają niemoc systemu liberalnego i wołają o ratunek. Jaka przyczyna tego jawnego upadku? Jedni winią wychowanie; inni przemyśliwają o ukształceniu nowej konserwatywnej partyi; sam Bonghi mileby na nią spoglądał, ale pod warunkiem, aby konserwatyści ci przyjęli fait accompli, tj. z konserwatystów przedzierzgnęli się w konserwatywnych liberałów. My zaś, kończy *Civiltà*, życzymy Włochom światła i wolności, ale prawdziwej; czy taka wolność i światło nie potrzebuje obalenia złotego cielca, który dziś pod różnemi postaciami we Włoszech, a szczególnie w Rzymie panuje — to sami osądźcie.

Do tego samego tematu wraca *Civiltà* w dalszym szeregu wstępnych artykułów: „O problemacie moralnego ocalenia Włoch“, „Kwestya papieska“, „O dylemacie konstytucyonalnym“, „Młode Włochy i stare papiestwo“, „O socyalizmie we Włoszech“, „O następstwach pośrednictwa papieskiego“. Idea przewodnia zawsze ta sama, ostateczne wnioski identyczne; natomiast argumenta i sposób

ich przeprowadzenia bardzo różne. Często podniety i materyału dostarczały same gazety liberalne, pytając np.: po co było burzyć siedem tronów, aby dojść do takiej wewnętrznej nędzy, a do zewnętrznych fiasków: do niemieckiego wychowania, szalonych podatków, wystawienia Włoch na szyderstwo w obec innych mocarstw. Kwestya papieska zrodziła się w skutek niezmiernego strachu, jaki padł na gazety włoskie po pochwałach oddanych Papieżowi przez Bismarka w czasie obiadowej pogawędki i śmiesznych zapewniań dziennika *Opinione*, że mądry Leon XIII., ani chce, ani myśli o władzy doczesnej. Rząd i dyplomacya włoska robiły co mogły, żeby Prusy nie zgodziły się na pośrednictwo papieskie; kiedy im się to nie udało, zaczęły niektóre gazety głosić, że uznanie to duchowej swej potęgi zawdzięcza papież przedewszystkiem Włochom, gdyż tylko na sąd wyłącznie duchownego a nie świeckiego władcy spuścić się mogą bezpiecznie obce monarchie. Chwalcie się, odpowiada ironicznie *Civiltà* w artykule O następstwach pośrednictwa papieskiego, bo choćby nawet słowa wasze miały część prawdy, to papież o tyle tylko wam zawdzięcza ostatnie uznanie swej władzy przez protestanckie państwo, o ile świat zawdzięcza żydom chrześcijaństwo. Natomiast patrzcie, co zrobiliście z ludem, pisze w rozprawie O socyalizmie we Włoszech; krwawe rany we Francyi i w Belgii nie są faktami odosobnionemi: to logiczne następstwa panującego liberalizmu i środków, jakich tenże używa: plebiscytów i rewolucyj. Tych samych środków używały Włochy do zjednoczenia się; dziwnem byłoby, gdyby z tych samych przesłanek nie płynęły te same wyniki. To też socyalizm we Włoszech, prawe dziecko rewolucyi, żywione skasowaniem klasztorów, podatkami, egzekucyami i nierozsądnie prowadzoną szkołą, szerzy się gwałtownie i szybko jak iskra elektryczna, a lada dzień przerazi świat olbrzymim wybuchem. Lekarstwa proste, — wskazane w Encyklice papieskiej o socyalizmie; nie nasza — nie katolików wina, jeśli lekarstw tych nie używacie, a tak dozwalacie socyalizmowi, iż kopie grób dla własnej swej matki — dla ustaw i urządzeń liberalnych.

Obok tych wstępnych artykułów i w jednym z niemi szeregu zamieszcza *Civiltà* z ostatniego półrocza, obszerny, dotąd nieskończony komentarz encykliki: *Immortale Dei*. Krótka, ale jędrna

rozprawa: Samobójstwo we Włoszech, zastanawia się nad przyczynami zaraźliwej tej plagi, wzmagającej się w zatrważających proporcyach. Czyż 5.000 samobójstw pepełnionych we Włoszech w ostatniem tylko trzyleciu, miałoby bez wyjątku, a przynajmniej w przeważającej części pochodzić z umysłowego obłędu: czyste niepodobieństwo — o odpowiedniem pomnożeniu chorób umysłowych nie wiedzą lekarze; natomiast statystyka stwierdza, iż w prostym stosunku do liczby zbrodni rośnie liczba samobójstw. Rzecz naturalna, że namiętność nie zwalczana, boleść nie szukająca i nie znajdująca pociechy w religii prowadzi do rozpaczy, a ta do samobójstwa, podniesionego, na domiar złego do stopnia heroizmu przez przywódców włoskiej literatury: Foscol'a, Guerrazzi'ego, Leopardi'ego.

Nowsza ta literatura, podobnie jak historya, w dawniejszych rocznikach bogato przedstawiona, w ostatnim ledwie kilka kartek zajmuje. Widocznie cała uwaga redakcyi zwróciła się do egipskich babilońskich, asyryjskich odkryć, a zwłaszcza do starożytnych budowli w Sardynii „nuragami“ zwanych których znaczenie i cel odgadnąć daremnie się silą uczeni.

W dziale krytycznym umieściła *Civiltà* spis i rozbiór wszystkich dzieł włoskich z ostatnich lat kilkudziesięciu, zajmujących się starożytnym Egiptem i językami semickiemi. Dłuższa rozprawa: Nowa książka o Syllabusie, chłosta nielitościwie „praktycznie niedobry, teoretycznie fałszywy“ wykład Syllabusa przez księdza Bosseboef'a. Wreszcie w każdym miesiącu znajdujemy długą, litanię książek włoskich polecenia godnych z krótką a zwięzłą oceną.

W ostatnim dziale, Kronika współczesna: najciekawszemi dla nas są korespondencye z Prus i Rosyi. Korespondenci w ogóle dobrze są poinformowani; na parę mniejszych błędów, które zwłaszcza odnośnie do stosunków polskich, w ostatnich paru latach do tych korespondencyj się zakradły — trzeba być wyrozumiałym, zwłaszcza, iż sama redakcya, dokładniej o rzeczy się wywiedziawszy, najbardziej ich później żałowała. W ogóle wieje w *Civiltà* dla katolickiej Polski i dla Polaków duch przychylny, sympatyczny, pełen wyrozumiałości, jak i dla każdej kwestyi, sprawy i ludu, „którego Panem Bóg jego“.

X. Jan Badeni.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Intronizacya arcybiskupa poznańskiego. — Przeniesienie oficyała Wrocławskiego. — Wybory w Belgii. — Stosunki Francyi z Watykanem.

Intronizacya nowego arcybiskupa poznańskiego odbyła się z godnością odpowiedną ważności tego aktu. Nie było to powitanie radosne, gdyż tego przybywający arcypasterz nie żądał. Sam w powitalnej mowie zaznaczył, że tylko na wyraźny rozkaz Ojca św. podjął się ciężkiego brzemienia, które nowa godność nań wkłada, ale, że tuszy, iż z pomocą Bożą a z ufnością i poparciem polecony mu owieczek, trudnemu zadaniu sprosta. A ufności tej zadatkiem było owo przyjęcie pełne powagi, które mu zgotowano. Cecha dnia tego jest nowym dowodem rozumu, wytrawności i zdrowia moralnego w społeczeństwie wielkopolskiem. To zachowanie się synowskie w obec woli Papieża, niezawodnie było w Berlinie zawodem, bo nie takiego tamże spodziewano się nastroju. A w obec powtarzających się ciągle w prasie rzymskiej wieści o entuzyastycznem powitaniu nowego zwierzchnika przez ludność polską, należy w katolickich naszych pismach podnosić i zaznaczać z naciskiem wagę i ogólny ton dnia tego, ową wspomnianą poważną, spokojną, pewnym szlachetnym a nie rozgoryczonym smutkiem owianą manifestacyę, która i większą jest zasługą w obec Boga i godniejszym wyrazem wierności dla Stolicy apostolskiej, niżby nim był głośny a sztuczny, bo niemożliwy entuzyazm. Po naszej stronie nie zabrzmiał tedy ani jeden fałszywy ton, za co Bogu dzięki, a ludowi wielkopolskiemu uznanie się

należy. Ale znów w obec Rzymu, gdzie nasze krzywdy przedkładać winniśmy w obec świata katolickiego, który położenie nasze znać powinien, podnieść należy niewłaściwe wystąpienie ks. Kaysera, rządowej nominacyi kanonika i oficyała Wrocławskiego. Na uczcie w dzień prekonizacyi ks. Dindera danej przez księcia biskupa Wrocławskiego, kanonik Kayser począł w obec przybyłych na powitanie nowego Arcypasterza delegatów wielkopolskich, sławić w przydłuższem przemówieniu zasługi cesarzów niemieckich, którzy od Ottonów aż do Wilhelma metropolię Gnieźnieńsko-Poznańską rzekomemi obdarzali dobrodziejstwy. Przywykliśmy już wprawdzie do słuchania tego rodzaju głosów. Przecież w danych okolicznościach niemało zaboleć nas musiało takie pochlebstwo dla rządu z urąganiem naszej niedoli połączone.

Inaczej, Bogu dzięki, pojął i w podniosłych a rzewnych słowach określił sytuacyę sam Arcypasterz w pierwszym swym pasterskim liście, 8 czerwca wydanym. „Znane wam są smutne stosunki „i okoliczności, dla których wielce załużony, ciężko doświadczony, „a kardynalską purpurą ozdobiony Arcypasterz wasz nie mógł po„wrócić na swój tron arcybiskupi, ani też żaden inny z pomiędzy „tak wielu czcigodnych, uczonych i światłych kapłanów dyecezal„nych, jakeście tego spodziewać się i pragnąć mogli, nie został jego „następcą. Wymieniano już nawet niejedno imię bardzo godnych „i uczonych kapłanów, jakoby mieli objąć tę arcybiskupią stolicę, „gdy w tem, jak się zdaje, o godzinie dwunastej, do mnie, niego„dnego kapłana, przyszło wezwanie od Ojca świętego, które mnie, „zgoła na to nieprzygotowanego, przejęło trwogą i przestrachem“...

„Za zrządzeniem tedy Bożem zostawszy waszym Arcypaste„rzem, oddaję wam się całkowicie, ze wszystkiemi siłami ciała „i duszy, z zupełną miłością izupełnem zaufaniem, niczego innego „nie mając na celu, jak tylko zbawienie nieśmiertelnych dusz wa„szych; i tuszę sobie, że miłość i zaufanie przy obustronnej dobrej „woli wywołają także wzajemną miłość i zaufanie. Z trudnością „tylko, i wielką trudnością przybyłem do was, wszystko bowiem, „co miałem miłego i drogiego, ojczystą mą ziemię, związek z uko„chaną moją dyecezyą, — słowem wszystko przyszło mi opuścić, „i stawam pomiędzy wami prawie zupełnie nieobeznany z tutej-

„szemi stosunkami. Proszę was przeto o cierpliwość z dobrą moją „wolą, obejmującą wszystko, co służyć może do dobra waszego".

„Lubo jeszcze nieznany wam, nie przybywam jednakże do „was jako obcy, bo przybywam jako chrześcijanin katolicki, jako „Biskup katolicki, należący do tego samego co wy, wielkiego kró- „lestwa Bożego na ziemi, do jednego, świętego, przez Pana Jezusa „założonego Kościoła rzymsko-katolickiego, którego nie dzielą żadne „granice, który wszystkie obejmuje ludy i narody ziemi".

W dalszym ciągu listu kreśli Arcypasterz całą naukę o Boskiem założeniu i znamionach katolickiego Kościoła i kończy temi słowy: „Jedna tylko droga prowadzi nas do szczęścia doczesnego „i wiecznego; jest to droga wskazana nam przez Jezusa Chrystusa, „droga wiernego postępowania Jego śladem, droga, na której usiłu- „jemy stać się i do ostatniego tchnienia być posłusznemi i dobremi „dziećmi Bożemi. Tylko na tej drodze osiągnąć zdołamy zupełne „zjednoczenie z wolą Bożą w wszystkich życia przygodach, tylko „na tej drodze poddawać się z uległością pod wszystkie rozporzą- „dzenia Boże, i pozyskać ten spokój serca, którego nam świat „wszystkiemi dobrami i uciechami swemi nigdy dać nie zdoła, „a który Chrystus Pan już tu na ziemi zapewnił wszystkim tym, „którzy Jego i Boga w Trójcy św. jedynego w niebie miłują. Ten „pokój sumienia, to błogosławione zadowolenie serca, jest jedynem „i prawdziwem szczęściem w życiu i wieczności. Za tem szczęściem „tęskni każdy, to szczęście może posiąść każdy bez różnicy ma- „jątku, stanu, płci i wieku; i tego szczęścia życzę wam wszystkim „z głębi serca mego, i ku temu daję wam w imię Boga w Trójcy „jedynego, Ojca i Syna i Ducha św. moje pierwsze arcypasterskie „błogosławieństwo".

Wybory belgijskie z dnia 8 czerwca są niemałem stronnictwa katolickiego zwycięstwem. Napróżno liberali składali winę za świeże rozruchy socyalne na ministeryum katolickie, kraj właśnie temuż ministeryum dał głośne *votum* zaufania, wzmacniając pokaźnym zastępem rządową większość w izbie. Większość ta wzrosła z 34 do 56 głosów. Zmienia to całe położenie rządu, który dotąd bronił przedewszystkiem zdobytej władzy, a dziś władzę tę w płodnej działalności zużytkować może. Zadania zaś czekają go ważne. Rozwiązanie jeżeli nie najzawikłańszej to wszelako najjaskrawszej

może, bo najżywiej ciągle tam występującej kwestyi socyalnej, na pierwszym pewno stać będzie planie. Ciekawym a pouczającym to będzie dla Europy widokiem, a daj Boże i przykładem. Stronnictwo liberalne opłakuje dotkliwą klęskę a *Indépendance Belge* stwierdza z goryczą, że stracone na dniu 8 czerwca posterunki, przez długie lata się odzyskać nie dadzą.

W sąsiedniej Francyi polityka mętna w sprawach Kościoła temi samemi a raczej ciągle kilkoma różnemi idzie tory. Niekonsekwencye się mnożą w obec dwulicowości rządu, który pokątnie prześladowanie szerzy, a w zasadzie, w literze prawa zmiany nie dopuszcza. I tak ten sam minister Goblet, który niedawno zatrzymywał pensye wikaryuszów, sprzeciwił się świeżo wnioskowi deputowanego Guyot, domagającemu się zniesienia budżetu kultu, a co więcej oświadczył się stanowczo przeciw doraźnemu zniesieniu konkordatu.

Względną tę oględność tłumaczyć należy konieczną, choćby czasową tylko uprzejmością dla Watykanu, w obec toczących się w tejże chwili właśnie ze Stolicą Apostolską układów o protektorat katolików w Chinach. O sprawie tej zapowiedzianej zdawna pisaliśmy już nieraz, więc ważności jej nanowo rozbierać nie potrzebujemy. Przypominamy tylko, że dziś rząd chiński domaga się ustanowienia nuncyatury w Pekinie, a rząd francuski żąda, żeby owa nuncyatura podlegała protektoratowi francuskiemu. Na to się Chiny zgodzić nie chcą, pragnąc położyć raz na zawsze tamę wpływowi Francyi. Układy między Paryżem i Rzymem toczą się tedy w tej mierze, ale pod osłoną tajemnicy, więc rezultatu przewidzieć nie można. Będzie on jednak zależał niezawodnie od stanowiska, jakie rząd francuski na wewnątrz w obec Kościoła zajmie; z drugiej strony pewną jest, że Ojciec święty szczególną zawsze pieczołowitością otaczał Francyę, czego świeżym dowodem nominacya trzech francuskich kardynałów; o ile się więc interes Francyi z interesem Kościoła na wschodzie da pogodzić, o tyle pewno Francya szwanku za sprawą Rzymu nie poniesie.

K.

Z Anglii.

Towarzystwo literackie Przyjaciół Polski, jego stan obecny; przygotowania do jego reorganizacyi. — Towarzystwo rolników polskich w Londynie. — Potrzeba kapłana polskiego i szkoły. — Sprawa irlandzka: Projekt Gladstone'a.

Nie ma zapewne nikogo w ojczyźnie, coby nie słyszał o minionej świetności istniejącego tu Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski. Założone w r. 1832, pod prezydencyą poety Tomasza Campbell'a i pod patronatem królewicza ks. Sussex, było przez długie lata instytucyą, reprezentującą godnie i czynnie cały naród polski. Rząd angielski wspomagał hojnie i wspaniałomyślnie zabiegi członków, by przybywającym do Anglii rodakom, co walczyli za ojczyste swobody, lub w następnych wojnach europejskich stawali pod sztandarami wolności i cywilizacyi, zabezpieczyć byt spokojny i okazać cześć należną. Bywały lata (1834—1849), że parlament wotował Towarzystwu roczne subwencye w sumach od ośmiu do piętnastu tysięcy funtów szterlingów! Później (1849—1876) zapomogi te zmniejszały się stopniowo, od ośmiu do półtora tysiąca f. szt. Aż po rok 1876 ogólna suma 42-letnich subwencyj wynosiła 230.000 f. szt. W roku bieżącym... Towarzystwo otrzymuje ze skarbu państwa tylko 375 f. szt., jako pensyę dla weteranów[1] z r. 1831.

Wiadomo z jakiem entuzyazmem służył ojczyźnie naszej ś. p. nieodżałowany lord Dudley Coutts-Stuart; ile następnie zawdzięczają Polacy w Anglii szlachetnemu, a zmarłemu przed półtora rokiem, majorowi Karolowi Sulczewskiemu. On to, pracą niezmordowaną i chętną ofiarnością starał się podtrzymywać Towarzystwo, któremu od lat dziesięciu grozi zupełny upadek. Wkrótce po zgonie majora, umarł i ostatni prezydent Towarzystwa, słynny lord Houghton (niegdyś Mr. Milnes); zeszli też jedni po drugich z tego świata wybitni przyjaciele nasi, członkowie Towarzystwa. Pozostał tylko z dawnych, honorowy dziś sekretarz, p. William Lloyd Birkbeck, starzec zawsze jeszcze czynny i gorliwy. Tymczasem, napływ rodaków do Anglii nie zmniejszał się, owszem wzrastał, i tak w r. 1853, po wojnie

[1] Weteranów tych jest jeszcze 30, a pobierają od rządu angielskiego: oficerowie po 20 szylingów tygodniowo, prości zaś żołnierze po 21 szyl. Gdy który z nich umrze, rząd go wykreśla z regestru i zmniejsza nadal swój budżet.

krymskiej, po r. 1863, po 1876, przybywali tu ziomkowie nasi ufni w pomoc Towarzystwa. Prócz tych wychodźców osiadali tu inni, a mianowicie biedni kmiotkowie galicyjscy i poznańscy, co wyjechawszy bez dostatecznych funduszów do Ameryki, odesłani zostali w nędzy przez rząd Stanów do portów europejskich, zwłaszcza do Liwerpolu, Sothempton i Londynu. Nareszcie... pod koniec roku ubiegłego zjechało tu kilkadziesiąt rodzin wydalonych z Prus i z Księstwa — a temi dniami, spodziewamy się, że przybędzie ich więcej!

Okropnym istotnie jest stan największej liczby rodaków, przybyłych do Anglii w przeciągu ostatniego półrocza. Towarzystwo ratować ich nie jest w stanie; najlepszą ilustracyą jego położenia finansowego jest fakt, że od absolutnej ruiny i długów uratowała je tego roku (rok kończy się z kwietniem), pewna szlachetna rodaczka w Paryżu, przysyłając 200 franków!

Przeszło 80-letni starzec, p. Jan Józef Baranowski — były porucznik wojsk polskich (5 pułku ułanów Zamojskiego) — a znany dziś ze swych prac filologicznych — zastąpił dziś ś. p. majora Sulczewskiego w biurze Towarzystwa. Lecz wiek podeszły i zdrowie zwątlone nie pozwalają mu podjąć pracy niemniej ważnej, p o z a b i u r o w e j — gdyż i do samego biura potrzebuje koniecznie wyręczenia i pomocy.

Otóż ta praca pozabiurowa, zaniedbana, niestety, od lat kilkunastu, ma być rozpoczętą nanowo, z uwzględnieniem nowych stosunków i naszych własnych i angielskich. Dzielimy ją zaś, według potrzeb Towarzystwa i ojczyzny, na następujące wydziały:

1. F i n a n s o w y — mający na celu dostarczanie Towarzystwu funduszów, niezbędnych do wspomagania kilkuset dawniejszych wychodźców i nowo-przybywających.

2. R e d a k c y j n y — zajmujący się z jednej strony zbijaniem bezustannych na nas oszczerstw i potwarzy politycznych, rzucanych w ostatnich zwłaszcza czasach pełnemi garściami w pisma angielskie — z drugiej strony dostarczający tak angielskim jak i polskim pismom autentycznych świadectw i dokumentów. Wydziału tego obowiązkiem będzie zapoznawać publiczność angielską z naszym ruchem umysłowym, z literaturą i sztukami pięknemi.

3. C e n t r a l n y — który starać się będzie, nietylko o dobro

rodaków materyalne, lecz przedewszystkiem o dobro ich duchowe i moralne — łącząc i skupiając rozstrzelone siły wychodztwa koło jednego sztandaru narodowego.

Wątpię, by gdziekolwiek poza ojczyzną polityka eksterminacyjna lepsze wydawać poczęła owoce, aniżeli tu między nami. Polityczne warcholstwo, jeżeli nie znikło zupełnie, znika z dnia na dzień widocznie; duch nowy wstąpił, chwała Panu Bogu, w umysły tych nawet prostaczków naszych, co przeżywszy w Londynie długie lata — albo zwątpili o wszystkiem i wyrzekli się do pewnego stopnia swej narodowości — lub też rzucili się na manowce... Tym sposobem, żywimy nadzieję, że główny powód spotykanej tu oziębłości i obojętności ku nam zniknie niebawem. Jako przykład niech posłuży działalność niedawno założonego w Londynie Towarzystwa robotników polskich. Należą do niego rzemieślnicy i wyrobnicy, z których większość czytać i pisać nie umie. Zebrawszy się w liczbie około 50-ciu, obrali sobie zacnego pod każdym względem przewodniczącego, mają swego pisarza i skarbnika; składają się po kilkanaście szylingów rocznie, w celu: wspólnej pomocy w czasie choroby, lub bezrobocia — i wspólnego „kształcenia się“ środkami, jakiemi mogą rozporządzać: czytaniem książek polskich i dzienników, rozmową o dalekiej ojczyźnie i miesięcznemi odczytami, jakie miewają w lokalu Towarzystwa zdolniejsi członkowie zwyczajni i honorowi. W jaki się sposób związek ten rozwinie — niepodobna nam dziś przesądzać. Ale z radością i ze wzruszeniem zapisujemy tu fakt, że najbiedniejszych wydalonych z Prus żywili tu i dotąd żywią jeszcze członkowie Towarzystwa robotników, sobie od ust potrzebną odejmując strawę...

Lecz najgłówniejszą potrzebą kolonii polskiej w Londynie — potrzebą, którą Towarzystwo literackie postara się zaspokoić... z pomocą ziomków w Ojczyźnie — jest stały pobyt i stała praca pasterska polskiego kapłana! Tyle tu przeróżnych, ucywilizowanych i pół-barbarzyńskich narodowości ma swoich przewodników duchownych... wyjąwszy licznej, bo dwutysięcznej przeszło kolonii naszej! Wstydzić się nam przychodzi stąd przed społeczeństwem angielskiem i bolejemy niemało, patrząc na najsmutniejsze opuszczenie tylu ziomków, co z roku na rok pozostają bez pomocy i pociechy świętej wiary katolickiej! Czujemy, iż obowiązkiem jest naszym

przed Bogiem prosić Go i błagać o zesłanie nam sługi swego, któryby w tej tak zaniedbanej winnicy podjął się pracy apostolskiej! Ale — dwa ludzkie względy stają zawsze na przeszkodzie: brak kapłana, któryby chciał się osiedlić w kraju, tak dziwnie zapoznawanym, jakim jest dla rodaków Anglia — i brak (któremu postaramy się zapobiedz) dostatecznych funduszów. Ostatnim naszym „misyonarzem" był tu, aż do r. 1880, zacny i opłakiwany przez nas O. Adolf Bakanowski, C. R. Szlachetny ten kapłan przecierpiał niezmiernie wiele w Londynie — głównie może dlatego, że, będąc sam usposobienia i serca otwartego i dobroczynnego, zapóźno począł się poznawać na ludziach... Mieliśmy wtenczas przynajmniej swoje nabożeństwo: każdej niedzieli i święta w krypcie kościoła włoskiego przy Hatton Garden odprawiał ks. Bakanowski Mszę św; miewał swe wymowne kazania i nauki, słuchał spowiedzi św. i skupiał przed oltarzem współziomków różnego stanu, śpieszących do „kaplicy polskiej" z najodleglejszych okolic nad-tamizańskiej stolicy. Przechodnie zatrzymywali się pod murami włoskiej bazyliki w godzinę nabożeństwa, by usłyszeć słynną w Londynie orkiestrę i chóry w kościele; z nastaniem przerwy — słyszeli z podziemia chór mężczyzn, niewiast i dzieci wołających do Pana Zastępów pieśnią, nad którą niema wznioślejszej, pokorniejszej i uroczystszej — Święty Boże! Święty Mocny! Święty i Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!...

Naraz zbrodzień jakiś, należący do związków tajemnych w Stanach Zjednoczonych i w Londynie — spełnił zamach świętokradzki na życie O. Bakanowskiego w chwili, gdy kapłan we mszy św. rozpoczął Ofiarowanie... Na rozkaz swych przełożonych zacny misyonarz pożegnał się z nami i opuścił Anglię. Innego rodzaju „zamach" — bo zamach na dobrą sławę tak kapłana, jak całej kolonii polskiej, pozbawił ziomków w Liwerpolu niezmordowanej pracy ks. Juliana Dutkiewicza. Równocześnie niemal, kiedy Aleksander Schoss został skazany na dożywotne ciężkie roboty za zbrodnię w bazylice włoskiej — władza duchowna z Liwerpolu zabroniła ks. Dutkiewiczowi otwarcia kaplicy polskiej. Przekonaliśmy się później, że tak Londyn jak Liwerpol jedną przeciwko nam i kapłanom naszym krył agitacyę zagraniczną.

Obok spraw własnych, zajmuje nas tu przedewszystkiem sprawa Irlandyi.

„Siedmset lat upłynęło od śmierci Henryka II. — czas więc, by Irlandya powróciła do rzędu żyjących narodów świata!“. W ten sposób streścił poseł irlandzki, Healy, konieczność polityczną W. Brytanii. Zakończył zaś mowę swą w Izbie, zwróconą do pierwszego ministra, słowami Pisma św.: „O jako piękne na górach nogi opowiadającego i rozsławiającego pokój“!

Nie podobna wątpić, że konieczność polityczno-ekonomiczna jest najwalniejszym czynnikiem w toczących się obenie rozprawach nad konstytucyą przyszłego rządu w Irlandyi. Z narodami, które jak irlandzki — nietylko podtrzymują, lecz i rozwijają potężnie swą żywotność narodową, przestrzegając czystości swych narodowych pierwiastków — wiary świętej i wierności narodowemu sztandarowi — z narodami lgnącemi wśród najsroższego prześladowania do ziemi ojczystej i do ojczystych ołtarzy — a posiadającemi dość zmysłu politycznego, by nie pójść na lep ani wyrafinowanej polityki półustępstw, ani rozpaczliwej taktyki sowizdrzałów - jedna tylko pozostaje rządom alternatywa: Albo podjąć i przeprowadzić system bezwzględnej, bezwarunkowej i barbarzyńskiej represyi... lub też uderzyć się w piersi, przyznać *peccavi* i zwrócić im naturalne prawo do istnienia w warunkach im właściwych. Przez lat siedmset próbowała Anglia represyi, siejąc z rokiem każdym w Irlandyi nienawiść w sercach odrębnego narodu — a zbierając hańbę i ruinę. Z postępem ducha chrześcijańskiego i humanizmu, nadała Irlandyi równe z Anglią, Szkocyą i Walią przywileje. Powstał tedy w Irlandyi nowy zastęp 400.000 wyborców; reprezentanci irlandzcy stawili w programie swym jedno tylko żądanie: s a m o r z ą d u — żądanie jednomyślne czterech piątych części ludności Irlandyi. Między odrzuceniem tego żądania i koercyą różnicy być nie mogło! Lecz koercya, miasto uspokoić, wzmacniała żywioły rewolucyjne w Irlandyi i w Ameryce, czyniła rząd parlamentarny dla państwa absolutnie niemożebnym, zmuszała Anglię do utrzymywania w Irlandyi 50.000 wojska, przerażała monarchię okropną paniką na wypadek wojny z którembądź mocarstwem europejskiem! Cóż miała począć Anglia, rządzona przez stronnictwa, chełpiąca się moralnością polityczną? Wszystkich przecież środków próbowali angielscy mężowie stanu, by zachować

Anglii wyspę, a wytępić Irlandczyków — i z wszystkich tych środków użytych jeden pozostał wniosek: Bóg jeden zatraca narody... jak On sam je podtrzymuje.

Kiedy, na początku tego roku, obok Parnella zasiadło w izbie 85-ciu jego kolegów, ślepo mu ufających i posłusznych, mężowie stanu angielscy uznali, iż program ich w czasie wyborów, ustąpić musi sprawie irlandzkiej. U steru rządu stał lord Salisbury. Parneliści jak dotąd stanowili stronnictwo niezależne, gotowe dać głos swój temu, kto da samorząd Irlandyi. Zapytano Parnella, co myśli uczynić? „Stoję — odparł — na jednej estradzie: irlandzkiej; a na tej estradzie, na jednej desce — s a m o r z ą d u!". Konserwatyści, liczący w swem gronie oranżystów ulsterskich — a zresztą przerażeni możliwemi następstwami autonomii irlandzkiej: rewolucyą w koloniach, rokoszami w Indyach — samorządu wręcz odmówili, skłaniając się ku częściowej decentralizacyi rządu w Irlandyi, przez ustanowienie autonomii prowincyonalnej, na wzór francuskich *Conseils de Départements*. Podobną reformę chciano zaprowadzić we wszystkich trzech królestwach — a nad organizacyą jej trwał od roku spór gwałtowny między Whigami i Torysami. Dużoby musiało upłynąć czasu, zanimby ten *Local Government Bill* przeszedł obie izby — a tu dzień każdy groził wybuchem groźniejszej agitacyi w Irlandyi, mnożyły się ewikcye, mnożyły się zbrodnie agraryjne. Naczelnik ówczesnej opozycyi Gladstona, zapytał wręcz ministrów: Cóż myślicie zrobić w Irlandyi? Ministrowie wysłali do Dublina nowego sekretarza generalnego; ten, spędziwszy na zamku wicekróla dni cztery... wrócił do izby z odpowiedzią: Zanim rząd przyjmie bil decentralizacyi dla W. Brytanii i Irlandyi — gabinet ponowi w Irlandyi pewne ustawy koercyjne!...

Gladstone, przekonany od tej chwili, że konserwatyści nie myślą wzmocnić słabych swych sił głosami Parnelistów, skorzystał z pierwszej okazyi, jaka się nadarzyła — zaprotestował przeciwko wznowieniu koercyi, otrzymał oczywiście pomoc narodowców i wrócił do władzy. Ale ten protest jego przeraził najstarszych jego kolegów, najznakomitszych między Whigami mężów stanu: lord Hartington, p. Goschen i sir Henry James odmówili tek gabinetowych i wysokich dostojeństw jurycznych. Spostrzegli oni bowiem, że odrzucając koercyę, Gladstone zwrócił swe starania by zerwać unię

z r. 1801. Inni członkowie poprzednich gabinetów liberalnych, mianowicie Chamberlain i Trevelyan — należący do partyi radykalistów — przyjęli teki wtedy dopiero, gdy ich Gladstone upewnił, że... sam jeszcze nie wie, co uczyni; że zadaniem gabinetu będzie rozpocząć bezzwłocznie ankietę; że nic zatem nie będzie krępowało ministrów w rezultacie ankiety — zachowają swobodę akcyi.

Jakżeż się zabrał sędziwy mąż stanu do owej ankiety? Sposobem zaiste oryginalnym: ogłaszając w gazetach list otwarty do oranżysty lorda de Vesci, oświadczył się z gotowością przyjmowania na piśmie wszelkich uwag o położeniu i potrzebach Irlandyi, zapraszając każdego Irlandczyka — protestanta i katolika — do wynurzenia swych zapatrywań! Hierarchia rzymsko-katolicka przysłała pierwsza swój zbiorowy memoryał; w ślad za nią pośpieszyła „wielka loża“ oranżystów, dalej izby handlowe irlandzkie, wreszcie komitet centralny ligi narodowej. Dwa miesiące trwały... rekolekcye ministra. Rzecz zadziwiająca, gdy zwrócimy uwagę na wiek jego zgrzybiały i na olbrzymią odpowiedzialność pierwszego ministra W. Brytanii — Gladstone pracował sam jeden i projekt swój redagował sam jeden! Przedłożywszy go radzie gabinetowej, zapowiedział, że *pari passu* z „zaprowadzeniem dobrego rządu“, musi być w Irlandyi przeprowadzone wykupienie własności ziemskiej, wywłaszczenie „landlordów“. Chamberlain i Trevelyan podali się natychmiast do dymisyi. Dnia 8 kwietnia, Gladstone wniósł w izbie propozycyę wniesienia bilu, zmierzającego *to the better government of Ireland*.

Nie tu miejsce powtarzać, jak uroczyście przyjęła ludność Londynu najsamprzód, a potem izba poselska ukazanie się wielkiego ministra! Sekret gabinetu dobrze był zachowany: nie znano projektu w głównych nawet zarysach; wróżono tylko, iż musi być „drastyczny“ — skoro odwrócił od ministra tylu tak wybitnych kolegów. Lecz uroczystość chwili tym głębiej przejmowała umysł każdego świadka wiekopomnej sceny, im się stawało wyraźniejszem w ciągu $3^1/_2$ godzinnej mowy ministra, że z powstaniem pierwszego dygnitarza korony w charakterze rzecznika Irlandyi, chcącego zmyć dług W. Brytanii siedmiowiekowy — wybiła ostatnia godzina ucisków, a pierwsza... wyzwolenia Irlandyi!

Gdy mówca skończył, posłowie irlandcy skoczyli na ławy

i wydali okrzyk trzykrotny na cześć jego: *God bless yon!* Starszym z nich łzy wdzięczności ze wzruszenia popłynęły z oczu; młodsi wychodząc z izby, rzucali się sobie w objęcia, powtarzając głośno: *New Ireland!... at last!*

Bil, który Gladstone nazwał kilkakrotnie *The Magna Charta of the Irish Nation*, pozostanie na zawsze pomnikiem jego genialnych zdolności. Nie jest on wprawdzie doskonałym — usterki są w nim liczne i braki wielkie tak z punktu widzenia angielskiego, jak irlandzkiego, ale też jest rzeczą absolutnie niemożebną, by mogło być inaczej. Prawodawstwo fundamentalne stawia zasady; jeżeli je zaś wspiera licznemi prowizyami, to prowizye te mogą ulegać i ulegają następnym zmianom, sprowadzonym przez czas, doświadczenie i normalne w każdym stanie ewolucye. Konstytucya belgijska zachowała zasady swe — lecz ileż zmieniła, i ileż dodała artykułów w księdze statutów?

Słynne *exposé* Gladstone'a możemy podzielić na trzy części: historyczną, irlandzką i imperyalną. W pierwszej, mowca zaznacza niepodobieństwo rządzenia Irlandyą za pomocą któregobądź prawodawstwa przeszłości. „Pod jednym przynajmniej względem, mówił, mamy jednomyślne w tej izbie i w całej monarchii zdanie: ogólnem jest i głębokiem przekonanie, że w tranzakcyach z Irlandyą doszliśmy do punktu, z którego rozbiegają się drogi, by się już prawdopodobnie nigdy nie spotkać". Jedna z nich — to koercya; druga — to fundamentalne przetworzenie irlandzkiej konstytucyi. Dowiódłszy, że żadne prawodawstwo koercyjne, choćby nie wiem jak energiczne, nie wiem jak długo utrzymywane, nie zmniejszyło ani liczby zbrodni, ani nie wyszło na korzyść stosunkom czysto li administracyjnym między obu tak odrębnemi od siebie krajami, pyta mowca: Jaka jest tego przyczyna? i odpowiada: „Ani prawo zwyczajne, ani prawo nadzwyczajne nie miało nigdy i nie ma poszanowania w Irlandyi — dla tego, że przychodziło do Irlandyi od obcych, z obcym wyglądem *(aspect)* i w obcej szacie *(in a foreign garb)*... Prawodawstwo zaś nadzwyczajne dla Irlandyi, zamiast być wyjątkowem — stało się u nas zwyczajnem i chronicznem! Jesteśmy, jako człowiek, który — wierząc w pewne zbawienne przymioty jakowegoś lekarstwa, porzuciłby wszelki inny pokarm i samem się tylko żywił lekarstwem! W An-

glii, prawo jest czysto angielskiem, powstałem na gruncie i na idyosynkrazyach narodu angielskiego; w Szkocyi, prawo jest, bodaj wyraźniej jeszcze, szkockiem — unia Anglii z Szkocyą nie naruszyła ani kodeksu kryminalnego, ani statutów cywilnych, ani administracyi, ani nawet reprezentacyi [1] kraju, który nierozdzielony od nas morzem — dobrowolnie się do nas przygarnął. Irlandya została podbitą — jeżeli „podbiciem“ nazwiemy seryę wiekową środków, dziś nam wstyd przynoszących — a cały jej układ dzisiejszy, administracyjny, ekonomiczny, kościelny, wychowawczy jest jej wstrętnym, bo obcym. Chcieliśmy zakazać pszczołom, by się nie roiły — chcieliśmy posiać nasienie całoskładu naszego na rolę, na całej powierzchni której kiełkuje odrębny całoskład celtycki, wiecznie młody, wiecznie się odżywiający z soków, jakie czerpie z głęboko ukrytych i przez wieki całe ustawicznie strzeżonych, niepodobnych do wykarczowania korzeni!“.

Druga i trzecia część mowy zawiera sam projekt reformy konstytucyi irlandzkiej. Głównym jego rysem jest bez wątpienia .. niedoskonałość — a usunięcie tejże zostawia minister czasowi i Irlandyi. Irlandya ma otrzymać swój własny parlament — nie już parlament Grattan'a, w którymby przeważały głosy protestanckie i t. zw. „lojalnej mniejszości“. Atoli, w celu „zabezpieczenia praw tejże mniejszości“ — parlament dubliński składać się ma z dwóch ciał prawodawczych, różnych od siebie, obradujących pospołu — lecz posiadających prawo założenia zbiorowego *veto* przeciw uchwałom. Pierwsze składać się będzie ze 102 posłów, wybranych przez całą ludność Irlandyi... ale kwalifikacyą ich być musi posiadanie osobistego majątku, przynoszącego im 200 najmniej f. szt. rocznego dochodu. Majątek ten „osobisty“ ma być: albo kapitałem niezależnym od pracy i zarobku — albo leżeć ma w roli, oszacowanej w urzędzie podatkowym na *minimum* 25 f. szt. rocznie. Oto więc brama, przez którą wstąpić ma do Izby dublińskiej „lojalna mniejszość“. Drugie ciało składać się będzie z 206 posłów, wybieralnych przez całą ludność Irlandyi stosownie do statutów Zjednoczonego Królestwa. Ponieważ zaś posłowie irlandzcy nie mają zasiadać

[1] Reprezentacya szkocka w Westminsterze pracuje w formie komisyi, których bile przyjmuje izba prawie bez rozpraw.

w Westminsterze... powstaje więc pytanie, co zrobić z dotychczasowymi reprezentantami? Gladstone proponuje przeniesienie wszystkich 103 posłów dzisiejszych w Izbie niższej do „drugiego ciała“ dublińskiego. W liczbę tę wchodzi 17 oranżystów. W brytańskiej izbie parów zasiada 28 dożywotnich reprezentantów Irlandyi; ci więc będą mieli do wyboru: pozostanie w Westminsterze *titulo* parów królestwa, aż do śmierci — lub zabranie głosu w „ciele pierwszem“ bez poprzednich wyborów.

Jeżeli, liczniejsze ciało demokratyczne wniesie i przeprowadzi uchwałę niepopularną w opinii arystokratycznego — to ostatnie może je odrzucić... lecz do trzech lat tylko, lub aż do rozwiązania izby. Tym sposobem, ciało demokratyczne może zawsze liczyć na swoją wytrwałość w ponawianiu bilu, lub na wyrok narodu w wyborach. Parlament nie może trwać dłużej, jak lat pięć — po upływie których rozwiązanie i wybory nastąpią *de jure*. Władza wykonawcza, ministerstwo, powstać ma z łona parlamentu i z pomiędzy tajnej rady wice-króla; wice-król będzie nieodpowiedzialnym, nie będzie nadal reprezentantem tego lub owego stronnictwa, będzie przedstawiał majestat korony brytańskiej z zwiększonym majestatem i... może być katolikiem (co dotychczas sprzeciwiało się statutom królestwa).

Do juryzdykcyi parlamentu należeć mają wyłącznie sprawy irlandzkie — z wyjątkiem tylko naznaczania wysokości i poboru ceł i podatków z tych przedmiotów, które stanowią dowóz i przywóz między Irlandyą i innemi krajami, nie wyłączając W. Brytanii. A zatem, parlament dubliński nie ma mieć kompetencyi w sprawach, dotyczących tronu i korony, mennicy, armii i marynarki, polityki zagranicznej brytańskiej i kolonialnej.

A jednakże... nie posiadając głosu w tych sprawach i nie mając reprezentantów w Westminsterze, lud w Irlandyi ma wespół z brytańskim ponosić ciężary skarbu królestwa — ma spłacać dług narodowy Anglii i wnosić na „szachownicę“ kanclerza doroczną sumę, 3.242.000 f. szt. Ponieważ opłaty celne i akcyzowe również wpływać mają do skarbu imperyalnego, zatem — tak liczy Gladstone — coroczna nadwyżka w skarbie irlandzkim powinna jeszcze wynosić najmniej 402.000 f. szt.

Wreszcie — zastrzeżenie co najmniej dziwne: Konstytucya ta

nie ma być, w ten sposób fundamentalną, by nie mogła być prawnie odwołaną . . . czy to z woli parlamentu irlandzkiego, czy też brytańskiego!

W licznych tych zawarowaniach widzimy chęć ministra i dążność do utrzymania unii między obydwoma krajami. Przypatrzmy się więc projektowi ze strony krytycznej.

Co najpierw uderzyć musi każdego, to absolutne zapoznanie zasady: *Representation is inseparable from Taxation.* Irlandya ma wnosić ogromną sumę coroczną do skarbu Anglii i ma odstąpić cła i akcyzy *(Customs ad Excise)* — bez możności kontroli nad zastosowaniem i obrotem tych sum, które mogą być ewentualnie przeciw niej samej, lub wbrew jej woli użyte. Płacąc podatki, jako integralna część królestwa — Irlandya nie ma być kompetentną do orzekania nad polityką zagraniczną Anglii — polityką, która może sprowadzić wojnę... a to przeciwko narodowi, z którym Irlandya sympatyzuje. Czyż można będzie żądać od Irlandyi, by w takich okolicznościach posyłała swych bitnych synów w szeregi brytańskie na pola walki, na śmierć?

Słusznie też p. Parnell, wyraziwszy w ciągu debatów najżywszą wdzięczność pierwszemu ministrowi, założył energiczny protest przeciwko budżetowym artykułom projektu — niszczącym zasadę, którą każdy Anglik i Szkot ceni najwyżej w Wielkiej karcie króla Jana! Nie mniej dobitnie przypomniał Parnell, że „Irlandya domaga się powrotu między narody świata". Jakżeż zaś może ona zająć stanowisko to, jeżeli nie ma mieć głosu w sprawach międzynarodowych, „milczeć — gdy sympatye jej wołać jej każą?". Nie mniej są niezadowoleni katolicy Zjednoczonego Królestwa z projektu usunięcia posłów irlandzkich z Westminsteru — bo i oni potrzebują swej potęgi reprezentacyjnej w ciele prawodawczem, złożonem niemal wyłącznie z protestantów. Nakoniec — z usunięciem posłów z Londynu, któż się podejmie bronienia interesów tak licznej ludności irlandzkiej w Anglii, Walii i Szkocyi?

Oto, w najgłówniejszych zarysach usterki projektu. Ostatnie wypadki, z prasy codziennej wiadome, rozstrzygnęły już o samym bilu — ale sprawę Irlandyi dopiero przyszłość, da Bóg niedaleka, rozstrzygnie.

E. S. N.

Ze Szwecyi.

Szkoły szwedzkie. — Nowy gmach gimnazyalny w Sztokholmie: Gimnazya na prowincyi. — Szkoły klasyczne i realne. — Czas i porządek nauk — Egzamin dojrzałości. — Liczba uczniów w Szwecyi. — Tolerancya religijna.

Poprzedni list[1] zakończyłem krótką wzmianką o szkołach szwedzkich; obecnie wracam do tego samego, bynajmniej nie wyczerpanego przedmiotu.

W północnej części Sztokholmu, niedaleko od wspaniałej ulicy *Drotleinggata* (Królowa ulic), wznosi się wspaniały gmach gimnazyalny ukończony r. 1880. Wszystko tu obliczone nietylko dla oka, ale i dla największej wygody nauczycieli i uczniów. Sale oświecone gazem, ogrzewane za pomocą pary, z oknami zwróconemi wyłącznie na wschód lub zachód, a zaopatrzonemi w firanki. Każdy uczeń ma w szkole osobny swój pult i wszystkie pulta równej są wysokości, natomiast siedzenie można dowoli podwyższać lub zniżać. W suterenach znajdują się dwie, odpowiednio umeblowane sale, w których chłopcy mieszkający w dalszych dzielnicach miasta jedzą przyniesione ze sobą śniadanie, lub na miejscu nabyć je mogą. Każda klasa dzieli się zazwyczaj na trzy paralelki; w jednej bowiem sali nie może uczyć się więcej nad trzydziestu pięciu, a najwyżej czterdziestu chłopców. Koszta budowy i urządzenia tego gimnazyum kosztowały radę miejską sztokholmską przeszło milion koron, tj. około 600 000 złr. Wydatek poważny, kto wie czy na ubogą Szwecyę nie za wielki; odzywały się już przynajmniej poważne głosy, iż ubodzy chłopcy przyzwyczaiwszy się mieszkać w tak wspaniałym gmachu, niechętnie wrócą do swych lepianek i nigdy ich pokochać nie zdołają.

Naturalnie, gimnazya po miastach prowincyonalnych, nie są i nie mogą być stawiane z takim komfortem, jak gimnazyum w stolicy; wszystkie przecież zaopatrzone są nietylko w niezbędne, ale też w jakibądź sposób pożyteczne wygody. Gimnazyum w Malmo, czwartem z rzędu mieście szwedzkiem, z zewnątrz bardziej podobne do królewskiego pałacu, niż do szkolnego zabudowania; na froncie wielkiemi literami wypisany błyszczy napis: „Bojaźń Pańska, po-

[1] Por. Przegl. Pow. tom VII., str. 478.

czątek mądrości". Znam, znałem przynajmniej jedno z gimnazyów pruskich, cieszące się w swym czasie bardzo dobrą opinią, i zapewnić mogę, że ze względu na czystość, przestronność i wygodę, przyczyniającą się bądź co bądź do zdrowia uczniów, ani porównania z gimnazyami szwedzkiemi nie wytrzymuje.

Szkoły, zwane zwyczajnie gimnazyami i szkołami realnemi zowiemy tutaj elementarnemi, *Elementarläroverk*, elementarne zaś, ludowemi *Folkskola*. Różnica między *Latinläroverk* a *Reallläroverk* polega jak wszędzie na tem, czy uczniowie poświęcają się lub nie studyom klasycznym. W *Elementarläroverk* uczą następujących przedmiotów: religii, języka ojczystego, łaciny, greki, niemieckiego, angielskiego, francuskiego, matematyki, nauk przyrodzonych, historyi, geografii i propedeutyki filozofii; a prócz tego kaligrafii, rysunków, muzyki, gimnastyki, szermierki i musztry. Z nauką języka ojczystego łączy się nauka języka duńskiego, jak również duńskiej i norwegskiej literatury.

W trzech najniższych klasach wszystkich *elementarläroverk* uczą jednych i tych samych przedmiotów. Dopiero począwszy od klasy czwartej występuje wybitna różnica, nadająca odpowiednią cechę szkole łacińskiej lub realnej, które albo istnieją niezależnie, tworząc same dla siebie odrębne instytucye naukowe, lub też w jednym zakładzie się mieszczą. W tym drugim przypadku uczniowie klasy czwartej i piątej uczą się osobno tych tylko przedmiotów, które wyłącznie należą do klasycznego lub realnego działu. W klasie szóstej i siódmej oba kierunki są już stanowczo rozdzielone, i tylko w wyjątkowych razach, za zezwoleniem tak zwanego *Efora*, mogą uczniowie i tych klas na pewne wyznaczone przedmioty wspólnie uczęszczać.

Uczeń kształcący się w kierunku klasycznym, ma zostawiony wybór między oddziałem A, gdzie uczą obu starożytnych języków, łacińskiego i greckiego, a oddziałem B, gdzie jeden tylko z nich jest przedmiotem szkolnego wykładu. Uczniowie z oddziału A, mogą jeśli sobie życzą pobierać lekcye języka hebrajskiego i angielskiego. Od przepisanych regulaminem szkolnym ćwiczeń w śpiewie, gimnastyce i szermierce może rektor każdego ucznia uwolnić, na podstawie lekarskiego świadectwa, lub innych słusznych powodów.

Rok szkolny, dzielący się na półrocze wiosenne i jesienne,

rozpoczyna się z końcem sierpnia, kończy z początkiem czerwca. Półrocze jesienne kończy się przed Bożem Narodzeniem, poczem następuje co najmniej trzy tygodnie feryj aż do rozpoczęcia półrocza wiosennego. Na naukę przeznaczonych jest razem wziąwszy, 36 tygodni w roku. Ilość godzin nauki w tygodniu wynosi od 27 w pierwszej klasie, do 32 w następujących.

Codziennie, na pół godziny przed rozpoczęciem lekcyj odbywają się ćwiczenia pobożne, rozdzielone na modlitwę, śpiew, czytanie i objaśnianie biblii. Lekcya rozpoczyna się i kończy modlitwą. W niedziele i święta uczniowie udają się pod dozorem jednego lub więcej nauczycieli do zboru na sumę[1]. Uczniowie katoliccy nie biorą w ogóle w tych nabożeństwach udziału; nauki religii udziela im ksiądz katolicki. W jednym wyłącznie Sztokholmie uczniowie nie są obowiązani chodzić wspólnie do zboru i nie odmawiają modlitwy po szkole.

Szkoła rozpoczynać się może w rozmaitym czasie; tu w Sztokholmie naprzykład ranne wykłady rozpoczynają się o godzinie ósmej. Jednę godzinę od drugiej rozdziela pauza trwająca od 5 do 10 minut. Po dwóch lub trzech godzinach następuje wypoczynek najmniej dwugodzinny. Z tego jednak czasu, pół godziny może być obrócone na muzykę i śpiew. We wszystkich, o ile można klasach, dwa razy na tydzień, całe popołudnie od szkoły jest wolne. Efor lub rektor może całą szkołę na dzień cały uwolnić od lekcyj, z przyczyny np. wielkiego mrozu, jarmarku lub jakiejś publicznej uroczystości. Uczniom klasy szóstej rektor może dać takie ferye dwa razy w przeciągu jednego miesiąca, uczniom siódmej klasy cztery razy po jednym dniu; czas taki powinien być użyty na przygotowanie się z jakiego trudniejszego przedmiotu lub prace piśmienne.

Do *Elementarläroverk* wpisywać się wolno dopiero po ukończonym dziewiątym roku życia. Wpisujący się powinni umieć katechizm, czytać, rachować i pisać. Z klasy niższej do wyższej przechodzą uczniowie z ukończeniem półrocza wiosennego, a względnie z początkiem jesiennego. Wyjątek od tej reguły stanowi szkoła tak zwana *Stockholms-Nya Elementarläroverk*, gdzie dla próby zaprowadzono co do tego punktu osobny system tak, że uczeń znacznie

[1] Tak nazywają po dziś dzień w Szwecyi uroczystą protestancką służbę Bożą.

prędzej niż w normalnych dziewięciu latach, średnie szkoły ukończyć jest w stanie. Jednakże szkoła ta ma raczej za zadanie przysposabiać uczniów do zawodów praktycznych.

Egzamin dojrzałości składać można dwa razy do roku, na końcu każdego półrocza. Prace piśmienne wyznacza naczelnik departamentu dla spraw kościelnych, *Ecclesiastik-departament*. Egzamin ustny odbywa się przed jednym lub kilkoma królewskimi cenzorami, w obecności paru, co najmniej trzech innych przez efora wybranych światłych i bezstronnych mężów, którzy, nawet wbrew zdaniu nauczycieli mogą uczniowi świadectwa dojrzałości odmówić. Maturzyści, oddający się studyom, odpowiadającym szkołom realnym, wypracowują tłumaczenia z dwóch przynajmniej języków nowożytnych: niemieckiego, francuskiego lub angielskiego; przy egzaminie ustnym muszą okazać znajomość języka angielskiego, chemii, a w ogóle nauk przyrodniczych,

Przypatrzmy się teraz statystyce szkolnej w Szwecyi:

I. Zupełnych siedmioklasowych gimnazyów znajduje się w Szwecyi 35, do których uczęszcza około 12.000 uczniów. W półroczu jesiennem 1883, uczęszczało:

do 3 niższych, wspólnych klas	4.394	uczniów,
do oddziałów realnych	1.933	„
do „ klasycznych	5.096	„
Razem	11.423	uczniów.

W dwóch ostatnich klasach gimnazyalnych znajdowało się 3.106 uczniów; z tych 1.259 uczyło się języka greckiego.

II. Pięcioklasowych gimnazyów jest 23. W półroczu jesiennem 1883 r. uczęszczało do nich 2.501 uczniów.

Z tych: do 3 niższych wspólnych klas	1.694,	
do oddziałów realnych	430,	
do „ klasycznych	377.	

III. Trzechklasowych gimnazyów jest 19, z 680 uczniami.

IV. Dwuklasowych pedagogicznych: 9, z 221 uczniami; jednoklasowych pedagogicznych: 9, ze 151 uczniami.

Tak więc do średnich tych szkół uczęszczało — na półpięta milionową ludność — w półroczu jesiennem 1883 r. 14.976 chłopiąt i młodzieńców szwedzkich, między którymi 5.473 oddawało się naukom klasycznym.

W półroczu jesiennem 1885 r. uczęszczało do *Läroverk* i do „Pedagogii“ 14.617 uczni.

Prócz tych publicznych zakładów ma jeszcze Szwecya szkoły prywatne, tak np. znaną bardzo w Sztokholmie „Beskowską szkołę“ z programatem nieco różnym od szkół rządowych. Arystokracya szwedzka bardzo chętnie synów swych tutaj umieszcza.

Wszystkie publiczne szkoły w Szwecyi zależą od tak zwanego *Ecclesiastik-derpartement* co odpowiada naszemu ministerstwu wyznań i oświecenia. W poszczególnych dyecezyach naczelnikiem oświaty jest protestancki biskup. Jedynie w upsalskim i zundzkim uniwersytecie biskupi są tylko wicekanclerzami, kanclerzami zaś ludzie świeccy. Eforami gimnazyów są również biskupi, z wyjątkiem Sztokholmu. Tak więc w zasadzie kierownictwo szkołą jest przyznane kościołowi; prawda, że ten kościół zostaje w najzupełniejszej zależności od państwa.

Już z tego krótkiego obrazu widać, że szkolnictwo w Szwecyi, stanęło tak wysoko, jak tylko w danych warunkach i okolicznościach stanąć mogło. Młodzież mniej tu przeciążona, niż gdziekolwiek indziej w Europie, a kto wie, czy nie więcej się uczy. Nauka języka łacińskiego rozpoczyna się dopiero w klasie IV., greckiego w VI.; natomiast przez wszystkie następne lata, mozoli się uczeń nad pierwszym ośm, nad drugim sześć godzin tygodniowo.

Młodzież gimnazyalna jest ujmująco grzeczną, moralną i posłuszną. Nie zdarza się tu nigdy, aby uczeń naumyślnie drażnił nauczyciela. Nie posłyszysz słów obelżywych czy nienawistnych, przeciw religii lub kościołowi katolickiemu; owszem nauczyciele nieraz przed uczniami z przychylnością dla katolicyzmu się nie tają. Niedawno temu zdarzył się wypadek, iż nauczyciel, któremu w czasie wykładu historyi wypadło nieostrożne słowo przeciw jakiejś katolickiej instytucyi, sam listownie zgłosił się do nieznanego sobie skądinąd katolickiego księdza S., wyrażając swój żal z tego powodu i prosząc, aby przy danej sposobności wybił możliwą wątpliwość z główki jednego z młodocianych słuchaczy, członka katolickiej parafii.

Mogliście się z tego wszystkiego przekonać, że stosunki szkolne w Szwecyi są dość oryginalne; a czy w niektórych przynajmniej punktach nie godne naśladowania, to już wy tam na miejscu lepiej ode mnie potraficie osądzić.

Stowarzyszenie św. Pawła, poświęcające się katolickiej prasie.

Jednym z pocieszających objawów naszych czasów jest, że gdy tylko siła złego zaczyna wzrastać i mnożyć się pod jakimbądź hasłem, czy niewiary, zepsucia obyczajów, czy złego piśmiennictwa, wnet powstaje w umysłach poczciwych myśl reakcyi z początku cichej. na małą skalę, a powoli przy pomocy Bożej i dobrej woli ludzkiej przybiera większe rozmiary i z czasem staje gotowa do walki z potężną, zawsze uzbrojoną i zawsze działającą siłą szatana. Złe dziennikarstwo z pewnością zaliczyć można do najzgubniejszej broni którą się ta siła posługuje; łatwość produkcyi, szybkość rozsyłania jej po świecie, taniość tego towaru, urok nowości która wabi coraz to nowych czytelników, a raczej nowe ofiary, te wszystkie warunki stawiają dziennikarstwo na czele potęg rządzących dziś światem; a jak się rozwija, jakie zręczne sieci zapuszcza wyłącznie zła prasa, jaki jest jej stosunek do dobrej a nawet średniej, o tem świadczą cyfry statystyczne, które zaprawdę muszą budzić trwogę[1].

Na tem więc polu powinna się była wszcząć walka przeciwko złemu. Tam gdzie myśl ludzka przyobleczona w dar wymowy, ten najpiękniejszy z darów, wysila się by wiarę, Kościół i moralność znieważać, tam słowa natchnione miłością Bożą powinny płynąć obfitym potokiem, piętnować złe, i stawiać protest choćby bezbronny ale obowiązujący każdego katolika. Myśl ta kiełkować zaczęła w pośród małego grona ludzi zacnych i światłych w Szwajcaryi, temu lat dziesięć z górą, a wykwitła we Francyi w zbiorowem dziele o którem chcemy mówić.

Stowarzyszenie św. Pawła, którego celem jest apostołowanie przez prasę, powstało w następujących okolicznościach: jego założyciel ks. kanonik Schorderet kierował od kilku lat dziennikiem katolickim „La liberté“, mającym popierać myśl apostolstwa które się stało celem życia i wszystkich usiłowań tego kapłana. Między innemi doświadczeniami dziennikarskiemi doszedł on do przekonania że pismo katolickie nie potrafi istnieć póki się nie

[1] W samym Paryżu na 1,976,028 egzemplarzy drukujących się dzienników, 1,517,321 rozsiewa tendencye anty-katolickie i niemoralne, a tylko 431,707 popiera zasady konserwatywne. Ileż wśród tych będzie zupełnie dobrych?

oprze na instytucyi zorganizowanej, a zapewniwszy sobie byt niezależny nie oswobodzi się z pod władzy masoneryi. Ogromna bowiem większość przedsiębiorców zagranicznych należąc do Internacyonału, jest tem samem w możności narzucenia dziennikarzom warunków, których gdy nie przyjmą dziennik upada

W tym samym czasie gdy ks. Schorderet rozważał, jak taka instytucya mogłaby powstać i gdzieby znaleść dla niej poparcie — Bóg natchnął grono młodych osób pragnieniem życia poświęconego czynnej walce z nieprzyjaciółmi Kościoła. Z temi osobami zetknął się kanonik Schorderet i skierował ich niewyraźne dotąd pragnienia ku zawodowi skromnemu ale mogącemu wielkie zasługi oddać dobrej sprawie; zaproponował im aby poprostu zostały drukarkami. Posłuszne temu natchnieniu zaczęły natychmiast tę myśl w czyn wprowadzać, i w kilka dni później sześć młodych dziewcząt, opatrzonych radą i błogosławieństwem biskupa wygnańca ks. Merni opuściło Fryburg i osiedliło się w Lyonie dla ćwiczenia się w sztuce drukarskiej. Ta drobna okoliczność wystarczyła by wzbudzić podejrzenia sekty; zaledwie parę tygodni upłynęło gdy ks. Schorderet ujrzał swą drukarnię opuszczoną przez buntujących się robotników. Położenie było przykre; trzeba było albo raz jeszcze przyjąć warunki upokarzające, albo dziennik zawiesić; młode bowiem pracownice nie były jeszcze w stanie prowadzić same wydawnictwa dziennika. W tej chwili Opatrzność pozwoliła, że szanowny wydawca zniósł się z osobą bardzo pobożną i zacną która od dawna trudniła się drukarstwem. Małgorzata Durantel[1] z dwoma wprawnemi już drukarkami, przyłączyła się do sześciu uczących się w Lyonie, i wszystkie natychmiast przybyły do Fryburga, objęły drukarnię dziennika, i nazajutrz „La Liberté“ wyszła o zwykłej godzinie.

Taki był pierwszy krok dzieła, które się miało wkrótce bujnie rozkrzewić. „Duch boży tchnie kędy chce“; tutaj natchnął słabe

[1] Życie tej świątobliwej niewiasty może być wzorem połączenia życia czynnego wśród świata, z życiem wysokiej bogomyślności. Pokochała ona swe powołanie całą gorącością serca, pokochała wyższe i szlachetne jego strony, a za nic miała trudy, jakie przynosiło! Mawiała często, że ręce zużyje i głowę położy w drukarni św. Pawła.“ Tak też dotrwała do końca życia, i umarła jak żołnierz na wyłomie, zostawiając Stowaszyszeniu przykład cnót swoich i gorliwości w powołaniu.

niewiasty i użył je za narzędzie do walki tak potężnej i rozległej. Odtąd gdy liczba ich poczęła wzrastać, stały one gotowe do pochwycenia myśli ludzi mądrych i światłych i przelewały ją na papier, a powołanie tak na pozór mało znaczące, tak liche i w cieniu ukryte stało się naraz apostolstwem. Odezwało się ono w niejednem sercu, tak, że w przeciągu kilku lat założono, zawsze w tych samych warunkach, sześć drukarń katolickich, księgarnię międzynarodową katolicką (w Paryżu rue Cassette 6) i drukuje się kosztem stowarzyszenia jedenaście pism peryodycznych.

Zajdźmy na chwilę do drukarni na *ree de Lille*, w samym centrum nowego Babilonu. Trzydzieści młodych osób pracuje tu wśród głębokiego milczenia, przerywanego jedynie za wybiciem zegaru czytaniem jednej z tajemnic męki pańskiej, służącej robotnicom do rozmyślania przez następną godzinę. Wszystkie mają na sobie bluzy zwykłych uwryerów francuskich, choć poznasz łatwo, że niejedna przyzwyczajona była do stroju i wygód; wszystkie noszą wyryte na czole dwie myśli przewodnie: praca i poświęcenie; wszystkie podtrzymuje w zawodzie trudnym i nużącym modlitwa i częste przystępowanie do Sakramentów; innej reguły nie mają, inny związek ich nie łączy, jak tylko te same zasady, to samo gorące pragnienie aby przyczynić się do rozszerzenia dobrych pism, a walczenia ze złemi.

Te młode osoby są duszą i niejako podwaliną stowarzyszenia św. Pawła; oprócz jednak środków materyalnych podniesienia dobrego piśmiennictwa, ma Stowarzyszenie inne jeszcze cele, a raczej do tego jednego celu dąży także innemi środkami. Temi są: modlitwa i praktyki pobożne; liczy więc ono wiele członków, których obowiązki są niemal wyłącznie duchowne. Statut im poleca: 1) Szczególne nabożeństwo do Serca Jezusowego, a mianowicie pewne przepisane modlitwy. 2) Ścisłe zjednoczenie z Męką pańską, i tu niektóre bliżej określone praktyki[1]. 3) Jałmużna roczna na rzecz Stowarzyszenia. 4) Abonowanie miesięcznika Stowarzyszenia[2].

Zobaczmy nakoniec, jak określił cele Stowarzyszenia kanonik Shorderet w liście do Piusa IX. pisanym w chwili, kiedy kładł

---

[1] Patrz Notice sur l'euvre de St. Paul, str. 64.

[2] Annales de l'euvre de St. Paul.

pierwszy kamień węgielny pod to piękne dzieło: „1) Stowarzyszenie ma na celu uświęcenie pisarzy katolickich przez modlitwę, sakramenta i naśladowanie św. Pawła. 2) Zapewnienie egzystencyi, bezpieczeństwa, taniości i dobrego ducha publikacyj katolickich. 3) Skupienie dusz wybranych z całego świata około osoby wielkiego apostoła, aby te dusze w poświęceniu i w zjednoczeniu walczyły przeciwko zepsuciu, jakie prasa antykatolicka wywołuje, i przeciwstawiały jej śmiało słowa prawdy i światła".

Ojciec św. z radością pobłogosławił tak pięknym zamiarom, a gdy zaczęły przybierać postać czynu, Pius IX i jego następca odzywali sie jeszcze po kilka razy do kanonika Schorderet, słowami zachęty i uznania. Przeszło stu biskupów różnej narodowości, przesłało mu pochwalne listy. Jest więc na czem budować nadzieje, że Stowarzyszenie rozwinie się i na wielką skalę działać będzie; można mu tego z głębi serca życzyć, bo w naszych czasach dobra sprawa potrzebuje niezwykłej czujności i ciągłego działania, aby się oprzeć przeciwnikowi który nie zasypia, ale z coraz to większą zaciekłością rzuca się na wszystko co Boskie, co piękne i szlachetne.

Druk ukończony dnia 26 czerwca 1886.

POŁOŻENIE WŁASNOŚCI ZIEMSKIEJ

I

PROJEKT REFORMY PRAWA SPADKOWEGO DLA ZAGRÓD WŁOŚCIAŃSKICH.

Szukając przyczyn niedomagań ekonomicznych, które w chwili obecnej stały się klęską powszechną dla całej Europy, nie trudno dostrzedz, że w ich rzędzie pierwsze miejsce zajmuje smutne materyalne położenie rolnictwa. Skutek i przyczyna łączy się tu w jedno, bo rolnictwo najwięcej biedą dotknięte, a bieda rolników jest źródłem biedy powszechnej. Nie wszyscy to chcą przyznać, i nie mała jest liczba tych, którym się zdaje, że zastój obecny jest skutkiem nadprodukcyi przemysłowej, spowodowanej mianowicie zastosowaniem siły parowej do różnych gałęzi przemysłu. Szukają tedy zbytu na wyroby przemysłu po za granicami kraju; zbawienia ekonomicznego oczekują od nowych linij żeglugi parowej, bo one ułatwią zbyt wyrobów przemysłu, łącząc Europę z krajami napół dzikiemi, których potrzeby, w miarę zawiązywania stosunków z cywilizowaną Europą zwiększać się będą. Niech tylko przemysł zakwitnie, powiadają zwolennicy tego kierunku przemysłowego, a obudzi się nanowo drzemiący dziś zupełnie duch przedsiębiorczości prywatnej i powróci dobrobyt, bo i rolnikowi, rzekomo skutkiem zwiększonej konsumpcyi, łatwiej będzie po lepszych cenach spieniężyć płody rolne.

Wręcz przeciwnie opiewało stare przysłowie niemieckie: *hat der Bauer Geld, hat's die ganze Welt.* Czy może wobec nowoczesnego rozwoju ekonomicznego, przysłowie to i zawarta w niem prawda przestarzały? Choćbyśmy chcieli wierzyć temu, patrząc na liczne kominy fabryczne niektórych okolic, to rzut oka na cyfry

statystyki pouczy nas, że to pozór mylny, że z wyjątkiem może Anglii (bez Irlandyi) i Belgii, w wszystkich innych krajach Europy ludność zajęta w rolnictwie znacznie przeważa liczbę ludności oddanej przemysłowi większemu i mniejszemu i rzemiosłom. Austrya z tej strony Litawy z rozwiniętym bogato przemysłem Czech, Morawii, Szląska, dolnej Austryi i Styryi, zalicza się do krajów przemysłowych, a jakież wykazuje statystyka cyfry co do zajęcia ludności? Otóż na 22.144.244 osób, które w czasie ostatniego spisu ludności zamieszkiwały kraje Austryi z tej strony Litawy, przypadło 12.188.998 na właścicieli ziemskich, dzierżawców, urzędników gospodarczych i ludność roboczą wraz z rodzinami, mającą zajęcie w rolnictwie i leśnictwie, zaś 4.710.047 pracowało w przemyśle większym i drobnym i rzemiosłach. W liczbie osób znajdujących utrzymanie w rolnictwie i leśnictwie, było samodzielnych właścicieli: mężczyzn 1,662.218, kobiet 612.899, dzierżawców czasowych i wieczystych 72.829 mężczyzn, 17.207 kobiet, urzędników gospodarczych 47.471 i t. d.

Z liczby właścicieli i dzierżawców niewątpliwie największa część jest posiadaczy niewielkich obszarów. Ale biorąc choćby najniższą cyfrę średnią dla wyrażenia kwoty pieniężnej, o którą każdy z nich wydatki swoje ograniczyć musi, skutkiem zmniejszenia się dochodów w ostatnim dziesiątku lat, i pomnożywszy przez nią cyfry powyżej wymienione, wypadnie suma wysoka, o którą dziś rolnicy mniej zakupują wyrobów przemysłu, suma, której zwiększone potrzeby murzynów afrykańskich z pewnością nie zrównoważą. Nie uwzględniamy wcale robotników w rolnictwie, których dochody w ostatnich latach może raczej się powiększyły skutkiem lepszej płacy, ale niewątpliwie byłyby jeszcze większe, gdyby dochody z rolnictwa były lepsze.

Skargi na materyalny upadek rolnictwa odzywają się dziś we wszystkich prawie krajach Europy. Jednostronny kierunek polityki ekonomicznej ostatnich dziesiątków lat, przyczynił się jednakże zapewne do tego, że i przy badaniach statystycznych nie zwrócono do tego stopnia uwagi na stosunki materyalne rolnictwa, jak to uczynić należało, uwzględniając ważność tej gałęzi zarobkowania. To też, chociaż wszyscy o tem wiedzą, że materyalne stosunki rolnictwa się pogorszyły, nie wszędzie statystyka wykazać potrafi, w jakiej mierze to nastąpiło, jakiemi cyframi to wyrazić można.

W korzystnem położeniu znajduje się w tym przedmiocie statystyka w Austryi. Tu, aczkolwiek od niedawna, to jednakowoż stosunkowo najdawniej rozpoczęto urzędową kontrolę statystyczną nad stosunkami własności ziemskiej. Rozporządzeniem ministerstwa sprawiedliwości z 5 października 1867 otrzymały władze sądowe, które prowadzą księgi gruntowe, polecenie przesyłania centralnej komisyi statystycznej wykazów o zmianach, jakie zachodzą w stosunkach własności ziemskiej, mianowicie co do osoby właściciela i ciężarów zapisanych na gruncie. Z wykazów tych dopatrzeć się można, czy zmiana właściciela nastąpiła skutkiem sprzedaży dobrowolnej, czy też przymusowej, czy nareszcie z tytułu spadku. Tak samo wykazywana jest nietylko suma ciężarów, lecz i prawny tytuł ich powstania, czy je przejął właściciel skutkiem działów majątkowych, czy jako dług dobrowolnie zaciągniony, czy też mu zostały nałożone w drodze egzekucyi.

Komisya statystyczna peryodycznie publikuje odnośne cyfry, które oczywiście stanowią znakomity materyał do ocenienia stanu i rozwoju własności ziemskiej.

Rząd austryacki, w pewnym celu specyalnym, o którym poniżej jeszcze pomówimy, zarządził zebranie w jedno dzieło rozrzuconych po rozmaitych publikacyach cyfr całego okresu, w którym się zbierają, tj. od r. 1868 do ostatnich lat, tj. do końca r. 1884. Rzut oka na te cyfry rzeczywiście dosyć pesymistycznie usposobić może, wykazuje bowiem jak od roku do roku ciężary własności ziemskiej się zwiększają, a zatem sytuacya materyalna rolników się pogorsza.

Mając zamiar przytoczyć niektóre cyfry ważniejsze, uważamy za potrzebne poprzedzić je kilku uwagami o dochodzeniach statystycznych, zarządzonych w tym kierunku. Własność nieruchoma podzielona tu na cztery kategorye, mianowicie: na *a)* większą własność wiejską *(landtäflicher Besitz)*, *b)* własność miejską, *c)* własność, że tak powiemy, podziemną, tj. górniczą i *d)* resztę własności nieruchomej. Gdy nam chodzi wyłącznie o stosunki rolnicze, przeto drugą i trzecią kategoryę zupełnie pomijamy. Dla dokładności zaś wyjaśnić należy, iż w Austryi do kategoryi pierwszej (t. z. *landtäflicher Besitz)* wyjątkowo zaliczona jest pewna liczba nieruchomości miejskich a czasem także nieruchomość wiejska tak małych rozmiarów, iż należałoby ją raczej zaliczyć do kategoryi

drobniejszej posiadłości. Wypadki to jednakże tylko wyjątkowe, spowodowane prawami politycznemi, które przysługują tej kategoryi własności, to też ogólnych rezultatów badań nie alterują zbytecznie. Dalej nadmienić musimy, że do czwartej kategoryi zaliczona jest także pewna liczba gruntów podmiejskich, will, i t. p., które właściwie charakteru drobnej własności ziemskiej nie posiadają. Ale zawsze właściwa drobniejsza własność ziemska tak znaczną w tej kategoryi własności tworzy przewagę, że co do ogólnych rezultatów dochodzeń, i tu powtórzyć można to samo, co powiedzieliśmy dopiero o kategoryi pierwszej.

Najdokładniejsze wyobrażenie o polepszaniu się lub pogorszaniu stosunków własności ziemskiej, daje studyum tego rozdziału księgi gruntowej, w którym zapisane są długi. Nie myślimy nużyć czytelnika wypisywaniem długich kolumn cyfr, jakie nam dostarczają urzędowe dochodzenia statystyczne, przytoczymy tylko kilkanaście świadczących, w jakiej mierze powiększają się ciężary spoczywające na większej i mniejszej własności ziemskiej.

Otóż w krajach monarchii austryackiej, należących do połowy t. z. Przedlitawskiej, wynosił czysty[1] przyrost długów na posiadłościach ziemskich, a mianowicie:

	na własności większej:	na własności mniejszej:
w r. 1868	15.608.845 złr.	74.694 złr.
„ 1870	— 7.116.641[2] „	3.953.014 „
„ 1872	18.681.063 „	37.843.579 „
„ 1874	25.457.629 „	84.311.584 „
„ 1876	20.406.594 „	70.598.538 „
„ 1878	1.924.072 „	30.874.530 „
„ 1880	— 353.399[3] „	15.425.082 „

[1] Wyszczególniamy tylko przyrost czysty, jaki pozostaje po strąceniu sumy długów wykreślonych z ksiąg gruntowych od sumy nowo zaciągniętych długów.

[2] W r. 1870 zwiększyły się długi o 28.361.253 złr., wymazano zaś 35.477.894 złr., tak, iż na czysto zmniejszyły się długi o 7.116.641 złr. W sumach o które się długi zmniejszyły figurują w tym roku 5.475.201 złr., które przy sprzedażach przymusowych spadły z hipoteki.

[3] W r. 1880 długi na czysto zmniejszyły się o 353.399 złr., z hipoteki spadło przy sprzedażach przymusowych 2.953.366 złr.

	na własności większej:	na własności mniejszej:
w r. 1882	— 9.974.585[1] zlr.	23.769.842 zlr.
„ 1884	11.964.237 „	34.815.656 „

Z przyczyny już wyłuszczonej przytoczyliśmy niewielką ilość cyfr, opuszczając połowę z objętego przeciągu lat, aby tylko wykazać w jakiej mniej więcej proporcyi zadłużenie wzrastało. W kategoryi mniejszej własności ziemskiej wynosiły ogółem długi w r. 1868: 1.501.166.684 zlr., w r. 1874: 1.738.670.613 zlr., z końcem r. 1884 zaś 2.089.878.024 zlr.; wzrosły tedy od roku 1868 o przeszło 200 milionów, od r. 1874 zaś o przeszło 350 milionów zlr., co czyni średnio rocznie o przeszło 2%. Nadmienić tu jednakże należy tę okoliczność, iż w niektórych krajach w ostatnich dwóch dziesiątkach lat zakładano księgi gruntowe, tak iż wtedy dopiero weszły do wykazów długi, które może już dawniej istniały. Ale z drugiej strony w krajach tych samych wielka część drobniejszej własności ziemskiej powstała niedawno, przy uwłaszczeniu, długi tedy nie mogą być zbyt dawnej daty, a utworzenie ksiąg gruntowych, ułatwiając kredyt, przyczyniło się do szybkiego zadłużenia.

Co do długów większej własności, to nadmienimy, iż wynosiły one w r. 1874 ogółem 396.863.070 zlr. przy końcu r. 1884 zaś 489.440.052 zlr. tj. podwyższyły się w przeciągu dziesięciu lat o 92.576.982 zlr.

W ogólnych sumach może o tyle zachodzi niedokładność pewna, że bywają sumy te same zahypotekowane czasem na kilku nieruchomościach. Sądy jednakże mają polecenie zwracania uwagi na to, aby te same sumy nie figurowały podwójnie lub potrójnie w wykazach; dziać się to może tedy tylko wyjątkowo, bo oczywiście zupełnie ścisła kontrola tu prawie niemożliwa. Omyłki tedy z tego powodu powstałe też nie mogą zbytecznie alterować ogólnego rezultatu dochodzeń, a rezultat ten wykazujący, iż od r. 1875 do końca r. 1884 tj. w ostatnim dziesiątku lat, długi w części przedlitawskiej Austryi na własności drobniejszej zwiększyły się o 351.207.411 zlr., na posiadłości większej zaś o 92.576.982 zlr. czyli razem na całej własności ziemskiej w ostatnich dziesięciu latach o 443.784.393 zlr.; doprawdy nieświetny to rolnictwu stawia horoskop. Widać bowiem, że

[1] W r. 1882 długi na czysto zmniejszyły się o 9.974.585 zlr.

rolnictwo w coraz większą zależność wpada od kapitału i że większa część rolników, kontentując się niezbyt świetną egzystencyą materyalną, zresztą pracuje na rzecz kapitalisty. Czy praca taka stale z korzyścią dla ogólnego gospodarstwa społecznego może być połączona, o tem wątpić należy. Rolnika, to jego zależne stanowisko, to życie z dnia na dzień, bez widoków na przyszłość, do pracy zniechęcić musi, a przez to i zmniejszyć produktywność tej pracy.

Są wprawdzie optymiści, którzy w zadłużeniu, o którem mówiliśmy, nie widzą niebezpieczeństwa, twierdzą bowiem mianowicie, iż znaczna część zaciągniętych długów przez właścicieli ziemi została obróconą na melioracye, że zatem wartość substancyi, tj. majątku ziemskiego w tym stosunku się podniosła. Jestto jednakże iluzya o tyle niebezpieczniejsza, że przeszkadza zdrowemu poglądowi na właściwe położenie rzeczy. Kto pomni na obniżenie się renty z ziemi skutkiem niekorzystnych dla rolnictwa konjunktur i deprecyacyę, jakiej nawet pomimo ogólnego obniżenia się stopy procentowej ziemia skutkiem tego uległa, ten chyba iluzyi, iżby ogólna wartość własności ziemskiej wzrosła mniej więcej w stosunku do jej obdłużenia, oddawać się nie będzie. Z tej iluzyi go zresztą wyrwać muszą znów cyfry statystyki wykazujące powiększanie się liczby wypadków przymusowej sprzedaży własności ziemskiej w drodze egzekucyi, wykazujące dalej jak znaczne kapitały przy sprzedaży spadły z hypoteki jako nie pokryte zapłaconym przy licytacyi szacunkiem.

Nie przytaczamy cyfr tych u większej własności ziemskiej, bo tam one nie mają znaczenia charakterystycznego. Większy właściciel ziemski chociaż wszystko straci, przymusowej sprzedaży majątku łatwiej uniknąć może. Albo go odda wierzycielom, którzy, widząc iż dalszych objektów do egzekucyi nie ma, chętniej wezmą majątek w drodze sprzedaży z wolnej ręki, aby uniknąć kosztów sprzedaży przymusowej, albo w ostatniej chwili znajdzie kupca obcego lub też kogoś z rodziny, który tym sposobem zagrożonemu przychodzi w pomoc pragnąc mu oszczędzić przykrości sprzedaży przymusowej. Inaczej rzecz się ma u drobniejszej własności ziemskiej. Włościanin, niemający zwykle innego wyjścia po utracie własności swojej, jak zajęcie robotnika zwyczajnego, do ostatniej chwili trzyma się kawałka ziemi, dopóki mu go wierzyciel gwałtem nie zabierze. Zwiększająca lub zmniejszająca się liczba wypadków sprzedaży drobnej

własności jest tedy więcej charakterystycznem znamieniem dla ocenienia stosunków rolnictwa w ogóle.

Otóż z rezultatów badań statystyki austryackiej o liczbie gospodarstw włościańskich corocznie na sprzedaż przymusową wystawionych, o sumach hypotecznych, jakie przy sprzedaży tej zostały ceną zapłaconą pokryte, jakie zaś przepadły, następujące wyjmujemy cyfry:

W roku	sprzedano gospodarstw	obciążonych sumą złr.	sprzedażą zostały pokryte	— niepokryte.
1870	4.666	16.768.268	9.497.385	7.270.883
1872	4.969	12.709.536	8.231.532	4.478.004
1874	4.413	13.840.149	9.160.396	4.679.753
1876	5.577	20.249.574	12.470.272	7.779.302
1878	9.123	39.064.721	18.698.548	20.366.173
1880	12.540	50.673.345	25.781.231	24.892.114
1882	12.229	36.703.389	20.152.299	16.551.090
1884	10.348	25.351.768	15.347.309	10.004.459

I tu opuściliśmy z okresu objętego cyframi statystycznemi połowę roczników, aby nie przeciążać rozprawy liczbami. Nadmienimy też tylko jeszcze sumarycznie, że w epoce od r. 1868 do 1884 w drodze przymusowej sprzedano ogółem 132.403 gospodarstw obciążonych długami w sumie 439.709.205 złr., z której to sumy jednakże tylko 248.346.026 złr. przez sprzedaż zostały pokryte, zaś 191.363.179 złr. przepadło, ponieważ cena kupna zapłacona przez nowo-nabywców nie wystarczyła na ich zaspokojenie.

Z powyższych cyfr widzimy, iż w dziesiątku lat od r. 1870 do 1880 liczba sprzedawanych rocznie w drodze egzekucyi gospodarstw powiększyła się prawie w trójnasób, bo wzrosła z 4.666 na 12.540; jeżeli po roku 1880 cokolwiek się obniżyła, to zapewne w znacznej części dlatego, iż w ogóle kredyt się zmniejszył, a wierzyciel hypoteczny nauczony przykremi doświadczeniami, woli wyczekiwać konjunktur korzystniejszych, ponosić stratę na procencie, różne ulgi czynić dłużnikowi, niżeli przystępować do egzekucyi, która grozi stratą całego lub znacznej części kapitału. Powiększająca się liczba przymusowych sprzedaży a więcej jeszcze rezultat tych sprzedaży, nareszcie straty wierzycieli hypotecznych, dostatecznie potwier-

dzają uwagi nasze wypowiedziane powyżej o materyalnym upadku rolnictwa.

Zanim przystąpimy do dalszych uwag, ktore taki stan rzeczy nastręcza, pozwolimy sobie, ze względu na ważność tej kwestyi dla czytelnika polskiego, przytoczyć kilkanaście cyfr wykazujących jaki udział w ogólnem zadłużeniu się własności ziemskiej ma ten kraj koronny, który nas najbliżej obchodzi tj. Galicya. Nie zapuszczając się zbytecznie w szczegóły, z jakiego mianowicie tytułu prawnego powstały długi hypoteczne, wymienimy tylko cyfry ogólne, objaśniające o stopniowym wzrastaniu zadłużenia, ale tu już nie opuścimy żadnego rocznika, a raczej z kolei powtórzymy wedle statystyki cyfry za 12 ostatnich lat od r. 1873—1884.

Otóż z końcem roku: wynosiły ogółem długi zapisane na własności ziemskiej w Galicyi:

	większej — złr.	drobniejszej — złr.
1873	135.642.004	7.880.580
1874	141.646.597	10.538.332
1875	151.549.102	11.495.441
1876	158.801.267	12.438.451
1877	167.638.930	13.602.571
1878	169.194.974	15.155.479
1879	172.028.535	15.482.421
1880	172.054,269	16.403.509
1881	178.593.323	20.135.135
1882	173.862.579	22.875.993
1883	178.729.385	26.661.143
1884	183.600.459	29.792.401

Nieproporcyonalnie szybkie wzrastanie długów na posiadłościach mniejszych właśnie w Galicyi, wytłumaczyć należy po części okolicznością, o której już wspominaliśmy powyżej, mianowicie tem, że księgi hypoteczne dla mniejszej własności ziemskiej tu dopiero od niedawna zakładać zaczęto, a przy otwarciu księgi hypotecznej intabuluje się i ujawnia dług niejeden istniejący oddawna jako dług osobisty. Niemniej jednakże wiadomo, iż w Galicyi zadłużenie się własności ziemskiej zastraszające robi postępy i to w większym stopniu jeszcze u posiadłości drobniejszej niżeli u większej. I tak we-

dług cyfr co dopiero przytoczonych zwiększyły się długi na własności większej w Galicyi od r. 1873 do końca r. 1884 o mniej więcej 35%, na własności mniejszej zaś o blisko 300%; w całej Cislitawii zwiększyły się od r. 1874 na własności mniejszej długi o 22%, na własności większej o 23·3%.

To samo zjawisko, — znacznego zadłużania się własności ziemskiej — zwraca na siebie uwagę także w innych krajach Europy, ale brak badań statystycznych w tym kierunku nie pozwala śledzić tak dokładnie postępu zadłużania się, jak się to dzieje w Austryi. W każdym razie wszędzie zaczyna sprawa ta wzbudzać uwagę mężów dbałych o porządek społeczny. Bo do jakiegokolwiek kto należałby stronnictwa w polityce ekonomicznej, każdy przyzna, iż produkcya rolnicza jest podstawą bytu ekonomicznego największej części społeczeństw, a wtedy przyznać też musi, że powodzenie lub niepowodzenie materyalne rolników w znacznej mierze decyduje o bycie ekonomicznym społeczeństw w ogóle. Ale stan rolniczy oprócz tego powszechnie i słusznie uważany jest za podstawę wszelkiego ustroju społecznego, gdy mowa o społeczeństwach cywilizowanych. Najliczniej w nim reprezentowana własność średnia i drobniejsza, z natury stosunków i zajęcia swego tworzy żywioł zachowawczy, nie tak skłonny do zmian szybkich i gwałtownych, jakich się domaga często ludność oddana innym zajęciom, mniej przywiązana do pewnych urządzeń i miejscowości. Z orzeczeń kompetentnej w tym względzie osobistości, posła do parlamentu niemieckiego i socyalnego demokraty Liebknechta[1], wiadomo, iż radykalni demokraci socyalni największą przeszkodę rewolucyi socyalnej widzą w stanie włościańskim. Ludność rolnicza tedy stanowi żywioł, na którem każdy rząd w państwie naturalnego szukać powinien oparcia, otoczyć natomiast stan rolniczy opieką, jaka mu się odpowiednio do ważnej roli, którą w ustroju społecznym odgrywa, należy.

Ale wiadomo, że w ostatnich dziesiątkach lat, w rządach państw większych europejskich przeważały żywioły liberalne, którym zachowawczy stan rolniczy raczej był przeszkodą przy przeprowadzaniu

[1] Porówn. dzieło: Liebknecht, Zur Grund- und Bodenfrage i sprawozdanie stenograficzne z posiedzenia pruskiej izby poselskiej z 11 stycznia 1881 r. na którem poseł konserwatywny Rauchhaupt zdawał sprawę z rozmowy swojej o tej sprawie z Liebknechtem.

różnych idei i planów. One też się oparły więcej na ludności oddającej się innym gałęziom zarobkowania, mianowicie przemysłowi i handlowi, i do ich potrzeb zastosowały system gospodarstwa społecznego. Interesa rolnictwa nie doznały z ich strony opieki i poparcia, i owszem w chwili gdy klęski materyalne spadać zaczęły na rolnictwo, zaczęto znosić urządzenia dawne, które zapewniały własności ziemskiej charakter trwałości i niezmienności, która jest niezbędnym warunkiem zachowawczego jej charakteru; pozwolono jej zadłużyć się w tym stopniu, iż naturalną tego konsekwencyą musiała być częsta zmiana właścicieli, czy to w drodze przymusowej czy dobrowolnej, jednem słowem zmobilizowanie własności nieruchomej.

Rezultaty tej polityki ekonomicznej dziś zatrważać zaczynają, a gdy po zupełnem bankructwie moralnem liberalnej polityki ekonomicznej zachowawcze żywioły odzyskują przewagę, zaczynają dochodzić przyczyn dzisiejszego smutnego stanu rzeczy, aby obmyślić środki ratunku.

Przyczyn zadłużenia się większej własności łatwo dojść, bo znany jest przewrót ogólny, jaki w produkcyi rolnej Europy w ostatnich dwóch dziesiątkach lat zrobiła konkurencya zamorska, produkująca w innych zupełnie warunkach, a zasypująca, skutkiem ułatwionej niezmiernie komunikacyi, targi europejskie produktami swemi, mianowicie Australia wełną, Ameryka, a w nowszych czasach i Indye zbożem.

Ale konkurencya to niebezpieczna dla własności większej skazanej na sprzedawanie największej części produktów na targach, nie oddziaływa w tym samym stopniu na własność drobniejszą, która albo na własną wyłącznie produkuje potrzebę, albo też tylko nieznaczną część produkcyi swojej spienięża. Tu tedy w pierwszym rzędzie, innych przyczyn upadku materyalnego szukać należy, bo konkurencya zamorska podrzędną tylko odgrywa rolę.

Rząd austryacki zarządził badania nad przyczynami materyalnego upadku drobniejszej własności ziemskiej; z motywów do ustawy pewnej, przedłożonej Radzie państwa w sprawie posiadłości mniejszych przytaczamy następujący ustęp, świadczący o zrozumieniu ważnej roli stanu włościańskiego w nastroju społecznym: „Ze względu na to, że istnienie zdrowego i silnego stanu włościańskiego w Austryi uważać należy za główny warunek zdrowego i silnego orga-

nizmu państwowego, pod względem ekonomicznym, politycznym i socyalnym, i że ciosy zadane stanowi włościańskiemu dotkliwie czuć się dają całemu organizmowi państwowemu, uważał rząd za swój obowiązek zbadać stosunki stanu włościańskiego, dochodzić przyczyn materyalnego upadku rolnictwa, aby o ile możności w drodze ustawodawczej pośpieszyć z pomocą".

Otóż przyczyn materyalnego upadku stanu włościańskiego dopatruje się rząd w następujących okolicznościach:

1) w znacznem powiększeniu ciężarów publicznych tak na rzecz państwa jako i na rzecz gminy;

2) w braku odpowiednych instytucyj kredytowych zorganizowanych w drodze asocyacyi celem udzielenia włościanom kredytu na warunkach przystępnych i pośredniczenia w sprzedaży produktów rolnych;

3) w zwiększaniu się potrzeb życia i zbytku, od którego obok innych klas społeczeństwa, i włościanie ustrzedz się nie potrafili.

Okoliczności te jednakże nie byłyby — wedle zdania elaboratu rządowego — zdołały do tego stopnia, jak się to rzeczywiście stało, podkopać materyalnego bytu włościan, gdyby nie było nastąpiło w latach 1868 i 1869 zniesienie ustaw ograniczających parcelacyę gruntów i zniesienie przepisów osobnych w prawie spadkowem włościan.

W obec tych argumentów rządowych czyli wniosków do jakich rząd doszedł, możemy powtórzyć zdanie wypowiedziane powyżej na scharakteryzowanie zachowywania się sfer decydujących w ostatnich dziesiątkach lat w obec rolnictwa. Bo któż temu winien, że zwiększone ciężary publiczne spadły głównie na rolnictwo, gdy, jak wiadomo, pewne klasy społeczeństwa stosunkowo nie tak wysoko są opodatkowane. Kto temu winien, że włościanin w chwili gdy kapitał obrotowy w gospodarstwie mu się stał potrzebny, nie zastał instytucyj finansowych, któreby mu udzielały kredytu na warunkach przystępnych, i udać się musiał do lichwiarza, gdy tymczasem dla przemysłowca, dla kupca istnieją wielkie instytucye finansowe zaopatrzone w najrozmaitsze przywileje państwowe. Czyż nareszcie nie system ekonomiczny protegujący w wysokim stopniu przemysł fabryczny, który za pomocą hałaśliwego kolporterstwa wciska każdemu tandeciarskie wyroby swoje, — przyczynił się do

zwiększenia potrzeb skromnego dawniej wieśniaka, i zbytku go nauczył?

Kredyt włościaninowi ułatwiono u lichwiarza, zakładając mu księgę hypoteczną, pozwalając parcelować grunt na najdrobniejsze zagony, i znosząc dawne przepisy prawa spadkowego dla włościan, których tendencyą było utrzymanie zagrody włościańskiej w ręku rodziny. Powszechny kodeks cywilny austryacki z r. 1811, aczkolwiek małpując modne wówczas zaszczepianie zasad prawa rzymskiego, uregulował prawo spadkowe przez zaprowadzenie równych działów, nie naruszył jednak istniejących, a opartych na prawie zwyczajowem odrębnych przepisów spadkowych dla drobnej posiadłości włościańskiej. Wtedy jeszcze umiano cenić odrębny charakter własności ziemskiej. Nawet patent o uwłaszczeniu z 7 marca r. 1848 pozostawił prawa te nietknięte, a reskrypt ministeryalny z 17 lipca r. 1850 dla krajów, w których odrębne przepisy spadkowe istniały, osobno je jeszcze zatwierdził. Ale zdawkowy pseudo-liberalizm czasów najnowszych nie mógł znieść rzekomej nierówności, która wynikała z owych przepisów spadkowych, a w gruncie rzeczy, pewno właściwie niechętnem okiem spoglądał na instytucye, które stanowi rolniczemu zapewniały charakter zachowawczy; a gdy praktyczny liberalizm amerykański, umiejąc cenić ważność silnego średniego stanu rolniczego, zaprowadził t. z. *Homestead exemption*, tj. nietykalność zagrody włościańskiej w rozmiarach 160 – 200 akrów, doktrynerski liberalizm zachodniej Europy przeprowadził w prawodawstwie prawo nieograniczonej parcelacyi gruntów, i nieograniczoną niczem swobodę zadłużania własności ziemskiej.

Jeżeli wspominaliśmy o odrębnych przepisach w sprawie spadkowem dla włościan w Austryi, to wyjaśnić musimy, iż przepisy te opierały się na dwóch kardynalnych zasadach:

1) aby zagrody pomiędzy spadkobierców nie dzielić w sposób naturalny, ani też czynić wszystkich spadkobierców współwłaścicielami gruntu, lecz oddać całą zagrodę jednemu spadkobiercy, który resztę miał spłacić;

2) aby spłaty tak urządzić, iżby one właściciela zagrody zbytecznie nie obciążały, lecz umożebniały mu utrzymanie się przy gruncie.

Przepisy te odrębne nie istniały we wszystkich krajach au-

stryackich, ale że wpływ ich na ogólne położenie ekonomiczne był korzystny, wypływa już z tego, iż w krajach, w których wzmiankowane zasady w prawie spadkowem dla włościan były zaprowadzone, i po r. 1863 jeszcze prawem zwyczaju się zachowały, zaległości podatkowe co do podatku gruntowego i budynkowego, wynosiły średnio 9—12%, gdy tymczasem zaległości te, w krajach gdzie nigdy podobne przepisy i zasady nie istniały, wynosiły średnio 61%.

Praktyczne zastosowanie w prawie spadkowem dwóch zasad, o których mówiliśmy powyżej, pociąga oczywiście za sobą pewne faworyzowanie tego spadkobiercy, któremu się dostaje zagroda rodzinna, ale nie ulega wątpliwości, że zasady te nie miały źródła swego w jakowym interesie prywatnym lub egoistycznym. Może cienia pewnego tendencyi takiej dopatrzyć się można w majoratach szlacheckich, których źródłem bywa niejednokrotnie chęć utrzymania splendoru rodziny, ale szukać jej nie można w osobnych przepisach prawa spadkowego dla zagród włościańskich. Ich źródłem pierwotnem niewątpliwie jest poczucie wspólności rodzinnej. Chodziło o utrzymanie ziemi w rodzinie, o utrzymanie swej zagrody, w której każdy z rodziny w razie potrzeby znalazł przytułek i oparcie. Że cel ten łatwiej się osiągnie przez zachowanie zagrody w jednych ręku, niżeli przez rozćwiertowanie jej na drobne kawały, o tem widocznie dawniej lepiej sobie umiano zdać sprawę, niżeli dzisiaj. I to zaś pewne, a świadczą o tém przytoczone powyżej cyfry zaległości podatkowych, że interes społeczeństwa, państwa, utrzymania silnego i zdrowego stanu włościańskiego, tą drogą łatwiej się da osiągnąć.

Mając na oku wszystkie te okoliczności, rząd austryacki projektuje przywrócenie dawnych zasad prawa spadkowego dla włościan i przedłożył w tym celu odnośną ustawę Radzie państwa, motywując projekt ten obszernie i wyczerpująco. Rząd uprzytomnił sobie zapewne, że z liberalnego obozu podniosą się natychmiast zarzuty wstecznictwa, zacofania, rozlegną się krzyki, iż chodzi o przywrócenie przeżytych urządzeń średniowiecznych, dlatego sumiennie zebrał bogaty materyał, przedstawiający położenie materyalne średniej i drobniejszej własności ziemskiej i pogorszenie się sytuacyi materyalnej od czasu zniesienia przepisów odrębnych w prawie sukcesyjnem dla zagród włościańskich, nareszcie zasięgnął opinii władz

krajowych i całego szeregu osobistości w każdym kraju, zajmujących się badaniem stosunków ekonomicznych i społecznych.

Z cyfr statystycznych, które zajęły pokaźny jeden tom, dowiadujemy się, jakie zmiany zachodziły od r. 1868 własności drobniejszych posiadłości wiejskich, czy zmiana właściciela nastąpiła w drodze sprzedaży dobrowolnej, czy też przymusowej, czy nareszcie w drodze spadku. Dalej dowiadujemy się, ile nowych na hipoteki w całej Cislitawii i w poszczególnych krajach zaciągnięto długów i ile ich spłacono, czy długi zapisane zostały na mocy układów dobrowolnych, w drodze egzekucyi, skutkiem zakredytowania pozostałej reszty z ceny kupna, czy też jako scheda przypadająca współspadkobiercom, którzy nie otrzymali gruntu; nareszcie czy wymazanie długów na hipotece nastąpiło skutkiem spłat, czy też skutkiem tego, iż przy sprzedaży nie doszły do percepcyi i spadły z hipoteki.

Z tych danych statystycznych, których z równą dokładnością statystyka żadnego innego kraju dostarczyć nie może, łatwo pozyskać pogląd na obecne położenie materyalne własności ziemskiej i poinformować się o zmianach jakie zaszły w stosunkach włościan od czasu kiedy zniesiono ograniczenie parcelacyi i odrębne przepisy prawa spadkowego. Przytoczyliśmy powyżej kilkanaście cyfr ważniejszych, które przedstawiają rezultat ogólny; w dalsze szczegóły liczbowe zapuszczać się nie możemy, nie chcąc pracy niniejszej zbyt szerokich dawać rozmiarów.

Co do treści projektowanej reformy, to z góry nadmienić należy, iż rządowy projekt ustanawia tylko zasady ogólne, pozostawiając zastosowanie ich ustawodawstwu poszczególnych krajów. Bardzo to słusznie, bo gdy zwyczaj jest jednem z najważniejszych źródeł praw, i każde prawo oparte na dawnych zwyczajach ludowych najłatwiej się przyjmuje, zwyczaje zaś w różnych krajach Austryi przez rozmaitą ludność zamieszkałych, bardzo są rozmaite, tylko reprezentacye krajowe mogą układać przepisy odrębne w materyi tak ważnej, jaką jest prawo spadkowe, będące częścią praw i obyczajów rodzinnych.

Zresztą już z poszczególnych przepisów przekonać się można, że mierzenie jedną miarą wszystkich krajów jest niemożliwe. I tak np. reforma projektowana ma się odnosić tylko do zagród włościańskich średniej wielkości. Definicya pojęcia tego

wypadnie w każdym kraju, może nawet w każdej okolicy inaczej. Sto morgów winnic i ogrodów położonych mianowicie w okolicy z dobrą komunikacyą, uważać można za posiadłość większą, gdy oczywiście tyleż roli nawet lepszej, do posiadłości średniej zaliczyć należy, a tę samą ilość ziemi lichej, w okolicy oddalonej od dobrych środków komunikacyjnych, już zaledwie do tej kategoryi zaliczyć będzie można; nie same rozmiary w tym względzie o charakterze posiadłości rozstrzygają. To też słusznie rządowy projekt ogólnej ustawy zasadniczej, definicyę średniej wielkości pozostawia ustawodawstwu krajowemu.

Główną tendencyą projektowanej reformy jest utrzymanie zagrody włościańskiej w rodzinie, i to bez rozbijania jej na części drobniejsze. O znaczeniu ekonomicznem i społecznem tej tendencyi dla państwa, mówiliśmy już powyżej. W stosunkach panujących obecnie, osiągnięcie celu tego nie łatwe; w razie śmierci właściciela zagrody, albo następuje podział *in natura*, albo zagroda pozostaje wspólną własnością kilku spadkobierców, albo nareszcie dla podziału spadku sprzedaje się ją z licytacyi. Gdy zaś który ze spadkobierców jest w możności przejęcia całej zagrody na siebie i spłacenia współspadkobierców, ci ostatni zwykle nie ułatwiają lecz utrudniają mu to; starają się bowiem o jak najwyższą taksę sądową, aby ich działy były większe. Nowy właściciel tedy odrazu przejmuje ciężary, które się stają zarodkiem późniejszego upadku materyalnego.

Podział *in natura* bardzo często już dla tego jest niekorzystny, że budynki i inne porządki gospodarskie zastosowane do wielkości całego gruntu, trudno podzielić; potrzeba zatem dla niektórych parcel stawiać nowe, gdy tymczasem dawniejsze pozostawione na jednej części, jako za wielkie, raczej są ciężarem niżeli wygodą dla właściciela. Zresztą w dalszej konsekwencyi prowadzi podział *in natura* do parcelacyi gruntów takiej, iż dla właściciela drobnej parceli korzyści z niej nie ma, a ogólne gospodarstwo krajowe nietylko nic nie zyskuje, lecz i owszem traci. Zasada iż, czem mniejsze parcele tem większa stosunkowo na nich produkcya — tylko do pewnych granic jest prawdą; można ją stosować tam gdzie ziemia w wysokiej kulturze, gdzie położenie i okoliczności pozwalają na wyzyskanie ziemi ogrodowiznami, jak to np. ma miejsce w pobliżu miast wielkich; ale tam źle jest zastosowaną gdzie ziemia licha, kultura

w niej nie wielka, a zbyt produktów w ogóle utrudniony. Jeżeli tej drobnej zupełnie własności jest wiele w okolicy, gdzie nie ma sposobności zarobkowania pobocznego, to parcelacya wyrabia proletaryat rolniczy, który raczej klęską niżeli korzyścią jest dla społeczeństwa i gospodarstwa społecznego. Nareszcie podział gruntu połączony zwykle jest z kosztami, które często w żadnym nie pozostają stosunku do wielkości parceli, i zmuszają odrazu do zaciągania długów, które wzrastając jak lawina, czynią właściciela małej parceli po prostu niewolnikiem lichwiarza, który dostarczył pieniędzy potrzebnych na opędzenie kosztów regulacyi spadku.

Otóż projekt rządu austryackiego proponujący reformę prawa spadkowego dla zagród włościańskich średniej wielkości, pozostawiając właścicielowi zagrody takiej swobodę rozporządzenia majątkiem w zakresie obowiązujących dziś norm prawnych, rozszerza prawa rozporządzenia spadkodawcy o tyle, iż pozwala mu przekazać zagrodę jednemu ze spadkobierców. Ustawodawstwo krajowe może zarządzić, iż i w takim razie, gdy właściciel zagrody umiera bez pozostawienia testamentu, cała zagroda może być oddana jednemu spadkobiercy, pod warunkiem wszakże, iż zaspokoi współspadkobierców z tytułu ich pretensyj do spadku; tak samo zarządzi ustawodawstwo krajowe, w jakim porządku spadkobiercy do sukcesyi są powołani. Wartość zagrody ma być oznaczoną w drodze dobrowolnej ugody spadkobierców, lub, gdy ta nie przyjdzie do skutku, przez sąd. Ale ustawodawstwo krajowe może taksie sądowej substytuować taksę opartą na czystym dochodzie katastralnym. Jeżeli strony interesowane nie mogą się zgodzić co do terminów wypłaty sched, sąd mocen jest terminy te oznaczyć, ale wbrew woli tego który wypłatę otrzymuje, nie może jej dłużej prolongować jak na trzy lata. Ustawodawstwo krajowe może przepisać, iż w razie oszacowania zagrody przez sąd, z sumy szacunkowej przekraczającej dług, jedna trzecia na korzyść tego który przejmuje zagrodę, może być strącona.

Ustawodawstwu krajowemu nareszcie przyznane jest prawo ustanowienia, iż zagród włościańskich średniej wielkości dzielić nie wolno, a przepis taki ogranicza w tym względzie właściciela zagrody w dyspozycyach jego za życia i po śmierci.

To jest główna treść projektu do ustawy o zmianie przepisów prawa spadkowego dla zagród włościańskich średniej wielkości.

Nie zapuszczamy się w szczegółową jego ocenę. Opinie, jak już o tem była wzmianka, o elaboracie tym wypowiedział cały szereg władz i pojedyńczych osób, a opinie te również przez rząd ogłoszone, zajmują gruby tom, aczkolwiek wielką część umieszczono tylko wedle krótkich wyciągów. Do wypowiedzenia opinij powołano najwyższe władze krajowe, centralne stowarzyszenia rolnicze, zarządy zakładów kredytowych rolniczych, sądy, notaryuszów, osoby prywatne i znaczną liczbę profesorów uniwersytetu, prawników i ekonomistów, w ich rzędzie także znanego ekonomistę Lorenz von Stein. Znacznie większa część zapytanych wyraziła się przychylnie o projektowanych reformach. Powszechna jest na to zgoda, że dzisiejsze stosunki trwać dalej nie mogą, jeżeli nie mają doprowadzić do zupełnego upadku materyalnego stanu włościańskiego, coby oczywiście z wielkiemi dla państwa stratami było połączone.

Sprawozdania z Galicyi zwłaszcza malują obraz dzisiejszej sytuacyi w bardzo ponurych kolorach; „własność ziemska nadmiernie jest zadłużona, długi ciągle wzrastają, sprzedaż gruntów w drodze przymusowej coraz szersze przybiera rozmiary, wierzyciele na sprzedażach tych coraz więcej tracą“, — tak mniej więcej charakteryzuje się dzisiejsze położenie. Niektórzy uważają proponowane przez rząd reformy za niedostateczne, radzą projektowaną reformę przepisów prawa spadkowego dla włościan przeprowadzić jako obowiązującą powszechnie. Inni odradzają tę reformę, ponieważ nie należy ograniczać możności nabywania ziemi; natomiast radzą ograniczyć prawo zaciągania długów i wykluczyć włościan zupełnie z pod prawa wekslowego, które dla nich jak dla każdego rolnika w ogóle jest najzgubniejsze.

Koła liberalne o całym projekcie wyrażają się bardzo nieprzychylnie, a jeden z przywódców liberalnych w izbie poselskiej, p. Herbst, zadecydował już, że cały projekt reformy nie będzie w stanie tyle przynieść korzyści stanowi włościańskiemu, ile kosztuje druk projektów rządowych. Na polityka, który pozuje na poważnego męża stanu odezwanie to dosyć oryginalne, a zrozumieć je można tylko wtedy, gdy się wie jak fanatycznie liberały hołdują zapatrywaniu *laissez faire, laissez passer, le monde va de lui même.* Bo choćby

nawet projektowana dziś przez rząd austryacki reforma nie stała się prawem, choćby ją większość — czego nie przypuszczamy — odrzuciła, to w każdym razie zebrany materyał statystyczny jasno przedstawia położenie rzeczy, a inicyatywa raz dana nie może pozostać bez skutku, lecz koniecznie do podjęcia jakichś kroków w interesie zagrożonej własności ziemskiej, a mianowicie włościan, odgrywających w ustroju społecznym tak niezmiernie ważną rolę, doprowadzić musi.

A. Donimirski.

CELOWOŚĆ PRZYRODY

W OBEC KRYTYKI DZISIEJSZEJ.

(Dokończenie).

Przyszliśmy więc do zapowiedzianego wniosku: ewolucya albo niczego zgoła nie tłumaczy, albo zwraca się do celowości.

Ale rzućmy już tę całą polemikę, istotnie wyczerpniętą, a zwracając się do natury, zagadnijmy ją wprost o kwestyi, która nas obchodzi — bez chęci narzucenia jej naszej myśli, z czystym zamiarem odgadnięcia jej słowa. Gdzież jest człowiek prosty i szczery, bez filozofii, bez z góry powziętej teoryi, a znający cokolwiek naturę, któryby nie uznawał w niej celowości — któryby mógł inaczej o niej mówić, jak wspominając wciąż o jej celach i środkach, o jej przezorności i zapobiegliwości — któryby mógł inaczej o niej myśleć, jak myśląc o jej planach, podziwiając jej mądrość? Natura przedstawia się nam jako system olbrzymi i harmonijny środków odpowiednich do uiszczenia najwyższych form życia. Rozum ludzki instynktowo i logicznie uznaje w tem objaw mądrości [1]. — Materyaliście to nie dosyć: system ten, twierdzi on, mógł być litylko rezultatem, może szczęśliwego rzutu, a może sumy przypadków ujętych w karby praw mechanicznych. — Natura, odsłaniając się dalej, odkrywając nietylko swój stan, ale swoje stawanie się, pokazuje, że wciąż pracuje dla przyszłości, że idea tego, co ma być potem, włada wciąż tem, co się obecnie dzieje. W embryonach kształtuje organa, na razie nie przydatne, a w późniejszej dopiero fazie życia i w innem otoczeniu spełniać swe funkcye mające — w zdrowych organizmach osadza siłę leczniczą

[1] Wyłożone w pierwszej części.

i rekonstrukcyjną, która dopiero w przypadku choroby lub uszkodzenia potężnie się objawi — żyjące pokolenia tysiącznemi instynktami nagli do różnych prac, dla nich samych tylko uciążliwych, a przyszłym dopiero służyć mających pokoleniom. Długoby wyliczać wszystkie trudy i troski macierzyństwa, sporą połowę życia wielkich i małych żyjątek zajmujące; ale najwidoczniej może ta praca natury dla przyszłości występuje tam, gdzie jest najmniej zmyślności jednostki, tj. w świecie owadów. Ileż to np. owadów trawożernych zbiera dla swoich larw pokarm mięsny, żyjący nawet, i zamyka go z własnem jajeczkiem w norkach, które dopiero następnej wiosny, gdy same już żyć nie będą, mają się otworzyć? Skądże im ten pomysł? nie z własnej zmyślności, bo same nie uważają mięsa za pokarm, a nawet postaci swych larw nie znają — nie z naśladowania rodziców, bo zima dzieli jedno pokolenie od drugiego — nie z instynktu dającego się wytłumaczyć nawyknieniem dziedzicznie przekazanem, bo pierwsze fakta takiego zaopatrywania larw, któreby dały początek nawyknieniu, nie dadzą się pojąć. Jakgdyby natura przewidując wykręty materyalistów, zadokumentować chciała, że przyszłość ma na oku i dla przyszłości pracuje [1]. A jeżeli natura objawia się nam jako pracująca dla przyszłości, jakżeż, proszę, wyraźniej mogła nam okazać, w jakiż sposób dosadniej mogła nam dowieść, że jest c e l o w ą, w prawdziwem tego słowa znaczeniu?

Otóż celowość przyrody ma jeszcze jeden sposób zatwierdzenia się w obec nas, poniekąd jeszcze wymowniejszy, bo wprost nawiązuje się do naszej świadomości, i przeciwników celowości do *absurdum* doprowadza.

Sama szkoła Darwina w swych najnowszych badaniach, dążąc do udowodnienia jedności pochodzenia wszystkich tworów przyrody, wykazała faktycznie między niemi dziwną, poniekąd nieprzerwaną ciągłość, ścielącą drogę do analogicznych wniosków — ale niekoniecznie w kierunku Darwina. Bakon upomina, żeby, kiedy idzie o zbadanie jakiegoś prawa w przyrodzie, zaczynać od faktu wybitnego, czyli jak on mówi, p r e r o g a t y w n e g o, w którym to prawo najwyraźniej i w całej pełni się objawia. Cóż więc jest takim

[1] Dokładny opis tych instynktów i gruntowną ich dyskusyę warto przeczytać we wspaniałych badaniach entomologicznych Fabre'a: *Souvenirs entomologiques* 1873 i *Nouveaux souvenirs entomologiques* 1883.

punktem wyjścia w kwestyi celowości przyrody? Oczywiście celowość ludzka. Wiemy, że człowiek zamierza cele mieszkania, ubierania się, bronienia się, i że w tych celach buduje domy, tka suknie, kuje broń. A widząc, że przyroda podobne wytwarza przyrządy albo podobnie do celów stosowne, wnosimy, że i ona dla celu działa. — Ale jakimż prawem tak przechodzić od człowieka do przyrody? — Gdyby mię tak zagadnął Kartezyusz albo Hegel, w ich ustach ten zarzut miałby znaczenie. Imbym odpowiedział, że i niezależnie od tej analogii między dziełami człowieka a przyrody, celowość tych ostatnich dowodzi się metafizycznie, jakem na wstępie pokazał. Ale Darwiniści, ewolucyoniści i tym podobni, jakiemże prawem oddzielaliby człowieka od natury? Czyż sami nie dowodzą, że człowiek jest tylko członem przyrody, a jego industrya, faktem natury, tak samo jak industrya bobrów, ptaków, pająków... dalszym ciągiem powszechnej industryi przyrody? któż wymowniej jak oni rozprawia o zmyślności zwierząt, o zbliżeniu ich rozumu do rozumu ludzkiego — skoro nawet samemu Darwinowi się zdaje, że jego pies legawy więcej myśli niż baba australska?

Mam więc wszelkie prawo zestawiać w jednym szeregu te indukcye i mówić, że jeśli człowiek buduje domy w celu mieszkania, to i bóbr w takimże celu buduje swe chałupki, i jaskółka w takim celu lepi swoje gniazdko. Nie idzie o to, czy bóbr i jaskółka są równie jak człowiek świadome celu, — o czem później pomówimy — ale idzie tu o rdzenną przyczynę tych industryj, która w tem właśnie leży, że cel powoduje środki, że człowiek i bóbr i jaskółka dlatego budują mieszkania, ażeby w nich mieszkać, a nie dlatego tylko mieszkają, że im się przytrafiło wybudować. Analogia jest tak ścisła, że nikt temu przeczyć nie może — a najmniej ewolucyonista, nieuznający istotnej różnicy między ludzką a zwierzęcą umysłowością.

Zstępując niżej po skali zwierzęcego życia, widzimy coraz mniej świadomości, ale celowość czynów równie widoczną. Owad już nie zna swego potomstwa, nie wie na co snuje swe misterne siatki, jak to Fabre ślicznemi doświadczeniami wykazał [1]. A jednak jego spichlerze są zarówno celowe jak spichlerze bobra lub wiewiórki, jego siatki i inne sposoby łowienia zdobyczy tak samo do celu się od-

[1] Loco cit.

noszą jak mądre zasadzki kota lub tygrysa... Ktoż tu i gdzie granicę istotną pociągnie?

Ależ znów za instynktem zwierzęcym idzie w jednolitej ciągłości funkcya organiczna. Trudno powiedzieć gdzie się jedno kończy a drugie zaczyna, a niepodobna nie uznać, że jednakowy pierwiastek obojgiem włada. Są ślimaki wodne, które same wytwarzają swe skorupki, są inne ślimaki, które skorupek nie tworzą, tylko włażą w skorupki wypróżnione, i tak samo niemi się posługują jak pierwsze. U tych ostatnich jestto instynkt, u pierwszych organiczna funkcya. A nie jestże widocznem jak na dłoni, że natura w obu przypadkach albo do jednego celu dąży, albo do jednego trafia rezultatu, jednakiemi prawie środkami? jeśli więc jedno jest celowem to i drugie. Kiedy samiczka królika mająca się okocić, skubie z siebie włos i wyściela nim ciepłą pościółkę w swej norze, widzimy w tem macierzyńską troskliwość — czyn celowy, a kiedy temu samemu królikowi wyrasta cieplejsze futerko przed zimą, czyż możemy nie uznać w tych dwóch objawach jednakowej dążności natury? czyż możemy przypuścić, że w jednem cel powoduje środki, w drugim tylko wypadł podobny rezultat, a podobieństwo środków zdarzyło się nie wiedzieć jakim trafem? Widząc bobrów naprawiających swą groblę uszkodzoną, Darwin podziwia ich spryt, widzi w tem sztukę, podobną do ludzkiej, więc celową — widząc pszczoły zlatujące się do naprawy uszkodzonego plastru, już mniej znajdziemy świadomości celu, ale jednakową musimy uznać natury dążność, jeśli w pierwszym to i w drugim razie celową. Kiedy pies skaleczony liże ranę, przez co oczyszcza ją i zasklepia, widocznie do celu dąży, podobnie jak człowiek kiedy ranę obmywa i zawija. Kiedy znów ten pies czując się chorym idzie w trawę i wyszukuje sobie ziela, które go uzdrowi, jestto czyn przeważnie instynktowy, a czyż mniej celowy jak pierwszy. Ale znów apetyt do tego leczniczego zioła, który wówczas w psie się odzywa — jakiego nawet człowiek w pewnych chorobach doznaje ku potrawom zdrowiu potrzebnym — apetyt ten jest wynikiem jakiejś funkcyi organicznej, oczywiście do tegoż uzdrowienia dążącej. A te wszystkie wysiłki, które podówczas czyni organizm dla wyleczenia się, to nagromadzenie krwi odżywczej w organach uszkodzonych, te suppuracye wyrzucające na zewnątrz obce materye, czyż to wszystko nie zmierza jednako do tegoż sa-

mego celu? Słowem: jeden system panuje w instynktach i funkcyach organicznych całej przyrody: jak w jednych tak i w drugich jedna celowość.

W końcu, między światem organicznym, a światem mineralnym taki pomost zbudowała natura, takie w wielu punktach zbliżenia, że materyaliści śmiało z jednego do drugiego przechodzą. Ale ten pomost, przez nich głównie odkryty, i w odwrotnym kierunku przejść pozwala. Jeżeli jedna ciągłość, jak oni mówią, wiąże te dwa światy, to jeden panuje w nich system, jeżeli te same siły władają naturą żywotną i martwą, a w żywotnej jak widzieliśmy, dążą do celów życia, to i w nieżywotnej, kiedy przygotowują z podobną przezornością warunki życia, kształtują ten organizm n a z e w n ą t r z, o którym mówiliśmy w swojem miejscu, do celów życia tak wybornie zastosowany — musimy uznać, że do tychże celów zarówno zmierzają. Słowem, natura jest jedna: jeśli celowo kształtuje życie, to nie bez celu jego warunki i materyały gotuje.

Materyaliści na zasadzie tych samych zbliżeń i tych samych analogij rozumują odwrotnie: zaczynają od mgławicy organizującej się w system planetarny, w czem nie znać, jak sądzą celowości, a jednak końcowy wynik pewien porządek i system przedstawia; stąd drogą a n a l o g i i, a nie inaczej, wnoszą że i organizacya komórki może być tychże sił wynikiem; z komórki przechodzą bez wahania do wszelkich form i funkcyj organicznego życia, a z tych do sfery psychicznej, do instynktów zwierzęcych, wnosząc znowu analogicznie od jednych do drugich, że te wszystkie pozornie tak cudne i celowe kształty i czynności są litylko ślepym a koniecznym rezultatem. Rozumowanie to jest równoważne z naszym, o ile że jest pochodem analogicznym po tych samych przejściach. Różnica wszakże leży w tem, że my zaczynamy od faktu, gdzie celowość jest dotykalna, tj. od sztuki ludzkiej; ich zaś punktem wyjścia nie jest wcale rzecz, którejby niecelowość dała się skonstatować, ale tylko rzecz, która sama w sobie mało, albo dajmy na to że i wcale, celowości nie objawia. Stąd gdy ich pochód analogiczny, z dołu do góry, przechodzi do sfer życia, gdzie celowość w coraz większej występuje pełni, ich punkt wyjścia upada i rozumowanie staje się nielogicznem.

Różnica po drugie i w tem jest, że my przeprowadzając na-

szą analogię aż do przeciwległego końca nie spotykamy żadnej sprzeczności, w zgodzie zawsze ze sobą i z faktami zostajemy. Aż do mechanicznego kształcenia się słońc z pierwotnej mgławicy, nie ma nic z ideą celowości i mądrości twórczej sprzecznego. Oni zaś, prowadząc niecelowość od mgławicy aż do funkcyi organicznej i zwierzęcego instynktu, powinni logicznie, mocą tej samej analogii, zaprzeczyć celowości i w działaniu zwierząt samoistnem, co już jest niedorzecznością. Wyśmiali Kartezyusza, że zwierzęta uważał za mechaniczne automata bez czucia i świadomości — i słusznie go wyśmiali. Ale sami powinniby logicznie tego zdania się trzymać. Jeżeli mechanizm, i to nie przez Stwórcę zbudowany, jak u Kartezyusza, ale na ślepo ukształtowany, wystarcza im do tłumaczenia wszystkich cudów funkcyj organicznych i instynktów, to czemużby mechanizm z kilkoma kołkami więcej nie wystarczył do wydawania ruchów i krzyków, po których wnosimy że zwierzęta czują? Ostatecznie przekonanie nasze o świadomości zwierząt opiera się jedynie na analogii z człowiekiem. Jestto ta sama analogia z góry na dół, która w dalszym rozwoju dowodzi celowości w instynkcie, w funkcyi organicznej i w mineralnym świecie. Jeżeli tę analogię w dalszych stopniach odrzucają, to i tu powinni ją odrzucić, a swoją analogię, z dołu do góry, prowadząc logicznie dalej, powinni twierdzić z Kartezyuszem, że zwierzęta są automatami, jak grające katarynki. Co więcej powinni to samo twierdzić o wszystkich ludziach, prócz siebie samych; boć przecie tylko własną sferę psychiczną znamy doświadczalnie, a że inni ludzie czują i myślą i celowo działają, o tem wiemy tylko bądź z analogii z nami, bądź z logicznego czyli celowego porządku ich czynów — ale przeciwnicy celowości odrzucili te argumenta, a doszedłszy analogią odwrotną do zwierząt-automatów, powinni i ludzi za nieświadome automaty poczytać, zwłaszcza skoro tak małą między zwierzęcemi a ludzkiemi czynnościami widzą różnicę. I tak absurdum opieczętowuje ich rozumowanie.

Natura więc na wszystkie sposoby zadaje kłam materyalistom, przeczącym jej myśli — a szczerym badaczom okazuje tę myśl namacalnie. Najprzód, odkrywając w swych dziełach celowy porządek, podobny do celowości dzieł ludzkich, skłoniła nas drogą analogii i drogą metafizycznej analizy do uznania w niej tego celowego działania, którego ideę z własnego działania posiadamy. Dalej, jak

gdyby dla utwierdzenia nas w przekonaniu, że nie przypadkiem ale celowo do tych ustrojów trafiła, odsłoniła nam sposób swego tworzenia, w którym myśl przyszłości włada ustawicznie teraźniejszą pracą. A oto teraz, odkrywając nam ciągłość swoich stopni i jednolitość swego planu, wiąże nieprzerwalną nicią naszą celowość subjektywną z celowością, dla nas objektywną, wszystkich dzieł swoich, doprowadza poniekąd tę ostatnią aż do naszej świadomości, i pokazuje nam, żeśmy nie mylnie nasz sposób celowego działania brali za typ do pojęcia jej dzieł.

Zdobyliśmy więc pewność, że natura jest celową, że nietylko pozornie lecz w rzeczy samej dąży racyonalnie do celów. Cóż stąd wypływa? Narzuca się oczywiście pytanie: Gdzie siedzi rozum, który te cele zamierza i środki do nich wybiera?

Ogół ludzkości, jakeśmy widzieli, przechodzi od razu do mądrości Stwórcy — tak samo jak z celowego ustroju zegarka wnioskuje o sztuce zegarmistrza. Ale filozofia panteistyczna protestuje: Czemuż szukać przyczyny mądrości celowej poza światem, mówi ona, kiedy takowa w nim samym być może? natura rozumnie działa, bo sama w sobie jest rozumem urzeczywistnionym, myślą ujawioną; a że natura nie okazuje świadomości, wnosić więc trzeba, że jest rozumem w stanie nieświadomym. Hegel, reasumując w swej potężnej syntezie wszystkie panteizmy przeszłości, powiada, że ta sama idea, która w przyrodzie rozwija się nieświadomie, ale zawsze logicznie, w nas do świadomości o sobie przychodzi: i stąd właśnie ta zgodność między naszym myśleniem a przyrodą, że jedna i ta sama myśl tam rozwija się jako przedmiot, tu jako podmiot siebie samą poznaje. Schoppenhauer i Hartmann zamiast rozumu przyjęli wolę za pierwiastek takiejże immanentnej świata ewolucyi. Ale i w tej woli, jak dowodzi Hartmann, tkwić muszą nieświadomie jakieś idee celów, do których przyroda w swej ewolucyi dąży.

Z tych doktryn, na dzisiaj nadto abstrakcyjnych, wytworzyła się ostatniemi czasy niedosyć określona, półmateryalistyczna półpanteistyczna doktryna, wyobrażająca sobie naturę jako rzeczywiście do celów dążącą, ale zupełnie bezwiednie, bez idei, na kształt instyn-

ktu. Pojmować celowość przyrody na sposób celowości dzieł ludzkich za pomocą czynnika rozumnego stojącego zewnątrz, jestto, mówią, czysty automorfizm; a jednak widoczna jest przecież różnica między celowością natury a celowością sztuki ludzkiej: maszyny ludzkie bywają budowane i naprawiane przez człowieka, organizmy przyrody same się budują i same naprawiają; w maszynach ludzkich cel jest tylko zewnętrzny, więc zawsze względny, w naturze każda rzecz jest sobie celem, „jestto cel, jak mówi Kant, który sam się uiszcza“ — więc cel absolutny; nie ma więc możności identyfikowania obu sposobów działania, i trzeba brać działanie natury takiem poprostu, jakiem się przedstawia: instynktowem, celowem a bezwiednem.

Cały ten pogląd (z którym w najnowszych dziełach przyrodniczych co chwila spotkać się można), choć z urywków filozofii Kanta i Hegla sklecony, jest na wskróś niefilozoficzny i nielogiczny. Najprzód mieszają się w nim dwie rzeczy bardzo różne: 1^0 że utwory przyrody mają w sobie swój cel, co Kant celowością wnętrzną nazywa — 2^0 że przyroda ma w sobie pierwiastek dążności do celu, ideę celu, co Hegel nazywa celowością immanentną. To ostatnie nie jest wcale daną, ale samemże zagadnieniem, o którego rozwiązanie chodzi; pierwsze zaś żadnej przepaści między przyrodą a sztuką ludzką nie stanowi. Utwory natury, przynajmniej organizmy, mają cel wnętrzny, jak mówi słusznie Kant, lecz oprócz tego — co Kant przeoczył — mają celowość odnośną do celów zewnętrznych. Jak każdy organizm jest „systemem części, które są sobie wzajem środkami i celami“, według słów samegoż Kanta [1], tak i cała przyroda, według dzisiejszej nauki, jest systemem, w którym jednostki i gatunki mają się wzajemnie do siebie tak samo, jak komórki i człony w jednym organizmie. W sztuce ludzkiej znowu zdarza się nietylko ta celowość zewnętrzna czyli odnośna, którą Kant uwydatnia, ale i celowość wnętrzna: jak w obrazie, w ćwiczeniach gimnastycznych ciała, w wychowaniu dziecka. I w maszynach znajdują się przyrządy, służące, nie do wykonania ich wyrobu, lecz do zachowania samychże maszyn, jak: zewnętrzne okrycia, smarowidła, klapy bezpieczeństwa i t. p.

[1] Urtheil §. 65.

Że maszyna ludzka w ogólności sama się nie buduje i nie naprawia, jak organizm naturalny, to dowodzi niższości sztuki ludzkiej w obec natury, a więc chyba wyższości tej mądrości i potęgi co naturę utworzyła, w porównaniu do rozumu i środków działania człowieka — ale skądżeby to miało dowodzić, że mądrość natury musi być immanentną i nieświadomą? I my w przemyśle naszym dążymy do tego, żeby ile możności wszystko samo się robiło i samo naprawiało: lejarnia żelazna sama wyrabia szyny, które potem w jej skład wchodzą; lampa elektryczna, kiedy się węgle biegunowe upalą, sama je odpowiednio przybliża; im więcej jakaś maszyna sobie wystarcza, tem jest w rodzaju sztuki doskonalszą. Sztuka więc ludzka nie idzie w przeciwnym, ale w tym samym kierunku co natura, tylko doścignąć jej nie może — jak w sztuce tak i w naturze jest zarazem zewnętrzna i wewnętrzna celowość, tylko w obu kierunkach natura jest mistrzem, a człowiek chłopięciem.

To antropomorfizm! mówią nam przeciwnicy; — a skądżeż oni swoje pojęcie celowości instynktowej biorą? Żadnego sposobu działania nie wymyśli i nie pojmie człowiek, bez brania pojęć z jakiegoś doświadczenia. Otóż w naturze znajdujemy trzy sposoby działania: czysto mechaniczny u nieżywotnych, instynktowy u zwierząt, rozumowy u człowieka. My pojmujemy najwyższą przyczynę natury na wzór rozumu, oni na wzór instynktu; jeżeli pierwsze jest antropomorfizmem, to drugie jest zoomorfizmem[1]. Do wyboru. Pierwsze jest bądź co bądź pojęciem jasnem i przystępnem, możliwość celowości natury czyni nam zrozumiałą; drugie jest rzeczą dla nas tajemniczą, której zewnętrzne tylko widzimy objawy, od środka zaś wcale nie znamy: — więc, nawet podług zasad pozytywistów, pierwszego jedynie trzymać się należy. Pierwsze, tj. działanie rozumowe, znajdujemy w najwyższej sferze natury, w człowieku: skoro więc odrzuciliśmy poprzednio tłumaczenie pierwszej przyczyny natury od dołu, przez czysty mechanizm, to już jedynie racyonalnem jest tłumaczyć ją od góry, przez przyczynę działającą najpodobniej do najwyższego działania, jakie w naturze znajdujemy: tj. intellektualnie.

---

[1] Antropomorfizm: pojmowanie Absolutu na kształt człowieka; zoomorfizm: wyobrażanie sobie Absolutu na kształt zwierzęcia.

Dalej, co to jest: działanie celowe a nieświadome? Jeśli poza takim działaczem stoi przyczyna rozumna, to ma sens: zegarek, lokomobila, parochód działają bez świadomości, a jednak celowo, bo ktoś celu świadomy działanie ich do tego celu nastroił. I zwierzę może być w ten sposób nałożone do działania dla celów, których samo nie zna: jak koń do obracania młocarni przyuczony. Ale bez owej przyczyny dalszej, celu świadomej, działanie celowe a bezwiedne nie ma sensu, jest absurdem: — gdyż na tem właśnie działanie celowe zależy, że cel determinuje czyli powoduje środki — jeśli cel powoduje środki, to jest przed środkami — a nie jest w rzeczywistości, bo gdyby cel istniał, nie potrzebaby środków — więc jest w myśli. Znieście myśl — nie ma zgoła celu ni celowości, są tylko rezultaty.

Więc ci półmateryaliści-półpanteiści dzisiejsi, którzy wyobrażają sobie w naturze instynkt celowy a bezwiedny, bez żadnej idei celu, ci tkwią w absurdum i bezwarunkowo błądzą. Ale panteiści prawdziwi na innem bronią się stanowisku: oni dystyngują między wiedzą a świadomością, przypisują pierwiastkowi wszechrzeczy wiedzę, idee, jasnowidzenie, *das Hellsehen* — ale nieświadome. Hartmann wypisuje cytaty filozofów, którzy uznają tę dystynkcyę, i nagromadza zjawiska z przyrody, w których widać działanie nieświadome, a przytem w najwyższym stopniu rozumne. Lecz cytaty te nic nie dowodzą, bo głębsi myśliciele z pomiędzy przytoczonych, jak Leibnitz i Kant, nie mówią właściwie o wiedzy nieświadomej, tylko o świadomości słabej, niepostrzegalnej, *Les petites perceptions*, *dunkle Vorstellungen* [1]. Fakta zaś z natury przytoczone jeszcze mniej dowodzą, bo one są właśnie przedmiotem sporu: o to się tu rozchodzi: czy te działania przyrody, celowe a bezwiedne, suponują pierwiastek immanentny, czy transcendentny [2].

Co więcej, dystynkcya między wiedzą a świadomością jest

---

[1] Leibnitz. Monadol. — Kant, Anthropol §. 5.

[2] Przyjmuję bez wahania całą część badawczą i empiryczną, dzieła Hartmanna o „Nieświadomym", uznaję wszystkie jego wywody o celowości w wszechświecie panującej, wszystkie dowody o nieświadomości tych działań celowych, tylko wniosek metafizyczny zmieniam: zamiast wnosić: więc jest w naturze pierwiastek rozumny i nieświadomy, wnoszę: więc jest pierwiastek rozumny i świadomy poza naturą.

absolutnie błędną i niemożebną. Wiedza albo jest posiadaniem przedmiotu w świadomości, obecnością przedmiotu, nie w ciele i kościach, ale w świadomości podmiotu — albo niczem zgoła nie jest. Wiedza zaś zupełnie nieświadoma jest zupełnie nie do pojęcia, *ein Unding;* a kto o niej mówi, ten niczego sobie jasno nie wyobraża i żadnemi słowy tego, co myśli, omówić nie zdoła. To tylko jest prawdą, że w naszym umyśle, gdzie uwaga małe tylko pole objąć może, przedmioty raz już poznane i aktualnie nas nie obchodzące, ustępują miejsca innym, schodząc na pole świadomości zmniejszonej, gdzie już uwagi wcale nie zwracają, a skąd w danym razie wywołane w sferę uwagi być mogą. Jestto w pewnem znaczeniu świadomość potencyonalna – ale w tem samem znaczeniu i ta wiedza jest potencyonalną: psychologicznie nie ma różnicy między stopniem wiedzy a stopniem świadomości.

Hartman pisząc przed kilkunastu laty, powoływał się jeszcze na różne teorye psychologiczne, o jakiemś głębokiem tle nieświadomych działań umysłu, skąd niby wypływają na powierzchnię czynności świadome. Ale dziś już psychologia zwróciła dyszel. Przekonała się, że stan wiedzy nibyto nieświadomy, nie jest poprzednikiem, ale następnikiem stanu świadomego, i sformułowała prawo: że każdy nowy akt, każde poznanie pojawia się najpierw w umyśle w pełnej świadomości, a dopiero potem w stan niepostrzegalny (jak dawniej mówiono, habitualny) przechodzi[1]. Psychologiczne więc wywody Hartmana już upadły[2].

Lecz zostawiając już tę głęboką kwestyę noetyki na uboczu, pytam: gdyby nawet możliwą była wiedza nieświadoma, w myśl Hartmana i Hegla, czy taka wiedza wystarczałaby dla celowego działania? — Żadną miarą. Ażeby cel powodował do czynu i wy-

[1] Ob. *Revue Philosophique*, „Avril 1886. *Lesbazeilles*. Les bases psychologiques de la religion."

[2] Hartmann i inni zarzucają jeszcze na to, że nie znamy świadomości bez mózgu, więc nie mamy prawa przypuszczać, że pierwsza przyczyna natury jest świadoma. Odpowiadam na to, że nietylko świadomości ale ani wiedzy ani pojęć żadnych poza mózgiem nie spotykamy. Jeżeli jednak celowość ewolucyi natury przekonuje samego Hartmana i wszystkich nieco głębszych myślicieli o istnieniu jakichś pojęć, jakiejś wiedzy przed mózgiem, to i świadomość przed mózgiem być mogła.

borem środków kierował, nie dosyć żeby był w umyśle działacza jakkolwiek, ale trzeba żeby działacz o tem wiedział aktualnie, żeby ten cel miał na uwadze, mówiąc po naszemu: żeby nań reflektował — co już jest zdwojoną świadomością; albowiem determinowanie się do czynu ze względu na cel, wybór środków w proporcyi do celu, to czyn refleksyjny, zwrot umysłu ku idei celu i ku możliwości środków które w sobie posiada. Zapewnie Umysł najwyższy nie reflektuje, jak my, powrotnym aktem; wszelako w jednym i niepodzielnym akcie musi mieć całą tę pełnię świadomości i posiadania wiedzy, którą my przez refleksyę zdobywamy. Inaczej go pojmując, wystawiamy go sobie niższym i niedoskonalszym niż sami jesteśmy; inaczej go pojmując, tracimy z oczu możliwość jego działalności celowej, którą nam przecież natura objawia — i wpadamy w istną niedorzeczność.

W końcu, cały ten system celowości immanentnej związany jest nierozdzielnie z ideą panteistyczną — i w rzeczy samej, tylko panteiści, jak Hegel, Schelling, Hartmann, świadomie i logicznie tak pojętej celowości bronią. Ale panteizm jako taki jest błędem, czasem wspaniałym, genialnym, lecz zawsze radykalnym błędem. Już to sto razy dowiedzionem zostało, (i ja sam to w obszerniejszej pracy wykazałem [1]); a powtarzać tych dowodów nie warto, bo i tak dzisiejszy świat odwrócił się stanowczo od panteizmu: Spinoza i Hegel stoją po księgozbiorach jak ciekawe przeszłości zabytki; Hartmann, choć zbliżony do materyalizmu, na chwilę tylko zawrócił głowy, ale nie znalazł uczniów, nie stworzył wcale szkoły. Lecz jeśli panteizm upadł, to i panteistyczne pojęcie przyrody, jakiem jest teorya celowości immanentnej, utrzymać się nie może. Chyba ci tylko bronić jej mogą, którzy z jądra tej kwestyi wcale sobie sprawy nie zdają.

Ale, niezależnie od tej polemiki z całym panteizmem, niezależnie od tych wszystkich kwestyj matafizycznych i psychologicznych, któreśmy powyżej roztrząsali — czy sama przyroda nie rozstrzyga faktami tej kwestyi z celowością panteistyczną, podobnie jak poprzednio rozstrzygnęła nam spór z niecelowością materyalistów? Zagadnijmy ją znowu wprost i szczerze.

[1] „Filozofia i jej zadanie", rozdziały III., IV., V., i VI.

Czy natura w swoim działaniu tak wygląda, jak gdyby była sama w sobie rozumną, albo istnem rozumem logicznie się rozwijającym — czy raczej tak, jak gdyby była dziełem istoty rozumnej? Istota rozumna działa rozumnie nietylko w ogólnych urządzeniach, ale i w pojedyńczych przypadkach; znamieniem zaś rzeczy bezwiednej, przez istotę rozumną zdziałanej, jak maszyny, przyrządu jakiegokolwiek, jest: być rozumnie zastosowanem do pewnych okoliczności regularnie zachodzących, a w innych, nieobjętych jej planem, działać na oślep, nieracyonalnie. Młyn wodny jest do mielenia ziarna, ale choć ziarna nie ma, obraca się tak samo, żniwiarka kosi zboże jak powinna, ale jak żniwiarz nogę jej podstawi, utnie i nogę... Istota rozumna dlatego działa zarówno rozumnie w przypadkowych jak w normalnych warunkach, że r o z u m i m m a n e n t n y w każdym postępku adaptuje czyn do celu; maszyna zaś i wszelki działacz bezwiedny dla tego w normalnych tylko warunkach działa racyonalnie, że rozum p o z a n i m będący (transcendentny) raz tylko obmyśleć musiał jego adoptacyę i zastosować ją do pewnej ograniczonej liczby warunków.

Jakżeż tedy działa natura? Deszcz pada na rolę celowo, ale zarazem pada na staw, bez celu, i na drogę, ze szkodą dla człowieka. System irrygacyjny przyrody, pojęty jako mechanizm jest do podziwienia rozumny, celowi swemu w całości odpowiada; ale pojęty jako istota rozumna, byłby szaleńcem. Żołądek ludzki i zwierzęcy celowo trawi pokarm, ale jak mu wrzucić truciznę, trawi ją zarówno. Jeśli to przyrząd bezwiedny, rozumiem; jeżeli zaś to sam rozum w czynie, czemuż tej trucizny nie wyrzuca? czemuż pracuje na zgubę organizmu, dla którego zachowania istnieje? Instynkt Błonkówek *(hymenoptera)*, które budują dla swoich jajek mocne lepianki i napełniają je miodem, albo upolowaną i sztucznem ukłuciem ubezwładnioną zwierzyną, jest zadziwiająco mądry; ale ten sam instynkt, jeśli się o włos jego sferę przekroczy albo warunki zmieni, działa najniedorzeczniej. Z komórki Miesierki *(chalicodoma muraria)* na ukończeniu, wyjąć miód i jajeczko, a ona obejrzawszy pustą lepiankę, zasklepi ją z równą troskliwością, jak gdyby miała dla kogo pracować; rozkopać norkę Wardzanki *(bembex)*, a ona nie pozna już swojej larwy,

której przed chwilą pracowicie żywność znosiła[1]. Nawet młody bóbr, zamknięty w klatce z piaskiem i kawałkami drzewa, zabiera się do budowania swych grobli, jak gdyby miał do walczenia z prądem rzeki. Słowem w całej naturze od góry do dołu przedstawia się ten charakter celowości rzeczowej, nieimmanentnej. Wszędzie urządzenia mądre dla normalnego biegu rzeczy, często nawet zaopatrzenia dla przygód zwyklejszych, daleko dalej idące niż w sztuce ludzkiej — bo celowość natury sztukę ludzką o wiele prześciga; ale wszędzie przytem sposób funkcyonowania machinalny, nie liczący się z przypadkowemi zmianami, i stąd w mnóstwie przypadków działanie bezcelowe albo też wręcz przeciwne wiadomym natury zamiarom. Prawda, że te wszystkie podrzędne uchybienia reasumują się i poniekąd naprawiają w wyższej syntezie świata, że co w pewnej sferze przyrody bez celu ginie, to gdzieindziej znajduje choć podrzędną użyteczność; ale i ten rodzaj ekonomii właściwy jest przyrządom w wysokim stopniu wydoskonalonym — jakim byłaby np. maszyna parowa, któraby wszystko ciepło, z tarcia osi i kół powstające, znowu do kotła sprowadzała — istota zaś rozumna, któraby w własnych czynnościach w taki sposób się poprawiała, byłaby zgoła nie do pojęcia.

Natura więc, badana sumiennie, całą kwestyę celowości rozstrzyga faktami. Nie chcą dziś metafizyki, do faktów jedynie apelują — otóż tłumaczenie zjawisk celowości w sposób niecelowy, za pomocą przypadków, selekcyi i całego przyboru ewolucyonizmu, jest czystą metafizyką, tłumaczenie tych zjawisk celowością immanentną, za pomocą powszechnego instynktu lub wiedzy nieświadomej, jest także metafizyką — jedno i drugie metafizyką w najskrajniejszem znaczeniu, bo przenoszącą nas poza świadectwo faktów poza sferę jasnych wyobrażeń. Najmniej zaś metafizycznem, w tem

[1] J. H. Fabre, w *Souvenirs Entomologiques*, przytoczywszy na to mnóstwo faktów i doświadczeń, kończy rozdz. 12. temi słowy: Je terminerai donc comme j'ai débuté. L'instinct sait tout, dans les voies invariables qui lui sont tracées; il ignore tout, en dehors de ces voies. Inspirations sublimes de science, inconséquences étonnantes de stupidité, sont à la fois son partage, suivant que l'animal agit dans des conditions normales ou dans des conditions accidentelles.

ujemnem znaczeniu, najprostszem, najdokładniej pojąć się dającem, a oraz najzupełniej i jedynie faktom odpowiadającem jest tłumaczenie celowości natury przez rozum zewnętrzny. Natura, jakeśmy widzieli, faktami zadaje kłam materyalistom zaprzeczającym jej celowej myśli, i zadaje też kłam panteistom osadzającym tę myśl w niej samej, identifikującym ją w jedno z myślą. Natura z jednej strony okazuje się nadto celową i mądrą w swych ustrojach, ażeby mogła być rezultatem bez myśli — z drugiej strony objawia się za mało celową, zbyt niemądrą w szczegółach postępowania, żeby mogła być rozumem, istotą myślącą: — więc na każdy sposób i z niezwyciężoną oczywistością objawia się nam jako utwor odrębnej, rozumnej potęgi — opowiada nam myśl, w niej materyalnie wyrażoną, ale w Duchu poczętą. I po wiekach badania nad przyrodą umysł ludzki zatwierdza umiejętnie, co w pierwszem spotkaniu się z nią instynktowo odgadł: Νοῦς πάντα διεκόσμησε [1].

X. M. Morawski.

[1] Dokończy się ta kwestya o celowości w osobnej rozprawie: o najwyższym celu natury i jej stosunku do człowieka i do Boga.

ADAM Z BRUSIŁOWA KISIEL

Wojewoda Kijowski.

Kartka z życia jego z lat 1648 i 1649.

Po raz pierwszy występuje Adam Kisiel, wojewoda kijowski na widowni politycznej w r. 1632, obrany na sejmie elekcyjnym deputatem z koła rycerskiego dla spraw sądowych w czasie bezkrólewia po Zygmuncie III. W pierwszych latach panowania Władysława IV. mianowany podkomorzym czernihowskim, zasiada w r. 1634 na generalnym sejmie, jako komisarz przydany do boku królewskiego i hetmanów na czas spodziewanej wojny przeciw Turkom. W r. 1635 kreowano na sejmie nowe województwo czernihowskie. Kisiel, pan licznych na Ukrainie włości i miasteczek, z warunkami potrzeb miejscowych narodu ruskiego, jako spólplemiennik należycie obeznany, rościł sobie prawo do tego dostojeństwa przed innymi — nominacya atoli na ten raz zawiodła go, Marcin Kalinowski podkomorzy kamieniecki, a więc czysty koroniarz, został wojewodą. Kisiel zawrzał gniewem na niesprawiedliwe rozdawnictwo łask i urzędów, „lecz daremny był jego gniew, nikt nań uwagi nie zwracał“ [1].

W r. 1639, 1 grudnia mianowany kasztelanem czernihowskim, potem kasztelanem kijowskim r. 1646, nareszcie w lutym 1648 r. krótko przed powstaniem Chmielnickiego wojewodą czernihowskim. W r. 1649 umarł w marcu Janusz Tyszkiewicz w Okrzejach i zaraz po nim wziął Kisiel województwo kijowskie wjeżdżając — jak świadczy Jerlicz — na swoją stolicę 6 listopada r. 1649. Takim

[1] Albrychta X. Radziwiłła Pamiętniki. Wyd. Raczyńskiego. Poznań 1839.

szlakiem posuwał się Kisiel po szczeblach dostojeństw w kraju, jakie zaś usługi oddał ojczyźnie jako żołnierz i obywatel, świadczy napis na nagrobku w cerkwi w Nieskieniczach, odnaleziony dopiero w XIX. wieku. Po dedykacyjnym poważnym wierszu, którym wierna żona Anastazya z Nowosiółek Bohuszewiczówna uczciła pamięć męża, następuje dopisek: „Ten marmur kryje świetny skład rodu Świętoldów sławę i podporę państwa, Adama z Brusiłowa Kisiela, uprzednio kasztelana Czernihowskiego i Kijowskiego, później wojewodę Bracławskiego i Kijowskiego, męża w zawodzie wojennym, przezornością, wytrwałością i zwycięstwami za Zygmunta III. pod Chocimem przeciw Turkom, w Prusiech przeciw Szwedom, a za Władysława IV. przeciw Moskwie wsławionego, który jako poseł do państwa Moskiewskiego, przyjął od cesarza przysięgę na niezmienność zawartej ugody, Księstwo Siewierskie prawem niezmiennem do królestwa przyłączył, i jako rządzca, porządek w onem ze sławą utrzymywał; w kilku wyprawach zbuntowane Kozactwo do złożenia u stóp Jana Kazimierza pokornej uległości przymusił; gdy w tem mianowicie dziele z usilnością dla dobra publicznego pracował, śmierć przecięła ostatnią nić jego życia w Brzeskiej wyprawie r. 1653 w miesiącu maju 3 dnia“ [1].

Oto szkic publicznego żywotu Kisiela. Dostało się nam do rąk kilka dotąd niewydanych pism jego, dla ich zrozumienia rzucić musimy okiem na dzieje buntów kozackich, nad których poskromieniem napróżno pracował Kisiel.

W r. 1636 podnosi Kozaczyzna bunt w Perejasławiu. Kisiel wysłany od Rzpltej jako komisarz, ustanawia nad Kozakami starszyznę i odbiera od nich przysięgę wierności. Na wiosnę roku następnego nowy bunt. Kisiel spieszy znów do Kozaków; przywozi im żołd, którego atoli przyjąć, ani przysięgi składać nie chcą, rwąc się do pochodu na Zaporoże. Wojewoda kijowski pisze więc do senatorów, że sprawy na Ukrainie źle idą, bo „Kozacy jak zwierze bez głowy, *bellua sine capite*“... Równocześnie ze smutną nowiną

[1] Wiadomość historyczną o pomniku Kisiela podał Hipolit Woł.....wicz w „Tygodniku Petersburgskim“ r. 1843, według której śmierć Kisiela przypada na r. 1653, jak w Niesieckim — a co pisze Paweł Potocki sprzecznie z Niesieckim iż: *retudit praecipue in legationem ad Chmielnicium* 1654 et 1656 jest mylnem. Dowodzi tego i testament Kisiela, który podajemy na końcu.

podaje hetmanom polskim wskazówki i objaśnia okoliczności, wśród których kipiąca rokoszem Ukraina żyje. Zwraca uwagę Koniecpolskiego najprzód na miłość wojska do wiary i duchowieństwa. Kozacy — jak mówi — pod względem religijnym więcej podobni są do Tatarów, jak do chrześcijan, powtóre więcej na nich działa bojaźń, aniżeli względy i łaska, są to grabieżcy, których starszyznę potrzeba trzymać podarunkami, a motłoch sam — strachem. Nastawał więc Kisiel na metropolitę Kijowskiego, żeby wysłał deputacyę z duchownych złożoną do Kozaczyzny z upomnieniem, żeby rebelii zaniechała. Zdaniem jego wódz dzielny a majętny mógłby ugasić wszczynający się pożar pieniędzmi, zjednałby Polsce przyjaciół, buntowników mocą swej władzy karałby wykreśleniem z regestrów, i w ten sposób utworzyłoby się wśród Kozaków stronnictwo Polsce przychylne. Pozostawiając zaś starszyźnie kozackiej tytuł i stanowisko, podporządkować należało władzę ich władzy hetmana polskiego, którego Kisiel wskrzesić usiłował [1].

---

[1] Polityczna jednak rola Kisiela rozpoczyna się właściwie z r 1647, kiedy będąc już kasztelanem kijowskim przeznaczony od Władysława IV. na deputata posłował do Moskwy i z tego to czasu (27 września 1647) pochodzi list jego do księcia Kazimierza Sapiehy, podkanclerzego litew., w którym donosi „o czynnościach swoich w stolicy Moskiewskiej, gdzie przez 6 niedziel daremnie na przyjazd kolegi swego pisarza Wielk. Księst. Litew. oczekiwał i żąda, aby *relatio* tych jego spraw była w Grodnie lub w Wilnie objawioną królowi". Wszakże tej relacyi przy liście widoczny brak, i tylko następujący pozostał z niej ułamek: „Ja żem tu z Pól od morawskich szlaków szedł do stolice w kilkuset człowieka, jakom tu szedł obozując, tak znowu retiruie sie tymże szlakiem moim przez Moskwę ku Putiwlowi, nie chcąc się narazić tą gromadą na *invidia* którego z JMość. moich Miłość. Panów. Car moskiewski tak mi się łaskawie stawił, że y chorągwiami przyjął mię do Stolice y na pięćset człowieka tudzież na pięćset koni karmy dawano. A zgoła we wszystkiem jest grzeczny i Króla Jmci Pana naszego *observantissimus*. *Nobilitas* też wszystka *summam conjunctionem* życzą mieć sobie z nami. Jest kilka dumnych, którzy teraz porządzają, którzy mi psuli wszystko. Jednak krom samych zbiegów, a to za łaską Bożą wszystko *cessit ex voto* J. Król. Mości y Rzpltej [1]. Jak świadczy list Mikołaja Potockiego kasztelana krakowskiego do króla, który wraz z Kisielem poselstwo to odprawiał, relacya ta dotyczyła rozkładu wojsk moskiewskich koło Ozowa wraz z podaniem imion dowódzców poszczególnych korpusów armii. (Michałowski: Ksiega pamiętnicza).

[1] Rękopis Bibl. Jagiell. l. 3573. Treść listów Kisiela do Leona Kazimierza Sapiehy.

Wiemy, że nie paktowaniem ale krwawem zwycięstwem pod Kumejkami 1637 r. i ścięciem Pawluka uspokojono Ukrainę. Sejm 1638 ciesząc się zapędzeniem chłopstwa do jam, pozbawił Kozaków swobód i wolności — nad Ukrainą zapanowała długa dziesięcioletnia grobowa cisza, zapowiedź burzy, która niebawem zerwać się miała. Duszą tej nowej na wielkie rozmiary kozackiej rebelii był Bohdan Chmielnicki. W lutym 1648 roku zniósł on do szczętu wierny Rzpltj pułk korsuński rejestrowych Kozaków. Hetman Mikołaj Potocki pierwszy donosi o tym wypadku królowi Władysławowi IV., „że ten niebaczny człek Chmielnicki *non flectitur clementia*, że nie po jedenkroć posyłał do niego, aby zszedł z Zaporoża, obiecując mu miłosierdzie i przebaczenie postępków jego, ale nic go to nie narusza. Posłów moich do mnie z tem poselstwem wysłał, abym z wojskiem z Ukrainy ustąpił, abym pułkowniki od pułków oddalił, i abym ordynacyę Rzpltej zniósł. Sam zaś na Buckach i w Nizie horod sobie gotuje i fortyfikuje i z niego umyślił się mocno bronić“ [1]. Buta Chmielnickiego rosła stąd, że tajemnemi układy zapewnił sobie pomoc Tatarów.

Możniejsi za przykładem uciekających z Ukrainy magnatów rzucili swe włości i zamki, a pozostali błagali hetmana o zasłonę orężną ich mienia i rodziny. Hetmani koronni wydają groźne uniwersały wzywając, aby wszyscy zbiegi, z pod Chmielnickiego wrócili, gdyż nieposłuszni temu na żonach, dzieciach i majątkach pozostałych, za krnąbrność swą karę odniosą. Mieli hetmani około 12.000 bitnego, doświadczonego żołnierza pod komendą pułkowników wyszłych ze szkoły Żółkiewskiego lub Chodkiewicza. Ale też i Chmielnicki rósł z dniem każdym napływem ludu i wyczekiwał na tatarskie posiłki z Krymu od Chana Islam-Geraja, który uwiedziony Chmielnickiego obietnicą — iż przyjmie wiarę proroka i zapewni koranowi panowanie u narodu swojego, — przyrzekł mu pomoc kilkunastu tysięcy Tatarów pod wodzą dzikiego Tohaj-beja.

Sprawa tych konszachtów Chmielnickiego z ordą, jakkolwiek w skrytości trzymana, rozgłosiła się wszelako przez zbiegów z obozu kozackiego i doszła do wiadomości kanclerza Ossolińskiego w Warszawie i króla Władysława IV. w Wilnie. Wojsko polskie zbli-

[1] J. Michałowski. Księga pamiętnicza.

żywszy się ku Ukrainie i nie znalazłszy buntowników, poczęło sarkać, że ich bez potrzeby od ognisk domowych ściągnięto. Rada wojenna z hetmanów złożona uchwaliła, iż z niewielkiem wojskiem zbyt głęboko w Ukrainę zapuszczać się nie można, niepodobna bowiem ufać chłopstwu spólnej z Kozakami wiary, wojsko przeto zatrzymać należy na miejscu bezpiecznem i czekać rozkazów króla i Rzpltej. Mikołaj Potocki nie oceniał dosyć następstw, jakie wywrzeć mogło znoszenie się potajemne Chmielnickiego z pogaństwem, łudził siebie i króla łatwością walki z kozaczyzną, za wojną był lecz ją sobie lekceważył, gdyż jak sam pisze do króla „dlatego się jedynie wybrał na Ukrainę, aby niedobywszy broni, strachem samym wojnę skończył". Zbyt w różowych kolorach przedstawiał królowi sprawę buntu jako łatwą do pokonania, kiedy Ostroróg znosząc się listownie z Ossolińskim wyprawę wojsk koronnych na Zaporoże wręcz odradzał. Byli i tacy co sądzili, że łagodnemi środkami i roztropnością raczej, niż siłą i przemocą z nieprzyjacielem działać należy, a między nimi stary Lubomirski wojewoda krakowski mąż w wojnie i pokoju sławny, największej wziętości w Polsce.

Najgłówniejszym jednak przedstawicielem myśli ugodowej z kozakami, był Adam Kisiel. Magnat ze starożytnej krwi ruskiej, mąż z rozumu i wymowy do wysokich urzędów między Polakami wyniesiony, równie gorliwy Rusin w obronie greckiej religii, jak wierny i przywiązany senator do korony polskiej, poświęcił życie całe staraniom, aby Ruś z Polską tak w dziejach życia narodowego, jak i w kościele ogniwem porozumienia połączyć. Na owe lekceważące postępowanie Potockiego pragnącego z Chmielnickim wojny patrzył Kisiel z trwogą i obawą, uważał ten zapał „za niebezpieczną porywczość", i kiedy hetman koronny wydał uniwersały wzywające do powrotu z Zaporoża, a sam z wojskiem, mimo zakazu króla, który osobną komisyę do Chmielnickiego wysłał, trwożny o swoje substancye na Ukrainę wyruszył, — Kisiel pisze list do króla pełen poważnych myśli, ostrzegając go przed zgubnemi tej porywczości hetmana skutkami. Wpływ jego na króla Władysława IV. i zalecane mu środki ostrożności w prowadzeniu wojny domowej z kozakami, nie pozostały bez skutku. Król pod wrażeniem listu Kisiela polecił hetmanowi umiarkowańsze postępowanie z Chmielnickim. Lecz hetman pozornie zwalając winę na niedoszły go uniwersał królewski,

nie podzielał zdania króla, tem mniej Kisiela — i donosi Rzpltej, iż pogromienie Chmielnickiego po świętach jest rzeczą już zdecydowaną w obozie. Kisiel nie wiedząc o tem samowolnem działaniu i decyzyi hetmana, równocześnie sprawę wojny z Chmielnickim, jako nieszczęście najspieszniejszego odwrócenia wymagające, troskliwej rozwadze króla gorąco polecał. Król Władysław IV. okazał w obec różnorodnych pomysłów swoich doradzców niezwykłą stanowczość i wydał rozkaz, aby wyprawę na Zaporoże wstrzymano. Ale czemże takie rozkazy były hetmanowi Potockiemu. „Króla nie znasz, o rady nie dbasz, sam sobie sejmujesz“, śpiewano o nim na Ukrainie. „Tak bezwzględne nieposłuszeństwo królowi, tak krwawa żądza wytępienia reszty niewytępionych jeszcze przezeń kozaków wiodły pana krakowskiego w zaślepieniu na drogę jakiegoś samowolnego pokarania“ [1]. Tymczasem, aby nie próżnować uradził M. Potocki ze starszyzną wojskową, iż należy mocny oddział wojska posłać w głąb Zaporoża z rozkazem póty nie wracania, póki nieprzyjaciela nie wynajdą i brańców nie uchwycą, aby ich posłać Władysławowi IV., jako żywy dowód żyjącego na Ukrainie nieprzyjaciela. Z najlepszego przeto wojska wybrał hetman na ten podjazd 6—7 tysięczny oddział poruczając dowództwo nad nim synowi Stefanowi, staroście niżyńskiemu dodając mu do rady komisarzów: Jacka Szemberga, Jana Sapiehę starostę owruckiego, Zaćwilichowskiego rotmistrza, Krzysztofa Grodzickiego pułkownika, Brzuchańskiego i już na onczas sławnego z męstwa i odwagi Stefana Czarnieckiego.

Chmielnicki uwiadomiony o decyzyi zapadłej hetmana i o wyprawie wojsk od kozaków tajemnie zbiegających z obozu, posłał do Tatarów, sam zaś wyszedłszy z Siczy rozłożył obóz w sile 9.000 ludzi przy miejscu z jednej strony niedostępnem, z drugiej bagnistem Żółte Wody zwanem, na wschód od Kudaku. Miejsce to było odległe o 16 mil od głównego obozu, w którym ojciec hetman z niepokojem oczekiwał wieści. Ocalały kozak rejestrowiec przyniósł straszną wieść o klęsce Stefana i porażce wojsk pod Żółtemi Wodami d. 15 kwietnia. Równocześnie z tą klęską nadszedł do obozu list Krzysztofa Grodzickiego dowódzcy twierdzy Kudaku, donoszący o niebezpieczeństwie załogi zamku kudackiego niedostatecznie

[1] Szajnocha. Dwa lata dziejów. 1646—1648. T. II.

opatrzonego. Król odebrawszy srogą wiadomość na Litwie, wysłał zaufanego sekretarza, kanonika Fantoniego do kanclerza Ossolińskiego, aby naradziwszy się z nim posłał rozkaz w imieniu króla hetmanom, iżby wstrzymali pochód wojska i z Ukrainy się cofnęli. Wysłani przez kanclerza gońcy przyszli zapóźno, hetmani bowiem już się byli wdali w nowe nieszczęśliwe bitwy z buntownikami, sekretarz Fontani powrócił do Władysława IV., ale zastał króla w Mereczu już chorującego, który z radością wysłuchał rad Ossolińskiego raportowanych przez kanonika w nadziei, że rozkazy kanclerza pomyślny odniosą skutek. Tych złudnych nadziei i rzeczywistych klęsk, jakie czekały hetmanów w nieskończenie przykrej z Chmielnickim walce, król już nie dożył, dnia 20 maja w drodze do Korony umarł w Mereczu w 52 r. życia, zbyt wcześnie na nieszczęście kraju, kiedy najwięcej bytności jego, powagi i oręża Polska potrzebowała.

Kisiel bawił podówczas w Huszczy majętności swej na Ukrainie, i pisze list z d. 27 maja do króla, nie wiedząc jeszcze o jego śmierci. Wyraża się w nim z pewnym żalem do króla „iż nie przyszłoby było nigdy do takiej sromoty, gdyby wielu nas starych sług (miał tu na myśli siebie i Lubomirskiego, wojewodę krak.) — zdanie u Wasz. Król. Mości miejsce miało, które takie było, nie szukać po spławach zaporoskich jednego kozaka, nie wyprawować drugich kozaków na Dniepr, ale ich przy wojsku koronnem zatrzymać, przyłaskawiwszy jakkolwiek i nie rozrywać tak szczupłego wojska wysłaniem w pola. Alboby był ten Chmielnicki straciwszy nadzieję o pomnożeniu swej woli i sam uderzył czołem, albo nie mając posiłku, jeśliby ligował się z Ordą, co teraz czyni, łatwiej go było wszystkim kozakom podać w ohydę, jako z pogaństwem zjednoczonego, i mając w kupie wojsko kwarciane, wojsko zaporoskie i wszystkich miłośników ojczyzny posiłki, łatwaby przy łasce Bożej rezystencya była". Tych rad wojewody i wyrzutów czynionych król niestety już nie słyszał. Kisiel w osobie króla stracił najwierniejszego sojusznika swej ugodowej z Chmielnickim myśli; dziś ta wstrętna sprawa mordów i pożogi na Ukrainie zajmowała go więcej, jak kiedykolwiek, lecz z kim się łączyć? Król nie żył, Lubomirskiego głos ze śmiercią króla stracił na powadze, Ossolińskiego wpływy miały znaczenie, lecz nie w obecnej dobie, hetmani Mikołaj Potocki i Marcin Kalinowski byli teraz panami chwili

i własnowolnego działania. Kisiel rozpoczyna więc sprawę swej polityki ugodowej z Chmielnickim za wiedzą prymasa Łubieńskiego, i znosi się listownie z hetmanem Potockim, który — jak pisze Jerlicz w swej kronice — z powodu pijaństwa ustawicznego i wielkiego wszeteczeństwa zatracił był wojsko, potracił synów koronnych, żołnierzy starych". Prosi go wraz z sędziwym Lubomirskim, aby dał pokój z kozakami i z chłopami nie zawadzał się i na Ukrainę z wojskiem przetrzebionem dalej nie szedł; a pisał to Kisiel w chwili kiedy orda tatarska zrabowawszy majętność jego Brusiłów z wielką zdobyczą ciągnęła w tryumfalnym pochodzie do Korosteszowa, Kotelni i Pawołoczy. Zaufany w swojem uzdolnieniu jednawczem pisze Kisiel z polecenia prymasa Łubieńskiego (nie, jak twierdzi Szajnocha, nie oglądając się wcale na przyzwolenie [1]) list do Chmielnickiego pod d. 6 czerwca, wyprawiając z nim starca z monasteru swej majętności Huszczy, ojca Petroniego Łaskę, w nadziei, iż ze zdrajcą Chmielnickim — jak go autor listu nazywał — prędzej dojść może do celu na drodze pacyfikacyjnej i umiarkowanemi środkami, gdyż „jakom synem cerkwi Bożej i jako dom mój ze krwie narodu ruskiego, starożytnej idzie, że sam będę pomocny do wszystkiego dobrego Wasz Mości, gdy się ze mną bezpiecznie i poufale znosić będziecie Wiecie bardzo dobrze, że na mnie w tej Rzpltej cokolwiek należy, i bezemnie ani wojna uchwalona być nie może, ani pokój stanowiony; a ja pierwszy wnętrznej wojny nie życzę, ale opłakawszy co się stało chcę radzić ojczyźnie mojej i wieść ją do pokoju" [2]. W końcu przyrzeka wojewoda Chmielnickiemu nieobojętną pomoc w Rzpltej w dopięciu słusznych Kozaków żądań, przedewszystkiem w osiągnięciu łaski i przebaczenia.

Chmielnicki zawiadomiony listem Kisiela o śmierci Władysława IV. prosi go, aby z łaski swej nawiedzić go raczył „abyśmy

---

[1] Dyaryusz sejmu konwokacyjnego z r. 1648 zawiera akt rozpoczynający się słowami: „Jako od początku sedyciey y buntów kozackich, do uśmierzenia ich użył JMXiądz Arcybiskup Łubieński Jaś. Wielm. IMCPana Adama z Brusiłowa Kisiela, tak" i t. d. Szajnocha zaś twierdzi, że Kisiel pisał list swój z 6 czerwca bez wiedzy prymasa.

[2] List Kisiela do Chmielnickiego z d. 6 czerwca 1648. Obacz Szajnochy „Dwa lata". W Michałowskiego pamiętniku data listu tego 12 czerwca jest mylną

mogli wiedzieć, kogo Rzplta za króla mieć chce, jeśli zaś nie można abyś nas Wasz Mość sam nawiedził, tedy upraszam przynajmniej o listowną poradę“ [1]. Lecz do kogo po ową radę iść?

Potocki na list Kisiela wzywający go do umiarkowania i zaniechania dalszego rozlewu krwi nie odpowiedział wcale, czując się za nadejściem wojsk koronnych pod dowództwem Jeremiego Wisznio wieckiego na Ukrainę niejako na hetmaństwie swem nanowo instalowanym i do dalszej walki z Kozakami zachęconym. Kisiel zwraca się więc do wice-króla Łubieńskiego (d. 16 czerwca) podając mu treść rezolucyi przez ojca Łaskę otrzymanej od Chmielnickiego, jako ten pohopnym się okazał na pismo jego i wielką dla sprawy polskiej, ze względu na wojewody znaczenie i wpływ w kraju, okazał konfidencyę, iż Ordę w polach koczującą zatrzymał, aby nie pustoszyła kraju i że słuchać rady jego i jemu dufać pragnie i w tym celu posłów wyprawia i czekać na dalszą rezolucyę pragnie.

Równocześnie próbował szczęścia u księcia Jeremiego, przesyłając mu kopię listów Chmielnickiego, prymasa i kanclerza do siebie pisanych. Na to pismo z Huszczy wysłane odpowiedział książe z obozu pod Horoczkami 21 czerwca, zapraszając na sejmik przedelekcyjny w Łucku, a już nazajutrz odpowiada Kisiel listem, który jako zdaniem naszem nie ogłoszony drukiem, podajemy w całości.

„Jaśnie Wielmożny, Jaśnie Oświecony Mości Xiąże Panie Wojewoda, wielce mój miłościwy Panie i Bracie.

„Oddał mi list od Waszej Książęcej Miłości, mego miłościwego Pana, rodzony mój Jego Miłość pan Chorąży, pełen braterskiego affektu, łaski i prac moich dla Rzeczypospolitej [2] miłościwej i wysokiej uwagi; lubo tedy i sam chcę pośpieszyć, (niefolgując skaleczonemu zdrowiu memu) na ten sejmik, i uszanować uściśnieniem mojem [3] W. Ks. M. M. M. Pana, przesyłam [4] to moje pisanie i mój niski pokłon z tem życzeniem [5] abym W. Ks. M. M. M. Pana zdrowo [6] witał, da Pan Bóg w rychle.

---

[1] List Chmielnickiego do Kisiela i ceduła do listu. Michałowski „Pamiętnik“ p. 49.

[2] Pro republica.

[3] Venerari amplexu meo

[4] Praemitto.

[5] Cum hoc voto.

[6] Incolumem.

„Ojczyzna nasza znękana [1] i my w niej jakie mamy niebezpieczeństwa [2] i jakie ostateczności [3], już to przenika i przeniknie [4] mądrość [5] W. Ks. M. M. M. Pana. Nie był czas ani rady, ani zgromadzenia się, ani przygotowania obrony [6], gdyby nieprzyjaciel jako wszedł we wnętrzności kraju [7] tak był korzystał z krwawego szczęścia wojny [8]. Zniósłszy się tedy z Dyrektorem osierociałej ojczyzny i senatem przy nim będącym i pokazawszy zgubę [9] naglą ojczyzny, jeśli nie ugasi się domowa wojna [10] nietylko za aprobacyą rady mojej [11], ale za wyraźną prośbą imieniem [12] wszystkiej rzeczypospolitej ująłem jakiemi można było sposobami [13] tę krwawą tęczę, przywiodłem do tego, że Ordę ten buntownik [14] wyprowadził w pola i sam zaległ po miastach ukrainnych, a posły swoje wyprawił do Rzeczypospolitej, sumnienie, zdrowie i fortuny moje (czem wszystkiem assekurowałem) biorąc w zakład sobie. Oparły (się) przy tem i w stolicy posłańce moje, i w wojskach moskiewskich na granicy będących, przez których zatrzymałem i zatrzymywam braterski nasz związek z tym narodem, a broniłem i bronię z wewnętrznym i zewnętrznym sprzysiężonym wrogiem [15] na upadek ojczyzny naszej konspiraciej. Teraz gdy odeszły szpary [16] trochę, gdy ja też, (w) nieustannym ruchu [17] w tych usługach ojczyzny, wyglądam wdzięczności, straciwszy zdrowie, straciwszy fortuny, choć-

---

[1] Afflicta.
[2] Pericula.
[3] Extrema.
[4] Penetrat et penetrabit.
[5] Prudentia.
[6] Formandi praesidii.
[7] In viscera.
[8] Prosequował cruentam fortunam belli.
[9] Perniciem.
[10] Non extinguetur intestinum bellum.
[11] Consilii mei.
[12] Nomine.
[13] Quibus potui rationibus.
[14] Rebellis.
[15] Cum interno et externo hoste coniurato.
[16] Zimno najmocniej daje się czuć w palcach za paznokciami, mówi się mróz zaszedł za szpary, a więc: gdy odeszły szpary, znaczy: gdyśmy ochłonęli z przestrachu.
[17] Perpetuum mobile.

bym milczał [1], co się dzieje, Wasza Książęca Mość mój miłościwy Pan i Brat, i wiedzieć i słyszeć raczysz. Ja to uspokoiłem, kto inny sławę odniósł [2], jedni moje dzieło i cnotę przywłaszczają sobie [3], drudzy pożyteczne [4] ojczyźnie i zbawienne [5] moje starania, troskliwość, usiłowania [6] i konfidencyą na złą stronę [7] obracają i hydzą przed ojczyzną. Nie zostawam przeto zniechęcony [8] ojczyźnie mojej, bo ta niewinna [9], ale jednak ledwie żyw zostawam gdy mi tak płacą się moje cnoty. Zaprawdę gdyby ta niegodziwość [10] i ubliżenie [11] paść [12] miało na insze subjektum, nie tak ojczyźnie poświęcone [13], a takiej sposobności, prędkoby to co wróżą niechętni [14] skutkiem otrzymali. Ale ja, lubo odpadłem od wszystkich fortun moich, (bo za Dnieprem sto tysięcy intraty już przeciął [15] nieprzyjaciel, w kijowskim kraju co miałem, splądrowali Tatarowie i Kozacy, Huszczą i Gnojnem nietylko nie mogę utrzymać dostojeństwa [16], ale zaciągnąwszy trzykroć sto tysięcy długu w usługach [17] ojczyzny, exolutiej wydołać nie mogę), wolę w ojczyźnie mojej zostać Ruiną, niźli z jej ruiną szukać wyższej, strzeż Boże! fortuny. To jednak uczynię co wskazuje ten rodzaj niewdzięczności [18]. Ustąpię, udam się na spoczynek, wyjdą na widok [19] ci, którzy albo sobie moją pracę przypisują, albo krzywdzącemi domysłami [20] okrywają, a jako

---

[1] Me tacente.
[2] Haec ego composui tulit alter honorem. (Znana Wirgiliuszowa alluzya)
[3] Vendicant sibi.
[4] Proficuam.
[5] Salutarem.
[6] Curam, Sollicitudinem, Conatus.
[7] In malam partem.
[8] Male animatus.
[9] Innocens.
[10] Malitia.
[11] Detractio.
[12] Cadere.
[13] Devotum.
[14] Malevoli.
[15] Praeclusit.
[16] Tueri dignitatem.
[17] In obsequiis.
[18] Ratio ingratitudinis.
[19] Sistam et quiescam, prodibunt in medium.
[20] Sinistra opinione.

poprawią i skończą to, skutek rzeczywiście okaże [1]. Wojska nasze i szyki — na papierze, (chociaż wbrew zwyczajowi wszystkich narodów [2], w miasto jednego wodza [3], trzy mamy regimentarze), a nieprzyjaciele, Ordy kilkadziesiąt tysięcy, Kozaków druga kilkadziesiąt tysięcy na koniach siedzą i słuchają tylko jako się im nada te do których ich przywiodłem, zawieszenie broni [4] i posłów wyprawa. Więc cudowna jakaś konstellacya! Co żywo, w świat biegło, a teraz co żywo rwać się do oręża pożyteczniejszem być [5] rozumi, niźli wewnętrzną ugasić wojnę [6]. A tego nikt nie chce pomyślić: gdy tu szczupła garstka szlachty, z niezliczoną wiejską ludnością [7], pogańskiemi siłami jeszcze podsyconą, zabijać się będzie, co trzeci, dobry do rozwadzenia, który tak wszystkie posiada państwa, czynić będzie? Ani tego ta szalona rada [8] uważa, że ten nieprzyjaciel kiedy my się najbardziej wysilimy, do Ordy i na Zaporoże ustąpić [9] może, a skoro pierwszej ochoty zwiną się chorągwie, toż mnóstwo nieprzyjacielskiego wojska [10], nas zawsze najechać [11] może. Niechce i tego baczyć nierozumna furia, że co chłop to kozak, a co kozak to chłop, i albo niepodobna rzecz, jednę głowę szlachecką na tysiąc gminnych [12] stawiąc, wystarczyć tej imprezie, (wziąwszy już miarę, że lud [13] wszystek leci [14] i wniść w tę wojnę gotów), albo choćbyśmy mogli zwyciężyć i wysiec wszystkie pospólstwo [15], stracimy substancje nasze, stracimy wszystkę śpiżarnią i wszystką potęgę [16] Rzeczypospolitej, a na koczowiska pogaństwu zgotujemy

---

[1] Exitus acta probabit.
[2] Supra omnium gentium normam.
[3] Ducis belli.
[4] Suspensio hostilitatis.
[5] Classicum canere sacius.
[6] Intestinum extinguere bellum.
[7] Exigua nobilitas, cum numerosa rustica gente.
[8] Praeceps consilium.
[9] Recedere.
[10] Numerosus exercitus.
[11] Aggredi.
[12] Plebis.
[13] Plebs.
[14] Ruit.
[15] Plebem.
[16] Robur.

pustynią [1] i tak czy zwycięzcy, czy zwyciężeni zgubimy ojczyznę. Jeżeli tylu królestw trupy [2], które wewnętrzną wojną upadły [3] nie tkwią w oczach naszych, czem teraz gore [4] świat wszystek chrześcijański, co się Panom od chłopów dzieje i jako raz dopuszczona wojna wewnętrzna [5] ciągnie się do wzajemnego wytępienia [6], ani się może nieustającem krwi wylewem [7] zgasić, owszem się szerzy bardziej — mógłby każdy uważyć!

„Co się dotycze elekciej nowego Pana, ani s katolikami, ani z Rusią, ani z różnowiercami, Bóg mi świadkiem [8], praktykuję, lubo wielu zabiegających [9] słyszę. Kogo Pan Bóg palcem prawice swej ukaże, ten niech będzie! byle taki, któryby w teraźniejszym Ojczyzny razie mógł ją dźwignąć. Marsa nastąpiła kolej, Marsowego potrzeba na Pana wychowanka [10]. Druga [11], żeby nam ani *Hanius* ani *Janusz* Pana dawał, boby musiał tamże być *Iwan*. Lecz ja już niechcę być utyskującym ani bezbożnością względem Ojczyzny [12], jeśli jej drudzy nie zechcą szczędzić, ani głosić słowami [13] niedoli, która mię w tej piastuje ojczyźnie. Albo Bóg nas wesprze, albo przypadek drogę otworzy [14]! Obszerniej, da Pan Bóg, na sejmiku z Waszą Książęcą Miłością moim miłościwym Panem i Bratem, a teraz zalecam się łasce W. Ks. M. M. M.

„w Hoszczy d. 22 czerwca R. 1648.

„Waszej Książęcej Miłości M. MPana
uprzejmy brat i powolny sługa
Kisiel wojewoda bracławski“ [15].

---

[1] Vastitatem.
[2] Tot regnorum cadavera.
[3] Intestino bello occiderunt.
[4] Ardet.
[5] Semel admissum intestinum bellum.
[6] Ad internecionem.
[7] Continuo sanguinis imbre.
[8] Cum dissidentibus, Deus mihi testis.
[9] Practicantes
[10] Martis vicissitudo, Martis alumnum.
[11] Alterum est.
[12] Prolixior, neque impietate erga patriam.
[13] Neque celebrare verbis.
[14] Vel Deus meliora nobis, vel fata agunt viam.
[15] Kopią listu tego, o ile mię czynione poszukiwania nie zawiodły, dotąd niedrukowanego, miałem ze zbioru Kirkora.

Niebawem narysowały się coraz wyraźniej dwa przeciwne sobie stronnictwa, dwie polityki w obec sprawy kozackiej. Najbliżsi powodzi kozackiej, nie życzący sobie w roku 1646 wojny z Turkami, zapragnęli teraz, aby Rzplta stawiła na kartę honor oręża i ofiarność kraju celem zniszczenia Kozactwa. Aleksander Koniecpolski, Tyszkiewicz wojewoda, a na ich czele głowa tego związku Jeremi Wiśniowiecki stanowili *triumvirat* wojenny. Oddaleńsi mniej zagrożeni, zapatrujący się na stan rzeczy bez namiętności, spoglądali na rzeź kozacką, jako na zwykły bunt dający się zażegnać dyplomatyczną siłą traktujących o pokój wysłanników i komisarzy królewskich. Tak myślał Stanisław Lubomirski, Mikołaj Ostroróg i kanclerz Jerzy Ossoliński. Przednią czatą tego obozu ku cerkwi ruskiej i Kozakom wysuniętą, był Adam Kisiel, znany, jak mówi Szujski, orędownik schyzmy i Kozactwa [1]. Bawił on w Huszczy na pozór bezczynnie, lecz pośrednio brał udział w walkach, dostarczał bowiem materyału i rynsztunków wojennych wojskom Jeremiego. Akt inkwizycyi jeńców kozackich dopełniony przez sąd kapturowy halicki z d. 29 lipca podaje zeznanie pojmanego Jaremy Koncewicza, „który opowiedział dobrowolnie, że pan Kisiel za Dnieprem dał 50 hakownic i prochu dostatek do miasta Browarów księcia Jmci Pana Jeremiego, i dwoje działa. Ludzi jego wyszło pięć na szpiegi, Chmielnicki o wszystkiem wie, mieszka ten Kisiel za Dnieprem“ [2]. Relacyę tę uzupełnia list Kisiela do Kazimierza Sapiehy z lipca, pisany z Łucka, w którym wojewoda donosząc o ukończonym tylko co sejmiku mówi, „że ma powierzony sobie pułk województwa wołyńskiego, w którym są Tomasz i Krzysztof Sapiehowie, że swojem staraniem ujął Kozaków i Tatarów, i że znowu posyła do Chmielnickiego żądając dłuższego zawieszenia broni, a sam chce choć na trzy dni zjechać do Warszawy *ad communicanda ulteriora consilia* [3]. Jerlicz w swej kronice wspomina, iż na tym sejmiku pan wojewoda dał koronie ze swej szkatuły kilkanaście tysięcy sposobem długu pożyczonego [4].

---

[1] Szujski. Dzieje T. III.
[2] Pamiatniki — Kiew 1845 T. I.
[3] Rękopis Bibl. Jagiell. l. 3573.
[4] Jerlicz. Kronika.

Działalność powyższej treści nazwano konszachtami z Chmielnickim podejrzanej natury, nie licującej z ogólnem Rzpltej dobrem. Kiedy na sejmie konwokacyjnym począł śmiało ucisk Kozaków wystawiać i błędne postępowanie hetmanów piętnować, nie wahano się cisnąć mu w oczy obelgę, iż za talary kupili go sobie Kozacy, i że wespół z Ordą na tronie polskim osadzić go pragną. „Lecz dla Boga — pisze Kisiel do wojewody podolskiego — długoż to będzie diffidencya między nami. Jednako ojczyznę miłuję, jednako mię nieprzyjaciel *petit*, jednako wszystką substancyą moją zniósł, przecie *reprobus* nie ustawa *rerum sensus*. Proszę W. Mościów Panów niech mi się to nie dzieje, bo porzucę wszystko [1]. Te *invidiae sortis*, w każdym niemal liście Kisiela powtarzające się z wyrazem pewnej goryczy w formie skargi, kiedy „tracił zdrowie i substancyą ojczyźnie służąc“ i owe pojedyńcze, statecznej siły wyrazy rehabilitacyi osobistej, każą się domyślać pewnej naoślep idącej niezgodności opinii o mężu bądź co bądź wybitnym w Koronie i na polu walki.

List Kisiela z czerwca do Chmielnickiego, w którym mu nie tylko przebaczenie, ale i nowe przywileje obiecywał z zapewnieniem, iż „wszędzie niewola, jedna tylko Polska wolnościami słynie“ — miał ten skutek, iż Chmielnicki 20.000 Kozaków zwołał na naradę, gdzie „po długich furyach“ zgodzono się na układy z Koroną. Posłowie kozaccy, sami chłopi, stanęli d. 7 lipca w Warszawie u ciała ś. p. króla Władysława IV. z punktami instrukcyi i pretensyami Chmielnickiego, i tegoż dnia na audyencyi u prymasa Łubieńskiego wręczyli mu uwierzytelniające listy i *gravamina*. W dwa dni później odbyła się prywatna narada senatorów u prymasa, na której odprawę posłów do sejmu konwokacyjnego odroczono. Rozpoczął się sejm dopiero 16 lipca we czwartek, w szczupłej liczbie niespełna 30 senatorów i ledwie w połowie posłów izby rycerskiej. Po wyborze marszałka, generała wielkopolskiego Bogusława Leszczyńskiego, zgłosił się pierwszy Kisiel do słowa, prosząc aby przystąpiono co prędzej do obmyślenia wschodnim województwom obrony, i aby ku temu przedewszystkiem przychyliły się stany — lecz mu nie pozwolono mówić *ne in quo derogaretur aliquid solennitatibus* [2]. Przemawiali więc

[1] List Kisiela do wojewody podolskiego i JMościów komisarzy — Szajnocha. „Dwa lata“ — „Źródła“.

[2] J. Michałowski, Księga pamiętnicza.

marszałek starej laski Sarbiewski, po nim nowo obrany Leszczyński, naznaczono posłów do nieobecnych senatorów dając znać, iż marszałek zgodnie obrany, przemawiał jeszcze Fredro i posiedzenie zamknięto. Nazajutrz dopiero zdał Kisiel relacyę z legacyi swojej r. 1647 do Moskwy, i co teraz sprawił, i co się świeżo z Chmielnickim o pokoju traktowało, eksplikował początek i przyczyny ciężkiej z Kozakami wojny, wyjaśniał ich ukrzywdzenie i ciężary, skarżył się na nieopatrzność i porywczość hetmanów, którzy nie bacząc, iż narażają przez to ojczyznę na wojnę z *Septentrionami*, tak daleko z małą garstką ludzi i to rozdwojoną, puścili się „na rozdrażnienie swoje". Sprawa z Chmielnickim przypomniała listy i Kozaków przybyłych w poselstwie, wyczekujących responsu. Tu p. Kisiel *in vim justificationis* powiedział, iż to już słyszał od Jmci Pana Krakowskiego, jakoby listy takowe miały być od śp. króla dawno dane, podczas jeszcze tureckiej wojny zamysłów, które Chmielnicki zmyślił i udał przed Kozakami za nowe, aby tych tem prędzej *in suas partes* do rebelii pociągnął. Despekt za kozacką przebiegłość spotkał Chmielnickiego i to publicznie w obec senatu polskiego z ust Kisiela, który od pierwszych początków swego zawodu politycznego zostawał pod kontrolą — jak sam mawiał — niczem nie umotywowanej *invidiae sortis*.

Na prośbę senatorów dał obszerną informacyę o wojnie kozackiej. Wspomniał dalej, że u Chmielnickiego moskiewscy byli posłowie, w jakiej sprawie nie wiadomo, ale to pewna, że Moskale przeciwko Tatarom z Polakami gotowali się łączyć[1]. Po przemówieniu Kisiela, podał prymas pod głosowanie odprawę posłów kozackich. „Rozumiem *expedire reipublicae* — rzekł — aby teraz ten występek im przebaczyć i przeciwko samym Tatarom wziąwszy się *conjuctis viribus* Ukrainę uspokoić i w tych prośbach kozackich komisarzów naznaczyć", a zwracając się do osoby Kisiela dodał: „A że to na moją prośbę zjednać raczył JMCPan wojewoda bracławski, aby *rempublicam* we wszystkiem *informet*, na JWMci się referuję, to przydając, że wiecznej pamiątki od wszystkiej Rzpltej godzien jest wdzięczności i podziękowania JMCPan wojewoda bracławski. Przy łasce tej straszną chmurę *in perniciem patriae con-*

[1] Jak. Michałowski. Księga pamiętnicza.

flatam staraniem swojem rozerwał, *et tanta clade pene oppressae rei publicae* teraźniejsze *respirium singulari prudentia et felicitate* sprawił“ [1]. Według Szajnochy pochwałę Kisiela przyjęło zgromadzenie oziębłe, a książe Albrecht Radziwiłł w swym pamiętniku pod d. 17 lipca notuje: „Prymas imieniem senatu podziękował wojewodzie, ale nie posłowie“. Jednakże dyaryusz sejmu konwokacyjnego dodaje, że po mowie prymasa wystąpił Kazanowski, marszałek W. K. d. 20 lipca z pochwałami dla Kisiela. „Jakoż ja — rzekł — z miejsca mego JMCPanu wojewodzie bracławskiemu, który ten pierwszy impet *prudentia, autoritate et confidentia sua* u Kozaków otrzymał i *servavit in hac orbitate patriam* wielce w imieniu wszystkich dziękuję [2]. W relacyi zaś z 7-go posiedzenia d. 23 lipca zanotowano: Najprzód o tem mówiono, aby JMCPanu wojewodzie bracławskiemu podziękować za to, że on w zatrzymaniu furiey i wiktoryej kozackiej wiele pracował i on je, do pokoju ich ciągnąc, zachował. Jedni chcieli, aby mu *publice* dziękować, a drudzy, aby każdy z swego miejsca i *interesse suo privatim.* Dano tej materyi pokój nie konkludując nic [3].

Tymczasem na jedenastem z rzędu posiedzeniu d. 29 lipca przyszedł świeży list od Jeremiego Wiśniowieckiego donoszący o wielkich trwogach, iż Chmielnicki łącznie z Tatarami w 100.000 ciągnie gwałtem *in viscera reipublicae,* że ludu wiele utracono, miast wiele wysiekli, popalili, że nie mogąc dalej wstrzymać impetu, postępuje pod Konstantynów. Połonne oblężone, Czartoryą, Czehryn wysieczono. Jerlicz w kronice pod d. 27 lipca notuje: sam się zbójca ku Chmielnikowi za księciem Jeremim Wiśniowieckim udał, o którego mu bardzo szło. Fatalna nominacya trzech regimentarzy: „Pierzyny, Dzieciny i Łaciny“ z przydaniem im 32 komisarzów, do których i Kisiel należał, miała być pierwszym skutecznym środkiem zażegnania burzy. Niedołężny wybór tylu dowódzców, ułożenie instrukcyi dla wyczekujących posłów Chmielnickiego, wygotowanie memoryału dla komisyi poselskiej pod przewodnictwem Kisiela, która się do Tatarów wyprawić miała, stanowiły naglący przedmiot

[1] Tamże.
[2] Tamże.
[3] Tamże.

dalszych obrad senatu. Ponieważ jeszcze 21 lipca zajęto się wypracowaniem odpowiedzi dla posłów kozackich jednocześnie w senacie i w kole rycerskiem, przeto zjawiły się dwa listy odmienne stylem i treścią, a stąd powstała bałamutna kwestya, czyli senat ma list pisać osobny do Kozaków, czy też z posłami razem? W senacie czytał Kisiel swój formularz listu ze wszechmiar oględny, izba poselska przysłała kopię listu Leszczyńskiego, według którego Kozacy spodziewać się mieli przebaczenia, jeśli czekać będą cierpliwie rezolucyi od Korony, Tatarów odeszlą, bunty uskromią, hersztów w ręce komisyi wydadzą. Podobał się ten koncept wielom, jakkolwiek miał wielu kontradycentów usiłujących utrzymać tekst listu kisielowego. Po dość burzliwej debacie formularz Kisiela odrzucono. Deputacya z 18 senatorów i członków izby poselskiej wybrana miała się zająć odprawą posłów kozackich i ułożeniem instrukcyi ściślejszej komisyi do spraw kozackich, a godzina 9-ta jutrzejsza na ekspedycyę poselstwa naznaczona.

Dziwnym zbiegiem okoliczności stało się, że Kisiel zakrzyczany przez kolegów w senacie i w izbie poselskiej, sponiewierany w korespondencyach księcia Zasławskiego, który go „lwem panowania głodnym“ nazywał, tydzień później zmuszony był przyjąć na się rolę zbawcy ojczyzny z rąk niechętnych sobie posłów i senatorów. Zmiany tej dokonał list księcia Jeremiego o wznowionym buncie i zwycięstwach Chmielnickiego. Sprawcy upokorzenia Kisiela, zapraszają go *personaliter* na posiedzenie d. 29 lipca i zwracają się chórem do swego marszałka z prośbą, aby wyraziwszy wojewodzie w imieniu koła akt czci za jego żmudną pracę i ofiarność, uprosił go na wybawcę dla zgnębionej ojczyzny, na orędownika dla interesów narodu. Wymawiał się wojewoda utratą zdrowia i fortuny swojej, uskarżał się na tych, którzy honorowi jego ujmę czynią, bo i listy jego do Chmielnickiego własnowolnie zabrano, i posłańca jego do Moskwy, jakoby był podejrzany długo przytrzymano. Wtenczas powstał kanclerz Ossoliński i wyliczywszy niezaprzeczone zasługi Kisiela, „gdy zaś teraz — dodał — w ostatniem ojczyznę być widzimy niebezpieczeństwie innego Rzplta sposobu nie ma, którymby mogła zajadłość pospólstwa pohamować, krom komisyi, a do niej nie widzę nikogo sposobniejszego nad wojewodę bracławskiego Kisiela, którego dzielnością w sześciu niedzielach ta burza

uśmierzona była, za którą pracę imieniem wszystkich dzięki mu oddaję. A potem go wychwaliwszy prosił, aby dla dobra ogólnego darował uszczypki i krzywdy swoje, ofiarując mu na asystencyą swoich domowych, choćby też przyszło samemu z jednym chodzić sługą", a na wspomożenie potrzeb deklarował Kisielowi ustąpić starostwa bogusławskiego, które mu nadał krótko przed śmiercią Władysław IV.[1]. Tą mową wszystkich do płaczu pobudził — piszą kroniki współczesne — osobliwie samego Kisiela, który również z płaczem dziękował kanclerzowi, biorąc na siebie ciężki obowiązek z niebezpieczeństwem życia i fortun swoich służyć Rzeczypospolitej. Na wniosek Kisiela przystąpiono natychmiast do wyboru komisarzów poselstwa i sporządzono akt w obecności rady senatu, tej treści: „Jako na początku sedyciey i buntów Kozackich do uśmierzenia ich użył Jmci Pan Książę Arcybiskup Jaś. Wiel. Jmci Pana wojewodę bracławskiego Adama z Brusiłowa Kisiela: Tak doznawszy *solitam* jego *dexteritatem* i przeciwko ojczyźnie *pietatem*, za zgodą wszech stanów na generalnej konwokacyi warszawskiej teraźniejszej, tegoż Jaś. Wiel. Pana zażyliśmy do skutecznego wojska zaporoskiego uspokojenia, spólnie z Jch Mość. W. P. Franciszkiem Dubrawskim podkomorzym przemyskim, Aleksandrem Sielskim podstolim poznańskim, Theodorem Obuchowiczem podkomorzym mozyrskim, którym według instrukcyi danej moc dawamy do gruntownego z wojskiem Rzpltej zaporoskiem uspokojenia y to cokolwiek podług teyże instrukciey postanowiono będzie na szczęśliwej da Bóg elekciey nowego Pana stwierdzono ma być"[2]. Ossoliński na pierwszem posiedzeniu złożonej już komisyi zaprosił Kisiela, aby przedłożył stan rzeczy i proponował punkta instrukcyi, jakieby za najstosowniejsze uznał. Kisiel sterroryzowany głosami posłów, był tym razem bardzo umiarkowany. Przedłożył tedy, że czworaka wojna na Rzpltą następuje, bo oprócz Kozaków i Tatarów obawiać się trzeba Moskwy i Turków; obierać zatem należy, z kim pokój zawrzeć. Poganom ani Moskwie wierzyć nie można, a i Kozaków także poskromić należy. Wybierając zatem między nieprzyjaciołmi, radził przebaczyć Kozakom, ale szczerze przebaczyć, „bo nie jednego — mówił — nieprzyjaciela mamy, ale Tatarów i Kozaków

[1] X. Alb. Radziwiłł. Pamiętniki.

[2] Acta interregni Vladislai IV. 1648. Cracoviae.

i poddanych; bo nieprzyjaciel ten znajduje się we wnętrznościach Rzpltej, a wojna toczy się w czasie najgorszym, w czasie bezkrólewia; bo siły Rzpltej rozrzucone i żołnierza prędko zabrać nie można; bo zwycięstwo nad poddanymi ani uczciwe ani korzystne; bo Rzeczpospolita, zniosłszy Kozaków, będzie miała mniejsze siły przeciw Tatarom; bo Kozacy proszą miłosierdzia; bo rozum każe puścić w niepamięć krzywdę, na którą się nie ma sposobów; bo ta publiczna zniewaga, jaką Rzplta poniosła, nie może być zmytą innym sposobem, tylko albo Kozacy wycięci być muszą, albo Tatarzy zaczepieni w Krymie, a gdy pierwszych nie można znieść bez ostatecznej zagłady Rusi, gdzie wszyscy chłopi zbuntowani, dlatego z dwojga złego mniejsze wybrać należy i rozpocząć wojnę z Tatarami, ugłaskawszy pierwej domowych nieprzyjaciół, gdyż sławniej z postronnymi nieprzyjaciółmi wojować, niż znosić własnych poddanych, którzy miłosierdzia proszą. Nareszcie cały świat przestrzega tej zasady, że należy uspokoić zatargi wewnętrzne, kiedy obcy wojnę gotują. Lepiej zatem zwrócić siły kozackie przeciwko Tatarom, i tym sposobem tym niebezpiecznym związkom z Kozakami raz na zawsze tamę położyć, gdyż ta rebelia jeśli uspokojoną nie zostanie, i innych dyssydentów do siebie pociągnąć może, o czem teraz nawet wspominać nie należy“ [1]. Na podstawie tych punktów Kisiela spisano instrukcyę, w której naznaczono termin trwania komisyi od 23 sierpnia do 6 września w Kijowie. Kozacy mieli więźniów i działa oddać, z Tatarami zerwać, hersztów buntu wydać, o Kudaku ani wspomnieć — pretensye swoje prywatne i krzywdy na ręce komisarzów złożyć, a żołdu wyczekiwać, gdy nową służbę Rzpltej zaprzysięgną [2].

Kisiel przyjąwszy na się obowiązek pośrednictwa z Chmielnickim, zabierał się zaraz nazajutrz w drogę. Izba poselska przyznała mu celem pokrycia kosztów podróży 10.000 złp., a kolegom jego każdemu 3.000 złp., odczytano przy drzwiach zamkniętych wypracowaną według Kisiela instrukcyę, przyjęto ją w całości dając tym sposobem zupełne wojewodzie pełnomocnictwo [3]. Zaciągi wojsk powierzono gorliwości sejmików, na których komisarze: siedmiu

---

[1] *Rationes veniam dandam esse Cosacis rebellibus.* Rękopis Akad. Umiej. Nr. 442. Obacz: Dr. Kubala: Jerzy Ossoliński. T. II. p. 189.

[2] Szajnocha. Dwa lata dziejów. — Dopiski T. II.

[3] Dr. Kubala. Jerzy Ossoliński T. II.

z senatu, dwudziestu z izby poselskiej i czterech fachowo-wykształconej szlachty, ugłaskani nominacyą, do wspólnego działania mieli liczne wymódz posiłki. Oto wszystko co zdziałano na sejmie Rzeczypospolitej.

Tymczasem komisarze pod wodzą Kisiela przeprawiali się do Chmielnickiego, który fałszywie od Krzywonosa poinformowany, że ich posłowie w Warszawie byli potraceni ciągnął z wojskiem do Konstantynowa, ale tam właśnie spotkał posłów swoich w zdrowiu powracających i o traktacie, pokoju i przybyciu poselstwa od Rzpltej od nich się dowiedział. Stała pod Konstantynowem garstka wojsk koronnych z księciem Dom. Zasławskim, gdzie i Wiśniowiecki podjazdową prowadził wojnę, nowe zaciągi wojsk zbierały się pod Glinianami, Chmielnicki z głównym sztabem stał w Pawołoczy. Po dwóch dniach drogi z Warszawy, w nocy z 3 na 4 sierpnia, stanął Kisiel u brzegów Bugu w Horodle, dnia 9 w Chorłupiu. Tu pisze list do kanclerza koronnego, iż wielka i żałosna nastąpiła odmiana dyspozycyjnej drogi jego do Kijowa, albowiem poprzedzili go do Huszczy Kozacy, ci rozbójnicy, których przyszedłszy kupa druga z Polesia, wszystką Pohorońszczyznę splądrowali i całą Huszczę w niwecz spustoszyli. „Zamek tylko nie spalony ale wszystek dobytek splądrowany, mnie i sługom moim więcej niż na 30.000 szkody uczyniono, po folwarkach też co było, pobrano, Żydów wszystkich pościnano, dwory i karczmy popalono, toż się wszystkim około Horynia stało co i mnie[1]. Wyprawiony z nowemi listami powiernik Kisiela O. Petronius Łasko do Chmielnickiego, aby mógł mieć spokojną z nim komisyę, został zatrzymany, odebrano mu listy i tak nielitościwie obito kijmi, iż ledwie z życiem uszedł, innych posłańców zatrzymano w niewoli. Kisiel chcąc sobie więc oczyścić drogę, pomykał się z pułkiem swoim ku Horyniowi wysyłając na wszystkie strony podjazdy, jeden pod dowództwem brata Mikołaja, chorążego nowogrodzkiego między Huszczą a Berezewem, gdzie odniósł nad Kozactwem zwycięstwo, drugi pod Tomaszem i Krzysztofem Sapiehami ku Tynnie. Wśród tych harców otrzymał list od Chmielnickiego z d. 29 sierpnia z oświadczeniem, iż cokolwiek się na Ukrainie i w majętnościach wojewody złego stało, tedy nie przez

[1] List Kisiela do kanclerza z d 9 sierpnia z Chorłupia.

niego, tylko przez swawolnego Krzywonosa, on jednak uspokojenia rychłego pragnie i na pana wojewodę i jego towarzyszów niecierpliwie czeka. Pomimo tego, od 4 sierpnia, odkąd Kisiel stanął w granicach Wołynia, aż do 14 września nie przyszło do żadnego zbliżenia, chociaż obóz komisarski był tylko o dwie mile od Chmielnickiego oddalony. W gruncie bowiem rzeczy Chmielnicki nie dowierzał Kisielowi, „pan wojewoda kozakom się ofiaruje, a w Warszawie przeciw wojsku zaporoskiemu myśli i działa". W dodatku list Kisiela pisany do Moskwy, niewytłumaczoną drogą miał się dostać do rąk Chmielnickiego — o czem się także od posłańców dowiedział — w którym wojewoda, jako *bonus civis* Moskwie zachowywał przyjaźń, *fraudem* kozacką przed nią odkrywając [1]. Aby dostać się wreszcie do Chmielnickiego, musiał sobie Kisiel przebojem torować drogę, obszedł dokoła Ostróg, zmierzając ku Kuniewu i Lachowcom, stąd wezwał wszystkich regimentarzy, prosząc na żywy Bóg, aby na życzenie Rzeczypospolitej wojny nie szerzyli, lecz na wynik traktatów poselstwa jego czekali i „nie chcieli podać i zdrowia ich i wszystkiej Rzeczypospolitej na szańc". Pisał te słowa, kiedy książe Jer. Wiśniowiecki, posunąwszy zaciągi pod Lachowce, uderzyć zamierzał na Chmielnickiego, zanim Tatarzy nadejdą, ale nie znalazłszy posłuchu u innych regimentarzy, postanowił na przekor wojewodzie zepsuć mu jego plany pacyfikacyjne. Tu dopiero na teatrze wojny, w zetknięciu się z nieprzychylnie usposobionym Wiśniowieckim, czekały Kisiela porażki moralne, nierównie dotkliwsze niż w izbie rycerskiej. Na domiar złego Chmielnicki, jak to łatwo było do przewidzenia, brutalnie odrzucił punkta ugody i tylko na zawieszenie broni się zgodził. Gdy wozy polskich komisarzy wracały do obozu wraz z Kozakami, których Chmielnicki dał jako zakładników przyrzeczonego *armistitium*, chorągiew jedna księcia Zasławskiego napadła na nich i stąd tumult i skargi na Kisiela, iż szpiegów wprowadza do obozu [2]. Ludzie Wiśniowieckiego w oczach Kisiela zasiekli kilku znaczniejszych kozaków, których wojewoda znowu do Chmielnickiego prowadził, a kiedy Kisiel sam w obo-

[1] Dyaryusz z pochodu Kisiela i komisarzów traktowych do Chmielnickiego 20 sierpnia 1648. (Michałowski, Pamiętnicza księga).

[2] Kochowski — Z klimakterów (Panow. Jana Kazimierza, wyd. Raczyńskiego).

zie Wiśniowieckiego z pułkiem wołyńskim się zjawił, nikt przeciw niemu nie wyszedł na spotkanie. Natomiast posłał do niego wojewoda ruski (Jeremi Wiśniowiecki), pisze O. Ciekliński Dominikanin, zadając mu trzy rzeczy, między niemi te, że publicznie głosił, że mu 150.000 kozactwa obiecali dać po talarowi twardemu i Tatar 80.000 spraktykowali, że go na królestwo prowadzić mają[1]. Kisiel zniósł obelgę cierpliwie, jak na męża przystało; jego obóz komisarski 2.000 ludzi liczący, stał jeszcze długo pod Konstantynowem w centrum walczących, niepewny swego losu. Wreszcie d. 15 września donosi prymasowi, „że z dwóch włożonych nań od Rzeczypospolitej usług: ująć i pojednać Chmielnickiego i zatrzymać Moskwę w przyjaźni — pierwsza *quanto studio omnes superando difficultates* do skutku nie przyszła i tymczasem kupi się wojsko nasze do zwyciężenia nieprzyjaciela; wtóra za łaską Bożą może być spodziewana.

Srom piławiecki z d. 23 września i tryumf Chmielnickiego były żałobną pieczęcią bezowocnych ugodowych Kisiela planów i Jeremiego Wiśniowieckiego wojennych zapasów. Zwolennicy wręcz przeciwnych polityk w rządzie, osobiści nieprzyjaciele w życiu, znaleźli się u wyłomu sponiewieranej ojczyzny wśród równych plonów swej pracy. „Znaczne jakieś skaranie Boże nad nami, pisze Kisiel do prymasa d. 29 września. Bieżą w świat wszyscy i ja w mojem zdrowiu ukaleczonem za niemi bieżę, a nie wiem gdzie. Postradawszy wszystkich chudob moich, niemając nigdzie kąta i z ostatku w obozie wyzuty, do W. M. M. Panów jadę, albo ratować, jeżeli będzie jaki sposób ojczyznę, albo z nią ginąć". Kisiel i Ostroróg radzili posuwać się taborem, Wiśniowiecki radził szturm na Pilawce, książe Zasławski komunikiem iść i pod Konstantynowem się oszańcować — wśród tej niezgody wodzów, bez bitwy, po stracie 300 piechurów, całe wojsko koronne poszło w bezładną rozsypkę. „Uciekali choć ich nikt nie gonił, nie pamiętając ani na wstyd swój, ani na stan nędzny Rzeczypospolitej; jeden uganiał 1000, dwóch 10, a tu żaden wszystkich, dlatego, że Bóg zaprzedał ich i Pan pohańbił ich[2]". „Takowe na ojczyznę Bóg naszą puścił utra-

[1] Szajnocha — Dwa lata dziejów. Tom II.
[2] Książę Alb. Radziwiłł — Pamiętniki.

pienie, pisze Kochowski, że dla hańby i oczu pokazać, niejak było". — Resztki wojska przybyły do Lwowa, gdzie wodzem jednogłośnie księcia Wiśniowieckiego obrano, Chmielnicki postąpił pod Zamość, a potem pod Lwów, gdzie wziąwszy 700.000 zł. okupu wrócił nazad pod Zamość. „A teraz takie moje rady są, pisze Kisiel do prymasa z Uchania (29 września) — wojsko rozproszone odwołać, Pana jako najprędzej obrać, ku Lublinowi pospolite ruszenie ogłosić, któreby z nami i z sobą wespół i z wojskiem jakiem ratowało ojczyznę". (Dok. nast.)

Rudolf Ottman.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY.

Religijna wiara jest podstawą, dźwignią i udoskonaleniem prawdziwej szlachetności ducha — czem jest życie w jej świetle? — Wiara źródłem płodności ducha. — Jej stosunek do sztuki. — Wiara jest niewzruszoną moralności podstawą, w niej tkwi zupełny i jasny zakon, oraz sankcya. — Wiara jest źródłem prawdziwego szczęścia i zaspokojenia ludzkiego serca. — Czem wiara dla państwa.

Korzyści i przymioty wiary w jaśniejszem jeszcze występują świetle, skoro zważymy jej wpływ podnoszący i uszlachetniający duszę człowieka. Cóż bowiem światło wiary wskazuje rozumowi? Oto poucza go, że w piersi człowieczej kryje się taki klejnot szlachecki, takie dostojeństwo, że w obec niego maleją i bledną wszystkie wielkości ziemskie, godność, której myśl nie obejmie, słowo nie wypowie. Samym rozumem mógłby człowiek na swem obliczu wyczytać znamię swej wielkości, wznoszącej go ponad wszechstworzenie; ale zawsze pomimo niej pozostałby tylko ziemią i prochem, nikłym tylko atomem świecącym przez krótką chwilę jaśniejszym nieco blaskiem wśród miljona innych. Wiara człowieka zbliża do Boga, w niej jaśnieje On całą swą świetnością, i jako źródło światła — oświeca na wskróś duszę — jako miłość sama — rozgrzewa ją swem ciepłem, jako świętość nieskończona — napełnia ją wonią swej świętości — i dusza człowieka staje się jasną, wonną, gorejącą, a jak wosk odbija w sobie odcisk wytłoczonej pieczęci, tak dusza przywdziewa na się obraz Boży. Przez to podobieństwo wznosi się człowiek do godności dziecka Bożego, i otrzymuje moc jego do prowadzenia życia na wzór Boży, życia, które go uzdalnia wzrokiem sięgać w wieczność, zagłębiać się w przepaściach Bóstwa i w Niem posiąść szczęście nieskończone.

W wierze i przez wiarę nabiera życie ludzkie nieskończenie wyższego znaczenia. Życie to nie jest już „walką o byt“ znikomy, ale bojowaniem o niewiędnącą koronę chwały wiecznej. Ziemia — to już nie sam tylko padoł płaczu, kędy troska i smutek, gorycz i ból — ale droga wiodąca do wiecznego szczęścia, wąska wprawdzie, stroma i ciernista, ale te ciernie i trudy zapłacone będą sowitą, bo nieskończoną nagrodą. Czas przestaje być potokiem, który prawie wszystkie serca zalewa goryczą, a tylko nielicznych wybrańców darzy złotym piaskiem szczęścia i radości — nie, czas ten — to próba, wśród której każdego momentu, nieocenione skarby na wieczność całą zdobyć sobie możemy.

Wiara dalej, jest dla rozumu mistrzynią pouczającą go o najwznioślejszych prawdach. Aj w dziedzinie prawdy niemasz nic wznioślejszego, nad to co sama mądrość Boża wyczytuje w wiekuistej księdze swej nieskończenie pięknej, świętej i doskonałej istoty. To zaś Bóg objawia nam przez wiarę, przynajmniej o tyle, o ile potrzebnem jest dla nas w tym ziemskiem pielgrzymstwie. Światło tej prawdy rozjaśnia wszystkie zagadki życia, nad których rozwiązaniem napróżno się sili filozofia. Dziecię umiejące swój mały katechizm stoi daleko wyżej w znajomości prawdy, niż cała starożytność ze wszystkiemi szkołami swoich filozofów. I miałżeby ten nieprzebrany skarbiec prawd, pozostać dla człowieka niepożytecznym, zakopanym talentem?! Jeśli niekiedy w istocie tak się dzieje, to całą winę tylko gnuśności ludzkiego serca przypisać należy. W samej zaś wierze tkwi moc i płodność, która najdrobniejsze czynności człowieka podnieść i uzacnić może: bo wzniosłość każdej czynności wypływa z jej pobudek — a najpiękniejsze pobudki podaje nam wiara.

Żadna z władz ducha ludzkiego nie okazuje w takim stopniu jego potęgi i wielkości, jak twórczość ujawniona w sztuce. Jakiż między tą sztuką a wiarą religijną zachodzi stosunek? O ile wiara stygnie i upada, o tyle też obniża się poziom prawdziwej sztuki. Wydatne kształty i nagie ciała żywym oddane kolorytem — nie są to płody prawdziwego artyzmu, zarówno jak chwalby literatów na ich cześć śpiewane nie mogą bynajmniej stanowić rzetelnej powagi krytycznej. Prawdziwa sztuka — która przecież z arcymistrzowskich źródeł Boga samego czerpie całą

istność swoją [1], powinna, na wzór sztuki Bożej, tą jedną tylko oddychać dążnością, aby cały świat zapalić podziwem, miłością i uwielbieniem Bożego piękna. A to piękno Boże właśnie wiara nam ukazuje we wszystkich dziełach Stwórcy: w porządku natury a przedewszystkiem w porządku łaski, w dziele wiekuistego uwielbienia.

Wiara dostarcza sztuce najcenniejszego materyału, najpiękniejszych celów, najwznioślejszych ideałów — i co główna — niezawodnych reguł prawdziwego piękna. Tylko wiara, która w piękności Bożej zatapiać się umie, może natchnąć artystę owem nieziemskiem światłem i ciepłem, które w dziełach jego odźwierciedlone, serca widzów podnosi do Boga [2]. Czyliż świątynie chrześcijańskiego Boga nie są najwspanialszemi wzorami architektury? Czyż najpiękniejsze utwory malarstwa nie przedstawiają właśnie nadziemskiego żywota i nadziemskich cierpień Boga-Rodzicy lub świętych? A gdzież potężniej się rozwinęła i wspanialej zakwitła poezya, jeśli nie w dziedzinie wiary? Nawet i wszystko to, co tylko starożytność wydała wielkiego, czerpane było z natchnienia religijnego. Bo dawna mitologia, jakkolwiek pełna niedorzeczności, dla mistrzów jednak była świętością, pod której wpływem tworzyli arcydzieła. Dla nich myty nie były bajką, ale prawdą, choć całą jej szatę utkała wyobraźnia [3].

Grecka architektura kształciła się najprzód na budowie świątyń — tu wzniosła się do szczytu doskonałości, tu stworzyła istne cuda sztuki [4], jak: Partenon ku czci Pallady w Atenach, jak świątynię Tezeusza albo Aresa w Eleuzis. „Nadewszystko w posągach bogów, mówi Herder [5], podniosła się najdawniejsza sztuka i jakoby chodzić się nauczyła; dla tego też wszystkie narody, którym postaciowanie bogów było wzbronione, w sztuce plastycznej nigdy nie wzniosły się wysoko“. Że i poezya również w służbie Bóstwa pierwsze stawiała kroki i pierwsze zdobyła wawrzyny, to fakt stwierdzony we

---

[1] S. August. De divers. quaest. 83. q. 78.
[2] Jungmann, Aesthetik, p. 383 et passim.
[3] Maurycy Carrière. Die Kunst im Zusammenhange — B. 1. p. 66.
[4] Schnaase B. 2. p. 7 i indziej p. 200 sq.
[5] Herder, Zur Philosophie und Geschichte, B. 13. III.

wszystkich historyach sztuki [1]. „Poezya wszędzie temu podlega losowi, mówi Schlegel, i tym a nie innym postępuje torem, że najprzód rozpoczyna od cudownych a wzniosłych przedmiotów, od olbrzymich postaci wziętych ze świata bogów lub z okresu bohaterów. Z czasem obniża ona ten lot swój podniebny, przybliża się coraz więcej do ziemi, aż wreszcie spadnie do najpospolitszych przedmiotów i tutaj kończy swe istnienie".

Ile dobrodziejstw sztuka we wszystkich swych gałęziach ma do zawdzięczenia chrześcijańskiej wierze, rzecz to tak dobrze wiadoma, że nawet bezreligijni krytycy i estetycy jednomyślnie przyznają jej winną sprawiedliwość [2]. Na teraz poprzestajemy na tej wzmiance, jako zupełnie dostatecznej do poparcia naszego dowodu.

Czemże jest wiara religijna dla woli i dla moralności na niej się opierającej? Na tem polu wiara kształci nietylko ludzi przyzwoitych — ale świętych, prawdziwą arystokracyę zacności i cnoty. Bo w wierze są wszystkie czynniki, które uczciwość i cnotę wznoszą ponad poziom mierności i potęgują aż do heroizmu.

Wiara daleko doskonalszy podaje nam zakon, aniżeli rozum. Ileż to rzeczy mogłoby wydawać się rozumowi zupełnie obojętnemi, ileż byłoby wątpliwości co do obowiązków! Czy miłość nieprzyjaciół jest koniecznie potrzebną? Czy zemsta na wrogu dozwoloną? Winą jest bezwątpienia — wykonanie zbrodni. Ale myśl w głębi serca ukryta, pragnienie w samej tylko woli drzemiące, czyż także do występków ma się zaliczać? To, zaczem żądze gonią całym swym popędem, jest niezawodnie istotną skłonnością natury. Jakżeż więc, uleganie tej skłonności wzbronionem być może? Na te wszystkie pytania, sam rozum, jakąż mógłby dać odpowiedź? Wiara tylko rozwiązać je może występując w roli prawodawcy, którego przepisy wyższej domagają się doskonałości. Lecz nietylko doskonalsze zakony stanowi wiara, ale też doskonalszą, potężniejszą sankcyę. Sankcya ta ukazuje nam z jednej strony nieskończoną chwałę, którą Bóg nagradza wszystkie walki dla cnoty przebyte, wszystkie cierpienia dla sprawiedliwości poniesione, tak, że każdy pielgrzym na

---

[1] Lasaulx u Jungmana p. 328. Schlegel, Geschichte der alten und neuen Litteratur 1. Vorles.

[2] Maurycy Carrière jak wyżej.

tej ziemi, pomimo utrapień i trudów, pomimo krwawych kolców i ciężkiego krzyża, z radością pocieszyć się może słowami apostoła: *non sunt condignae passiones hujus temporis ad futuram gloriam, quae revelabitur in nobis.* Z drugiej zaś strony otwiera się przed nami otchłań pełna łez i boleści, wzgardy i poniżenia, rozpaczy i bezsilnej złości przeciw Temu, który w tej otchłani wymierza zasłużoną karę. Potępieniec na bramie tego więzienia czyta owe straszne słowa: *Lasciate ogni speranza!* — i jeśli ma jeszcze choć jedną iskierkę rozumu, to ta iskierka straszne w nim budzi refleksye. Jak krótką, jak znikomą była roskosz grzechu!... Jak długą, ciężką i gorzką będzie wieczność kary!... *Quid prodest homini si mundum universum lucretur, animae vero suae detrimentum patiatur?* Ale i to jeszcze mało, aby biednego wędrowca tej ziemi na drodze cnoty wzmocnić i utrzymać. Wiara ukazuje mu strasznych nieprzyjaciół, czyhających na jego zgubę. Nieprzyjaciół najprzód zewnętrznych, których niewygasła zazdrość i nienawiść wciąż podnieca do upornej walki, obmyślających coraz nowe zasadzki, gotujących coraz ostrzejsze pociski. Powtóre, nieprzyjaciół wewnętrznych, tj. trojaką pożądliwość: chciwość, lubieżność i pychę które tem niebezpieczniejszymi są wrogami, że żyją w głębi serca ludzkiego, nieraz wprawdzie przygłuszone, lecz nigdy nie wyrwane z korzeniem, a zawsze czuwające, aby duszę uwikłać swą pajęczą siecią. Z drugiej strony wiara odsłania przed nami najszczytniejszy i najdoskonalszy wzór, na który patrząc, uczyć się mamy sposobów prowadzenia walki odpornej. Wzorem tym — to krzyż, na którym boski nasz wódz stoczył bohaterską walkę z troistą pożądliwością. Chciwość zwalczona tu — najwyższem ubóstwem, ambicya — najgłębszem poniżeniem, chęć używania — goryczą kielicha pełnego wszelkiej boleści. Z ust tego bohatera słyszymy słowa zachęty: *Confidite, ego vici mundum!* Lecz jeśli i ten przykład nie przejmie nas dostateczną odwagą, jeśli pomimo tej zachęty lękać się jeszcze będziem słabości sił naszych, to i wtedy światło wiary oświeci nas i uspokoi. W promieniu jej ujrzymy Boga ze wszech stron szlącego nam posiłki.

Wewnątrz wzmacnia nas łaska Boża — zewnątrz wspierają aniołowie, którym On dusze nasze powierzył: *administratorii sunt spiritus.* Opatrzność też Boża nieustannie czuwa nad nami, bez której woli włos nam z głowy nie spadnie a choćbyśmy chodzili

super aspidem et basiliscum — Bóg strzedz nas będzie *sicut pupillam oculi.*

A jeśli i teraz nawet brak nam odwagi, jeśli działania łaski w sobie nie czujemy — oto jeden jeszcze pozostaje nam środek, który starczy za wszystko — potęga modlitwy. Proście a weźmiecie, proście w Imię moje, a Ojciec, który mię miłuje, da wam. I zaprawdę, modlitwa, której celem dobro duszy naszej — nigdy nie jest bezskuteczną. Możnaż więc znaleść wspanialszą zbroję, potężniejszą broń przeciw najgwałtowniejszym napadom i najskrytszym zasadzkom naszych nieprzyjaciół? Ale i na tym środku nie poprzestaje wiara. Słabemu szermierzowi może pośliznąć się noga, może upaść nawet sromotnie. Fakt to wielokrotnem doświadczeniem sprawdzony, że świeżo doznane nieszczęście rodzi w sercu człowieka zniechęcenie, małoduszność i rozpacz. A serce grzesznika — to przedewszystkiem otwarte pole, którem duch rozpaczy najłatwiej zawładnąć może. Powrót do łaski, do przyjaźni Bożej wydaje się mu niepodobnym, plama niezatartą, wina niezmazalną, wytrwałość na dobrej drodze — niemożliwą. Tu znowu wiara przynosi mu ulgę, dodaje otuchy, wlewa ufność bez granic, ukazując nieskończone miłosierdzie Boże, które nie chce niczyjego zatracenia lecz owszem wyczekuje grzesznika, by się nad nim zlitować, uprzedza go nawet, podając mu zbawczą rękę do wydobycia go z toni dusznego upadku — miłosierdzie, które opiekuje się grzesznikiem, jak dobry pasterz zbłąkaną owieczką i jak on pieści go na swych ramionach — miłosierdzie które nawet u zamkniętych wrót najzimniejszego serca stoi i czeka, by serce to otwarło się Panu i Stwórcy swojemu, — miłosierdzie, które powracającego grzesznika wita z nieopisaną radością, skarbami łaski przyodziewa, serce swe i niebo mu otwiera. Słowem wiara to jest owym korzeniem, z którego latorośl święta wyrasta i któremu wzrost swój i rozkwit zupełny zawdzięcza.

Pozostawieni na łasce samego rozumu, wyzuci z wiary — a choćby nawet z żywej i silnej tylko wiary, musielibyśmy powtórzyć wyznanie Owidiusza, które kładzie w usta Medei:

> . . . . *Si possem, sanior essem —*
> *Sed trahit invitam nova vis; aliudque cupido*
> *Mens aliud suadet — Video meliora proboque*
> *Deteriora sequor* [1].

[1] Metamorph. VII. 18—21.

Nie chcemy bynajmniej krzywdy wyrządzać rozumowi, zarzucając mu niezdolność do doskonałego wykonania wszelkiej sprawiedliwości. Tak czynią ci, którzy chcąc koniecznie uwolnić się od odpowiedzialności za swe występki, starają się całą winę zwalić na nieudolność rozumu[1]. Nie — zamiar taki dalekim jest od nas: bo rozum — to szczytny dar Boży, to fundament, na którym nawet gmach wiary się opiera. Lecz z drugiej strony nie mniejszym byłoby błędem przeceniać jego wartość i siłę. Rozum — to światło Boże, oświecające każdego człowieka przychodzącego na ten świat — ale światło to zaćmione już grzechem. A choć w rozumie prawo Boże się nie zatarło — ale i grzech w nim wypisał swe prawo, prawo pożądliwości, które niestety często góruje nad pierwotnem prawem! Rozum z natury swej jest panem woli, lecz znowu tenże grzech czyni go jej niewolnikiem; wolę zaś samą pod moc namiętności oddaje. I dla tego to właśnie odwieczny Rozum zstąpił z tronu Bożego na ziemię, aby nowem światłem rozproszyć ciemności, aby zakonowi ducha przywrócić dawne prawa i oddać mu na nowo królewskie berło panowania nad wolą i namiętnościami. Stało się to, co już Platon za konieczne uważał: „Czekać potrzeba, ażby k t o ś przyszedł i pouczył nas, jak względem bogów i ludzi postępować mamy“[2]. Ten „k t o ś“ nie mógł to być kto inny, jak tylko Syn Tego, którego i s t o t ą j e s t d o b r o ć[3]. Jakżeż więc niedorzeczną jest dążność dzisiejszej filozofii do ugruntowania moralności i poczucia obowiązku po za obrębem religii, po za obrębem wiary. Moralność bez religii i wiary, moralność n i e z a l e ż n a to sprzeczność terminologiczna *contradictio in terminis*. Moralność polega na tem, aby oddawać *suum cuique* każdemu, co mu się należy; a więc i Bogu, Panu i Stwórcy twojemu należy się od ciebie cześć i wiara. *Pietas est justitia erga Deum*, jak już Cycero powiedział. Niezależność zaś nie zna żadnego Pana ni Stwórcy, żadnego prawa nad sobą, żadnej powinności względem bliźnich wolą Bożą przepisanej. Cóż stąd wynika? Oto moralność ciała, chciwości, pychy, bo wszystko jest dozwolone, co tylko m o ż l i w e[4].

---

[1] Montaigne, Abhandlungen, B. II. K. 12.
[2] In II. Alcibiad.
[3] De republ.
[4] Nicolas, l'Art de croire, l. I. ch. 9, 10.

Aby wysnuć cały wątek kwestyi poprzednio nawiązanej, winniśmy wykazać, że i serce ludzkie w swem istotnem pragnieniu szczęścia, w wierze tylko i przez wiarę nasycić i zaspokoić się może.

Dla tych, którzy oddawna już zerwali z wiarą, lub którzy tę wiarę w jakimś zakątku serca trzymają w ukryciu, bo brak im odwagi do wyznania jej słowem i czynem — dla tych zdanie to czczą tylko będzie przechwałką. Wielu patrzy z politowaniem na dobrowolnych niewolników wiary, pozbawionych przez nią używania ziemskich rozkoszy. Niejedni szydzą z wiary — bo jej nie znają [1]. *O si scires donum Dei...* rzekł niegdyś Chrystus do takiej światowej istoty; to samo imby powtórzyć należało. Szydercze ich pociski — w obec historycznych postaci świętych — pękają jak bańki mydlane. Święci, jak przekonywają nas dzieje, byli szczęśliwi nad wszelki wyraz. Bo wiara nauczyła ich cudownej sztuki szczęścia, które z najgłębszych przepaści wzgardy i poniżenia, z oceanu mąk i boleści, z pustyń głodu i dobrowolnego ubóstwa — zlewało się na nich strumieniami. Sprawdzały się na nich słowa Proroka: *Filii hominum in tegmine alarum tuarum sperabunt. Inebriabuntur ab ubertate domus tuae et torrente voluptatis potabis eos, quia apud te est fons vitae* (Ps. 35).

Nicolas opowiada, że pracując nad swem dziełem: O sztuce wierzenia *(L'Art de croire)* pewnego dnia w rozmowie ze swym przyjacielem napomknął o treści pomienionej książki. Przyjaciel ten dopiero od niedawna nawrócił się do wiary. Gdy więc Nicolas zwierzył się przed nim, że trzy rzeczy omawiać zamierza, tj. potrzebę wiary, jej podstawę i środki do niej wiodące — przyjaciel jego zapytał z głębokiem wzruszeniem: „a o szczęściu wierzenia, nicże pisać nie będziesz?“. Szczęście to czuł on w swem sercu — oddychał całą pełnią nieznanych mu dotąd roskoszy. Nie dziw więc, że dzieło napisane o wierze z pominięciem tak ważnego czynnika, zdało mu się nie wyczerpującem. W istocie też, wiara łączy w sobie wszystkie pierwiastki niezmąconego a zupełnego szczęścia. Doczesne życie nasze wystawione jest zawsze na tysiące przygód, które wydzierają nam nasze dobra i powodzią klęsk zalewają zie-

[1] Nicolas, L'Art de croire l. IV. ch. 1.

mię — oto źródło ziemskiego nieszczęścia. Czy wiara zdolna jest je zatamować? Niezawodnie. Rzecz to godna uwagi, że Chrystus zaraz na wstępie — w pierwszem swoim kazaniu na górze, w obec licznie otaczających go tłumów, cały swój program zakreśla i rozwija. Wymagań swoich On nie ukrywa, nie zwleka z ich przedłożeniem, choć wie, jak twarde dla uszu ludzkich będą jego słowa. Żąda więc ubóstwa w duchu, a w sercu czystości, cichości i zasiewania pokoju, łez smutku i cierpliwości wśród prześladowania. Ale wszystkie te przepisy to błogosławieństwa, we wszystkich — niebo szczęścia się kryje.

Lecz czyż to podobna? Człowiek zmysłowy, pomimo rozumu, pomimo swego stoicyzmu nie da się przekonać, że pod ciężarem nędzy i ubóstwa, że pod chłostą pogardy i prześladowania, że pod cierniem najdotkliwszych boleści, zażywać można rajskiego szczęścia i pociech. Równie trudno mu przychodzi — blask bogactw, chwałę zaszczytów i rozkosz ziemskiego używania mienić nieznośnym ciężarem lub przynajmniej niebezpieczną zawadą. A choćby nawet dał się o tem teoretycznie przekonać, to zawsze olbrzymia jeszcze przestrzeń dzielić go będzie od praktycznego zastosowania. Weźmy np. dzieła Seneki i zestawmy je z jego życiem. Czytając jego pisma nieraz mogłoby się nam zdawać, że nie pogańskiego filozofa, lecz apostoła Chrystusowego mamy przed sobą. Lecz jakże odmiennem od tych zasad było jego życie! Aby łaski Nerona — z którego szydził cichaczem — nie utracić, naśladował on jego obyczaje i występki.

Czar ułudnej ponęty, świecący na dobrach tej ziemi, jedna tylko wiara rozwiać jest w stanie — ona też jedna tylko może rozproszyć bojaźń przed ich utratą. Tu na nic się nie przyda żadne rozumowanie, żadna filozofia! Dla tego też przyszedł Chrystus i wszystkie dobra ziemi krzyżem napiętnował. Choć mógł je wszystkie posiadać, żadnego z nich nie wybrał, lecz wzgardził wszystkiemi i wszystkie odrzucił. Owszem wybrał zła, wprost tym dobrom przeciwne, im oddał pierwszeństwo i tym wyborem wysoką wartość ich udowodnił. A wybór ten był zupełnie wolny — niezależny: bo władca losów i praw wszechświata nie mógł żadnemu podlegać przymusowi.

Miałżeby Chrystus pomylić się w wyborze — ów Chrystus,

którego nawet niewierni, jak Renan, „Mędrcem z Nazaretu“ nazywają? W cóżby wówczas obróciła się jego mądrość? Wszak tą kolosalną pomyłką nietylko innych, ale i siebie samego wprowadziłby w błąd nie do darowania. Nie byłby więc mędrcem, ale szaleńcem.

Nie wymysł to wyobraźni, ale fakt niezawodny, że dobra ziemskie człowieka zupełnie i trwale uszczęśliwić nie zdołają. Chwila upojenia, a potem próżnia, niesmak i zniechęcenie. Jakże często we wszystkich wiekach skarżą się na to najwięksi ulubieńcy fortuny[1] Filozoficzną tego przyczyną jest, że dobra ziemskie nie stoją na równi z sercem człowieka i nie są dlań odpowiednie. Serce ludzkie stworzone jest dla Boga — jakże więc ten proch ziemski, który bogactwem się zowie, ten kłamliwy a zmienny sąd świata, który jest panem sławy, rozdawcą zaszczytów, jakże ta niska roskosz zmysłów, która czoło człowieka rumieńcem wstydu oblewa — jakżeż to wszystko serce nasze zaspokoić potrafi? A przecież jedno tylko zaspokojenie pragnień naszych, a zaspokojenie zupełne i trwałe, stanowi istotę prawdziwego szczęścia! Czemże jest to, co my nieszczęściem zowiemy? Jestto po prostu brak dóbr doczesnych, który nam uczuć się daje. Lecz czyż nie może człowiek wśród niedostatku i ubóstwa materyalnego, posiadać duchowych skarbów cierpliwości i poddania się wyrokom Bożym? Czy nie może wśród wzgardy i szyderstwa, radować się chlubnem świadectwem własnego sumienia, wewnętrznem przekonaniem, że Bóg w niebie inaczej go osądzi? Czyż nie może on wreszcie, wśród najdotkliwszych boleści poić się słodyczą ofiary i poświęcenia? Jeśli dobra tej ziemi prawdziwego szczęścia nam nie dają, to też i brak ich nie może być prawdziwem, trwałem nieszczęściem.

O tem także poucza nas rozum — a jednak — tu biednemu sercu najtrudniej przychodzi ugiąć się pod żelazem tej logiki i ochoczo wyciągnąć rękę po cierniowy wieniec cierpienia. Potrzeba więc było, aby sam Chrystus stanął pośród nas i z miłości ku nam wyrzekł się tych dóbr i całe morze ziemskiego bólu w swem sercu pochłonął, by obowiązkiem wzajemnej miłości osłodzić nam wykonanie prawa rozumu. Miłość Boża, miłość ku Chrystusowi rozpędza

[1] Ninon de Lenclos.

wszelki smutek, oddala każde nieszczęście: bo siłą własnego szczęścia wzmacnia i upaja, bo nie zna wyższej roskoszy nad ofiarę, nad wzgardę szczęścia dla umiłowanego.

Pewnego razu, jakiś niedowiarek wszczął rozmowę z Siostrą Miłosierdzia, która swą młodość, piękność, blask świeckiej wielkości, słowem całe szczęście doczesne poświęciła dla swego Zbawiciela by mu usługiwać w cierpiących jego członkach. „Ach! mówił on z politowaniem, jakże strasznie jesteś pani zwiedzioną, jeśli niebo nie istnieje"! „Niebo moje — odparła Siostra — znalazłam już na ziemi". Oto odpowiedź, jaką tylko wiara dać może.

Wiara i z tego też względu serce człowiecze rzetelnem szczęściem napełnia, że jest *substantia sperandarum rerum*. Stąd więc jak niewzruszoną jest wiara — tak też niezłomną być musi i nadzieja owej zapłaty, która wszystkie ziemskie ofiary — wiekuistą, niewysłowioną nagrodzi rozkoszą. Na samą myśl o tem wołają wierni z Pawłem Apostołem: *Superabundo gaudio in omni tribulatione.* Temi też słowy uderzony napisał pewien światowy człowiek: „Filozofia uczy nas znosić ziemskie cierpienia — lecz dalej się nie posuwa. Chrześcijańska religia boleści w rozkosz przemienia, tak, iż z całą sumiennością można o niej powiedzieć to, co mówimy o namiętnej miłości, że jej cierpienia cenniejsze są od wszystkich innych rozkoszy. Prawdziwy chrześcijanin z wszystkiego umie odnieść pożytek. Nieszczęścia, ktore nań spadają — to dobrodziejstwa zesłane od Boga; dobra, na których mu zbywa — to zło, które Bóg z jego drogi usunął. Wszystko dla jego pożytku się dzieje, wszystko jest dlań łaską na tym świecie, a gdy konieczność natury rozłącza go ze światem, to i wtedy koniec życia jest dlań przejściem do życia lepszego, które trwa na wieki" [1].

Nędzne stworzenie widzi się przedmiotem Bożej przyjaźni, która od wieków myśli o jego szczęściu i na wieki całą wszechmocą swojej czułości otaczać go będzie, przyjaźni, która wydobywszy go z ziemskiego prochu wzniosła aż na swój tron, aż do serca swego, która oddała dlań i poświęciła wszystko, co tylko najdroższego i najświętszego niebo dać mogło, która wreszcie zawsze nad nim czuwa, by go strzedz od nieszczęść, chronić od upadków, która

[1] St. Evremont, Betrachtungen über Religion.

nawet przymusza Boga, by zamieszkał w sercu człowieka — *veniemus ad eum et mansionem apud eum faciemus* — a mieszkając w tem sercu przekształcił je w świątynię światłem Bożem oświeconą, gorejącą zachwytem niebian, pełną woni Bożej świętości. O! jakżeż dziwny, jak cudowny ten przybytek Pański w sercu człowieka na ziemi! Uzupełnienie cudu tego nastąpi w wieczności, gdzie dusza oglądać będzie Boga w całym jego Majestacie, w całej nieskończoności Jego miłosierdzia. To widzenie pełne miłości, dokonuje w człowieku ostatecznej apoteozy sprawiając w nim, o ile to być może, najwyższe podobieństwo do Boga. *Similes ei erimus, quoniam videbimus eum sicuti est.* Czyż może być wyższe, doskonalsze szczęście, nad szczęście w Bogu, w tym niezgłębionym oceanie wszelkiej szczęśliwości?!

Zakończmy tę kwestyę rozbiorem tego ostatniego punktu. W poprzedzającym dziale tylko mimochodem o nim wspomnieliśmy, tu zamierzamy przeprowadzić zastosowanie jego do wiary religijnej.

Jeśli religia, w ogólności jest najsilniejszą podporą socyalnego życia, to czemże dla niego będzie wiara w religię objawioną?

Wiara daje państwu najprzód swoją niewzruszoność. Gdy rozum chwiać się zaczyna, a z nim i byt polityczny państwa, wtedy występuje wiara ze swą ożywczą, wzmacniającą potęgą. Wiara nigdy jeszcze do rewolucyi nie wskazała drogi. Bunt rodzi się w sercach, które wiary nie znają, lub co najwięcej jej nadużywają. Przypatrzmy się niektórym, może najgłówniejszym czynnikom państwowego ustroju i zobaczmy, czem jest dla nich wiara.

Najprzód rozpatrzeć się nam potrzeba we wzajemnych stosunkach obywateli pomiędzy sobą. Ciągła tu zachodzi wymiana praw i obowiązków, tak, że cała treść socyalnego życia jest tylko jednem pasmem wzajemnej pojedyńczych członków zależności. Tu są potrzeby — tam źródła je zaspokajające, tu prawo wymagania — tam prawo zadośćuczynienia, tu praca z prawem do zapłaty — tam powinność wynagrodzenia otrzymanych usług. Czyż w tem ustawicznem wzajemnem znoszeniu się z sobą całego społeczeństwa, wystarczy sam rozum do obrony prawa przeciw nadużyciom samolubstwa i namiętności? Czyż rozum ten z całą mądrością swoją, zdolny nakłonić do wypełnienia obowiązku, jeśli ten obowiązek przykry jest i trudny, jeśli z bolesną połączony ofiarą? — doświadczenie do-

stateczną a przeczącą daje na to odpowiedź. Gdy wiara umiera, gdy wiara niknie z pośród społeczeństwa, wówczas rozum nie więcej znaczy, jak źdźbło zechłej trawy, które każdy wybryk egoizmu złamie i podepcze, każda namiętność spali swoim żarem. Wiara — a wiara żywa jest tu konieczną, wiara która uczy miłości, jakiej żąda Paweł Apostoł: która cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy[1]. Ta miłość nie kładzie obowiązku i prawa na szalę ścisłej sprawiedliwości, lecz umie dać więcej, niż obowiązek wymaga, umie nie dopominać się o swe prawa, nie żądać zawsze bezwzględnego ich wykonania, owszem, gdy tego potrzeba — zrzec się ich potrafi. Miłość owa na wszystkich rozciąga się ludzi, wszystkim dobrze czynić pragnie, nie już tylko z szczerością i chotą, z jaką każdy o siebie się stara, ale tak bezinteresownie i z takiem poświęceniem, jak nas nauczył Bóg nasz i Zbawca: *exemplum dedi vobis..., ut diligatis invicem sicut ego dilexi vos.* Oto podstawa socyalnego życia w państwie wierzących, jeśli tylko rzetelną jest ich wiara. Czy miłość taka może jakiekolwiek stosunki nadwerężyć lub zburzyć? Oczywiście — nie. Nie ma dla niej ofiary — bo wszelka ofiara jest jej chlubą, nie ma niewdzięczności, bo nagroda jej nigdy nie ginie — im mniej ma uznania na ziemi, tem większą nagrodę u Boga.

Drugim głównym czynnikiem w składzie państwa jest rodzina. Ona to bowiem stanowi jego podstawę i źródło. Jaką jest rodzina takiem też będzie i państwo. Jeśli węzły rodzinne będą luźne, to i w budowie państwa okaże się chwiejność. Prawdę tę czuje dobrze każda zwierzchność państwowa, każdy prawodawca, czego dowodem, że zawsze nad małżeństwem jako nad bezpośredniem źródłem rodziny, rozciąga swą juryzdykcyę. A czemże jest małżeństwo w oczach rozumu i czem w świetle wiary? Jakże często znajduje rozum powody do zerwania jego węzłów, szczególnie wtedy, jeśli je uważa li tylko za kontrakt cywilny. Taki zaś sąd, takie zwolnienie węzłów małżeńskich, otwiera drogę rozwiązłości, która podobne po-

[1] I. Kor. XIII., 4, 5, 6.

wody łatwo wynaleść lub umyślnie sprowadzić potrafi. Cierpi więc na tem wychowanie, spuścizna niszczeje, cała budowa rodzin chwieje się w posadach. Czyż inaczej było w państwie rzymskiem, gdy już przyszło do tego, że kobiety wiek swój liczyły nie latami konsulatów, ale liczbą mężów. Przeciwnie zaś wiara nadaje małżeństwu wartość nadprzyrodzoną, i wyciska na niem charakter świętości: bo jego wzorem nieskończenie wzniosłym i świętym jest związek Chrystusa ze swą Oblubienicą-Kościołem. Miłość więc Chrystusa ku swemu Kościołowi — oto modła tej miłości ofiarnej, jaka ożywiać powinna małżeństwo. Posłuszeństwo Kościoła względem Chrystusa, to znów wzór posłuszeństwa utrzymującego jedność w małżeństwie. Jak Chrystus nigdy się od Kościoła swego nie odłącza, tak i w małżeństwie rozdział jest niemożliwy. We wszystkich obowiązkach, powinnościach i ciężarach, które małżeństwo z sobą przynosi, podporą i dźwignią jest łaska, do której prawo Sakrament nadaje[1].

Stosunek też podwładnych do zwierzchności i odwrotnie, w wyższem daleko i piękniejszem przedstawia się świetle, którego rozum sam z siebie zaczerpnąć nie może. Bo jakżeż często mógłby on doradzać podwładnym wypowiedzenie posłuszeństwa, nawet w rzeczach których zwierzchność ma słuszne prawo od nich domagać, jak często mógłby podsuwać myśl czynnego oporu, choćby z bronią w ręku? Historya dostarcza nam aż nazbyt wiele podobnych przykładów. Wiara przeciwnie, nie zna trudności w posłuszeństwie, dla posłuszeństwa żadnych ofiar nie szczędzi i żadnych nie zna granic — prócz tych które sam Bóg zakreślił. Jeśli ziemski władca domaga się rzeczy wzbronionych zakazem Władcy wiekuistego, wtedy godłem podwładnych: *non possumus — Deo magis obedire oportet, quam hominibus;* ale oręża przeciw panującemu wiara nigdy nie kładzie w ręce poddanych, chociażby ten najgorszym był tyranem.

Wiara czuwa nad panującym, by nie stanowił praw niesprawiedliwych, by oddawał każdemu co mu się należy, nawet najniższym, bez względu na osoby, a nadewszystko, aby pamiętał na cel dla którego moc z góry mu dano. A celem i posłannictwem państwa, jest chwała Boża — polegająca na prowadzeniu pod-

[1] Porów. listy św. Pawła.

władnych do państwa wiecznotrwałego w niebie. Wskazawszy cel podaje też wiara panującemu odpowiednie środki i pobudki. Przypomina mu, że on jest księciem z łaski Bożej i stąd Bogu kiedyś rachunek zdać musi z swych królewskich rządów.

Wiara zatem obejmuje całe życie człowieka, uszlachetnia je, podnosi, leczy nędze jego natury, udziela nadprzyrodzonej siły w stosunkach i wypadkach, we wszystkich obowiązkach i potrzebach. Ona jest źródłem, z którego woda zbawienia, woda wiecznego żywota na nas wytryska, czyszcząc i krzepiąc biednych wędrowców na doczesnej drodze do najwyższego, wiekuistego szczęścia.

(C. d. n.)

X. Antoni Langer.

JANSSEN I HISTORYA REFORMACYI.

(Ciąg dalszy).

Widzieliśmy poprzednio, że „czysta ewangelia“, czyli „ewangeliczna wolność“, którą Luter w ojczyźnie swej zaprowadził, wywołała, jeśli nie wprost to przynajmniej pośrednio, chłopską rewolucyę, cechując ją, obok objawów zwierzęcego okrucieństwa, piętnem najskrajniejszego fanatyzmu. Lecz prędko a krwawo stłumiony został bunt chłopów. Wtedy dopiero, jako dalsze następstwo tejże, „czystej ewangelii“, podniósł się sztandar nowej rewolucyi: „rewolucyi książąt“, jak słusznie ją nazwać się godzi. Tej to właśnie teraz przypatrzyć się zamierzamy, a raczej na to baczną zwrócić uwagę, w jaki sposób tak miasta, jak i książęta, religijno-polityczną rewolucyę na własnych terytoryach podjęli. Oto więc ukazują się na widowni nowi apostołowie nowej nauki, a pomimo tak powszechnej ślepej wiary protestantów w ich świętość, którą nawet Ranke historycznie potwierdza, znajdujemy u Janssena zupełnie inną, bo destrukcyjną charakterystykę książęcych apostołów protestantyzmu. „Pożar powszechny, jakiego przedtem nigdy nie widziano, całym Niemcom grozi spustoszeniem“. Elektor moguncki i Jerzy saski piszą do świeżo obranego cesarza Karola V., namawiając go do natychmiastowego powrotu. I rzeczywiście obawa ich nie była płonną. Haniebne ustawy pogańsko-rzymskiego prawa o niewolnikach, podtrzymujące absolutyzm panujących książąt, przytem iście szatańska nienawiść nowinkarzy przeciw wszystkiemu co katolickie, wznieciła ów pożar olbrzymi. Zgniotłszy bunt chłopów, skorzystali z tego książęta, aby oddawna upragniony suwerenizm utrzymać w swych państwach i zdobyć sobie zupełną niezawisłość od cesarskiego tronu. Prócz tego książęce skarby wyczerpane już były zupełnie grą hazardowną,

zbytkiem w biesiadach i polowaniach, bezrządnem gospodarstwem nałożnic: częstokroć też całe majątki były już w rękach ówczesnych lichwiarzy. Reformacya więc podawała najlepszą sposobność do zaspokojenia książęcych chuci, do spłaty zaciągniętych długów, owszem była to gratka, jakich mało, mogąca otworzyć im nowe złotodajne źródła do nowych zbytków i nadużyć. Lecz któż w szczególności miał otworzyć im te źródła, dostarczyć tych skarbów? Oto świątynie i klasztory, które oddawna już solą w oku im były. Takie to były pobudki, takie cele, dla których książęta tak zgodnie i tak gorliwie chwycili się czystej Ewangelii jakby deski zbawienia. Zamiary ich i dążności wspierała zachęta a nawet i czynna pomoc ze strony wiarołomnych królów Francyi: Franciszka I. i Henryka II. Nawet w cesarskim gabinecie zasiadali zdradliwi ministrowie: Granvella von Lund i Naves, który za książęce łapówki *(Handsalben)*, lubo wprost sprawy tej popierać nie mogli, jednak ubocznie do wzrostu jej nie mało się przyczynili, krzyżując plany cesarza, tak że najlepsze pomysły Karola V. po największej części w sferach idealnych pozostały, bo prawie nigdy nie dopuszczono im zstąpić na pole rzeczywistości. Ta okoliczność daje nam też klucz do polityki Karola, która nieraz z pozoru zdawała się być nawet nieprzyjazną Kościołowi, choć w gruncie cesarz całem sercem był doń przywiązany. Ale niestety! nawet na katolickich kurfirstów nie mógł się on spuścić. „Każdy myślał tylko o sobie“. Przedewszystkiem obaj książęta: Wilhelm i Ludwik Bawarski usiłowali wprowadzić króla w labirynt kolizyj, uwikłać siecią intryg, i zdarłszy z jego czoła cesarską koronę, własny swój dom nią uwieńczyć. Jako doskonałe narzędzie do dopięcia tych celów, służył im kanclerz von Eck, *der böse Dämon*. Pamiętać też należy i o tem, że większa część stolic biskupich zajętą była przez młodszych synów magnackich, którzy częstokroć chociaż na zewnątrz duchowną nosili szatę, wewnątrz jednak bardzo słabe i niejasne mieli pojęcie o kapłańskim i pasterskim urzędzie biskupa. „Wówczas, mówi Geiler von Kaisersberg, nieumiejętnych, prostaków, rozkoszników, jedynie ze względu na ich szlachectwo zaszczycano tą godnością“. Janssen wylicza[1] wszystkie biskupstwa, które w okresie reformacyjnym obsadzone

[1] Tom I. str. 601.

były synami książąt. Niektórzy z nich jak np. osławiony Herman von Wied, takiem odznaczali się nieuctwem, że łacińskie pisma na język niemiecki przekładać im było potrzeba. Byli to magnaci, w których sercu i uczynkach, jak słusznie sam Jerzy Saski powiedział, „książę spychał biskupa“. Od takich panów trudno było wymagać stawienia energicznego oporu reformacyi. Owszem nie dziwno, że w takich warunkach, nowatorskie doktryny i pod infułą nieraz zagnieździć się umiały.

Kościoła jednak jako Kościoła obwiniać o to nie podobna. Kościół bowiem żadnemu stanowi, żadnej warstwie społecznej nie zamyka drogi do dostojeństw kościelnych. Owszem wydał on osobne ustawy przeciw wdzieraniu się lub wyłącznym przywilejom jakiegokolwiek stanu w tym względzie. Że zaś często książęta i szlachta samowolnie gwałciła te ustawy, temu Kościół nie mógł zapobiedz, utraciwszy już dawną potęgę, jaką posiadał za Ottonów lub salickich cesarzy: opłakiwał więc tylko te nadużycia i protestował przeciw nim, lecz koniec końcem znosić je musiał cierpliwie.

Wszystkie te zewnętrzne okoliczności, a nie wewnętrzna wartość nowej nauki, sprzyjały rozkrzewieniu się jej w Niemczech i zjednaniu jej licznych stronników. Czytając w dziele Janssena, z wiarogodnych źródeł czerpane charakterystyki głównych filarów kościelno-politycznej rewolucyi, nabieramy niewątpliwego przekonania, że filary te były moralnie spróchniałe i upadłe, oraz że w całej rewolucyi zupełnie inne pobudki pierwszorzędną grały rolę, a religia była prostym tylko płaszczykiem. Jakiż np. widok przedstawia nam Filip Landgraf Heski, na którego czyny sam nawet Melanchton wzdrygał się ze wstrętem! Chcąc wytłumaczyć, a właściwie upozorować swoje dwużeństwo, nie wstydził się on podawać najhaniebniejszych przyczyn: jak np. „że pierwszej swej żonie Krystynie nie mógł nawet przez 3 tygodnie dochować małżeńskiej wierności, że wiarołomna rozwiązłość była dlań chlebem powszednim, w skutek czego nabawił się francuskiej choroby“ [1]. Nie dość na tem: zbrodnię tę przeciw religii i prawom natury poważa się on szyderczo zwać aktem cnoty; czynem pomocnym ku rozszerzeniu chwały Bożej [2]; wszystkie zaś skrupuły Lutra pod tym względem, rozpra-

[1] Str. 403 i 435.

[2] Str. 409.

sza dzban dobrego wina (l. c.) Tę tylko radę dał reformator Landgrafowi, aby rzecz całą ile możności osłaniać tajemnicą: „gdyż w przeciwnym razie, mówił, chłopi z daleko słuszniejszych przyczyn, mogliby również zażądać dwużeństwa, coby nas nie małego nabawiło kłopotu“ [1]. Filip Heski zowiąc się narzędziem chwały Bożej, niszczył z szatańską nienawiścią wszystko, co choćby ślad katolicyzmu na sobie nosiło. Nie cofnął się nawet przed świętością grobów, a grobów własnej rodziny, lecz gwałcił je i bezcześcił. Zwłoki ciotki swej św. Elżbiety, rozkazał z grobowca wydobyć, poczem wraz z zausznikami swymi obdzierał je z kosztownych klejnotów. Oczywiście nie dziw, że i moralność poddanych nie inną była od moralności księcia: *regis ad exemplum*... całą winę przypisywano wprost szatanowi, który tak straszne wyrządzał psoty. Jak przerażającą musiała być moralna ruina w Hesyi, poznać można z krótkich, ale dobitnych wyrazów pozostawionych w liście kaznodziei Lamberta do Bucera: *Horreo mores hujus populi* [2]. Pastorowie łajali urzędników, a urzędnicy obwiniali pastorów; ale i jedni i drudzy radowali się wspólnie, patrząc na płonące klasztory i kościoły, któremi zamiast smolnych beczek, Landgraf heski oświecał swe weselne gody... Ale nie tu koniec zgorszeń i zbrodni Filipa. Zdrajcą był on własnej ojczyzny, buntownikiem w obec cesarza. Książąt nieustannie przeciw niemu do wojny Szmalkaldzkiej podburzał, a równocześnie kłaniał się nikczemnie na francuskim dworze i prawie do nóg padał Franciszkowi I., żebrząc o pieniądze. Reformatorzy oczywiście dawali na to swą sankcyę: „bo pobożnym książętom niemieckim nie godzi się mieć nic wspólnego z praktykami cesarza, który niewiernym jest i fałszywym człowiekiem“ [3]. Gdy elektor saski Jan Fryderyk bardzo niełaskawie się wyraził o bigamii Filipa, ten zagroził mu „wykryciem sodomskich grzechów, które Kurfürst już to w książęcym pałacu w Kassel, już w czasie sejmu Spirskiego popełniał“ [4]. A jednak tego samego Jana Fryderyka Saskiego uwielbiano i wieńczono aureolą sławy jako prawdziwego mędrca i apostoła czystej nauki! Takich samych wy-

[1] Str. 409.
[2] Str. 411.
[3] Str. 406.
[4] Str. 436.

stępków przeciw naturze dopuszczał się Elektor brunświcki [1], który również należał do grona pierwszorzędnych bohaterów czystej Ewangelii.

Słynny z opilstwa i niezwykłej na tem polu waleczności Fryderyk III. książe lignicki, chlubił się swą „niezłomną ewangeliczną wiarą“ i nieraz z dzbanem w ręku powtarzał na pamięć całe ustępy z Pisma świętego. Jeden ze współczesnych opowiada o nim, że „wśród sejmu w Norymberdze, tak zapamiętale oddawał się pijaństwu, iż pewnego razu w biały dzień, bez obuwia i na poły nagi przebiegał ulice miasta, otoczony świtą współbiesiadników. Muzykanci musieli orszak ten poprzedzać i z całych sił dąć w trąby“. O tymże księciu pisze Sastrowe, że gdy pewnego wieczora, jak zwykle zabawiał się dzbanem, dwóch studentów śpiewając przechodziło przez miasto. Książe usłyszawszy to, rozkazał ich pojmać i doraźnym wyrokiem ściąć im głowy. Następnego poranku wyjechawszy w towarzystwie swych radców konno na przejażdżkę, gdy spostrzegł krew na bruku rozlaną, zapytał zdumiony, coby to znaczyć miało. Opowiedziano mu całe zajście, pytając zarazem o winę nieszczęśliwych ofiar [2].

Głównymi przyjaciółmi i współbiesiadnikami księcia byli: nikczemny wiarołomca, Maurycy elektor saski, który zdradziecko napadł samego cesarza, i słynny Albrecht margrabia Brandenbursko-Kulmach'ski. Już w 15 roku życia tak się upił na weselu siostry, że zaledwie po kilku dopiero dniach odzyskał przytomność. W późniejszym wieku stał się on najstraszliwszym ze wszystkich tyranem. Był to istny potwór, istne zwierzę krwiożercze, oprócz zewnętrznej postaci nic ludzkiego w sobie nie mające. Wojny wiódł on z tak dzikiem, tak bezwzględnem okrucieństwem, jakiego nigdy jeszcze na niemieckiej ziemi nie widziano. „Nawet rozbestwione chłopstwo, pisze jeden ze współczesnych, nigdy nie dopuszczało się takich jak on zbrodni, tak nielitościwego wzniecania pożarów, takich mordów i mąk z szatańską popełnianych roskoszą, tak barbarzyńskiego znęcania się nad biednym, uciśnionym ludem“. Rzecz naturalna, że najprzód katolicy doznali skutków zwierzęcej jego srogości. Lecz

[1] Str. 493.
[2] Str. 610.

nie poprzestał on na tych ofiarach. W obrębie protestanckiego miasta Ulmu, 100 wsi, miast i zagród spłonęło za jego sprawą. Gdy Norymberga, miasto protestanckie, bram swych otworzyć mu nie chciała, całą okolicę w obrębie dwumilowym zniszczył pożogą. Trzy klasztory, 90 zamków, 17 kościołów i 170 zagród pochłonęły płomienie. Skoro mu się udało biskupowi bamberskiemu i wirceburskiemu wydrzeć olbrzymie sumy, chlubił się z tego twierdząc, że „takie łupiestwo jest czynem godnym chrześcijańskiego księcia, dbałego o chwałę Bożą i czystą ewangelię, którą Pan Bóg w obecnych czasach tak cudownie objawił światu“. Tymczasem biedni wieśniacy ginęli z głodu gromadami; między trupami znajdowano wielu, „którzy trawę jeszcze trzymali w ustach. To spostrzeżenie, szlachetnego pana pobudzało do śmiechu. Margrabia, który publicznie chlubił się imieniem obrońcy i apostoła czystej ewangelii, wyzuty był z wszelkich uczuć“, tak orzekł o jego charakterze jurysta Ulrych Zasius. Od Elektora mogunckiego zażądał on pięć beczek pieniędzy, a gdy ten nie spieszył się ze spełnieniem jego żądania, margrabia bez namysłu spalił miasta: Bischofsheim, Amorbach i Miltenberg. W Aschaffenburgu w najohydniejszy sposób hańbił kobiety i dziewczęta, a zamek, rządową kancelaryę, oraz domy duchownych i szlachty, w perzynę obrócił. W końcu dla rozrywki 8 wsi podpalił. Z Moguncyi wyprawił się do Trewiru, aby „widokiem księży oskubanych z pierza, i domów bałwochwalstwa walących się w gruzy, sprawić sobie wesołą krotochwilę“, to znaczy, że wszystkie klasztory i kościoły miały paść i *de facto* padły ofiarą łupiestwa i świętokradzkich gwałtów.

W księstwie luksemburgskiem na rozkaz jego spalono: Grevennachern, Remich, Fettenhofen[1] a na terytoryum wirceburgskiem 17 miast, 34 klasztorów, 6 zamków i około 350 wsi temuż samemu uległy losowi... Z bogatych osad, ludnych miast, kwitnących prowincyj pozostała pustynia, zasiana zgliszczami. Najcięższe zniewagi i najsroższa śmierć spotykały chłopów: prawo własności, prawo do życia nawet, dla nich już istnieć przestało .. a żony ich i córki szły na pastwę wyuzdanej hordy szatanów, godnej swego wodza.

---

[1] Str. 677.

Gdy wśród jednej z tysiąca podobnych scen, pewien chłop błagał margrabiego, aby choć jednemu z trzech jego synów życie darował, zapytał go Albrecht, który mu jest najmilszym, a dowiedziawszy się, właśnie tego najprzód zamordował, poczem i ojca stracić rozkazał. W Altdorf i Lauf, ludzi zamykał wspólnie z bydlętami, poczem pod zabudowania te na wszystkich rogach równocześnie ogień podkładał. Nawet dla chorych leżących w szpitalach nieludzki ten potwór nie znał litości, ni żadnego względu [1].

Nie mniejsze gwałty popełniał on i we własnym swym kraju. Nakładał olbrzymie kontrybucye, a każdy, kto ich nie zapłacił, bywał wieszany. W święta Bożego Narodzenia dziesięć miejscowości podpalić kazał, aby powinszować księżom Nowego Roku [2]. W podobny sposób szalał krwiożerczy tyran wszędzie, gdzie tylko zdołał. Bywały wypadki, że skoro go ujrzano zbliżającego się na czele swej hordy, „ludzie albo na miejscu padali trupem ze strachu i śmiertelnej drżączki, albo biegli na oślep rażeni szałem trwogi". I o tym to człowieku, którego współcześni potworem, wyrodkiem, djabłem w ludzkiem ciele nazywają, Leopold Ranke, berliński dziejopis poważa się pisać, że „był to charakter, którego błędy uwzględnić należy, bo nie wypływały one ze złości". Skądże więc? Oto stąd, że po Filipie Heskim i Ulrychu Wittenbergskim, był on wybranem narzędziem „czystej ewangelii", w jej zawsze działał imieniu, wojny swe „egwangielicznemi nazywał wojnami", a wreszcie oręż swój głównie przeciw katolikom podnosił. Czyż to nie wzniosłe apostolstwo?! Czyż takie godło, taka intencya i tak olbrzymie bohaterskie czyny nie pokrywają drobnych jego ułomności?! Tem bardziej, że ów apostoł „czystej ewangelii" płatny był od francuskiego króla, a król ten zachwycał się wspaniałomyślnością czynów bohatera i przyjął go otwartemi rękami do swej służby. A nowozaciężny rycerz służył wiernie przeciw cesarzowi i przeciw cesarstwu, i wszystkich chwytał się środków, aby nienawistnych Habsburgów strącić z dziedzicznego tronu, a cesarską koronę przenieść na czoło francuskiego monarchy!.. Zaiste „czysta ewangelia" cudownych rodzi świętych i dziwnymi szczyci się apostołami!!

---

[1] Str. 685.
[2] Str. 690.

Podobnego apostoła, choć może nie w tym już stopniu, wydał także dom saski. Dopóki książe Jerzy zasiadał na tronie, póty całe księstwo katolickiem było państwem, bo mądry władca przejrzał reformacyę na wylot i przewidział klęski, jakie przez nią na całe Niemcy spaść miały. Pomimo prześladowania, pomimo szyderstwa i obelg, jakich nie szczędzili mu rozjątrzeni reformatorowie, wiernym pozostał wierze swych ojców, wiernym państwu, wiernym cesarzowi. Lecz skoro tylko rozeszła się wieść o śmierci Jerzego, natychmiast we Fryburgu, gdzie brat jego Henryk rezydował, radośnym ona odbiła się echem w dziękczynnych obchodach i wesołych ucztach. Bezzwłocznie też z pomocą elektora Maurycego Saskiego przystąpiono z całą energią do zaprowadzenia reformacyi w Dreźnie, Henryk Saski, którego dwór był stekiem rozpusty, wydał nakaz, aby odtąd każdy proboszcz nauczał, że „ślubów zakonnych wypełnić niepodobna bez pogwałcenia chwały Bożej". Podobnemi sposobami, za pośrednictwem swych reformatorów „oczyścił on Saksonię, która pod księciem Jerzym djablu służyła, ze wszelkich bałwochwalczych przesądów i wyrwał ją z paszczęki papiestwa". Lecz na tem nie poprzestali wittenbergscy teologowie, ale usilnie domagali się praktycznego użycia siły przymusowej. Nawet Luter zganił księcia za to, że „500 księży, jadowitych papistów, nie zaraz z kraju wypędził". Szczególnie doradzał mu Luter gwałtownych chwycić się środków przeciw biskupowi Miśnii. Henryk nie czekał na powtórne napomnienie, ale natychmiast poszedł za radą Lutra, a to tem rychlej i ochotniej, że sam wiele potrzebował pieniędzy „dla swej małżonki Katarzyny Meklemburskiej, przez którą księstwo zubożało". Bezładna rozhukana zgraja wpadła do katedralnego kościoła, a dokonawszy dzieła zniszczenia, zaprowadziła „wolność ewangelii". Następnie zabrał się książe do reformy lipskiego uniwersytetu: wydalił wszystkich profesorów katolickich, a oddał katedry predykantom, którzy ze świętem oburzeniem gardzili wszelką filozofią i odrzucali nauki humanistyczne. W krótkim czasie owa wszechnica, która pod panowaniem Jerzego perłą była uniwersytetów, ozdobą kraju całego — po dokonaniu reformy zamieniła się w bezludne pustkowie. Lud pod księciem Jerzym niegdyś dostatni i szczęśliwy, teraz zubożały i uciśniony, sprzykrzył sobie i zbrzydził postępowanie predykantów, i stanowczo przeciw nim wystąpił,

podając za powód, że oni „znieważają zwierzchność i grzeszne prowadzą życie“. Tymczasem Henryk na zbytki i rozpustę przemarnował w Dreźnie ogromny skarb pozostały po bracie w ilości 128.393 złotych groszy. Nie pomogły błagalne prośby poddanych, którym widmo głodowe coraz okropniej zazierało w oczy, „bo nowa ewangelia przyniosła im tylko nadmierne podatkowe ciężary, niepokój i występki“.

Gorsze jeszcze dni nastały dla Saksonii pod rządami Maurycego, syna i następcy Henryka. Ten, ku wielkiej pociesze Lutra, energiczniej i gwałtowniej, niż jego ojciec, wziął się do tępienia katolicyzmu, a na skargi i zażalenia od katolickich książąt mu przedkładane, odpowiadał, aby katolicy wyczekiwali cesarza, tak jak Żydzi żyją nadzieją mesyasza“.

Wkrótce przyszła też kolej i na Brandenburgię Dopóki żył kurfirst Joachim I., katolicyzm kwitnął pod jego berłem nie zarażony jeszcze oddechem nowej nauki. Lecz gdy po ojcu objął rządy Joachim II., wnet ze zmianą panującego zmieniły się i religijne stosunki. Młody książe dawno już żywił w sercu skłonność do protestantyzmu; niezadługo też wystąpił on otwarcie jako jego stronnik i obrońca. Wprawdzie wchodząc w małżeńskie związki z Jadwigą księżniczką polską, córką Zygmunta I., przysięgą się zobowiązał utrzymywać i bronić katolickiej religii, ale Landgraf Heski bez trudności udowodnił mu, że przysięga ta jest nieważną a zatem nie obowiązującą. Joachim więc w charakterze biskupa krajowego *(Landesbischof)* wydał dekret nakazujący „wytępienie papizmu“. Wprawdzie zatrzymał on zewnętrzne obrządki, nawet mszę łacińską, posty i t. p., ale to dla tego tylko, aby tem snadniej uwieść łatwowiernych. Szydził z tego Luter w jednym z swych prywatnych listów i radził predykantom, by się nie usuwali od współudziału w tej komedyi; gniewało go to jednak i nie szczędził kurfirstowi doborowych przydomków i synonimów czerpanych z obfitego swego słownika. Lecz ten nie odstąpił od swego; a gdy go predykanci za zachowanie łacińskich obrządków pociągali do odpowiedzialności, oświadczył im bez ogródki, że bynajmniej nie chce być zależnym ani od rzymskiego, ani od wittenbergskiego kościoła. „Mam ja kościół w Berlinie, a kościół chrześcijański — i to mi zupełnie wystarcza“. Miał on też i odpowiedne grono swoich pre-

dykantów, w którego skład wchodzili: krawcy, murarze, białoskórnicy a nawet i wielu czeladników, którzy już katechizm Lutra czytali. Luter sam wyświęcił czeladników drukarskich, którzy naukę jego ogłaszać mieli.

Pod takiem panowaniem i w obec takich postępków kurfirsta, nie dziw, że naród zdziczał i do ostatniej doszedł nędzy, a sam książe zrujnowany przez swe metresy, wpadł w ręce Żyda Lippolda tak, że już całkiem zależny był od jego łaski. Już bowiem po paru latach dług książęcy u Żyda zaciągnięty, wynosił 800.000 złotych kapitału a 100.000 zł. procentu. A któż spłacił te sumy? Skarby kościelne dawno już były złupione i roztrwonione: więc brutalnej siły i przemocy użyć było potrzeba, aby owe setki tysięcy wycisnąć od szlachty i ludu. Bezprawie to samemu nawet Agrykoli, generalnemu superintendentowi, zbyt zuchwałem się zdało; a gniew ludu długo tłumiony, spadł na Żyda Lippolda. Tak to po ciemnościach papizmu panujących pod Joachimem I., wzeszła nad brandenburgską ziemią złota jutrzenka czystej ewangelii w postaci predykantów, których sam kurfirst nazywał bezrozumnymi, „niezgrabnymi osłami“ [1]. Oto wzniośli apostołowie niepokalanej ewangelii! A jakżeż z tymi bohaterami postępowali sobie reformatorowie? Podłe dworactwo i nikczemna służalczość — to godło, to jedyny węzeł łączący ich z magnatami. Schlebiając próżności i zachciankom książąt, nietylko że publicznie brali w obronę wszelkie ich nadużycia i występki, ale co więcej, nie wahali się przyodziewać je szatą heroizmu i cnoty! Oczywiście, im większa była bezczelność, tem też obfitsze intraty wpływały do kieszeni łakomych dworaków. Za to w listach poufnych zrzucali oni maskę kłamliwego pochlebstwa i nieudaną szczerością nagradzali sobie chwile przymusowej obłudy. Pełno tu skarg na upokorzającą niewolę, pełno żalu i narzekania na postępowanie książąt, którzy pod płaszczykiem czystej ewangelii, łupili kościoły, obdzierali naród, i namiętnie oddawali się grze, pijaństwu albo rozpuście. „Może Turek, pisał w r. 1541 Melanchton, bohaterom naszym wypędzi z głowy te wszystkie zachcianki. Tyle lat już przebywam na dworach i służę im, ale widzę, że jak napisano w Pieśni nad Pieśniami: „Stróżowie murów zranili mię

[1] Str. 392—398.

i wzięli płaszcz mój ze mnie“ — tak i oni ranią Kościół niesłychanem zgorszeniem, i obdzierają go z jego szat i własności. Tymczasem służba ewangelii idzie w zaniedbanie wraz z jej sługami. Owszem szalona głupota książąt i zgorszenia przez predykantów dawane, sprowadzą nędzę jeszcze większą od tej, która dziś panuje“. Podobnie mówił Luter: „Kościół teraz łupią i ogołacają; dawać nikt nie myśli a każdy kradnie i obdziera. Niegdyś królowie, książęta, spieszyli z pomocą i darami — dziś rabunek i zdzierstwo ich rzemiosłem. Jeśli koniecznie Turkom oddać się mamy w poddaństwo, toć raczej już zagranicznych Turków wolimy aniżeli tych, którzy naszymi współziomkami się zowią... Dla tych furyj bezwstydnych, więcej już starań łożyć nie chcemy. Wyznawcy ewangelii, przez swoją chciwość, zdzierstwa, rabunki, zaspakajanie wszystkich swych żądz i namiętności, gniew Boży na naszą głowę sprowadzają“ [1]. „Książęta, mówi Jan Lange jeden z najbliższych przyjaciół Lutra, śpią i puszczają wodze wszystkim swoim chuciom, i wszystkich chwytają się środków, byle jak najwięcej zgromadzić pieniędzy. Naród prowadzi epikurejskie życie, wszyscy greckim otaczają się zbytkiem i roskoszą, tylko nam biednym predykantom nędza przypada w udziale. A kiedy książe na polowanie wyrusza, to predykant sfory psów musi za nim prowadzić“ [2]. Lecz któż tę zmianę sprowadził, kto do niej pobudzał, namawiał, podniecał? Zapóźno opatrzył się Luter, że on to sam z ciemnych przepaści wywołał złowrogie widma, których teraz ni pozbyć się nie mógł, ni zakląć nie umiał. To też ostatnie dni reformatora straszną były zaprawione goryczą. Tylko dawna nienawiść katolickiego Kościoła przetrwała w nim niezmiennie aż do śmierci. Najwyraźniej przebija się ona w ostatnim jego liście pisanym: „Przeciw papiestwu, w Rzymie przez djabła założonemu“. Wzywa on tu — tym razem za wspólną zgodą kurfirstów i Szmalkaldczyków — do podjęcia wojny religijnej. Styl tej odezwy przypomina pierwotny jego sposób mówienia jakiego używał w początkowych swoich debiutach, kiedy to namiętnie wzywał świat cały, „by napaść gniazdo rzymskiej Sodomy i ręce obmyć w jej krwi — bo papieże to przebiegli arcyłotrzy,

[1] Str. 477.
[2] Str. 478.

to kłamcy i mordercy, to ostatnie męty i wyrzutki najgorszych ludzi na ziemi". Życzy im wreszcie, „aby, ponieważ w nic nie wierzą, pomarli jak krowy i świnie i poszli sobie do djabła". W podobnym stylu jest ułożona cała odezwa. Już u spółczesnych protestantów język ten budził wstręt i odrazę. Z pomiędzy nowszych protestanckich dziejopisarzów, Karol Adolf Menzel mówi, że dla przytaczania takich wyrazów nie powinnoby istnieć ani pióro ani prasa drukarska [1]. Inni znajdują upodobanie w takiem słownictwie. Tak np. Köstlin zowie ten pamflet Lutra „ostatniem, wielkiem świadectwem przeciw papiestwu". Między współczesnymi jednak XVI. stulecia pisarzami rozpowszechniło się mniemanie, „że Luter albo dostał obłąkania umysłu, albo też opętany jest przez złego ducha: w innych bowiem warunkach nie mógłby tak szaleć i przeklinać". Że przeklinanie stało się istotnie drugą naturą Lutra, to on sam poświadcza, wyznając, że „bez przeklinania nawet modlić się nie może" [2]. Pragnął on z duszy więcej jeszcze kląć papieża, ale kamień na który cierpiał, ustawiczną był mu przeszkodą w tem chwalebnem przedsięwzięciu. Na tem więc tylko poprzestać musiał, że wiodąc sam życie pełne „niewypowiedzianych trosk i męczarni", zasyłał przynajmniej w duchu papieżowi i kardynałom życzenia podobnych boleści. Wprawdzie nauka jego z szybkością i siłą burzy pół Niemiec zdobyła, ale Luter drżał z bojaźni na widok wewnętrznego stanu nowego kościoła, na widok walk i niezgód między predykantami, i zupełnej zależności ewangelii od pierwszego lepszego książęcia lub miejskiego urzędu. Z przerażeniem patrzył na okropną zdziczałość we wszystkich szerzącą się stanach, na codzienny wzrost występków, nawet w najbliższej jakby rodzinnej swej Wittenberdze, którą sam nazwał „Sodomą i Babilonem". „Z całej okolicy tutejszej, pisał, zaledwie jeden chłop chodzi jeszcze do kościoła — wszyscy inni idą prosto do djabła". Na widok potwornych scen, na widok tak powszechnej ruiny, żal mu się robiło, że podniósł sztandar czystej ewangelii. W chwili takiego żalu wyznawał, że wolałby był nigdy nie zaczynać, gdyby był wiedział, że to pociągnie za sobą „tyle nieszczęść, klęsk, zniewag,

[1] Str. 532.
[2] Str. 532.

zgorszeń, bluźnierstw i złości". I to jeszcze w Wittenberdze, w samem sercu nowego kościoła, w samem źródle czystej ewangelii! O Lipsku też wyraził się Luter, że miasto to „gorsze niż Sodoma" i dlatego co prędzej porzucić pragnął to gniazdo zepsucia. Ze wszystkimi swymi towarzyszami broni i urzędu, był w ustawicznych niesnaskach i poróżnieniu, szczególnie jeśli się który z nich odważył stawiać przeciw pismom jego jakiekolwiek zarzuty. Wszelka opozycya obudzała w nim gniew niepohamowany, który najczęściej formalnym kończył się szaleństwem. „Żaden z nas, pisał Cruciger, tego nie dokaże, by gniewu Lutra nigdy nie ściągnąć na siebie i nie wpaść pod rózgi jego języka. Cały gmach nasz runąćby musiał przez gwałtowność Lutra, gdyby go umiarkowanie Melanchtona nie podtrzymywało" [1]. Nawet łagodny Melanchton gorzko się uskarża na tę namiętną gwałtowność Lutra, na jego dziwaczny upór i żądzę absolutnego panowania. Porównuje go do greckiego demagoga Kleona. Luter przeciwnie żali się wciąż na niestałość swych teologów w wierze, i w rzeczy samej prawdziwą raz wyrzekł przepowiednię, „że po jego śmierci żaden z wittenbergskich teologów nie wytrwa na swej drodze". Obok tych przykrości „djabeł ani na jeden dzień nie dawał mu spokoju; nocne walki, które z nim staczał, znużyły go i wyniszczyły tak dalece, że gdyby komu innemu przyszło w podobnych zapasach tak długo się mocować, dawno już byłby zakończył życie". Nieustanne wątpliwości, wyrzuty sumienia, chwiejność w postępowaniu, niepewność o legalności swego posłannictwa — to właśnie wywoływało w jego duszy tę „bojaźń piekielną i to śmiertelne pasowanie się z sobą". Chwilami przezwyciężał się i odrzucał cały natłok dręczących go myśli, „woląc raczej cudzołóstwo, opilstwo, mężobójstwo, aniżeli głos rozumu, tę najgorszą wszetecznicę szatana" [2].

Podczas ostatniej podróży do Eisleben, sam widok zakonników obudził w nim złość iście szatańską, tak że natychmiast rozkazał ich wypędzić. Następnie w niemniejszy gniew wprawili go Żydzi, „których, jak wściekłych psów na chwałę Bożą rozpędzić postanowił". Takiemi przygodami znużony i mocno bardzo już

[1] Str. 535.
[2] Str. 536.

osłabiony przybył do Eisleben. Na chwilę przed skonaniem, wziąwszy kredę do ręki, te słowa napisał na ścianie: „Za życia, byłem ci, o papieżu! zarazą; w śmierci będę twą śmiercią“. W nocy 18 lutego 1546 r. stał już reformator przed wiekuistym trybunałem Tego, którego niepodzielną szatę targał i rozrywał na ziemi. Jakiż wyrok wydał nań Sędzia wszechwiedny i najsprawiedliwszy?!...

Tymczasem na ziemi, przynajmniej w najbliższem, poufnem kółku przyjaciół, rozpoczęła się apoteoza Lutra, prawie bezpośrednio po jego zgonie: W zborach zawieszano jego portrety z napisem: *Divus et Sanctus Doctor Martinus Lutherus*. Na cześć jego ogłaszano pisma z szumnemi nagłówkami: „Luter prorokiem“, „Luter trzeci Eliasz“, „Luter cudotwórca“ i t. p. Wreszcie bito pamiątkowe medale, na których wyryte były słowa: *Propheta Germaniae Sanctus Domini* [1]. Ze śmiercią Lutra wiąże sie wiele przepowiedni: Oto niektóre z nich w dosłownem swem brzmieniu: „Wszystkich papieżników i mnichów czeka po jego śmierci rozproszenie i zagłada“. „Śmierć Lutra, podobnie jak zgon wszystkich proroków szczególniejszą moc i skuteczność mieć będzie przeciw bezbożnym, zatwardziałym i zaślepionym papieżnikom. Zanim dwa lata upłyną, ich wszystkich straszliwa dosięgnie kara“ [2].

Rzeczywiście przyznać potrzeba, że proroctwa te ziściły się najzupełniej, ale w przeciwnem, bo odwrotnem znaczeniu względem przepowiadających. Piorunujący głos Lutra umiał nietylko skupić

[1] W obec tej nieledwie bałwochwalczej czci Lutra, gorzką zdawało się ironią losu, postępowanie tychże jego czcicieli z pozostałą po nim wdową i dziećmi. Wiarołomną mniszką nikt teraz zająć się nie chciał. Opuszczenie, ubóstwo a nawet głód dotkliwie jej dawał się uczuć. Wreszcie przywiedziona do ostateczności, udała się z prośbą o wsparcie do króla duńskiego. Ale i ten rekurs nie wiele jej przyniósł pożytku. Dopiero gdy powtórnie, prawie już z rozpaczą wezwała jego pomocy, otrzymała 50 talarów zapomogi. Nędza towarzyszyła jej aż do śmierci. Umarła na suchoty w Torgau 1552 r. Po jej śmierci, najstarszy syn Lutra, Jan, uciekał się również po wsparcie do duńskiego króla. W niemczech bowiem każdy z pogardą odwracał się od osierociałych bękartów. Jaki ostatecznie spotkał ich los — niewiadomo. To pewna, że dzisiaj rodzina ta dawno już wymarła; chociaż pewna dama z wyższych sfer berlińskiego świata, przejęta fanatycznem nabożeństwem do Lutra, ostatniemu z jego potomków, człowiekowi bez nauki i wychowania, z czystego tylko pietyzmu oddała swą rękę; za co ją wydziedziczył surowy i nieubłagany rodzic.

[2] Str 539.

ale i utrzymać pewną łączność wśród zwolenników reformacyi. Lecz gdy głos ten zamilkł śmierci milczeniem, natychmiast wystąpiły na jaw: niepokój, współzawodnictwo, rozdwojenie, łamiąc regularne ich szyki. Pierwszy pohop do tego dał augsburski pokój religijny między katolikami a stronnikami luteranizmu. Chodziło o to, która z wszystkich sekt przechowała naukę założyciela w pierwotnej czystości? Już bowiem cztery razy przerabiano ją w najrozmaitszy sposób. „Wyznanie nasze, tak oświadczyło 34 teologów, wygląda jak *cothurnus*, jak pantofel, jak polski but, jak kameleonowe barwy. Jestto płaszczyk, którym posługują się sakramentarze i tyle innych sekt, aby pod pokrywką i pod nazwą prawdziwego augsburskiego wyznania błędy swe i fałszerstwa zamaskować i przystroić pozorami prawdy“ [1]. Jaskrawsze jeszcze i bardziej rażące rozdwojenie wywołało *Colloquium* wormackie w r. 1557, na którem predykanci nie szczędzili sobie nawzajem kacerskich i djabelskich tytułów *(sich verketzerten und verteufelten)* [2]. Napróżno w następnym roku frankfurcki reces chciał uleczyć jątrzące się rany. Wywołał tylko „księgę odprawy“ *Confutationsbuch* pełną zjadliwych przezwisk i anatemów [3]. Teraz dopiero książęta w Naumburgu zebrani, usiłowali zerwaną jedność przywrócić. Ale już na pierwszej sesyi zerwała się burza, której zażegnać nie umiano. Religijne *Colloquium* w Maulbronn odstręczyło elektorski palatynat i Wirtemberg; a w skutek *Colloquium* altenburskiego odstąpiły obie Saksonie. Jakiś kaznodzieja nazwał publicznie uniwersytet wittenberski: „cuchnącą kloaką szatana“. Inny znów nie mniej estetycznie się wyraził, że „lepiej dzieci swe posyłać do domu publicznego, niż na uniwersytet“ [4]. W Bremie, Hardenberg rzucił klątwę na luteranów; lecz wygnany i niepewny życia, tułał się przez czas długi po całych Niemczech. Jego następca Musaeus zmuszony był z bronią w ręku szturmem zdobywać swój tum, który już Daniel von Büren, z życia i czynów podobny do Jana Leydena, objął w posiadanie. Podobne sceny odgrywały się też w magdeburskiej katedrze, gdzie wielu przy-

[1] T. IV. Str. 24.
[2] Str. 28.
[3] Str. 31.
[4] Str. 168.

chodniów, w skutek gwałtownego przerażenia odchodziło od zmysłów, a nawet nagłą ginęło śmiercią, słuchając strasznych wyrazów, jakiemi kaznodzieje publicznie przeklinali się nawzajem [1]. Inni teologowie rozsiewali między pospólstwem nowe dogmata, co większy jeszcze nieład i zamieszanie sprawiało. Tak stawiał Brenz, jako dogmat wszędyobecność *(ubiquitas)* Chrystusowego ciała; Amsdorf szkodliwość dobrych uczynków; Hessiuss wszechmocność człowieczeństwa Chrystusa Pana i t. d. „Każdy z predykantów chciał być w swoim kościele papieżem i cesarzem". A jacy to byli ci predykanci?!... Do tego dodać jeszcze potrzeba z jednej strony nadzwyczaj szybki wzrost kalwinizmu, a z drugiej nieprzebłaganą nienawiść luteranów przeciw niemu. „Kalwiniści szydzili z luteranów; zowiąc ich mięsożercami, pożywającymi swego 7-calowego, w piecu upieczonego Pana Boga, luteranie przezywali kalwinistów na odwet: arcyłotrami i bisurmanami".

Nawet na sławę uwielbianego „męża Bożego", na nimbus Lutra targnęli się predykanci i świętokradzką ręką zerwali go zupełnie. Tak, pewna liczba teologów wittenberskich oświadczyła, że pisma Lutra są niepewne, że w nich pełno brudu i innych wstrętnych przedmiotów. Wilhelm heski nazywał go łotrem lub „starą gęsicą *(Löffelgans)*, która sama nie wiedziała co pisze"... Bardziej jeszcze przyćmioną została gwiazda Melanchtona. Osyander nazywał go „istną zarazą", która ludziom oczy zamydla. Jego dawni uczniowie okrzyczeli go odstępczym mamelukiem. Agricola w Berlinie daje mu tytuł „czarta południowego" [3], a Buchholzer zowie go czarnym szatanem".

Umiera on z goryczą w sercu; a ledwo zamknął powieki, zgraja studentów wpada do jego domu, pustoszy go i niszczy. Teologowie z Jeny wyrzekli, że „Melanchton z tej samej jest mąki, co dwaj najzawziętsi wrogowie Chrystusa: Kalwin i Bullinger". Porównywano go do Salomona, „który zrazu doskonale pisał księgi, lecz niezadługo potem popadł w bałwochwalstwo". Predykant *Musculus* żądał nawet, aby zwłoki jego były wydobyte z grobu i wraz z wszystkiemi jego książkami spalone na stosie [2]. *Sic transit gloria mundi.* Tymczasem walka między teologami wrzała, sięgając

[1] Str. 174.
[2] Str. 491.
[3] Ps. XC. 6.

coraz dalej aż do najniższych warstw ludu. Lud ten zapomniał swego katechizmu i staczał po piwiarniach i golarniach zacięte boje, kłócąc się o to, po czyjej stronie prawdziwa wiara tj.: czy akcydentaryuszem być trzeba, czy też zgodzić się na to, że „djabeł jest garncarzem człowieka". Twierdzono, że kobiety brzemienne mają djabła w swem łonie, a gnijące trupy zawierają w sobie istotę grzechu pierworodnego. Przy szermierce językowej nie obeszło się bez krwawych starć i bójek na większe rozmiary. W ten to sposób pijani chłopi i studenci wykładali sobie czystą ewangelię [1].

Tysiąc najrozmaitszych opinij podchwytywało się nawzajem jak fale wzburzonego morza. „Ludzie w końcu sami nie wiedzieli w co wierzą"... Wielu rzuciło się w przepaść skrajnej niewiary, innych znów opanowała najgrubsza zabobonność, w której djabeł pierwszorzędną odgrywał rolę. W Wejmarze, w kościele parafialnym widziano szatana w cielesnej postaci, stojącego obok predykanta Mirusa. Osyander, według relacyi swych przeciwników, miał mieć dwóch djabłów w psiej postaci nieodstępnymi towarzyszami. Albrecht Pruski całą duszą oddany był zabobonom, i cały obłożony amuletami. August elektor saski, używał geomancyi do wyśledzenia tajnych kalwinistów i innych heretyków. Za to każdy do nauk pochopniejszy predykant niepewny był swego życia. Chłopi i studenci ściągali go z kazalnicy i okładając kijami wyrzucali z kościoła, a to tylko dla tego, że pierwszy lepszy szewc lub krawiec osądził, że lepiej od niego rozumie ewangelię. Podobne sceny działy się w Królewcu, Wiedniu, Jenie i t. d. [2]. Protestantyzm tak w swoich sektach jak i w zapatrywaniach pojedyńczych członków całkowicie z sobą niezgodny i sprzeczny, na jednym tylko punkcie zlewał się w akord harmonijny, tj. tam, gdzie chodziło o słowne lub czynne wyrażenie nienawiści przeciw katolikom. Stawiano ich na równi z poganami, nazywano zgrają piekielnego Antychrysta. Te i tym podobne uczucia i myśli głoszono z ambon, na synodach i sejmach. Nie mniej i w praktycznym kierunku prozelityzm nie słabnął, ale szedł dalej raz obranym torem, dążąc chytrością lub przemocą do zlutrzenia całych północnych Niemiec. Fryderyk III. zniósł

[1] Str. 92, 472.
[2] Str. 179, 183, 418.

w Palatynacie nadreńskim 55 klasztorów i zakładów, a Krzysztof Wirtemberski 68. A z jakiemże szyderstwem spełniali oni te i tym podobne zbrodnie! Kapłanom, co wiernie trwali pod sztandarem wiary i swych obowiązków, ścinano głowy bez litości, bez sądu. Obrazy, organy, i całe biblioteki szły na pastwę płomieni! Konsekrowane hostye rzucano papugom i innym zwierzętom! I za takie to czyny nadawano książęcym podpalaczom imiona Gedeonów, Jozuych i t. p. W obec tych wszystkich bezprawi, niemieccy cesarze z wyjątkiem Ferdynanda I., okazali się bezsilnymi. Owszem, taki Maksymilian, protestant duchem i sercem, radował się z bohaterskich czynów swej braci, bolał tylko nad tem, że niezgoda podkopuje protestancką potęgę i pragnął gorąco jedności, „aby papieżowi zdjąć wreszcie głowę z karku“ [1].

Lecz oto przesuwają się przed nami w strasznych obrazach, nowe choć już dalsze następstwa reformacyi w Niemczech. A mianowicie coraz większe wzmaganie się politycznego upadku państwa, utrata ziem, i co za tem idzie, niesława w obec państw ościennych. Dalej osłabienie sfer rządzących, nieuleczalny rozstrój wewnętrzny, coraz gwałtowniejszy fanatyzm protestantów, wzrost liczebnej mnogości sekt, tyrania książąt, ciemiężenie katolików dochodzące prawie do ostateczności i okropna zdziczałość ludu. Moskwa zagarnia Inflanty; Księstwo Pruskie zachwiane; Francya nieprawnie trzy biskupstwa sobie przywłaszcza i za nowemi zdobyczami wyciąga ręce. Buntowniczego księcia Oranii wspierają w Niderlandach niemieckie wojska i niemieckie złoto. Nikczemna Elżbieta, królowa Anglii, dobija z Francyą targu o lenności niemieckiego Państwa. Turcy w czasie pokoju zabierają corocznie około 20.000 jeńców w niewolę; a protestanckie stany mimo to odmawiają cesarzowi pieniędzy i zbrojnych posiłków, choć groźne niebezpieczeństwo jest i potrzeba niezbędna, owszem radują się one z tego w duchu, pragnąc usługi ofiarować swe Francyi, temu odwiecznemu wrogowi Habsburgów. A bynajmniej nie poczytywano sobie za hańbę francuskiem tuczyć się złotem, i „lilię mieć w sercu wyrytą a koronę niemieckich cesarzów składać u stóp Francuza“ [2].

[1] Str. 198.
[2] Str. 223.

„Święte państwo rzymskie niemieckiego narodu w okropnym było stanie: to też naród ten poszedł w poniewierkę u wszystkich narodów“ [1]. Takie skargi wychodziły w owych czasach z ust i z pod pióra rozsądnych protestantów. I w istocie gdyby Pius V. nie był zgotował Europie dnia bitwy pod Lepanto, dnia, który nazywano „najpiękniejszy dniem całego stulecia“, to i cóżby się podówczas było stało z Niemcami?!... A któż był sprawcą tego nieszczęścia? kto przywiódł państwo aż nad brzeg przepaści? Kto krwawą rewolucyą zapalił kraj cały? kto pchnął kolejno do buntu dwie skrajne warstwy narodu, poczynając od mętów pospólstwa, a kończąc na szumowinach książęcych?...

Bezstronne, przedmiotowe a na nieposzlakowanych źródłach oparte „Dzieje“ Janssena dowodzą, że nie Kościół był tu pobudką lub powodem. Kościół pragnął naprawy czyli reformy i rzeczywiście jej dokonał. Najwymowniej świadczy o tem sobór Trydencki. Nawet najnowsze stowarzyszenie historyczne: *Verein der Geschichte für die Reformation* [2], którego specyalnym wydziałem są dzieje reformacyi — alternatywy tej rozstrzygnąć nie umie. To też jedno z angielskich czasopism, z bolesnym przekąsem odzywa się do tego stowarzyszenia słowami, które jakiś Szwajcar o niem powiedział: „gdyby byli milczeli, przynajmniej ocaliliby swą sławę“. *Si tacuissent, philosophi mansissent.* (Dok. nast.)

A. Kraetzig.

---

[1] Str. 282.

[2] Stowarzyszenie to założone zostało w tym właśnie celu, aby na historycznej arenie przeciwstawić Janssenowi poważny szereg zapaśników, którzyby wspólnemi siłami przeciw jego „Dziejom“ walkę podjęli.

SCHLIEMANN I JEGO ODKRYCIA.

Henryk Schliemann jest z wielu względów zjawiskiem podobno bezprzykładnem. Poświęciwszy się na usługi nauki tak idealnej, jak archeologia t. zw. przedhistoryczna, tak wyłącznej i wśród tak szczupłego grona zawodowców wzbudzającej dotychczas zajęcie, zdobywa jej jednym zamachem rozgłos i popularność, jaką nie cieszą się nawet praktyczniejsze umiejętności w naszym wieku materyalizmu. Dyletant w całem słowa znaczeniu, w późnych stosunkowo latach zamieniwszy kupiecką wagę i łokieć na gramatykę, słownik i kilof archeologa, wprowadził po kilku latach badań, jeden z największych przewrotów w naukę strzeżoną przez profesorów tak zazdrośnie, jak może żadna inna, bo w filologię klasyczną. Człowiek ubogi, opuszczony i zaniedbany za młodu, już jako dorosły nieumiejący nic, nawet czytać i pisać porządnie, nieposiadający nic prócz dziesięciu palców do pracy, naraz staje się mecenasem, który miliony rzuca na cele naukowe. Już sama ta legendarna karyera wskazuje, że Schliemann musi być człowiekiem ze wszech miar niepospolitym, a zaciekawia do bliższego poznania przebiegu tak nadzwyczajnego żywota. Opisał on go sam w przedmowie do dzieła: „Ilios, miasto i kraj Trojańczyków“, która wiele daje do myślenia i wiele uczy, a czyta się jak najciekawsza powieść.

I.

Schliemann przyszedł na świat w r. 1822 w małej mieścinie meklemburskiej jako syn pastora. W ustroniu prowincyonalnem przepędził cały wiek dzieciństwa. Choć tylko zaznał wówczas miejscową

szkołę ludową, to jednak wcześnie obudziły w nim zmysł do rzeczy dziwnych i tajemniczych gawędy ojca, który między innemi bardzo lubił opowiadać o wojnie trojańskiej. Prawdziwie namiętny interes powzięty dla tej ojczyzny bohaterów i walk cudownych skrystalizował się już w dziecku jako postanowienie odkopania kiedyś szczątków zburzonego miasta. Myśl ta stała się programem życia, a rzadko chyba zdarza się, aby zamiar tak fantastyczny i pozornie dziecinny, pielęgnowany z tak wielką wytrwałością, doczekał się tak świetnego spełnienia.

W pośród towarzyszów, którym ze swych pragnień się zwierza, zaprawia się wczas do zwalczania niedowierzań i drwin, jakie zwykle wszelką wyższość spotykają od pospolitej miernoty. Ale co godne uwagi, to, że wyrozumienia i zachęty doznaje od kobiecego serduszka, od szkolnej koleżanki imieniem Minna, która tak przejmuje się jego awanturniczemi planami, że ta para dzieci w marzycielskim szale ślubuje sobie dozgonną wierność i postanawia wspólnie kiedyś odkopywać Troję. Dziwnie zajmującem jest czytać szczegółowo, jak chłopiec jedenastoletni, w skutek śmierci matki na ciężkie wystawiony doświadczenia losu, dostawszy się do gimnazyum, zmuszonym jest dla niedostatku opuścić je już po trzech miesiącach, następnie idzie do szkoły realnej, aby i tę porzucić, i w czternastym roku życia przyjąć miejsce ucznia w sklepie kramarza. Na tem lichem stanowisku ani na chwilę jednak nie spuszcza z oka idealnych swoich celów, a namiętny zapał jego dla Grecyi doznaje nowej podniety, gdy razu pewnego wszedł do kramu wykolejony adept nauki i wydeklamował w oryginalnej osnowie cały jeden ustęp z Homera. Wrażenie, jakiego teraz doznał biedny kupczyk, było niesłychanie głębokie. „Od tej chwili nie przestałem Boga prosić, aby mi w swojej łasce dał to szczęście, kiedyś nauczyć się po grecku“. Tak wyraża się Schliemann, który w krótce potem szukał polepszenia bytu w Hamburgu w różnych handlach, lecz niebawem zawód ten zmuszony był opuścić, popadłszy w skutek nadmiaru pracy w ciężką chorobę piersiową. Przyszedłszy do siebie, próbował służby okrętowej, zaciągnąwszy się jako chłopiec kajutowy na handlowym okręcie hamburskim, płynącym do Wenezueli. O niedostatku naszego bohatera może dać wyobrażenie, że aby sobie na drogę sprawić wełnianą kołdrę, musiał on sprzedać jedyny tużurek. Wyprawa się

nie udała: nieopodal ujścia Elby gwałtowna burza schwyciła okręt i zagnała go na wschód ku wybrzeżom holenderskim, tak, że rozbił się na wysokości osławionej u żeglarzy wyspy Teksel, zamykającej zatokę Zuider-zee. Po dziewięcio-godzinnej walce z rozhukanemi bałwanami dobiła załoga na małej łódce do lądu. Schliemann po wielu przeciwnościach przybył do Amsterdamu, gdzie o chłodzie i głodzie, nikomu nie znany, szukając umieszczenia, znalazł w końcu schronienie w szpitalu.

W tem strasznem położeniu podał mu ponownie rękę hamburski agent okrętowy Wendt, którego życzliwości już poprzednio Schliemann był doświadczył. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, otrzymał on list z opisem nieszczęść Schliemanna, właśnie podczas wesołej uczty w gronie zamożnych przyjaciół. List odczytany głośno wzbudził żywe współczucie biesiadników, a doraźna składka dostarczyła kwoty 240 złotych. Towarzysząca tej zapomodze rekomendacya ułatwiła biedakowi umieszczenie się w pewnym amsterdamskim domu handlowym, co prawda, na bardzo podrzędnej posadzie posłańca kasowego. Nie złamany przeciwnościami, skoro tylko poczuł cokolwiek gruntu pod nogami, zabiera się do wypełnienia braków swojego niedostatecznego dotąd wykształcenia. Wśród twardych warunków życia i dobrowolnych umartwień, bierze u niego początek wyższy, męski kierunek, który dał pole do rozwinięcia się temu dziwnie wytrwałemu i silnemu charakterowi. Tylko dla tak żelaznej energii możebnem było, w pogoni za raz obranym celem taki rozwinąć zapał, żeby z płacy rocznej 800 franków, połowę obracać na koszta nauki. Prawda, że na śniadanie zadowalniał się zupą z mąki żytniej, a na obiad nigdy więcej nad 16 fenigów nie wydał, mieszkał zaś w nędznej nieopalanej izdebce na poddaszu. W nauce, której się mimo tego oddał namiętnie, nigdy dla celów idealnych nie spuścił z oka ceny praktycznej. Zbogacenie wiedzy miało teraz przedewszystkiem podnieść jego zdolność i wartość jako kupca. A do tego przedewszystkiem okazała się pożyteczną nauka obcych języków. Potrzeba pośpiechu naprowadziła go na metodę, której owoce były nadzwyczaj pomyślne, a która na tem głównie polegała, aby ogromnie wiele głośno czytać i uczyć się na pamięć. W ten sposób np. nauczył się na pamięć całego *Vicar of Wakefield*, tudzież *Ivanhoe*, chodząc zaś pilnie na angieskie kazania, powtarzał so-

bie po cichu każde słowo słyszane. To też po angielsku nauczył się za pół roku, a powoli doszedł do takiej łatwości, że nie troszcząc się o gramatykę, po kolei przyswoił sobie prawie wszystkie żyjące języki europejskie, każdemu z nich poświęciwszy kilka miesięcy, a czasem nawet tygodni tylko. Czy jedynie dzięki tej tak bardzo przezeń zalecanej metodzie? wolno powątpiewać. W każdym razie cel osiągnął — a prawdziwie ze wzruszeniem się czyta, jak biedny posłaniec na wszystkich swoich bieganinach, nawet w deszcz, zawsze trzymał w ręku książkę, z której uczył się na pamięć; jak, nawet czekając na poczcie, zawsze czas zapełniał czytaniem. Ktoby go był spotkał wówczas na ulicach Amsterdamu, nie domyślilby się, że niepokaźny podrostek kiedyś odkopie Troję. Nawet w nocy, gdy ze zmęczenia spać nie mógł, powtarzał sobie w myśli czytanie dzienne.

Łatwo pojąć, że przez takie ćwiczenie niesłychanie wyrobił sobie pamięć, tak, że przeszedłszy języki germańskie i romańskie, mógł wziąść się i do rosyjskiego, którego nauczył się jedynie z pomocą starej gramatyki, słownika i jakiegoś przekładu Telemaka Fenelona. Dla większej wygody zgodził sobie za 4 franki tygodniowo biednego Żyda, który co wieczór dwie godziny musiał słuchać głośnych deklamacyj swego protektora. Ale hałas przechodzący przez cienkie przepierzenia holenderskich domów, tak niepokoił sąsiadów, że dwa razy podczas tych studyów musiał Schliemann zmieniać mieszkanie.

Wreszcie w 22-im roku doczekał się polepszenia bytu z awansem na korespondenta i buchaltera znacznego amsterdamskiego domu handlowego. Można sobie wystawić radość, gdy początkowa płaca 1200 franków niebawem do 2000 podwyższoną została. W r. 1846 wysłany jako agent do Petersburga, taką rozwinął działalność, że wkrótce na własnych mógł stanąć nogach. W chwili uzyskanej niezależności wspomniał na kochankę swoich lat dziecinnych, lecz ku wielkiemu bólowi dowiedział się, że ta, właśnie rękę i serce oddała innemu. Wiadomość ta na długo pogrążyła go w żałobie i zobojętnieniu.

Najbliższe lata wypełniła czynność kupiecka i podróż do Kalifornii, gdzie uzyskał obywatelstwo amerykańskie. I słusznie, że się o nie starał, bo jeżeli w kim to w nim jest coś z natury amerykanina, pewna rzutkość i śmiałość, siła woli, prze-

zorność, zręczność do interesów handlowych i wielkoduszna ofiarność na cele idealne. Przerzuca on się z łatwością w różne zawody, rozpoczyna kolejno na wielką skalę spekulacye indygiem, przyborami wojennemi, herbatą, oliwą, bawełną, zawsze z całą energią, i z takim skutkiem, że niebawem na samym handlu indygiem zarabia rocznie czystych 200.000 marek. Straty wydarzające się czasem wyrównywa znów dziwne szczęście, z jakiem np. 1854 r. w Memlu cenny skład towarów Schliemanna jakby cudem wychodzi cało z ogólnej pożogi. Jakkolwiek wśród tej gorączkowej działalności i przedsięwzięć handlowych naukowa praca musiała być na bok odłożoną, znalazło się przy gorliwości Schliemanna jednak mimo to dość czasu do wyuczenia się kilku nowych języków, z których jednym — co warto podnieść — był język polski, drugim zaś przedmiot dawnych pragnień: cudowna mowa Homera. Początek do niej zrobił na języku nowogreckim, a wziąwszy się potem do klasycznego, przy którym użył, już wyżej wspomnionej metody praktycznej, tej samej co zwykle, zdumiewająco prędko posiadł znajomość języka i literatury greckiej. Na zakończenie zapoznał się jeszcze z łaciną.

Zbliżał się czas zebrania owoców tak usilnej i wytrwałej pracy. Majątek przez nią i szczęśliwe spekulacye zebrany pozwolił pomyśleć o dawno powziętych zamiarach, które na lepszą chwilę odkładane nie przestały jednak nigdy jak punkt świecący stać przed oczyma czynnego tego ducha. Miały się niebawem skończyć długie *Lehrjahre*. Zanim jednak wstąpił na drogę, która urzeczywistniała właściwe powołanie jego, a stała się chwałą i zajęciem całego dalszego życia, uczuł potrzebę popróbować i *Wanderjahre*, obejrzeć się jeszcze po świecie dla rozszerzenia horyzontu umysłowego. W tym celu puścił się w r. 1858 w podróż po różnych dalszych kończynach Europy, dotarł do Egiptu, stamtąd do Palestyny i Syryi, aby powrócić przez Cyklady i Ateny. Druga podróż w kilka lat później zawiodła go przez Tunis i Egipt do Indyj, Chin, Japonii a dalej w około świata przez Ocean spokojny, Kalifornię, Stany Zjednoczone, Antylle i Meksyk. Nie zaniedbując nawet w tym czasie interesów handlowych, powiększał jednocześnie majątek tak, że gdy wreszcie w r. 1866 osiadł w Paryżu, aby się oddać wyłącznie archeologii, ujrzał się panem kilkomilionowej fortuny.

Tak materyalnie i intellektualnie uzbrojony przystąpił wreszcie 1868 r. do urzeczywistnienia marzeń młodości, wybierając się po raz pierwszy w „kraje klasyczne“. Byłato tylko podróż jakoby oryentacyjna, w której zwiedził kolejno trzy miejscowości, pociągające go zawsze najsilniej urokiem swoich homerycznych tradycyj, to jest: ojczyznę Ulisesa *Ithakę*, stolicę Atrydy Agamemnona *Myceny*, i teatr bohaterskich bojów Dardanidów *Troadę*. W obec niewzruszonego przekonania, że stąpa po gruncie faktów historycznych, nie istniało dlań prawie całkiem pytanie, czy powinna się znaleść zupełna zgodność pomiędzy topografią tych miejsc rzeczywistą, a widownią epopei, lecz jedyne znał tylko zadanie: wszelkiemi środkami badawczemi, a przedewszystkiem „za pomocą krytyki kilofa i łopaty“ niezbicie wykazać tę zgodność wszystkim powątpiewającym. Nie dziw, że zaraz po pierwszej pobieżnej przejażdżce wszystko w jego oczach znalazło się w najdoskonalszej harmonii. Pierwsza książka, którą temu przedmiotowi poświęcił: „Itaka Peloponez i Troja“, 1868 r. zawiera już wszystkie zapatrywania, któremi się, bez względu na wszelkie zaprzeczania i krytyki, kierował przy wszystkich naukowych przedsięwzięciach. Słuszność bezwzględna tych przypuszczeń może podlegać dyskusyi; on sam niejedno z nich uznał za błędne i znacznie zmienił z czasem, niemniej przeto możemy z szczerą wdzięcznością uznać to naiwne uprzedzenie i tę niczem niezrażoną stałość przekonań, gdyż one to były tak bogatem źródłem najdonioślejszych naukowych odkryć — oczywiście obok szczęśliwego instynktu w obieraniu punktów wyjścia i niezmiernej bystrości spostrzegawczej.

Dobrze mówi niemieckie przysłowie, że szczęście lepsze od majątku. Odkąd się raz szala losu ku lepszemu przechyliła, nie przestało szczęście uważać Schliemanna jako swego szczególnego wybrańca; nie ujmując znakomitych zasług osobistych, jemu to Schliemann zawdzięcza wiele powodzenia w swoich poszukiwaniach archeologicznych, które odnalezieniem tylu skarbów uwieńczone być miały. Co prawda, pierwszy skarb jaki znalazł na ziemi greckiej był zupełnie innego rodzaju, jak te, na których poszukiwanie się tam wybrał. W r. 1870 oddała mu rękę młoda, hojnie zaletami swej narodowości i osobistej wartości uposażona, pełna wdzięku Atenka, która dorównywując mężowi w zamiłowaniu Homerowych śpie-

wów, umiała w jego sercu i życiu wypełnić miejsce owej pierwszej kochanki jego młodości, Minny. Jej to należy się niepośledni udział w późniejszych wawrzynach męża, gdyż wnosząc w małżeństwo nietylko całkowite zrozumienie wzniosłych zamysłów mężowskich, ale nawet gotowość do osobistych poświęceń dla tychże, stała się główną w ich spełnieniu podporą. Wzniosłym można zaiste nazwać widok tego niezwykłego stadła, które z zapału dla nauki pierwsze lata swego związku spędza wśród dobrowolnych umartwień i trudów, często z narażeniem zdrowia miesiące całe mieszkając na straży wykopalisk trojańskich pod namiotem lub w najpierwotniejszym szałasie. Zimowe wichry północne zmrażające wodę u ogniska, żar letniego słońca oblewający bagnistą równinę, blask i kurz narażający oczy na zapalenie, nużące dnie wśród wrzawy na pół dzikiego motłochu robotników, noce bezsenne wśród wstrętnych krzyków sów gnieżdżących się tłumnie po wydrążeniach murów i skrzeku niezliczonych żab okolicznej niziny, oto obraz przyjemności, jakie ich otaczały. Podobnie było i w Mycenach. Badacze i podróżnicy, którzy wówczas w wędrówkach swoich tę parę nowożeńców spotkać mieli sposobność, albo ze słynnej gościnności Schliemanna korzystali, nie mogą się nadziwić hartowi ducha tej osobliwszej kobiety, która nieraz, uległszy niezdrowym wpływom klimatu i leżąc chora za tymczasowem przepierzeniem w lichej chacie chłopskiej, której jedyna izba musiała służyć razem za sypialnię i salon i salę jadalną — jeszcze i wtedy nie umiała oprzeć się pokusie brania czynnego udziału w rozmowie towarzystwa mężowskiego.

Z czasem warunki życia się zmieniły. Został tylko zawsze ten sam urok osobisty i ta sama gościnność państwa Schliemannów. Od wielu już lat stanowi dom ich corocznie w zimie najprzyjemniejsze ognisko ożywionego i w najlepszem znaczeniu międzynarodowego życia towarzyskiego w Atenach. Przed sześciu czy siedmiu laty stanął przy ulicy stadionu, w pobliżu najzdobniejszego gmachu nowych Aten, akademii Siny, wykwintny, posągami przybrany pałac, cały z marmuru „pod domem Ilios“, jak opiewa na jego froncie napis grecki. Ściany jego a nawet mozaikowe posadzki przyozdobiono wyobrażeniami klasycznej treści; na parterze w ubikacyach umyślnie do tego urządzonych wystawione są dość jeszcze bogate okazy wykopalisk trojańskich, których część dostała

się, w królewskim prawdziwie darze, państwu niemieckiemu i w berlińskiem muzeum poczesne zajmuje miejsce. Trafnie wybrane wiersze Homerowe nad drzwiami różnych pokoi i sal wskazują ich przeznaczenie. Tu nasz badacz, o ile spełnianie dobrowolnie podjętych obowiązków nie przykuwa go do jednego z miejsc badań naukowych, gromadzi napływający co raz obficiej do Aten świat cudzoziemców. Z wytwornym przepychem otoczenia jednoczy się w sposób najprzyjemniejszy szczera serdeczność gospodarza i pełen prostoty wdzięk pani domu. Cztery lat temu dwoje dzieci ożywiało domowe ich kółko: Andromache, już wówczas uważana za mały geniusz pod względem łatwości do języków, i najmłodszy Agamemnon. Dla dokończenia tej charakterystyki dodajmy jeszcze, że na służącego wołają tam Pelops, służącej na imię Hekuba, a piastunce Brizeis.

II.

Bez przesady można powiedzieć, że epoka wielkich umiejętnych badań miejscowości wsławionych w wieku bohaterskim starej Grecyi rozpoczyna się od Schliemanna i prac jego. To co przed nim zrobiono, były albo specyalne studya nad pomnikami sztuki greckiej, albo tylko słabe próby w podobnym kierunku, czynione bez dostatecznego przygotowania, bez konsekwencyi i też bez wielkich owoców. Jeszcze największe na tem polu zasługi położyła Francya — Niemcy, zwłaszcza niemieccy filologowie nie mieli zbyt wielkiej wiary w realną podstawę poetycznych powieści Homerowych. Poszukiwania zresztą wymagały licznych sił i znacznych nakładów, siedziby bowiem bohaterów legendy greckiej oddawna pogrążone są głęboko w gruzach tak, że często przedstawiają się jako najzwyklejsze naturalne pagórki, pokryte grubą warstwą ziemi i bujną roślinnością. Nietylko dziś domyślić się trudno ich istnienia, ale już i w starożytności pamięć o położeniu niejednego z tych niegdyś słynnych miast i zamków zaginęła była razem z niknącemi śladami ostatnich budynków i murów. Wydaje się nam to może dziwnem. Z odległości z jakiej na historyę grecką patrzymy maleje przedział wielowiekowy pomiędzy czasami np. Peryklesa a wiekiem

Agamemnona, Achillesa i Hektora. Wszakże dla współczesnych Fidyasza, Platona i Sofoklesa wiek Homerowy był bardzo odległą starożytnością, a zważmy nadto, że w samym czasie kiedy śpiewał Homer, lub powiedzmy kiedy powstały pieśni Homera, epoka bohaterska już należała do przeszłości.

Świat przyzwyczaił się widzieć przez długie lata Francyę na czele każdego ruchu i czynu naukowego. Podobnie było i w tej sprawie. Może pierwszy popęd do zajmowania się naukowego ziemią grecką dała słynna i tak w swoim czasie popularna „Podróż młodego Anacharsysa". Przez nią Barthelemy, który sam nigdy w Grecyi nie był, w sposób godny podziwienia przygotował wykształconą Europę do przyszłych badań tego kraju.

O znaczny krok posunęła sprawę naprzód zbyt dziś zapomniana „wyprawa Morejska", ostatnie zaszczytne przedsięwzięcie upadającej po krótkim powrocie do galwanicznego życia monarchii Burbonów. Jak pod osłoną wojowników Napoleona wkroczyła armia uczonych do kraju Faraonów i zdobyła go dla nauki — tak podobnie w ślad wojsk jenerała Maison, który z początkiem r. 1828 uwolnił odradzającą się Grecyę od dzikiego najazdu awanturników egipskich, wysłanem zostało kosztem rządu francuskiego grono znakomitych archeologów, geografów i przyrodników dla zbadania i opisania ziemi klasycznej, odzyskanej świeżo dla cywilizacyi. Pobyt ich trwał lat cztery, poczem ogłoszono w wydawnictwie ciągnącem się od r. 1831—1838 p. t.: „Expédition scientifique de Morée" obszerne i wyczerpujące sprawozdanie. Wielką wyprawy tej zasługą obok sporządzenia mapy topograficznej Peloponezu jest ustalenie t. zw. w języku naukowym s y n o n i m i i, czyli dokładne określenie wzajemnego stosunku dzisiejszych i dawnych nazw gór, rzek, miast i wsi. Olbrzymia praca została wówczas tak sumiennie dokonaną, że wyników jej wcale prawie nie zmieniły późniejsze dochodzenia.

Ale prócz tego dała ta wyprawa naukowa pierwszy przykład i wykazała znaczenie wykopalisk umiejętnie prowadzonych. Było to wprawdzie dla niej rzeczą uboczną, zresztą brakowało już czasu i pieniędzy; mimo to zaczęto kopać w równinie Olimpijskiej, nie tyle dla odsłonięcia sławnych świątyń, jak raczej dla sprawdzenia przypuszczeń o istotnem położeniu świętego niegdyś miejsca, oraz grubości warstwy napływowej, która je była przykryła. To zadanie

w zupełności spełniono, i przytem odkryto szczęśliwie węgieł świątyni Jowisza. Każdy pojmie o ile to ułatwiło późniejsze znakomitemi odkryciami uwieńczone prace wyprawy niemieckiej.

Żeby ocenić całą doniosłość tych pierwszych kroków na drodze dziś już znacznie uproszczonej, trzeba sobie uprzytomnić wszystkie przeszkody i trudności, z jakiemi musiały walczyć wyprawy do ziemi klasycznej. Nie znajdowało się tam ani opieki, ani bezpieczeństwa osobistego, ani dróg dobrych, ani żywności. Nie dziw, że i po wyprawie morejskiej długo nie posuwały się naprzód badania. Od czasu do czasu zapędził się tam tylko jaki zapalony podróżnik. Najwięcej jeszcze mogli zdziałać dyplomatyczni agenci obcych państw. Ale było to najczęściej badanie dyletanckie i dorywcze. Francuska dopiero szkoła ateńska założona r. 1847 zaczęła wprowadzać w poszukiwania więcej nauki, ładu i wytrwałości. Wszakże kierowani poczuciem artystycznem wysłańcy jej zwrócili się głównie do budynków z epok późniejszych, widocznych jeszcze na powierzchni ziemi, studyowali je, zdejmowali pomiary, restaurowali. Do szukania w ziemi zabytków dawniejszych nie mieli ani odpowiedniego ducha, ani funduszów.

I tak się stało, że aż do wojny francusko-pruskiej zaledwie kilka prób wykopalisk zrobiono, w ostatnich latach namnożyło się tylko antykwarzy i spekulantów, którzy poszukując drogich klejnotów, wyćwiczeni w odnajdywaniu i przetrząsaniu grobów, niszczyli je, ku wielkiej szkodzie nauki.

Rok 1870 stanowi w dziejach archeologii greckiej wybitny przełom. Z jednej strony do ożywienia badań i wypraw naukowych przyczyniło się znacznie względne ustalenie pokoju europejskiego w latach najbliższych wojny prusko-francuskiej; z drugiej strony temu kierunkowi nauki przyszedł silnie w pomoc nagły rozwój archeologii t. zw. przedhistorycznej. Obudzony ruch i interes około poszukiwań i zakładania zbiorów wykopalisk będących dziełem ręki ludzkiej, a dawniejszych od wszelkich świadectw piśmiennych, uwieńczony szczególnie obfitemi rezultatami w Danii, Szwajcaryi i Włoszech, wydobył na jaw całe skarby nowych źródeł historycznych, zmieniając znacznie zapatrywania uczonych na najdawniejsze epoki cywilizacyi i historyi. Więc też i badania około początków kultury greckiej musiały cofnąć się w głąb wieków i zapuścić pod

powierzchnię ziemi. Schliemannowi przypadła chwała otwarcia szeregu wielkich odkopów na ziemi klasycznej, które promieniem światła wydobytym z czarnych głębokości ziemi tak silnie oświeciły odległą i zamierzchłą starożytność.

Pierwszem jego polem działania była Troja, której opisy najpierwej przybrały były w jego dziecięcej wyobraźni kształty rzeczywiste.

Gdzie leżała Troja Homerowa? Oto pytanie, które należy do najstarszych spornych kwestyj topografii naukowej. Przeciw tradycyi, która *Nowe Ilion* uważała za prawowitego następcę wsławionej przez poezyę stolicy, powstała już w drugim wieku przed Chrystusem wątpliwość, czy położenie tego miejsca może odpowiadać opisom walk homerowym. Istotnie łatwo nie jest zbić całkowicie raz podniesioną wątpliwość. Jeżeli kto szuka miejscowości we wszystkiem zgodnej z wszystkiemi wskazówkami zaczerpniętemi z poezyi, to takiej chyba nie znajdzie ani na całej przestrzeni trojańskiej równiny, ani nigdzie na świecie. Jeżeli znów przyjmie się zasadę, że tylko pewna część szczegółów jest rozstrzygającą, reszta zaś jako *licentia poetica* może być uważaną, wtedy otwiera się szerokie pole wszelakiej dowolności w zastosowywaniu tekstów. Ten przykry dylemmat skłonił niektórych do zajęcia stanowczo przeczącego stanowiska w tej sprawie. Według nich, poeta w ogóle nie miał żadnej określonej miejscowości na oku, a słynne miasto byłoby po prostu utworem jego fantazyi. Dopomagała do ominięcia trudności teorya o powstaniu Iliady z pojedyńczych śpiewów, których twórcy mogli mieć najróżniejsze wyobrażenia o położeniu Troi. Wreszcie byli i tacy, którzy odsuwając na bok *Ilios* Homera, starali się uratować jakieś *Ilios* historyczne i dojść jego pierwotnego położenia z warunków strategicznych.

Ta to myśl jest źródłem przypuszczenia o dzisiejszej wsi Bunarbaszi. Miejscowość tego nazwiska istotnie najwięcej w równinie Trojańskiej przedstawia warunków obronności, a biorąc rzeczy powierzchownie, pojęciom naszym o Troi niezupełnie się sprzeciwia, przedstawia nawet pewne analogie z położeniem innych współczesnych gniazd bohaterskich, zwłaszcza Mycen. Hipoteza bez zaprzeczenia zmyślna, znalazła zwolenników nawet między powagami od czasów Lechevaliera, aż do żyjących jeszcze Curtiusa i Moltkego. Dopiero

Schliemanna odkrycia pogrzebały ją podobno na zawsze. Może być, że kiedyś w bardzo odległej starożytności było w Bunarbarszi gniazdo dynastyi, która nad równiną Troi panowała. Lecz skoro pomiędzy tą górą a wybrzeżem morza, znalazł Schliemann w Hisarliku czyli Nowem Ilium gruzy przedhistorycznej, długie wieki zamieszkałej, warownej i bogatej w złoto osady, której położenie w głównych rysach odpowiada Homerowym obrazom i opowiadaniom, to przyznać wypada, że albo tu była Troja, albo nigdzie. I mamy prawo szukać realnej tych obrazów podstawy. Podanie historyczne nie tyle może wymyśla, co łączy i kombinuje. Przerzuca ono z wielką swobodą nazwiska i miejscowości, ale początek jego nie da się pomyśleć bez tła historycznych zdarzeń i potrąceń. W tym wypadku przedmiotem jest zburzenie miasta przez Greków, po długoletnim i uporczywym oporze. Walka taka musiała być rozgłośnym wypadkiem dla współczesnych i z pewnością na długo w pamięci ludzkiej się wyryła. Nie można przypuścić, aby miasto obecnie odkryte nie było tem sławnem miastem, boć drugiego takiego w całej równinie trojańskiej nawet nie było nigdy. Gdy Iliada powstała, może już miasto oddawna nie istniało. Mimo tego wątpić trudno, że poeta (lub rapsodowie) położenie jego znali dokładnie. Wskazówek na to pełno w poemacie, nietylko co do ogólnych warunków geograficznych, klimatycznych i florystycznych, ale nawet co do przypadkowych szczegółów, jak mogiły grobowe otaczające miasto, i t. d. Jeżeli weźmiemy opis walk Iliady, pokaże się, że i odległość od morza nie jest zbyt wielką, aby z murów Troi nie można było dojrzeć szeregów walczących, a nawet pojedyńczych rozróżnić dowódzców, jak to Helena czyni. A przecież jest znów przestrzeń dostateczna do rozwinięcia walki, która w ciągu jednego dnia sześć razy przenosiła się od miasta do wybrzeża morskiego. Dziś jeszcze można sobie doskonale wyobrazić słynną ucieczkę Hektora przed Achillesem do około murów warowni, i znaleźć trzciną zarosłe bagno, poniżej miasta, w którem ukrył się Odyseusz. Wreszcie nie bez prawdopodobieństwa da się przeprowadzić określenie, która z otaczających miasto mogił jest Homerową mogiłą Ilosa, która Aisyetesa, lub Amazonki Myryny. Największą topograficzną trudność stanowi bieg tak ściśle w Iliadzie oznaczony dwóch rzek Simoisa i Skamandra. Badania przyrodnicze, mianowicie Virchowa

„Przyczynki do krajoznawstwa Troady“ wykazują, że pod względem odpływu wód do morza, okolica miasta znacznie się zmieniła; pewne zresztą drobne nieścisłości podobno zawsze trzeba będzie położyć na karb swobody poetyckiej.

Prace około odkopania Troi rozpoczął Schliemann 1871 r. w towarzystwie żony, pięknej Greczynki. Wyniki ich wydał w dziele: „Trojańskie starożytności“ 1874 Spotkawszy się z krytyką, i sam niezadowolony, w r. 1879 wspólnie z Burnoufem, dyrektorem szkoły ateńskiej za drugiego cesarstwa, ponowił poszukiwania i w r. 1881 wystąpił ze wspaniałą książką o 880 stronach druku, 1800 rycinach, mapach, planach tak litograficznych, jak na drzewie rytych p. t.: „Ilios miasto i kraj Trojańczyków“. I na tem nie poprzestał. Na podstawie jeszcze nowszych odkopów, dokonanych w r. 1882, wydał 1884 r. uzupełnienia i poprawki w książce „Troja“ ozdobnej 150 rycinami i kilkoma planami i mapami. Zaiste podziwienia godna to sumienność w dążeniu do prawdy i uprzystępnianiu jej światu naukowemu.

O dokładności, z jaką Schliemann przedsiębierze swoje poszukiwania, tylko samo przeczytanie jego dzieł i sprawozdań dać może dostateczne wyobrażenie. Niepodobieństwem jest wdawać się w bliższe o tem szczegóły, które zresztą o ile się Troi tyczą, należą do rzeczy już dawniejszych. Poprzestanę więc na podniesieniu kilku punktów ważniejszych.

Aby sobie uprzytomnić niektóre zadania, jakie tu stanęły przed Schliemannem, trzeba wiedzieć, że Troja była jedną z tych miejscowości, które naturą położenia swego, czy dziejowych warunków, przez bardzo długie wieki nęciły ludzi do osiedlania się. W miastach mających długą historyę można odróżnić kilka warstw budowlanych, w których epoki zapisały kamiennemi głoskami swoje następstwo. Lecz jeżeli w miastach naszych warstwy te do pewnego stopnia wrastają jedna w drugą i zacierają się, to na Wschodzie, w skutek odmiennego sposobu budowania, bywają one wyraźniejsze i lepiej się odcinają. Nie było tam, a w wielu miejscach do dziś dnia nie ma zwyczaju robienia pod budynkami piwnic, a zatem i zbyt głębokich fundamentów. Po każdym więc przewrocie lub klęsce, nowa epoka miast nie rozpoczyna się od uprzątania szczątków budynków zniszczczonych, dla oczyszczenie terenu, tylko zarówny-

wują gruzy i na ich powierzchni zaczynają nowe stawiać domy. W Troi znalazł Schliemann warstw takich odrębnych aż siedm, które po głębszym namyśle sprowadził w ostatnich opisach do sześciu. Druga z nich, licząc od dołu, byłaby właściwym Priama grodem, jak to wskazują ślady gwałtownego pożaru, który całą powierzchnię jednostajnie spustoszył, wielkie cegły stopił, i znaczne ilości zboża oraz innych zapasów w węgiel zamienił. Odpowiada on zupełnie podaniu o zniszczeniu tego miasta przez greckich bohaterów. Warstwa ta leży mniej więcej w głębokości 22 stóp popod dzisiejszą powierzchnią wielkiego pagórka Hisarlik, który rozmiarami swojemi da się tylko porównać z górami gruzów sławnych stolic Mezopotamii. Warstwy wyższe należą do osad dużo późniejszych. Przedstawiały i one niejeden interes, nawet artystyczny; przedmioty w nich znalezione przechowano starannie; jako całość, osady te późniejsze pod żadnym względem nie mogły ważnością swą mierzyć się z „świętem Ilios“: to też dlań niemiłosiernie poświęcone być musiały.

Z dwóch działów składają się wyniki wykopalisk, dokonanych w zamienionych w gruzy odwiecznych miastach i murowanych siedzibach ludzkich. Wydobywają one na wierzch budowle zasypane i całkowicie nieznane, często nawet przez tradycyę zapomniane od dawna. Powtóre zbogacają zbiory naukowe mnóstwem przedmiotów sztuki, lub użytku codziennego, które pozwalają nam wnikać w szczegóły i warunki życia pokoleń od kilku tysięcy lat zamierzchłych, czasem narodów całkiem znikłych, Fenicyan, Pelazgów, Trojańczyków i t. d. znanych dawniej jedynie z nazwiska, albo z książek. Dziś możemy widzieć broń, którą w ręku miewali, narzędzia i sprzęty, któremi się posługiwali, ozdoby któremi królowie ich przystrajali ciało i szaty swoje; nawet obrazy, któremi zdobili ściany świątyń i mieszkań swoich, i płody, które ich żywność stanowiły.

Co do Troi, plon pierwszego rodzaju był niestety nie zbyt obfitym. Naprzód zniszczenie tego miasta przez zdobywców musiało być strasznem, tak, że tej klęsce mało co się oparło; powtóre niepodobna było przestrzeni tak znacznej odkryć zupełnie przez usunięcie całej pokrywającej ją masy ziemi i gruzów warstw późniejszych. Wynikła stąd potrzeba ograniczania się do przekopów ro-

bionych w różnych kierunkach, i szybów, czyli studzien, w różnych miejscach zakładanych. Dopiero, gdzie te na coś ważniejszego naprowadziły, rozszerzano poszukiwania do około. Jednak i z tych przerywanych odkopów dały się odtworzyć plany bardzo pouczające. Widzimy tam wyraźnie nieregularny wieloboczny obwód grodu trojańskiego, starego Pergamos, z murami w części podwójnemi, uzbrojonomi w baszty występujące. Z trzech bram najbardziej zadziwiającą jest południowa, jak się zdaje później zarzucona w skutek pożaru, który ją zniszczył. Bronią jej niesłychane masy murów, a długość przejścia jej wynosi nie mniej niż 30 metrów. Jeszcze widać po obu stronach ślady drewnianych węgarów, które zapewne służyły za oparcie dla drewnianej niewątpliwie powały. Mury same od zewnątrz budowane na szkarpę, w części dolnej są z kamienia łamanego, w górnej z cegły. Jedną z rzeczy najosobliwszych jest, że te mury z surówki zbudowane, dopiero po skończeniu były w całości swej wypalane. Wskazują to między innemi otwory dość głębokie, widocznie ku temu celowi w równych odstępach zostawiane.

Reszta odnalezionych murowanych pozostałości miasta, bardzo niejasno się przedstawia, i może nigdy całkiem nie będzie wyjaśnioną, gdyż kilka najstarszych warstw krzyżuje się i miesza ze sobą. Tyle tylko powiedzieć można, że reszty samego pałacu książęcego odpowiadają swoją potęgą i rozmiarami pojęciom naszym o siedzibie monarszej z czasów bohaterskich. Ale nie trzeba zaraz odszukiwać mieszkań wrzekomych 50 synów Priama. Homer z pewnością miał wyobrażenie co to za cenny przywilej jest *licentia poetica* a w każdym razie żyjąc w 500 może lat po wojnie Trojańskiej, musiał w obrazie obyczajów i urządzeń zapadłej epoki zapożyczać szczegóły zaczerpnięte z własnych swoich czasów.

Mury i górne części zabudowań są oczywiście zupełnie zniszczone, ale odkopane fundamenta dały pole do bardzo doniosłych dochodzeń i odkryć. Mianowicie prawie w środku warowni, znalazły się pozostałości dwóch większych konstrukcyj, stanowiących widocznie część naczelną miejscowości. Schliemann początkowo uważał je za dwie świątynie — aż dopiero późniejsze wykopaliska Tyryńckie wykazały jawnie, że musiały to być poprostu główne ubikacye pałacu książęcego: sala rycerska oraz mieszkanie kobiet, złożone z dwóch izb i oddzielone od mieszkania mężczyzn wąskim koryta-

rzem. Mówiąc o Tyrynsie będziemy musieli powrócić do tego przedmiotu; nie wdając się więc teraz w bliższy opis planu pałacu z epoki bohaterskiej, który tam daleko wyżej okaże się rozwiniętym choć analogia jest najzupełniejszą, wspomnę tylko, że przez odkrycia Schliemanna, sprawa pochodzenia kształtu świątyni greckiej jednym zamachem rozwikłaną została: tak w rozkładzie najdawniejszych historycznych świątyń jak w planie domów mieszkalnych znajdujemy przedsionek *(pronaos)*, izbę *(naos* albo *cella)* i czasem jeszcze izbę tylną *(opisthodomos)*. Świątynia bowiem w pojęciu ówczesnem nie była niczem innem jak domem, mieszkaniem Boga; i nic naturalniejszego, jak że dano jej rozkładowi za podstawę najcelniejszą część pałacu książęcego, salę mężczyzn czyli *megaron*. Gdy to wiemy łatwiej nam będzie zrozumieć podanie, według którego Erechtheus swoje mieszkanie na *akropoli* ateńskiej zamienił na świątynię, zwaną od jego imienia Erechtheion. Co do mieszkania kobiecego, rozkład jego podobny, lecz o dodanej jednej izbie, wyjaśnienie znajduje u Homera, który w Iliadzie opowiada, że dom Parysa składał się z przedsionka, izby mieszkalnej i sypialni pana domu *(aule, doma* i *thalamos)*.

Przechodząc do znalezionych tam drobniejszych przedmiotów i sprzętów, powiemy ogólnie, że liczba ich jest niezmierna, a rzucają one silne światło na stan kultury ludzi, którzy ich używali, widzieć zaś je i studyować łatwo, gdyż cały tak różnorodny zbiór ten wywiezionym został do Europy, a podarowany przez Schliemanna pruskiemu rządowi, stanowi obecnie część muzeów królewskich w Berlinie i doskonale jest uporządkowanym.

W całości swej noszą te przedmioty cechę pierwotnych tworów ludzkiej zręczności, które zalicza się do epoki kamiennej. Najobfitszem okazało się żniwo pod względem wyrobów garncarskich. Należą one do najstarożytniejszych w swoim rodzaju. Schliemann opisując je podnosi dziwną niespożytość skorup glinianych, i słusznie zwrócił na to uwagę, że w miejscach bardzo starożytnych osad, gdzie kilka warstw cywilizacyjnych ślady zostawiło po sobie, najstarsze skorupy naczyń zazwyczaj dawniejszemi bywają od najstarszych szczątków murów. Obok całych legionów t. z. wrzecion i innych wyrobów glinianych, jakie tylko po najstarszych przedhistorycznych siedzibach człowieka napotykamy, znaleziono tam zna-

czną liczbę wszelkiego rodzaju naczyń, jak kolosalne dzbany służące do przechowania wina i innych przedmiotów żywności, urny twarzowe, w których Schliemann upatruje podobieństwo do głowy sowiej — sowa symbolem bogini Atheny; — czary o dwóch uchach, będące z pewnością owem Homerowem *depas amphikypellon*, które uczonym tyle sprawiało kłopotu, i wiele jeszcze innych przedmiotów wielkiego dla archeologii znaczenia. Ornamentyka tych naczyń jest też nader pierwotną, złożoną z kół, linij falistych, linij prostych i punktów; bardzo rozpowszechnionym czynnikiem jej na przedmiotach glinianych jest krzyż haczykowy czyli *svastika* i tak ulubiony w Grecyi i Małej Azyi *meander* zwany u nas poprostu także „greką". Wreszcie znaleziono mnóstwo glinianych figurek zwierząt i postaci ludzkich, oczywiście najpierwotniejszego rodzaju bożyszcz.

Pomijając całą mnogość narzędzi kamiennych, kościanych, między któremi kawałki instrumentów muzycznych jak lira i flet, oraz miedzianych i bronzowych, obok których znajdowane formy odlewnicze świadczą, że były płodem przemysłu miejscowego, zatrzymamy się jeszcze nad wyrobami z drogich kruszców. Nader obfite ich użycie w starożytnej Troi, dowodzi wysoko posuniętej kultury. Największe podziwienie wzbudził bogaty skarb złoty, który Schliemann znalazł u samego muru warowni w pobliżu pałacu królewskiego, i przy pomocy żony a prawie z niebezpieczeństwem życia własnemi wydobył rękoma. Stanowił on czworoboczną zbitą masę, z czego proste przypuszczenie, że niegdyś zamkniętym był w pace, z której drzewa naturalnie dawno śladu nie zostało. Zawierał on wiele naczyń srebrnych i złotych, waz, kubków, sześć srebrnych talentów (przynajmniej wedle Schliemanna), wreszcie w dużej wazie srebrnej mnóstwo złotych klejnotów do stroju, dyamenty, obręcze na głowę, kólczyki z wisiorami, pierścienie, guzy, krążki, pryzmy, to wszystko na tysiące, oraz sześć złotych naramienników; na wierzchu leżała czara złota i druga z mieszaniny złota i srebra, czyli greckiego *elektron*. Osobliwszemi są dyademy, składają się bowiem z niezliczonej ilości kółek i blaszek wiszących na łańcuszkach umocowanych na wąskiej obręczy obejmującej czoło. Wdzięczny ten strój głowy utrzymał się do dziś dnia w bardzo zbliżonym kształcie na wschodzie. W skład największego z dyademów tych wchodzi

nie mniej niż 16.000 takich części. Przy całej delikatności roboty, w wykonaniu ozdób wszakże objawia się bardzo niski stopień artystycznego wykształcenia. Nie spotykamy tu motywów ornamentacyj znajdywanych n. p. na skarbach myceńskich, a jeżeli na szpilkach i naszyjnikach trafia się czasem pierwotny motyw dekoracyi kruszczów, spirala, jest ona nie wykuta, tylko z drutu giętego przymocowana.

Cały ten zbiór kosztowności, razem znaleziony, Schliemann ochrzcił mianem skarbu Priama. Pedantyczna krytyka wyśmiała go za to; może nie zupełnie sprawiedliwie, gdyż jeżeli Hisarlik jest istotnie dawnym grodem Troi, nie byłoby niemożebnem, aby skarb tak jak i dom ogłoszony pałacem Priama istotnie należał choć nie do Homerowego Priama, to przynajmniej do jakiegoś króla z rodu Dardanidów, który mógł nawet to imię nosić. Im dalej posuwa się nasza znajomość tej odległej starożytności, tem więcej potwierdza się szczegółów tradycyi tak lekceważonej przez sceptyczną krytykę. Wszak był czas kiedy i twierdzenia największych greckich historyków o Egipcie i Mezopotamii podawano w wątpliwość, a przecie najnowsze badania archeologiczne i co do Egiptu przywróciły sławę Herodota, i co do Niniwy stwierdziły bajecznie wyglądające opisy Diodora. (Dok. nast.).

Stanisław Tomkowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Sejm czteroletni. Napisał *Ks. Waleryan Kalinka* ze Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego. Tomu II-go, część II-ga. We Lwowie 1884—1886.

Uderzający to objaw, że w społeczeństwie chorem do niedawna „na wstręt do poważnej książki", arcypoważne dzieło „Sejm czteroletni" niedokończone jeszcze, doczekało się w ciągu lat 6 trzech wydań tomu I., i tyleż wydań w ciągu lat dwóch I. części tomu II. a prośbom i nawoływaniom o dokończenie dzieła nie było miary. „Naglony o wydanie drugiego tomu, pisze ks. Kalinka w przedmowie do drugiego wydania, gdy całego ogłosić nie mogę, ogłaszam to, co do druku gotowe". Jakaż tego jest przyczyna? Czy w organizmie społeczeństwa dokonała się przemiana na lepsze i ów „księgowstręt" ustąpił, a przynajmniej zmniejszył się znacznie? Być to może, ale w każdym razie polepszenie to małoznaczne. Cóż więc się stało. Oto „Sejm czteroletni" napisany w takich warunkach, że już chyba nieuk i leniuch do ręki go nie weźmie. Imię autora znanego z prac wielu, a zwłaszcza „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta"; przedmiot sam tyle wsławiony przez wielkich i małych historyków, sejmowych i dziennikarskich polityków; przebudzenie się życia politycznego w Galicyi, tak analogiczne z tem co się na większą skalę w przededniu skonania Rzpltej działo; a przedewszystkiem talent autora równie pracowity jak artystyczny, który najzawilsze kombinacye dyplomacyi i najróżnorodniej poplątane wypadki umie opowiadać łatwo i jasno jakby codzienne zdarzenia, a ludziom i rzeczom, które lat sto temu miały miejsce, nadaje ce-

chę aktualności, wyciągając z nich jakby mimochodem naukę i „obrok duchowny“ dla dzisiejszego społeczeństwa — oto zdaniem naszem powody, dla których przy powszechnym niemal „wstręcie do książki“ Sejm czteroletni ks. Kalinki doczekał się w krótkim czasie wydań wielu. Winszujemy autorowi i książki i powodzenia — ale skąd ten jego przedziwny talent naracyi, który więzi czytelnika, zajmuje w najwyższy sposób a nie męczy, i który sprawia, że książka jego jest dziełem ściśle naukowem, a łatwą i poczytną jak powieść historyczna? Tylko: *poeta nascitur* a historyk równie jak mówca *fit*, wyrabia się. Jakże się wyrobił talent ks. Kalinki? — Patrzałem z bliska na sposób, w jaki on się zabierał do pisania swego dzieła. Gromadził najprzód przez lat blisko 20 materyał rękopisów i druków współczesnych, przejrzał go uważnie i przesortował i do każdej ważniejszej sprawy należące dokumenta w osobnej zamknął tece. Równocześnie czytał skwapliwie wszystkie nowsze opracowania i broszury, mające jakąkolwiek styczność z epoką sejmu wielkiego. Następnie gruntownem badaniem opanował materyał cały, nakreślił sobie plan szczegółowy, jak biegły budowniczy pamięta nietylko o fundamentach i murach budynku, ale o każdem okienku na poddaszu; i dopiero wtenczas zabrał się do pisania najprzód na brulionie. Potem wierny upomnieniu Horacego: *saepe verte stilum*, odczytywał sam i swoim przyjaciołom, napisane karty, prosząc o sąd i przyjmując ich poprawki, gładził chropowatość stylu, poprawiał usterki, uzupełniał rzecz samą nowemi dokumentami lub publikacyami, w miarę jak go dochodziły; w wątpliwych razach szukał światła i rady u innych uczonych, i szedł za nią; wygładzone w ten sposób i poprawione karty brulionu przepisywał z rzadką cierpliwością własnoręcznie, gładził jeszcze czasami i przerabiał i gdy już cały tom był gotowy, odleżał się, odesłał go do druku.

Sejm czteroletni, jak każdy wypadek wielkiej doniosłości, ma i mieć musi swoją podwójną historyę: historyę wewnętrznego procesu jaki przebywał zanim się stał tem, czem był; i historyę wpływów zewnętrznych, które ten proces przyspieszały lub tamowały, i które on oddziaływując znów na zewnątrz wywołać musiał. Obraz polityki zagranicznej Sejmu przedstawił autor w tomie I. i w pierwszej połowie tomu II., o którym krytyka naukowa w swoim czasie

wypowiedziała sąd nader pochlebny. W drugiej części tomu II., którą mamy pod ręką, a która obejmuje 14-miesięczny przeciąg czasu, od lutego 1790 do kwietnia 1791 r. opowiada autor znaczną część dziejów wewnętrznego procesu sejmu. Księga ta, z rzędu V. nosi ogólny napis: *Naprawa Rzeczypospolitej.* Istotnie było co naprawiać, bo obaliwszy Radę nieustającą, zniweczono wszystko, co w ciągu lat kilkunastu rząd ten nieudolny, bo skrępowany, ale przecie jakiś rząd zbawiennego dokonał. Potrzeba było 1° podnieść budżet, 2° pomnożyć i wyćwiczyć wojsko, 3° utworzyć nowy rząd. „Zadania ogromne, które potrzebowały ze strony narodu niezwykłych cnót politycznych, a wielkiego spokoju, doświadczenia i przezorności u ludzi naczelnych, którzy to wszystko spełnić mieli“ (str. 259). Tymczasem ci „ludzie naczelni“ bawili się w politykę poza sejmem i chcieli drogą konspiracyi, a przy pomocy Prus odzyskać Galicyę. Był to rodzaj rządu tajemnego, który przed rządem jawnym — a był nim sejm cały — o tyle swe zamiary odkrywał, o ile sankcya sejmu na to była potrzebną. Stąd w obradach sejmowych zamęt i nieład, zwiększony brakiem karnego regulaminu sejmowania tak, że całe pół roku zmarnowano. „W przerwach między owemi wnioskami politycznej lub wojskowej natury, które do izby „rząd tajemny“ wprowadzał, ciągnęły się, albo raczej wlokły niemiłosiernie sprawy przeróżne: skarbowe, administracyjne, kościelne i t. p.... aby sejmujących czemś zająć, zwykłym gadułom dać się wygadać, a tymczasem doczekać się, co wypadki przyniosą. Nużące one są, do czytania nad wyraz trudne, tem trudniejsze do jasnego i zwięzłego przedstawienia... Czytelnik niech raczy pamiętać, że piszący nie mógł dać, czego w nich nie było, ani utworzyć z epizodów rozerwanych, jednego, z pewnym planem rozwijającego się obrazu“ (str. 260).

Umowa Reichenbachska 27 lipca 1790 rozwiała wszelkie nadzieje odzyskania Galicyi, i dopiero wtenczas przewódcy sejmowi zabrali się szczerze do roboty. Autor opowiada jak może najtreściwiej rezultaty narad zmarnowanego półrocza i dalszych, więcej już produkcyjnych posiedzeń. A więc przedewszystkiem *nervus rerum* skarb, ten należało zasilić, bo pusty, a żołd wojska od kilku miesięcy zaległy, o powiększeniu armii ani myśleć. Nadzieję pożyczki 10 milionów u bankierów genueńskich udaremnił Lucchesini;

ofiara wieczysta 10-go grosza zamiast spodziewanych 18 milionów przyniosła zaledwie 6,559.053 złp. Z dobrowolnej ofiary 20% należało się 3.675.713 złp. — wpłynęło do skarbu zaledwie 1.913.364 złp. Wyznaczono więc deputacyę koekwacyjną, aby zaradzić złemu — ale dla krzywoprzysięstwa wielu, gdyż każdy sam za siebie wysokość swych intrat podawał i takową stwierdzał przysięgą, i dla lenistwa grodów, które tranzakcyj dzierżawnych nie nadesłały wcześnie, deputacya dopiero po niewczasie wygotowała tablicę podatkową, której nawet nie przedłożono stanom. Rozdział ten kończy autor przydłuższym ale wielce pouczającym morałem, jak to skąpstwo w uchwaleniu a nierzetelność krzywoprzysiężna w płaceniu podatków, przez cały ciąg dziejów naszych była przyczyną leniwo prowadzonych wojen, zmarnowania odniesionych zwycięstw, bezsilności państwa, i jak na odwrót anarchia rządu psuła do reszty narodowy charakter: „cnoty bowiem domowe i sąsiednie mogły się jeszcze chronić pod opiekę Kościoła, indywidua mogły się jeszcze zapalać do dawnych błyszczących wspomnień, ale cnoty publiczne, zdolność do służby zbiorowej, musiała ustawać w miarę, jak ustawała siła rządu, a z nią żywotność państwa. Nierząd publiczny rozstroił państwo, rozstroił i dusze, zepsuł naród. Naprawa podjęta w epoce którą opowiadamy, była jednostronną, mechaniczną, a zresztą przychodziła zapóźno“. (271—274).

Chęć powiększenia dochodu bez ofiary ze strony szlachty wywlokła na stół sprawę rewizyi donatyw i zamian, które sejm delegacyjny 1775 a właściwie imperatorowa, koryfeuszom rosyjskiego stronnictwa porozdawał. Odebrać chciano Branickiemu Białocerkiewczyznę (2 miasta, zamek, 134 wsi, 40.000 dukatów dochodu), najprzód całą, potem do połowy. Żądanie to bezprawne wywołało długie a swarliwe debaty; uchwalono wreszcie, aby donataryusze z swych donatyw tytułem dobrowolnej ofiary podatek 30% płacili, Branickiemu nadto odebrano Kamienobród jako osobne, nienależące do Białejcerkwi starostwo. Skasowano także zamianę Lachowicz niecnego biskupa Massalskiego na cztery starostwa, które on w delegacyjnym sejmie zasiadając, nieuczciwie przeprowadził. „Darowizny kończy autor, państwo odwoływać nie może, bo postępując inaczej samo traci kredyt, bo prawo przestanie być prawem i zmieni się w pewien rodzaj wygranej chwilowej, to jest wygranej aż do nastę-

pnego sejmu. I taki właśnie charakter miała konstytucya naruszająca donatywy z 1775 r., pomimo pozornego tytułu dobrowolnej ofiary, jaki jej nadano, była nielegalną i niepolityczną". Zwrotu jednak domagało się „uczucie publiczne sumienia, że własność każda powinna być sprawiedliwie nabyta". (286—287).

W trakcie tych obrad i sporów wszczęły się tumulty uliczne przeciw Żydom. Już wtenczas byli Żydzi pijawkami ludności, zwłaszcza rzemieślniczej w stolicy, tem bardziej na prowincyi. Wbrew statutowi mazowieckiego księcia Janusza 1525 r. wzbraniającemu wstępu do Warszawy wszystkim akatolikom, pozwolił Zygmunt August 1570 handlować Żydom podczas kadencyi sejmowej, dwa tygodnie przed i dwa po niej. Przekupstwem i natręctwem dokazali Żydzi tego, że rozlazłszy się po starej Warszawie, nietylko pootwierali sklepy, ale i prowadzili rzemiosło, a sejm trwający już półtora roku był dla nich złotem żniwem. Napróżno rzemieślnicy doprowadzeni tem do ostatniej nędzy, bo nawet koszary Rzpltej dano pokrywać blacharzom Żydom, zanosili kilkakrotnie skargę do marszałka w. k.; przyszło więc do dwukrotnych ulicznych tumultów, które dopiero komendy piesze i jazda jen. Byszewskiego poskromiły; sprawa wytoczoną została przed sejm a osobna deputacya miała przedłożyć projekt „urządzenia Żydów" (str. 292).

Dnia 7 maja 1790, jako wiązanie królowi, wniosła deputacya do ułożenia nowego rządu we wrześniu 1789 r. ustanowiona, projekt o sejmikach z arcydługą przedmową. Duszą tej deputacyi był Ignacy Potocki a jego pomocnikiem głowa bałamutna, ks. Piatoli. Pierwotną myślą Potockiego było wnieść projekt administracyi nadzwyczajnej, która na wypadek spodziewanej wojny z Austryą miała być właściwym rządem. Ale skoro coraz bardziej znikała nadzieja wojny, projekt ten tracił racyę bytu, i deputacya przez pół roku nic nie zrobiła. Przyparta do muru na dwa tygodnie przed imieninami króla, zdołała wystąpić 7 maja zaledwie z projektem sejmikowania. Projekt odrzucono, wykazując deputacyi nieloiczność, gdyż przecie od praw kardynalnych projekt nowej formy rządu rozpocząć należało. (str. 292—298).

Zawsze dla zabicia czasu, zanim coś pewnego o przyszłej wojnie dowiedzieć się będzie można, wnieśli przewódcy sejmowi na stół sprawy kościelne. Uchwałą sejmu w lipcu 1789 skonfiskowano dobra

biskupstwa krakowskiego na rzecz powiększenia armii, wyznaczając biskupowi roczną pensyą 100.000 złp. To samo stać się miało z innemi biskupstwami, a dla dalszego uregulowania spraw Kościoła polskiego wyznaczono deputacyę kościelną. Marszałek sejmu i zacniejsza część posłów potępiała tę uchwałę jako akt niesprawiedliwy. Tymczasem do deputacyi kościelnej wnoszono rozmaite projekta zmierzające do utworzenia kościoła państwowego na tę modłę, według której cesarz Józef II. urządził Kościół w Niemczech, a więc: „przeciąć apelacyę do Rzymu i utworzyć trybunał narodowo-kościelny; utrudnić przystęp do zakonów i usunąć je z pod władzy jenerałów i t. d. i na to wszystko uzyskać pozwolenie papieża“ (str. 301).

Na szczęście nie było w tem wszystkiem złej woli, jeno chęć naśladownictwa Niemiec i Francyi. Rozumne przedstawienia nuncyusza i wyrozumiałość papieża zażegnała burzę, stanęło na tem, że oprócz biskupa Krakowskiego — któremu oddano część dóbr przynoszącą 100.000 rocznej intraty, resztę zaś oraz księstwo siewierskie na szpitale wojskowe zabrano — wszyscy inni biskupi pozostaną przy swoich dotacyach w ziemi, z podatkiem jaki dotychczas płacili. (str. 306).

Z kolei zajęto się poczciwie i szczerze sprawą Cerkwi ruskiej, i uchwałą 24 lipca 1790 zawotowano, aby metropolita Ruski miał krzesło w senacie tuż za biskupami łacińskimi. Autor nasz znany z swej życzliwości dla Kościoła i narodu ruskiego, rozpisuje się szeroko i o poprzednich staraniach papieży i królów polskich pomieszczenia biskupów ruskich, a przynajmniej metropolity w senacie, i o szczęśliwem acz zapóźnem zrealizowaniu tych starań na sejmie wielkim; daje przytem obraz upośledzenia episkopatu ruskiego w obec łacińskiego, i opłakanego stanu, w jakim zostawał parafialny kler ruski, który nie miał dla siebie ani jednego seminaryum duchownego, podczas kiedy kler łaciński parafialny miał ich aż 31. Karty te (307 – 324) odczytać sobie uważnie powinni wszyscy, redakcye zwłaszcza peryodycznych pism ruskich, którzy na stronniczość historyków polskich narzekają. Na jedno z autorem zgodzić się w żaden sposób nie możemy. „Zakon bazyliański, twierdzi ks. Kalinka za innymi poważnymi autorami: Likowskim, Pełeszem, Guépin'em, zaniedbywał kler świecki umyślnie, trzymał w ciemności

i upodleniu dla tego, by w nim nie znaleźć groźnego współzawodnika“ (str. 326). Odpowiedziałem na ten zarzut dowodnie przed sześciu laty, pisząc obszerną recenzyę dzieła ks. Likowskiego, który ten zarzut powtórzył za Guépin'em, ten zaś pisał swój *Żywot św. Jozafata* pod wpływem samegoż ks. Kalinki, i u niego szukał światła w wielu kwestyach trudnych, których sam rozwiązać nie umiał. Że autorowie ruscy jak Harasimowicz, Malinowski, a za nimi Dr. Pełesz zarzut ten podnoszą, nic w tem dziwnego; tłumaczy się to antagonizmem korporacyjnym. Podobny zarzut czynią polscy literaci Jezuitom względem kleru łacińskiego, a kto wie, czy pisarze ruscy nie poszli za ich przykładem; analogie są tu uderzające.

Dwuletni okres skonfederowanego rządzącego sejmu zbliżał się do końca, a tu ani jedno z trzech ważnych jego zadań nie doprowadzone do skutku, forma zaś rządu nawet w głównych zarysach nie podana do laski marszałkowskiej. Należało bądź co bądź sejm przedłużyć, aby pod osłoną konfederacyi dokonał tyle upragnionej naprawy Rzpltej. „Sprawa prorogacyi sejmu zabrała dziewięć posiedzeń, w ciągu których powiedziano 114 mów“ (str. 344); wreszcie na wniosek Brzostowskiego uchwalono 14 czerwca „aby sejmiki na ten raz dla potrzeb Rzpltej odłożone zostały do d. 9 lutego 1791“, czyli prolongowano sejm do lutego. Próbowano ukuć na razie jakiś regulamin obrad „warunki sejmowania“, aby tamę położyć gadulstwu i nieładowi, ale znużeni posłowie rozjechali się na ferye świętojańskie; gadulstwo i warcholstwo znajdowało po dawnemu wolne pole.

Następuje rozdział III. *Literatura polityczna tej epoki*, drukowany już dawniej w *Przeglądzie polskim*. Ks. Kalinka jest także znakomitym literatem, i tych kilkadziesiąt kartek (str. 346—430), rzuca więcej światła na umysłowy ruch w tej epoce, jak całe tomowe rozprawy, które dotąd popisano. Debaty sejmowe, spory, które zawzięcie staczano, wywołać musiały niezwykły ruch umysłów po za sejmem. To też kiedy w ostatnich stu latach napisano zaledwie 15 politycznych rozpraw, to w epoce sejmu wielkiego pojawiło się ich kilkaset w przeróżnym kierunku. Nader trafne i wielce pouczające jest zestawienie socyalnych doktryn Jana Jakoba Rousseau z szlacheckiemi pojęciami o rządzie z epoki saskiej. Autor przytacza analogiczne ustępy z *Umowy społecznej* Rousseau'a: „to jakby

nasz kodeks polityczny z czasów saskich w następnych pokoleniach przechowany. Gdy się je czyta i rozważa, zda się słyszeć naszych posłów i prawodawców rozprawiających z całem uczuciem wszechwładztwa narodowego i omnipotencyi sejmowej.... Stara anarchia szlachecka schodziła się bezwiednie z nową anarchią pojęć francuskich pierwej, zanim ta teorya w rewolucyi miała się urzeczywistnić". Wszelako drugiej części teoryi *Umowy społecznej*, domagającej się od pojedyńczego człowieka zupełnej ofiary na rzecz państwa, „które się staje raz na zawsze panem jego osoby, jego majątku, jego rodziny, jego sumienia... w codziennem życiu czyni go niewolnikiem" (str. 253) — tej krępującej osobistą wolność teoryi nie przyjęto. U nas „obywatele nie należeli do państwa, owszem państwo należało do nich". *Umowę socyalną* czytali u nas wszyscy, a lektura ta dolewała oliwy do pożaru anarchii, który ogarnął naszą społeczność. Rousseau tylko mógł na prośbę Wielhorskiego napisać apologią anarchii polskiej, bo tem są jego *Uwagi o rządzie polskim*. Rozgłos autora, jego nieudana sympatya dla Polski, w której widział zrealizowanie swoich teoryj, starczyło tu za powagę, a najniedorzeczniejsze aforyzmy i sofizmata brano za dobrą monetę prawdy.

Przedstawicielem stronnictwa postępu jest Stanisław Staszyc. Autor powiada, że są w nim dwaj ludzie: „wyznawca Rousseau'a — i polski statysta, ideolog — i obserwator" a dzieła jego: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego* i *Przestrogi dla Polski* „są w połowie idyllą w połowie satyrą" (str. 362). Nie przeczymy temu, zdaje nam się jednak, że dwoistość ta nie była w Staszycu przypadkową, ale rozmyślną: wejść on chciał do umysłu i serca narodu jego drzwiami, aby go potem wyprowadzić swemi drzwiami. Odzywając się z uwielbieniem dla anarchicznych form rządu, jednał sobie od razu umysły, iż te potem łatwiej przyjmowały zdrową naukę statysty, i chętnie słuchały cierpkich nawet wyrzutów obserwatora. Tak nam się wydaje, spierać się o to nie myślimy. „Staszyc wzbogacił literaturę polityczną dwoma cennemi przybytkami, ale był samotny i stał za nisko, aby na wypadki polityczne mógł wpłynąć. Czytać je, powtarzamy, i dziś jeszcze warto" (370).

Innego posiewu człowiekiem był Hugo Kołłątaj. „Kapłan bez powołania... ambitny i odważny, lecz giętki i oględny... wy-

trwały i nieugięty w tem, co jego samego dotyczyło, w swych przekonaniach i zasadach moralnych chwiejny... mściwy i bezwzględny... głowa niepospolita, charakter mniej niż wątpliwy... jeżeli jego karyerze lub jego osobie groziło niebezpieczeństwo, żadne go wtedy nie krępowały więzy" (371) — oto charakterystyka tego praktycznego polityka. Lubo nie był posłem, wywierał najsilniejszy wpływ na roboty sejmu, bo czepiał się ludzi wpływowych i zmieniał ich co chwila; był najprzód człowiekiem prymasa i jego plejady, dwóch Potockich i dwóch Rzewuskich; potem człowiekiem marszałka Małachowskiego, do którego pisane listy ogłosił drukiem; a wreszcie człowiekiem króla, który mu oddał pieczęć podkanclerską. Porzucił kolejno wszystkich i stał się człowiekiem rewolucyi, ojcem duchownym dwukrotnej rzezi w Warszawie podczas powstania Kościuszki. Dzieło napisane w Dreźnie częścią przez niego, częścią przez Dmochowskiego i Ignacego Potockiego *O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja* jest aktem oskarżenia sprawców rozbioru — i króla. Sejm cnotliwy, naród pełen poświęcenia; „sejm, naród w niczem nie zawinił, we wszystkiem zawiódł król;... zmiennikiem był, krzywoprzysięzcą i zdrajcą... Oto nauka, jaka pozostaje z tej książki. Autorowie odnieśli kolosalny, ale bardzo smutny tryumf, że i pod tym względem ich sztuczne i naciągane opowiadania przyjęły się w narodzie, jako dogmat historyczny i polityczny" (str. 394) z jaką szkodą dla organicznej pracy społeczeństwa, łatwo każdy odgadnie. Na Kołłątaju, kończy autor, „pokazało się raz jeszcze, że rozum w człowieku nie zastąpi cnoty, że nauka, doświadczenie i wysokie stanowisko nie nagrodzą braku zasad, i że taki co dla karyery przyjmuje kapłaństwo, może się stać zdolnym do wszystkiego" (str. 399). Złote to prawdy.

Spadkobiercą rodowych tradycyj i polityki na własną rękę to Seweryn Rzewuski. Gdzie państwo nie ma jednolitego rządu, tam musi zapanować wielogłowy rząd rodów możnych, a tradycya polityczna przechodzi z ojca na syna, z syna na wnuka. „Bądź zawsze gotów, legował testamentem synowi hetman Maciej Rzewuski, zmarły 1728 r., całą swą krew przelać za wiarę świętą, za wolność elekcyi, za hetmańskiej władzy całość i za *liberum veto*" — oto *credo* polityczne Rzewuskich (str. 402). Wierny temu hetman polny Sewe-

ryn, niegdyś więzień stanu w Kałudze, całą duszą opierał się robotom sejmu dążącym do wywrócenia trzech ostatnich artykułów tego *credo*. Chodziło mu przedewszystkiem o przywrócenie hetmańskiej władzy; udawał się w tym celu o pomoc to do Kaunitza w Wiedniu, to do króla pruskiego — nadaremnie. Osiadłszy jako malkontent w Dreźnie, ogłosił drukiem broszurę: *O sukcesyi tronu w Polsce*, która napisana z wielką werwą, bo z przekonania, jasno, zwięźle, dosadnie i trzeźwo, trafiająca nawet paradoksami swemi w jakiś przesąd utarty, znalazła niezwykłe powodzenie, a zachwycony nią Ksawery Branicki kazał ją przedrukować w Warszawie i tysiącami rozrzucił po kraju (str. 412). Posypały się odpowiedzi „najtęższych głów i najlepszych piór“ z grona stronników sukcesyi tronu; polemika ta przygotowała umysły do uchwał sejmowych, które niebawem zapaść miały.

Z długiego szeregu broszur i pism okolicznościowych tego okresu, autor przyznaje pierwszorzędne znaczenie książce: *Myśli polityczne dla Polski*, pióra jak się zdaje prymasa Poniatowskiego. Wyborne to kompendyum dla posłów sejmowych przeszło prawie niepostrzeżenie; snać książka ta „za mądra była na swój czas“. (str. 428).

Ferye świętojańskie skończyły się, zwolna zjeżdżali posłowie do stolicy. Dopiero więc „z początkiem sierpnia 1791, biskup Krasiński w imieniu deputacyi sejmowej złożył na stole Izby p r o j e k t o f o r m i e r z ą d u, duży foliant o 685 artykułach. Był to szereg praw, jakbyśmy dziś nazwali organicznych, obejmujących całą konstytucyę państwa, wszystkie organy władzy prawodawczej i wykonawczej: sejmiki, sejmy, prawa kardynalne, sąd sejmowy, straż, wielkie komisye Rzpltej: skarbową, wojskową, edukacyjną i policyjną, komisye wojewódzkie, nakoniec stopnie i warunki urzędów w Rzpltej. Samo czytanie tej księgi zabrało trzy posiedzenia... Było to najświetniejsze dzieło partyi rządzącej“, która obaliwszy z początkiem sejmu Departament wojskowy i Radę nieustającą „i dzierżąc władzę przez półtora roku, przynosiła teraz narodowi owoce swej pracy i swego doświadczenia“ (str. 431). Autor poddaje ten projekt surowej krytyce, bo w nim nie można było nigdzie dojrzeć r z ą d u. „Nie w królu, nie w ministrach, i nie w straży także, bo ona tylko dozór sprawuje..., ale stworzono rząd o sześciu

oddzielnych magistraturach, (komisyach) które się nawzajem kontrolują; dopiero sejm, zawsze gotowy, miał je godzić... Króla nie widać w tym rządzie na prawdę. Jest to bożek egipski, siedzi na złotym stołku, ukryty w ciemnościach, — nic nie robi, nie rusza się nie gada i tylko patrzy jak mu ręce całują i kadzą" (str. 435, 437). Taki rząd to chimera, i nie przynosi zaszczytu twórcy swemu Ignacemu Potockiemu. „Twór to najdziwaczniejszy, jaki kiedykolwiek wyszedł z pod pióra prawodawcy. Władz w nim i magistratur bez końca.a a hamulców i zastrzeżeń jeszcze więcej, tak, że każda z nich wygląda jak spowita; krzyczeć i szamotać się może, ale nie chodzić, nie działać. Nie rząd, ale jakaś niezgrabna lalka rządowa" (str. 438).

Wykuć z tego cudaczego projektu konstytucyę 3 maja, to zadanie nielada. Najprzód całe dwa tygodnie deliberowano na prywatnych zebraniach u marszałka nad przerobieniem projektu Potockiego, a zwłaszcza nad tem, jak zapewnić powodzenie w sprawie sukcesyi tronu, i postanowiono zaproponować sejmowi uniwersał zapytujący naród, azali chce nadal tron polski mieć elekcyjny, czy też dziedziczny. Sejm na sesyi 30 i 31 sierpnia projekt takiego uniwersału odrzucił; za to na dwóch następnych sesyach uchwalił 4 pierwsze artykuły gwarantujące panowanie wierze katolickiej, a tolerancyę innym wyznaniom i art. 5 o nietykalności granic Rzpltej, odsuwający raz na zawsze odstąpienie Gdańska i Torunia Prusom. Przewlekłe a gwałtowne spory wywołał art. 6, odbierający królowi ostatnią jaką miał władzę rozdawnictwa urzędów. Seweryn Potocki w zuchwałej mowie zarzucił królowi korrupcyę sędziów i posłów. Ujął się za królem i jego prawami sekretarz król. Kiciński, wykazując dosadnie samolubną taktykę p a n ó w i p a n i c z ó w, którzy sobie monopol dygnitarstw *de facto* już przywłaszczyli. „Mowa ta pod względem siły i ognia przewyższa wszystko, co na tym sejmie było powiedziane... Wrażenie było niesłychane". Zapadła 13 września uchwała przywracająca królowi „szafunek krzeseł senatorskich i ministeryów, aż do jego śmierci" (str. 450—451).

Przyszła teraz kolej na najdrażliwszą sprawę sukcesyi tronu. Zgubność bezkrólewiów należało bądź cobądź usunąć, zgadzano się na to niemal powszechnie, ale jak tego dokazać, o to przez dni 7 toczyły się spory zawzięte. Przeważył szalę król, oświadczając się

z pochwały godną abnegacyą siebie za tymi, którzy za życia jego elekcyę przeprowadzić chcieli, i na d. 20 września wydano do narodu uniwersał z zapytaniem „czyli jest wolą jego, aby za życia N. Pana, niebezpieczeństwo bezkrólewia zastąpione było wyborem wolnym następcy na tron“? (str. 460). Kandydatów nie brakło; król miał na myśli księcia Józefa Poniatowskiego, ale się z tem nie zdradzał, Potoccy księcia pruskiego; aby przeciąć od razu te zamysły zawotowano po kilkudniowych sporach d. 30 września na wniosek kaliskiego posła Skórzewskiego, aby „marszałkowie sejmu osobnym uniwersałem zalecili narodowi wybór następcy tronu w osobie elektora saskiego za jednomyślną Stanów zgodą“ (str. 468). Niezapytano Fryderyka Augusta azali przyjmie koronę, nie oznajmiono mu nawet oficyalnie zamierzonej elekcyi; pokazało się niebawem i rezydent saski Essen wyraźnie to oświadczył, że elektor wyboru przyjąć nie może. Nie zważano na to, jak nie zważano, co na to powiedzą sąsiedzi. Lucchesini ostrzegał znacząco, że pośpiech ten na złe wyjdzie Polakom; imperatorowa milczała złowrogo, cesarz nie troszczył się o to. Na wszystkie te trudności odpowiadano sobie: jakoś to będzie, byle rzecz samą w zasadzie przeprowadzić.

Już tylko kilkanaście tygodni pozostawało do końca sejmu a tu forma rządu zaledwo napoczęta, potrzeba nowej prorogacyi sejmu była widoczną. Spierano się znów długo i zawzięcie, jak to uczynić. Nareszcie 7-go października po 9 godzinnych kłótniach postawiono wniosek kaliskiego posła Mikorskiego wziąść pod rozwagę, a w trzech następnych posiedzeniach (8, 12, 14 paźd.) uchwalono: „że konfederacya ma być utrzymana; do dawnych posłów, którzy pozostają, nowi w zwykłej liczbie mają być wybrani; wybór tych posłów odbyć się ma 16 listopada; nowo obrani posłowie przybędą 16 grudnia, i uczyniwszy akces do konfederacyi pod trwającym związkiem, z dawnymi posłami i pod laskami w teraźniejszym sejmie cnotliwie władanemi, dzieło to sejmowe kończyć będą“. (str. 481).

I któż utrudniał i jakby rozmyślnie przewlekał obrady? Przyszli Targowiczanie: Moszczeński, Hulewicz, Suchodolski, Suchorzewski nadymani przez Szczęsnego Potockiego z Wiednia, i Sew. Rzewuskiego z Drezna. Znurzeni posłowie rozjechali się do domów, z 175 zostało zaledwie 50 a potem 30. Sejm jednak zawieszonym być nie mógł, bo był rządem, przez cały więc listopad zajmował

się nobilitacyami mecenasów Barsa i Czecha, kozaka Szczerbiny, żołnierza Jozefowicza i 104 wojskowych; bankierów: Schulza i Arndta, Kabryta i Blanca, Segebarta, Friebesów, Laskiewiczów, Kapostasa i Fengera; kupców i przemysłowców a między nimi fabrykanta kart Rafałowicza; a wreszcie kilku doktorów, chirurgów, nauczycieli i inżynierów razem 227. Zżymano się w kraju na takie pospolitowanie szlachectwa, upatrywano nawet w tem podstęp króla dążącego do zamachu stanu; w gruncie rzeczy była to zapowiedź podniesienia stanu miejskiego.

Tymczasem na prowincyi odbywały się d. 15 listopada sejmiki. Król wysłał swoich ludzi zaufanych, aby kierowali akcyą wyborczą. Z wyjątkiem trzech, sejmiki odbyły się spokojnie; zgodziły się na elektora, wszelako za dziedzicznością korony oświadczyło się tylko 5. (str. 500). Dnia 16 grudnia otwarto posiedzenie sejmowe w podwójnej liczbie posłów; było ich wraz z senatem blisko 500. Jak w takim tłumie utrzymać ład i karność bez regulaminu obrad? uchwalono więc naprędce 20 grudnia „porządek sejmowania“, mający głównie na celu skrócenie dyskusyj, ale w dalszym toku obrad nie wiele się oń troszczono; sesya 4 stycz. trwała 16 godzin, następna 7 stycz. 13 godzin, wysłuchano na niej 160 oracyj! I o cóż tu chodziło? O to czy naradzać się pierw nad formą sejmików, czy nad prawami kardynalnemi. Zaczęto od sejmików, ale egzamin skarbowy, sprawa pałacu ambasady rosyjskiej i interpelacya Suchorzewskiego z powodu komedyi Niemcewicza: Powrót posła, zwlekła narady nad porządkiem sejmikowania do 20 stycznia 1791. Radzono więc ale tak ślamazarnie, że 17 lutego zawotowano dopiero 7 artykułów ustawy, a było ich przeszło 20. Dowcipny Dłuski obliczył, że w ten sposób obradując, sejm skończy dyskusyę o formie rządu za 3 lata i 2 miesiące! Na wniosek więc Sołtyka a po ognistej przemowie Kicińskiego uchwalono 21 lut. wyznaczyć deputacyę, która projektu formy rządu przez sejm rozpoczętego dokończy, i takowy sejmowi przedłoży, sejm zaś albo go całkowicie odrzuci, albo do poprawy deputacyi zwróci.

Zabrano się za to tem raczej do sprawy miast. Prawo o miastach przynosi zaszczyt i chlubę sejmującym stanom, i jest jedynem, które przeszło raźno i poważnie. Czy nie dlatego, że nie wymagało ofiary ani z grosza ani z ambicyj sejmujących, a w stolicy było

popularne? czy nie dlatego jeszcze, że sejmowi krzykacze, obstrukcyoniści, jakby ich dziś nazwano, zwrócili swą uwagę w stronę inną, ku Petersburgowi, gdzie nad zakończeniem wojny tureckiej przemyśliwano, a równocześnie snuto plany nowego podziału Polski? Co dziwniejsza, jeden z krzykaczy, Suchorzewski najdzielniej się przyczynił do uchwalenia prawa, swym wnioskiem o nobilitacyi mieszczan w pewnych warunkach. Dnia 18 kwietnia sformułowano ostatecznie i zawotowano prawo o miastach królewskich, gdyż co do miast szlacheckich dozwolono właścicielom zamienić je na miasta wolne i otrzymać dla nich od króla przywilej erekcyjny. Oto ważniejsze punkta tego prawa: 1° Wszyscy mieszczanie chrześcijańscy używają równych praw; szlachcic zostawszy mieszczaninem ulega juryzdykcyi miejskiej, ale herbu nie traci. 2° Zarząd miasta (burmistrz i magistrat), jest obierany przez wszystkich mających własność dziedziczną w mieście; o swoich czynnościach przesyła raport do komisyi policyi. 3° Z każdej z trzech prowincyj, siedm większych miast posyła po jednym plenipotencie do sejmu; zasiadają oni w komisyach sejmowych i w assesoryi z głosem stanowczym w sprawach miejskich, z doradczym we wszystkich innych. 4° Mieszczanom przyznano prawo kupowania dóbr ziemskich, awansu do stopni oficerskich w piechocie, do sądownictwa, prelatur i kanonij. 5° Szlachcicem zostaje mieszczanin, który z dóbr swoich ziemskich płaci przynajmniej 200 złp. podatku 10-go grosza; który dwa lata pracował w komisyach sejmowych i assesoryi; który dosłużył się rangi kapitana lub rejenta kancelaryi. Na każdym zaś sejmie 30 mieszczan będzie nobilitowanych. 6° Mieszczanom przysługuje prawo *neminem captivabimus nisi jnre victum*, podlegają tylko sądom miejskim, apelacyjnym i zadwornym. (str. 528 – 540).

„Oddzielnej izby mieszczańskiej w sejmie ustawa nie zaprowadza, ani dopuszcza osobnego stanu miejskiego... Do tego iżby miasta stać się mogły jedną z klas rządzących, jeszcze one wówczas nie dorosły... Szlachta polska miała ten zdrowy instynkt iż chętnie do swego grona przyjmowała ludzi, którzy majątkiem, znaczeniem i zasługami wyrastali ponad zwykły poziom miejski i dzieliła się z nimi swoim klejnotem... Zanimby wiek jeden upłynął, wszystko co żywotniejszego znajdowało się w mieszczaństwie, zostałoby bracią szlachtą, z temi samemi prawami i przywilejami,

które służyły najdawniejszym karmazynom“ (542). Była to ustawa na rodzinnym gruncie polskim wyrosła, nie zapożyczona od Francuzów, którzy szlachtę zdegradowali do mieszczaństwa, znieśli do szczętu. Cesarz Leopold polecił gubernatorowi Galicyi zastanowić się nad tem, czyby i tu coś dla mieszczan zrobić nie należało. Król pruski rozkazał Golcowi mieć baczne oko na skutki tej ustawy; dowód to nie małej doniosłości tego prawa.

Na tem kończy się tom II. „Sejmu czteroletniego“. Na właściwą krytykę wątpię ażeby się kto zdobył w Polsce, bo w znajomości rzeczy i talencie pisarskim rzadko kto dorówna autorowi. Ograniczyliśmy się więc na sprawozdaniu, ażeby z tą piękną książką poznajomić szersze koła czytelników i do czytania książki zachęcić. Jedna tylko jeszcze uwaga. Przed pięciu laty pisząc recenzyę tomu I. Sejmu, zarzuciłem ks. Kalince, że niesłusznie obwinia sejmujące stany, iż królowi nie zaufały odrazu, nie otoczyły go i nie wsparły swym rozumem i ramieniem, ale przeciwnie na przekór królowi wszystko robiąc, drogi czas marnowały, wiele pożytecznych instytucyj obaliły, cały rząd Rzpltej biorąc na siebie i prowadząc nieudolnie. Nie mogło być inaczej, bo król uległością swoją dla imperatorowej i jej ambasadora, i miękkością charakteru na zaufanie nie zasługiwał. Słuszność mojego zapatrywania stwierdza część 2 tomu II., bo w miarę jak król usuwał się, a wreszcie usunął zupełnie od wpływu imperatorowej, a ściślej i szczerzej łączył się z sejmem i swej bezinteresowności i gorliwości o dobro kraju liczniejsze dawał dowody, rosło także zafanie sejmujących do króla, i chętnie do jego mądrych rad się stosowano: „ustała wojna ze Stanisławem Augustem, ustały nieroztropne drażnienia sąsiadów... a choć nie przyszło jeszcze do szczerego porozumienia się z królem, wzięto się przecież raźniej do pracy“. (str. 490). Ta różność zapatrywań nie umniejsza w niczem, ani mej osobistej czci dla autora, ani wysokiej ceny, jaką przywięzuję do jego dzieła.

Ks. St. Załęski.

Rocznik Filarecki. Rok pierwszy, Kraków 1886, str. 719 w 8-ce.

Spory ten tom jest owocem „Bractwa“, od roku dopiero między akademicką młodzieżą zawiązanego, pod nazwą „Filaretów“. Pomoc, wskazówki i uprzednia krytyka chlubnie znanych profesorów naszej *Almae Matris*, ułatwiły filareckiemu gronu wybór przedmiotu i źródeł. Całość też w ogólnych

zarysach udatnie się przedstawia i rzekłbym nawet — zadziwia powagą. Rozkład „Rocznika“ naturalny: bo wynikający z treści, dzieli go na 4 części, tj. historyczną, literacką, prawniczą i poetycką. Prym się należy rozprawom historycznym.

Szereg ich otwiera „Kronika węgiersko-polska, studyum krytyczne z historyografii średniowiecznej“ (str. 61—138), napisane przez p. Ignacego Rosnera. Autor zgodnie z Bielowskim udowadnia że początek tej kroniki sięga pierwszej ćwierci XII. w., owszem bliżej określa datę, sprowadzając czas jej powstania na r. 1190. Główną osnowę, obok wzmianki o wojewodzie Sieciechu i o stosunkach z Polską, stanowi pochód Atylli a w końcu dzieje Węgier po śmierci Stefana. Kronika ta jest „w niektórych miejscach jakby urągowiskiem z geografii, chronologi i logiki“. Wartość historyczną może mieć jedynie dla spisywania węgierskich podań. Autor kroniki nieznany, sam jednak sposób pisania każe się w nim domyślać duchownego, który prócz biblii i Hartwiga *Vita St. Stephani*, nic zgoła w życiu swojem nie czytał. Praca p. Rosnera celuje wielką trafnością krytycznego sądu, sumiennym i umiejętnym rozbiorem, a wreszcie — co najcenniejsze, bo rzadkie — jasną, gruntowną, logiczną argumentacyą. Co do stylu zarzucićby można p. R., że czasem z cudzoziemska zarywa.

Ocenę pracy p. Szkaradka „O stosunkach polskich po śmierci Leszka Białego“ (str. 139—233), podał już nasz *Przegląd* w zeszycie czerwcowym. Przechodzimy więc do trzeciej rozprawy p. Witołda Rubczyńskiego p. n. „Wielkopolska pod rządami synów Władysława Odonicza“ (str. 233—331). Przedmiot to zajmujący, ilustracya do dziejów naszych w XIII. stuleciu bardzo cenna. Szkoda tylko, że P. Rubczyński zbyt często wplata przydłuższe a zawsze górnolotne poglądy, co wikła związek, następstwo wypadków, a przytem stylem nieco ciężkim i napuszystym zaciemnia przedmiot.

Treścią czwartej z kolei rozprawy są „Zabiegi o Węgry w r. 1527“ (str. 331—441). Praca ta dla swych zalet, zasługiwałaby na obszerniejsze sprawozdanie. Autor, p. Romuald Wszeteczka szczęśliwym był i w zdobyciu źródeł i w wyborze przedmiotu. „Zabiegi“ o tron węgierski opróżniony po śmierci Ludwika, toczą się tak zawzięcie, tak sztucznie i wśród tak barwistych i zawsze nowych dekoracyj, że już przez to samo żywe budzą zajęcie. Polska i Czechy, Węgry i Bawarya, Turcya i Wołosza, to teatr wojny dyplomatycznej, kończącej się wojną krwawą, a Ferdynand, Zygmunt, Zapolya, Podjebrad, Soliman, Iwan Czarny, a nawet Daszkiewicz z Tatarami, składają się na żywą, urozmaiconą akcyę. Zajmującą też dla nas postać wprowadza autor w osobie Jarosława Łaskiego. P. Wszeteczka z niezwykłym talentem wywiązał się ze swego zadania.

Dział prawa reprezentuje jeden tylko p. Alfred Blumenstock w dysertacyi „O charakterze prawnym interdyktu kościelnego“ (str. 611—663). „Zadaniem niniejszej rozprawki, mówi p. Blumenstock, będzie przedewszystkiem zebranie i omówienie tych zasad i polityki prawodawczej, które powodowały ustawodawczemi władzami Kościoła katolickiego przy ustanowieniu i dalszem normowaniu interdyktu, następnie zaś zastanawianie się, o ile ten środek odpowiada swemu zadaniu, nauce prawnej Kościoła i zasadom prawnym w ogólności“. Autor omawia dwa tylko rodzaje interdyktu, tj, *interdictum personale generale* i *locale generale*, a pomijając historyczną genezę, poucza nas o dwóch

jego cechach: karnej i prohibicyjnej. P. B. widzi w pierwiastku karnym niesprawiedliwość, a w poprawczym niepożyteczność. „Najbardziej w oczy bijącą cechą... jest karanie winnych wspólnie z niewinnymi“ (str. 666). Dalej powołuje się na starodawną a przez Kościół katolicki uznaną zasadę, że tylko winny może być karany. „Zdawaćby się więc mogło, że w ramach ustawodawstwa kościelnego nie ma miejsca na karę w rodzaju interdyktu“ (tamże). Nie zaprzeczamy, że kara we właściwem tego słowa znaczeniu, na winie opierać się musi. Ale 1. Interdykt jest raczej chwilowem tylko zawieszeniem *(privatio)* niektórych funkcyj kościelnych, niekoniecznie do zbawienia potrzebnych. 2. Niewinni nie ponoszą tu żadnej szkody wewnętrznej a nawet i od zewnętrznych skutków usunąć się mogą. 3 Interdykt powszechny, czy to osobowy, czy miejscowy, był zazwyczaj karą wymierzaną za przewinienie panującego, lub członków składających ciało rządzące. Moralny zaś związek a nawet jedność moralna podwładnych z panującym słusznie domagać się może, aby i członki wspólnie z swą głową zadość czyniły obrażonemu Bogu. Często też osobista odpowiedzialność ciąży na całem społeczeństwie, jako nie mającem w sobie tyle moralnej siły, aby jednostki od zbrodni uchronić, lub przynajmniej występny ich upór przełamać. Skutki też interdyktu nie są bynajmniej tak srogie, jak chce p. B. Nie odbierają one „wiary i jej wykonywania“ (str. 668), nie „trapią dusz“ ku ich szkodzie, lecz ku pożytkowi. I wśród interdyktu bowiem niesie Kościół pomoc i pociechę religijną, a zawieszenie niektórych funkcyj i obrzędów, oraz zewnętrzne objawy smutku i żałoby poważniej nastrajają ducha, a w sercu budzą najzbawienniejsze uczucia pokuty i żalu [1]. Niesłusznie więc zarzuca p. Blumenstock Kościołowi zasadę niemoralną (str. 670), niekorzystną i krzywdzącą (str. 669) w ustanowieniu interdyktu. Bronimy tylko zasady, pomijając pojedyńcze wypadki nadużyć, które niczego nie dowodzą. Jako zaletę przyznajemy p. B. pewną oględność w zarzutach i dobrą chęć wydawania sądu ze stanowiska kościelnego.

Część literacka na dwa rozpada się działy: poezyi i prozy. Niedługi szereg poetów rozpoczyna Wielkopolanin wierszem do Ignacego Domeyki. Myśli tu piękne, ale forma słaba i wielki brak młodzieńczego ognia i polotu. P. Karol Łepkowski napisał epiczny poemat a raczej tylko ujął w rymy, wyśmienite „Opowiadanie p. Wita Narwoya p. n. Petyhorzec (W. Łozińskiego)“ (str. 696—719). Wiersz ten dla swej treści miłe robi wrażenie, akcya w ogóle dobrze oddana, za to forma bardzo nieudatna. Autor przewracając porządek, nie słowa do myśli, ale myśl do słów i rymów nagina. Reszta poetyckich utworów w ilości siedmiu, nie ma w sobie prawie nic dodatniego. O jednym tylko wierszu zamilczeć nam się nie godzi — wierszu: „Do modlitwy“, napisanym p. Stefana Dębno. Dziwi nas, że wiersz ten przeszedł tak poważną cenzurę. Następuje wreszcie dział prozy literackiej.

Praca p. Antoniego Marylskiego o „Karolu Malczewskim, jenerale z czasów Stanisławowskich“ (1778—1788) (str. 441 472) osnuta na treści wydanych i niewydanych [2] listów do jenerała pisanych, nie jest monografią we właściwem znaczeniu tego słowa, ale raczej historyczno-literackim szkicem ze

---

[1] Aichner Comp. Juris Eccl. §. 219 b) i C. 57 X. (V. 39).

[2] Są to listy Stanisława Augusta, jenerała Komarzewskiego, Dzieduszyckiego, Izabeli Branickiej, hr. Rumiancowa i t. d.

smutnej epoki Stanisławowskiej. Prócz wielu innych rzeczy, dowiadujemy się tu o misyi Malczewskiego do hr. Rumiancowa w celu uregulowania stosunków na Podolu, oraz o późniejszych jego czynnościach na stanowisku jenerał-lejtnanta. Autor chlubnie zaznacza postępowanie polskich oficerów, którzy podówczas sami jedni tylko godności swej i narodowego honoru bronić umieli.

Szkic biograficzny p. Stan. Windakiewicza omawia „Pobyt Kochanowskiego za granicą". Autor znany już nam z poprzednich swych prac o Janie z Czarnolesia. Widzimy Kochanowskiego najprzód na Uniwersytecie krakowskim, później w podróży do Włoch, wreszcie w Padwie, w latach 1554 i 1555. Autor nie przerywając głównej biograficznej nici, umie ją przeplatać i oceną stopnia ojczystej oświaty i poglądem na wpływ literatury i obrazem stosunków miejscowych i zagranicznych i wreszcie choćby pobieżną charakterystyką osób węzłem uczucia, nauki lub interesem z poetą naszym związanych. Nie jeden też błąd innych pisarzy, jak np. Maryckiego lub Löwenfelda znajduje tu sprostowanie. Źródła może już dawniej były zebrane, lecz w każdym razie nadzwyczaj obfite i pomnożone w podróży do Włoch podjętej. Talent p. W. połączony z systematyczną pracowitością w jednym zwróconą kierunku, pozwala nam bardzo wiele spodziewać się na przyszłość.

P. Karol Łepkowski zajął się „Poezyą polską na nagrobkach z XVI. wieku" (str. 545—575). Szczęśliwy i pożyteczny to pomysł. Niektóre nagrobkowe napisy, jak np. w Rudawie, Głębowicach, Giełtowie, Pisarach, są pióra Kochanowskiego, już to w części, już w całości nawet w jego Trenach i Fraszkach odnalezione. Podobnie też nagrobek Stanisława Grzebskiego w dawniejszym kościele św. Anny, o czem wspomina Sołtykowicz. Zresztą ubogi jest zbiór grobowych napisów pana Ł., ale wytrwała praca, choćby tylko jednostki, bardzo może wzbogacić i dźwignąć naszą epigrafikę.

„Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznej treści" (1548—1551), (str. 575—610), znalezione w archiwum XX. Czartoryskich zamieszcza p. Józef Korzeniowski jako „wiązankę literacką". Szczególnie zajmujące są dwa polskie utwory we formie dyalogu napisane: 1. *Rzeczpospolita Polska chramiącz thula się po światu szukając pomoczi. A narzeka na swe Pani, iż o nię nie dbają. Anno 1549.* 2. *Koth zelwem rozprawia o swobodzie a o niewoly.* P. Korzeniowski odnosi je do przed-Reyowskich czasów. P. Chmielowski[1] opierając się na podobieństwie języka i wierszowej budowy, a przedewszystkiem na wyraźnem świadectwie Trzecieskiego, dyalogi te słusznie Reyowi przypisuje. Ważną i cenną jest praca p. Stan. Krzyżanowskiego o „Andrzeju Ciesielskim" (studyum z literatury politycznej XVI. w. str. 611—663). Obok postaci pierwszorzędnych, jak Modrzewski, Orzechowski, Górnicki, byli w XVI. stuleciu *dii minorum gentium*, wyrażający w swych memoryałach i odezwach głos pewnej części naszego społeczeństwa. Jednym z nich jest Andrzej Ciesielski, którego pierwszy p. K. bliżej daje nam poznać. Dziełko Ciesielskiego wyszło z druku w Krakowie u Wierzbięty r. 1572 p. n. *Ad equites legatos ad conventionem Varsoviensem publice designatos et declaratos, De regni defensione et iusticiae administratione. Andreae Ciesielski, equitis Poloni oratio* — 8-o, stron nieliczbowanych 64. Na tytułowej karcie mieści się spis kwestyj omawianych. Rozbiór dziełka tego poprzedza p. K. wiadomościami biograficznemi

[1] Ateneum z Czerwca 1886. Art. „Czyż to nie wiersze Reya?".

o Ciesielskim i historycznym obrazem stosunków w chwili jego wystąpienia. Doskonale analizuje autor cały szereg poruszonych kwestyj. Ciesielski, protestant duchem a szlachcic krwią i ciałem, jednak mimo „wewnętrznej niemocy protestantyzmu“, mimo samolubstwa szlachty, zdobywa się na projekt politycznej reformy. To zmniejsza błędy a podnosi wartość i osoby i dziełka.

W końcu wspomnieć wypada o wstępnej rozprawie p. Feliksa Momidłowskiego o „Filomatach i Filaretach w Wilnie“ (str. 15—61). Wyciąg to wprawdzie i jakby streszczenie znanych już monografij, ale sumiennie opracowany i wykończony. Ogólnie więc sądząc wartość Filareckiego Rocznika, szala na dodatnią przechyla się stronę. W obec tego nie pozostaje nam jak życzyć postępu i wytrwałości; nadewszystko życzymy „Bractwu“ jak najwięcej Zanowych „promionek“ i tych „skrzydeł młodości“ co niosą:

„W rajską krainę ułudy
Kędy zapał tworzy cudy“.

B. J.

Historya Towarzystw tajnych. Kraków 1886, str. 446. Cena 2 złr.

Pierwsza to, o ile wiemy, polska książka szerszych rozmiarów opowiadająca dzieje tajnych towarzystw. Za granicą, zwłaszcza we Francyi, Anglii i Belgii pisano w tej mierze tyle za i przeciw, że możnaby złożyć sporą masońską bibliotekę; u nas znajdziesz jeszcze do tyla naiwnych, że w żywe oczy ci się zaśmieją, gdy im wspomnisz o robotach sekt podziemnych, zwłaszcza o masonach. Tymczasem tajemne sekty istniały i istnieją, mają swoją wyborną organizacyę, swoje statuta i regulamina, swoją hierarchię, swoje loże, swoje dzienniki i literaturę, a nawet u nas w Polsce, w dobie zwłaszcza 1806—1834 istniało mnogo lóż masońskich i karbonarskich, a wojna 1831 r. była tej podziemnej roboty skutkiem i gorzkim owocem. Dzięki temu lekkomyślnemu twierdzeniu, jakoby towarzystwa tajne wymysłem tylko były fanatycznych katolików, a w Polsce jedynie zabawę miały na oku, nie zaś jakowe głębsze polityczne lub religijne cele, stało się, że dotąd nie ukazała się ani jedna poważna książka polska o tym przedmiocie. Lukę tę zapełnia w części Historya Towarzystw tajnych. Praca to z natury swej więcej kompilacyjna niż oryginalna, ale za to zbiera treściwie wszystko, co za granicą czasem aż do znudzenia rozwlekle o tem pisano. Główną sektą tajemną: masonia, początki jej od Templaryuszów nie całkiem pewne — główna organizacya na trzy stopnie jawne, jest wspólną wszystkim lożom, ale za to stopnie tajemne są liczbą i znaczeniem rozmaite. Koryfeusze filozofii XVIII. wieku byli masonami, a rewolucya wielka masonii dziełem. Napoleon I, dostawszy się do władzy próbował zgnieść masonię, ale przekonawszy się, że to ponad jego siły, przystąpił sam do niej, ogłosił się jej protektorem, wprowadził ją do swojej armii, a przez nią do krajów środkowej Europy, zwłaszcza do Polski. Tutaj masonia i wykwit jej karbonaryzm przestaje być sektą anty-religijną. Owszem religia schodzi zupełnie z planu, na jej miejscu rozpiera się indyferentyzm religijny i luźność obyczajowa. Natomiast roboty patryotyczne w celu odzyskania bytu politycznego znajdują w organizacyi masońskiej i karbonarskiej wyborny środek, i loża całą siecią pokrywa ziemię dawnej Rzpltj. Na Zachodzie tymczasem masonia przygotowuje rewolucyę lipcową przeciw tronom. Cesarz Mikołaj I. go-

tów całą swoją potęgą wystąpić w obronie władzy — należało go czemś zatrudnić w domu, i oto z loży Wielkiego Oryentu wydano rozkaz polskiej masonii i karbonarii zrobienia zbrojnego powstania. Cesarz Mikołaj potrzebował 400.000 ludzi i blisko rok czasu zanim pokonał domowego wroga — tymczasem loża dokonała czego chciała we Francyi i Belgii, i wcieliła się w rząd. Rok 1848 był walnym pochodem na drodze dostania władzy chwilowo przynajmniej w swe ręce na całym niemal Zachodzie. Naprzeciw tronom i monarchicznym rządom występuje nowa Europa, nowe Włochy i t. d. Napoleon III. wspierany przez lożę dostaje się do władzy — cesarzem Francuzów okrzyknięty napróżno próbuje otrząść się z kontroli loży; bomby Orsiniego przekonują go, że wbrew woli swojej i wbrew interesom Francyi dopomódz musi loży do zjednoczenia Italii. Od r. 1860 blednąć poczyna gwiazda Napoleona, loża zwraca się do nowej wschodzącej gwiazdy do ks. Bismarka i dopomaga mu do pokonania Francyi i wskrzeszenia Niemieckiego cesarstwa. W nagrodę za to żąda upokorzenia Kościoła katolickiego — walki kulturnej w Prusiech. Równocześnie loża dostaje się do steru rządu we Francyi. Długa lista wylicza imiennie braci masonów należących 1879 r. do składu rządu, senatu i izby, policyi i rady municypalnej Paryża, do administracyi i t. d., z dodaniem nazwy loży, i od ilu lat szanowny brat w niej pracuje (str. 287—313). W innych także krajach zachodniej Europy ma loża swoje potężne słowo do powiedzenia tak w sprawach państwa, jak mianowicie w kwestyach religijno-moralnej i naukowej cechy.

Uporawszy się w ten sposób z władzą kościelną i monarchiczną, loża zabiera się teraz w rozlicznych związkach socyalnej i nihilistycznej barwy do obalenia porządku społecznego, opartego na zasadach chrześcijańskich, i to się jej po części udaje wybornie, a rej tutaj wodzą Żydzi. Oto treść książki, interesująca, jak każdy przyzna, i pouczająca wielce. *S. Z.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Współczesna powieść i poezya w Ameryce północnej [1].

Handel literaraturą. — Bret Harte. — Cable, malarz obyczajów kreolskich. — „Dom Księcia-Kupca“. — Wrażenia Amerykanina w Ameryce. — „Kraj nieznany“ spirytyzmu i sekt w Ameryce rozrodzonych. — Kapłan katolicki w powieści Howells'a. — Emerson, filozof-poeta. — Pesymista Edgar Alan Poë. — Plejada improwizatorów i wierszopisów.

Myśląc o Ameryce północnej, stają nam zazwyczaj przed oczami olbrzymie, dymiące się kominy fabryczne, niezmierzony sze-

[1] Porów. Th. *Bentzon* „Les nouveaux romans américains“ w Révue des Deux Mondes z 1 lutego i 1 maja 1883; 15 stycznia i 15 kwietnia 1884; 1 lutego i 1 sierpnia 1885; Th. *Bentzon* „Les poètes américains“ w tejże Révue z 1 maja 1886; Philarète *Chasles* „Études sur la littérature et les moeurs des Anglo-Américains au XIX. siècle; E. C. *Stedman* „Poets of America“ Boston and New-York. 1885.

reg wagonów pędzący z New-Yorku do San-Francesco, gdzieś w niedostępnych lasach paru Indyan z wyrazem nienawiści dla białych; czasami jeszcze odrysowuje się może w myśli tęgi żylasty Amerykanin z łokciową gazetą na stoliku, pożerający chciwym okiem ostatnie bursowe, czy handlowe wiadomości; ale Amerykanina, albo nawet Amerykankę z powieścią, czy tomikiem poezyj w ręku — jakoś sobie przedstawić nie możemy. A przecież jeśli gdzie, to właśnie w Ameryce powieści i poezye wychodzą każdego roku już nie setkami, ale tysiącami tomów i tomików; muszą więc chyba chętnych i licznych znajdować czytelników, bo inaczej praktyczni księgarze-wydawcy, prędko innegoby się jęli *business'u*. Istotnie największa część tych niezliczonych powieści i wierszy, jest prostym a lichym towarem, przemycanym w naiwniejsze koła czytelników za pomocą oryginalnej oprawki, kilku szkaradnych ale effektownych bohomazów, a bardzo często za pomocą wcale nie demokratycznego tytułu *esquire*, dodanego nie wiedzieć jakim prawem, do nazwiska autora. Ale w tej masie brudów i śmieci, znajdują się i perły pierwszorzędnej wartości, tem ciekawsze dla oka i umysłu, że odzwierciadlają w sobie całe życie nowej Ameryki i różnorodne prądy, jakie nią miotają. Kto zna powieści Cooper'a, zna dawną, półdziką jeszcze Amerykę; kto przeczytał powieści Bret Harte'a, Bishop'a, Bellamy'ego, Cable'a, Crawford'a, Howells'a, James'a, Jewett'a, powiedzieć może, iż zna w głównych odcieniach Amerykę dzisiejszą.

Bret Harte jest malarzem życia i obyczajów kalifornijskich, Cable — kreolskich. Przedewszystkiem w obszernym romansie: „Grandissime", zatytułowanym tak od głównego bohatera opowiadania, występują na jaw główne wady Kreolów: duma i lekkomyślność bez granic, dzikie okrucieństwo, niewykluczające jednak pewnej naturalnej dobroci serca. Wady i względne przymioty Kreolów skupiają się w typowej postaci Agrykoli Grandissime. Człowiek to w gruncie poczciwy, ale niewolnictwo uważa za niezbędne, święte, nietykalne; przecież dlatego Pan Bóg dał czarną skórę Murzynom, aby na pierwszy rzut oka można było odróżnić wolnego od niewolnika. Agrykola sprawia sute wesele niewolnicy swej córki Palmirze, z olbrzymim, przepysznych kształtów Afrykańczykiem, znanym pod nazwiskiem „Odciętego Ramienia". Przy uczcie weselnej wszczyna się kłótnia; „Odcięte Ramię", — groźny czarownik, w swej ojczy-

źnie, — ubezwładnia obecnych, uderza Agrykolę, ucieka, a strasznemi czarami sprowadza coraz nowe klęski na pola i domy swych panów. Wreszcie policya hiszpańska uchwyciła zbiega; wedle starego prawa odcięto mu uszy i podcięto golenie, gdyż, jak wyraża się Agrykola, trzeba z tymi błaznami raz przyjść do porządku. Po śmierci męża, majaczącego przed śmiercią tylko o ukochanej Afryce, Palmira żyje i wyłącznie oddycha zemstą. Okropna ta kobieta pobudza całą swą kastę do buntu; pod jej ciosami pada ostatecznie Agrykola, myśląc jeszcze w ostatniej chwili o dawnej chwale Luizyany: „Rząd Yankesów utrwalić się nie może; pożyje rok, lub dwa, — nie więcej! Nasza ojczyzna powstanie jeszcze!“

Cable nie idealizuje Murzynów, jak „Chata Wuja Tomasza“; ale odfotografowuje żywcem Murzyna i Kreola z ich wadami, przesądami, ognistą namiętnością. Palmira, uciekająca się w rozpaczy do magii, przedstawiać ma walkę twardego, a giętkiego jak stalowa sprężyna charakteru, z trudnościami wynikającemi z wyciśniętego na czole piętna niewolnictwa. Wprost przeciwnym typem jest wiecznie śmiejąca się, stara Murzynka Klemencya. Z wesołym śpiewem: *Bè calas tout chauds*, roznosi i sprzedaje swe ciasteczka, kocha się i tańczy, opowiada nawet z nietajoną próżnością, ile to pieniędzy kiedyś matka za nią na licytacyi otrzymała. Klemencya mogłaby nas niemal pogodzić z niewolnictwem, gdyby obok niej nie stały ponure postacie Palmiry i „Odciętego Ramienia“.

Siedm nowel, zebranych pod wspólnym tytułem: „Dawne dni kreolskie“ odsłaniają nam znów inne strony kreolskiego życia tem lepiej, jeśli „dawne“, a nie dzisiejsze. Kłamstwo nie uchodzi tu za grzech; naiwność dzieciuna i dziecinna lekkomyślność nie opuszcza dojrzałych mężów i matek; Kreolki nic nie robią, ich mężowie piją kawę, syrop lub wino, grają na gitarze, a czasami spiskują. Nie lepiej i nie weselej przedstawiają się wzajemne stosunki w Ameryce między „obywatelami“ różnych kolorów, w powieści: „Pani Delfina“. Biedna matka, aby nie podciąć w korzeniu przyszłości umiłowanej córki, uroczyście się jej wypiera, a tak usuwa skądinąd stwierdzone podejrzenia, iż w uroczej tej dziewicy płynie kropla krwi czarnej. Na dalszem tle rysuje się piękna, łagodna postać spowiednika i pocieszyciela nieszczęsnej Delfiny: Ojca Hieronima.

Edgar Fawcett w „Niezajętym Dżentelmanie“, Henryk Bishop

w „Domu Księcia-Kupca“ prowadzą nas w sam środek amerykańskich wielko-miastowych stosunków; kto zbyt idealne sobie o Amerykanach wyrobił wyobrażenie, ten przy czytaniu tych powieści przekonać się może, że te same namiętności, pokusy, słabostki i grzechy są udziałem ludzi z tej, co i z tamtej strony oceanu. „Dom Księcia-Kupca“ grzeszy zbytkiem realizmu, nie tak brudnego, jak realizm Zoli i paryskich jego towarzyszy, ale zawsze niemiłego. W całem długiem opowiadaniu nie zarysowuje się ani jeden szlachetny, pociągający charakter; zdawaćby się mogło, że Ameryka zaludniona samymi oszustami i urwiszami, a pustaki i trzpioty robią już wrażenie czynników dodatnich. Rodman Harvey zebrał olbrzymi majątek w czasie wojny domowej, a pragnąc zostać członkiem kongresu, zbudował sobie wspaniały pałac, mający omamić i który istotnie omamił oczy wyborców. Ale pałac, piętnastu służby sprowadzonych ze wszystkich części Europy, łóżko kosztujące sześć tysięcy dolarów, nie jest jeszcze pewnym zadatkiem domowego szczęścia. Najstarszy syn zajmuje się jakąś oryginalną kolekcyą; drugi trawi czas na biesiadach; najmłodsza córeczka dziwi się, czemu guwernantki biorąc tyle pieniędzy, za nią się lekcyj nie uczą; jedyna nadzieja niedawno ufundowanego domu Harvey'ów w prześlicznej Angelice. Angelika odebrała wychowanie międzynarodowe: w Paryżu nauczyła się jeździć konno, w Niemczech języka niemieckiego, we Florencyi śpiewu; poczem wzbogaciwszy umysł i serce temi wiadomościami wróciła do New-Yorku, gdzie już czekał na nią narzeczony młody i bogaty Sprowle. Przez to małżeństwo spodziewa się familia Harvey'ów dostać na najwyższe stopnie społeczne. Niespodzianie Angelika zrywa brutalnie stosunki z narzeczonym, a oddaje to, co w konwencyonalnym stylu nazywa „miłością“, pięknemu Kingboltowi de Kingboltsville. Odrzucony narzeczony mści się; przeszłość Harvey'a nie jest bez zmazy, a wykrywając niektóre jego sprawki, nie trudno podkopać całe jego znaczenie, wpływ i bogactwo. Miasto spodziewanej teki ministra finansów, otrzymuje Harvey sądowe oskarżenie; pod wpływem tej hańby paraliż rzuca go na łoże. Jednocześnie piękny Kingbolt, godny zresztą kochanek Angeliki, odwraca się od niej. Nowy dom „kupiecko-książęcy“ jak prędko wzrósł, tak prędko upadł; ale przykład jego nie odstraszy innych „kupców-książąt“.

„Niezajęty Dżentelman“, przedstawia Amerykanina wychowanego w Anglii, który wróciwszy do ojczyzny, spogląda z nietajonem lekceważeniem na jej obyczaje i instytucye, lecz zwolna, pod wpływem najróżniejszych okoliczności przedzierzga się z admiratora Anglii, w prawdziwego amerykańskiego patryjotę, a nawet członka kongresu. Zaraz po wylądowaniu w New-Yorku, spotykają naszego bohatera: Pana Clintona Wainwright'a, same rozczarowania. Tak, przy pierwszym obiedzie u swego bankiera, dowiaduje się z podziwem, że został zaproszonym na obiad nie dlatego poprostu, że pieniądze swe złożył w tym a nie w innym banku, ale ponieważ nazywa się Wainwright, a Wainwright'owie należą do familii dobrych, znanych, mających własne drzewo genealogiczne.

„Z roku na rok, mówi z niesmakiem sąsiadka naszego bohatera, miss Spuytenduyvil, wzmaga się inwazya parweńjuszów. Klucz do kasy wystarcza tym nowym bogaczom do otworzenia sobie wszystkich drzwi...

„Daruj Pani, przerwał Wainwright, ale skądże pochodzi owo wasze l e p s z e towarzystwo; kto wynosi je ponad innych?

„Powiedz mi, mój Panie, jaka jest przyczyna, że to co jest, jest?

„Zasłaniasz się Pani ogólnikami... Chciałem powiedzieć...

„Och! Pan sądzisz, że to może pieniądze decydują tu o wszystkiem... Otóż, takby być nie powinno... Naturalnie, moglibyśmy i tutaj, podobnie jak w Anglii, tolerować pewne wyjątki. Ale jak tu, tak tam, pierwszym rzeczywistym warunkiem, aby ktoś mógł się dostać do istotnie dobrego towarzystwa, jest urodzenie.

„Jakto? Czyż wszystkich nie uważają tutaj za równych pod tym względem?

„Nie uważają? Pozwól Pan jeszcze na jedno pytanie. Jak sądzisz, dlaczego pan Bodenstein zaprosił Cię tu dzisiaj?

Wainwright pomyślał chwilkę.

„Jedną tylko widzę możliwą przyczynę. Ponieważ jest moim bankierem“.

„Co za rajska niewinność! Powinienbyś przecież pan wiedzieć, że nazywasz się Wainwright'em.

„Istotnie, wiedza ma sięga aż do tego punktu.

„I nie rozumiesz pan jeszcze?... Powiedziałam „Wainwright'em"... Nie ma tu nikogo, któryby nie znał pańskiej rodziny".

W dalszym toku rozmowy, Wainwright dowiaduje się, że Bodenstein zrobił mezaljans, a niebawem zaznajamia się z młodym dżentelmanem, który uważa sobie za punt honoru nie nosić na sobie innego sukna, jak tylko z fabryk angielskich. Oryginalne, dziwaczne reklamy; kokietki obwieszone perłami, jak „kozy dzwonkami"; młodzież rozmawiająca tylko o sile swych muszkułów i czystej krwi ulubionych rumaków, przesuwają się zwolna przed oczami naszego Amerykanina. Ale z drugiej strony patrzy on na febryczną działalność; na ciągle przyspieszony bieg bankierów, handlarzy, robotników; zaczyna mimowoli podziwiać śmiałe aż do zbytku, — może właśnie dla swej niewinności, — panny amerykańskie; czuje sympatyę, zwolna przemieniającą się w miłość ku jednej z nich, miss Ruth Cheever. Naturalnie po pewnych skrupułach, miłość ta rodzi zaręczyny i wesele, a w dalszych następstwach i miesiącach wybór do kongresu. Z Anglika, Wainwright przekształca się w Amerykanina, po części może dzięki urządzeniom amerykańskim, ale niezawodnie w większej części, — choć Tawcett tego nie powiada, — dzięki pięknym oczom panny Ruth Cheever.

Zachęcony powodzeniem Fawcett, zaczął pisać za szybko; jednego roku reklama doniosła aż o trzech nowych jego romansach. Największą wziętość pozyskał „Rutherford", obraz a raczej typ Amerykanina w najlepszem i najpochlebniejszem tego słowa znaczeniu. W powieści „Awantury wdowy" znakomitem, dowcipnem piórem skreślone jest pierwsze i jedyne zebranie new-jorskich literatów i dziennikarzy u pani Varick: umieją oni może pisać, ale rozmawiać w salonie z pewnością nie umieją.

Z salonów bankierskich, z ziewających literackich wieczorków, przenieśmy się za W. D. Howells'em i Edwardem Bellamy w kraj nieznany, kraj elfów, czarów i dziwów dziewiętnastego wieku. Powieść Bellamy'ego „Siostra panny Ludington" opiera się na najoryginalniejszem z oryginalnych przypuszczeń, że człowiek każdy nie jest jedną i tą samą osobą przez całe życie, ale inną w młodości, inną w wieku późniejszym, inną znowu za lat kilka, czy kilkanaście. Każdą z żywych tych osób ożywia dusza nieśmiertelna; w przyszłem życiu Bóg złączy wszystkie te dusze w misty-

czną jedność, w wielostrunną lutnię o jednym przecudnym oddźwięku. Hipoteza ta łączy się i miesza z modnym spirytyzmem i daje półfantastyczną, półrealistyczną całość: kartkę, zapisaną do połowy wschodnią bajeczką, do połowy zachodnią, ze ścisłych spostrzeżeń zdjętą fotografią. Podobnym, lecz mniej fantastycznym, jest „Kraj nieznany“ Howells'a. Doktor Boyton uwierzył w spirytyzm i błogie jego skutki dla przyszłości; poświęcił mu własne życie i życie swej córki Egeryi, której delikatne nerwy targa nielitościwemi doświadczeniami. Zrujnowawszy już zdrowie córki, odkrywa wreszcie Boynton niektóre mistyfikacye jasnowidzących, i dostaje się po wielu awanturach do komunistycznej osady „wierzących w drugie pojawienie się Chrystusa“. „Wierzący“ nie zbyt radzi spirytyzmowi; Egerya wstawszy z ciężkiej choroby, radaby żyć, a o umarłych się nie troszczyć, tem bardziej, iż miły, piękny i rozumny Ford serce jej ku sobie ciągnie. Pustelnicy widzą ze zgorszeniem na co się zanosi; radziby Egeryę w swej osadzie zatrzymać, ale mądra dziewczyna, jak przedtem wyrzekła się stosunku z duchami, tak teraz wyrzeka się stosunku z wierzącymi pustelnikami, i wyszedłszy nakoniec z wszystkich tych „krajów nieznanych“, w związku z Fordem, jak innni śmiertelnicy, resztę życia spokojnie przepędza [1].

Od powieści o duchach, nowoczesnych strachach i wróżkach, krok tylko do poezyi. Ojciec amerykańskiej poezyi, klasyczny Wiliam Cullen Bryant i znany po całym świecie, nawet w Polsce tłumaczony, autor Ewangeliny: Henryk Wadsworth Longfellow zstąpili

---

[1] Zajmujący i ciekawy w swym rodzaju obrazek katolickiego księdza bez wiary i kapłańskiego powołania, skreślił Howells w *A Foregone Conclusion*. Don Hipolit zakochał się w uroczej Amerykance Florydzie, bawiącej w Wenecyi, i przy poufnych zwierzeniach wyznaje, że wierzyć przestał a jedynym jego dogmatem jest kult piękna. Rezolutna Amerykanka, nie domyślając się nawet, że tem pięknem ma być ona sama, woła z zadziwieniem:

„A więc czemu nie zrzucasz pan tej sutanny? Czemu nie zrzekasz się katolicyzmu? Jest to podłość i świętokradztwo. Świat jest wielki, a w moim kraju żyłbyś pan wolnym“....

W parę dni później naiwnie objawia mu swą miłość do kogo innego. Hipolit nie kryje się z rozpaczą, i to dopiero otwiera oczy Amerykance. Z gestem oburzenia odpycha Hipolita: „Pan?... Pan?... Ksiądz?“...

Nieszczęśliwy rozumie, że nawet w oczach świata, w oczach protestantki zhańbił się, sprzeniewierzając się swemu powołaniu. Niebawem umiera, uchroniwszy się, dzięki naturalnemu wstrętowi Florydy, od nazwy apostaty.

już do grobu; naśladowcy ich i następcy bodaj czy poprzednikom sprostali. Ralph Waldo Emerson, filozof-poeta, a poniekąd i założyciel nowej sekty, pchającej teoryę o niezależności osobistej, aż do ostatnich granic możliwości, za wiele umieścił w swej poezyi filozoficznych, własnych sobie formułek, za mało nadał jej ruchu i życia. Poemat „Brahma“ idealizuje zawrotną naukę Wschodu, oświecając bramińskie systemata pomysłami Platona. „Bacchus“ zawiera w ziarnku darwinistowską teoryę przekształcania się gatunków:

„Pijąc, posłyszę mowę dalekiego chaosu; — Królowie jeszcze nie zrodzeni staną przy mym boku, — a najmniejsza traweczka snuć pocznie swe plany. Na czas ten, gdy wreszcie człowiekiem się stanie“.

„Sfinks“, „Pieśni leśne“, „Problemat“ „Dni“, przechodzą z kolei różne zagadnienia filozoficzne; ledwie jaki nowy systemat zjawił się na horyzoncie, a już Emerson ubierał go w rymowaną szatę. Stosownie do przedmiotu musiała to być szata abstrakcyjna, w której dobrze i pięknie może było mrzonkom filozoficznym, ale która zwykłych śmiertelników, zdrowym, prostym rozumem patrzących na te rozpływające się w miłości mrzonki, zbyt zainteresować nie mogła. Zdrowy rozum nie mógł się też zgodzić na te religijne pojęcia Emersona: dziwaczny zlepek najskrajniejszego materyalizmu z jeszcze skrajniejszym mistycyzmem. Uczniowie poety zwiększyli jeszcze w swych wierszach wszystkie te błędy, łącząc złą treść, której często może sami dość nie rozumieją, z nieznośną formą.

Edgar Alan Poë, syn rozpustnika i aktorki, od urodzenia niejako nosił w sercu nasienie zła, które ogrzane płomieniem szalonych namiętności, szybko się rozrosło i doprowadziło ostatecznie do śmierci z *Delirium tremens* na łóżku szpitalnem. Wszystkie wiersze poety-pesymisty, zajmują zaledwie mały tomik, a przecież sława jego po śmierci, bądź co bądź coraz bardziej rośnie. Groby, śmierć, rozpacz — zwykłym tematem; zapomnienie na wszystko, pogrążenie się w nicości jedynem marzonem szczęściem. Przecież ostatecznym zwycięscą błaznów, umodelowanych przez gorżką ironię na obraz Wszechmocnego Boga, będzie robak, który w grobie naszemi ciałmi się wykarmi:

„Cała sztuka tragedyą, pod tytułem: Człowiek,
A bohaterem sztuki, Król — Zdobywca: Robak“.

Gdyby Schopenhauer, lub Hartmann wiersze pisali, prawdopodobnie nie pisaliby ich inaczej. W obec czarnej od posępnej rozpaczy muzy Poë'go, blado wyglądają utwory Lowell'a, Whittier'a, Holmera. A przecież pół-żartobliwy, pół-idyliczny poemat Lowell'a: „Papiery Biglow'a", czytany z niezmierną skwapliwością w całej Ameryce, przyczynił się niemało do przyspieszenia wojny domowej, względnie do zniesienia niewolnictwa. Whittier'a nazywa jeden z współziomków: „prorokiem amerykańskim, poetą ludzkości, którego słowa ogniste rozbudziły sumienie winnego narodu i niewolników z kajdan uwolniły". Holmes uzyskał sobie sławę, jako klasyk, purysta, a przedewszystkiem genialny improwizator. Nie ma miasta, uroczystości narodowej, wspólnej biesiady, któraby się bez jego wierszy obyła; a co rzadsza, wiersze te improwizowane kryją w sobie nieraz, a inne prawie zawsze perłę prawdziwej poezyi. W pięćdziesiątym roku życia, Holmes porzucił rymy, a przerzucił się na prozę, i znów rzadkim trafem ujął ją zupełnie w swe posiadanie, jak świadczą o tem: „Poeta", „Profesor", „Autokrata przy śniadaniowym stole". Wszyscy ci panowie rozprawiają nieco za długo, ale dowcipnie i przyjemnie, traktując zawsze oryginalnie o wszystkich możliwych i niemożliwych przedmiotach.

Już z tego, bardzo skądinąd ogólnego i niedokładnego obrazu widać, że Ameryka, podobnie jak stary świat, może dziś przedstawić cały legion prawdziwie utalentowanych, kto wie czy czasem nie genialnych powieściopisarzów i poetów. W poezyi czuć pewne obniżenie, ale pamiętajmy, że dopiero cztery lata upłynęło od śmierci Longfellow'a, a geniuszy nawet w Ameryce, dostać nie można na obstalunek. Dziś powieściopisarze zaczynają się zwracać z pewnem upodobaniem do opisywania stosunków europejskich; nic w tem dziwnego, bo oryginalne motywa amerykańskie zaczynają i muszą się wyczerpnąć, ale zarazem następuje wielkie niebezpieczeństwo wpadnięcia w przepaść mierności i konwencyonalizmu. Jak cała Ameryka północna, tak i jej literatura żyje gorączkowem życiem: wzrosła szybko, a w tej chwili już pesymista jaki mógłby twierdzić, iż na niej okazują się niechybne oznaki zbliżającej się szybkim krokiem zgrzybiałej starości.

* X. *Jan Badeni.*

Sancti Thomae Aquinatis Doctoris Angelici opera omnia, jussu impensaque Leonis XIII. P. M. edita. Tomus tertius. Commentaria in Libros Aristotelis de coelo et mundo, de generatione et corruptione et meteorologicorum, ad codices manuscriptos exacta cura et studio Fratrum Ordinis Praedicatorum. Romae, ex typographia Poliglotta S. C. de Propaganda Fide.

Ten trzeci tom, zawierający 650 stronnic, uzupełnia wydanie. Czyni on zaszczyt tak Najwyższemu Pasterzowi, który tę myśl podniosł i poparł, jak niemniej Synom św. Dominika, którzy ją wykonali. W przeciągu niespełna lat sześciu, niezmiernym trudem, wytrwałą pilnością, głęboką nauką, Ojcowie zakonu Kaznodziejskiego zdołali obdarzyć świat uczony wydaniem olbrzymiego i wiekopomnego dzieła.

Langage (le) intérieur et les diverses formes de l'aphasie, par *Gilbert Ballet*, professeur agrégé de la Faculté de médecine de Paris, médecin des Hopitaux. Paris 1886, Felix Alcan.

Język wnętrzny jest to rozmowa, jaką mamy ciągle sami z sobą, tak dobrze wśród zupełnej ciszy, jak i wśród szmeru i hałasu, odbijającego się o nasze uszy; język ten nie posługuje się zewnętrznemi organami głosu. Rzecz ta znaną jest ogólnie, lecz mniej znaną jest ta okoliczność, którą właśnie Ballet stara się podnieść i wyświecić, że objaw tego języka nie jednakowo się ujawnia u wszystkich. U niektórych osób obrazy wyrazów głosowych główną odgrywają rolę, u innych obrazy wyrazów pisanych. Jedni mają pamięć przeważnie słuchową, inni widzialną, co się uwidocznia w objawach chorobliwych, w których występuje czasem głuchota słowna, lub też ślepota słowna.

Fizyolodzy korzystają niekiedy z objawów życia w normalnym stanie, lecz również, a może i przeważnie z objawów chorobliwych do wykrycia działalności organów. Ballet z nieprawidłowej czynności narządów mowy doszedł do rozróżnienia ośmiu czynności: „1. Rozumienie wyrazów głosowych; 2. Rozumienie wyrazów pisanych; 3. Wymawianie dobrowolne wyrazów; 4. Dobrowolne pisanie wyrazów; 5. Powtarzanie wyrazów za mówiącym; 6. Powtarzanie wyrazów za czytającym; 7. Pisanie za dyktowaniem; 8. Przepisywanie z książki lub pisma. Nadto każda z tych czynności w czworaki sposób może stać się nieprawidłową, tak, iż istnieje trzydzieści dwa objawów chorobliwych pojedyńczych; objawy te zwykle komplikują się, a stąd ilość wzrasta do ogromnej liczby, jaka powstać może z tych trzydziestu dwóch kombinacyj.

Dzieło Ballet'a zasługuje na czytanie tak dla filozofów, jak i fizyologów a jakkolwiek autor jest nieco pozytywistą, wynik, jaki da się wyprowadzić z jego badań nie przechyla się na korzyść jego zasad. Im więcej wynajdują fizyolodzy ognisk działalności fizycznej w człowieku, tem więcej wykazują zarazem potrzebę jedności duchowej.

Die historische und religiöse Weltstellung der Juden und die moderne Judenfrage, von *Dr. C. F. Heman*. Gesammt-Ausgabe. Leipzig. 1885.

Aktualną i nader piekącą jest dzisiaj kwestya żydowska. W obec artykułów i polemik toczących się w warszawskich gazetach po onym

osławionym „memoryale“, nie od rzeczy będzie przypatrzeć się książce, której krótką osnowę podajemy.

Z licznych pism i dzieł rozbierających kwestyę żydowską, książka niniejsza jest jedną nietylko z najciekawszych, ale może i najbardziej udałą pracą. Przedewszystkiem zaleca ją to, że jasno i gruntownie dotyka samego jądra rzeczy. Przytem nie jest to rozprawa w zwykłym tonie gazeciarskim napisana, ani w duchu tendencyjnym jakiegoś z politycznych stronnictw, ale jestto głęboko pomyślane historyczno-filozoficzne studyum przeprowadzone wedle kardynalnych zasad krytyki. Obejmuje ono dwie prace tegoż autora i stąd nazwa zbiorowego wydania. Pierwsza część wydana przed paru laty wyświeca historyczne, druga zaś religijne stanowisko narodu żydowskiego w świecie. W jednym i drugim względzie odegrali Żydzi ważną rolę. Rola ta jest internacyonalną i kosmopolityczną, wywarła wielki wpływ na cywilizacyę i politykę reszty narodów, ale była zarazem w swej istocie rozkładową wszystkiego co nacyonalne i indywidualne, kosmopolitycznie niszczącą, a tylko pielęgnującą swój byt. Z tą negatywną w gruncie rzeczy rolą złączone było jaśniejsze pozytywne zadanie. Żydzi choć się zdala trzymali od wszystkiego co obce, to jednak stali się pośrednikami w oświacie narodów. Tę podwójną rolę wyświecić trzeba z jednej strony z całego wykształcenia duchowego i charakteru Żydów, które się na podstawie Talmudu dokonało, z drugiej strony na systematycznem wykluczeniu i odrębności zewnętrznego trybu życia. To wyłączenie wszystkiego, co było nie żydowskiem, przeszkadzało zlaniu się z narodami i podtrzymywało ducha łączności w Żydach. Z tego urobiła się łączność w Żydach, by skorzystać ile można ze wszystkiego co nieżydowskie, wyzyskać wszystkie okoliczności, nic nie tracąc z żydowskiego elementu, żadnej ofiary z siebie nie niosąc. W skutek tych egoistycznych dążności obudzili Żydzi przeciw sobie niechęć i nienawiść innych narodów. Ten ich partykularyzm egoistyczny był przyczyną ich prześladowań, które niesprawiedliwie nieraz przypisuje się nietolerancyi chrześcijan.

Autor gruntownie udowadnia, że te tak okrzyczane ekspulsye Żydów z Hiszpanii, przez nich tylko spowodowane były. Na podstawie historycznych faktów konkluduje autor, że konieczną jest nietylko walka przeciw Żydom, ale bardziej przeciw zasadom, które ten stan rzeczy spowodowały, tak dalece, że walka przeciw Żydom jest zarazem walką przeciw liberalizmowi. Teraźniejsza kwestya żydowska jest sądem świata o dzisiejszych stosunkach i o ich przyczynach.

Dalej podaje autor środki do rozwiązania kwestyi żydowskiej wiodące. Tej ich emancypacyi cofnąć nie podobna, ani ich wyłączyć nie można od wyższych stanowisk w życiu cywilnem i wojskowem, ale Kościół katolicki, który pierwszy przyniósł pełną i prawdziwą wolność ludom, musi ręka w rękę z państwem dążyć do tego, by kwestyę żydowską z dobrem chrześcijan rozwiązać. Trzy przedewszystkiem rzeczy trzeba mieć tu na uwadze, które Żydom dają taką przewagę w świecie: dzisiejsza dążność państwa, obecne gospodarstwo pieniężne, i obecny rozkład protestantyzmu. I to rozwinięte szeroko i gruntownie w pierwszej części.

W drugiej części przechodzi autor religijne stanowisko Żydów w świecie; fundamentem jego jest monoteizm z całym prawodawstwem i proroctwami; z tego prawodawstwa rodzi się partykularyzm, a wreszcie na podstawie

proroctw uniwersalizm Królestwa Bożego. Na tym to trojakim fundamencie rozwija się cała historya narodu żydowskiego. Dalej skreślony początek i przebieg walki przeciw temu stanowisku religijnemu Żydów, a wreszcie czas, w którym rozstrzygniętem zostało ich stanowisko religijne w świecie, a tem jest przyjście Chrystusa Pana. Na mniejszości narodu żydowskiego dopełniło się ziszczenie Królestwa Bożego, a reszta popadła w letarg, który go wyłączył przez wieki od historycznego życia i działania. W końcu omawia autor religijną kryzys w nowszych czasach i pokazuje, że doba nowa duchowego życia, mogłaby dla Żydów zawitać, gdyby zerwali z całą dotychczasową tradycyą swego religijnego rozwoju, i na zawsze zbyli się rabinistycznego judaizmu. Po emancypacyi pozostał Żydom tylko wybór, albo zrzec się nowych wolności, albo wyrzec się talmudu, coby pociągnęło za sobą wielkie moralne następstwa. Lepsza przyszłość dla Żydów leży tylko w przyjęciu religii Chrystusowej, przez którą wstęp do Królestwa Bożego.

J. D.

Z pism peryodycznych.

Zeitschrift für katholische Theologie. 9-ter Jahrgang. Innsbruck rok 1885.

Peryodyczne to pismo, poświęcone katolickiej teologii, jest jakby zbiorem najświeższych owoców na polu tej wiedzy zrodzonych. Gruntowne rozprawy o szczegółowych kwestyach z każdego działa teologii, oraz obszerne oceny najnowszych prac w tym kierunku dokonanych, świadczą, że teologiczna wiedza zawsze kryje w swem łonie żywotną siłę gorczycznego ziarnka, które wciąż świeżem okrywa się kwiatem i świeże rodzi owoce. Słusznie więc takim czasopismom należy się w Przeglądzie naszym krótkie sprawozdanie i słówko bezstronnej oceny.

Oto przebieg treści powyżej wspomnianego rocznika: W dziedzinie dogmatyki ukazały się znakomite prace o wartości dobrych uczynków przed Bogiem, o istocie przyrodzonych i nadprzyrodzonych nawyknień *(habitus)* oraz objaśnienia do scholastycznej teoryi o aniołach. O. Müllendorf T. J. opierając się na nauce św. Tomasza, wyjaśnia w trzech artykułach warunki konieczne, aby uczynek był zasługującym w obec P. Boga. Przedewszystkiem winien on być spełniony dla Boga, jeśli od Boga otrzymać ma nagrodę. Ale zachodzi jeszcze pytanie, czy to podporządkowanie jest niezbędnem i jak je rozumieć należy? Obowiązkiem

jest ono niezawodnie, wypływającym z nakazu miłości *(praeceptum charitatis)*. Ale nie jest rzeczą konieczną, aby każdą sprawę odnosić do P. Boga wyraźnym aktem miłości, wystarcza, aby człowiek całe jestestwo swoje podporządkował Bogu, jako ostatecznemu celowi swojemu i tego żadnym nie zrywał grzechem. Bo dopóki to podporządkowanie trwa, póty też wszystkie moralnie dobre uczynki już przez to samo do Boga są skierowane. Przykazanie miłości, które nam poleca wszystko odnosić do P. Boga, brzmi innemi słowy: „Unikaj złego a czyń dobre". Ta prosta nauka wynikiem jest głębokich, a umiejętnych wywodów, któremi doktor anielski teologicznie ją uzasadnia. Tutaj też jasność udowodnionej prawdy wyświeca nieporozumienia lub zbija przesadne teorye nietylko jansenistów lecz i katolickich teologów; tu scholastyczna terminologia aktualnego, habitualnego i wirtualnego odnoszenia spraw naszych do Boga, jasno jest sformułowana i uzasadniona ścisłością definicyi i przejrzystym wykładem.

Czy takie podporządkowanie jakiegokolwiek uczynku wystarcza samo przez się do zjednania zasługi w obec Boga, czy potrzeba na to innego jeszcze czynnika? To drugie pytanie, na które autor w 3-m artykule rozstrzygającą daje odpowiedź.

Św. Tomasz żadnych nad to nie stawia warunków, ni też nowego domaga się czynnika. Przeciw tej nauce Anielskiego Doktora nieraz już przeciwne podnosiły się głosy, chcąc ją koniecznie dopełnić, rozszerzyć, przekształcić. Otóż autor jasnymi wykazuje dowodami, że wszystkie owe warunki tak uporczywie ze strony wielu teologów żądane, albo zupełnie nie są potrzebne, albo też nauką św. Tomasza są już dostatecznie objęte. Stanowisko też dzisiejszej umiejętności dostatecznie to samo potwierdza i udowadnia. Trudności prawie wszystkie dziś już usunięte i zapomniane. Jedna z nich tylko pozostała — i od XVI. w. aż do dni obecnych ma swych obrońców i szermierzy; lecz bliższy jej rozbiór ma się dopiero później ukazać.

Antoni Straub T. J. w artykule wstępnym do pneumatologii zastanawia się nad tą kwestyą, czy w dzisiejszych okolicznościach wypada pneumatologiczne badać trudności, kiedy o fundamenta wiary bój staczać potrzeba? Czy raczej przestaćby na tem wypadało, co Bóg nam zechciał objawić, a nie zgłębiać tajemniczej

prawd Bożych skarbnicy. Autor występuje przeciw tym zarzutom i udowadnia ich bezzasadność. Błahość tychże zarzutów dokładnie a naukowo wykazuje też dziełko p. t. *Angelologie,* niedawno wydane przez Dr. J. H. Oswalda, profesora przy liceum Hosianum w Brunsberdze. O. Straub i tego dziełka doskonałą daje ocenę.

W ciemną i mglistą krainę wprowadza nas O. Linbourg T. J. w teologicznej rozprawie o przyrodzonych i nadprzyrodzonych nawyknieniach. Umiejętność scholastyczna całe wieki pracowała nad wyjaśnieniem tej kwestyi, ale nigdy nie zdołała wszystkich rozwiązać trudności. I jedno i drugie nawyknienie jest faktem, o którego rzeczywistości wątpić nie podobna. Na czem jednak polega sama ich istota i skuteczna działalność, o tem i rozum nie wiele podaje nam objaśnień i wiara bardzo skąpo użycza światła. A jednak do jaśniejszego zrozumienia życia łaski, pożytecznem byłoby i koniecznem, głębszych w tym kierunku zaczerpnąć wiadomości. Co tylko gruntownego w tej kwestyi długie wieki teologicznych i filozoficznych badań zdobyć umiały, wszystko to O. Linbourg umiejętnie zebrał i opracował.

Także i biblijną wiedzę czasopismo to cennemi wzbogaca zdobyczami. Hiszpański Augustyanin, O. Fernandez (*Revista Augustiniana,* Valladolid 1884) bierze w obronę naukę o dosłownem natchnieniu *(inspiratio verbalis).* Pisma św. i liczne przytacza dowody na stwierdzenie tezy, że Bóg jest twórcą ksiąg świętych nietylko co do treści ale i we wszystkich wyrazach i zwrotach, w każdym znaczku i w każdej literze. Dr. Franciszek Schmid znakomitą daje odprawę wszystkim argumentom na obronę tej tezy przytoczonym, albo odrzucając je jako bezpodstawne, albo też wykazując, że nie dowodzą tego, co dowieść potrzeba.

Dwa artykuły O. Kobler'a T. J. odsłaniają nam nowe pole krytyki biblijnej, podjętej przez nasze nowożytne pogaństwo. Od tysiąców lat Żydzi i Chrześcijanie uważali Pięcioksiąg (Pentateuch) jako dzieło, pod wpływem Boskiego natchnienia, przez samego Mojżesza napisane i przekazane w dziedzictwo ludowi Izraela. Cóż uczyniła z ksiąg tych pseudo-racyonalna krytyka przed stu laty podjęta? Oto według rezultatów nowożytnej krytyki, żydowska Thora, czyli chrześcijański Pięcioksiąg wraz z księgą Jozuego, właściwie nie jest wiarogodnym i od Boga natchnionym opisem pochodzenia rodzaju

ludzkiego i najdawniejszych jego dziejów, ale po prostu mętnym zbiorem niepewnych podań i zmyślonych mytów.

Cennym przyczynkiem do traktatu *de justitia et jure*, jest artykuł O. Biederlach T. J.: „O gwałceniu praw majątkowych". W jednej z poprzednich rozpraw przedstawił już autor ten sam przedmiot ze stanowiska moralnego, jako ciężką lub powszednią winę — tu dwojaką omawia kwestyę, której doniosłość łatwo pojmie ten, komu nie obcą jest *cura animarum*. Doniosłość ta tem większego nabiera znaczenia, że nie tylko w ubiegłych wiekach, ale i w obecnym czasie spotkać można rozmaite a niezgodne z sobą rozwiązania tej kwestyi. Najprzód zastanawia się autor nad tem, które to są gatunkowo różne rodzaje owych pogwałceń? Powtóre, podług jakich reguł w materyi tej oznaczać należy ich liczbę, czyli liczebną różnicę *(differentia numerica)*.

O. Grisar T. J. wyjaśnia nieznaną zwykle historyę rzymskiej liturgii, przedstawiając powolny jej rozwój w zachodnim kościele, głównie o ile ona dotyczy odprawiania Mszy św. i udzielania św. Sakramentów. Na schyłku VI. i z początkiem VII. stulecia zarządził Kościół reformę, która dla wieków następnych stała się normą obowiązującą. Nie n o w a tu jednak powstaje liturgia, ale przeciwnie pierwotna, od początku ustanowiona przywraca się, ustala, oczyszcza z niepotrzebnych naleciałości, upraszcza po długiem doświadczeniu — wszelkie zaś zaprowadzone nowości odpowiadają najzupełniej duchowi liturgii pierwotnej. Często się zdarza, że drobny, prawie nic nieznaczący wypadek pociąga za sobą skutki nieraz bardzo wielkiej wagi. Tak i reforma ta była następstwem drobnej na pozór okoliczności. W owych czasach stacye po rzymskich cemeteryach prawie zupełnej uległy ruinie. Potrzeba więc było odświeżyć je i uporządkować nanowo. I ta właśnie niepozorna okoliczność była pierwotnym powodem całej liturgicznej reformy. Najstarszy bowiem opis mszalnego obrządku, w ścisłym stoi związku z owemi stacyami: bo Msza tamże opisana była właśnie jedną z tych, które odprawiano w pewnym dniu stacyjnym i w pewnym stacyjnym kościele. Jaki zaś był *ritus* ówczesny i jakim uległ on zmianom, reformą Grzegorza I. stale wprowadzonym, to znów streścił tenże O. Grisar w artykule: „O rzymskiem s a c r a m e n t a r i u m".

Wspaniałą a chlubną ilustracyę osławionych wieków średnich skreślił O. Kobler w obrazie Świętych, pochodzących z książęcych rodzin średniowiecza. Nie ma okresu tak bogatego w wydatne światła i cienie, jak tysiąclecie, poprzedzające rewolucyę kościelną, która powszechnie reformacyą się zowie. Niemniej prawdą to jest także i w kierunku chrześcijańskich cnót i świątobliwości. W ciągu owego tysiąca lat nie znajdziem ani jednego roku, w którymby choć jeden z tronów Europy nie błyszczał aureolą świętości. A jakże olbrzymią była cywilizacyjna potęga takiej cnoty, która z wysokości tronu rozsiewała promienie swego światła, na wzór i zachętę ludowi, który mimo swych nieokrzesanych obyczajów, serce miał silne wiarą a rozum dostatecznie rozwinięty, by ocenić bohaterstwo ofiar, jakich koniecznie wymaga cnota na tronie, lub obok tronu kwitnąca.

Ważną też usługę oddał historyi O. Heller ponownem rozbiorem, wielekroć już omawianego nestoryańskiego pomnika w Siang-fu. Studyum to przewyższa prace wszystkich jego poprzedników głównie dla tego, że jest ścisłą analizą nie tylko chińskiej części napisu, ale i syryjskiej, która dotąd w całości swej zupełnie zbadaną i wyjaśnioną jeszcze nie była.

Rozprawa ta mieści w sobie wszystko, co tylko potrzebnem jest do gruntownej znajomości obranego przedmiotu. Autor udowadnia autentyczność pomnika (jest to tablica kamienna), skreśla jego historyę i jego znalezienie, poczem wyjaśnia go i tłumaczy, wskazując w końcu historyczną wartość tego zabytku.

Oprócz prac tych ściśle naukowych, mnóstwo też zawiera się w omawianem czasopiśmie krytycznych sprawozdań i recenzyj nowych dzieł teologicznych. Jest tu np. krytyka Jungmann'a, roztrząsająca „Mniemane dzieło św. Tomasza o pięknie“, — Bickel'sa „Referat o papyrusowym fragmencie niekanonicznej Ewangelii“, Stöckla „Historya nowej filozofii“, Pressuti „Regesti di Onorio III.“; „Bibliotheca scholastica“: Silvester Maurus, in Aristotelem; Cosmas Alemannus, Summa philosophica; Lehmkuhl, Theologia moralis t. II. i wiele innych dzieł mniejszej wartości. A nadto mnóstwo cennych wiadomości o historyi i historycznych postaciach, o ruchu księgarskim i jego najświeższych pojawach.

Ks. A. Langer.

Rozmaitości.

Oddawna czuć się dawał między galicyjskimi Rusinami brak popularnego, w czysto katolickim duchu redagowanego miesięcznika, czy półmiesięcznika, któryby korzystnie zastąpił niemożliwą, w pamflet zmienioną *Naukę*. Brakowi temu od pół roku czyni zadość wydawane w Jarosławiu, pod redakcyą *ks. Cyryla Sieleckiego* czasopismo p. t. **Cyryl i Metody.** Wyszłe dotychczas trzy numera jednają sobie czytelnika tak zewnętrzną szatą, jak wewnętrzną treścią. Da Bóg kiedyś na innem miejscu obszerniej o nowym tym ruskim *Przeglądzie* pomówimy; tymczasem, łącząc się z redakcyą *Rusi*, zasyłamy mu szczere: „Pomagaj Boże!“

Świeże niepowodzenia Darwinistów. Senat akademicki we Lwowie otrzymał napomnienie od ministra za niewczesny wykład darwinistowski, o którym swego czasu wspominaliśmy w „Przeglądzie“. Czytamy w *Dzienniku polskim* z d. 8 lipca r. b. „Ostatni akt inauguracyjny na tutejszym Uniwersytecie obfitował, jak wiadomo, w epizody z powodu odczytu Dra Dybowskiego o Darwiniźmie w obecności trzech arcybiskupów, którzy uczuli się tem dotknięci. W miesiąc po inauguracyi zażądało ministerstwo oświaty przez tutejsze namiestnictwo dosłownego wykładu Dra Dybowskiego — a gdy ten zgodził się na udzielenie go — odesłano go ministerstwu. W tych dniach nadeszła do senatu rezolucya w tej sprawie — w której minister oświaty zastrzegając się, iż jest dalekim od występowania przeciw swobodzie wykładów, zwraca jednak uwagę na to, iż gdy była szersza publiczność i zaproszono arcybiskupów, nie należało mówić o takich rzeczach, za które dostojnicy Kościoła musieli się czuć obrażonymi. Skutkiem tego wyraża minister swoje niezadowolnienie z wykładu *(Missbilligung des Vortrags)* i nadzieję, że senat zarządzi, aby na przyszłość coś podobnego się nie wydarzyło“. Cieszyć się tylko możemy, że p. minister oddał tę przysługę lwowskiemu Uniwersytetowi i znajdujemy, że się z wielką grzecznością i oględnością wyraził.

Donoszą z Paryża o nowem rozczarowaniu wśród darwinistów francuskich: mózg Gambetty waży tylko 1160 gramów! Trzeba wiedzieć, że wśród wielu różnic anatomicznych, jakie zachodzą między człowiekiem a małpą, niepoślednią gra rolę objętość czaszki a zarazem waga mózgu. Największa małpa posiada zaledwie objętość mózgu, wyrównywającą mózgowi dziecięcia. Darwiniści oczywiście tłumaczą sobie tę różnicę, jak wszystko — przez rozwój. Jakiś protoplasta człowieka otrzymał przypadkiem mózg większy, w potomkach jego tenże mózg rósł — rósł i wreszcie dorósł do stanu obecnego. Na dowód przytaczają, że średnia waga mózgu Murzynów wynosi 1225 gr., Europejczyków zaś z górą 1300, a między tymi ostatnimi, im jaki naród jest inteligentniejszy,

im jaki człowiek posiada więcej talentów, tem mózg jego więcej waży, i tak mózg Cuvier'a ważył 1830 gr., Schiller'a 1785, Agassiz'a 1512 i t. d.; spodziewano się zatem, iż mózg takiego „genialnego“ Gambetty wiele zaważy. Lecz ten „wielki mąż“ zawiódł ich oczekiwania, mózg jego waży tylko tyle, ile mózgi Buszmanów lub Australczyków. Cóż stąd za wynik? Jedno z dwojga: albo teorya jest błędną, albo Gambetta nie był wielkim człowiekiem. Chcąc nie chcąc musiano zgodzić się na drugie, i osądzić, że wielkiemu Gambecie po prostu brakowało piątej klepki. Aby tego wyroku nie poczytano za nasz wymysł, przytaczamy dosłownie *Revue scientifique*, z d. 10 lip. r b., str. 60: „P. Manouvrier zauważył, że mózg Gambetty nie stanowi wyjątku z ogólnego prawa, ciężar bowiem mózgu jest nietylko w stosunku z inteligencyą, lecz zarazem i z innemi czynnikami psychicznemi... Otóż chociaż nie umiemy powiedzieć jakich własności intelektualnych Gambecie brakowało, śmiało twierdzić możemy, że coś mu niedostawało. Stąd dziwić się nie można, że mózg jego tak był lekki, skoro mu brakowało niektórych... *qualités cérébrales*“. Jakżeż ten niedostatek cerebralny inaczej po polsku przetłumaczyć, jak nie przytoczonem wyżej przysłowiem?

Niedawno opuściły prasę:

Grundlinien der Patrologie, von *P. Bernhard Schmid O. S. B.* Freiburg in Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1886. XI. 153. — Obszerne, niemieckie patrologie Möhlera, Permanedera, Alzoga, przeznaczone są raczej dla nauczyciela, niż dla ucznia, lub znowu ograniczając się na pewną tylko epokę, całego przedmiotu nie wyczerpują. Właściwego szkolnego kompendium patrologii dotąd nie było. Dotkliwemu temu brakowi, zwłaszcza dla seminarzysty, który nie może zbyt wiele godzin poświęcić na zaznajomienie się z Ojcami Kościoła, ani też nie posiada dość wprawy, by jędrnie a zwięźle spisać sobie główne myśli obszerniej przeprowadzone przez profesora, zapobiega niniejsze wzorowo ułożone szkolne kompendium. Wyłożywszy w paru wstępnych rozdziałach znaczenie i powagę tradycyi, w jaki sposób rozróżnić można autentyczne pisma ojców od podrobionych, i jak pism tych używać może i powinien teolog, moralista, asceta, egzegeta; przechodzi następnie autor jednego po drugim wszystkich Ojców Kościoła, wyliczając ważniejsze wypadki życia, pozostałe dzieła i skutki osiągnięte czynami ich i pismami. Długi ten szereg rozpoczyna się od św. Klemensa, biskupa rzymskiego, a więc od apostolskich czasów, a kończy na św. Grzegorzu Wielkim.

Pożyteczność i praktyczność tego patrologicznego rysu, pokazuje się już stąd, iż obecnie doczekał się drugiego wydania, a niedawno okazał się w francuskim przekładzie. Nie śmiemy myśleć o wydaniu podobnego dziełka, czy choćby o tłumaczeniu polskiem; bodaj przynajmniej okazało się łacińskie, umożliwiając tak wszystkim powołanym do stanu duchownego gruntowniejsze zapoznanie się z nieocenionemi skarbami, ukrytemi w dziełach Ojców Kościoła.

B.

Manuale precum in usum theologorum. *Friburgi Brisgoviae.* Sumptibus Herder. 1886. Str. XI, 554. — Prawdziwa to, w najlepszem znaczeniu

książka do nabożeństwa dla seminarzystów, choć i nieseminarzyści z pożytkiem i zbudowaniem z niej korzystać mogą. Miasto przedmowy umieszczono na wstępie napomnienia św. Karola Boromeusza dla kleru, i ustawy dla seminaryów. Całe „Manuale“ dzieli się na dziewięć części. Pierwsza zawiera modlitwy zwyczajne i codzienne, druga modlitwy ranne, trzecia wieczorne, czwarta modlitwy przy Mszy św., piąta i szósta mieszczą odpowiedne nauki i modlitwy przed i po spowiedzi i komunii św. Następują hymny i modlitwy kościelne na cały rok, na cześć N. Panny i znaczniejszych świętych, tudzież modlitwy w szczególnych potrzebach duszy i ciała. Osobny dodatek objaśnia szczegółowo ceremonie przy odbieraniu niższych i wyższych święceń. Cena księgarska trzy marki, a więc i dla kieszeni seminarzysty przystępna.

Ciche westchnienia. Modlitwy i Rozmyślania na wszystkie dni tygodnia i uroczystości kościelne całego roku. Zebrał *ks. Jan Brzozowski S. P.* Nakładem autora. Kraków 1886. Str. 544. Cena 90 ct. — Dziełko to polecić możemy szczególnie ze względu na bardzo dobry układ i treść prawdziwie doborową. Nabożeństwo codzienne, tygodniowe, odświętne i przygodne — to ogólny podział. Ze szczegółów podnieść należy gruntownie a wzniośle opracowane nabożeństwa do Chrystusa P. i N. Panny, oraz dobór rozmyślań i modlitw wyjętych z pism Fenelona, Bourdaloue, Bossueta, św. Franciszka Salezego i t. d. Zewnętrzna też strona książki, obok czystości języka i prostoty stylu, zasługuje na zupełne uznanie.

Directorium breve ad Confessarii et confitentis munus rite obeundum *R. P. Joannis Polanci S. J.* juxta modo vigentes censuras correxit *P. Augustinus Arndt ejus. Soc.* Cracoviae 1886. — Zaszczytny urząd kapłański, któremu jak św. Hieronim mówi: „i barki Aniołów podołać nie zdolne“, ważnym i ciężkim jest, zwłaszcza dla urzędu spowiedników, jako tych, co w prawdziwem tego słowa znaczeniu „nie sąd ludzki ale Boży odprawiają“. Prócz wiedzy, której dostarczyć ma przedewszystkiem teologia, potrzeba tu jasnego pojęcia ważności obowiązku, wielkiej roztropności i wreszcie doświadczenia. Wszystko co tylko może ku temu służyć, krótko a zwięźle znajdą kapłani zebrane w dziełku O. Polanco. Rozpada się ono na dwie części. W pierwszej przedstawione najprzód zalety i warunki dobrego spowiednika, dalej wskazany sposób należytego postępowania z powierzoną sobie od Boga duszą. W drugiej części rozebrany szczegółowo rachunek sumienia przez przykazania Boże i pojedyńcze stany ludzi, a zarazem środki, które wskazać powinien spowiednik, by ustrzedz penitenta od dalszych upadków. Trudna a zawikłana kwestya restytucyi szerzej w osobnym rozdziale jest omówiona. Nowe to wydanie zaleca się zwłaszcza tem, że dodane są nowsze cenzury kościelne.

Z.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Mowy francuskiego ministra wyznań. — Wrzekomy sobór w Tuluzie. — Antyklerykalna demonstracya w Paryżu. — Wybory municypalne w Rzymie. — *Modus vivendi* między Watykanem a Kwirynałem. — Konkordat z Portugalią. — Ugoda z Czarnogórą. — Stan katolicyzmu w Danii.

„Mowy były zawsze tryumfem żyrondystów", zauważył niedawno dowcipnie *Moniteur de Rome,* mówiąc o jałowych protestach paru umiarkowanych republikanów francuskich przeciw wypędzeniu książąt; łatwego tego tryumfu zapragnął widocznie minister wyznań P. Goblet w swej urzędowej przejażdżce po katolickiej Wandei. Minister przemawiał trzy razy i trzy razy brał w obronę „wolność sumienia", „uczucia religijne", „nienaruszalność kościelnego budżetu". „Wierzcie mi Panowie, głosił p. minister, niech głoszą co chcą przeciwnicy usiłujący odwrócić od rządu ludność przywiązaną do swej wiary, Rzeczpospolita nie myśli bynajmniej stawać na przeszkodzie wolnemu wyznawaniu istniejących kultów. Występując przeciw nim do walki, państwo nie tylko przekroczyłoby swe prawo i dopuściłoby się prawdziwej zbrodni przeciw najkosztowniejszej z wszystkich swobód, wolności sumienia, lecz nadto, chcąc zniszczyć uczucia religijne, zwróciłoby miecz przeciw samemu sobie".

Jednocześnie, w tym samym niemal dniu, w którym wygłaszał te pompatyczne frazesy, rozesłał p. Goblet do wszystkich biskupów francuskich cyrkularz zakazujący przygotowanego już od-

dawna kongresu eucharystycznego, czyli jak minister urzędowo, ale nie zbyt fachowo się wyraża, s o b o r u w Tuluzie. Zakaz ten motywuje minister prawem z 18 Germinala, roku X. rzeczypospolitej; jeśli dalsze prawa i zakazy innych motywów mieć nie będą, daleko zajść możemy. Arcybiskup Tuluzy, kardynał Desprez zwrócił ministrowi uwagę, że kongres eucharystyczny nie jest soborem, i w słowach grzecznych, ale stanowczych prosił go, aby się do nie swoich rzeczy nie mieszał. Jakoż, wbrew ministerskim protestom, kongres spokojnie się odbył. Fakta odnośne do religii ugrupowały się we Francyi z dziwną jakąś ironią: w przeciągu niespełna dziesięciu dni minister wyznań bronił solennie religii i zakazywał zebrania się eucharystycznego kongresu; prezydent Grévy wkładał birety nowym francuskim kardynałom, i spokojnie przypatrywał się antykatolickiej demonstracyi w Paryżu.

W drugiej połowie czerwca zeszły się w jednej z sal paryskich: „Liga antyklerykalna“, „Demokratyczne towarzystwo włoskie“, „Federacya wolnej myśli“, a jako kwiat i przyszła nadzieja wszystkich tych związków i federacyj, stanął w zwartych szeregach cały „antyklerykalny pensyonat z Montreuil“. Powodem zebrania była apoteoza Wiktora Hugo i Garibaldiego. Jeden z mowców przyrównał Garibaldiego do Juliusza Cezara; drugi zażądał poprostu „zupełnego zniszczenia“ Kościoła katolickiego. Po wielu bluźnierstwach, przerywanych frenetycznemi oklaskami całego pensyonatu, zgromadzeni zawotowali jednomyślnie następny porządek dzienny:

„Francuscy i włoscy demokraci, zebrani 20 czerwca w sali Rivoli zasyłają pozdrowienie demokratom włoskim, życząc, aby parlament zniósł w jak najkrótszym czasie prawo gwarancyj papieskich: prawdziwą hańbę Włoch“.

W obec takich manifestacyj i faktów, jakże nie zgodzić się z *République Française*, która — trzeba przyznać, że otwarcie, choć może za słabo — nazwała obecny stan rzeczy we Francyi: „najlepszą z anarchij?“ Gdyby w Rzymie rządziło republikańskie ministerstwo, pod naczelną prezydenturą apatycznego Grévy, wielkie pytanie, czy solennie zastrzeżone gwarancye nie zostałyby również solennie przemazane. Rząd króla Humberta, dziś przynajmniej o takiej ostateczności nie myśli, a choćby kiedy myślał, ostatnie wybory municypalne wykazały mu zbyt dowodnie siłę katolicyzmu, aby

go w ten sposób jątrzyć próbował. Energiczna *Unione Romana* przeprowadziła na ośmnastu nowych radców w samym Rzymie dwunastu własnych kandydatów; pozostałych sześciu liberałów umiarkowanych dostać się mogło do rady miejskiej tylko w skutek kompromisu zawartego z *Unione*, po złożeniu przyrzeczenia, iż nigdy z jawnymi wrogami katolicyzmu się nie złączą. Tryumf klerykałów — jak zwykły zwać katolików, niechętne im dzienniki, we Włoszech i gdzieindziej — był zupełny. „Najkompletniejszy tryumf pisze *La Tribuna*, listy klerykalnej jest lekcyą, na którą liberali sobie zasłużyli". *La Fanfulla* przypisuje porażkę swych stronników, zbytniej ich nietolerancyi, a politycznemu rozumowi katolików, którzy zdatniejszych liberałów nie wymazali z swej listy. *La Riforma* w osobnym artykule nawołuje z widocznym przestrachem do zgody: „Nie kłóćcie się, ale wystąpcie przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Zwyciężył was raz, lecz zgódźcie się tylko między sobą, a nawet cień klerykała nie przesunie się po murach Kapitolu".

We wszystkich tych artykułach, we wszystkich mniej lub bardziej liberalnych czy radykalnych gazetach — strach widoczny. Idąc tak dalej w Rzymie, a znowu ostatniemi dniami w Genui, zwolna katolicy opanują wszystkie rady miejskie. A czy z rad miejskich nie zechcą, spróbowawszy swych sił, przejść do parlamentu, zasiąść może na ministeryalnych krzesłach? Daleka to przyszłość, o której w tej chwili katolicy przynajmniej nie mówią, ale czy nie pomyślą? Rzecz jasna, że na samo podobne przypuszczenie dzisiejszym liberalnym kandydatom na ministerskie teki, względnie dzisiejszym posłom obradującym w Montecitorio, robi się niedobrze.

Zabór Rzymu, stolicy, w której, jak dowcipnie wyraził się niedawno jeden z rzymskich dzienników, przez całe pół roku nie ma ani króla, ani dworu, ani sejmu, ani ministeryum, ani sądów, ani urzędów, raz poraz występuje jako nieprzezwyciężona przeszkoda do dalszego normalnego ukształcenia się Włoch, a bardziej jeszcze do zdobycia sobie odpowiednich wpływów na zewnątrz. Dziś kiedy Francya zrzeka się szlachetnej misyi, opiekowania się katolikami na Wschodzie, kiedy np. w nowo zawartym traktacie między Francyą a Koreą nie ma ani słówka o misyonarzach, piękne to, ważne, a pod niejednym względem korzystne dziedzictwo objąćby powinny Włochy. Niedawno kwestyę tę poruszył bardzo poważny dziennik

Rassegna, choć sam nie tai, iż trudną jest rzeczą, aby konsulowie Kwirynału brali w swą szczególną protekcyę wysłańców Watykanu. To też rządowe i nierządowe koła włoskie raz poraz poruszają kwestyę pojednania, czyli raczej wymyślenia jakiegoś *modus vivendi* między Watykanem a Kwirynałem. Nawet były półkownik garybaldczyk Fazzari, w wyborczym swym programie, postawił tę kwestyę na pierwszem miejscu, wysilając swój umysł nad możliwemi sposobami, jakiemiby to pojednanie do skutku przyjść mogło. Gorętsze gazety katolickie odpowiadają poprostu: „Wynieście się z Rzymu, oddajcie coście nieprawnie zabrali, a pojednanie gotowe". Umiarkowańsze stawiają zarzuty, robią zastrzeżenia, ale propozycyi wręcz nie odpychają. Co myśli o tych planach i projektach dyplomacya rzymska? Sądząc po tonie gazet półurzędowych — zgadza się ona w zasadzie na myśl wyrażoną przez wiedeńską *Correspondance Politique:* Papież ogołocony z wszelkiej władzy ziemskiej pierwszego kroku zrobić nie może, ale niechaj rząd Włoski przedstawi swe propozycye, a kurya będzie mogła wtedy zastanowić się nad rozwiązaniem tego problematu w sposób zgodny z interesami Włoch, godnością i niezależnością Papieża i bezpieczeństwem całego katolickiego świata.

Niemiły to może sercu i wyobraźni, ale na teraz bodaj czy nie jedynie możliwy sposób wyjścia z nieznośnego dla obu stron położenia. Daj Boże, aby i w tej najważniejszej kwestyi, dyplomacya papieska wyszła z równą chwałą, jak z innych mniej ważnych. 23 czerwca podpisał kardynał Jacobini i ambasador portugalski u Stolicy św. nowy konkordat regulujący prawo patronatu korony Portugalskiej nad Indyami Wschodniemi. Sprawa ta, irytująca do żywego patryotyzm Portugalczyków, zostawała nierozstrzygniętą od pół wieku; w obecnym dopiero konkordacie zdołał Leon XIII. nie drażniąc w niczem patryotycznych uczuć i historycznych tradycyj portugalskich, zabezpieczyć prawa Stolicy św. i prawidłowy rozwój katolicyzmu. Gazety portugalskie, zwłaszcza pół-urzędowa *Commercio de Portugal* w gorących słowach dziękują Ojcu św. za tyle „mądrości i dobroci". — Układ z Czarnogórą także podobno już zawarty. W dawnej siedzibie arcybiskupiej Antivari ma odtąd stale rezydować katolicki biskup z juryzdykcyą nad pięciu blisko tysią-

cami katolików przyłączonych do Czarnogóry przez kongres berliński.

Nawet z odległej Danii, pomyślne nadchodzą wieści. Od lat czterdziestu liczba misyonarzy z trzech wzrosła na trzydziestu, pomiędzy którymi dziewięciu rodowitych Duńczyków; liczba zakonnic z czterech na dziewięćdziesiąt pięć. Jezuici, dzięki wspaniałomyślności pewnej konwertystki, założyli niedaleko od Kopenhagi, na wzgórzu Ordruphoel, olbrzymi zakład wychowawczy, do którego uczęszczają nietylko katolicy, ale i mnóstwo protestanckiej młodzieży. Od pewnego czasu wychodzi w stolicy tygodnik katolicki: *Vordisk Ugeblad*, rodzic, da Bóg licznych w przyszłości gazet katolickich w Danii. Niebawem stanąć mają dwa nowe kościoły, tem potrzebniejsze, że do pięciu kapliczek rozsianych dziś po różnych częściach stolicy, cisną się nietylko katolicy, ale i protestanci, zwłaszcza na kazania, których słuchają z ciekawością i zbudowaniem Zwrot ku katolicyzmowi objawia się przedewszystkiem w książkach; sami pastorzy wyznają tu nieraz, że wśród dzisiejszych burz i niepokojów, luteranizm nie jest bezpiecznym portem, bo nie panuje w nim, jak w Kościele katolickim niezłomna powaga i wiekową tradycyą ugruntowany porządek.

B.

Z Poznania.

Sześciomiesięczny *Polenschlacht.* — Projekt kolonizacyjny i pierwsze kroki w tej mierze. — Germanizacyjne reformy w szkołach. — Kulturkampf zlokalizowany w polskich dzielnicach i protestantyzowanie. — Prześladowania na drodze administracyjnej. — Jedyna pociecha: nie pierwszy to raz.

w lipcu 1886.

Trudnem nad wyraz jest zadanie kronikarza w obec wypadków a raczej klęsk tak szybko po sobie następujących od początku bieżącego roku. Pisząc do was w styczniu, zdawało nam się niepodobieństwem, aby położenie nasze, już i tak trudne i nad wyraz ciężkie, cięższem jeszcze i trudniejszem stać się mogło. Niebawem na tę wątpliwość książe Bismark grzmiącą miał dać odpowiedź, rozpoczynając ową nierówną wojnę, przez samychże Niemców mianem

Polenschlacht oznaczoną, a która wypełniwszy nienawistną wrzawą arenę parlamentarną i łamy prasy niemieckiej, obecnie na każdym kroku wchodzi w zastosowanie i życie. Spadają od sześciu miesięcy gradem na nas najdotkliwsze ciosy, uderzające we wszystko co nam drogie, co miłe, co potrzebne, a próbujące nawet „zamącić sumienie ogromem cierpienia".

Nie wracać nam w ten okres sześciomiesięczny którego codzienne odgłosy codzienna też prasa wam zaniosła. Atoli miesięcznikowi który kiedyś będzie źródłem wiadomości spółczesnych, należy się choćby pobieżny obraz stosunków naszych w tej chwili. Nie ma się czem łudzić, rozpoczęta kampania jest po prostu eksterminacyjną, i ma na celu zupełną zagładę wszystkiego co polskie, a gdyby się dało, wszystkiego co katolickie w naszej dzielnicy. Ku temu służyć mają trzy mianowicie środki: kolonizacya za pomocą stumilionowego kredytu z tak korną gotowością uchwalona na skinienie żelaznego kanclerza; szkoła z całym arsenałem środków germanizacyjnych, wzmocnionych trzymilionowym funduszem; nareszcie zlokalizowany w polskich dyecezyach *Kulturkampf*.

Zrazu książe Bismark pragnął jeszcze gwałtowniej i bezwzględniej przeprowadzić dzieło zniszczenia. Projekt ekspropriacyi szlachty polskiej już był wygotowany, już miał być przedłożonym izbie, gdy reszta wstydu u stronnictwa konserwatystów cofnęła — może tylko do czasu, — ów kwiat niemieckiej kultury. Autorem projektu miał być poseł Miquel, co nikogo nie zdziwi, komu wiadomemi są dawne jego i ścisłe stosunki z Karolem Marx'em, przywódzcą internacyonału. Tylko że podczas gdy Marx pozostał wiernym do końca hasłom i sztandarom swej młodości, Miquel przeszedł do obozu socyalizmu państwowego, nierównie korzystniejszego dla onego wyznawców. Zaniechano tedy projektu ekspropriacyi, może dlatego iż wspomniano że nie samą tylko szlachtą żyje naród, i że choć rycerstwo czeskie zginęło do szczętu pod Białą Górą, Czechy doczekały się jednak odrodzenia. Ale natomiast chwycono się projektu kolonizacyjnego, który, zapomocą stu milionów, pozwoli założyć w wschodnich prowincyach 5.000 osad gospodarskich, 3.000 osad roboczych, razem 8.000 kolonij oddanych w najprzystępniejszych warunkach podobnej liczbie rodzin niemieckich, coby wprowadziło do 40.000 Niemców w miejsce 30.000 wydalonych Polaków. Zabrano się już energicznie do dzieła. Pierw-

szem polem eksperymentów ma być powiat Gnieźnieński, gniazdo przeszłości naszéj, wychodźtwem do Ameryki i świeżemi proskrypcyami osłabiony. Już zakupiono pierwsze kolonizacyjne zagony, a komisya urządzająca nosi cechy dyskrecyjne które pozostawiono każdej antypolskiej ustawie, jakoby w nadziei i mniemaniu, iż poszczególni kulturnicy pójdą dalej i skrajniej aniżeli to nawet rząd wskazał i nakazał.

Czy na te kolonizacyjne zamiary wpłynęła i socyologia amerykańskiego ekonomisty, Georges'a, który radzi upaństwowienie ziemi jako jedyny ratunek na obecne agraryjne przesilenie? czy to ma być próba na naszej skórze, azali mrzonki zamorskiego myśliciela nie nadadzą się do skupienia ostatniej niemal niepodległej siły ziemi w ręku wszechpotężnego państwa, omnipotencyę jego opierając na najmocniejszej podstawie? — nie wiadomo. To pewna, że większa część tych którzy uchwalili kolonizacyę a bodaj wszyscy ci którzy z niej korzystać będą, nie słyszeli nigdy o Georges'ie i jego systematach, dając się powodować jedynie plemiennym antagonizmem i ślepej powolności w ręku żelaznego kanclerza.

Szkoła straszniejszem, bliższem grozi niebezpieczeństwem, ujmując biedny umysł dziecięcy w kleszcze germańskiej nauki, od 7-go do 14-go roku życia. Dalej chwytać je mają szkoły uzupełniające, które z 67 ognisk będą promienieć kulturą niemiecką, i to do lat 18-stu. Zaczem przymusowa wojskowość, w trzechleciu dopełni spodziewanego zniemczenia, zwłaszcza iż zamiast tworzyć przeważnie osobny 5-ty korpus, odtąd zaciągi polskie mają być rozproszone po wszystkich półkach, dla tem łatwiejszego germanizowania pojedyńczo izolowanych Polaków. Zdawało się iż nie ostało się już nic polskiego w szkole. Otóż gorliwość germanizacyjna znalazła jeszcze pole do przeróżnych w tym kierunku reform. I tak, wydano zakaz polskiej w wiejskich nawet szkółkach rozmowy, rozpoczęła się na wielką skalę translokacya nauczycieli Polaków, których liczba już i tak była nie wielką a zawiszcząc dzieciom tej jedynej nauki religii w języku polskim obwarowanej im stałością kardynała Ledóchowskiego, który za opór w tej sprawie dostał się za kraty więzienne, umyślono dowolnie i doraźnie przekształcać nazwiska polskie nadawaniem im ortografii niemieckiej, aby mieć rzekomy powód przyłączania tychże dzieci do oddziałów niemieckich, gdzie nawet religia po

niemiecku wykładaną bywa. Nie zna granic samowola: do niedawna ograniczano się na germanizowaniu *ad libitum* nazw miejscowości, teraz i miana rodowe nie są bezpieczne.

Wypchnięty z szkoły język rodzinny, chroni się pod strzechami, potęguje uciskiem. Najwięcej książek polskich żąda i zakupuje ludność wiejska na pograniczu Brandenburgii osiadła. Uśpiona przez długie lata Warmia, daje dziś dowody życia, zanosi petycye mnogiemi opatrzone podpisy, o równouprawnienie w szkole polskiego języka. Komisya sejmowa doznaje pewnego zdziwienia, że tam jeszcze są Polacy, ale przechodzi do porządku dziennego, tak samo jak nad petycyami ojców rodzin poznańskich. A tymczasem bodaj wkrótce i u nas wytworzą się stosunki stanowiące plagę biednej Warmii, gdzie dziatwa szkolna i wychodząca ze szkół młodzież umie pisać i czytać w języku którym nie mówi i którego nie zawsze rozumie, a w mowie ojczystej, potocznej, nie jest wstanie ani pisać, ani czytać. Litery gotyckie, dziś w naszych szkołach zgermanizowanych wyłącznie używane, stawiają mur chiński przeciw każdej nie specyficznie niemieckiej nauce i kulturze. Jakie stąd wynika obniżenie poziomu inteligencyi, jaka jałowość przymusowej dresury, dorozumieć się łatwo. Dzieci opuszczając szkołę nie umieją nic, a najmniej po niemiecku, z wyjątkiem kilku wokabułów papugową metodą wciśnionych. Jaka męka uczyć i uczyć się w takich warunkach! Nieraz nam z tego powodu na pamięć przychodzi wiersz świeżo zgasłego Bohdana Zaleskiego.

Panie! nasze niewiniątka
Tam z ciemnego skwierczą kątka;
Biedne — uczą się bać wroga
Wprzódy niźli Ciebie Boga...

Zlokalizowanie kulturkampfu na naszą dzielnicę podobno najcięższych przymnożyło nam ciosów, i gorzej niż ciosów, bo pokus. Ta połowiczna ugoda, wyłączająca nas od dobrodziejstw pokoju, zerwanie silnego węzła łączącego nas od lat dwudziestu z kardynałem Ledóchowskim, zastąpienie go na prymasowskiej stolicy obcym nam dostojnikiem, wszystko to stanowiło próbę nielada; jeżeli nas ona nie zmogła, jeśli nie osłabiła wiary, nie nadwątliła ducha, toć dowód przedewszystkiem wielkiej łaski Bożej, ale zarazem i objaw silnej a dobrej woli, w sercach nadto w wierności do Kościoła

utwierdzonych, aby się dać złamać i wstrząsnąć przeciwnością i pokusą, choćby najsroższą. I oto jakby nagrodą tego kornego w obec Rzymu poddania, tej cichej a podniosłej rezygnacyi, pierwsze kroki nowego Arcybiskupa usiłują koić boleści nasze, zdobyć mu ufność naszą. Zrozumiał on i ocenił drażliwość położenia, słuszną żałość naszą, i namaszczoną rękę przykłada do krwawiących się ran naszych serc, zadatkiem ojcowskiej troskliwości, która się nie sprzeniewierzy szczytnemu zadaniu pasterstwa uciśnionych. Przyjęcie arcybiskupa Juliusza w Poznaniu nosiło cechę wielkiego smutku i powagi, obok uszanowania i katolickiej ufności w prawość naznaczonego nam przez Rzym zwierzchnika. W każdem odezwaniu się następcy kardynała Ledóchowskiego znać było, że temu smutkowi naszemu wyrozumiewa, a w pierwszym liście pasterskim równie pokornie i rzewnie wyraził własne uczucia w obec narzuconego sobie zaszczytu i odpowiedzialności. Jednocześnie zaś doborem treści owego listu ujawnił, że dobrze rozumie cele ukryte owej zagłady polskiego żywiołu, będącej dziś na porządku dziennym. Sprotestantyzowanie Księstwa powszechnem dziś hasłem, a stowarzyszenie Gustawa Adolfa nie tai się z nawoływaniem, aby wszystkie wysilenia zwrócić obecnie ku wschodnim prowincyom, tu szerzyć propagandę, budować zbory, wzmacniać posterunki. Naprzeciw tych haseł i krzyków występuje nowy arcybiskup z maksymą katolicką, iż w jednym tylko rzymskim Kościele zbawienie się znajduje. Głos ten odważny od razu zaznacza stanowisko na jakiem chce stać i pozostać, opokę, o którą się roztrącą usiłowania niszczycieli... Położenie arcybiskupa nie mającego seminaryów, nie mogącego kształcić własnego kleru, a skrępowanego na każdym kroku — zaiste godne jest pożałowania. Jakby na zadokumentowanie, że kulturkampf bynajmniej z jego przybyciem nie ustanie, w dniu konsekracyi, i nazajutrz po ingresie dwóch księży stawało przed kratkami sądowemi za nieprawne wykonywanie funkcyj kapłańskich, nowe też na siebie ściągając kary. Blisko ośmnaście ustaw majowych pozostało zresztą jeszcze pełnomocnych, i o ich usunięciu dotąd nie słychać. Nasze dyecezye prócz tego zostawione na dyskrecyjnej łasce lub niełasce rządu, a obok zakazu otworzenia seminaryów, mamy nadto wyjątkowe usunięcie księży z przewodniczenia dozorom kościelnym, co im już w reszcie Niemiec przyznano.

A prócz tych wszystkich ustaw, praw dyskrecyjnych lub wyjątkowych, co powiedzieć o ciągłych na drodze administracyjnej, samowolnych środkach prześladowania, które codzienną poją nas goryczą, konstytucyę gwałcą na każdym kroku? Słusznie napisał Cherbulier Valbert w *Revue des Deux Mondes: Le prince de Bismarck ne tue pas, mais il empêche de vivre.* Bez uprzednich uchwał lub powodów następuje rozwiązanie towarzystw akademickich po wszystkich miastach uniwersyteckich, gdzie polska młodzież w celach naukowych się gromadzi. Protestacye senatów akademickich nie są w stanie ubezpieczyć tych związków od zagłady, mimo dowodów, że nigdy politycznego nie miały one charakteru. W Wrocławiu istniało już pół wieku, w Berlinie za dwa lata miało złoty obchodzić jubileusz, wszędzie towarzy-twa polskie wyłącznie naukowe i bratnie nosiły cechy, nawet w latach wichrzycy, która naznaczyła połowę naszego stulecia. Innego znów dnia dowiadujemy się o zamknięciu Kórnickiego zakładu, gdzie jenerałowa Zamoyska kształciła ubogie dziewczęta na dobre sługi i uczciwą zabezpieczała im przyszłość. Samaż założycielka, wydalona stąd przed kilkoma miesiącami jako poddanka francuska, powróciwszy na jeden dzień do Księstwa dla uregulowania interesów, natychmiast uwięzioną została w kaźni powiatowej, a następnie odstawioną do granicy. Głośniejsza to sprawa z powodu znaczenia i położenia pani Zamoyskiej. A co pomniejszych krzywd i nieszczęść, dotykających mniej znane ofiary! przerzucanych np. w dalekie niemieckie okolice urzędników polskich, począwszy od nauczycieli a kończąc na stróżach kolejowych, skrzętne wyszukiwanie nowych jeszcze obcych poddanych, dla dopełnienia liczebnego gromadnych wydalań, to niedoletnie dzieci, to starców wyrzucając z wieloletniego i jedynego siedliska, nieraz całe rodziny hurtem wypędzając, zawsze z wyjątkiem synów dźwigających pruski karabin, odejmowanie każdego, choćby najdrobniejszego zarobku rządowego Polakom, jak np. ubogim kobietom, udzielającym lekcyj robótek niewieścich w szkółkach poznańskich. Zakaz należenia do jakiegobądź polsko-katolickiego związku rozszerzył się aż do konferencyj św. Wincentego, zaczem p. Kasprowicz, nauczyciel przy jednej z średnich szkół miasta naszego, długoletni przewodnik jednej z najczynniejszej w Poznaniu konferencyi, widział się zmuszonym opuścić miłosierne stanowisko tak przedziwnie przez siebie zajmowane. Sa-

mowola pomniejszych urzędników, lokalnych kulturników, coraz to nowe gotuje nam niespodzianki: w jednem miejscu nagle pojawia się zakaz publicznej procesyi Bożego Ciała, w innem karyerowicz nauczyciel każe płacić dzieciom karę pieniężną za każde odezwanie się po polsku w obrębie szkoły, w trzeciem i czwartem komisarz obwodowy na swoją rękę kuje mniemane prawo, iż sołtysi winni umieć po niemiecku, w piątem szkołę katolicką dowolnie na symultanną lub nawet protestancką zamieniają. Oto ilustracya do naszych stosunków, obraz rzeczywistego choć nieogłoszonego stanu oblężenia w jakim pozostajemy, pod grozą coraz to innego środka represyjnego, kiedy żadnego powodu do represyi nie było. Przypomniano bowiem, iż z wyjątkiem krótkotrwałych w r. 1848 zaburzeń, wywołanych europejską rewolucyjną zarazą, a bodaj przez samychże Niemców zachęconych, nigdy ludność polska nie przekroczyła granic biernego, legalnego oporu. Książe Bismark w obec świata próbując upozorować swą antypolską politykę, nazywa ją środkiem obronnym przeciw wżerającemu się rakowi polonizmu, a zagadniony rząd co do mniemanych postępów tegoż polonizmu, stale odpowiada nie cyframi, nie dowodami, ale zapewnieniem ogólnem, iż rzecz jest notoryczną. W obec podobnego usposobienia nie ma co mówić, nie ma możliwej dyskusyi, bo jak słusznie powiedział dzielny przywódzca centrum, p. Windthorst, choćby i anioł zstąpił z nieba, nie zdołałby przeszkodzić postanowionym z góry, a ślepo przyjętym z dołu ustawom przeciw Polakom.

Nie pierwsza to atoli próba, przez jaką nam przechodzić trzeba. Przed pół wiekiem rządy Flottwella równie ciężkiem nad nami zawisły brzemieniem, położenie nasze podobnie zagrożonem się zdawało. Szczęściem, nie brakło nam wtedy ludzi silnej woli i wiary, którzy mężnem sercem i znojną pracą nietylko sami przetrzymali burzę, ale jeszcze potrafili braciom dodawać otuchy i męstwa. W owej to epoce trudnej jak dzisiejsza, nie brakło głosów hartownych, które i dziś jak raz do obecnych nadają się okoliczności. Wielki miłośnik Kościoła i kraju, Jan Koźmian, wypowiedziawszy zdanie, że tylko takie narodowości upadają, które nie umieją i nie chcą się bronić, rozwijał dalej szereg najwyższych nauk na ciemne dni próby, a zarazem wskazywał obowiązek otu-

chy i nadziei: „Bywa często, pisał w *Przeglądzie poznańskim*, że człowiek czuje się bardzo uciśniony, że mu usuną wszystkie podpory, i już mu się zdaje życie męczarnią, a śmierć wyzwoleniem. Jeśli wtedy upadnie pod brzemieniem boleści, snać nie było jemu działać na świecie. Ale jeśli przetrwa złą chwilę, skupi się w sobie, w sumieniu siły zaczerpnie i czoło jeszcze wyżej naprzeciw nieszczęściu postawi, minie złe łacniej i prędzej niż się przewidywać dawało i śladu nawet po sobie nie zostawi. Pan Bóg wtenczas zwykle najbliższy, kiedy ucisk najmocniej dolega.

„Tembardziej narody nie powinny się dać zwalczać przeciwnościom. Nikt nie wie, kiedy nadejdzie godzina zbawienia; być może że jedna chwila wytrwałości, jedno wysilenie tylko potrzebne, by owoc wytrwałości osiągnąć.

„Kiedy twierdza oblężona, obowiązkiem jest załogi, ani dnia jednego, ani godziny bram zawcześnie nie otwierać. My jesteśmy warownią, wystawioną na wszelkie pociski, ucierpieliśmy dużo, ale to niezawodna, żeśmy wszystkich zasobów naszych jeszcze nie wyczerpnęli.

„Wejdźmy więc w siebie, odrzućmy precz wszystkie urojenia, śmiałym umysłem rozpoznajmy rzeczywiste położenie i weźmy się do wewnętrznej roboty jedynie pewnej, nieomylnie przydatnej“. Tu określenie prywatnych i publicznych obowiązków wskazywało drogę tego wewnętrznego wyrobienia, którem podniosło się społeczeństwo wielkopolskie, a po dłuższym o powinnościach każdego ustępie, w końcu jeszcze znakomity publicysta odwodził od drogi gwałtu i zemsty, nawołując do drogi pracy i zasługi: „kiedyś, kończył swą podniosłą naukę, Pan Bóg w swej sprawiedliwości się podniesie i na to plemię bez serca i bez sumienia spuści klęski, jakie pokolenie za pokoleniem trapią. My pomsty nie wzywajmy, wiedzmy tylko, że sąd na niesprawiedliwość choć się odwlecze czasem, nastąpi niezawodnie. Raczej prośmy Pana Boga, żebyśmy nie zostali narzędziami kary!“

K.

Listy z nad Bałtyku.

VII.

Ogólna charakterystyka Estów — ich ubiór, język i literatura. — Esty wyspiarze — ich wojny, twierdze, późniejsza historya — przemysł — statystyka.

Z tego com powiedział w pierwszym liście, chociaż bardzo ogólnie, o różnorodnej ludności krajów nadbałtyckich, łatwo się przekonać, że je nie sam tylko szczep łotewski zamieszkuje, lubo w Inflantach i Kurlandyi największą część ludności wiejskiej składają istotnie Łotysze. Natomiast całą Estonię, tudzież mniejsze i większe wyspy między zatoką ryską a wybrzeżem estońskiem, północną część gubernii Inflanckiej czyli tak zwanych „Inflant szwedzkich", oraz kilka osad w Inflantach polskich (a mianowicie w powiecie Lucyńskim) zamieszkują wyłącznie Esty, którym z kolei kart kilka winniśmy tu poświęcić.

Rosyanie zowią ich „Czuchnami". Jestto plemię fińskie, wyróżniające się od plemienia łotewskiego budową czaszki, zbliżonej nieco do rasy mongolskiej. Odznaczają się też od Łotyszów Esty mniej świeżą, żółtawą barwą skóry na twarzy i rękach, niskim wzrostem i długiemi, jak len białemi włosami.

Są oni przytem mniejszych niż Łotysze zdolności umysłowych; lecz samodzielnością i wytrwałością charakteru swego o wiele ich przewyższają. Obok tego są mściwi, surowi w obejściu się, skłonni do swarów i bitew, a w pożyciu domowem nieporządni i niemoralni. Kobiety ich odznaczają się brakiem tak właściwej płci żeńskiej skromności. Dwuznacznością, cynizmem i brakiem etycznych i estetycznych pierwiastków nacechowane są też zwykle przysłowia i pieśni ludowe Estów. Zdolni do najcięższej pracy, ale bardzo leniwi; charakter mają skryty, niedowierzający, a przytem są powolni, źli, uparci, nieochędożni i pijaństwu oddani.

Ubranie obojga płci jednakie jest prawie; stanowi je głównie długa suknia zwierzchnia, z grubej własnego wyrobu tkaniny bardzo ciemnego — niemal czarnego — koloru, oblamowana taśmą

jasno czerwoną. Na nogach, zamiast pończoch, ponawijane mają taśmy; stopy w łapcie obute, rzemieniem przywiązane.

Przy chrzcie, weselu i pogrzebie zachowują szczególne obrzędy. Do zwyczajnych zabaw ludowych, bez których żadne święto odbyć się nie może, należy u Estów huśtawka. Religijność, wybitnie charakter ludu cechująca, przyćmiona jest mnóstwem najgorszych zabobonów. Do najbardziej cywilizowanych plemion Estów należą obecnie Sakkalanie, zamieszkujący najżyźniejszą okolicę dzisiejszego powiatu Felińskiego, Inflanckiej czyli Ryskiej gubernii, na stromych zachodnich brzegach uroczo wśród wzgórz położonego Felińskiego jeziora, nad którem w czasach przedchrześcijańskich wznosiła się dumnie ich groźna *Vilienda*, zwana dziś Felinem[1]. Do najmniej cywilizowanych, należą mieszkańcy okolic uboższych gubernii Estońskiej, zwłaszcza jej części zachodniej.

Język Estów dziwnie jest miękki i dźwięczny; to też pomiędzy tym ludem istnieje znaczna ilość pieśni nadzwyczaj poetycznych, a śpiewy ich odznaczają się niezwykłą melodyjnością, która już niejednokrotnie zastanawiała muzyków. Język Estów bogatym jest zwłaszcza w epiczne pieśni ludowe i posiada wyborną gramatykę w opracowaniu Ahrensa. Dr. H. Steinthal (założyciel oddzielnej szkoły psychologiczno-filologicznej i profesor uniwersytetu w Berlinie) w rozprawie odnoszącej się wyłącznie do epopei ludowej[2], przytacza szczątki epopei Estów. Znać tu lud, którego głównym zaszczytem uprawa roli i pokonanie dzikich zwierząt; grube zresztą obrazy zmysłowe i cały zakrój tej epopei często ją zbliżają do „Kalewali“ Finnów, której bogata treść, szczególnie pomiędzy Niemcami, zapalała wielu poetów do uczenia się języka fińskiego; jest też dosyć u nich wyjątków w wybornych przekładach niemieckich, które nas uwalniają od przytoczenia wypadków estońskich bohaterów. Ciekawszych czytelników odsyłamy do przytoczonej w odsy-

[1] Ciekawszych czytelników odsyłamy do artykułu ogłoszonego w roku zeszłym w warszawskiem piśmie ilustrowanem „Kłosy“ pod tytułem: Ruiny i przeszłość warowni Felińskiej. Tom XLI. nr. 1054 i 1055 z załączeniem kilku ksylografij.

[2] Patrz: *Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachwissenschaft* herausgegeben von Professor Dr. M. *Lazarus* und Prof. Dr. H. *Steinthal*, V-er Band, I-es Heft (Berlin 1867), str. 1—57.

łaczu rozprawy profesora Steinthala, mieszczącej w sobie główne ustępy epopei Estów w tłumaczeniu niemieckiem.

Gałąź Estów zamieszkujących obszerną wyspę Oesel na morzu Baltyckiem, wyróżnia się bardzo od Estów lądu stałego. Łagodni są i spokojnego temperamentu; kłótnie, bójki, zabójstwa zdarzają się bardzo rzadko. Łagodność ta wszakże nie wyłącza wcale stanowczości. Est z wyspy Oesel niemniej jest upartym z natury jako i Est lądu stałego; rozdrażniony albo obrażony odczuwa krzywdę głęboko, staje się mściwym, podstępnym i zawziętym w walce, pomimo tego jednak nie łatwo ulega zewnętrznym wpływom. Esty tej gałęzi częstokroć odznaczają się odwagą; stanowczość ich zamienia się w męstwo i wtedy gardzą śmiercią. Na samobójstwo Est wyspiarski zapatruje się jak na największą zbrodnię. Do stron ujemnych zaliczyć można lekkomyślność i niezaradność, posuniętą do tego stopnia, że przy zwykłym niedostatku w latach nieurodzajnych umierają niekiedy z głodu. Nie gardzą także trunkiem, zwłaszcza gdy ich ktoś do hulanki podnieci.

Zwykłem ich zajęciem jest dzisiaj rolnictwo, do którego niegdyś czuli ci wyspiarze wstręt nieprzezwyciężony. W czasach przedchrześcijańskich był to bowiem lud bojowniczy i korsarski, rozciągający swoje napady aż do Danii i Szwecyi. Źródła autentyczne, opowiadające o podboju Inflant i Estonii przez zakon rycersko-niemiecki, opisują mieszkańców Ozylii (wyspy Oesel) jako szczep rozporządzający licznemi hufcami pieszemi i konnemi, a także znaczną flotą, która jednak składała się z małych statków.

W roku 1211 wtargnęli na 300 korsarskich łodziach ozylijscy wyspiarze przez ujście inflanckiej rzeki Aa aż pod zamek Torejdę który oblegać poczęli. Lubo przy tej zuchwałej wyprawie utracili wszystkie statki, atoli już w roku 1215 w jednej z przystani wyspy Oesel otacza żeglującego do Bremy ryskiego biskupa Alberta I-go flotyla złożona aż z dwustu nowozbudowanych statków korsarskich.

Energię bojowniczą wyspiarzy cechuje fakt, że w ciągu lat 24 przedsięwzięli 17 wypraw korsarskich i w tymże przeciągu czasu od swej wyspy po trzykroć nieprzyjaciół odpierali. Dla obrony wyspy powznosili na niej liczne nasypy warowne, tak zwane „Bauerberge“, których wyraźne ślady dotąd przetrwały i zastanawiają

każdego wykształconego wędrowca. Kilka z nich (a mianowicie w Kergel, Karmel, Wolde i Peude), jeszcze obecnie w dobrym znajduje się stanie. Otacza je wał ziemny dochodzący do 33 stóp wysokości, a mający dwie potężne bramy. Zewnętrzna strona nasypu jest niezwykle stromą; na wale wznosi się mur sążniowej wysokości, który w niektórych miejscowościach zastępowano ostrokołem.

Kształt takich warowni najczęściej owalny, długość przechodzi 500, szerokość 300 stóp. W środku wyraźne ślady studni. W czasie wojny gromadzono tu wszelki dobytek, żony, dzieci, a w obszerniejszych mieściły się także i całe stada bydła.

Samodzielność swoją utracili mieszkańcy tej obszernej wyspy w roku 1227, gdy inflanccy Kawalerowie mieczowi dokonali tu ostatecznego podboju. Wodą, czerpaną ze studni warownej góry *Wolde*, której szczątki nie dawniej jak w roku zeszłym oglądał osobiście piszący, ochrzczono wówczas Ezelczyków, a z całej grupy wysp utworzono biskupstwo ozylijskie (episcopatus osiliensis), w którego skład wchodziło także zachodnie wybrzeże Estonii, noszące nazwę *die Strandwiĉk*. Ziemię zaś całą podzielono pomiędzy biskupa i zakon rycerski Inflancki.

Wszelako biskupi ozylijscy z początku tylko zrzadka rezydują na wyspie, przekładając pobyt w pobliskim Hapsalu, położonym na zachodniem wybrzeżu Estonii, gdzie dotąd podziwiać można wspaniałe zwaliska warownego biskupiego zamku. Natomiast zakon Inflancki na samej wyspie Oesel (nieopodal kościoła w Peude) wzniósł zamek obronny niemniej wspaniały, a w którym wójt zakonu stale z załogą przebywał.

Bojowniczych mieszkańców wyspy nie zdołało to wszakże przeistoczyć na spokojny lud rolniczy. Liczne rokosze świadczą jak usilnie starali się odzyskać utraconą niezależność.

Największe i najgroźniejsze powstanie wybuchło w roku 1343. Połączeni z Estami lądu stałego, wyspiarze zburzyli wszystkie kościoły i osady niemieckie, a ludność wymordowali, poczem zgromadzili się pod zamkiem w Peude w celu rozpoczęcia oblężenia.

Przebywający w nim z rycerską załogą wójt krzyżacki kapitulował niezwłocznie, gdyż załodze zapewniono wolny powrót.

Zaledwie wszakże opuściły zamek hufce rycerskie, rzucają się

powstańcy na nie i zewsząd je otoczywszy, wycinają w pień a zamek z ziemią równają.

Rozwścieklone tłuszcze pociągnęły na ląd estoński, część ich oblegla Rewel, większa zaś masa otoczyła Hapsal, grożąc śmiercią biskupowi.

Lecz w tem nadciąga mistrz prowincyonalny inflancki Burchard Dreylewen na czele swego rycerstwa.

Rzuciwszy postrach pomiędzy rewelskich rokoszan, pośpieszył na odsiecz Hapsalowi, a w ciągu zimy dostał się nawet na wyspę przez Sund, grubemi lody pokryty, wkrótce atoli musiał na ląd stały powrócić, gdyż lodowata pokrywa Sundu załamaniem się grozić poczęła. Za to w ciągu następnej zimy wcześniej przeniósł pomstę na buntowniczą wyspę, która tym razem ostatecznie podbitą zostaje. Wódz wyspiarski zamordowany i jego wojska z 9.000 ludzi złożone, wycięte. Ci z mieszkańców, którzy po tylu klęskach pozostali jeszcze przy życiu, poczuli teraz żelazną dłoń mistrza Burcharda. Za karę kazał on im wznieść dwa nowe obronne zamki, jeden dla wójta krzyżackiego zakonu nad Małym Sundem (zamek ten nosił nazwę „Suehneburg"), drugi dla biskupa ozylijskiego. Ten ostatni, zwany „Arensburg", przetrwał do dni naszych. Wznosi się on obok miasta tejże nazwy i należy do rzadkich zabytków, sięgających pierwszej połowy XIV. wieku.

Tą surowością mistrz inflancki Dreylewen utrwalił panowanie, ale zarazem zrujnował i wyludnił wyspę na długie lata.

Długo zostaje ona pod władzą Krzyżacko-inflanckiego zakonu i biskupów ozylijskich, których aż 26 rządziło wyspą, rezydując stale jużto w zamku Arensburskim, jużto na lądzie stałym w pobliskim Hapsalu, dziś nie mniej słynnym ze swoich szlamowych kąpieli, jako i Arensburg.

Tych to gorliwych biskupów staraniem, przeistoczyli się bojowniczy mieszkańcy wyspy na spokojny lud rolniczy, jakim go dziś widzimy, a któremu nie brak wcale i przemysłowych zdolności. Odzież, wozy, łodzie, naczynia i sprzęty gospodarskie i domowe sami sobie dziwnie umiejętnie sporządzają.

Nie tylko w ich domowych wyrobach, ale i w ich pieśniach i melodyach przebija się poczucie piękna. Niektóre z tych ostatnich rozpowszechnił ostatniemi laty po wszystkich krajach słynny kwartet

męski „Das schwedische Männerquartet," koncertujący z wielkiem powodzeniem w najrozmaitszych stolicach europejskich.

Ubranie Estów wyspiarskich nadzwyczaj jest malownicze i urozmaicone. Różni się ono niemal w każdym okręgu parafialnym, których ogółem liczą aż 12. Podaje je ze wszystkiemi szczegółami zbiór rysunków koloryzowanych wykonany wiernie z natury przez nauczyciela rysunku Sterna i przez niegoż w Arensburgu wydany pod tytułem: *Trachtenbilder der oeselschen und moonschen Bauern.*

Wedle najnowszych sprawozdań statystycznych, ogłoszonych w roku 1885, liczą obecnie w gubernii Estońskiej tudzież w północnej części tak zwanych „Inflant szwedzkich" czyli gubernii Inflanckiej, oraz na wyspach Baltyku doń należących i w cząstce powiatu lucyńskiego „Inflant polskich", ludności estońskiej ogółem 809.546 płci obojga.

Esty, zamieszkujący gubernię Estońską i północne powiaty gubernii Inflanckiej, są wyznania luterskiego za wyłączeniem tu i ówdzie nowo-kreowanych nielicznych parafij prawosławnych, o których powszechnie wiadomo, w jaki sposób konwertytów sobie przysporzyły.

W Inflantach polskich liczą Estów zaledwie około trzech tysięcy; żyją oni wszyscy w powiecie Lucyńskim, głównie w Michałowie, Janowolu i Pyłdzie, a mylnie acz dosyć powszechnie za jedno są brani z Łotyszami.

Przez ciągłe stosunki z Łotwą, Esty ci od czasu przesiedlenia się swego z gubernii Inflanckiej stracili wiele charakterystycznych cech, które są narodowi ich właściwe. Dziś już tylko bardzo niewielu z nich mówi swym rodzimym językiem; w części wyznają oni wiarę rzymsko-katolicką, w części byli unitami, a ci w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia przystąpić musieli do panującego w Rosyi kościoła.

Gustaw Manteuffel.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Przechadzki po dnie morza w skafandrze — statki podmorskie Nordenfelta i Goubeta. — Język powszechny Volapük.

Nawet i w tym świecie czuć się daje sezon ogórkowy, w pismach zdających sprawę z ruchu i życia tegoż świata, znajdujemy w letnich miesiącach o wiele mniej nowych i zajmujących faktów do zapisania, aniżeli zimową porą — stąd zaszła przerwa w moich kronikach. Zaczniemy je nanowo, od najstosowniejszej w tej porze przechadzki po dnie morza. Opisuje nam ją w żywych barwach p. Emil Yung w artykule: „O użytku skafandra“ czyli kauczukowego stroju nurków nowoczesnych [1]. Ubiór ten, opatrzony spiżowym hełmem i metalową pelerynką do osłonięcia ramion i głowy przed zbytnim ciśnieniem wody, oraz obuwiem z ołowianemi podeszwami i przyrządem przy ustach, umożliwiającym oddychanie świeżem powietrzem naszej atmofery nawet w głębiach morza. Kostium tego rodzaju z natury rzeczy bardzo ciężki i niewygodny, tak, że na ziemi ledwie ruszyć się w nim można, w wodzie staje się lekkim i dozwala dostatecznej swobody ruchów w przechadzkach po dnie morza. Nowy ten sport naukowy kwitnie szczególnie w zatoce neapolitańskiej, przy sławnej stacyi zoologicznej w Neapolu. Mały parowiec, własność stacyi, wiezie nurków na miejsce zatoki, gdzie chcą badać dno morza z jego fauną i florą. Z parowca wsiada się do łódki, opatrzonej w pompę powietrzną i wszystkie potrzebne rekwizyty. Gdy z pomocą towarzyszy, w skafander, czyli w nieprzemakalną zbroję do podmorskiej wyprawy, przybrany rycerz staje na szczeblach drabinki, spuszczonej z łódki na parę metrów w głąb wody, koledzy przywiązują mu jeszcze do pasa konieczne przybory, siatki, worki i flasze do chowania zdobyczy, jakoteż broń, tj. nóż ostry i lupę, oraz linę, do której przymocowany worek, puszcza się wnet w otchłanie płynnego żywiołu. Lina służy także nurkowi do dawania sygnałów. „Pierwsze chwile podwodnej jazdy, mówi p. Yung, są zawsze pełne emocyj, nawał zewnętrznych wrażeń, razem przy-

[1] Revue Rose. Nr. 14 r. 1886.

krych i przyjemnych, odbiera człowiekowi możność jasnego zdawania sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Dopiero po pewnym czasie uczuwa się wyraźnie w całem ciele wrażenie wilgoci i zimna, chociaż tylko same ręce ma się bezpośrednio zmaczane we wodzie, a najprzykrzej odczuwa się ciśnienie; dla niektórych uczucie to jest tak nieznośne, że już w głębokości 10 metrów dają znać liną, żeby czemprędzej ich wyciągać, mianowicie, gdy ból w bębenkach usznych jest zbyt mocny.... Gdy już się czuje grunt pod nogami, jest się swobodniejszym, jedynie przewód powietrzny hamuje ruchy, lecz pomimo tego można się zginać, kłaść i spinać się po skałach, według upodobania, używając przytem wszystkich przyrządów, w jakie się jest zaopatrzonym do robienia zdobyczy w podmorskim świecie. Nie do opisania jest to wrażenie lśniącego błękitu, jakiego doznaje się już w piątym czy szóstym metrze głębokości morza śródziemnego lub jeziora Lemann, niebieskie sfery otaczają nurka wokoło w przeróżnych a zawsze świetlanych odcieniach; zaś w mniej spokojnych toniach oceanu przeważają tory zielonawe przechodzące nawet czasem w barwy żółte i brunatne. Niektórzy nurkowie twierdzą, iż sztucznie mącąc wodę na spodzie można wywołać wkoło siebie całą skalę tych barw w przeróżnych odcieniach. A już iście czarodziejskiem ma być dno morza ze swą barwną fauną i florą, gdy je oświecić światłem elektrycznem, jak się to już praktykuje w większych głębokościach. Przy świetle słonecznem w jasnym dniu można czytać w głębokości 15-tu do 20-tu metrów; na dnie 10 metrów można wygodnie obserwować przez lupę drobne zwierzątka i śledzić ich ruchy. Pan Petersen, inżynier zool. stacyi neapolitańskiej twierdzi, że i w 35-tym metrze, można jeszcze herboryzować i polować siatkami na dnie morza bez pomocy sztucznego światła. Lecz przyrodnik, którego poszukiwania wymagają dłuższego czasu, rzadko kiedy idzie głębiej, jak za 10 metrów. Gdy presya wody równa się 1-ej atmosferze, staje się przykrą, jednakże można się do niej tak przyzwyczaić, iż niektórzy uczeni pracują pod tem ciśnieniem po parę godzin, bez żadnego zmęczenia. Jednakże liczba nurków zdolnych do pracy w głębokości 20-tu metrów jest bardzo szczupła, z powodu trudności w oddychaniu pod takiem ciśnieniem. „Nawet wyćwiczony nurek, mówi pan Yung, w chwili odjazdu w nieznane głębokości doznaje emocyi, a i na dnie towarzyszy mu zawsze

pewna obawa, chociażby przywykł do pracy w 20-tym i 30-tym metrze. Praca ta zawsze niezmiernie jest uciążliwa i naraża płuca i krtań na niewyleczalne choroby. Niedawno byłem zmuszony spuszczać się do głębokości 45-ciu metrów w jeziorze Genewskiem. Oto moje wrażenia: W głębokości 10-ciu metrów nie doznawałem żadnej przykrości, jako przyzwyczajony do ciśnienia dwóch atmosfer. W 20-tu metrach przejęło mię zimno, w 25-tym metrze uczułem ból głowy, szum w uszach i w oczach zaćmienie. W 30-tym m. jeszcze gwałtowniejszy ból głowy wzmagający się aż do 40-go m. tak, że czułem boleśnie każdy ruch pompy powietrznej i krew puściła mi się z nosa. Wreszcie w głębokości 45-ciu metrów do powyższych przykrości przyszło jeszcze wielkie osłabienie". Pomimo tego, utrzymuje p. Yung, iż pozostał w tej głębokości przez 20-cia minut, co nie wydaje mi się prawdopodobnem, w obec tego iż sam autor mówił powyżej, iż w tych głębokościach trudno wytrzymać dłużej nad 5 minut, — tylko to prawda, że w tych warunkach 5 minut mogą wydać się wiecznością. — W każdym razie widać z całego opisu p. Yunga, jak nieprzyjazne człowiekowi są te podmorskie sfery, i że wynalazek skafandra wielu ulepszeń jeszcze potrzebuje.

O wiele milszą od skafandra musi być wycieczka w statku podwodnym wynalazku p. Nordenfelta. Fikcya p. Juliusza Verne'a o statku podmorskim kapitana *Nemo*, zaczyna w części przynajmniej być rzeczywistością. Aby módz uderzyć wojenny statek pancerny w jego piętę achilesową, w najniższą część jego podwodnego sklepu, nieobronną w sieć anty-torpedową ani w spiżowy pancerz, próbowano w różnych miejscach konstruować łodzie, któreby jak ryby pływały w głębi morza tak, żeby niepostrzeżenie kolosowi pancernemu śmiertelny raz zadać można. Najbliższym rozwiązania tego zadania jest p. Nordenfelt, który admirałom angielskim i książętom krwi zaprezentował, jak donosi *La Nature* w jednym z ostatnich numerów, już nie łódź ale mały statek parowy, który aż do 20-tu metrów pod powierzchnią morza zanurzony, swe ewolucye odbywać może. Parowiec ten $19^1/_2$ metrów długi $3^1/_4$ metrów szeroki a przeszło $3^1/_2$ metrów wysoki, ze szklanną altanką w górze, może pomieścić trzech ludzi, i łączy dostateczną szybkość ruchu z doskonałą równowagą utrzymywaną za pomocą śrub poruszanych oso-

bną maszyną parową, oprócz głównej, statkiem poruszającej. Wieloryb ten ręką ludzką zrobiony, ma pusty rezerwoar na wodę, którego napełnianiem lub wypróżnianiem reguluje się wedle potrzeby głębsza lub mniejsza immersya torpedowego statku. Podchodzi on niepostrzeżenie wojenny okręt pancerny z początku w takiem tylko zanurzeniu, że wygląda po nad powierzchnią morza altanka szklanna mało co widoczna pośród fali, a służąca za wyborne obserwatoryum dla załogi torpedyery, później zaś zabójcza łódź torpedowa zupełnie się zanurza tak, że całkiem niewidzialnie w nieprzyjaciela, jak Dawid w Goliata śmiertelnie ugodzić może. Jakkolwiek zmyślny jest pomysł p. Nordenfelta, kompetentni mają jeszcze co do praktyczności jego wielkie wątpliwości, dotychczas więc nie zaprowadzono jeszcze tych parowców podwodnych w angielskiej marynarce wojennej, w każdym razie zadanie podwodnych statków jest już bliskiem rozwiązania tem bardziej, że i w marynarce rosyjskiej robią się pod tym względem ciągłe próby i ulepszenia na podstawie systemu francuskiego, wynalazku p. Goubet, który zamiast pary do poruszania swego statku podmorskiego, zastosował motor elektryczny, nadający mu większą łatwość w zwrotach i ruchach, jako też większe bezpieczeństwo życia dla jego załogi, przez p. Goubeta do dwóch tylko ludzi zredukowanej. Próby podmorskich statków Nordenfelta odbywały się także niedawno w Grecyi pod Salaminą, w obecności króla, jako też i w Turcyi, jak o tem donosił w swoim czasie wiedeński *Armée-Blatt.* Można się spodziewać, że już w najbliższej wojnie wschodniej, wiszącej oddawna nad Europą, torpedowe statki podmorskie odegrają swoją rolę.

Praca motorów żywych tańszą jest od pracy motorów parowych. Takie twierdzenie wygląda dziś na paradoks a jednak p. *André Sanson* dowodzi w sposób bardzo przekonywający[1] że konie, woły etc... w granicach zakreślonych samą naturą tych stworzeń, zawsze taniej pracują, t. j. z mniejszem zużyciem sił chemicznych w stosunku do wydanej nam pracy mechanicznej, aniżeli maszyny parowe z odpowiednią siłą mechaniczną dla nas pracujące. Pod tym względem nie masz maszyn bardziej ekono-

[1] Révue Scientifique.

micznych od zwierząt pociągowych. Tak mówi teorya, w praktyce zaś, na tej podstawie, tak się rzecz przedstawia. W gospodarstwie rolnem, według wyrachowań p. Sanson kosztuje we Francyi praca 1000 kilogrammetrów maszyną parową: 17 centymów, podczas gdy równa praca końmi, nie wyniesie więcej nad 15-cie centymów. Przedsiębiorstwa tramwajów przekonały się już wielokrotnie, że gdy koszta ruchu jednego wozu, na dzień, przy użyciu maszyny parowej wynoszą 57 franków, to przy użyciu zaprzęgów końskich ta sama praca ruchu przypada na jeden wóz na dzień o 10 franków taniej, i dla tego w wielu miejscach zmieniono już dla oszczędności tramwaje parowe na konne. Pan Sanson obliczył że gdzie chodzi o siłę poniżej 20 koni, motory żywe zawsze taniej pracują niż motory parowe, jeśli tylko inne uboczne względy użyciu motorów żywych w drodze nie stają.

Przez te wyrachowania pana Sanson dzisiejsze panowanie maszyn parowych wcale nie jest zagrożone, zwalczony jest tylko ten przesąd, jakoby w każdym wypadku zastępowanie motorów żywych motorami parowemi było czemś korzystnem, postępowem i ekonomicznem.

Do najciekawszych i bardzo nasz wiek charakteryzujących odkryć i wynalazków należy niezaprzeczenie Volapük, nowy język wszechświata, według systemu p. *Schleyera* z Konstancyi, po 20-tu latach mozolnej pracy przez tegoż poliglotę wreszcie w świat puszczony. Będzie właśnie rok temu gdy na posiedzeniu Tow. Antropologicznego w Paryżu p. Kerckhoffs złożył broszurę p. t. *La Langue commerciale universelle, exposé de la question et grammaire,* udzielając przytem zgromadzonej publiczności nieco bliższych wskazówek o tym nowym języku, wykładanym już przezeń w szkole handlowej w Paryżu. „Nie od dziś dnia — mówił szan. prof. *volapüku* — lecz już od XVII-go wieku myślano i radzono wiele o potrzebie i sposobie stworzenia języka powszechnego... Filozofowie obiecywali sobie wiele po tym nowym środku do międzynarodowego zjednoczenia, sądząc iż byłby potężną dźwignią cywilizacyi. Literaci zaś i poeci opierali się zawsze, niemal jednomyślnie potrzebie takiego języka, a wielu lingwistów powątpiewało, aż do najnowszych czasów o możności utworzenia sztucznego języka z praktyczną wartością".

Dzisiaj już nikt nie myśli o wprowadzeniu w użycie nowego języka, któryby na wzór łacińskiego w wiekach średnich miał się stać organem powszechnym dla nauk i piśmiennictwa... chodzi tu tylko o środek prosty i praktyczny do wspólnego porozumienia się podróżników naszych i handlarzy, o ułatwienie bezpośrednich stosunków między wielkiemi domami handlowemi, tak w Europie, jak i w innych częściach świata... Jedni starali się rozwiązać to zadanie przez wynalezienie języka sztucznego a łatwego, inni zaś, a tych było najwięcej, szukali jedynie wspólnego sposobu porozumienia się nawzajem przez pismo, i w tym celu wynajdywali różne systemy znaków ideograficznych, do oddawania pojęć wspólnych wszystkim językom świata, wzorem cyfr liczbowych, lub znaków algebraicznych... Wyczerpano już nad tym przedmiotem wielkie zapasy pomysłu i cierpliwości, jednakże z 50—60 języków powszechnych, wynalezionych w ciągu ostatnich dwóch wieków, nie ma jednego, któryby miał wartość praktyczną... Dopiero p. Schleyer, pisarz i lingwista z Konstancyi, jak sądzi p. Kerckhoffs, rozwiązał wreszcie to trudne zadanie. Systemowi swemu nadał on nazwę „Volapük", tj. język powszechny, czyli język światowy, od wyrazów *vol* = świat i *pük* = język. Pierwiastki wyrazów tego języka zapożyczone są z różnych języków świata. W jak dziecinny sposób to się stało, i jaka w tym Volapük'u wdzięczna eufonia panować musi, kilka przykładów da nam o tem niejakie wyobrażenie. Z wyrazów różnych języków pobrano poprostu pierwsze sylaby, lub pierwsze trzy litery, żeby służyły jako *pars pro toto*, i to jest główna zasada w urabianiu słów Vol-a-pük'u. I tak: mądrość, od łacińskiego *sapientia* nazywa się w tym języku świata: sap, naród = pop, gwiazda = stel, zamiast *post* = po, postawiono pos z tem samem znaczeniem; z niemieckiego: z *Feld* zrobiono fel = pole, z *Nadel* zrobiono nad = igła, bon = bób, nef = siostrzeniec, vun = rana (zamiast *Wunde*); a że język angielski mieści w sobie bardzo wiele słów jednozgłoskowych, więc był dla p. Schleyera prawdziwą skarbnicą do swego Volapük'u, chociaż, zdaniem mojem, przez to krzywda się stała językowi chińskiemu, jako pod tym względem nieprześcignionemu. Gramatyka bardzo prosta, przypadków cztery, deklinacya i urabianie czasów dokonywa się przez dodawanie samogłosek a, e, i, o, u, liczbę mnogą charakteryzuje powszechnie

głoska *s*, i t. d., a jak to ładnie brzmi, gdy się odmienia np. mądrość = *sap* 2-gi *sapa*. 3-ci *sape*, 4-ty *sapi*, albo naród = *pop* w liczbie mnogiej te same przypadki = *pops*, *popas*, *popes*, *popis*. Zaimek osobowy ja, ty, on znaczy *ob*, *ol*, *om*, my, wy, oni = *obs ols oms*. Czasownik w trybie bezokolicznym tworzy się z rzeczownika, przez dodanie końcówki *on*, np. *tik* = myśl; *tikon* myśleć; przez dodanie zaś zaimka osob. do rzeczownika, tworzy się czas teraźniejszy: *tikob*, *tikol*, *tikom*; *tikobs*, *tikols*, *tikoms* = myślę, myślisz, myśli, myślimy i t. d. Wszystkie zaś inne czasy tworzą się z teraźniejszego, przez dodanie z przodu samogłosek: a, e, i, o, u; np. *atikob* = myślałem, *etikob* = pomyślałem *itikob* = myślałem był, *otikob* = będę myślał, *utikob* = pomyślę. Jak brzmi ta mozajka, ze samych twardych i równych sobie a zewsząd pożyczanych kamyczków złożona, trudno sobie wystawić, jednakże, jak donosi *Ateneum* w jednym z ostatnich zeszytów, Volapük liczy już tysiące zwolenników w rozmaitych krajach Europy, jako też innych części świata. Zawiązało się już 53 towarzystw dla rozpowszechnienia tego języka, nietylko w Niemczech, lecz i w Austryi, Holandyi, Szwecyi, Anglii a nawet w Stanach Zjednoczonych jako też i w Azyi. Wyszły też liczne prace, służące do nauki Volapük'u. P. Schleyer, jednocześnie z gramatyką tego języka wydał słownik Volapük'u niemiecki, zawierający około 13 tysięcy wyrazów, a oba te dzieła doczekały się już czwartego wydania. Krótkie gramatyczki tegoż języka ułożone zostały nietylko po łacinie i we wszystkich językach europejskich, lecz także po chińsku, a nawet po hotentocku w języku Hama... Prócz tego istnieją już dwa pisma peryodyczne, wydawane w tym języku: *Volapükabled* z tłumaczeniem obok, i *Volapükaklubs*... Pierwszy zjazd zwolenników Volapük'u odbył się tego roku we Fridrichshaven nad jeziorem Konstancyeńskiem i zgromadził około 300 członków z różnych krajów. Następny zjazd odbędzie się w Norymberdze w r. 1887. Nakoniec wielki kongres międzynarodowy delegatów ze wszystkich stron, ma się odbyć w Paryżu, podczas wielkiej wystawy (r. 1889) — Jak wiemy, buduje się tam już na tę uroczystość druga Wieża Babel, która w związku z owym kongresem Volapük'owym niezawodnie zjednoczy to, co biblijna wieża Babel „zamieszała“... ...Ciekawy to bardzo objaw naszego wieku ten nowy język, w zasadzie swojej tak dziwnie do chińszczyzny podobny, że

można go uważać za wyraźną zapowiedź grożącej dziś już Europie t. zw. Kwestyi Żółtej.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Odkrycie mumij Ramsesów.

„Wielkie czasy, gdy w królów zaniesione lochy,
Z królewskich ciał nie mogły uczynić się prochy
I stała się na ziemi trupów nieśmiertelność“. . .

Nigdy pewno ta „trupów nieśmiertelność“ tak żywo nie przemówiła do zdumionej wyobraźni ludzkiej, jak w obec świeżego odkrycia mumij dwóch najsławniejszych Faraonów egipskich. Po tysiącach lat wyjąć z trumny współczesnych Mojżeszowi i Jozuemu władców Nilowego państwa, przypatrzyć się nie prochom, ale ciału, rozpoznać nietylko kształt ogólnej budowy, ale rysy i twarz, mówiącą jeszcze wyrazem, słowem, obrócić niby na pierwszą kartę księgę świata, i zobaczyć żywem okiem dwóch wielkich Ramsesów, znanych u starożytnych pod nazwą Sezostrysa i Rampsenita, to pewno w dziejach archeologii jedno z najbardziej poruszających odkryć, jakie zapamiętać można. Znakomitemu egiptologowi francuskiemu, p. Maspero, należy się tego odkrycia zasługa. W lochach Deis-el-Bahari znalazł mumie Faraonów, i zaprosiwszy Kedywa, kilku uczonych i dyplomatów, zamieszkałych w Kairze, rozebrał w ich obecności zwłoki królewskie. Ilustracye powtórzyły zdjęte natychmiast fotografie, i fotografowani Faraonowie rozchodzą się dziś po świecie.

W pierwszej mumii nr. 5.233 znaleziono ciało Ramsesa II. Jest to ów znany u Herodota Sezostrys, najpopularniejsza postać historyi egipskiej. Panowanie jego przypada między rokiem 1388 a 1322 przed Chr. Wypełniły je zwycięskie wojny z Etyopią; napisy na skale niedaleko Beyrutu, przy ujściu Naher-el-Kelbu, świadczą o pogromieniu Syryi, a legenda mówi, że dotarł aż do Scytyi, Persyi i Indyi. Poeci Amenemapt i Pantaour opiewali jego zwycięstwa. I na wewnątrz zaznaczyły się jego kilkadziesięcioletnie rządy. Budowle, które za jego czasów pokryły Egipt, głosiły napisami sławę i czyny

władcy, a dzisiejsze ich szczątki odtwarzają nam jego historyę. Nietkniętą przez wieki pamiątką po nim jest wspaniały obelisk, zdobiący dziś plac *de la Concorde* w Paryżu. Również i kanalizacya Egiptu była jednem z wielkich dzieł jego panowania, a Lesseps przekopując kanał Suezki, wykonywał myśl Sezostrysa, który pono już marzył o kanale dwumorskim.

W zbiorach egipskich Luwru oglądać można wielką alabastrową statuę, przedstawiającą postać tego monarchy. Według świadectwa p. Maspero, postać znaleziona w mumii, rysami do posągu podobna; tylko tam widzimy mężczyznę w sile wieku, tu trupa starca, bo Sezostrys podobno stu lat dożył. Głowa tu podłużna, mała w stosunku do ciała; czaszka ogołocona z włosów, z tyłu głowy za to włos dosyć gęsty, siwy pewno w chwili śmierci, pożółkły pod wpływem olejów balsamicznych. Czoło niskie i wąskie, brwi i policzki kościste i wypukłe, oczy małe, do nosa zbliżone i otoczone siwą rzęsą, nos długi, chudy i zgięty jak u Burbonów, na czubku nieco ciśnieniem zawoju spłaszczony, usta małe, ale o grubych, naprzód wydętych wargach; w ustach znaleziono jakąś czarną gęstą maść; usunięto ją ustrożnie nożyczkami, zaczem ukazały się zużyte, ale białe zęby. Zarost znać golony za życia, podrósł z rzadka niby twardą szczeciną w ostatniej chorobie, lub po śmierci. Skóra żółta, czarnemi pokryta plamy. Cały wyraz dziwnie żywy; twarz wprawdzie mało inteligentna, nieco zwierzęca, ale pełna dumy i majestatu. Szyja i nogi najgorzej względnie zachowane, tam tylko kolumna pacierzowa, tu piszczele skórą owite; pierś szeroka, barki wysokie, a ręce o długich, wąskich, sztucznie poczerwienionych palcach, złożone na piersi. W lewym boku znać dużą ranę, którą wyjęto wnętrzności przed balsamowaniem. Stopy nareszcie długie, wąskie i nieco płaskie, są równie poczerwienione jak ręce. Widać, że to zwłoki podeszłego już bardzo w wieku starca, ale cała budowa silna i potężna.

Wielką i zupełną niespodzianką było odkrycie zwłok Ramsesa III. Sądzono, że w mumii nr. 5.229 spoczywa wielbiona wielce przez Egipcyan królowa Nofritari z 18-tej dynastyi Faraonów, ale po zdjęciu pierwszej opony pomarańczowej barwy, znaleziono na białem płótnie napis: „Roku XIII., 2-go miesiąca Shomon pierwszy prorok Ammona, króla bogów, Pinotmon, syn pierwszego pro-

roka Ammona Pionkh, pisarz świątyni Zoser-son-khonson i pisarz Nekropolu Boutehamon poszli ułożyć zmarłego króla Onsirmari Miamonu do wieczności". Nie było tedy wątpliwości, były to zwłoki Ramsesa III. czyli Rampsenita, ostatniego wielkiego zdobywcy egipskiego, który panował w sto lat po Sezostrysie, a krótko po wyprowadzeniu Żydów z ziemi egipskiej. Wśród powszechnego rozciekawienia obecnych wzięto się do rozbierania mumii. Pod potrójnym zwojem taśmy znaleziono zaszytą kanwę, potem znów kilka pokładów płótna tak, że mumia coraz drobniała w miarę rozbierania. Na płótnach były obrazy Ammona siedzącego na tronie, na taśmach napisy ofiarodawców opony, np. „Śpiewaczka Ammona Ra, króla bogów, Faitaat-ni-mont, córka pierwszego proroka Ammona Pionkh, by jej Ammon dał życie, zdrowie i siłę". Pod temi płótnami były dwa pektorały: na pierwszym, z pozłacanego drzewa był obraz Izydy wielbiącej słońce; drugi z szczerego złota nosił imię Ramsesa III. Zdjęto jeszcze jeden zawój z kanwy i ostatnią, czerwoną oponę, — i nastąpiło rozczarowanie: twarz polana była grubym pokładem smoły i rysów nie można było rozeznać. Po południu dopiero dnia tegoż, a po mozolnej i trudnej pracy usunięto smołę i ukazała się twarz, mniej dobrze zachowana niż Ramsesa II., ale przecież zachowana. Rysy to delikatniejsze i inteligentniejsze niż u Sezostrysa, oko większe, choć powieki wydarte i otwory płatami zapełnione, uszy przebite do kolczyków, usta duże, ale o wyciętych wargach, zęby białe i zdrowe. „Ramses III., mówi p. Maspero, to niby redukcya Ramsesa II. Twarz inteligentniejsza, ale postawa mniejsza, mniej szerokie barki, mniej siły; tak się on ma do osoby Ramsesa II., jak jego panowanie, do panowania tamtego; to już nie wojny w Syryi lub Etyopii, tylko przy ujściu Nilu, na granicach Egiptu; budowle w złym stylu i nietrwałe; duma równa, ale bez równych środków i zasobów".

Te krótkie notatki spisaliśmy mając pod ręką fotografie mumij i sprawozdanie p. Maspero. Sprawozdanie to wielce ciekawe, spisane w tonie trzeźwym, ścisłym, naukowym. Przecież przebija w niem od czasu do czasu zapał i radość wielkiego uczonego w obec tak wspaniałego odkrycia.

K.

Katolicki uniwersytet w Syryi.

Wypędzeni z Francyi zakonnicy, rozwijają swą błogą, cywilizacyjną działalność na Wschodzie, a Bóg błogosławi ich zabiegom. Jednym z dowodów tego oczywistego błogosławieństwa Bożego, jest założony przed kilku laty przez francuskich Jezuitów katolicki uniwersytet w Beyrucie. Mimo bardzo czynnej kontr-propagandy protestanckiej, uniwersytet ten i poddane mu szkoły gimnazyalne i normalne coraz piękniejszem i bujniejszem życiem rozkwitają. Wymowniejsze tu nad wszystko cyfry, podane w ostatniem sprawozdaniu z grudnia 1885 r. Na wydział teologiczny uczęszczało 26 słuchaczy; na filozoficzny 11; na medyczny 34. Gimnazyum św. Józefa w Beyrucie liczyło 526 uczniów. Pięćdziesiąt szkół normalnych dla chłopców, a szesnaście dla dziewcząt, rozsianych po całej Syryi, nie mogło zmieścić w swych murach wszystkich cisnących się kandydatów, mimo, iż niejedna z tych szkół ma do trzystu uczniów. To też w roku ubiegłym 1885 powstało dwadzieścia nowych szkół, a piętnastu miejscowościom, domagającym się tej samej łaski, musiano odmówić dla braku odpowiedniej liczby zakonników i zakonnic. Nie dziw, iż w obec takich pocieszających rezultatów, coraz częściej spotkać się można ze zdaniem, iż wypędzenie zakonów z Francyi, choć w sobie i w swych skutkach dla samejże Francyi, nadmiarę bolesne, było opatrznościowem dobrodziejstwem dla Wschodu, gdzie weszło niegdyś słońce chrześcijaństwa teraz dopiero przeglądać poczyna z po za ciemności, które je przez tyle wieków okrywały.

Druk ukończony dnia 24 lipca 1886.

W SPRAWIE KATECHETÓW
PRZY SZKOŁACH LUDOWYCH.

Nauczanie religii katolickiej jest prawem wyłącznem, a zatem i obowiązkiem Kościoła. Jest to zasada, od której nigdy nie odstępował, ani odstąpić nie może. Obok zasady jednakże są dwie reguły, których w praktyce się trzyma: jedna, która mówi: darmoście wzięli, darmo dawajcie, i ta druga: godzien jest robotnik zapłaty swojej. Obie te reguły muszą iść ze sobą w parze i zgadzać się z zasadą samą, w obec tej nieuniknionej rzeczywistości, że duchowni ani wiatrem żyć, ani boso chodzić nie mogą, bo w pierwszym razie nie mieliby sił do pracy, a w drugim poszedłby cały stan duchowny, a z nim i cała religia w poniżenie. Mógł wprawdzie św. Paweł pisać do Koryntyan: nie brałem nic od was, bo te oto ręce zarabiały na chleb, ale też zarazem zasadniczo kilkakrotnie wypowiadał, że ma prawo do brania wynagrodzenia od wiernych, bo kto ołtarzowi służy, ten z niego żyje. Tem bardziej musi też duchowny, zwłaszcza że mu nie wolno w żaden inny sposób na chleb zarabiać, odwoływać się do tego prawa, jakie mu służy, tj. do wynagrodzenia za pełnienie obowiązków swoich, aby te obowiązki mógł pełnić.

Nie zamierzamy tu wypowiadać niczego nowego i powtarzamy znane rzeczy dla tego, żeby się z góry zastrzedz, że nie mamy jednostronnego zapatrywania w obec sprawy, którą zamierzamy tutaj wyjaśnić, a która miała już w czerwcu przyjść na stół w Radzie państwa, i kilkakrotnie stała na porządku dziennym, lecz ustąpiła naglejszej sprawie, ugody celnej z Węgrami.

Powiedzieliśmy, że Kościół ma prawo wyłączne do nauczania religii w kościele i szkole, ale i to trzeba mieć na uwadze, że w niektórych krajach już tego prawa Kościołowi zaprzeczają. Nie mówiąc nic o wojnie przeciw kongregacyom uczącym po szkołach ludowych, jaką obecnie we Francyi rząd toczy, dość wskazać na Prusy, gdzie rząd po r. 1872 nietylko duchowieństwu odebrał inspekcyę, ale nawet wstępu do szkoły mu zabronił, tak dalece, że księdzu nie wolno miejscami nawet do spowiedzi przygotowywać dzieci w lokalu szkolnym. Zakaz ten wydany wprawdzie został w zapale t. zw. „walki kulturnej“, ale już na kilka lat przedtem, bo krótko po roku 1864 zabroniono w polskich stronach wikaryuszom wstępu do szkoły. Duchowieństwo parafialne miało tam prawo uczenia w szkołach religii; uczyło jej rzeczywiście w miarę możności i sił. Wszelako nauczyciele składali egzamin z religii w obecności komisarza biskupiego i otrzymywali *missionem canonicam* do uczenia tego przedmiotu, pod dozorem i kierunkiem inspektora duchownego.

Położenie rzeczy w Austryi jest więc o tyle odmienne, że u nas wolno duchowieństwu uczyć w szkołach ludowych religii, podczas gdy w Prusiech tego dziś nie wolno. Zaczem tutaj jest w pierwszym rzędzie obowiązkiem duchowieństwa utrzymać tę pozycyę, którą gdzieindziej już mu odbierają. Ale z drugiej strony odebrano w Austryi duchowieństwu inspekcyę nad szkołami ludowemi, w czem, niestety, sejm galicyjski dał pierwszy przykład i początek; natomiast zostawiono cały ciężar nauki szkolnej religii, któremu duchowieństwo parafialne nie zawsze i nie wszędzie może podołać, tem bardziej, że położenie materyalne duchowieństwa jest, przeciętnie wziąwszy, opłakane.

Jeśli szkołę wzięto Kościołowi, jeśli cały materyał nauki szkolnej uznano za bezwyznaniowy, i jeśli się znalazły pieniądze na opłacanie świeckiej inspekcyi, gdy poprzednio duchowna nic nie kosztowała: — to niekoniecznie uzasadnione by było żądanie państwa, żeby w państwowej szkole pracowało duchowieństwo z tem samem bezinteresownem poświęceniem, z jakiem pracowało pierwiej w szkole parafialnej.

Wiadoma to przecież rzecz, że szkoła nie bez przyczyny zowie się Córką Kościoła, bo pierwszy jej początek wywodzi się ze szkółek parafialnych, klasztornych i katedralnych. Wówczas nie koszto-

wała szkoła nic, bo duchowni uczyli bezpłatnie. Ale dziś, zabrawszy wszystkie posiadłości kościelne i klasztorne, trzeba być sprawiedliwym o tyle, że przypominając duchowieństwu obowiązek nauczania, należy też pamiętać o zobowiązaniach, jakie państwo na siebie wzięło w obec zubożonego duchowieństwa.

Aż do ery konstytucyjnej uznawano w Austryi jako zasadę, że w szkołach parafialnych ma duchowieństwo obowiązek uczyć religii; natomiast w t. zw. szkołach głównych *(Hauptschulen)* byli ustanowieni osobni katecheci. Katecheci tych szkół pobierali z funduszów gminnych skromną pensyjkę, która na ówczesne stosunki monetarne, starczyła na utrzymanie, tak, że katecheci mogli poprzestać na samej tylko pracy przy szkole, i nie byli pracą parafialną od niej odrywani. Katechetom takich szkół, z któremi były połączone szkoły dla nauczycieli, płacił rząd z funduszu religijnego, a więc płacił Kościołowi pieniędzmi kościelnemi.

Przewrot i zmianę w tem postępowaniu sprawił artykuł XVII. konstytucyi z 21 grudnia 1867, przez którą państwo austryackie stało się legalnie bezwyznaniowem. Artykuł ten zrzucił też z państwa obowiązek starania się o katolicką religię, a postawił jako zasadę, że o naukę religii powinno się starać każde pojedyńcze wyznanie. To samo powtórzyła ustawa, wydana w rok potem (25 maja 1868 w §. 2), a tegoż roku i tegoż dnia wydane prawo, regulujące stosunki wyznaniowe między obywatelami państwa, wypowiada w artykule 10, że na potrzeby spólne musi płacić każdy obywatel, bez różnicy wyznania, lecz wyjątek pod tym względem stanowi nauka religii. To samo powtarza także §. 5 ustawy z 14 maja 1869.

W ten sposób rząd pozbył się obowiązku, ciężącego na funduszu religijnym, a opłatę religii złożył na gminy wyznaniowe, których w Austryi wcale nie było. To też przeprowadzenie tej nowej zasady prawnej okazało się w praktyce niewykonalnem. W Galicyi np. nie istnieje ściśle przeprowadzony podział ludności podatki opłacającej, wedle wyznań, zaczem i tego dojść nie można, ile płacą katolicy na szkoły, a ile płacą innowiercy. Chybaby więc trzeba ściągać osobną zapłatę za naukę religii z ludności, która i tak już płaci znaczne podatki na szkoły i słusznie może żądać za tę ofiarę materyalną, żeby dzieciom była nauka religii udzielaną w szkole — i to w pierwszym rzędzie. Zasadnicze prawo szkolne

z d. 14 maja 1869 wypowiada przecież, jako zasadę, że zadaniem szkoły ludowej, jest dzieci wychować obyczajowo, religijnie *(sittlich, religiös)*.

Z tego dylematu miała tedy wyratować rząd ustawa z dnia 20 czerwca 1872, która w §. 1. wypowiadała nową zasadę, tj. że: obowiązek postarania się o naukę religii (w szkołach ludowych) zawiera w sobie zobowiązanie do bezpłatnego nauczania[1].

Każdy widzi, że w tem rozumowaniu jest przerwa logiczna i fałszywy wniosek. Dowodzi tegoż zaraz §. 3. tegoż prawa, który brzmi dosłownie:

> Wyjątkowo można za udzielanie *(Besorgung)* nauki religii w ogólnej szkole ludowej, więcej niż trzyklasowej, albo w szkole obywatelskiej, dać wynagrodzenie, albo też — lecz jedynie tylko przy wydziałowej szkole — ustanowić osobnego nauczyciela religii, jeżeli i dopóki w poszczególnych okolicznościach uzna tego potrzebę władza szkolna krajowa, na wniosek władzy szkolnej okręgowej.
>
> Jeżeli nauki religii udziela świecki nauczyciel w myśl §. 5 konstytucyi, wtedy należy mu dać remuneracyę.

A więc zasada, wypowiedziana w artykule XVII. konstytucyi, jest tutaj właściwie obalona, i prawo samo przyznaje, że nauka religii może być w pewnych danych razach płatną; czyni to jednakże zależnem od uznania władz krajowych.

Mogło się zdawać, że nakładając na duchowieństwo ciężar bezpłatnego nauczania, wyratuje się rząd z kłopotu, ale wnet się pokazało, że zasada zasadą, a praktyka praktyką, czyli jak mówi ruskie przysłowie: „mowa się mówi, a chleb się je".

Najpierw musiał rząd zaradzić najbardziej krzyczącej potrzebie, przyznając osobnem ministeryalnem rozporządzeniem duchowieństwu prawo do wynagrodzenia za furmanki, potrzebne dla nauki szkolnej w odleglejszych szkołach.

Przeciwko temu rozporządzeniu rozpoczęła pewna gmina na Szląsku proces, jakoby ono sprzeciwiało się zasadzie prawa r. 1872. Wszelako najwyższy trybunał administracyjny rozstrzygnął spór na

---

[1] „Die den Kirchen und Religionsgesellschaften, gemäss des §. 2 des Gesetzes vom 25 Mai 1868 (R. G. Bl. nr. 48) u. §. 5 des R. V. G. obliegende Besorgung des Religionsunterrichtes in den öffentlichen Volkschulen, schliesst die Verpflichtung zur unentgeltlichen Ertheilung des Unterrichtes in sich".

korzyść ministerstwa, motywując wyrok (z d. 17 marca 1880 r.) tem, że wynagrodzenie za furmankę nie jest zapłatą za naukę religii, a więc nie łamie zasady, wypowiedzianej w §. 2 prawa z 25 maja 1868 i §. 5 konstytucyi r. 1867.

W obec tego prawodawstwa, musi być jednakże nieodzowną konsekwencyą to, że dusz-pasterz, mający sam uczyć religii we wszystkich wiejskich szkołach swojej parafii, może chyba raz na tydzień być w każdej pojedyńczej szkole. Wszyscy jednak pedagodzy uważają taką jedną godzinę tygodniowo udzielaną, za zupełną stratę czasu, bo czego się dziecko w tej jednej godzinie nauczy, tego do drugiego tygodnia pewnie nie spamięta. Ale i po miasteczkach, gdzie są więcejklasowe szkoły, może duchowieństwo parafialne chyba z największem wytężeniem sił zadosyć uczynić obowiązkowi nauczania religii, bo z jednej strony ma w duszpasterstwie często nawał pracy na cały dzień, a z drugiej strony każdemu wiadomo, że liczba szkół i liczba nauczycieli coraz bardziej rośnie, podczas gdy liczba duchowieństwa równolegle ze wzrostem ludności wcale się nie powiększa [1]. Doszło wreszcie do stosunków takich, że magistraty same uważały słuszną potrzebę wynagrodzenia księżom za pracę w szkołach, ale ponieważ prawo nie pozwala na zapłatę, przeto chwycono się tego wybiegu, że np. w Wiedniu płaci magistrat duchownym wynagrodzenia „za furmanki“, choć pieszo do szkoły chodzą.

Rozliczne petycye spowodowały też rząd do tego, że na przeszłej sesyi Rady państwa (r. 1884) przedłożył Izbie nowe prawo, które zmierza do zmiany zasadniczej. Podajemy ten projekt rządowy w dosłownym przekładzie, bo sprawa jest zbyt ważna, aby ją pobieżnie traktować.

§. 1. Obowiązek urządzania nauki religii *(Besorgung)*, który ciąży na kościelnych i religijnych stowarzyszeniach, wedle §. 2 prawa z 25 maja 1868 (R. G. Bl. 48) i §. 5 prawa z 14 maja 1869 (R. G. Bl. 62), zawiera w sobie zobowiązanie do bezpłatnego udzielania tejże nauki, o ile w niniejszem prawie nie masz innego postanowienia.

Przełożonym zwierzchnościom wyznaniowym wolno w porozumieniu z władzami szkolnemi przedsiębrać urządzenia — celem łatwiejszego wypełnienia

[1] Od r. 1874 do r. 1883 założono w Galicyi nowych szkół ludowych 442; w r. 1884 szkół 119; r. 1885 szkół 187; na r. 1886 zamierzono zorganizować 150 szkół, co razem poprostu wynosi 898 szkół.

tego zobowiązania, albo połączać uczniów kilku oddziałów, jednej lub kilku szkół, na naukę religii, albo też używać innego sposobu, nie psującego porządku szkolnego.

§. 2. Do udzielania nauki religii w wyższych klasach, więcej niż trzyklasowych szkół ludowych, w szkołach wydziałowych, szkołach średnich i seminaryach nauczycielskich należy ustanawiać albo osobnych nauczycieli religii z pensyą lub remuneracyą, albo też należy przyznać tym, którzy na mocy swego własnego urzędu tej nauki udzielają, stosowną remuneracyę.

Remuneracyę można i wtedy przyznać za naukę religii w szkołach ludowych trzyklasowych, lub mniej niż trzyklasowych, jeśli jej udzielanie *(Besorgung)* dla wielkiej liczby godzin nauki, albo ze względów lokalnych, jest połączoe z nadzwyczajnym mozołem.

Jeśli nauki religii udziela nauczyciel świecki w myśl §. 2 prawa 14 maja 1869, wtedy należy mu przyznać w każdym razie stosowną remuneracyę.

§. 3. Jeśli nauka religii musi się odbywać po za miejscem zamieszkania nauczyciela religii, wtedy należy mu się wedle potrzeby, z uwzględnieniem oddalenia, dostarczać stosownych środków transportowych, albo przyznać tanie *(billige)* wynagrodzenie za furmankę, o czem rozstrzygają w ostatniej instancyi władze szkolne, w porozumieniu z władzami kościelnemi.

§. 4. Regularne udzielanie nauki religii w seminaryach nauczycielskich, jako też w szkołach średnich, należy zapewnić każdemu stowarzyszeniu religijnemu, jeśli do niego należy co najmniej 20 uczniów, wliczając w to wszystkie klasy razem, w których nauka religii stanowi przedmiot obowiązkowy. Przypadek ten zachodzi i wtedy, gdy w jednej i tej samej miejscowości wynosi ogólna liczba uczniów, należących do jakiego stowarzyszenia relgijnego, w kilku szkołach tejże kategoryi razem, przynajmniej 20 uczniów.

§. 5. Jeżeli uczniowie, należący do jakiego stowarzyszenia religijnego, nie mogą otrzymać świadectwa z pobieranej nauki publicznej religii, dla tego, że nie masz regularnej nauki, wtedy winien minister oświaty wydać odnośne rozporządzenia na drodze administracyjnej.

§. 6. Koszta wynikające z nauki religii (§§. 2, 3 i 4) muszą pokrywać odnośne szkoły, o ile do ich pokrycia przy szkołach pojedyńczych nie masz osobnych funduszów, zapisów, lub zobowiązań pojedyńczych osób, lub stowarzyszeń.

§. 7. We względzie na prawo obsadzania miejsc, do których przywiązana jest pensya lub remuneracya, przez osobnych nauczycieli religii i we względzie na postępowanie, jakie przy tem należy zachować, istnieją te same przepisy, jak dla świeckich posad, przy tychże szkołach. Wszelako tylko taki kandydat może być przypuszczonym, którego odnośna wyznaniowa zwierzchność uzna zdolnym do udzielania nauki religii. (§. 6. prawa z 25 maja 1868. R. G. Bl. 48.

§. 8. W ramach rozporządzeń niniejszego prawa rezerwuje się prawodawstwu krajowemu uregulowanie dochodów, przypadających na nauczycieli

religii (§. 2) przy szkołach ludowych i obywatelskich, tak samo jak się ma rzecz z pensyami innych nauczycieli (§§. 55 i 57 prawa z 14 maja 1869).

§. 9. Niniejsze prawo nabiera mocy z początkiem nowego roku szkolnego po ogłoszeniu.

§. 10. Z nastaniem prawomocności niniejszej ustawy, traci moc prawo z 20 czerwca 1872, jakoteż wszelkie inne odnośne prawa i rozporządzenia.

§. 11. Minister wyznań i oświaty upoważniony jest do przeprowadzenia niniejszej ustawy.

Ówczesna komisya szkolna była najpierw przeciw zniesieniu całego prawa z r. 1872 i była tego zdania, że wystarczy tylko zmienić dwa paragrafy, tj. 3 i 5. Trzymała się dalej i tej zasady dawnej, że każde wyznanie zobowiązane jest darmo uczyć swojej religii w szkołach, wszelako ograniczyła ten obowiązek tylko do trzech niższych klas w szkołach ludowych, czyli cofnęła się napowrót do zasady prawa z r. 1872 wyrażonej w §. 3, któryśmy powyżej dosłownie przytoczyli.

Natomiast zgodziła się komisya na tę zasadę, że nie można, jak dotąd było, ale że się należy dać wynagrodzenie za naukę w wyższych klasach szkół więcej niż trzyklasowych ludowych, i że należy ustanowić dla nich osobnego katechetę.

Postęp więc polega na tem, że gdy prawo z r. 1872 pozwalało wyjątkowo tylko na remuneracyę za naukę w wyższych klasach szkół ludowych, a katechetę osobnego przypuszczało tylko do szkół wydziałowych, tutaj uznano prawną należytość remuneracyi i potrzebę katechety dla szkół ludowych, więcej niż trzyklasowych.

Nadto uznaną została prawem należytość za furmanki, co dotąd było tylko dawane na mocy ministeryalnego rozporządzenia.

Natomiast wyrzucono z projektu (oprócz ustępu drugiego w §. 1, który przepisywał łączenie w jeden oddział różnych szkół, na naukę religii) i tę zasadę, że się należy wynagrodzenie za naukę religii w trzech niższych klasach szkół ludowych, gdzie ta nauka jest połączona z nadzwyczajnym mozołem — co w rozleglejszych parafiach prawie wszędzie się zdarza.

Referat komisyi szkolnej z d. 12 marca 1885 motywuje to wyrzucenie w następujący sposób:[1] „Jakkolwiek komisya

[1] Nr. 1127 der Beilagen zu den stenographischen Protokollen des Abgeordnetenhauses IX. Session p. 3.

szkolna uznaje całkiem słuszność takiego wynagrodzenia w tego rodzaju poszczególnych przypadkach, to jednak nie mogła sobie zataić tego, że odnośny wniosek rządowego przedłożenia, chociaż brzmi dosyć niejasno, przełamałby zasadę, wedle której cięży na kościelnych i religijnych stowarzyszeniach staranie *(Besorgung)* o naukę religii. Jest to krok, który tem mniej można pochwalić, że nie da się obliczyć powiększenie ciężaru, któryby przez to spadł na fundusz szkolny *(Schulaufwand)*. Z drugiej strony nie byłoby prawodawstwo krajowe taką fakultatywną normą bynajmniej wiązane do uwzględnienia tej ustawy. Zdaje się więc, że dla sprawy będzie korzystniejsze, zostawić to własnemu rozsądzeniu sejmów krajowych, o ile wynikające koszta nie mogą być pokryte z dochodów duszpasterstwa“ [1].

Wyznać musimy otwarcie, że dosłowne i dokładne wytłumaczenie tego ostatniego zdania, nie małe sprawia trudności. My wprawdzie z góry uznaliśmy nauczanie religii za wyłączny obowiązek duchowieństwa i w tem też jesteśmy z zapatrywaniem komisyi zgodni; ale jeśli komisya sama przyznała, że przez to nauczanie religii zachodzą krzyczące przypadki obciążenia pracą; jeśli w takich razach sama uważa wynagrodzenie za słuszne i sprawiedliwe; jeśli nadto uznała, że stylizacya rządowego przedłożenia jest niedostateczna i niejasna: to wniosek logiczny byłby ten, że należało złą stylizacyę poprawić — ale nie wynika bynajmniej, że dla fałszywej stylizacyi należało cały projekt rządowy w tym punkcie odrzucić.

Właściwym powodem, dla którego rząd wniósł nowy swój projekt do ustawy, jest przecież ów wielki mozół i przeciążenie, z jakim walczyć musi duchowieństwo, mianowicie młodsze, przy udzielaniu nauki religii w szkołach ludowych, w których liczba godzin rośnie, w miarę jak się mnożą szkoły. To przeciążenie duchowieństwa i faktycznie wielka śmiertelność pomiędzy młodym klerem, oraz rozliczne petycye zniewoliły rząd do tego, że odstąpił od zasady —

[1] Es erscheint vielmehr im Interesse der Sache rathsamer, die ganze Angelegenheit, soweit sie auflaufenden Kosten nicht aus dem Aufwande des Seelsorgedienstes bestritten werden können, dem eigenen Ermessen der Landtage anheimzugeben“.

w praktyce niewykonalnej, i uznał potrzebę prawnej remuneracyi dla katechetów.

Tak samo musiał odstąpić od zasady, zresztą na niczem nieopartej i zupełnie dowolnej, że w trzech niższych klasach ludowych szkół, zobowiązani są księża, bez względu na ogólną liczbę godzin, uczyć bezpłatnie.

Komisya więc poprawiła projekt rządowy *in pejus* — przywracając ponownie obowiązkowe bezpłatne uczenie w tych klasach, w myśl prawa z r. 1872. Dlaczego tylko w trzech klasach mają księża obowiązek uczyć darmo? Dlaczego nie w dwóch tylko, lub w czterech? Tego domyślić się trudno. To zaś, że komisya odsyła całą sprawę do sejmów krajowych, niewielką nas przejmuje otuchą, bo moglibyśmy przytoczyć przykłady, które wszelkie iluzye rozwiać, wszelkie nadzieje ostudzić są zdolne.

Ale wracamy do rzeczy. Sprawa remuneracyi katechetów ludowych przedstawia nam się obecnie tak: Jeśli w miasteczku są dwie ludowe szkoły 4-klasowe: jedna chłopców, druga dziewcząt, wtedy jest 16 godzin religii tygodniowo, z tych będą cztery godziny (w 2 najwyższych klasach) płatne po 20 złr., co czyni na rok 80 złr. [1]. Jedną godzinę religii przyjmujemy, jako maksymum, 40 razy na rok, w takim razie będzie we wszystkich klasach razem 1280 godzin na rok przy remuneracyi 80 złr., dostanie więc katecheta $6^2/_3$ krajcara za godzinę. Przyjąwszy jeszcze mniejszą liczbę godzin, może wypaść za godzinę „szóstka“. Ale jeżeli będą niższe trzy klasy miały t. zw. „paralelki“, w takim razie ile wypadnie za godzinę?

Robotnik w fabryce zarabia, przy 10 godzinach pracy dziennej, daleko więcej i ma jeszcze widoki zabezpieczenia na przypadek kalectwa lub choroby. Duchowny, który ukończył studya gimnazyalne i akademickie, jest tylko zabezpieczony u Pana Boga. Wszelako robotników boją się dziś rządy, a duchowieństwa bać się nie potrzebują.

Komisya wprawdzie wspomina coś, że koszta nauki religii

---

[1] We Wiedniu płaci magistrat katechetom ludowym po 30 złr. remuneracyi za godzinę. Luterscy nauczyciele religii dostają po 45 złr.; tyleż dostają nauczyciele wyznania mojżeszowego.

mają być pokrywane *aus dem Aufwande des Seelsorgedienstes*, ale niech to rozumie kto może.

Będzie to więc ustawa podobna zupełnie do nowej ustawy kongrualnej z 19 kwietnia 1885, która miała poprawić dolę duchowieństwa, ale o której podobno można powiedzieć, iż wydana została *ut saltem aliquid fecisse videatur*, bo tam gdzie można — proboszczom się bierze, a wikaryuszom się daje, na czem ani jedni, ani drudzy dobrze nie wychodzą.

Dalsze wszystkie paragrafy przedłożenia rządowego zostały przez komisyę odrzucone, jako zbyteczne, a w ich miejsce wstawiła komisya artykuł II., który brzmiał: „niniejsza ustawa nabiera mocy, z potrzebnemi do jego wykonania ustawami krajowemi, a równocześnie ustają przeciwne temu przepisy".

Ten właśnie artykuł II. będzie nas obecnie jeszcze zajmował. Rząd przedłożył bowiem na obecnej sesyi (X.) tenże projekt przeszłej komisyi jako swoje rządowe przedłożenie, przy tem jednakże wsunął jeden mały dodatek, tj. dodał jako osobny ustęp (a linea 2), o który długie toczyły się rozprawy w komisyi.

Jeśli się uważnie zestawi §§. 9 i 10 projektu rządowego, któryśmy dosłownie powyżej przytoczyli, z tą zmianą, jaką zrobiła komisya szkolna, odrzucając te paragrafy, a w ich miejsce wsadzając tylko krótkie brzmienie artykułu II., wtedy łatwo spostrzedz, że zachodzi tu prawdziwa różnica, pomiędzy jednem a drugiem pojmowaniem, czyli że komisya szkolna uczyniła całą tę ustawę zależną od prawodawstwa krajowego. Rząd natomiast chciał przy tej sposobności nową zasadę prawną raz na zawsze przeprowadzić, jako ustawę państwową.

Podczas gdy dotychczasowe prawa przekazywały ciężar nauczania religii na duchowieństwo resp. na stowarzyszenia religijne; — i podczas gdy tę naukę uważano jako zasadniczo bezpłatną, a w każdym razie jako płatną przez osobne fundusze stowarzyszeń religijnych: odtąd ma zapłata za naukę religii należeć do funduszów szkolnych. To wypowiadają motywa dołączone do projektu rządowego [1]. Ta zasada stawia naukę religii jako integralną część nauki, planem objętej i jako taką opłacać każe.

---

[1] „Grundsatz der Umwandlung des Religionsunterrichtsaufwandes zu

Cała trudność polega tylko na tem, czy sejmy krajowe zechcą się na tę zasadę zgodzić: — a o to właśnie tutaj chodzi.

Przytoczymy tutaj cały projekt rządowy, przedłożony na obecnej sesyi parlamentowi i przekazany przezeń komisyi szkolnej.

Art. I. Paragrafy 3 i 5 prawa z 2-go czerwca 1872 r. tracą odtąd moc i brzmią jak następuje:

§. 3. Za udzielanie *(Besorgung)* nauki religii we wyższych klasach ogólnej szkoły ludowej, więcej niż trzyklasowej, albo w szkole wydziałowej, należy płacić albo remuneracyę, albo ustanowić osobnego nauczyciela religii.

Jeśli nauki religii udziela świecki nauczyciel, w myśl §. 5. prawa z 14 maja 1869, wtedy należy mu przyznać stosowną remuneracyę.

Jeśli nauka musi być udzielana poza miejscem zamieszkania nauczyciela religii, wtedy należy — stosownie do potrzeby i z uwzględnieniem oddalenia, oraz innych stosunków miejscowych, — dostarczyć odpowiednich środków przewozowych, albo płacić tanie wynagrodzenie za drogę.

§. 5. Nakłady potrzebne na naukę religii spadają na koszt odnośnej szkoły, jeśli nie ma osobnych funduszów, zapisów, albo zobowiązań pojedyńczych osób lub korporacyj.

Uregulowanie stałych dochodów i remuneracyj, przypadających na nauczycieli religii przy ogólnych szkołach ludowych i szkołach wydziałowych; bliższe oznaczenie warunków ich wypłacania, nadto unormowanie wynagrodzenia za drogę, zastrzega się prawodawstwu krajowemu, tak samo jak się ma rzecz z pensyą reszty nauczycieli. (§§. 55, 57, prawa z 14 maja 1869).

Art. II. Niniejsze prawo nabiera mocy równocześnie z prawami krajowemi, które do jego wykonania są potrzebne, i z tą chwilą tracą moc przeciwne rozporządzenia.

Jedynie postanowienie zawarte w ustępie I. poprzedniego §. 5 musi być odnośnie do systemizowanych dotychczas, lub mających się systemizować pensyj i remuneracyj nauczycieli religii (§. 3 prawa z 20-go czerwca 1872) z dniem ogłoszenia niniejszego prawa wykonane.

Art. III. Przeprowadzenie tego prawa powierzam mojemu ministrowi wyznań i oświaty.

Komisya szkolna składa się w obecnej kadencyi z następujących 24 członków: przewodniczący książe Jerzy Czartoryski, członkowie: hr. Salm, Jahn, Dr. Mikyška, Jireček, Tonner, Klun, Dr. Rapp, Borčic; Dr. Czerkawski, hr. Dzieduszycki, Dr. Chotkowski, Sawczyński; hr. Fürstenberg, Dr. Beer, Dr. Edward Suess, Dr. Haase, Carneri, Dr. Wildauer, Dr. Fuchs, Karlon, Dr. Hallwich, Dr. Fuss,

---

einem allgemeinen Schulaufwande. Regierungsvorlage nr. 29 der Beilagen zu den stenogr. Protocollen des abg. Hauses X. Session" p. 4

Dr. Weitloff. — Księży katolickich jest trzech: Chotkowski, Karlon, Klun; pastor protestancki jeden: Dr. Haase.

Komisya ta odbyła pierwsze posiedzenie w lutym i wybrała referentem w niniejszej sprawie byłego ministra oświaty Jirečka, który też już na poprzedniej kadencyi w tejże sprawie był sprawozdawcą.

Na posiedzeniu komisyi 15 marca, zastrzegł się Dr. Edward Suess (profesor uniwersytetu wiedeńskiego) imieniem członków z lewicy, że w zasadzie są temu prawu przeciwni, jako stojącemu w przeciwieństwie do art, XVII. konstytucyi i dotychczasowej zasady, że nauka religii jest sprawą poszczególnych wyznań; wszelako będą za tem prawem głosować, dlatego, że uznają jego potrzebę. Przeciwko temu wywodził minister oświaty Dr. Gautsch, że co innego znaczy udzielanie, a co innego staranie się o naukę religii *(Besorgung)*. Jestto wszelako kwestya czysto akademicka, bo czytelnik mógł zauważyć, że rzeczownik „Besorgung“ używany jest w różnem znaczeniu i myśmy go też tłumaczyli tutaj raz jako urządzenie, to znów jako postaranie się i jako udzielanie religii.

Cały artykuł I. przedłożenia rządowego, został przez komisyę przyjęty i dopiero przy artykule II., mianowicie ustępie drugim, któryśmy umyślnie podkreślili, wszczęła się długa dyskusya, w której członkowie z lewicy stawali po stronie przedłożenia rządowego i ministra oświaty, który tegoż przedłożenia bronił. Wywodzili mianowicie, że ustęp II. artykułu II. zagradza samowoli sejmów krajowych, że bez tego ustępu zależeć będzie prawo państwa od prawa krajowego, że stawiłoby kompetencyę krajów nad kompetencyą państwa. Prawodawstwu krajowemu pozostawione jest wykonanie tego prawa, jego bliższe określenie, unormowanie pensyj i remuneracyj — natomiast znosi dotychczasowy stan prowizoryczny, który jest nieznośny.

Na to odpowiadał Dr. Euzebiusz Czerkawski, że właśnie ten II. ustęp artykułu II. jest główną zasadniczą zmianą, bo nie pozostawia sejmowi nic więcej nad prawo płacenia tego, na co się sam nie zgodził. Przytem konstatował, że polscy posłowie, głosowali czasu swego przeciwko prawu z r. 1872. — Poseł Dr. Fuchs żądał wykreślenia przynajmniej tego zdania, które mówi o pensyach systemizowanych i mających się systemizować („die bisher systemi-

sirten und noch zu systemisirenden Religionslehrergehalte und Remunerationen") — wywodząc jurydycznie, że co do systemizowanych jest tutaj *jus quesitum*, a co do przyszłych pensyj zachodzi tutaj sprzeczność. — Na to odpowiedziano, że w ogóle jest dzisiaj mało nauczycieli religii przy niższych szkołach ze systemizowaną pensyą, jak się więc ten *passus* wyrzuci, wtedy też sejmy nie będą żadnych nowych katechetów systemizowały. Mianowicie minister oświaty wywodził, że bez tego ustępu II. będzie naczelna władza szkolna bezbronna w obec tej ewentualności, że sejm nie będzie chciał nic uchwalić, w duchu niniejszego przedłożenia. Dlatego podnosił potrzebę wyrażenia: *die zu systemisirenden Religionsgehalte*, bo tendencyą prawa jest właśnie, żeby te pensye były stałe, a nie tylko od razu do razu udzielane.

Na wniosek hr. Salm przekazano nowe zredagowanie artykułu drugiego podkomisyi, złożonej z 3 członków: Beera, Czerkawskiego i Jirečka. W tej redakcyi został ustęp drugi wyrzucony i to tylko większością jednego głosu. Natomiast przeszedł na wniosek posła Fuchsa ustęp nowy, który opiewa, że remuneracye, pobierane na mocy niniejszej ustawy, nie mogą być odnośnym duchownym doliczone do kongruy. Ustęp to bardzo ważny w naszych stosunkach.

Zobaczmy teraz jak się rzecz cała przedstawia z praktycznej strony dla kraju.

Rząd przedłożył komisyi statystyczny wykaz szkół ludowych ze wszystkich krajów Austryi. Wedle tego jest w Galicyi 4 klasowych szkół 141; pięcioklasowych 16; sześcioklasowych 8; siedmioklasowych 1; ośmioklasowych szkół wydziałowych jest 15. Razem więc klas ludowych, od których Galicya miałaby płacić remuneracyę katechetom jest 201.

Dotąd wynosiły koszta nauki religii w Galicyi 19.685 złr. 34 ct. Z tej płacy pobierali systemizowani katecheci 3.450 złr. — resztę dostawał kler parafialny. Fundusz szkolny dawał 10.323 złr. 34 ct. — resztę płaciły gminy miejskie, wedle nowej ustawy będzie fundusz szkolny płacił tylko 9.840 złr. — a więc zyska 483 złr. — i będzie się nazywało, że mamy nową ustawę, wydaną na korzyść duchowieństwa.

Przez odrzucenie ustępu drugiego w artykule II., który rząd

proponował, nie potrzebuje też żadna remuneracya być stałą — chyba że rada szkolna zechce którego katechetę systemizować. Może więc zestarzeć się w tym urzędzie, a nie będzie miał prawa do żadnej emerytury.

Czy rady szkolne będą chciały systemizować, skoro większość w komisyi właśnie ten ustęp odrzuciła? Tego przewidywać nie chcemy. Ale dla charakterystyki naszych stosunków szkolnych niech nam wolno będzie przytoczyć następujący przykład.

W Chrzanowie był katechetą przy szkołach ludowych ks. Jan Daroszewski i przez 35 lat uczył za wynagrodzeniem 420 złr., nie pobierając żadnego wynagrodzenia za te godziny, które po nad przepisaną liczbę 17 udzielał. W r. 1878 zmniejszono liczbę godzin, tak, żeby nie wynosiła siedmnastu i ks. Daroszewski nie pobierał od tej chwili ani krajcara. Mimo to uczył jeszcze przez 5 lat bezpłatnie, w tej nadziei, że przecież żadna ustawa wstecz działać nie może, a więc też i §. 3 z ustawy 20 czerwca 1872 do niego zastosować się nie da.

Tymczasem starał się o emeryturę. Przeszedł wszelkie instancye, po dwa i trzy razy — i nie dostał przez 5 lat żadnej odpowiedzi. Wreszcie w październiku 1885 wręczył jeden z posłów duchownych *promemoria* w tej sprawie nowemu ministrowi oświaty, ale nim odpowiedź przyszła, powołał Pan Bóg 80-letniego starca do swej chwały. Gdyby miasto Chrzanów nie było płaciło temu kapłanowi 150 złr. rocznego wsparcia, byłby musiał chyba umierać z głodu.

Fakt ten nie potrzebuje komentarza, i nie potrzebuje dodatku, że się to działo za naszego samorządu w Galicyi.

Ochrona tego samorządu i jego atrybucyj była też główną sprężyną w obradach komisyi szkolnej dla członków, wybranych z większości. Ten wzgląd decydował we wszystkiem. Kiedy dwaj duchowni członkowie komisyi: prałat Karlon i dr. Chotkowski oświadczyli, że prawo to uważają za niekorzystne dla duchowieństwa, dające tylko pozór a nie rzeczywistą korzyść, że dla tego od głosowania się wstrzymują, wtedy w imię solidarności i autonomii krajów zniewolono ich do oddania głosów. Większością też tylko jednego głosu przeszedł w komisyi artykuł drugi, który opiewa, że

„ustawa niniejsza nabiera mocy równocześnie z ustawami krajowemi, które do jego wykonania są potrzebne".

Nie ulega wątpliwości, że ustawa przejdzie w tej formie w jakiej została przez większość komisyi szkolnej przyjętą. Koło polskie uchwaliło też głosować za przedłożeniem komisyi, a i sam minister oświaty nie zdawał się następnie mieć wielkiej ochoty do opozycyi.

Pomiędzy posłami stanu duchownego odbywały się poufne narady, jakieby w tej sprawie należało zająć jednolite stanowisko, ale narady te doprowadziły tylko do zgodnego przekonania, że w obec uchwały większości, niczego już zrobić nie można.

Wszystko więc u nas w Galicyi zależeć będzie od dobrej woli sejmu. Miejmyż nadzieję, że sejm krajowy będzie miał na pamięci słowa lorda *Salisbury*, wypowiedziane w zeszłym roku na zebraniu wyborczem w *Newport:* „Przeciwko zepsuciu obyczajów nie masz innego środka nad naukę religii. Dlatego kładę wam jak najusilniej na serce, abyście bronili najdroższej spuścizny, którą jako wolni obywatele posiadamy". Nie wątpiąc ani na chwilę, że w sejmie krajowym nie masz nikogo, ktoby się nie pisał na te słowa protestanta, dodajemy od siebie tylko jeszcze to jedno, że jeśli się duchowieństwu przypomina chętnie obowiązki, jakie ma względem szkoły, to również i sobie przypomniećby należało, jakie się ma obowiązki względem duchowieństwa. Tego bowiem uczy doświadczenie wieków, że w ślad za zubożeniem duchowieństwa idzie zawsze pośrednie ubożenie niższych warstw ludności, a więc równoczesne cofanie jej w postępie cywilizacyi.

Ks. Dr. Chotkowski.

ADAM Z BRUSIŁOWA KISIEL

Wojewoda Kijowski.

Kartka z życia jego z lat 1648 i 1649.

(Dokończenie).

Rozpoczął się wreszcie dnia 6 października sejm elekcyjny w Warszawie pod laską Obuchowicza wojskiego mozyrskiego, przystąpił odrazu do obrad, nad ratunkiem ojczyzny i spieszną elekcyą króla. Stronnictwo wojenne z księciem Wiśniowieckim na czele pragnęło widzieć na tronie królewicza Karola, Ossoliński z Kisielem stali przy Janie Kazimierzu, którego wybór sam Chmielnicki popierał, jako elektor ze 150.000 armią obozującą u Zamościa. Domagali się oni spiesznej elekcyi w nadziei, że nowo obrany król zażegna wojnę domową i obmyśli środki obrony. Na czwartem posiedzeniu sejmowem d. 9 października zjawił się Kisiel z wojewodą brzeskim i kasztelanem sendomierskim. Powitano go okrzykiem „zdrajca“ i możeby rozsiekano, gdyby go biskupi nie zasłonili. Relacya ta zdaje się nam przesadną. Dyaryusz sejmu o tem nie wspomina, książe Radziwiłł zaś w „Pamiętnikach“ swych pisze, „że wojewoda bracławski Kisiel krótko przełożył wierność swoją ku Rzpltej, twierdząc, iż ostatni z obozu uszedł, lubo nań — dodaje autor — suspicyą mieli, że z Chmielnickim trzymał“. Lecz któż z współczesnych był wolny od niej? „Sędzia Ciechanowski wymawiał ostro panu wojewodzie, że Rzpltą pokojem ubezpieczał — pisze dyaryusz współczesny — lecz mu dał p. Kisiel o sobie justifikacyę tłumacząc, że dwom sprawom służył i traktatom i wojnie, z której po zabiciu 30 ludzi z swego otoczenia sam ostatni uszedł z obozu“.

Przyganiał potem nominacyi księcia Jeremiego na hetmana, „nieźle to jest nominować hetmany, ale to zda mi się tak, jako kiedy owo kto wprzód się stara o urzędnika, niż majętność kupi. Rozumiałbym — skuteczniejszem, co prędzej Pana obrać, którego Pan Bóg do serca poda, gdyż u tych chłopów za nic Rzplta, bo oni mówią: a szczo to jest Rzeczpospolita? i my także Rzplta, ale Korol to u nas Pan? Król jest to u nich *divinum quod*". Radził więc nie bawić się w debaty, lecz działać, gdyż „i prawa nasze u djabła, i wolności u dwu, a karki nasze pod ostrą pana Bogdana szablą". „Teraz posłaćby jeszcze kogo do Chmielnickiego — kogoż posłać? z czem posłać? Dlaczego pospolite ruszenie u was tak *in contemptu?* Przodkowie nasi tak wojowali, a bywało dobrze i wszystko dobrze będzie, kiedy Pan będzie" [1]. I w następnych przemówieniach domagał się przedewszystkiem: elekcyi króla, pospolitego ruszenia i nowego zaciągu wojsk. „Czego mamy zwlekać? — pyta Kisiel senatorów — sama niezgoda, sama niemiłość ku ojczyźnie; bo gdy ja chcę mieć prędko Pana i pospolite ruszenie i żołnierza, to skoro król będzie, to nam snadniusieńko przyjdzie. Nie rzecz, wtenczas lekarstwa szukać, kiedy dusza z gardła wychodzi". Co do elekcyi króla radził, aby królewicze między sobą komplanowali i jeden drugiemu ustąpił. Odpowiedziano mu, że jeżeli królewicz, jeden drugiemu ustąpi, a komuś się ten, który ustąpił niepodoba, to będzie go musiał obierać, *non libere,* lecz *necessario.* W sprawie pospolitego ruszenia dowodził Kisiel, iż mogą być trzy alternatywy, albo pospolite ruszenie ma być przed elekcyą, albo równo z elekcyą, albo po niej Jeżeli przed elekcyą, na cóż tu stać pod Warszawą, skoro jeszcze Pana obierać nie będziemy? jeżeli równo z elekcyą, to nas mających już zgodnie obranego króla nieprzyjaciel zbrojny zdusi; jeżeli zaś po elekcyi, to już będzie nie wczas. Gdy przyjdzie pospolite ruszenie na samą elekcyę, to gwardye królewskie nie będą mogły odejść na pole walki, i tak albo gwardye na pospolite ruszenie, albo pospolite ruszenie na gwardye wsiędą — i taki będzie pożytek" [2]. A więc jak najprędzej obrać króla i zwołać pospolite ruszenie.

---

[1] Dyaryusz sejmu elekcyjnego 1648. (Michałowski, Księga...).

[2] Mowy i głosy Kisiela na sejmie elekcyjnym. (Michałowski, Księga...).

Rady Kisiela poparte przez Jerzego Ossolińskiego nabierały powagi i znaczenia, a śmierć Rakoczego 11 paźdz. przechyliła ostatecznie szalę elekcyi na stronę Jana Kazimierza[1]. Pierwszem zadaniem króla było obmyślenie bezpieczeństwa Rzeczpltej. Stan wojska koronnego liczył 25.000 żołnierza i również tyle zbrojnej szlachty zgromadzonej na elekcyi i gotowej do ruszenia w pole; siła bądźcobądź dostateczna do pomszczenia hańby pod Pilawcami. Szlachta pałała żądzą odwetu, magnaci okazywali ochotę zasłużenia się nowemu królowi, Litwa domagała się wraz z Kisielem pospolitego ruszenia, aby na czele szlachty wkroczyć na Ukrainę — jednem słowem zapał wojenny owładnął wszystkich. Król jednak nakłaniał się do kompromisu z Chmielnickim, który z pod Zamościa wyprawił księdza Andrzeja Mokrskiego z listami do króla i do senatu nader umiarkowanemi, z prośbą nawet o darowanie mu winy z obietnicą, iż dobrowolnie z pod Zamościa ustąpi. Dzień przedtem ruszył goniec królewski Śmiarowski pod Zamość, niosąc list zapewniający go o przychylności króla, o potwierdzeniu praw i hetmaństwa, byle tylko z pod Zamościa ustąpił, na Ukrainę się udał i komisyi poselskiej spokojnie wyczekiwał. Z tego powodu publicznie odzywały się później głosy Kozaków, iż Pan Bóg cale Lachów opuścił, ponieważ inszej obrony nie mają, krom prośby[2]. Poselstwo Śmiarowskiego ostudziło znacznie wojenne zapały sejmu; zawotowano zaledwie 13.000 zaciągu. Powstał na to Kisiel na dniu 23 list. właśnie kiedy odczytano Chmielnickiego list z 15 listopada.

„Widzę ja, że W. M. M. Panowie chcecie ojczyznę *omni destitutam praesidio* odjechać. Obrona, prosimy, żeby była jako najlepszą". Brat jego Mikołaj dodał: „Podobno się W. Panowie sadzicie na poselstwie Pana Śmiarowskiego do Chmiela, dlatego tak źle do obrony przystępujecie i o tem nie myślicie, gdziebyśmy wygnańcy mogli *figere pedem*"[3]. To uporczywe Kisiela wołanie o pomnożenie sił zbrojnych i pospolite ruszenie, dowodzi aż nadto, że przekonał się sam o bezsilności swej polityki ugodowej. Należał on i teraz do rzędu doradzców królewskich, pro-

[1] Dr. Kubala, Jerzy Ossoliński T. II.
[2] X. Alb. Radziwiłł — Pamiętniki.
[3] Dyaryusz sejmu elekcyjnego (Michałowski).

ponował środki zaspokojenia Kozaków, radził wznowić wileńskie układy i starać się w Konstantynopolu dla nich o egzarchę, gdyż tym tylko sposobem będzie można uwolnić ich zpod wpływów obcej potęgi — lecz to były rady na przyszłość dawane, dla Kozaków już z koroną pojednanych, nie dla obecnej chwili i jej groźnych następstw. Nie oglądano się jednak wiele na rady Kisiela, senat wysłał Hołdakowskiego w poselstwie do Chmiela, a król odesłał Mokrskiego. Ukołysany obietnicą buławy Chmielnicki odprawił część wojska, i ruszył ku Kijowu, rozsyłając po całej Ukrainie uniwersały, aby szlachta do zagród wracała i aby chłopi posłuszeństwo panom swoim oddawali [1].

Wydał też i Jan Kazimierz uniwersał, ogłaszając na chwiejnej podstawie Chmielnickiego oświadczeń, wojnę kozacką za uspokojoną. Kisiel na osobiste zaproszenie Chmielnickiego i na życzenie króla i senatu acz nie z tym już zapałem, ani z tą wiarą, w powodzenie swej misyi co przedtem, stanął na czele komisyi, która wiozła buławę Chmielnickiemu [2]. W podróży poselstwa nastąpiła zwłoka, gdyż Kisiel nie otrzymał od skarbu potrzebnych na ten cel pieniędzy, a nie mając własnych, pisze do króla list w tej sprawie w Wierkach z d. 26 grudnia:

„Najjaśniejszy miłościwy Królu, Panie, Panie mój miłościwy.

„Według mojej wiernej do usług Waszej Królewskiej Miłości, Pana mego miłościwego ochoty i według własnej Rzeczypospolitej potrzeby, jużbym ja życzył sobie, z dalszego miejsca, Waszej Królewskiej Miłości Panu memu miłościwemu potrzebnemi odzywać się (o zaczęciu [3] funkciej włożonej na mię) wiadomościami. Lecz gdy ani owdzie w Kobryniu żadnego nie zastałem sposobu i podobieństwa zaciągnienia na drogę pieniędzy, (bo są tak zniszczone [4] dobra stołu W. Kr. M. P. M. M., że co jedno mieli ubodzy poddani, wszystko im wzięto i po dziś dzień biorą), ani z skarbu, zosta-

[1] Dr. Kubala, Jerzy Ossoliński T. II.

[2] Dyaryusz tego poselstwa przez Miaskowskiego wydał Kognowicki w dziele: „Życie Sapiehów“, z niego przedrukował Niemcewicz w „Zbiorze Pamiętników“ Tom IV. Poprawione i uzupełnione wydanie dyaryusza znajduje się w Grabowskiego: „Źródła do dziejów polskich“ T. I.

[3] De ingressu.

[4] Desolata.

wiwszy skript mój na assignowane w tę drogę pieniądze, doczekać się ich mogę, ani J. M. Pana podkomorzego lwowskiego [1] kollegi mego, ani na ostatek wiadomości od Pana Hołdakowskiego, na którą czekawszy tydzień, ode mnie zostawiony w Warszawie powrócił z niczem. Tedy skłopotany uciekać się muszę [2] do Majestatu W. Kr. M. P. M. M., co mi dalej W. Kr. M. P. M. M. rozkażesz czynić? Szkodliwy w radach, pożyteczny w działaniu pospiech [3], tę moję funkcyą miał pomyślniejszą uczynić [4]. Co godzina to nowe myśli [5] stek zbrojnego motłochu [6] napadać zwykły. A to i teraz ówdzie z Polesia znowu trwogi powstają, a nie dziw, bo pełno kup swowolnych, które żywi [7] to samo, iż nikt jeszcze na swoje popieliska powracać nie śmie, bez początku i skutku kommissiej. Tłuszcza sama, rabunkiem i łupiestwami [8] zajuszona grassuje [9]. W takim tedy terminie Ojczyzny i usługi W. Kr. M. P. M. M., krew moję cedzić gotowem, nie tylko bym miał żałować ostatków substanciej, gdybym mógł na nię zasiądz gdziekolwiek pieniędzy!

„Już też o tem nie wątpię, że kiedy dotychczas od p. Hołdakowskiego wiadomości nie masz, Chmielnicki oparł (się) w Czyhirynie, i przez swowolne kupy do niego przebierać się potrzeba; pora zaś następuje; zawsze Kozacy zwykli na Trzy-Króle (jako oni nazywają na *Wodochriszczą)* zaczynać rady swoje i imprezy, a jednego ze dwojga obawiać się potrzeba: albo na morze iść uradzą, albo potwierdzą z Ordą swojej ligi, oboje to wstrząsnąć [10] Rzeczpospolitą, strzeż Boże! musiałoby. Co jako zawczasu odwrócićby się [11] mogło, tak gdy już zawrą radę swoję, byłoby niecofnionem [12], a choćby był Chmielnicki najżyczliwszym, motłoch przemoże [13],

[1] Wojciech Miaskowski.
[2] Anxius recurrere.
[3] Consiliis inimica, rei vero proficiendae amica celeritas.
[4] Feliciorem reddere.
[5] Momenta.
[6] Colluviem plebis armatae.
[7] Nutrit.
[8] Praeda et spoliis.
[9] Grassatur.
[10] Afficere.
[11] Anticipative dissuadova[illegible]
[12] Irrevocabile.
[13] Multitudo obruet.

który nie mając się po co wracać do domów i panów swoich, jako najdłuższem pragnie zamieszaniem radzić sobie [1]. Wszytka tedy rzecz zawisła na tem, żebym mógł ten zwyczajny czas ich na Jordanie kongregaciej i rady Dnieprowej uprzedzić. Jeśli już tam u Dniepru oparli (się), czemu żadnym sposobem podołać nie będę mógł, jeżeli pierwszych dni stycznia [2], to jest na Trzy-Króle nie wyjadę. To ja tedy przełożywszy Majestatowi W. Kr. M. P. M. M., co sam czas w takiej nagłości [3] będący, wymaga [4]. czekam jako najprędzej od W. Kr. M. P. M. M. resoluciej, siebie przy tem i wierne poddaństwo moje i uniżone usługi rzucam pod nogi Majestatu W. Kr. M. P. M. M."

„Waszej Królewskiej Miłości Pana Mego Miłościwego"
wierny poddany i uniżony sługa
(Własnor. podpis Kisiela). *Kisiel w. Bracł.* [5].

Dan w Wierkach d. 26 grudnia 1648.

Dopiero 9 stycznia, jak pisze Miaskowski w swym dyaryuszu, oddano Kisielowi 10.000 zł. ze skarbu, jako koszta podróży. Cały tydzień minął, nim się wszyscy komisarze zgromadzili, a już 1. lutego donosi Miaskowski w liście do nieznanego nam bliżej adresata z Nowosiółek, że Chmielnicki za Dnieprem *longe mutatus ab illo*, jakim się Śmiarowskiemu i Hołdakowskiemu stawił był, że zuchwały zwycięstwem, na naradę nie pozwala, responsu nie daje, i posłańców pod strażą u siebie zatrzymuje.

W Nowosiółkach u JMC Pana wojewody różne były kontempta od chłopstwa, żywność trudna i droga, nietylko ziarna, ale i słomy dla koni nie było. Z Kijowa przybył metropolita Sylwester Kossow i archimandryta Józef Tryzna na tajemną z Kisielem rozmowę, których Wojewoda rewizytował i to w chwili kiedy Gniazdowskiego i Brzyżewskiego, kapitanów Kisiela chłopi czynnie znieważali. Dnia 12 wyprawiony został brat Wojewody Mikołaj ze

[1] Intendit consulere.
[2] Primis diebus Januarii.
[3] In arcto.
[4] Requirit.
[5] Kopia listu Kisiela do króla, w Wierkach pisanego d. 26 grudnia 1648. Ze zbioru Kirkora.

Śmiarowskim do Chmielnickiego z perswazyą, żeby do Kijowa na komisyę zjechał, nadaremnie: dopiero d. 19 stanęła deputacya w Perejasławiu. Chmielnicki wyjechał naprzeciw na pół ćwierci mili w pole, w kilkadziesiąt koni, z pułkownikami, assawułami, sotnikami, z muzyką wojenną, znakiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią. Po przywitaniu i przemowie kozackiej wsiadł na sanie, po lewej ręce pana Wojewody. Wjeżdżając w miasto, ze 20 dział uderzyć kazał i do swego dworu na obiad zaprosił, gdzie już przemówki uszczypliwe zaczęły się od niego przeciwko Lachom. Dnia 20 rada komisarska, na której stanęło oddać Chmielnickiemu buławę i chorągiew od króla, aby go ująć tą ludzkością i łaską. Temu aktowi naznaczono miejsce przed dworem Chmielnickiego, gdzie stali posłowie moskiewski i węgierski. Czekał w kole Chmielnicki na tę polską owacyę w altembassowym sobolim czerwonym kopieniaku pod buńczukiem, z pułkownikami. Skoro Kisiel począł ofiarować łaskę króla hetmanowi i wojsku zaporożskiemu, zawołał obok hetmana stojący pułkownik Działak: „Korol jak korol, ale wy korolewiata i kniaziata broicie mnoho i nabroiliście i ty Kisielu, kość z kości naszych odszczepiłeś się, przystajesz z Lachy". Pan Wojewoda oddał Chmielnickiemu list i kredens komisarski, potem buławę turkusową, a brat jego chorągiew czerwoną z orłem białym i napisem: *Joannes Casimirus rex*, przyczem Kisiel uczynił był mowę gładkiemi i wybornemi słowy, i prosił Chmielnickiego aby się za te dary łaski królewskiej również wdzięcznym okazał i dalszemu krwi rozlaniu i zamieszaniu zapobiegł. „Za tak wielką łaskę — rzekł Chmielnicki — którą mi król przez Wasz Mość Pana pokazał, że i władzę nad wojskiem przysłał i przeszłe moje przestępstwo przebacza, uniżenie dziękuję; co się tknie komisyi, to się teraz zacząć i odprawiać nie może", tu wyliczywszy wszystkie krzywdy i sprawców onych imiona, dodał: „nie będzie nic ze wszystkiego, jeśli z nich jednego nie skarzą, drugiego mi tu nie przyślą, inaczej albo mnie z wojskiem zaporożskiem przepaść, albo ziemi lackiej, wsim senatorom, dukom, krolikom i szlachcie zginąć". „Chmielnicki, zazwyczaj nietrzeźwy, bo z czarownicami wiecznie dopijający, które go często bawią i w tym jeszcze roku szczęście na wojnie z Koroną wróżą — pisze Miaskowski - decyzyę traktatów z jednej sesyi na drugą odwlekał". Ostatecznie dnia 24 lutego nalegany o odprawę powiedział: że in-

nej nie będzie, tylko jeden list, niechcąc dawać żadnego skryptu, ani na rozejm zezwolić, na który przecież za usilną prośbą Kisiela wreszcie zezwolił [1]. Żądał Chmielnicki miejsca w senacie dla metropolity kijowskiego, odebrania buławy Wiśniowieckiemu, zawieszenia broni przez oznaczenie punktów granicznych, komisyi powtórnej dla sporządzenia rejestrów i wydania Czaplińskiego.

Według uniwersału drugiego komisarzów królewskich z datą 24 lutego w Perejasławiu wydanego przez Kisiela, pakta uspokojenia zawarte do Zielonych Świątek ruskich (22 maja) miały być na wiosnę przez komisyę dokończone, na teraz z obu stron w pokoju zostawać mają, żadnej przyczyny nie dając, czat, najazdów, podjazdów, nie czyniąc, a kres między wojskiem taki położono: iż wojska Koronne i W. Ks. litew. stać mają na Horyniu, a załogi wojska Zaporożskiego na Słuczy, a między temi rzekami żadne chorągwie być nie mają, od Podola do Bracławia pod Kamieniec Podolski. Uniwersał ten Kisiela od chorągwi do chorągwi posłany był wojskom koronnym [2].

Kisiel zgadzając się pozornie na twarde warunki Chmielnickiego, aby tylko Kozaków u Dniepru zatrzymać i przez czas zawieszenia broni potrzebne do wojny poczynić przygotowania, chory, iż go na saniach do ojczyzny wieziono, wrócił do zamku swego w Huszczy, wysyłając brata i Śmiarowskiego z relacyą do króla, i z listem przez wszystkich komisarzy podpisanym, w którym królowi sprawę z Chmielnickim, myślącym już nie o Kozactwie, ale o panowaniu i udzielnem księstwie, jako nader niebezpieczną dla Rzpltej przedstawiał. Leszczyński przerażony tą relacyą błagał króla, aby wezwał pospolite ruszenie i szedł do boju. Inaczej myślał król i powiernik jego Ossoliński, którzy potajemnie wysyłają Śmiarowskiego z listem (27 marca) do Chmielnickiego dając mu kilkadziesiąt przywilejów z okienkami na różne futory dla zaporożskich pułkowników, z oświadczeniem, iż się na żądania Chmielnickiego wyrażone w suplice zgadzają, i że do 22 maja wszystko składnie się ułoży. To poselstwo w tajemnicy trzymane, przez podkanclerzego

[1] Dyaryusz Miaskowskiego, gdzie są punkta traktatów wymienione (Grabowski i Przeździecki „Źródła“ T. I. p. 12, 13.

[2] Grabowski. „Wspominki ojczyste“. T. II. Uniwersał drugi komis. królew. z 24 lut. 1649.

Leszczyńskiego rozgłoszone, dało powód do zajść i kłótni między nim i Ossolińskim, iż ich król godzić musiał. Chmielnicki jak zwykle o dokończeniu traktatów i zachowaniu zaimprowizowanego zawieszenia broni, wcale nie myślał, i chociaż o niem chorągwie polskie uniwersałem Kisiela uwiadomione były, Kozacy w podjazdach z wojskiem Koronnem dalej utarczki prowadzili Pułkownik Haraśko zrabował Ostróg, młody Krzywonos Polesie, Samuela Koreckiego właśni poddani w zamku oblegli, sam Kisiel w Huszczy odpoczywający i w skołatanem zdrowiu, zaledwie uszedł z życiem. Chmielnicki nie czekając Zielonych Świątek gotował się do wojny, spisywał wojsko, którego liczbę do 300.000 podnieść zamierzał i szukał sprzymierzeńców, chcąc zakończyć mieczem wszystkie swoje grawamina i rachunki z Koroną. Dnia 15 kwietnia stanął Śmiarowski w Czehrynie. Chmielnicki przyjął go jak pachołka, list królewski rzucił ze wzgardą na ziemię oświadczając, iż go sobie wcale nie życzy i że pokoju być już nie może. Król i Ossoliński nie opuszczając starania o pokój, uwiadomieni od Śmiarowskiego o postpozycyi jakiej doznał od Chmielnickiego, postanowili wzniecić między Kozakami rokosz przeciw ich hetmanowi i wysłać wojsko, aby dokonać traktatów przemocą. Kisiel po powrocie swym od Chmielnickiego podobnie sponiewierany jak Śmiarowski, dał początek tej myśli rokoszu, buntując Harasyma Czarnotę na Chmielnickiego, obiecując mu hetmaństwo i inne respekta królewskie, byle tylko u Kozaków miłością, którą miał przed wszystkimi pułkownikami, Chmielnickiego starał się degradować z komendy. Łaska Boża, pisze Kochowski, że nie wydał sekretu Czarnota, pewnieby komisarze wszyscy poginęli.

W celu powiększenia sił wojska, któreby zbuntowanych Kozaków poprzeć mogło, rozesłał król listy do senatorów, zwołując ich na konsultacyę do Warszawy w tej sprawie, równocześnie na usilne prośby wojowniczo usposobionego podkanclerzego wydał dnia 9 maja dwoje wici na pospolite ruszenie do wyprawy na pole walki. Musiało to zbrojenie się wojsk w kraju dojść do wiadomości Chmielnickiego, który w liście (13 maja) z Czehryna pisze do Kisiela, że stara się wprawdzie o to, aby według umowy traktaty koniec wzięły, lecz go w podziwienie wprawiają liczne zaciągi wojsk w Koronie i w Litwie czynione, iż Lachy tu na zgodę pracują, a tam

o wojnie myślą, że zwołuje pułkowników wszystkich, aby uradzić, gdzieby się komisya najbezpieczniej odprawić miała. W dwóch nieprzyjacielskich obozach jednemi zdążano drogami do celu, przyrzeczenia i słowa nie odpowiadały czynom, jakiemi się w kraju zajmowano. Zniecierpliwiony Kisiel długiem milczeniem senatorów pisze równocześnie list (13 maja) do Ossolińskiego i prosi go o instrukcyę co ma dalej czynić, gdyż termin zawieszenia broni za dni 11 upływa, a dotąd nic nie postanowiono i „aniśmy na wojnę, ani na traktaty gotowi". „Posłać do nich teraz starając się o *dilacią nec decet, nec expedit*, miasto jakiego środka byłoby to *extremum*, i trudno temu wyperswadować, który już na koniu siedzi, zwłoczyć sobą nie dadzą i już niedarmo czuby podnoszą" [1].

Kisiel wyczekując decyzyi korony wierzył, iż tylko na drodze wojny można z Chmielnickim traktować i za przedłużeniem zawieszenia broni nie był i jej sobie nie życzył, kiedy Ossoliński widząc, że w tak krótkim czasie wojska nie zbierze, a Chmielnicki obietnicami już się ugłaskać nie da, pisze list do Wojewody, aby się starał wstrętny mu termin komisyi ugodowej przewlec i rozejm do 1 lipca przedłużyć posyłając Kisielowi list od króla w tej sprawie do Chmielnickiego. Kisiel liczył na to, iż wśród słabej nadziei dojścia z Chmielem do końca, Korona dążyć będzie do wojny i pomnożenia sił wojska i nie rozstawał się z myślą buntowania Kozaków przeciw Chmielnickiemu, w czem mu Śmiarowski dotąd w Czehrynie zatrzymywany dzielnie dopomagał. Domyślając się, że list króla na jego ręce do Chmielnickiego przesłany, nowemi obietnicami i łaską, spodziewaną z Kozakami ugodę do skutku przyprowadzić pragnie, zatrzymał pismo królewskie, i pisze do Chmielnickiego sam, ukrywając pilnie przed nim fortel, jakiego użył w liście pisanym równocześnie do jego pułkowników (d. 18 maja). „Taka jest wiadomość — pisze Kisiel do pułkowników zaporoskich — że pan hetman wasz, tureckiemu Carowi przez list swój sekretny miał się poddać, ziemię wszystkich nas przyrodzoną chrześcijańską, w której my się rodzili, obiecując państwu bisurmańskiemu, ażeby car turecki Ordzie i Baszy sylistryjskiemu nas kazał wojować... Czemuż tej ojczyźnie, która wszystkich nas karmi mlekiem piersi swoich,

[1] Grabowski. — Spominki ojczyste T. II.

za mleko żółć ma być?[1] Wzywa Kozaków aby Chmielnickiego, który ich zaprzedał bisurmanowi, pociągnęli do odpowiedzialności. Biedny Śmiarowski zdradzony przez jednego z pułkowników, którego ująć pragnął przeciw Chmielnickiemu padł ofiarą doraźnego sądu i został ścięty. Potajemne knowania króla, Ossolińskiego i Kisiela, aby zbuntowawszy Kozaków użyć ich przeciw Chmielnickiemu spełzły na niczem i miały ten skutek, iż Chmielnicki przykładem Śmiarowskiego o faktycznych spisku usiłowaniach przekonany, tem dziksza zemstą odwetu pałał. O spodziewanem zaś ukończeniu traktatów mowy być nie mogło, Kisiel bowiem sam — jak pisze Obuchowicz, podkomorzy i kolega komisarski — mając jawne dowody nieprzyjacielskich Chmielnickiego zamiarów, retyrował z Huszczy za Horyń do Tajkur, skąd pisze list (25 maja) do Ossolińskiego, iż bardzo chory, do swoich popielisk między Łuck a Włodzimierz wieść się każe, tam z panem podkomorzym (Obuchowiczem) ostatniej rezolucyi od króla oczekiwać będzie, lecz nadziei traktatów nie ma żadnych, chyba stanąwszy potęgą w oczy nieprzyjacielowi[2].

Król w Warszawie tymczasem odprawiał gody weselne ze swoją bratową, który to związek za inicyatywą Ossolińskiego od wszystkich senatorów uzyskał aprobatę; po godach nastąpiły obrady wezwanych na konsultacyę senatorów z królem, od 1 do 7 czerwca trwające. Przedniejsze tej konsulacyi punkta były: 1) czy król swoją osobą ma jechać na pole walki, i jakby go zabezpieczyć?, na co wszyscy się zgodzili i króla o to błagali; 2) czy wszyscy pospolitem ruszeniem mieli dać odpór Kozakom, na co wielu znowu nie pozwalało, a drudzy nawet za złe mieli; 3) czyli przed czyli po wyjeździe króla pospolite ruszenie wydać. Czytano listy, między innemi od Kisiela, nie czyniące nadziei pokoju, i od Śmiarowskiego, donoszące, iż pokoju faktycznie nie będzie. Zgodzono się więc nie bez sporu i hałasów i na pospolite ruszenie i na trzecie wici i na wymarsz króla na pole bitwy, za czem Leszczyński najgoręcej przemawiał, krytykując dotychczasową politykę Ossolińskiego, skąd powstała nowa parlamentarna wojna, którą obecność króla szczęśliwie zażegnała. Kiedy nadeszła wiadomość do senatu o zamordowaniu Śmiarowskiego powstało oburzenie nie do opisania i miasto zwró-

[1] Tamże.

[2] List Kisiela do Ossolińskiego (25 maja) — Michałowski, Księga...

cić się na Ossolińskiego, jako właściwego sprawcę tych nieszczęść, aby snać nie obrazić króla podnieśli senatorzy głos na nieobecnego Kisiela zadając mu zdradę. Król powstał w obronie i Kisiela i przytomnych na zgromadzeniu doradzców, i burzę uciszył. Przystąpiono do ściślejszych obrad nad wyprawą króla i postanowiono aby na czele wojewódzkiego i zaciężnego żołnierza do boju wyruszył wydając równocześnie rozkaz regimentarzom założenia obozu pod Konstantynowem. Powolne zbieranie się zaciągów było przyczyną, że król dopiero 24 czerwca wyruszył i 3-go lipca stanął w Lublinie, przyjęty od kanclerza koronnego, jako starosty tego miejsca. Szczęśliwe harce pojedyńczych oddziałów: pułkownika Suchodolskiego pod Lulzenicami, Lanckorońskiego pod Ostropolem, Krzysztofa Przyjemskiego pod Zwiahlem przeciwko Kozakom, pomyślnie wróżyły wojskom, które król prowadził. Firlej z Lanckorońskim pod Zbarażem w 6.000, Wiśniowiecki opodal w 3.000 żołnierza wyczekiwali dalszych posiłków. Ale niebawem poczęła gwiazda nadziei blednąć, spodziewane powodzenie ustąpiło miejsca trwodze, Chmielnicki bowiem z ogromnemi siłami, 200.000 Kozaków i 100.000 ordy posuwał się z Zaporoża, Firlej i Lanckoroński po zajęciu Konstantynowa przez Kozaków podstąpili pod Zbaraż (d. 30 czerwca), gdzie się i Wiśniowiecki do wojska przyłączył. Obrona Zbaraża, której duszą był dzielny Jeremi, trwająca od 1-go lipca do 15 sierpnia, w którym to czasie Chmielnicki jedenaście srogich szturmów przypuścił, należy bez wątpienia do najpiękniejszych kart waleczności polskiej.

Wypadki jakie na teatrze wojny później zaszły, Kisiel obozujący z wojskiem litewskiem w Gnojnie intuicyjnie przewidział. Dowodem list (3 lipca), który pisze do podkanclerzego Kazimierza Leona Sapiehy, który w głównym ekscerpcie w Michałowskiego „Księdze pamiętniczej“ jest drukowany, z opuszczeniem początku i końca, z fałszywą datą i z fałszywym nazwiskiem adresata [1]. List ten nader ważny, wyświeca nam trzeźwy i strategicznie uzdolniony rozum wojewody. Od chwili niedoszłych z Chmielnickim traktatów dążył Kisiel usilnie i nalegał na koronę, aby obmyśliła dostateczne

[1] Rękopis Bibl. Jagiell. l. 3573 zawiera kopię całego listu z datą 3 lipca z Gnojna do podkanclerzego Kazimierza Leona Księcia Sapiehy.

obronne środki, pisał w tej sprawie i do samego króla po Wielkiej Nocy, aby się szlachta i żołnierz zaciężny zbroili. Lecz bracia szlachta nie chcieli i sami ratować, i na żołnierza łożyć, i pospolitego ruszenia nakazać, jakkolwiek król zagrożony we własnej osobie upominał: „nie chcecie dać pieniędzy na żołnierza, wsiadajcie sami na koń ze mną, brońcie dostojeństwa mego i ojczyzny swej". Tak nakazywała powinność i honor szlachecki. Lecz nie stawiwszy ani wojska zaciężnego, ani samych siebie, przyszło do tego, że wojsko koronne, bez bitwy, liczebnie slabsze, zewsząd ustępuje i teraz kiedy już pół Rzeczypospolitej zginęło, kiedy o ostatek idzie i o Koronę samą, jest tylko 9—10.000 wojska. Z czem więc osiąść w okopanym obozie? może zwieść bitwę i stawić honor oręża, już tak sponiewieranego, i króla i ojczyznę na kartę szczęścia? Nieprzyjaciel zwycięski albo teraz nastąpi i zmusi do bitwy — wtedy wojsko ustępując puści nieprzyjaciela we wnętrzności ojczyzny; albo garstka żołnierzy w okopie osiędzie i nieprzyjaciel ich opasze — a wtedy wszystko przepadło, gdyż posiłki, gdyby i ofiarnością kraju zebrane, nie dojdą. Połowa wojska, które było w kompucie, niewiadomo gdzie jest, woluntaryusze wałęsając się niszczą włości, których kozacy jeszcze nie wyniszczyli. Miasto więc szukać siły orężnej, któraby nie zawiodła, sposobić posiłki, któreby ojczyznę w tak ciężkim razie ratowały, silą sobie senatorowie głowy, na kogoby zrzucić winę. Jedni krzyczą: Pan Wojewoda kijowski upewniał Rzpltę pokojem, drudzy: Ossoliński nie dopuścił pospolitego ruszenia, inni króla winują, że kraj dał obronę, a obrony tej nie widać. „Ja — pisze Kisiel — z kolegami memi dawałem z Huszczy zaraz z pod Kijowa po Pereslawskiej transakcyi znać *de aperta hostilitate*, o konspiraciej i praktykach Chmielnickiego, gdyż my komisarze byliśmy bliżej tego, co się stało Śmiarowskiemu. Ustawicznie pisałem, że lubo *video rationes et modos* nakłaniać *rebellem* do traktatów, ale że się ubezpieczać nie potrzeba, a potężne wojsko gotować, bo mała nadzieja, a wielka *perfidia* tego zdrajcy. Lecz *prodeant in medium* wszystkie listy moje com pisał. Teraz na stronę wszystko! teraz przyjdzie obierać: albo bitwę zwieść, nie czekając posiłków, albo okopawszy się czekać na posiłki, co zarówno niebezpieczne; albo jeżeli nieprzyjaciel ruszywszy się z potęgą następować będzie, ustępować zlekka, żeby i posiłki mogły, mając

w czele wojsko swoje, przychodzić, i to szczupłe wojsko nie wpadło w rezolucyą zwiedzenia bitwy bez posiłków, co mi się zda być *consultissimum*; przytem zaraz cokolwiek jest ludzi, dniem i nocą do wojska posyłać. Cokolwiek tedy jest, rzucić wprzód dla wojska, a ostatnie siły Rzeczypospolitej trzeciemi wiciami ruszyć, choćby pod Sokal, albo gdziekolwiek przy Bugu, a nie dalej stanąć[1]".

W takich wyż skreślonych warunkach odebrano 17 lipca wiadomość, że regimentarze i książe Wiśniowiecki zostali pod Zbarażem oblężeni przez wszystkie siły Chmielnickiego. Król za poradą Ossolińskiego uparł się iść na odsiecz mając 15.000 wojska, senatorowie z poważną miną i z ciężkiem sercem jechali za nim, jakkolwiek pod Toporowem przybył do obozu króla Skrzetuski od oblężonych dając znać, że tylko kilka tysięcy Ordy przy Kozakach. Dnia 15 sierpnia zdążał król chcąc się wpierw połączyć z regimentarzami pod Zborów, w przeprawie jednak pod Strypą zszedł się oko w oko z dwoma oddziałami Tatarów po 50.000. Wszczęła się walka rozpaczliwa; wojsko i król ze wszystkich stron w ogniu, odwrót był niemożebny, bitwa przegrana. Król przez całą noc nie spał, słysząc głosy jakoby z obozu, uciekł zapaliwszy cztery pochodnie, objeżdżał cmentarzysko polskiego wojska wołając: „Jestem ja, nie bójcie się, raczej tu polegnę, niżeli żebym miał uciekać[2]". Nocą nadciągnął i Chmielnicki w 150.000 żołnierza zostawiwszy 50.000 załogą pod Zborowem i przypuścił szturm na obóz króla Ossolińskiemu przyszła myśl zawiązania układów z hanem, o czem dowiedziawszy się Chmielnicki wstąpił natychmiast pod buńczuki tatarskie i łącznie z hanem wysłali list do króla, który po 4-godzinnej morderczej walce prosił równocześnie hana o wstrzymanie dalszej walki, a Chmielnickiego o podanie żądań swoich na piśmie. Suplika i punkta Chmielnickiego okrom dawniejszych żądań, zawierały jeszcze dodatki, aby Kozacy po obu stronach Dniepru mieszkać mogli.

Ossolińskiemu chodziło teraz o to tylko, aby punkta traktatu którego był sprawcą, ułożyć w formie jak najmniej kompromitującej króla, siebie i ojczyznę. Powszechna żałoba i oburzenie w kraju

---

[1] Rękopis Bibl. Jagiell. p. l. 3.573.
[2] Radziwiłł. Pamiętniki.

piętnowały zaszłe wypadki klęsk, zdradą — i jak pisze Adersbach -- na dnie tej całej sprawy leżała jakaś niedocieczona tajemnica [1].

W Warszawie na wiadomość o zawartym pokoju zaczęły się tworzyć stronnictwa. Ossoliński ze swojem szczupłem stronnictwem był w największych opałach, wyglądano rychłego sejmu, w nadziei, iż ten, hańbiących traktatów zborowskich nie potwierdzi, na które Chmielnicki z Kozakami, nie ruszając się z zajętego stanowiska, czekał.

Kiedy król Jan Kazimierz w pochodzie z wojskiem spieszył na odsiecz oblężonym pod Zbarażem, siedział Kisiel w ocalonej jeszcze majętności swej Gnojnie, wyczekiwał instrukcyi z kraju, wysyłając chorągwie swojego województwa naprzód za królem, za którym i sam później podążył. Niepewny życia, w skołatanem — jak pisał — zdrowiu, wśród niedogasłych jeszcze ruin majątków swoich znalazł się teraz sam z bezowocnym sukcesem pracy swej, sponiewierany, smutny, zamyślony nad przyszłością własną, rodziny i ojczyzny. Niezwykły ton lamentujący u energicznego zazwyczaj wojewody, pewne jakieś zwątpienie i pognębienie moralne, tkwią w słowach Kisiela, które kreśli do podkanclerzego Kazimierza Sapiehy. „Straciłem zdrowie y substancyą ojczyźnie służąc, teraz po cudzych tułam się domach, nie mając swego. W Ukrainie sto kilkadziesiąt tysięcy straciłem, z Huszczy musiałem ustąpić, pod Włodzimierzem wszystko popalono. *Cum tota calamitosa familia miserae sortis Senator*, jako cygan jaki koczuję. Nie tom ja sobie obiecywał po łasce J. Król. Mości za moje wierne usługi i gorliwe. Dano mi Czerkasy, biorą Bohusław, cóżem wysłużył? Kijów i ten w cudzych rękach, co za konsolacya. Nadzieją żyć trudno, kiedy *ad praesens* nic nie mam, w Kobryniu com miał wziąć y to ekonomowie J. Król. Mości rozmaicie przywłaszczyli sobie, a co mi się trochę zostało, tym żyłem dotychczas, nie mając grosza jednego intraty mojej y zaciągnąłem ludzi, którzy iuż w obozie za móy żołd Panu y ojczyźnie służą... Czas krótki iuż pokaże, że albo użałuje się Pan Bóg nad nami wygnańcami, albo tyż *sic merentibus*

[1] Urkunden und Actenstücke zur Gesch. d. Kurfürsten Fr. Wilh. v. Brandenburg (obacz Dr. Kubala: Jerzy Ossoliński, t. II.

delictis nostris y zdrowie nasze weźmie nieprzyjaciel“ [1]. W tym pognębionym stanie, niedowierzający własnym siłom, wyruszył jeszcze za królem, był świadkiem klęski i króla i wojska pod Zborowem i nowych traktatów z Chmielnickim, należał jeszcze zawsze do rzędu doradzców korony sponiewieranej — lecz ani już tej siły rozumu, ani tej tęgości myśli w skołatanej głowie, ani zapału w sercu nie było.

Do tej to epoki moralnego upadku i prostracyi ducha należy testament Kisiela, którego częściowy ale autentyczny odpis z ksiąg grodzkich zamku włodzimirskiego przytaczam, prostując przez to mylne po części szczegóły w Niesieckim, Okolskim i Jerliczu o tym dokumencie podane: [2].

„Roku tysiąc sześćset pięćdziesiąt trzeciego, miesiąca Julii dwudziestego czwartego dnia. Na urzędzie grodzkim w zamku jego Królewskiej Mości Włodzimierskim, przede mną Maksymilianem Wereszczaką, namiestnikiem natenczas burgrabstwa włodzimierskiego i księgami niniejszemi grodzkiemi starościńskiemi: Stanąwszy oczewisto urodzony pan Jan Sosnicki sługa Jaśnie wielmożnej jejmości pani Anastazyi Krystyny z Nowosiołek Kisielowej wojewodzinej kijowskiej, ekstrakt testamentu Jaśnie Wiel. niegdy Jegomości Pana Adama z Brusiłowa Kisiela wojewody i generała ziem kijowskich, tłumackiego, nosowskiego etc. starosty, z ksiąg grodzkich brzeskich *authentice* wyjęty, dla wpisania do ksiąg niniejszych grodzkich włodzimierskich, imieniem tejże pomienionej paniej wojewodzinej kijowskiej pani swojej *per oblatam* podał, prosząc aby do akt niniejszych przyjęty i wpisany był, który tak się w sobie ma wpisując w księgi słowo do słowa:

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Żyjąc na tym doczesnym, pełnym wszelakich odmienności świecie, pielgrzymujemy do wiecznej ojczyzny, i jako żeglarze na burzliwem żeglując morzu, do jednegoż wszyscy śmierci płyniemy portu, którego dopłynąwszy bierze każdy według dzieł i zasług swoich od sprawiedliwego miłosierdnego Pana i Twórcy swego nagrodę. Jako tedy nic pewniejszego nad śmierć, tak nic wątpliwszego nad żywot w każdym

[1] Ręk. Bibl. Jagiell. l. 3573.

[2] Wypis testamentu miałem ze zbioru Żegoty Paulego.

momencie śmierci podległy ~~być zważając, aby~~ ta ostatnia godzina bez przystojnego rozporządzenia sumnienia i domu nie pościgneła: Ja Adam z Brusiłowa Kisiel wojewoda, generał ziem kijowskich, tłumacki, nosowski starosta, a przed Majestatem Boga mojego proch niegodny, najmniejszy *et peccatorum peccator maximus*, najprzód *profiteor* i deklaruję, iż jakom lat pięćdziesiąt i trzy wieku mojego, którego mi pozwolił Pan Bóg, żyłem *in orthodoxa, avita, catholica religione* wschodniej świętej Cerkwi, Bożej matki mojej, w której od lat sześciuset nieodmiennie zawsze przodkowie moi zostawali i teraz do ostatniego tchnienia mego chcę zostawać, i mam nadzieję i wiarę zupełną w miłosierdziu Pana mojego, że ta wiara święta, w której tak wielu wybranych Bożych i męczenników świętych podobało się Panu Bogu zesłać, i mnie przed Majestatem Jego świętym, byle grzechy moje niezliczone miłosierdziem Jego świętem (w których się usprawiedliwić grzesznemu rzecz jest niepodobna) ogarnione były. W czem na pomoc wzywam i chcę mieć niewinną Mękę Pana Zbawiciela mego i przenajdroższą Krew Jego świętą, wylaną na krzyżu za grzechy nas wszystkich, a przytem modlitwy przenajświętszej, przeczystej Boga-Rodzicy, Matki Jego i świętych wschodnich i zachodnich, którzy jednę być Cerkiew świętą Bożą wyznawając od samego Chrystusa Pana ufundowaną, za nią krwią swoją pieczętowali. Niezgody wszystkie i kontrowersye, jakom zawsze miał za próżne i Majestat Boży urażające, między tymi, którzy jedne *principia*, jednego fundatora Chrystusa Pana naszego mamy, tak i teraz na ostatnim punkcie żywota mojego *excludo*; a moje niegodne *studia*, które zawsze były wierne do uspokojenia *gentis et religionis*, a zatem i ojczyzny, i moje wszystkie *tot passiones et jacturas* zdrowia i fortun z tej okazyi podjęte rzucam pod nogi Boskiego Majestatu, przed którym wszystkie skrytości są odkryte, a każdy *strictam rationem* czynów i dzieł swoich oddawać będzie. Odpuszczam przytem każdemu, cokolwiek mnie w niewinności mojej obeszło, zawiści i nienawiści i wiernych w ojczyźnie mojej krwawych i pracowitych zasług moich detraktacye.

Zaczynam przytem od ubogiego i wyniszczonego przez nieprzyjaciela domu mojego, i czynię rozporządzenie takie: *Primum debeo* po Bogu i rodzicach moich już do chwały Jego świętej powołanych, *vitae sociae* z którą przez wolą Bożą i najświętszy Sa-

krament zprzężony nienaruszenie, za łaską Jego świętą przeżyłem lat dwadzieścia i sześć, i lubo za grzechy *fructu matrimonii privatus* jestem, świętobliwej pobożności miłości i usług doznałem małżonki mojej, jejmości paniej Anastazyjej Krystyny z Nowosiołek, tedy nagradzając wiek ze mną strawiony, cokolwiek mam dóbr dziedzicznych moich w województwie wołyńskiem, tak łuckim jako włodzimirskim powieciech, nic nie ekscypując, na wszystkich dożywotne *dominium post fata mea*, póko jej Pan Bóg przedłuży wieku daję, daruję i zapisuję, i cokolwiek bym z tychże dóbr moich pomienionych dziedzicznych, miał komu albo tymże testamentem moim, albo osobliwemi zapisami memi dać, darować, summami onerować, to wszystko aż *post fata*, po dożywociu Jej Mości, ma mieć swój skutek a dożywociu Jej Mości nic nie derogować. A że *expressa magis docent*, tedy te dobra moje mianuję: Zamek i miasto Huszcza *cum attinentiis*, folwark Woskodawy i Mniszyn *cum attinentiis*, na których osobliwy zapis ma małżonka moja i wniesienia sumy swojej własnej dziewięćdziesiąt tysięcy złotych polskich, zamek i folwark Gnujno *cum attinentiis*, dwór i miasteczko Nowy Brusiłów z folwarkiem Tumin i Hubin, dwór i folwark Koilno, dwór i folwark Swojczów z Wólką, zamek i folwark Dorohynicze, dwór i folwark Niżkinicze. Rzeczy zaś moje ruchome wszystkie i cokolwiek w szkatule mojej zostaje to wszystko daję, daruję tejże małżonce mojej, żadnej rzeczy nie ujmując, ani ekscypując, cokolwiek jedno ruchomą rzeczą we złocie, srebrze, szatach, rynsztunkach, gumnach, stadach, bydłach, ochędóstwie i domowstwie nazwać się i najdować może; to wszystko wiecznemi czasy oddaję i daruję.

Córce zaś wielkiej pamięci rodzonego brata mojego, który miłość swoję ku ojczyźnie i pamięć a sławę domu swego krwią zapieczętował, Pana Mikołaja z Brusiłowa Kisiela starosty czerkaskiego Helenie Hilaryej Kisielównie Stępkowskiej starościnej włodzimirskiej, oddawszy jej Ojczyznę w bełzkiej ziemi Switazow z Horbkowem, a w powiecie włodzimirskim Łaskow i Oranie i przystojną stanowi jej dawszy wyprawę, teraz tym testamentem moim daję i daruję, a summę ośmdziesiąt tysięcy i półtora, którą mam u Jaśnie oświeconych książąt Jchmościów Dymitra i Konstantego Wiszniowieckich i majętności w tej sumie w posesyi mojej będące Wojkowicze, Jakowicze, Chworostow, Suchodoły, Dziegciow,

Hińszczyznę wespół z tą sumą *ex nunc* rezygnuję tak, że po śmierci mojej zaraz, synowicy mojej pomienionej paniej starościnej włodzimierskiej do possesyej oddaję: to samo warując aby przyjaciele i słudzy moi, każdy roku swego, iż te dobra są na rok arendowane, dotrzymał według skryptów moich, i krescencyę swoję aby zebrali a *pro termino* gdy się rok wypełni synowica moja te dobra z małżonkiem swoim odebrawszy, onych zażywać i nimi dysponować będzie, aż do oddania sumy pomienionej od książąt Ichmościów.

Obracam zatem, (iż mi Pan Bóg wziął jednego synowca mego, Pana Włodzimierza z Brusiłowa Kisiela starostę nosowskiego) miłość moją *ad posteritatem* domu mojego, lubo do dalszych z tychże jednak liniej krwie idących, i takową czynię dystrybutę dóbr moich: Mikołajowi z Brusiłowa Kisielowi, podkomorzemu derbskiemu, *post fata* małżonki mojej, wiecznemi czasy zamek i miasto Hoszczę, przy Horyni rzece leżące, w powiecie Łuckim będące, dwór i folwark Woskodawy, dwór i folwark Mniszyn, sioło Terentiów, sioło Czudynkę, sioło Krasiłówkę i Włodzimierzówkę, dobra ode mnie za trzykroć sto tysięcy złotych nabyte od dziedziczki Huśćskiej kiężnej sołomereckiej, kasztelanowej smoleńskiej pokrewnej mej i od dziedzica Woskodawskiego pana Wilhorskiego. Panu Piotrowi z Brusiłowa Kisielowi, staroście wyszgradzkiemu zamek i miasteczko Wieprzyn, tudzież miasteczko Nowy Włodzimierz , sioło Wyrwę, sioło Makalewicze, sioło Kisielówkę, sioło Zarudnę, Ryżnio, Kuchary i Słobodę kucharską przy rzece Teterwi w województwie kijowskim będące, z rudniami, młynami i wszystkiemi przynależytościami, nic nie excypując, w zastawie natenczas będące u Wiel. JMości P. Maksymiliana Brzozowskiego, kasztelana kijowskiego w sześciudziesiąt tysięcy, a przez mię za sto tysięcy złotych kupione i nabyte od zeszłych, pana Jana Kmity Czerlenkowskiego i od pana Zmijowskiego, wiecznemi czasy daję daruje i zapisuję. Panu Jerzemu z Brusiłowa Kisielowi staroście sinickiemu, po dożywociu małżonki mojej. Swojczow i Wólkę, dobra przez mię od Pana Jełowickiego, podkomorzego krzemienieckiego nabyte daję, daruję wiecznie i zapisuję P. Wacławowi i p. Benedyktowi z Brusiłowa Kisielom *post fata* małżonki mojej, dwór i miasteczko Nowy Brusiłów, także dwór i folwark Tumin i sioło Hubin, dobra przez mię od p. Jełowickiego i od pana Adama Burkackiego nabyte daję, daruję i zapisuję wie-

cznemi czasy. Panu Heliaszowi z Brusiłowa Kisielowi i synowi pana stolnika Czernichowskiego *minorenni* dwór i folwark Koilno *post fata* małżonki mojej wiecznemi czasy daję daruję i zapisuję. Panu Jakubowi z Brusiłowa Kisielowi zamek i folwark Dorohynicze w zastawie u jego Mości p. Andrzeja Suchodolskiego, starosty lityńskiego szwagra mego w sumie trzydziestu tysięcy *post fata* małżonki mojej wiecznością daję, daruję i zapisuję. *Minorennibus* synom zeszłego z tego świata pana Aleksandra z Brus. Kisiela, podstolego Czernichowskiego, Władysławowi, Jarosławowi i trzeciemu p. stolnikowemu synowi Michałowi na Gnojnie, Mohylnie, Smolance i Turycy trzydzieści tysięcy złotych, to jest każdemu po dziesięciu tysięcy złotych daję, a wieczność *post fata* małżonki mojej, zamku Gnojeńskiego, i pomienionych przysiołków synowicy mojej paniej starościnej włodzimirskiej rezygnuję, które to trzydzieści tysięcy, pomienionym panom Kisielom z tychże dóbr oddać powinna będzie.

Długi zaś moje, które służąc J. Król. Mości i Rzeczypospolitej a majętności moje ukrainne zadnieprskie posiedzione mając od nieprzyjacioła takie są i póko mają być wypłacane wyrażam: W województwie czernichowskim potomkom p. Jerzego Ponętowskiego brata mojego, to jest panu Abramowi Łyczkowskiemu i siostrom jego na Chweskowce folwarku, pod Mianą zawisłe i należące *per jus cessum* na też Chweskówkę mają być uiszczone, także sierocie córce p. Zbigniewa Sarnowskiego sługi mego złotych ośmset, a Osypowiczom złotych dwanaścieset taż pomieniona małżonka moja, jako pani zostających dóbr ma i powinna będzie płacić, gdy przyjdzie do possesyi onych. Tudzież potomkom Tonsona gdańszczanina i drugich panów Gdańszczan w potażowych kontraktach, iż nie dosyć się im stało ode mnie w zawziętych niemałych sumach na legacyą moskiewską, gdy posłem wielkim byłem, które sumy z lasów miańskich i kisielgrodzkich miały być wypłacone towarami leśnemi, a potem nastąpiła wojna i te sumy na tych lasach nieuiszczone zostały. Tedy aby się każdemu dosyć stało, na trzy lata, rachując zaraz od oswobodzenia z rąk nieprzyjacielskich tych dóbr, lasy i budy moje należeć mają, aby się nic nie zostawało na sumieniu mojem, obliguję w tem sumienie tejże małżonki mojej, aby przez zupełne trzy lata, nic nie biorąc od tych pomienionych panów gdańszczan, dała za długi ich, wszystkie budy do

wyrobienia w tych majętnościach z obu stron rzeki Desny i panowie gdańszczanie sami między sobą *secundum quantitatem* sum swoich pomiarkować się mają. Monasterowi też Meżyhorskiemu kijowskiemu zostałem winien na skrypt *fidelis depositi* sześć tysięcy złotych, te mają być oddane od tejże pomienionej małżonki mojej i z tychże dóbr zadnieprskich. W województwe zaś kijowskiem sześćdziesiąt tysięcy zł. pol., wyderkafowej sumy mają ojcowie bractwa kijowskiego i kolegium tamtejszego, na zamku moim i miasteczku Nowosiołkach, Zamostyszczach, Bohuszówce, Dzwonie i Łobaczewszczyznie przez mię od małżonki mojej dóbr tych dziedziczki nabytych, te tymże ojcom, aby już żaden z potomków żadnego pretextu do tych dóbr moich nie miał — daję, daruję temuż bractwu *et collegio hac sola adjecta conditione*, iż co na tychże dobrach jest ode mnie przedtem zapisanej sumy, dwa czy trzy tysiące na cerkiew *Salvatoris* przy Monasterze pieczerskim będącą i na szpital świętych Antoniego i Teodozego pieczerskich zapisano, oddać i zapłacić mają. Sierotom zaś dzieciom nieboszczyka Andrzeja Chodyki wójta kijowskiego dwanaście tysięcy złotych naznaczyłem na ratuszu kijowskim, trzema ratami miały być uiszczone, z każdej raty po cztery tysiące i już te raty expirowały, jeśliby jednak przez nieprzyjacielską *detentionem* nie miały być wypłacone, *obligo* małżonkę moją, aby *residuitatem* nieoddanej sumy tym sierotom oddała i uiściła z tychże dóbr zadnieprskich... W województwie zaś wołyńskiem na Huszczy pani Oleszynej dwa tysiące i ojcu Łaskowi Czerczyckiemu złotych tysiąc pan podkomorzy już jako dziedzic tych dóbr zapłacić będzie powinien [1]. W powiecie zaś włodzimirskim, dwadzieścia tysięcy złotych panu Gabrielowi Farensbachowi na Ozdintyczach assekurowane zapisem moim, pan Wacław i pan Benedykt Kisielowie, którym te dobra wiecznością rezygnowałem zapłacić powinni będą; ciż kościołowi swojczowskiemu, zapisany ode mnie wyderkaf, zawsze na każdy rok płacić"... [2]

Rudolf Ottmann.

[1] Petronius Łaska zakonnik posyłany do Chmielnickiego od Kisiela w sprawie ugodowej w r. 1648.

[2] Reszty dokumentu brakuje.

Z ROCZNIKÓW MĘCZEŃSKICH W ANGLII.

Siew Prawdy, ziarno Boże, z wyroków Opatrzności coraz to na inne pada ziemskie ugory: jeżeli w jednem miejscu kąkol zagłuszy czystą pszenicę, jeśli gdzie nawalny grad wymłóci przed żniwem zboże, wnet na innem polu widnieją obietnice piękniejszego, stokrotnego plonu. Kościołowi Bożemu wśród prób najsroższych nigdy nie zabraknie podobnych pociech i dźwigni: i dziś oto, wśród upowszechniającego się ucisku, rosnącego indyferentyzmu lub otwartej bezbożności, błyskają w dali powody otuchy, pobudki nadziei. Gdy na wiejadle Boskiego żniwiarza odpadają jak plewy całe pokolenia i plemiona, dobre ziarno niespodzianie znów rozkrzewia się i kiełkuje gdzieindziej, aby napełniać wiarą, zasługami i modlitwą gumna Pańskie. Sąsiednie dwa wielkie państwa obraz ten nam dziś jaskrawo przedstawiają: starsza córka Kościoła, Francya, dokłada wszelkich starań, aby się odchrześcijanić, w Anglii natomiast uderza zwrot szczery ku Prawdzie. A zwrot to ciekawy, osobne, właściwe myślącemu narodowi noszący cechy. Głębokie, sumiennie podjęte studya historyczne, niewątpliwie w znacznej części przyczyniają się tam do obalenia dzieła buntu i pychy. Rysuje się gmach anglikanizmu, państwowa religia grozi ostatecznym upadkiem. Dlaczego? bo z pod kurzawy wieków wyłoniła się naga prawda, wydobyły istotne powody t. zw. reformacyi.

Rozkielznane osobiste namiętności Henryka VIII. wykopały przepaść, która się do dziś dnia nie zarównała. Wspomnieliśmy już nieraz na tem miejscu o różnych wydawnictwach, rzucających nowe światło na tę epokę przełomu. Do najważniejszych zaliczyć wypada listy i dokumenta do panowania Henryka VIII.,

ułożone i zkatalogowane przez p. Gairdner. Już się ósmy z kolei tom pokazał tej ciekawej publikacyi, a ogrom materyału zaledwie pozwolił do r. 1635 korespondencyę królewską doprowadzić. Najnowszy tom straszny zaiste przedstawia widok upadku zupełnego moralnej istoty Henryka VIII. Samowola i samowładza rozwija się w nim z szałem namiętnym, wszystko skruszyć, zgnieść pragnie wokoło, żadnego nie znosi oporu, i już pod naciskiem żelaznej jego woli przeczuć się daje owo unicestwienie męskiej odwagi, bohaterstwa i siły odpornej, które niebawem tak się miało rozszerzyć, iż badacz tej epoki przychodzi do powątpiewania azali ostała się naonczas w Anglii całej choćby najmniejsza odrobina cnoty, wiary lub miłości ojczyzny.

Wszystko to mogło było i w Polsce nastąpić, gdyby nie silniejsza nad ludzkie namiętności i względy uległość dla Rzymu. Kwestya zupełnie jednako została postawioną. Henryk VIII. chciał rozwodu z Katarzyną Aragońską, Zygmunt August pragnął się rozstać z Katarzyną Mantuańską. Pierwszy po długich latach szczęśliwego pożycia, nagłą dla Anny Boleyn zapłonąwszy miłością, chciał w powinowactwie upatrzeć powód zerwania małżeńskiego węzła z cnotliwą towarzyszką, która go licznem obdarzyła potomstwem, niestety! jednę tylko córkę zachowując przy życiu. Zygmunt August do niemłodej, chorej i smutnej oblubienicy odrazu uczuł wstręt niezwyciężony, żadna nadzieja potomstwa mu nigdy nie błysnęła, przy wielkiej dynastycznej potrzebie zostawienia syna i następcy. A jednak, choć w osobie Dudicza znaleść mógł nawet biskupa gotowego narzędziem królewskiem zostać, wolał skłonić głowę przed Commendoni'm, i z góry zapewnić: *Non si farà che non convenga* — nic się nie zrobi ani stanie, coby nie przystało katolickiemu panu katolickiego narodu. Wielką, objektywnie może zbyt wielką miłość Szujskiego dla ostatniej latorośli Jagiellońskiej *diva progenies* tem łacniej zrozumieć przychodzi, gdy się widzi innego króla w tych samych okolicznościach, poświęcającego cały swój naród dla osobistych widoków i szałów.

Patrzmy jak protestancki krytyk ocenia publikacyę Gairdner'a: „Nawet w tych nagich i gołosłownych dokumentach znajdują się ustępy, które wrażliwego człowieka do łez, gniewu lub wściekłości pobudzić mogą. Czytelnik rumieni się sam za siebie, czując jak go

opanowywa samowładza Henryka. Wywierać on musiał jakiś rodzaj złowrogiej na spółczesnych fascynacyi. Stoi jak fatum ciążące na reszcie świata. Okrutny, krwiożerczy, nieludzki do ostateczności, jako fatum wszystkich przed sobą uginał, żył jak mu się podobało, robił co mu się podobało. Nienawiść zaś jego ku osobie „rzymskiego biskupa, zwanego papieżem", dochodziła do furyi i monomanii".

Odmowa rozwodu z Katarzyną Aragońską, kiedy już był poślubił Annę Boleyn, ostatecznie pchnęła Henryka w otchłań, w którą się staczał. Zrazu dość naiwnie mniemał, iż zniewoli papieża Pawła III. do cofnięcia wyroku swego poprzednika i skasowania małżeństwa z Katarzyną. Gdy go ta nadzieja omyliła, wnet wszystkich zaniechał względów, rozdrażniony oporem duchowieństwa parafialnego, a i powszechnem mniemaniem, że zagarnięta przez króla samowolnie najwyższa nad kościołem w Anglii przewaga utrwalić się nie może, i tylko chwilowe stanowi przejście, postanowił udowodnić, że nie żartem odjął papieżowi supremacyę w sprawach duchownych i sam ją sobie przyznał. Używamy wyrazu supremacyi, ponieważ on stanowił zasadniczą sporną kwestyę, z powodu której odtąd przez dwa niemal wieki lać się miała potokami szlachetna krew męczeńska. Nawet najoddańsi królowi pochlebcy zachwiali się i odradzali mu kroków samowładnych. Daremnie! Kartuzi pierwsi śmiały postawili opór, pierwsi też życiem przypłacić go mieli. Wzdryga się ludzkość, ścina krew na okrutne katusze tych pierwszych męczenników, a jednak król wielką miał ochotę być sam świadkiem spełnienia wyroku. Raz puściwszy się na krwawe tory, już się dalej stacza po pochyłości: od najbliższych wymaga złożenia przysięgi, uznającej jego supremacyę kościelną. Odmawia kanclerz Sir Thomas Morus, i daje natychmiast głowę. Odmawia biskup Fisher, który podobnie jak nasz kardynał Ledóchowski w więzieniu odzian został rzymską purpurą, i także idzie na stracenie. Mnożą się ofiary. Anglia wygląda jak jaskinia, w której tygrys krwiożerczy się rozsiedlił. „Wstręt naszej dumie to przyznać, mówi wyż wspomniany krytyk, ale to panowanie dzikiego zwierza nad przodkami naszymi, im było śroższem i bezwzględniejszem, tem nikczemniejszą uległość sobie zdobywało. Po zgnieceniu biskupów i szlachty, uniwersytety skłoniły głowę; stały jeszcze klasztory i opactwa, ale i tym Henryk VIII. poradził, wszystko niszcząc i zmiatając. A je-

dną z najcharakterystyczniejszych cech Henryka w ciągu owych strasznych lat, to zachowanie jakiegoś religijnego *cant'u*, o prawach sumienia. Było to może dawnem nawyknieniem, może wmówił w siebie, iż poddani nie przestali wierzyć w jego cnotę i żarliwość religijną[1]".

Początkiem więc t. zw. reformacyi (co zaiste brzmi szyderczo), były w Anglii szały i zbrodnie Henryka VIII. Rozstroił on moralnie niewolą i przykładem poddanych, spodlił naród cały, a córka jego Elżbieta dokonać miała niekobiecą srogością ojcowskiego dzieła. Czy z nowatorskiego fanatyzmu? — bynajmniej. Niepodejrzany o stronność, bo zawzięty protestant Macaulay, tak określa charakter królowej, w sławnym o jej epoce *essay'u*: „To co było wielką plamą na charakterze Burghley'a (ministra królowej), strasznie kaziło też charakter Elżbiety. Zgadzająca się z Rzymskim kościołem, ilekroć ta zgoda była jej na rękę, zachowująca aż do ostatniej chwili życia przywiązanie do wielu nauk i obrządków tegoż kościoła, dręczyła go jednak prześladowaniem daleko jeszcze sroższem nad ucisk, który cierpieli protestanci pod panowaniem jej siostry Maryi. Mówię daleko jeszcze sroższem i ohydniejszem. Marya miała przynajmniej wymówkę w swym fanatyzmie. Niczego od innych nie wymagała dla swej religii, czegoby sama nie była zawsze gotową dla niej wycierpieć. Utrzymała się przy niej statecznie pod prześladowaniem. Była jak najgłębiej przekonaną o jej niezbędności do zbawienia. Elżbieta zaś była w przekonaniach zaledwie pół protestantką. Gdy interes jej wymagał, była i głosiła się katoliczką. I cóż powiedzieć na obronę monarchini, która była zarazem bezwyznaniową i nietolerantką?... Miała sposobność, jaka nigdy pomyślniej nie nadarzyła się żadnemu władcy, zaprowadzić wolność sumienia. Naród, który był gotów przyjąć tę lub ową religię, byłby doskonale umiał tolerować obiedwie. Na nieszczęście, z uszczerbkiem

[1] Rys ten, przez krytyka zaczerpnięty z korespondencyi królewskiej, udowadnia raz więcej, jak genialnie Szekspir znał bohaterów swych dramatów i w jak żywem podobieństwie ich wystawiał. *But conscience, conscience!* oto ciągle powtarzająca się obłudna, zwrotka w ustach Henryka VIII., grającego zresztą dość zatartą rolę w sztuce, której bohaterką raczej Katarzyna Aragońska, a tylko cztery akty szekspirowski mają zakrój, popierając słuszne mniemanie, iż wielki dramaturg angielski był katolikiem. Piąty akt, dorobiony na cześć Elżbiety, zupełnie innego jest pióra.

swej sławy i pokoju ojczyzny, przyjęła politykę, której skutki dotąd nam dolegają. Gdyby ją była odrzuciła, bylibyśmy uniknęli 250 lat prześladowań, zamieszek, spisków, rewolucyj, nieraz bliskiej zguby kraju, morderstw sądowych *(judicial murders)* i strasznych wojen domowych".

Tyle Macaulay. Ale jeśli Elżbietą nie powodował fanatyzm sekciarski, silniejsza bodaj kobieca, rodowa uraza, natchnęła ją krwawą do katolików nienawiścią. Skutkiem odmowy Rzymu w sprawie unieważnienia małżeństwa Henryka VIII. z Katarzyną Aragońską, związek z Anną Boleyn, pozostawał nielegalnym, a więc Elżbieta nie mogła być uważaną, ani za prawą córkę, ani za prawowitą dziedziczkę ojca. Stąd przez całe życie cierń dolegający jej dumie i wiodący ją na szlaki tyrańskiej samowładzy. Ktokolwiek był katolikiem, kto nie zerwał jedności z Rzymem, już przez to samo jej był podejrzanym. Przymusowe składanie przysięgi, dla katolików niemożliwej, skoro kobiecie przysądzała prawa, jednej tylko Stolicy Apostolskiej przyznane, bywało stałym probierzem dusz w tych srogich i okropnych czasach. Prześladowanie stało się tak ogólnem, tak strasznem, iż nie to nas dziwić powinno, iż prawdziwa wiara stopniowo niknęła w Anglii, ale raczej nad tem się zdumiewać można, iż jeszcze garstka katolików tam pozostała, uszła śmierci lub zupełnego zniszczenia. Niezmiernie trudno przychodzi oznaczyć liczebny stosunek obu wyznań za Elżbiety. Wśród historyków angielskich największa pod tym względem panuje niezgoda.

Rushton twierdzi, że w początkach jej panowania dwie trzecie były katolików, a jedna trzecia protestantów. Butler dowodzi, iż gdy Elżbieta umierała, już większość narodu była protestancką. Hallam mniema, iż już za Edwarda VI., a więc bezpośrednio po śmierci Henryka VIII. dwie trzecie były protestantów. Podług Lingarda, obie strony się równoważyły. Pono najpewniejszem będzie zdanie kardynała Bentivoglio: rachował on takich katolików, co byli gotowymi ponieść wszelką ofiarę za Kościół jako jedną trzydziestą część ludności, ale dodawał zarazem, iż gdyby Elżbieta powróciła na łono Kościoła, cztery piąte narodu byłoby bez skrupułu przyjęło napowrót religię katolicką. Macaulay temu zdaniu przyklaskuje dodając, że za Elżbiety naród był zajęty nagle wzrastającą potęgą,

wpływem i bogactwem kraju, sporów teologicznych nie rozumiał i nie troszczył się o nie, a na skinienie tronu gotów był protestantyzmowi dać stanowczą odprawę. Głęboko tkwiły jeszcze wszędzie katolickie pojęcia. Sama nawet Elżbieta, zawzięcie prześladująca katolików, opierała się silnie najważniejszym zasadom protestantyzmu. Srogo np. gromiła pastorów wchodzących w związki małżeńskie, i do końca jej panowania dzieci z podobnych urodzone związków, uważane były jako nieprawe. Dowodem to ówczesnego pomieszania wyobrażeń, zamętu sumień i rozstroju wewnętrznego. Na takim gruncie moralnym, nie dziw, iż wszystkie namiętności ludzkie przyjmowały się wybornie. Kto chciał żonę porzucić lub męża zdradzić, kto pragnął zemstę wywrzeć na nieprzyjacielu lub wzbogacić się jego łupem, kto pożądał łatwej grabieży lub szukał drogi prędkiego wyniesienia, znajdował otwarte zawsze szlaki, bądź odstępując religii, bądź zaciągając się w nieprzeliczone szeregi szpiegów, donosicieli, siepaczy zajętych ściganiem uciśnionych katolików.

Już Henryk VIII., zanim jeszcze ogłosił się w 1535 r. głową Kościoła, zaniepokoił na rok wcześniej sumienia swych poddanych nakazem przysięgania wierności dla króla i następców jego wedle ustanowionego przezeń porządku następstwa. W rocie owej przysięgi, obok tytułu ukochanej i prawowitej żony, nadanemu wyzywająco Annie Boleyn — wyraźne znalazło się żądanie „wiary, prawdy i uległości jedynie dla osoby monarszej, z wyłączeniem wszelkiej zagranicznej władzy lub obcego państwa“. Tkwiło tu ukryte lecz widoczne już żądło zaprzeczenia Papieżowi duchownej nad wiernymi przewagi. Fisher i Tomasz Morus tej właśnie przysięgi a zwłaszcza drugiej części złożyć nie chcieli. Następny parlament ogłosił Henryka VIII. głową Kościoła, dodając podstępnie: iż ktokolwiek jakiegobądź tytułu zaprzeczy królowi, królowej lub ich następcom, winien będzie zdrady.

Żyjąc w czasach prześladowania, łatwiej możemy zmierzyć podobieństwa zachodzące stale pomiędzy wrogami i ciemiężcami Kościoła w najróżniejszych epokach. Hasło pobrzmiewające podczas męki Zbawiciela pozostało wiecznem hasłem wszelkich prześladowców Zawsze chodzi o wybór między doczesną a boską władzą, między cesarzem a Bogiem; zawsze jednaka groźba na pierwszy plan występuje, pierwsze oskarżenie: „nie jesteście przyjaciołmi cesarza“.

Wieczne to wyrzucanie kwestyi religijnej z czysto duchownych torów na polityczne, od początku chrześcijaństwa aż po dni pruskiego *kulturkampfu* stale uderza. Nikt nie chce robić męczenników za wiarę, za abstrakcyjne pojęcia, każdy usiłuje swe gwałty i niesprawiedliwości upozorować racyą stanu, potrzebą bezpieczeństwa, obawą zdrady. Za prześladowczych też rządów Elżbiety żaden wyrok nie spadł na katolika, jako takiego, lecz wszystkie godziły w zdrajców stanu, przeniewierców ojczyźnie, groźnych spiskowców. Ściśle też tajono religijny charakter prześladowania w obec innych państw ościennych, a nawet zagranicznych posłów na dworze londyńskim. Z tego powodu zażywali posłowie większej religijnej swobody, zaczem pałace poszczególnych ambasad, a mianowicie hiszpańskiej, przez długie lata były ogniskiem wiary, gdzie katolicy przybywali się zagrzewać i pocieszać sakramentami św. Rząd królowej mniemał, iż potrafi zatrzeć ślady krwi męczeńskiej; nie udało mu się, gdyż krew męczeńska głośno woła, żyźnie działa, czego dowodem dzisiejszy ruch wydawniczy i zwrot religijny w Anglii.

Kraj to swobody, przystań gdzie wygnańcy i rozbitki całego świata bezpiecznie dziś zawijają. Tymczasem za dni Elżbiety jakiż tam był ucisk! Chcąc sobie zdać sprawę z ogólnego położenia, należy w właściwe ująć je ramy. Najprzód, mimo zewnętrznej świetności owej epoki, należy pamiętać jak wielkiem było jeszcze barbarzyństwo, jak niebywałą dzikość obyczajów. Mniemamy nieraz, iż Polska zacofaną była w pochodzie cywilizacyjnym reszty Europy. A jednak nigdy się u nas nie powtarzały tak krwawe, tak wstrętne sceny, jak te, które słusznie Macaulay napiętnował mianem: *judicial murder*. Katolików skazywano zawsze na śmierć przez powieszenie, z ćwiertowaniem pośmiertnem członków. Od dobrej woli kata, od ludzkości sędziego zależało doczekanie się zupełnego zgonu. Najczęściej spuszczano natychmiast ogłuszoną tylko ofiarę z szubienicy, oprawca rozpoczynał rzeźniczą robotę ćwiertowania, przyczem wracała z bólu świadomość i przytomność. Wyrwane wnętrzności rzucano na ogień rozniecony w pobliżu, serce ukazywano tłoczącej się gawiedzi, zaczem dopiero rozćwiertowane członki zabierano pośpiesznie, aby im nawet uczciwego nie sprawić pogrzebu. Takie okropności działy się w Anglii do początku minionego stulecia. O wolności sumienia nie było i mowy. Zaraz na wstępie

swego panowania Elżbieta odnowiła dawniejsze ojca swego ustawy, i nowe dodała.

Przedewszystkiem chcąc zerwać z Rzymem, nie uznającym jej prawego urodzenia i prawowitego następstwa, ustanowiła, aby każdy Anglik obejmujący jakąkolwiek godność, urząd czy beneficyum, a choćby nawet stopień naukowy, przysięgał na Ewangelię, że nie Papież lecz królowa jest głową kościoła angielskiego, i że ani Papież, ani rzymska stolica nie ma, ani mieć powinna żadnej władzy, przewagi ni juryzdykcyi nad tymże kościołem. Ktoby się od tej przysięgi chciał uchylić, za pierwszą odmową ma być pozbawiony wszelkiego urzędu i godności, majętność jego i dobra przechodzą na rzecz królowej, on sam na wieczne skazanym być winien uwięzienie. Gdyby jeszcze po trzech miesiącach wytrwał w odmowie, poniesie śmierć jako zdrajca.

Ktokolwiek pismem czy drukiem, słowem czy nauczaniem, bronić będzie duchownej władzy rzymskiego biskupa, niegdyś na te krainy rozciągnionej, ten za pierwszym razem utraci cały swój dobytek; za drugim wtrąconym zostanie do więzienia, za trzecim pójdzie na śmierć. Ktokolwiek zaś im w tem będzie pomocnym, i popierać ich się ośmieli, bądź w odmowie przysięgi, bądź w bronieniu władzy papieskiej, za pierwszym razem poniesie konfiskatę wszelkich dóbr swych i własności, za drugim na dożywotnie skazanym zostanie więzienie.

Następnie dodano i karę śmierci i utratę praw szlacheckich za dopomaganie szerzycielom potępionej nauki, zabroniono przyjmować bądź do domu, bądź do szkół publicznych nauczyciela, któryby poprzednio nie złożył przysięgi, uznającej supremacyę królowej w rzeczach duchownych i kościelnych.

Duchowni odtąd zaniechać mają wszelkich nabożeństw wedle dawnego rzymskiego obyczaju, przyjmując wyłącznie rytuał wspólnych modlitw, *Common prayers*, w angielskim języku. Kto zaś inaczej urząd kapłański sprawować będzie, za pierwszym razem pójdzie na pół roku do więzienia i całoroczny utraci dochód, za drugim razem na zawsze posiadanego beneficyum pozbawion zostanie i przez rok więzionym, za trzecim razem ma być na dożywotnie skazany więzienie.

Każdy świecki człowiek, któryby na inne jak oznaczone

wspólną książką modlitw nabożeństwo uczęszczał, inne przyjmował sakramenta, słuchał Mszy, lub innych rzymskich obrządków, zapłaci za pierwszym razem sto grzywien [1], za drugim czterysta grzywien, za trzecim na całe życie ma być zamkniętym w więzieniu.

Później, rosnąca zaciekłość Elżbiety o wiele jeszcze rozszerzyła owe krwawe ustawy. I tak ogłoszono zdrajcą stanu, winnym śmierci, każdego coby śmiał do Anglii przywieść jakiebądź pismo, bullę czy rozgrzeszenie papieskie, różańce zaś, obrazy, krzyże poświęcone i inne świętości ściągały na właściciela lub rozdawcę, utratę wszelkich dóbr i wieczyste więzienie. Emigranci nie wracający do kraju w sześć miesięcy po urzędowem zawezwaniu, narażali się tem samem na pewną konfiskatę majątku; drogie sprzęty i wszelkie ruchomości nie mogły już nawet wrócić w ręce ich potomków. Wszystkie dzierżawy, układy i akta zrobione dla ominięcia prawa i oszukania królowej, były uważane jako nieważne i nie prawomocne.

Później jeszcze ogłoszono za zdrajców stanu podlegających śmierci, spowiednika i spowiadającego się, rozgrzeszającego i rozgrzeszonego. Każdy świadomy tej zbrodni, a nie donoszący o niej do sądu, zasłuży sobie, choć nie na śmierć zdrajcy, to przynajmniej na utratę dóbr i dochodów, jako uczestniczący w zdradzie.

Katolików odmawiających udziału w nowatorskich nabożeństwach, nazywano odmowcami, r e k u z a n t a m i. Dekret parlamentu uchwalił niebawem, iż każdy r e k u z a n t mający więcej nad lat szesnaście, za każdy miesiąc niebywania w zborze zapłaci 20 funtów grzywien, składając kaucyę 200 funtów raz na zawsze, jako rękojmię swego dobrego prowadzenia się.

Nie mogący złożyć tak wielkiej opłaty, mają oddawać dwie trzecie swych dochodów, tak iż kto miał np. 300 funtów dochodu, opłacał nieuczestniczenie w zborze dwustu funtami, zachowując sto na utrzymanie całej rodziny.

Ktobykolwiek miał nauczyciela nie uczęszczającego do zboru, nie uprawnionego przez dyecezalnego anglikańskiego biskupa,

---

[1] Sto grzywien ówczesnej monety równało się 66 funtom szterlingom. *Przyp. autora.*

płacić musiał comiesięcznie dziesięć funtów kary. Nauczyciel zaś, mówiło prawo, ma być skazanym na rok cały więzienia, i przez resztę życia nigdzie mu nie wolno sprawować ani tego, ani też żadnego innego urzędu.

Każdy Jezuita, każdy ksiądz w zagranicznych angielskich seminaryach wykształcony, i w ogóle każdy kapłan katolicki, w czterdzieści dni po ferowaniu niniejszego wyroku ma opuścić ziemię angielską, i nie wolno mu wrócić, chyba za osobnem pozwoleniem królowej, i to pod zagrożeniem wszelkich kar wymierzonych na zdrajców.

Ktobykolwiek po upływie owych dni czterdziestu podejmował, utrzymywał i pocieszał takich Jezuitów lub księży, z świadomością ich kapłańskiego charakteru, podlegać będzie karze śmierci i utracie wszelkich dóbr i przywilejów, ponieważ udowodniono im zdradę stanu.

Nareszcie ci poddani królowej, którzy się kształcą lub dzieci swe wychowują w jakiemkolwiek zagranicznem kolegium jezuickiem czy innem, a nie wrócą natychmiast po ogłoszeniu niniejszej woli królowej, aby bezzwłocznie w ręce sądu i biskupa złożyć przysięgę, na supremacyę królewską, uznani będą podobnież za zdrajców podlegających tymże samym karom i konfiskatom.

Ktoby zaś wysyłał z kraju jakie fundusze na cele duchowne, zakładanie kolegiów lub na pomoc Jezuitom i kapłanom, podobnie wszystką swą własność na konfiskatę wystawi.

Za wysłanie studenta do kolegiów zagranicznych nałożono jednorazowy sztraf stu funtów. Za przekroczenie tego rozkazu czekało dożywotnie więzienie lub wygnanie z kraju.

Ale gdy i te wszystkie kary nie wystarczały zawziętości jednej strony, a nie mogły przełamać wytrwałości drugiej, — królowa nowem rozporządzeniem postanowiła: iżby wszyscy trwający w uporze rekuzanci, powrócili na miejsce właściwego swego pobytu, nie oddalając się nigdzie dalej jak na pięć mil angielskich, pod utratą wszelkiej własności.

Ostatecznie uogólniono wszystkie powyższe ustawy, raz jeszcze powtarzając iż ktokolwiek się uchyli od nabożeństwa protestanckiego przez trzy miesiące, kto słowem lub uczynkiem zaprzeczać będzie kościelnej władzy królowej, kto uczestniczyć się ośmieli w zebraniach religijnych obcego państwu obrządku, karany będzie wygna-

niem, więzieniem lub śmiercią. Później obostrzono jeszcze grzywny i kary. Rekuzant płacący dwadzieścia grzywien miesięcznie za niebywanie w zborze anglikańskim musiał składać dodatkową opłatę dziesięciu funtów za żonę i dzieci, i tyleż za czeladkę, skoro ta opór jego dzieliła. — Dzieci wychowane za granicą utracały prawo dziedziczenia majątku po rodzicach; spadek przechodził wtedy w ręce najbliższego krewnego, stosującego się do nowego porządku rzeczy i religii.

Łatwo zmierzyć, jak szerokie pole otwierało się temi ustawami prywacie, zemstom, niechęciom i podejrzeniom. Nieraz zrywały się rodzinne węzły, przyjaźń stygła, budziły się brzydkie namiętności i żądze. Ale obok tego lepsze dusze olbrzymiały i hartowały się jak w ogniu. Mimo gróźb śmierci, mimo ruiny materyalnej, nie brakło odważnych wyznawców wśród wiernych, ani żarliwych apostołów wśród kapłanów. Szeregi tychże odnawiały się w różnych kolegiach założonych, bądź w północnej Francyi, bądź w sąsiednich hiszpańskich Niderlandach. Saint Omer, Douai, Gand, Bruges, Rheims, Liège, i inne miasta, wyrosły na ogniska wygnanego z Anglii życia katolickiego. Powstawały tam klasztorne dla dziewic schronienia, mnożyły się seminarya, aby dostarczać misyonarzy nieszczęśliwej ojczyźnie. Seminarzyści kształcili się w myśli, że przyjdzie im niechybnie męczeńską w końcu zdobyć palmę. Kolegium rzymskie podobnież stały zastęp przyszłych męczenników wysyłało do Anglii. Św. Filip Nereusz ilekroć spotykał młodych angielskich kleryków, pozdrawiał ich wierszem rozpoczynającym hymn kościelny na uroczystość Świętych Młodzianków: *Salvete flores Martyrum!* Najznakomitszych apostołów, największych w tym prześwietnym poczcie męczenników dostarczyło Towarzystwo Jezusowe. Bywały chwile, w których przeszło stu Jezuitów pracowało pokryjomu na wyspie niegdyś wyspą świętych nazwanej, dziś wydanej na łup kacerstwa. A nieraz się zdarzało, iż cały ten poczet rycerski znajdował się bez wyjątku w więzieniu. Jakiem było ich życie w tych utrudnionych warunkach, opowiada nam wydawca monumentalnej publikacyi zatytułowanej: *Records of the English province of the Society of Jesus.* Archiwum głównego dziś na ziemi angielskiej kolegium jezuickiego w Stonyhurst, wśród wielu cennych dokumentów posiada i notatkę z r. 1616 p. t.

Modus vivendi hominum Societatis. Z tej luźnej kartki dowiadujemy się o trojakim sposobie życia angielskich misyonarzy, stosownie do potrzeb i okoliczności większych lub mniejszych niebezpieczeństw. Jedni wiodą życie zupełnie ustronne, ukryte, drudzy wciąż z miejsca na miejsce się przenoszą, trzecim nareszcie tak się składają warunki bytu, iż w względnej swobodzie mogą otwarcie zamieszkać, przyjmować u siebie lub odwiedzać wiernych potrzebujących duchownej posługi.

Najcięższem pono było życie tych, których konieczna ostrożność skazywała na przebywanie ukryte i zatajone. Umieszczano ich najczęściej na poddaszach lub najwyższych piętrach domu; nie mogli ani świecić w nocy, ani okien otwierać za dnia by nie zdradzić, iż ktokolwiek w ustronnej mieszka izdebce. Oltarz, stół do pisania i łóżko, oto jedyne sprzęty samotnej celi. Przechadzać się nawet po pokoju nie było bezpiecznem, aby stąpania jakie obce nie zasłyszało ucho. Bywały godziny, w których zgoła najmniejszym ruchem ani hałasem nie wypadało swej obecności zdradzać. Jeśli duchowna posługa zniewalała kapłana do chwilowego opuszczenia swej izdebki, musiał się przekradać w nocy, lub podczas wieczerzy czeladzi, wśród której nie rzadko trafiali się heretycy. Ale i katolickiej służbie nie zawsze zawierzano. Stąd kapłan chroniący się w domu, gdzie nieraz rodzina i czeladka kilkadziesiąt osób liczyła, przez całe tygodnie i miesiące zupełnie osamotnionym zostawał. Z wyjątkiem mszy św. i krótkiej chwili przed i po nabożeństwie, na które zawsze część domowników przybywała, ksiądz przez resztę dnia nikogo nie widział. Zaufana służąca przynosiła mu pożywienie i natychmiast się oddalała; czasem pani domu na chwilkę wpadła, albo które z dzieci dla rozrywki samotnika przyprowadzano. Był to tryb życia bardzo uciążliwy, mianowicie dla zakonników do wspólności modlitw i pracy przywykłych. Jednostajność więzienna, brak ruchu i większego urozmaicenia w zajęciach, rzadka sposobność spowiadania się lub pokrzepiania widokiem braci zakonnych, wszystko to składało się aby życie tych dobrowolnych pustelników uczynić ciężkiem i trudnem. Przeciwnie, wędrowni apostołowie, ustawicznie pieszo lub konno byli w ruchu. Mieli oni zawsze jeden przynajmniej dom w okolicy, gdzie wracali raz po raz spocząć i siły przez dni kilka odnowić. Tam też donoszono, ilekroć umierający potrzebował ostatnich

sakramentów św. lub dziecię nowonarodzone chrztu św. Coraz to pod innem nazwiskiem, w zmienionym stroju, śpieszyli z pociechą, z pomocą, z ziarnem prawdy i balsamem ukrzepienia. Tym czynnym apostołom największe zagrażały niebezpieczeństwa, ale też najobfitsze przypadało żniwo.

Trzeci sposób życia misyonarskiego opierał się na wyjątkowem położeniu pana domu, stanowiskiem lub życzliwością sąsiadów wzniesionem poniekąd ponad surowość prawa. Tam wśród ściśle katolickiego otoczenia względnej zażywać można było swobody, z upewnieniem, iż w razie nadciągającej burzy, na czas ostrzeżenie nadejdzie. W takich to miejscach zwykle przełożeni zamieszkiwali, ponieważ konieczną im była większa wolność i pewność ruchów. Atoli podobne bezpieczne schronienia należały do wyjątków, a z czasem stawały się coraz rzadszemi.

Wszelako, dodaje autor powyższej notatki, nigdy nie zabrakło biednej Anglii podobnych katolickich ognisk, gdzie kapłani schronić się i spocząć mogli. Nie były to zawsze domy najmożniejszych, ci bowiem mając więcej do stracenia, mniej też nieraz okazywali męstwa i śmiałości, chociaż w każdej warstwie społecznej znajdowały się wyjątki pełne poświęcenia. Osobnym pod tym względem blaskiem promienieje imię Bellamy. Rodzina ta przez długie lata prześladowania dawała najpewniejsze schronienie przybywającym z zagranicy misyonarzom. Każdy niemal kapłan za przyjazdem do Anglii tam pierwszego szukał przytułku i objaśnienia. Siepacze też rządowi czyli *pursuivant'y* stale mieli oko na domy należące do Bellamy'ch. Zaszczytna sława ich pobożnej gościnności utrwaliła się w notatce rządowej, w której na czele domów wskazanych na ciągłe rewizye wypisane są dwie południowe rezydencye starej pani Katarzyny Bellamy i jej syna Ryszarda. Z dokumentów spółczesnych widać dowodnie, i wielkie zaufanie kapłanów dla tej zacnej rodziny, i nawzajem serdeczną opieką, jaką ich otaczano. Gdy który, zgoniony pościgiem, zdrożony wędrówką, zmęczony trudami swego zawodu przybywał w te gościnne progi, przyjmowano go jak Bożego wysłańca, córki obmywały nogi apostolskie, sędziwa matka, syn z żoną i licznem potomstwem wyprzedzali się w czynnej posłudze. Znakomita matrona, która cnotą przewodniczyła całemu domowi, została w 1586 r. aresztowaną i uwięzioną w Towerze londyńskim.

Mimo wieku i styranego zdrowia, oddano ją na rozkaz przybocznej rady królowej w ręce zwykłej sprawiedliwości, „za podejmowanie zdrajców i księży". Oszczędził jej Pan publicznego stracenia, dozwolił uszczknąć wcześniej palmę męczeńską; umarła w więzieniu skutkiem niewygód i przykrości dłuższego pobytu w Towerze. Jeden z jej synów tamże wśród tortur mu zadanych życia dokonał, drugi publicznie został straconym za pomoc udzieloną kryjącym się w sąsiednim lesie katolickim młodzieńcom; trzeci przeszło sześć lat w więzieniu przesiedział, za słuchanie mszy św. Najstarszy Ryszard, który dzielił pobożne zachody matki, na sroższą od innych wystawion był próbę. Najmłodsza jego córka, Anna Bellamy, wtrącona do więzienia za wiarę, tamże przez jednego z najniegodziwszych prześladowców pozbawiona cnoty, i do rozpaczy przywiedziona, poślubioną została klucznikowi więziennemu, i zepsuta czy złamana na duchu, stała się odtąd w ręku siepaczy narzędziem ruiny dla domu swego; świadectwa jej szczegółowe przyprowadziły do zguby i rodzonego jej ojca, i tych ojców duchownych, którzy z niebezpieczeństwem życia do rodzicielskiego przybywali domu. Straszne są akta upamiętniające jej upadek i usystematyzowane donosy przeciw własnej krwi i rodzinie. Aresztowano natychmiast rodziców, braci i siostry nieszczęśliwej Anny, rozdzielając ich w trzech londyńskich więzieniach. Uprowadzono także z ich domu goszczącego tamże wówczas a sławnego z cnót i rzadkiego poetycznego talentu Jezuitę Ojca Southwell. Pobożny Ojciec poniósł śmierć męczeńską i cudami się wsławił. Ryszard Bellamy przez wyrodną córkę oskarżony długie wycierpiał więzienie. Później przeniósł się do Belgii, aby swobodniej odetchnąć religijnem życiem. Z możnego pana zeszedł na biednego wygnańca, mającego zaledwie szczupłe środki utrzymania, lecz srożej go zapewne bolała rana ojcowskiemu zadana sercu. Dwie siostry Anny, mimo nacisku i prześladowania wytrwały w wierze ojców, bracia ulegli, złamani na duchu. Po niejakim czasie zapiski sądowe wspominają, że „obydwaj chodzą do zboru, stosując się do nowego rzeczy porządku".

Bolesny to koniec, aleć z ludzką zgodny słabością na takie wystawianą próby. Nic straszniejszego nad akta sądowe i więzienne z owej epoki. Przy każdym wyroku skazującym na uwięzienie, stale znajdują się wyrazy *donec etc.* lub *quousque etc.* tj. dopóki, się

nie podda, lub tak długo, jak długo opór trwać będzie. To też nie brak zapisków dowodzących, iż ten spędził dwadzieścia cztery lata, tamten piętnaście, ten dziesięć lub znów przeszło dwadzieścia pozostał w więzieniu. Wyrok prawie nigdy nie ograniczał czasu, liczono zawsze na możliwe złamanie ducha i wyczerpanie sił moralnych przez długotrwałe cierpienia fizyczne w cuchnących lochach lub ciasnych i brudnych celach, lub w okrutnych torturach, jakiemi zasłynął londyński Tower.

Do najsroższych więzień należały mostowe kaźnie na rzece Ouse w mieście York. Dzieliły się one na dwa piętra: jedne na równi z rzeką, wilgotne i ciemne, drugie wyższe, zakratowane, skąd więźniowie mogli z przechodzącymi po moście zawiązywać rozmowę lub żebrać pomocy. Najgorszą była zależność od chciwości i osobistego usposobienia kluczników więziennych. Oni brali na siebie wyżywienie więźniów, czasem nawet ich umieszczenie w lepszych, wynajętych izdebkach. Stąd szło nieraz wyzyskiwanie na wielką skalę krewnych i bliskich więźnia, który mimo to o chlebie i wodzie był trzymany przez dozorcę więziennego. Do najliczniejszych i najdawniejszych więzień zaliczyć należy warowny zameczek w Wisbech. Pierwszy katolicki więzień, który tam został posłany, i 27 lat niewoli przepędził, był Jan Feckenham, zakonu św. Benedykta, ostatni opat Westminsteru. Później liczba uwięzionych tak wzrosła, iż samych Jezuitów i kapłanów bywało po kilkudziesięciu. Z czasem surowość początkowa zwolniała, dostęp do więźniów stał się łatwiejszym, potajemnie mogli nietylko Przenajświętszą sprawować Ofiarę, ale nawet duchowną czynić posługę swym spółwyznawcom. Przez jakiś czas więzienie w Wisbech było celem pielgrzymek dla katolików, którzy tłumnie przychodzili się spowiadać, zasilać sakramentami św. i budować widokiem świątobliwych wyznawców.

(C. d. n.).

KILKA UWAG O STYPENDYACH SZKOLNYCH.

Dobroczynność nie obcą jest naturze ludzkiej; widzimy jej ślady w świecie przedchrześcijańskim; nie potrzeba jednak długo dowodzić, że naprawdę rozwinęła ją dopiero miłość bliźniego chrześcijaństwem nakazana, a pomogły do tego nieraz i uczucia inne: np. miłość ojczyzny, miłość do miasta lub wsi ojczystej, i t. d. W czasach znacznej jeszcze ciemnoty umysłowej, w czasach pierwszej części wieków średnich, we wszystkich umysłach wyższych panowała silna żądza rozpowszechniania oświaty, rozpraszania umysłowej ciemnoty, przysparzania społeczeństwu ludzi wykształconych. Otwierano szkoły a w nich hojnie fundowano bursy dla młodzieży ubogiej, która też bardzo się do nich garnęła, tem więcej, że Kościół daleko demokratyczniejszy, niż sobie ogólnie wystawiają, otwierał ludziom ubogim i nisko urodzonym drogę do zaszczytów, nawet świeckich.

Co się działo wszędzie, a także i u nas w średnich wiekach, w pewnym sensie powtarza się u nas obecnie. Od czasu jak przebudziliśmy się z umysłowego snu saskich czasów, hasłem nietylko naszych mężów stanu, ale i całego społeczeństwa są szkoły. Nad szkołami pracowała i kom. eduk. i rząd W. Ks. Warszawskiego i rząd Król. Polsk. i margrabia Wielopolski i sejm nasz galicyjski. Czy zawsze pracowano dodatnio, czy zawsze szczęśliwie i korzystnie, pytanie to inne; ale co pewna, to, że pracowano szczerze i pieniędzy nie żałowano; a społeczeństwo pomagało w tej mierze jak umiało i jak mogło. Było ono zdania (kto wie czy absolutnie prawdziwego), że niedość szkołę urządzać, otwierać i w porządku utrzymywać, jeszcze należy wstęp do niej niezamożnym

ułatwiać. Zdawało się, iż przykład tylu maluczkich i nieznanych, którzy po twardo a ubogo przebytych naukach, zajmowali własną tylko energią i pracą zdobyte wysokie nieraz stanowiska, dostatecznie za tem przemawia; zdawało, iż młodzi zamożniejszej nigdy nie wystarczy na potrzebne w społeczeństwie stanowiska, albowiem zepsuta wygodą życia od młodu, wyjątkowo tylko do regularnej całego życia pracy nadaje się. Zdawało się wreszcie, że trudno majątku nie mającego obowiązkowego przeznaczenia piękniej użyć jak na wspomaganie w naukach ubogiej młodzieży, że trudno lepiej się krajowi zasłużyć, jak przysparzając mu pracowników w szkole biedy uformowanych, a więc do wytężonej pracy zdolnych.

Dołączywszy jeszcze wrodzoną nam bez wątpienia hojność, oto mamy powody, z których mogły w kraju tak biednym jak Galicya powstać tak ogromne fundacye stypendyjne. W r. 1884 stan czynny rozmaitych funduszów stypendyjnych w zawiadywaniu wydziału kr. zostających, nie mówiąc o innych, wynosił przeszło $2^1/_2$ mil. a w tymże roku wydział kr. udzielił z tychże funduszów stypendyów w kwocie 103.000 złr. w. a., a to 545 uczniom, czyli przeciętnie blisko po 200 złr. w. a. Wiemy dobrze, że ta liczba 545 rozkłada się nietylko na szkoły średnie, ale i na uniwersytety, i to nietylko krajowe, niemniej zdaje nam się ona aż nadto dostateczną. Stosownie do ludności naszego kraju, do jej stanu wyjątkowego, do sposobu zajęcia ludności, sądzę, a tego zdania jest wielu, iż w ogóle frekwencya po naszych gimnazyach jest prędzej za wielka, niż za mała. Liczba posad do rozdania w naszym kraju nie odpowiada wcale liczbie kształcącej się młodzieży; dziś już widzimy przepełnienie, cóż się stanie za lat kilkanaście, wszak koło 13.000 młodzieży do gimnazyów uczęszcza. Nie można zapewne nikomu bronić by kształcił się według swego upodobania a ze zdobytem wykształceniem jechał nawet i za granice kraju, jeśli w nim odpowiedniego zajęcia nie znajdzie, ale na prawdę, czy sądzimy, że szczodrobliwi zapisodawcy na to łożyli, by młodzież nasza uszczęśliwiała inne kraje swemi talentami naturalnemi i nabytemi?

Wolno zapewne każdemu obracać swe pieniądze jak mu się podoba, wolno i nadal fundować stypendya takie lub owakie. Nie powstanie nikomu w głowie, by fundusze stypendyalne mogły być kiedykolwiek, choć w części używane inaczej, jak według intencyi

zapisodawców, zwykle dokładnie w listach fundacyjnych oznaczonych. Nie mówi się więc o przeszłości, ale dla przyszłości, i warto się naprawdę zastanowić nad tem, czy korzystnem jest dla kraju dalsze stypendyów fundowanie.

Możnaby najprzód spytać, czy korzystnem jest dla oświaty? Zaprzeczyć trudno, że większość i to bardzo przeważna z pomiędzy stypendystów traktować musi naukę wedle znanego o niej wiersza Szylera: *Dem Einem ist sie die hohe, die himmlische Göttin dem Anderen, Eine tüchtige Kuh, die ihn mit Butter versorgt.* A potem to, co zdaje się na pierwszy rzut oka pewnem, i co wielu twierdzi, iż ci, którzy walczą z przeciwnościami i biedą za młodu dają większą gwarancyę pewnej tęgości charakteru i ciągłości w pracy, to jest prawdziwe do pewnego stopnia; ale i prawdziwe jest także do pewnego stopnia stare, łacińskie przysłowie: *Pauperies turpia cogitat;* rozumieć to należy jedynie o pokusach, na które biedny jest wystawiony, nie zaś o samem ubóstwie, które przez chrześcijaństwo uszlachetnionem zostało. Dalej, bez wątpienia nie dobry jest stan rzeczy, jeśli posady służby publicznej i prywatnej prawie tylko ubodzy zajmują, a lepiej jest jeśli i pewna część tych posad obsadzona jest synami zamożniejszych warstw. A któż im broni? zapyta kto, wszystkim pole otwarte. Zapewne, ale nadto wielkiego nacisku i natłoku pod tym względem tworzyć nie trzeba. Jeśli się go sztucznie wytwarza, to dwa skutki są do przewidzenia. Pierwszy, iż przed natłokiem kompetentów zamożniejsza część młodzieży się cofnie, tracąc nadzieję awansu, i do prywatnych zajęć samoistnych się zwróci; drugi, iż biedniejsi będą nie na równi ale łagodniej sądzeni. Rzecz prosta i zrozumiała; każdy profesor egzaminujący, niedługo się namyśli nim da zły stopień uczniowi, którego byt jest niezawisły, a namyśli się bardzo nim go da uczniowi, od którego promocyi zawisł los jego własny z losem jego matki, sióstr, braci. Do tego dodajemy jeszcze jedną właściwość, może słowiańską, w każdym razie polską. Już student, który dwie lub trzy klasy gimnazyalne ukończył, nigdy prawie do roli ni rzemiosła nie wraca — cóż dopiero ukończony gimnazyalista; można więc powiedzieć, że może ledwo pięć procent uczącej się a biedniejszej młodzieży do zajęć prywatnych, samoistnych się zwraca a cała reszta wygląda chleba od społeczeństwa w formie publicznych po-

sad. Nie ma zaś tych posad tyle, żeby w nich zmieścić choćby tylko samych maturzystów i słuchaczy uniwersyteckich, a cóż mówić o reszcie uczniów nauk nie kończących. Jestci wojsko, i wielu i użytecznie umieściby się tam mogło, ale cóż, kiedy wojsko to jakoś na nasze gusta chleb za twardy; zostawiamy ten chleb Niemcom, Czechom i Kroatom; naszej zaś młodzieży w wojsku, można powiedzieć, wcale nie ma, chyba o ile z musu. Do czegóż to wszystko prowadzi, powie czytelnik? Oto do konkluzyi, iż tworzenie dalsze funduszów stypendyalnych dla uczniów zwłaszcza szkół średnich, zdaniem naszem jest daleko mniej użyteczne, niż sobie to zapewne wyobraża większość wspaniałomyślnych fundatorów. Jeśli godną podziwu jest walka młodego chłopca z biedą i zdobywanie przez niego nie szturmem, ale, że tak powiem, regularnem oblężeniem stanowiska w społeczeństwie, to widok słabo uzdolnionego, albo słabo pilnego stypendysty, żebrzącego u profesorów znośnych stopni, by stypendyum nie utracić, zapewne nie jest *spectaculum deorum dignum*. Po jakiej stronie jest większość polskiej młodzieży, tego rozstrzygać nie będę, niech powiedzą ludzie fachowi. Ale to wiem, iż niesłychanie mniej jest stypendyów przystępnych dla ruskiej młodzieży niż dla polskiej, a czemuż ruska bierze w urzędach górę? W mowie posła Lenińskiego przeciw subwencyi dla internatu ruskiego OO. Zmartwychwstańców, podczas ostatniej sesyi, było wśród tylu przesad i sofizmatów, to co ks. Bismark nazywa *ein vernünftiger Kern*, był to ustęp, dowodzący że młodzież rachująca tylko na własną siłę, na hartowniejszych ludzi wyrasta.

Nikt naturalnie przepisywać nie może tym, co chcą z majątku swego dobrze czynić, w jaki sposób oni dobrze czynić mają; wszakże poradzić skromnie, choć nieproszonemu, wolno. *Przegląd powszechny*, do którego w tej chwili piszę, może najbardziej czytanym bywa przez tych, którzy dobrze czynić chcą a mogą. Może myśl, którą podaję spodoba się komu, może ktoś pierwszy krok uczyni w kierunku nowym, a zdaniem mojem, użytecznym. Myśl moja pewno nie nowa, a cóż jest nowego pod słońcem — ale uważam, oddawna nieporuszana.

Jeżeli powiem, że szkoła składa się z uczniów i nauczycieli, każdy powie, że prawię komunały, i powie prawdę; ale ja odpowiem, że o tym komunale w połowie tylko pamiętaliśmy, tj.

o uczniach; otóż radbym, by pomyślano o drugiej połowie, tj. o nauczycielach. A czyż o nich zapomniano, zapytają mnie; wszak nie ma sesyi sejmowej, żeby o nauczycielach mowy nie było, by tym lub owym pensyj nie podwyższano, by tych lub owych nie przyznawano służbowych korzyści; wszak nauczyciele są u nas, zważywszy koszt życia, tak drogo, jak w innych krajach, a zważywszy nasze środki, może wyżej płatni. Wszystko to prawda, ale jak dla uczniów nietylko trzeba wystawić gmachy, sprawić sprzęty i przybory naukowe, ustanowić nauczycieli, ale trzeba także, by społeczeństwo sprawę uczniów w rękę wzięło i umożliwiło uboższym wstęp do szkół i pobyt w nich, a w ogóle sprawę uczącej się młodzieży za jedną z najgłówniejszych uważało, tak i co do nauczycieli, społeczeństwo winno ich sprawę wziąść w rękę, winno im dowieść namacalnie, dobitnie, że ich praca, ich dola, ich postępowanie, nie są mu obojętne. Nie wystarcza wcale, iż urzędowo postanowi się etaty, unormuje porządek awansu, ustanowi *quinquenia*, określi emeryturę, i t. d. To jest czynność urzędowa tylko, a społeczeństwo, które się w jakiejkolwiek gałęzi życia publicznego spuszcza tylko na urzędy, po niewczasie znajdzie, iż te urzędy same przez się nigdy nie są dostateczne; one potrzebują poparcia i materyalnego i moralnego od społeczeństwa. To poparcie znajduje młodzież szkolna w stypendyach; takiegoż moralnego i materyalnego poparcia trzeba i nauczycielom.

Że to stan ważny a mozolny, to znowu komunał. Na dowód jednak, jak ten stan mozolny, niech starczy, że dziś, gdy do wszystkich posad okazuje się natłok i brak miejsca, posad nauczycielskich w szkołach ludowych nietylko nie brak, ale przeciwnie, kandydatów na nie brak się pokazuje już na bliską przyszłość, jak nas o tem rada szkolna w swem sprawozdaniu powiadomiła, a co nam bliżej wyłuszczył hr. St. Badeni w mowie swej o budżecie szkolnym, którą warto więcej niż raz odczytać. Śmierć bardzo stosunkowo liczne zabiera z tego stanu ofiary, padają nauczyciele, wycieńczeni codzienną, kieratową, że tak powiem pracą; rzecz prosta, dawniej cierpiało za winę ucznia, jego ciało, teraz cierpią za nią nauczyciela płuca. Jedna część kraju narzeka na zbyt wielkie płace nauczycielskie, zbyt obciążające budżet, druga woła o ich podniesienie. Podobno ta ostatnia wołać jeszcze będzie jakiś

czas na puszczy: rzeczywiście siły finansowe kraju są niezmiernie wyczerpane; a tymczasem nauczyciele cierpią a kraj wnet cierpieć będzie na ich brak.

Nie mały to, choć ogólnie nie dość uznany błąd w naszym systemie kształcenia nauczycieli ludowych, że podczas lat w seminaryach przepędzanych, w wieku, kiedy pokusy rozmaite najsilniej na duszę ludzką działają, wystawieni są na biedę i wszystkie jej pokusy, a dalej, że ściślejsza kontrola nad moralnością tej młodzieży jest bardzo trudna przy rozrzuconych jej mieszkaniach. Doświadczenie Prus i Francyi przemawia za systemem współmieszkania, czyli internatów dla uczniów seminaryów nauczycielskich. Koszt utrzymania uczniów jest zapewnie znaczny, ale sądziłbym, że w tym właśnie punkcie społeczeństwo nasze winno dawać dowód współczucia dla przyszłych nauczycieli. Dotychczas mała tylko cząstka naszego społeczeństwa do tego się poczuła, gdy po znanym procesie socyalistów w Krakowie, kilku ludzi dobrej woli założyło na małą skalę internat dla uczniów tamtejszego seminaryum. Internat ten istnieje, owoce dobre już wydał, subwencyę sejmową ma, ale jest jeden w całym kraju i to za mały. W r. 1882 sejm uchwalił wprawdzie na wniosek Pawła Popiela internat, *alias* bursę znaczniejszych rozmiarów, ale uchwała została na papierze — i nie daj Boże, może pozostanie — a tymczasem społeczeństwo radzić sobie winno. Na to trzeba, albo, by ludzie dobrej woli po miastach seminarya nauczycielskie mających, zakładali internaty prywatne siłami zbiorowemi, albo żeby się znaleźli ludzie chcący takiemu celowi poświęcić swój majątek lub część jego w formie fundacyj. Na tę, zdaniem mojem, bardzo piekącą potrzebę chciałem zwrócić uwagę tych, którzy mogą i chcą majątek obracać na cele dobra publicznego.

Żadne ustawy szkolne nie stają tu na przeszkodzie, nie idzie bowiem o osobne lub inne nauki, gdyż nauki uczniowie pobierać muszą w rządowym zakładzie; idzie o współmieszkanie pod wspólnym porządkiem przy wspólnym wikcie, do czego nikt ucznia nie zmusza: wolno mu się do internatu zgłosić lub nie. Śmiem nawet twierdzić, że takie internaty prywatne, może lepsze, w każdym razie tańsze będą, niż gdyby były administrowane przez publiczne organa. Możnaby wreszcie i pewnej od uczniów wymagać opłaty,

któraby wprawdzie kosztów nie pokrywała, aleby ulgę i zakładowi i uczniom przynosiła.

Jak o tem mówić w kraju tak biednym jak nasz, a w położeniu tak krytycznem jak obecne? Bieda zaprawdę jest, ale jednocześnie widzimy, że się znajdują ludzie czyniący krociowe i milionowe zapisy na cele dobra publicznego, że tylko wspomnę zapisy Barczewskiego, pani Helclowej i ks. Lubomirskiego; czemuż i na internat jaki nie miałby się znaleźć wspaniałomyślny ofiarodawca byle potrzeba była ogólnie odczutą i uznaną.

Jest jeszcze i inny sposób do podniesienia, a nawet do umoralnienia stanu nauczycielskiego, choć bynajmniej twierdzić nie śmiem, by, ogólnie mówiąc, stał niżej swego powołania, a są nim nagrody. Stan nauczyciela wiejskiego jest jednym z tych, w których o znacznym awansie mowy być nie może. Nauczyciel wiejski nigdy nawet na profesora gimnazyum awansować nie może, bo zakres studyów jest zupełnie inny. Może zostać kierownikiem szkoły większej lub mniejszej, wreszcie inspektorem okręgowym, a jaki to zazdrości godny los, wykazał także hr. St. Badeni w swojem przemówieniu. Trzeba więc coś uczynić, by ten los osłodzić albo ukazać w perspektywie nauczycielowi pewne korzyści, jeśli obowiązki swe dobrze spełniać będzie, inaczej wejść on musi powoli w tryb pełnienia ich mechanicznie, o tyle tylko, żeby nie podpaść animadwersyi władz szkolnych. Nagrody są tu zdaniem mojem konieczne, o ten właśnie system praktykuje Rada Szkolna, kiedy uchwala gratyfikacye dla nauczycieli odznaczających się; ale jedno, takich gratyfikacyj może być tylko bardzo mało, bo środki szczupłe, a po drugie, idzie tu, powtarzam, nie o czynność urzędu, ale o czynność społeczeństwa, bo są tu w grze ważne jego interesa, o których i ono samo myśleć winno, nietylko urzędy.

Nietylko o to idzie, żeby nauczyciel dość umiał, bo umie dość i egzamin ciężki składa; nietylko idzie o to, by pilnie, usilnie i dobrze nauczał, nad tem usilnie czuwają władze szkolne; idzie jeszcze i o to, by i życie jego było przykładem pod względem moralnym, idzie o to, by tak z nauki jego jak z całego postępowania znać było bojaźń Pana Boga a miłość ucznia. Tu działanie władz szkolnych z natury rzeczy jest bardzo ograniczone i takiem nietylko pozostanie, ale z czasem znacznie się zmniejszy. Czuwanie nad

moralną i religijną nauczyciela stroną, jest urzędowo tylko tam możliwem, gdzie urzędowym nadzorcą nauczyciela jest ksiądz. Tak było u nas aż do zniesienia konkordatu, ale tak nie jest. Wiadomo dobrze, że ustawy wyznaniowe są tego rodzaju, iż na ich podstawie dojśćby można do kulturkampfu. Wiadomo dobrze, iż obecne władze szkolne w kraju naszym są tak dobrze pod względem religijnym usposobione, iż w razie zmiany, raczej gorszych niż lepszych spodziewać się należy stosunków, a to dla tej prostej przyczyny, że duch ustaw szkolnych jest po temu, i powoli urzędy w ten duch wejść z natury rzeczy muszą. Przyjdzie prawdopodobnie czas, bodaj był daleki, że władze szkolne będą tylko patrzeć na stronę czysto dydaktyczną u nauczyciela, a stronę moralno-religijną w niejakiem pozostawią zapomnieniu. Cóż wtedy, jeśli społeczeństwo żadnych nie przedsięwzięło środków, by mieć nauczycieli moralnych i chrześcijańskich? Cóż, jeśli młodzież słyszeć będzie w szkole i kościele rzeczy sobie przeciwne? Cóż, jeśli na skargi w społeczeństwie powstające odpowiadać będą urzędy, iż wszystko się dzieje w myśl ustaw a więc wszystko dobrze! Nie czas wtedy krzyczeć, demonstracye lub rozruchy czynić, lepiej zawczasu starać się, by mieć w godziwy sposób i ku godziwym celom nauczycieli w ręku. Godziwym zaś sposobem jest wskazać nagrody dostępne dla nauczycieli odznaczających się nietylko na polu czysto dydaktycznem, ale odznaczających się życiem chrześcijańskiem, prawowiernością w nauce, i przykładnym względem duchowieństwa stosunkiem. Nagrody takie byłyby korektywą wadliwej ustawy szkolnej, którą społeczeństwo przedsiębierze, podobnie jak nieraz przekupstwo w wyborach bywa korektywą złej ordynacyi wyborczej, z tą naturalnie wielką różnicą, że gdy nikt z podniesionem czołem nie może przyjmować datku za swój głos, ani się przyznawać, że takowy dawał, każdy nauczyciel z podniesionem czołem może odbierać nagrodę uczciwie zasłużoną. A zważmy, że w razie potrzeby znajdują się wszędzie, nawet i u nas pieniądze na kupowanie głosów, czemuż nie mogłyby się znaleźć na premiowanie odznaczających się nauczycieli?

Z tego co powiedziałem wynika, że ideałem może w tym względzie byłoby, gdyby zapisodawcy przyszłości, albo ludzie dobrej woli w teraźniejszości, składając fundusz na cel o którym mowa, powierzali ich rozdawnictwo naczelnikom dyecezyj czyli biskupom. Na-

turalnie spotkam się z zarzutem, iż takie urządzenie narazi na protegowanie hipokryzyi; zarzut ten wytarty, jak stary trzechgroszniak, zawsze równie bezmyślnie pojawiać się musi, ale niech kto poda sposób na cośkolwiek, który żadnemu nie podpada zarzutowi — każda rzecz przez ludzi wykonywana wolną od zarzutów nie jest, bo nie jest od nich wolną ludzkość sama. A zresztą, przecież i inne tryby rozdawania mogą być dobre, tylko ten zdawałby mi się najlepszy.

Miałem głównie na oku nauczycieli ludowych, ale nie myślałem sądzić, iż podobne nagrody dla nauczycieli szkół średnich byłyby zdrożne. Społeczeństwo w rozmaitych wypadkach przysądza nagrody rzeźbiarzom, malarzom, architektom, poetom i autorom, a nikt z nich tego dobrze zasłużonego grosza do ręki brać nie sroma się, nie widzę, czemu miałby się sromać nauczyciel, choć i szkół średnich. Karyera nauczyciela szkół średnich jest już szersza, może on *summa petere,* ale też przygotowanie do niej dziś wymagane jest tak długie i ciężkie, że człowiek, o przeciętnem dzisiejszem zdrowiu i przeciętnych zdolnościach, bez znacznego uszczerbku zdrowia do niej nie dochodzi. Spytajmy się lekarzy, czy to nie przesada. Jest wprawdzie sposób dla wielu kandydatów do stanu nauczycielskiego, żeby znowu przyjść do sił i zdrowia, tj. kilka lat spędzonych na wsi, jako nauczyciel prywatny, *vulgo* guwerner. Tu jednak często próżność staje na przeszkodzie, i podczas gdy w innych krajach o nauczycieli prywatnych łatwo, u nas trudno nadzwyczajnie; indywidua porządniejsze tylko za bardzo wielkie wynagrodzenie tego stanowiska się podejmują, a pomiędzy kolegami aspirantami wyrażenie „poszedł na guwernerkę“ znaczy prawie tyle, co rozpił się, lub w ogóle moralnie upadł. A nawet ci, którzy się na to wrzekome upośledzenie (nigdzie przecież na świecie nie obchodzą się z tak zwanym guwernerem lepiej jak u nas) zdecydują, rolę swoją rozumieją tylko jako profesorowie, rzadko bardzo jako παιδαγωγοί. Tę samą odrazę do zajmowania się w ogóle stroną moralną, istotą pozaszkolną ucznia, pozwalam sobie podnieść, jako poważny zarzut do uczynienia znacznej części naszego stanu nauczycielskiego. „Ucznia znam w szkole“, oto frazes bieżący. Powiem śmiało, iż pod względem zajęcia się uczniem poza szkołą, nauczyciele szkół średnich rosyjskich w Królestwie polskiem wyżej od

naszych stoją; jakie w tem ich cele, tu nie miejsce roztrząsać, fakt goły twierdzę, sprawdzić go proszę. Bez wątpienia mundury do tego pomagają, i także policya. Żaden strażnik nie przepuści uczniowi wejścia do lokalu publicznego, lub włóczenia się po nocy.

Otóż proszę, czy społeczeństwo nie uczyniłoby dobrze i użytecznie nagradzając nauczycieli szkół średnich, odznaczających się niekoniecznie tylko dobrym wykładem, osobliwem panowaniem nad swym przedmiotem, ale głównie pieczą pozaszkolną nad młodzieżą, ojcowskiem czuwaniem nad jej postępowaniem, nad jej zabawami, nad jej potrzebami, nad jej dolą? Czyż ludzie tacy nie są rzeczywistymi dobrodziejami młodzieży a więc i ludzkości? Każdy prawie z nas ma w pamięci jednego, niektórzy kilku profesorów szkolnych, którym do dziś błogosławi. Czyż tacy ludzie nie warciby mieli więcej cokolwiek dla wychowania swych rodzin nie z kasy rządu, ale z kasy społeczeństwa? We Francyi sławna nagroda „prix Monthyon“ od swego fundatora zwana, rozdaje się corocznie pomiędzy sługi znakomicie dobre. Znakomicie dobre sługi są dobrodziejami pojedyńczych rodzin; nauczyciele publiczni o dobro moralne młodzieży szczególnie dbali, są dobrodziejami kraju. Na tę drogę, na drogę nagradzania zasług nauczycielskich radbym widzieć skierowane na przyszłość ofiary, które publiczność polska i nadal nie wątpię dla celów oświaty czynić będzie jak je czyniła dotychczas.

Spyta mię kto może, jak sobie rzecz taką w praktyce wystawiam, jak np. postąpiłbym sobie, gdybym był w szczęśliwej możności uczynienia takiej fundacyi, lub cobym doradził, gdyby mnie o radę pytano. Dróg jest mnóstwo i wybierać tylko pomiędzy niemi potrzeba, bo trudno nadto ogólnikowo dawać nagrodę dla zasłużonych nauczycieli. Należałoby wymienić kategoryę nauczycieli, oznaczyć czy z całego kraju, czy z pewnej jego części, czy dla jakiego wyznania, czy bez różnicy, czy tylko dla żonatych, czy tylko w razie chorób lub innych rodzinnych nieszczęść, czy jednorazowo, czy dożywotnie, czy dla czynnych, czy tylko dla emerytów i t. d., bo takich rozróżnień możnaby czynić do znużenia. Dalej, kto konferuje stypendyum, czy Wydział krajowy, czy Rada szkolna, czy Biskup, czy grono *ad hoc* konstytuowane osób prywatnych, czy *gremium ad hoc* wyznaczonych i t. d. Czy konferując muszą wysłuchać opinii czyjej, czy działać mają *proprio motu;*

na co ma być przy kwalifikowaniu główny nacisk kładziony, czy jedynie na szczególne zasługi, czy też na lata służby, na liczbę dzieci, na stan zdrowia i t. d. W ogóle, im mniej warunków a im lepiej wybrać osobę konferującą lub gremium, tem zdaje się fundacya praktyczniejsza.

Ze smutkiem widząc, że przy ofiarności zdaniem mojem prawie nadmiernej dla uczniów, społeczeństwo nasze mało czyni dla nauczycieli, pozwoliłem sobie skreślić te słów kilka, a będę stokrotnie wynagrodzonym za mały mój trud, jeśli choć tylko jednego ofiarodawcy myśl w tym kierunku pozyskam.

Jan Popiel.

JAN III. W PIEKARACH.

Piekary Niemieckie, niegdyś kolonia przez Niemców założona, którym swój przydomek zawdzięcza, dawniej kopalnie obfitych żył srebra, dziś wieś o ludności przeważnie polskim językiem mówiącej, bogata w pokłady cynku, leży na Górnym Szlązku, w regencyi opolskiej w obwodzie Bytomskim, o $^3/_4$ mili od miasta Bytomia odległa. Nie tylko za czasów, kiedy Szlązk był dzielnicą Polski, ale później jeszcze, kiedy przyłączony został do Korony austryackiej, nawet po rozbiorze Rzpltej Piekary należały do dyecezyi krakowskiej, dekanatu bytomskiego. Od roku dopiero 1880 przeszły pod juryzdykcyę księcia Biskupa Wrocławskiego, a to na mocy dekretu Piusa VII., który dekanaty bytomski i pszczyński wcielił do dyecezyi wrocławskiej [1].

Miejsce to głośne dla obrazu Najśw. Maryi Panny, który od roku 1659 cudami zasłynął, znane i zwiedzane było przez licznych pielgrzymów nietylko Szlązka, ale Morawii, Czech i Polski. Pochodzenie obrazu niewiadome, niewiadomo również od kiedy zagościł w Piekarach.

Z kościoła pierwotnego, który w r. 1303 wystawiono, dziś ani śladu. Teraźniejszy kościół murowany, obszerny choć bez stylu jednolitego, stanął staraniem świątobliwego X. Fietzka, wielkiego czciciela N. P. Maryi i proboszcza tejże parafii w r. 1849. Piekary zrazu stanowiły parafię, którą zawiadywali księża świeccy. W r. 1678 sprowadzono tu Jezuitów i założono rezydencyę, należącą do kolegium opolskiego prowincyi czeskiej, która do r. 1773, tj. do kasaty

[1] „Czas“ z 1886 nr. 166. Artykuł X. Polkowskiego: „Dawna a dzisiejsza rozległość dyecezyi krakowskiej“.

zakonu dotrwała. Zwykle trzech do czterech ojców tu mieszkało, oddając się pracy apostolskiej, której dostarczało podostatkiem miejsce cudowne, a wezwani chętnie także śpieszyli okolicznym proboszczom z pomocą, słuchając spowiedzi i głosząc słowo Boże.

Zwyczajem zakonnym spisywano tu od pierwszej chwili przybycia dyaryusz. Składa się on z trzech oddzielnych tomów, dwóch *in folio* a jednego *in quarto*. Ręka w nim różna i różny sposób pisania. Żaden jednak z piszących nie jest Wielewickim, ale bo i Piekary to nie Kraków, gdzie się ważyły losy kraju, gdzie życie polityczne wrzało w całej pełni. Nasi ojcowie w Piekarach oddaleni od życia publicznego, skazani na mozolną pracę, nie mieli czasu ni sposobności do zajmowania się bieżącemi sprawami kraju. Ale pisać potrzeba było. Notują więc najprzód wszystko co się tyczyło kościoła i nabożeństwa. Skrzętnie podają liczbę wysłuchanych spowiedzi pątników, jeśli nie mogą dokładnie, to choć w przybliżeniu, przebieg dni uroczystych, łaski odebrane i wota złożone przez wiernych u stóp N. P. Maryi. W drugiej linii idą rzeczy odnoszące się do rezydencyi. Kto więc przybył lub odjechał z ojców, znakomitsi goście nawiedzający rezydencyę, jałmużny przysłane, a wreszcie wypadki ważniejsze godne uwagi, wedle pojęcia piszącego. Z dyaryusza tego dowiadujemy się, że jedna i ta sama natura w naszych chłopkach teraz jak dawniej, że nie ma u nich odpustu bez ścisku i tłoku. *Ineffabiliter sese trusit ad communionem plebs polona*, skarży się kronikarz w czasie uroczystości Wniebowzięcia N. P. Maryi. *Communicari debebant in coemeterio sed nec ibi a trusione ullis argumentis persuaderi poterant ad nostram summam molestiam et scandalum ob irreverentem accessum et clamorem ad tremendum Eucharistiae Sacramentum. Effrenis populi milleni erant.* Chwalebne za to składa im świadectwo za ścisłe zachowanie postu w wigilie N. Panny. Wśród licznych przybyszów w wigilie świąt N. Panny kompanie polskich pątników odszczególniały się, że *ob jejunium in Polonia solitum polonisabant.*

Zdarzało się nieraz, że przyprowadzano jakiegoś rzekomo opętanego, który, jak to i dziś się jeszcze przydarza, czyto dla wyłudzenia jałmużny, czy dla innej jakiej przyczyny udawał opętanego. Ojcowie nie brali się łatwowiernie do tej rzeczy. Woda nieświęcona, nieraz i plagi najskuteczniejszym były tu egzorcy-

zmem. I tak: *Duo daemonia, quorum unum incolebat caput et intrabat ex cornu cum tabaco ideoque dicebat esse senex daemon, alterum filiae occupabat ventrem, istudque juvene, ejecta sunt plagis pro merito fictionis utrique feminae impositis.* Podobnych faktów znajdujemy tu kilka. Na dowód zaś jak szczegółowo pisany jest ten dyaryusz, niech posłuży następny, dość często znajdujący się zapisek *Hodie organeda sese inebriavit*, szczegół drobny, który zda się niczyjej nie zwracać uwagi, bo wiadomą rzeczą i dawniej i dziś, że *cantores amant humores*. Tymczasem dla ojców fakt ważny, że w dzień świąteczny, przy napływie ludności nie miał kto grać, lud sam śpiewać musiał bez towarzyszenia organu. Zapisana też i kara, jaka mu się za to dostała, że siedzieć musiał nazajutrz jakby pod pręgierzem podczas prymaryi pod kościołem. Ale i to niewiele pomagało, bo się nieraz jeszcze *inebriavit*, a bywało, że i *sicuti porcus*, aż się przebrała cierpliwość ojców i niepoprawnego pozbyli się sługi. Oto drugi znów, nie mniej drobnostkowy fakt. *Repente hodie mortuus est nobis maximus pinguissimus porcus an magia invidorum an incuria improvidae familiae — Deus novit.* Często też, czy nie znajdując łacińskiego wyrażenia, czy też chcąc dosadniej rzecz wyrazić, po polsku ją wypisuje: chłopcy dziś cały dzień kiermaszowali, albo opisawszy po łacinie wybryk, jakiego dopuścił się Bartek, lub Kaśka, kończy po polsku: dostali sznurami od dzwonów.

Dwa jednakże fakty uczyniły szlązką wioskę miejscem historycznem. Oba przypadły za pobytu naszych ojców, którzy nie pominęli ich milczeniem, ale ile stać było wiernie je opisali. Jednym z nich był pochód wojsk polskich pod wodzą króla Jana III. na wyprawę wiedeńską, drugim akt abjuracyi Augusta II. przed włożeniem korony polskiej. Pierwszy z nich podajemy tu wedle opisu kronikarza zakonnego.

O pobycie króla Jana w Piekarach wiemy z dyaryusza *Praefecti artilleriae*, który pod dniem 20 sierpnia zapisał: „W Piątek „dogonił król JMć. wojska, bo oddzielony dotąd z królową JMcią, „wyprowadzającą i z Dworem jechał. Słuchali tedy Państwo Mszy św. „w Piekarach u Jezuitów, gdzie obraz cudowny, pod którym obóz „nasz stał“ [1]. W opisach też Matki Boskiej Piekarskiej znajdujemy

[1] Kulczycki. — Akta do dziejów króla Jana, str. 581.

krótki opis czerpany widocznie z tego dyaryuszu, co tam łatwiej przychodziło autorowi, że jako proboszcz piekarski miał go pod ręką [1].

Cicho, spokojnie było na Szlązku w pierwszych dniach lipca 1683. Ani wzmianki o jakowej wojnie lub trwodze, chociaż nawała turecka zalewała już kraje Austryackie. Już fortece nadgraniczne poszły na łup wroga, a szarańcza tatarska szeroko po kraju rozpuściła zagony, zawrzał już nawet krwawy bój pod Petronelą, kiedy z pierwszą wieścią o napadzie Muzułmanów spotykamy się w Piekarach. Wieść tę smutną przynosi list pasterski biskupa krakowskiego, który w niedzielę d. 11 lipca ogłoszony zostaje ludowi z ambony. Stosując się do niego ojcowie zaraz w tym dniu zaczynają z ludem suplikacye i modły nakazane. I nie dość tego, ale *vi decreti episcopalis* przybity d. 17 lipca on list pasterski na drzwiach, ma odtąd przypominać ludowi grożące niebezpieczeństwo i pobudzać go do gorętszych modłów. Odtąd też coraz częściej zabiegają *novalia non bona* i przysparzają lęku. W parę już dni, bo 16 lipca troskliwi o cudowny obraz ojcowie, zdejmują go z ołtarza a w miejsce jego kładą *fac simile*, nazajutrz zaś urządzają solenną procesyę do krzyża stojącego w polu, ofiarując przytem Mszę św. na odwrócenie klęski.

Co za panika musiała być w okolicach Wiednia, w samej zagrożonej stolicy, kiedy w miejscu oddalonem o kilkadziesiąt mil od pola walki taką widać konsternacyę i popłoch. Nie przypuszczano widocznie, że pod Wiedniem rozegra się krwawy dramat, ale sądzono, że burza turecka zagarnie całą Austryę i pochłonie całe cesarstwo. Gotowano się do obrony. Szlachta bytomska i co jej było w okolicy zbiegła się na pola bytomskie, i przez ćwiczenia wojenne sposobi się do obrony zagrożonych domów i rodzin.

Tymczasem wszystkie kosztowności: naczynia kościelne, wota i droższe aparaty, dywany, opony, nawet bieliznę kościelną spakowano w Piekarach, zostawując tyle tylko, ile do posługi codziennej niezbędnem było. To też, kiedy nadeszła uroczystość św. Ignacego, zakonodawcy Towarzystwa, musieli ojcowie pożyczyć z pobliskiej parafii Kamienia ornat srebrny, kielich, i trybularz. Spakowany dobytek Kościoła włożono na wozy, by go odwieść

[2] „Krótka wiadomość o kościele i obrazie cudownym N. P. M. w Niemieckich Piekarach“ 1849.

w bezpieczniejsze miejsce do pobliskiej twierdzy Opolskiej. Zwlekano z odjazdem, czekając na lepsze wieści, ale te nie nadchodziły. 25 więc lipca przed wschodem słońca podążył O. Superyor do Opola wioząc cudowny obraz i całe bogactwo kościelne z Piekar.

Nie pierwszy to raz odbywał św. obraz wędrówkę. Trzy lata temu, opisuje nasz dyaryusz, bo w r. 1680 wysłany był on do Pragi, ale w innym celu. Powietrze morowe rozsrożyło się w onem mieście, tysiące ofiar chłonąc. Cesarz Leopold nie widząc w środkach ludzkich ratunku, udaje się do N. Panny. Na prośbę cesarza i Prażan, obraz Piekarski wywieziono d. 19 lutego do Pragi, gdzie niesiony w solennej procesyi po całem mieście uśmierzył zarazę. Przyozdobiony przez cesarza 14 szafirami wielkiemi i 15 dyamentami w różyczki wplecionemi, z dyamentowym krzyżykiem, darem cesarzowej, nadto obwieszony i licznemi wotami wdzięcznych Prażan — powrócił w miesiąc d. 24 marca na dawne swoje miejsce. Z wielką radością mieszkańców Piekar, w uroczystej procesyi od nich przyjęty.

Z wywiezieniem cudownego obrazu przycichł ruch zwykły w Piekarach. Ustały ludne pielgrzymki z postronnych krajów, nie słychać nic nawet o pielgrzymkach z okolic pobliskich Szlązka. Dawniej w każdą niedzielę ciągnęło po kilka kompanij, schodziły się sąsiednie parafie, spowiadających się liczono na setki, a cóż dopiero w święta uroczystsze N. Panny. Kapłani miejscowi, choć ich wspomagali ojcowie z Opolskiego kolegium i przybyli z procesyami księża świeccy i zakonni nie mogli podołać nadmiarowi pracy. Od wczesnego świtu, bo od czwartej z rana do zmroku do 9 i dalej przesiadywali w konfesyonałach, a mimo to wielu odchodziło bez spowiedzi, niektórzy przez parę następnych dni pozostawali, by się tylko docisnąć do konfesyonału. Teraz ledwo lud miejscowy i ledwo ktoś z najbliższych wiosek nawiedza kościół. Cicho przechodzi uroczystość Wniebowzięcia N. Panny, w której lat zeszłych do półtora tysiąca i wyżej było komunikujących — dziś *populus pusillus* a z innych *peregrini aliquot*. Co za przyczyna tego? Wystraszeni mieszkańcy Szlązka bliskim pochodem *Martis polonici* nie śmią się ruszać z swych domów. Do trwogi przed Bisurmaninem domieszała się bojaźń przed nadchodzącemi hufcami z Polski, którym trzeba będzie dostarczać żywności. W Piekarach lud cały swój dobytek znosi w pakach do kościoła, a ze zbliżeniem się wojsk pol-

skich opuszcza chaty z żywnością na wozach kryje się pod protekcyę ojców, formalny obóz zakładając na dziedzińcu rezydencyi. *Altilia pagi in residentiam compulsa* zapisuje kronikarz pod dniem 19 lipca.

Król tymczasem wyprawiwszy naprzód wojska, ruszył z królową i całym dworem do gór tarnowskich. Władze i urzędnicy szląscy powiadomieni zostali o bliskiem przybyciu Jego Królewskiej Mości. 18 więc lipca rankiem wczesnym przybywa J. W. Jmci Pan Neuhardt wice-prezes wrocławski do Piekar. Pobożny pan słucha w przejeździe Mszy św., nie tak jego towarzysz hr. Henckel, chociaż równie dobrze znany i przyjazny ojcom. Po skończonem nabożeństwie, obaj jakkolwiek im śpieszno było, obejrzeli świeżo wystawioną gospodę, w jakim celu nie wiadomo, to pewno, że *non absque mysterio*. Potem czemprędzej udali się w drogę do Będzina, aby zasięgnąć wiadomości o przyjeździe króla. Obejrzawszy hufce polskie, wrócili jeszcze tego samego dnia o 5 godzinie z powrotem do Piekar.

Odtąd dzień za dniem nowi a znakomici goście zjawiają się w naszej wiosce. Nazajutrz Jego Eks. J. W. Jmci Pan Caraffa z J. W. Jmci P. Neuhardtem i W. J. Jmci P. Eidtnerem z Tarnowic otoczeni nadto liczną świtą, na małą chwilę wstępują do kościoła, śpiesząc do Będzina naprzeciw królowi Polskiemu. Dotychczas niewiadomo, czy król zawadzi o Piekary. Pierwsze pogłoski o przybyciu jego zaczęły dziś się szerzyć, ale im jeszcze nie dowierzano. Zbliżające się wojska polskie resztę mieszkańców wystraszyły z domów, którzy z całym dobytkiem na wozach przybyli na rezydencyę.

Nazajutrz już o 4 rano zakołatał goniec do furty klasztornej, wysłany przez burmistrza bytomskiego, na rozkaz barona Zierowskiego, posła cesarskiego na dworze polskim, który w imieniu Jego Król. Mości zasięgał wieści co do cudownego obrazu w Piekarach, który król pragnął uczcić osobiście. Odpowiedziano, *ut se res a parte habuit*.

Z doświadczenia wiedziano, że łaski i cuda nie tylko do obrazu, ale i do miejsca przywiązane były. I tak, kiedy w r. 1680 obraz przesłano do Pragi, kilka cudów przydarzyło się właśnie w czasie nieobecności świętego obrazu, których zapisać nie omie-

szkano. Zdaje się, że i lud okoliczny o tem był przekonany, skoro, choć nie tak liczne, jednak nie ustawały pielgrzymki i ofiarowania się do N. Panny Piekarskiej, jakkolwiek świadomi byli wszyscy, że nie ma oryginału na miejscu. Taką zdaje się musiała być odpowiedź, inaczej król nie zboczyłby z drogi pół mili, ale prosto z Będzina podążyłby do Tarnowic.

Zresztą jakakolwiek była odpowiedź, widać, że skłoniła króla do odwiedzenia świętego miejsca. O godzinie 7 zjawił się Karczewski, oboźny królewski, z zapowiedzią, że niebawem zjedzie Jego Królewska Mość. Przydał zarazem, że wojsko rozlokuje się w Piekarach na krótki spoczynek. Trwożni o siebie i o lud pod ich opiekę się garnący, szukają ojcowie u niego protekcyi i proszą o straż, chcąc się tym sposobem uwolnić od natarczywości żołnierza. Uwzględnił łaskawie prośbę oboźny, przyrzekł o co prosili, a słowo nie było na wiatr powiedziane, ale *quod appromisit et fecit.*

Około godziny ósmej zaczęły się szyki rycerskie zbliżać. Husarya i pancerni, przybywszy stanęli na łąkach i polach, zatoczyli obóz, rozpięli namioty. I zaraz cicha wioska przemieniła się w miasto, tyle domków wyrosło, tyle szlachty przybyło, zaroiły się drogi od konnych i pieszych. *Civitatem spectasses*, wykrzykuje kronikarz. Ale nie mniejszy podziw budzi i rycerstwo polskie. Zapał w ich oczach, odwaga na licach, cała ich postać w stal zakuta, tygrysie i lamparcie skóry na barkach zarzucone, zdumiewają Szlązaków, może pierwszy raz hufce polskie w wojennym rynsztunku oglądających. *Vidisses viros vere martiales et ad ferociter pugnandum, tigrides et leopardos chalybe convestitos.*

Zaludniły się błonia, ale i zapełnił się wnet kościół żołnierzem. Jeśli kiedyś słyszeli o pobożności polskiej, mogli się teraz o niej naocznie przekonać Szlązacy. Teraz mogli być pewni, że ile rycerskości i męztwa malowało się na ich licach, tyle też pobożności kryło się w piersi, że ci strojni, bogaci i butni na oko rycerze, kornemi są sługami Boga. *Plurima nobilitas ex principibus Comitibus Praelatis Ecclesiam nostram audiendi sacri gratia visitarunt* i wyraźnie dodaje, że nie płocha ciekawość wiodła ich do świątyni, zachowanie się ich w kościele przykładne dowiodło, że *devotioni addicti.* Rozpoczęły się Msze święte, które odprawiali kapelani wojsk polskich, a byli między niemi Franciszkanie, Do-

minikanie, Bernardyni, a wreszcie i O. Przeborowski „ze Zgromadzenia Jezusowego“ przyboczny teolog króla. Był tam także opat Cystersów Hacki, o którym piszący dowiedział się, że jest ulubieńcem i sekretarzem króla, ale imienia zapomniał lub nie znał, bo dodaje *quippiam.*

Bardzo ujęła ojców grzeczność rycerstwa polskiego, gdyż wielu poczęło im oddawać wizyty, między któremi dwaj Radziwiłłowie, Denhoff *dignati sunt nos invisere,* ale więcej jeszcze chwyciła ich za serca pobożność. Grzecznością wypłacili się ojcowie, zapraszając do refektarza i racząc winem i przekąskami.

Wtem, wśród wesołej zabawy, kiedy ojcowie zajęci podejmowaniem znakomitych gości, dają im znać, że orszak królewski niedaleko się znajduje i za parę chwil przed kościołem stanie. Czemprędzej urządzono procesyę, kapłani ubrani w komże i stuły pośpieszyli, by go u wejścia na dziedziniec kościelny spotkać. Tu się odbyło powitanie. Przypuszczeni zostali ojcowie do ucałowania ręki królewskiej, *osculo manus regiae venerati sumus,* a Superior O. Jerzy Bellman krótką przemową powitał króla. Czy jako zaletę, czy jako tłumaczenie, jeśli nie zbyt płynną była, dodaje kronikarz *extemporance,* i dołącza zaraz przyczynę, ponieważ nagłe i niespodziane było dla nich przybycie królewskie. Po skończonem przywitaniu ruszył pochód przy odgłosie dzwonów do kościoła. Wchodzącego króla do kościoła powitał organ hymnem dziękczynnym „Te Deum“. Towarzyszyli mu trzej młodzi królewicze, magnaci i dwór *a personis resplendens.* O bytności królowej nie masz wzmianki, choć dyaryusz wyżej wspomniany wyraźnie o tem mówi. Ledwo przebrzmiał hymn ambrozyański, wyszedł ze Mszą św. spowiednik królewski, której król ze zbudowaniem i zwykłem nabożeństwem słuchał. Młodych królewiczów, Konstantego i Aleksandra zabawiali ojcowie podczas tego w zakrystyi, i ofiarowali im po obrazku, na którym N. P. Piekarska misternie na pergaminie odmalowaną była. Po skończonej Mszy św. król bezzwłocznie ruszył w drogę. Nie było czasu na urządzenie uroczystej procesyi, to też *prosilientes* z wielkim pośpiechem, bez szczególnych a przynależnych ceremonij pożegnali ojcowie dostojną familię, ucałowawszy raz jeszcze prawicę królewską z życzeniem pomyślności w dalszym pochodzie i przyszłym boju z pohańcem.

Po odjeździe Jego Król. Mości zaczął się kłopot dla ojców. Wojsko liczne a żywności nie było wiele. *Dies inquieta*, skarży się kronikarz z powodu żołnierzy domagających się natarczywie konfortacyi i posiłku. Użyczona przez obożnego straż przydała się teraz, broniąc ich przed napaścią ciurów obozowych i uboższej szlachty. Żadnej szkody nie ponieśli w domu, tylko ich pola stratowane zostały do szczętu. Noc przepędziło wojsko w Piekarach, a nazajutrz o świcie mnóstwo szlachty udało się do kościoła, żeby wysłuchać Mszy św. i uprosić sobie błogosławieństwo na drogę. Wielu bardzo na intencye sukcesu wojennego, zamawiało sobie Msze św. u Ojców, inni polecali się ich modłom. Wielu przystępowało do św. Sakramentów. Stosami znoszono różańce, szkaplerze, ryngrafy i miecze do poświęcenia. Dziadki i babki kościelne chwalili sobie i długo jeszcze wspominali pobożnych panów, co ich hojną opatrzyli jałmużną. Nie brakło i ofiar na kościół, jakiś żołnierz od piechoty zostawił nawet swe skrzypki legując je dla chóru kościelnego

Nad wieczorem 21 przybył J. O. JMci książe Wiśniowiecki i zamieszkał w publicznej gospodzie. Marszałek jego dworu pośpieszył do rezydencyi, by zamówić Mszę św. na jutrzejszy dzień. Słuchał jej przed 5-ą pobożny książe, i przystąpił do św. Komunii, Potem na chwilę wstąpił do Ojców i wkrótce podążył do Tarnowic za wojskiem.

Trzy dni trwał pochód rycerstwa polskiego przez Piekary.

Po świetnych hufcach husaryi i pancernych chorągwiach rozpoczęła swój pochód piechota polska, ale jak odmienna od konnicy postawą, ubiorem i zachowaniem się. Jedno wspólne miała z niemi — męztwo i wytrwałość. Jan III. znał jej wagę i zaraz po koronacyi chciał połowę mieć piechoty w wojsku. Ale nie dochodziły skarbu uchwalone podatki na wojsko, i piechota dymowa i łanowa, rekrutująca się przeważnie z włościan, świeciła łachmanami. Wstydzić się jej musiał przy przeglądzie wojsk sam król w obec książąt niemieckich, i dowcipem, jak pisze Salwandy, pokrywał nierząd i złą wolę braci szlachty. Nie lepsze wrażenie zrobiła ona i w Piekarach, to też pogardliwie zapisują „hołota polonica".

26 sierpnia ostatnie roty pieszych przeszły przez Piekary, ale mimo to dzień za dniem zjawia się jakiś *Nobilis Polonus*, albo

i kilku dążących pod Wiedeń. Nie zdołali widocznie wczas wybrać się z domu, i teraz pośpiechem nagradzają spóźnienie. 3 września w czasie ostatniej Mszy stanął J. W. Lasocki pisarz kamieniecki i chorąży z oddziałem swoim. Chorągiew zwłaszcza uderza oryginalnym pomysłem. Na poły czarna, na poły szkarłatna, na niej krzyż złotem szyty i okolony cierniową koroną a u spodu napis: *In hoc signo vinces!* A nietylko na tej, ale i na wielu bardzo chorągwiach polskich, jak uważa kronikarz, były wyobrażone tajemnice męki Pańskiej lub wizerunki N. Panny. 9 września znowu większy oddział staje w kościele pod wodzą Dobrzyńskiego(?) rotmistrza. Wszedłszy do kościoła z chorągwią *prosternens illud ad pedes B. Virginis* słucha z całą swą kompanią nabożnie Mszy św., składa jałmużnę na kościół. Uproszony kapłan daje im błogosławieństwo na drogę i odmawia z nimi *itinerarium*. Ostatni staje tu 15 kwietnia starosta Józef Lubomirski z chorągwią swoją i regimentem. Nie zdążył on już na czas i dopiero po zwycięstwie, 27 złączył się z ks. Lotaryńskim i uczestniczył w klęsce a później w zwycięstwie pod Parkanami, które król większem niż wiedeńskie mienił. 12 września ufność w Bogu i męztwo króla Jana starły potęgę półksiężyca, ale nie było naonczas telegrafów, któreby wieść radosną czemprędzej rozniosły. „W całym świecie oczekiwano z niecierpliwością końca wypadków, cóż dopiero w krajach Austryi, nad którą zawisła bliska zguba. Tymczasem dopiero w cztery dni pierwsza pocieszająca wieść o oswobodzeniu stolicy cesarskiej przychodzi do Szlązka. List pisany z Tarnowic uwiadamia o tem ojców. Dzielą się szczęściem, obsyłając nim swych przyjaciół i dobrodziejów, którzy w zamian za odebraną nowinę wywzajemniają się hojną jałmużną.

Ale czy nie dowierzano wesołej wieści, czy obawiano się powrotu nieprzyjaciół, dość że obraz cudowny parę tygodni jeszcze pozostał w Opolu. Dopiero 1 października wybrał się O. Superior do Opola i przywiózł go w uroczystej procesyi ludu do Piekar. Raz jeszcze musiał się chronić święty obraz do Opola a to w czasie zawieruchy trzydziestoletniej, przed Szwedami, skąd jednak więcej nie wrócił. Kopia przed którą Jan III. się modlił pozostaje do dziś w Piekarach, zawsze się tam lud kupi z okolicznych a nawet dalszych stron, szukając z wiarą ratunku w duchowych i doczesnych potrzebach i zawsze tam, jak świadczą liczne wota, N. Panna

łaskawa na czeladkę — gdy tymczasem w Opolu przy oryginale cuda wszelkie ustały i tylko tradycya i akta potwierdzają jego pochodzenie.

Długo jeszcze w Piekarach pamiętano pochód wojsk polskich. Starcy młodszemu pokoleniu opowiadali o tych rycerzach w stal zakutych, o wojowniczej postaci, o bogactwie, stroju, o lwach i tygrysach, które na sobie mieli, o ich pobożności przykładnej i miłosierdziu dla biednych. Ale i w wojsku polskiem nie poszła w niepamięć bytność w Piekarach. 8 grudnia przybywa tu jakiś rycerz polski z dziękczynieniem do N. Panny. Wpadłszy z koniem w nurty Dunaju, nie widząc ratunku, westchnął do N. Panny Piekarskiej i naraz tonącemu pokazał się nieznajomy jeździec, który go bez szwanku na brzeg wyprowadził. Później 2 lutego 1684 kilku jeszcze uczestników wyprawy wiedeńskiej przybywa do Piekar *pro gratiarum actione servatae vitae in bello turcico.*

Z. B.

SCHLIEMANN I JEGO ODKRYCIA.

(Dokończenie.)

III.

Jeżeli powyższe odkrycia Schliemanna w zdumienie wprawiły świat wykształcony, o ileż bardziej zdumiewającemi okazały się wyniki następnych wykopalisk dokonanych na gruncie samej Grecyi!

Po ukończeniu najważniejszych robót w równinie Trojańskiej w jesieni r. 1876 przeniósł dzielny badacz swoją armię robotników na pola Argolidy. Sterczą tam do dziś dnia odwieczne mury grodów Argosu, Nauplii, Tyrynsu i Mycen, jako świadki epok kultury, z któremi zrosły się imiona Danaosa, Atreusza i Agamemnona. Jeśli gdzie to tutaj było pole do uzupełnienia dzieła rozpoczętego w Troadzie. Potężne cyklopskie mury Tyrynsu, które już w starożytności podziw wzbudzały, znęciły też i Schliemanna. Chodziło o rozwiązanie przedwstępnego pytania czy istotnie Tyryns okaże się starszym od Mycen, jak to legendy o jego początku wskazywać się zdają. Zaspokojony tymczasowemi wynikami kilku dokonanych głębokich przekopów, które przypuszczenie zupełnie potwierdziły, zwrócił się Schliemann do „złotych Mycen“; pokusa nie okazała się płonną, gdyż bajeczna mnogość skarbów tu znalezionych, graniczy z nieprawdopodobieństwem.

Myceny rozpadają się na właściwy obwarowany wyższy gród i na niższe miasto, leżące wszakże jeszcze w znacznej wysokości. Przy głównej drodze łączącej te dwa poziomy, ukazują się nadkryte mogiłami dwie olbrzymie budowle okrągłe, powstałe z napiętrzonych kręgów ciosowych o coraz mniejszym w miarę wysokości pro-

mieniu. Długie korytarze prowadzą do ich wnętrza, które przedstawia się na podobieństwo sklepienia ula słomianego. Odrzwia zamknięte są u góry potężnemi nadprożami kamiennemi, ponad któremi zostawiono próżne trójkątne przestrzenie zabezpieczające od wielkiego ciśnienia murów ciosowych. Niegdyś były te trójkąty zapełnione rzeźbionemi płytami. Tak fasady otaczające wejścia, jak ściany korytarzy i wnętrze całe noszą ślady dawnej zdobności, polegającej na architektonicznem uczłonkowaniu płaszczyzn, wyłożeniu ich kolorowymi marmurami, lub stiukiem, urozmaiconym linearną ornamentacyą płasko-rzeźbioną, a gdzieniegdzie metalowemi na klamrach osadzonemi ozdobami. Większą i bogatszą z tych budowli ochrzczono nazwą „skarbca Atreusza“, w języku ludności miejscowej zwała się zawsze „grobowcem Agamemnona“; a pytanie, czy to skarbce czy grobowce? zajmowało uczonych aż do najnowszych czasów. Dziś można je uważać za stanowczo rozstrzygnięte, na korzyść drugiej nazwy. Odkopanie mniejszego grobowca jest wyłączną zasługą pani Schliemannowej.

Znajdująca się powyżej, u wstępu do obrębu górnej twierdzy, brama główna o potężnych rozmiarach, ma budowę zupełnie podobną do wnijść wyżej opisanych, tylko że zachowała do dziś dnia w swojem miejscu płytę, zapełniającą próżny trójkąt. Ma ona 3 metry wysokości i pokrywa ją słynna w historyi sztuki jako jedna z najwcześniejszych znanych rzeźb greckich grupa lwów wspierających się po dwu stronach kolumny. Od nich to brama otrzymała nazwę „lwiej“, a całość mimo wiekowego zniszczenia wywiera jeszcze zdumiewające wrażenie. W rzeźbie tej znanej oddawna, zwracano dotychczas główną uwagę na plastyczną stronę postaci zwierząt; po odkryciach Schliemannowskich w Troi, a zwłaszcza w Tyrynsie okazała się wielka ważność szczegółów jej architektonicznych. Kolumna, a raczej półkolumna w środku pola jest niczem innem jak pierwowzorem słupa doryckiego z kształtów drewnianych wyprowadzonym. Różni on się znacznie od typu powszechnie znanego, ale różnice znajdują analogię i wytłumaczenie w kształtach kolumn najdawniejszych znanych świątyń greckich, w południowych Włoszech. Rząd zaś krążków ponad płytą kapitelu, są to po prostu zakończenia okrąglaków, z których robiono powałę w pałacach ówczesnych.

Co do urządzenia tych pałaców, dałby nam, niezbadany dotąd

grunt akropoli myceńskiej niewątpliwie cenne bardzo wyjaśnienia. Tak przynajmniej spodziewać się każą widzialne części murów fortecznych, należące do najwspanialszych i najstaranniej zbudowanych okazów budowli tak zwanych cyklopskich.

Nie o te jednak w tej chwili chodziło. Przednia część wewnętrznego obrębu grodu, zaraz za bramą lwią, głęboko zasypana była pod gruzami. Tu Schliemann skierował całą siłę roboczą, wiedziony zarówno szczęśliwem przeczuciem jak i wrodzoną oryginalnością w pojmowaniu autorów klasycznych. Niejasny ustęp u Pauzaniasza o grobach Agamemnona i jego towarzyszów wytłumaczył sobie, wbrew powszechnie przyjętemu znaczeniu, tak jakoby tu mowa była o wewnętrznym grodu obrębie. Czy miał słuszność, czy nie, dość, że tam gdzie inni przed nim napróżno czynili poszukiwania, on w krótkim czasie dokopał się skarbów, których bogactwo przeszło najśmielsze marzenia.

Pod grubą warstwą rumowiska, na rodzaju terasy kręgiem kamieni obwiedzionej, napotkano płyty płaskorzeźbione, z wyobrażeniem scen myśliwskich i wojennych robotą grubą i niezręczną, zapewne najstarsze okazy tego rodzaju na ziemi greckiej. Wskazywały one miejsca grobów czworokątnych wykutych w skalistej terasie nakształt szybów kopalnianych. Schliemann odkrył ich pięć, ostatniemi czasy przybył jeszcze jeden odnaleziony przez greckich archeologów. W każdym z nich po kilka trupów było ułożonych równolegle. To co przy nich znaleziono kosztowności, bogactwem swojem przenosi nas w legendarny świat skarbów zaklętych, i potężnie uderzyło ciekawość a nawet fantazyę wszystkich wykształconych ludzi. Homeryczna sława „złotych Mycen“ staje się rzeczywistością, z grobów wstają świadkowie najstarszej kultury, jaka przed tysiącami lat na greckim wykwitła gruncie. Uczeni sądzili, że z poematów Homera świat ten dość dobrze im jest znanym. Znaleźli się nagle w obec mnóstwa niespodzianek i łamigłówek, które przybrały tak wielkie rozmiary, że niektórzy próbowali od skarbów tych całkiem odsądzić Greków, a przypisać je Gotom z czwartego wieku naszej ery.

Nietylko opisy, ale nawet wyliczenie tych kosztowności zajęłoby zbyt wiele miejsca. Sama waga przedmiotów złotych przenosi 5000 sowerenów angielskich. Wystawmy sobie wrażenie, jakie ogar-

nąć musiało przy otwarciu pierwszych grobów. Oto jak się przedstawiły zwłoki w nich zawarte. Na twarzy złota maska, piersi przykryte wielką bogato zdobną złotą blachą. Szerokie ku końcom zwężone i też obficie przyozdobione dyademy i pasy otaczają głowę i ciało. Włosy musiały być sztucznie utrefione, jak świadczą liczne opaski i obręcze misternych kształtów około głowy leżące. Ciężkie, złotniczej roboty naszyjniki, naramienniki i paski świadczyły o ozdobie reszty ciała. Setki guzów drewnianych złotem powleczonych służyły za upiększenie szat i drewnianych pochew od mieczów. Mnóstwo innych ozdób częścią naszywanych, częścią użytych jako klamry i spinki w kształcie różnych zwierząt rzeczywistych i fantastycznych. Złote blaszki leżały dokoła, albo rzędami nawlekane jako łańcuchy i wisiory, albo jako świecidełka porozsypywane. Pełne złote pierścienie zdobiły ręce, a nawet u nóg błyszczały złote sprzączki i inne przybory. Prócz tego brzegi i kąty grobów założone najrozmaitszemi sprzętami, naczyniami i narzędziami ze złota, srebra, spiżu, miedzi, alabastru, kryształu górnego, bursztynu, obsydyanu, kości, a nawet wiele tam doskonale zachowanych wyrobów drewnianych, jak skrzyneczka z zajmującem wyobrażeniem lwa i psa.

Na pierwszy rzut oka najbardziej uderzać musiały, jako niezwykłe, blachy okrywające piersi nieboszczyków i maski twarzowe. Maski te oddają z naturalistyczną wiernością indywidualne rysy nieboszczyków, których twarze pod taką ochroną zachowały się niekiedy dziwnie dobrze. W ustach jednego z trupów można widzieć komplet 32 zębów. W maskach grobowych nie używanych zresztą ani w świecie greckim, ani w okolicznych krajach, wolno dopatrywać się wpływu Egiptu, a domysł ten popierają jeszcze znajdowane w grobach przedmioty z kości słoniowej, z masy zwanej porcelaną egipską, i znalezione jedno strusie jajo. Tego wszystkiego ani śladu nie było w Troi.

Inny nowy dział przybywa w pewnej, choć niezbyt wielkiej liczbie znalezionych w grobach ornamentów z kruszcu lanego lub wygniatanego czy wybijanego w formach. Jeżeli w Trojańskich wykopaliskach złotych ozdoba ograniczała się prawie zupełnie na wycięciach i spajaniach kawałków blachy i drutu, a więc ornamentach czysto geometrycznych i linearnych, to tu przeważają wypukłe kształty zwierzęce i to stylizowane. Są tam motyle, sepie, łabędzie,

orły, lwy, jelenie, lamparty, więc po części zwierzęta wschodnie, a dalej fantastyczne też ze Wschodu zapożyczone potwory jak gryfy, sfinksy, hippokampy. Wpływ azyatycki jest tu uderzającym i niewątpliwym, a stwierdzają go zestawienia symetryczne zwierząt parami. Niektórych kształtów ojczyznę możemy ściśle nawet oznaczyć. I tak w Małej Azyi na płaskorzeźbach pochodzenia czysto oryentalnego napotykamy wzory znalezionego w Mycenach w kilku okazach heraldycznego orła podwójnego. Posążki nagie kobiece z gołąbkami są niewątpliwie figurkami bogini fenickiej Astarty, a w związku stoją z niemi osobliwsze małe wyobrażenia świątyń tejże bogini — jak to przez porównania i inne dane dojść można było. Nie brak wreszcie i wyraźnych śladów styczności ze sztuką asyryjską.

Jeżeli te przedmioty świadczyć mogą jedynie o szerokich stosunkach handlowych, to nie ma też i trudności w okazaniu wielkiej różnicy między poziomem przemysłu przedstawionego w myceńskich wykopaliskach, w porównaniu z trojańskim. Jest cały dział wyrobów z blachy złotej, wyciskanej, niewątpliwie roboty miejscowej, bo nawet znaleziono kilka form do nich. Otóż w ich ornamentacyi znać wyraźnie wpływ jaki na miejscowych robotników wywrzeć musiały klejnoty sprowadzone ze Wschodu. Przybywają tu zupełnie nowe motywy: fenickie palmety, lotosy i rozety odgrywają znaczącą rolę. Tradycye miejscowe wzbraniają używać motywów zwierzęcych, a przecież wkrada się już kształt motyla i sepii lubo zastosowany w niewielu jeszcze razach.

Wszakże nawet w ornamentacyi, trzymanej czysto w duchu tracko-frygijskim, znać pewien polot i swobodę w porównaniu z jednostajną i nieśmiałą skromnością wykopalisk Trojańskich. I tu główną rolę odgrywa tylko czynnik linearny, ale co za obfitość pomysłów, co za subtelność i smak. Co za zręczność w użyciu i kombinowaniu linii spiralnej czyli wężownicy, stanowiącej jeden z najzwyklejszych motywów. Obok niej częste są krzyżyki, ząbki, rauty, naśladujące wzory tkanin, plecionek i robót snycerskich. Nadto postęp widocznym jest w technice wyrobów metalowych, która już umie się liczyć z naturą materyału. Artystyczna robota wolnoręczna, znajduje już szerokie zastosowanie, a w miejsce trojańskich drucików giętych i przylutowanych do powierzchni blachy wchodzi tu wykuwanie linij, czyli t. z. *le repoussé*. W szlachetnym zaś i czy-

stym rysunku wszystkich ozdób, objawia się wysoko posunięta zręczność i wprawa wykonawców.

Odrębny całkiem dział stanowią przedmioty, o których dotąd wcale nie wspomniałem, t. j. kamienie twarde rznięte czyli gemmy i pokrewne im wyroby złote z grawirunkami. Występuje na nich żywioł nowy, bo postać ludzka, z którą dopiero w dziedzinę sztuki dostaje się pierwiastek wyższy, rozumny i etyczny. A występuje ona w sposób pełen siły i życia, choć archaiczny, najczęściej w ruchliwych scenach walk i polowań. Ruchy pełne prawdy i wyrazistości. Kształty ludzkie i zwierzęce schwycone niezgrabnie, ale z prawdą. Wiele jest poszlak pokrewieństwa tych wyrobów z tak zwanymi kamieniami wysp *(Inselsteine)*, osobnym rodzajem kamieni rzniętych, których kolebką i ogniskiem produkcyi była wyspa Kreta.

Jakiż teraz będzie ogólny wynik naukowy? Wszystkie powyższe spostrzeżenia zbierając razem, można śmiało twierdzić, że kultura odsłonięta przed nami przez wykopaliska myceńskie należy do okresu późniejszego od tej, którą przedstawiają wykopaliska drugiej warstwy Hissarliku. Stamtąd pochodzące przedmioty okazują nietylko technikę pierwotniejszą, ale nie znają jeszcze zupełnie wpływów oryentalnych, ani egipskich, naprowadza to archeologów na wniosek, że kultura trojańska była miejscową, tracko-frygijską i jest pozostałością jakiejś ludności tubylczej, może przed-aryjskiej; która żywotniejszemu światu helleńskiemu uległa i ustąpić potem musiała. To jest najnaturalniejszy sposób wytłomaczenia głębszej treści podania o wojnie trojańskiej. W każdym razie wolno wiek tych wykopalisk szacować nie mniej jak na jakie półtora tysiąca lat przed erą chrześcijańską. Iliada powstała o wiele później, może w X. albo IX. wieku przed Chr. Jej twórca kultury tej z wyrobów dziś dla nas przystępnych znać w żaden sposób nie mógł; były one wówczas już dawno zagrzebane pod zwaliskami miasta. Ale ślady jej i wpływy mógł napotkać w kształtach późniejszych sprzętów, naczyń, narzędzi i motywach ornamentacyi, przemysł bowiem i rękodzielnictwo bywają, a zwłaszcza też dawniej bywały, bardzo konserwatywne, a tradycye ich uporczywy mają żywot i przetrwają nieraz długie wieki, liczne pokolenia i przewroty polityczne. Tem tłumaczy się, że wyroby garncarskie, znajdowane w Mycenach, te-

chniką o wiele są niższe od sąsiadujących z niemi najcenniejszych klejnotów, i bardzo przypominają wykopaliska trojańskie.

Wpływy kulturne azyatyckie w znaczeniu powszechnie przyjętem, więc babilońskie i aryjskie, a oraz wpływy egipskie, rozszerzali w krajach okalających morze egiejskie Fenicyanie. Oni byli w odległych czasach, poprzedzających historyczną dobę Grecyi, tym narodem żeglarzy i handlarzy, który zbliżał do siebie dalekie cywilizacye, trudniąc się pośredniczeniem w wymianie ich płodów. Połączenie się w wykopaliskach myceńskich różnorodnych wpływów azyatyckich i mało-azyatyckich i afrykańskich, rzuca z jednej strony nowe światło na lekceważone do nie dawna jeszcze przez hiperkrytykę naukową podania greckie o przywędrowaniu trzech założycieli starych dynastyj w Argolidzie i Beocyi, Danausa z Egiptu, Pelopsa z Frygii, a Kadmusa z Fenicyi, a z drugiej strony zniewala do przypisywania wykopalisk myceńskich epoce późniejszej, rozwiniętego już handlu fenickiego.

Ale nie jestto tylko spotkanie się przypadkowe różnych kultur w różnych obok siebie znajdowanych przedmiotach. Często na jednych i tych samych okazach można widzieć zespolone zgodnie najróżniejsze motywy i techniki, których kolebki leżały daleko od siebie. Nie same tam zatem przedmioty handlu zamorskiego, ale obok nich wiele płodów przemysłu miejscowego, czy krajowego, zostającego już wówczas pod tylu wpływami obcemi. Wznioślejszy charakter ornamentacyi, szlachetność i nowe całkiem motywy, obce sztuce okolicznych narodów, w zestawieniu z wyraźnem pochodzeniem niektórych przedmiotów z Krety, pewna cecha jednolitości a zarazem duchowe powinowactwo z późniejszą sztuką grecką — nie wykluczające rodzinnego jakiegoś podobieństwa ze sztuką indyjską w przedstawieniach figuralnych, — dozwala w tej części wykopalisk myceńskich upatrywać spuściznę po najdawniejszej już indogermańskiej ludności Hellady. Tutaj, jak i w kilku jeszcze innych miejscowościach półwyspu i wysp greckich, spotykamy się nareszcie oko w oko z kulturą i dziełami Pelasgów, którzy, jak twierdzi nauka, w przedhistorycznych czasach opuściwszy Azyą środkową zalali Grecyę i Italię, a są praojcami zarówno Hellenów, jak i ludów italskich.

Że wędrówka odbyła się w czasie krótkim i po najkrótszej

drodze, na to wskazówek mamy podostatkiem. Nietylko pierwiastki sztuki ich rznięcia kamieni pod względem formalnym mają coś wspólnego z techniką, mającą w Babilonii swoją ojczyznę, ale od Lydyi aż do Hellespontu możemy śledzić ich prawdopodobne szlaki, trzymając się zakładanych przez nich miast z pelasgicką nazwą Larissa. Cała ich zresztą kultura, nie wyłączając religii nawet, nosi zupełnie jeszcze świeże i bezpośrednie piętno pochodzenia z praojczyzny indyjskiej. Związek ten wyraźnie przebija w mitach o końsko-głowych demonach i o Prometeuszu. Żeńskiego demona z głową końską, spotyka się zarówno w gemmach pelasgickich, jak i indyjskich rzeźbach, a co więcej, nawet strój postaci ludzkich, na grawirowanym pierścieniu myceńskim, okrywający tylko dolną połowę ciała, zupełnie odpowiada przedstawieniom indyjskim.

Dotykamy się na wykopaliskach myceńskich namacalnie zespolenia się kultury pelasgickiej, przyniesionej z Azyi, ze starą miejscową kulturą, którą możemy nazwać frygijską. Nie ma wszakże powodu przypuścić, aby to ześlubienie w Argolidzie samej miało miejsce. Owszem wszelkie są poszlaki, że nowej, odrodzonej kultury i sztuki kolebką była ludna i miastami zasiana Kreta. Nie brak nawet jasnych ku temu wskazówek u starożytnych. Kretę uważali oni za ojczyznę najważniejszych ruchów religijnych, oraz pierwszego, jeszcze mitycznego greckiego kunsztmistrza Dedala i pokolenia Dedalidów. Zajęciem ich było snycerstwo w drzewie, kucie drogich metali, albo łączenie drzewa, metali i kości słoniowej w kunsztowne wykładane i ryte wyroby. Technika ta ciągnie się od tarczy Homera, aż do skrzyni Kipselosa i ekswotów olimpijskich, a w niej jeszcze początek wzięły dzieła sławne Fidyasza, utworzone ze złota i kości słoniowej.

Na tej sztuki pierwociny natrafiamy w Mycenach. O niektórych już wspomnieliśmy. Ale dopiero w jakiś czas po ogłoszeniu sprawozdania Schliemannowskiego wydobyto na jaw z pod warstwy rdzy na klindze sztyletu, obfitujące w figury wyobrażenie polowania na lwy, utworzone przez wykładanie złotem w bronzie. Jestto rodzaj intarsyi, która pod względem artystycznej wartości układu z pewnością przewyższa wszystkie inne wykopaliska tamtejsze. Z niezrównanem życiem oddane tam zamieszanie walki, natarcie, i odwrót lwów, w kompozycyi nader zręcznie wypełniającej ciasną

trójkątną przestrzeń. Złoto trzymane jest w kilku odcieniach, całkiem jak w owym Homerowym opisie tarczy, której robota nie mogła znaleść lepszej ilustracyi.

Książka „Mykene“ wyszła r. 1878. Nie poprzestając na swojej własnej wiedzy uprosił Schliemann Gladstona do napisania przedmowy. Jak wiadomo głośny angielski mąż stanu obok polityki uprawia także gorliwie filologię grecką, i w niej nawet zjednał sobie imię, które może trwalszem będzie od sławy ministra. Uczony znawca Homera stara się w niej wykazać stosunek kultury myceńskiej do pieśni Homera. Niewątpliwie istnieje pewna liczba punktów stycznych, w których nawet zgodność jest zadziwiająca. Dość przytoczyć słynny kubek Nestora, którego kształty odnajdujemy w jednym odkopanym złotym kielichu tak wiernie oddane, że nawet są na uchach gołębie. Podobnie napotyka się tu owe Homerowe złote grzbiety pochew od mieczów, złote ozdoby rękojeści i bereł, oraz ozdoby z zębów dzika. Obok tego jednak wielkie niezgodności na innych punktach, w zestawieniu z innemi pozytywnemi wskazówkami pewnem czynią, że przedmioty te starsze są od Iliady i Odyssei.

Może przynajmniej można je przypisać epoce bohaterów Homera, czasom potęgi dynastyi Atrydów, których wszyscy książęta Achajów byli wasalami? Tak przypuszcza a nawet śmiało twierdzi Schliemann, nazywając groby myceńskie grobami Agamemnona i jego w powrocie zamordowanych towarzyszów, a w kilku szkieletach kobiecych i dziecięcych upatrując reszty Kassandry, jej sług i potomstwa. Gladstone rozwija obraz jeszcze dalej, każąc wierzyć że to Orest za powrotem kazał groby otworzyć i dla okazania czci swojej zapełnił je temi niesłychanemi skarbami. On sprawiłby także kamienie grobowe rzeźbą pokryte.

Za temi hipotezami przemawia całkiem jednolity charakter klejnotów znalezionych we wszystkich pięciu grobach, oraz pośpiech w grzebaniu nieboszczyków, widoczny w tem iż niektóre zwłoki za wielkie w obec rozmiaru grobów gwałtownie były i bez żadnego uszanowania w nie wciskane. Z przeciwnej strony podnoszą okoliczność, że ziemia napełniająca i pokrywająca groby zmieszaną jest z kosztownościami; a więc groby częściej bywały ruszane i otwierane, skąd wniosek, że służyć musiały wielu pokoleniom, i może były grobami familijnemi dynastyi Persydów, którzy wedle podania

poprzedzili w Argolidzie Atrydów, i przez nich z królestw swoich wypędzeni zostali.

Wątpliwość może nigdy rozwiązaną nie będzie, wszakże nie można odmówić dowcipu argumentacyi Schliemanna, jakkolwiek z pojęciem naszem o potędze Atrydów groby myceńskie nie zupełnie się zgadzają. Są one, prawda, napełnione bogactwami, ale zresztą mogłyby należeć do mniejszych oligarchicznych rodzin, zwłaszcza w epoce, w której złoto mniejszą było rzadkością niż później. Zwycięzcom tych oligarchów, Homerowym absolutnym dynastom, stojącym w bohaterskich czasach na szczycie świetności i siły więcej w uczuciu naszem odpowiadają królewskie istnie grobowce, kopułami swemi jak egipskie piramidy dumnie w górę sterczące, a popiera to uczucie i tradycya starodawna, która je łączy z imionami Atrydów. Podobnych kopułowych pomników znajduje się w Grecyi więcej, a najokazalszy z nich pod Orchomenosem w Beocyi zbadany niedawno także przez Schliemanna, jest prawdopodobnie grobowcem rodziny panującej niegdyś nad ludem Minyów, którego żeglarskie przedsięwzięcia zrodziły podanie o wyprawie Argonautów po złote runo. Jest on wewnątrz równie bogato przyozdobiony płaskorzeźbionemi ornamentami geometrycznemi i roślinnemi, jak dwa pierwsze przez państwa Schliemannów zbadane pomniki. Później odkryto jeszcze opodal nich kilka innych również kopułowych grobowców mniejszych, ale te są nader surowej roboty i bez najmniejszej zdobności.

IV.

Jak wyglądały domy i mieszkania bohaterów podań greckich? Na to pytanie odpowiedzi dostarczyły poszukiwania dokonane w Tyrynsie w latach 1884 i 1885, które tym sposobem dopełniły, jeżeli nie zamknęły, cykl prac niezmordowanego badacza. Gdy ukazała się pierwsza wiadomość w dziennikach, że Schliemann odkopał pałac książęcy przedhistoryczny, a w nim odkrył nawet liczne ułamki malowań ściennych, wrażenie było niezmierne. Z podziwieniem i ciekawością większą niż w obec wszystkich poprzednich odkryć, a może i z niejaką obawą oczekiwano, czy też istotnie naszemu pokoleniu,

miało być danem oglądanie własnemi oczyma tych sławnych siedzib monarszych, których obraz przez opisy Odysei tak silnie wyrył się w wyobraźni ludzi wykształconych.

A i sama miejscowość wcale nie była w obec tamtych poślednią. Jeżeli Mycenom blasku dodają złączone ściśle z niemi imiona potężnego z tragicznym losem ściganego rodu Atrydów, a więc Agamemnona i Klitemnestry, Menelausa i Heleny, Ifigenii, Elektry, Oresta, Hermiony, a obok nich Kasandry i Egista, to Tyryns niemniejszą cieszył się sławą, jako miejsce urodzenia Herkulesa.

Sprawozdanie z wykopalisk ogłoszone w książce „Tiryns, der prähistorische Palast der Könige von Tiryns“ w r. 1886 (w wydaniu francuskiem nawet już w r. 1885) stwierdziło, że zapowiedzi szumne nie były przesadnemi. Wspaniały tom z niezliczonemi drzeworytami i tablicami litograficznemi, fotodrukowemi, chromolitograficznemi, pozwolił dokładnie ocenić całą doniosłość zdobyczy. Pod względem typograficznym i artystycznym każde nowe dzieło Schliemanna świadczy o ogromnym postępie; to ostatnie co do doskonałości techniki tablic może zaspokoić najwybredniejsze wymagania. Stwierdzoną skromnością, czy znajomością granic sił swoich wiedziony, Schliemann w tem dziele mniejszą część redakcyi na własne wziął barki: Na 400 stron książki zaledwo 165 jego jest pióra, i to — prócz krótkiego sprawozdania z przebiegu robót i poglądu na dzieje Tyrynsu, — tylko część specyalna zajmująca się wyrobami glinianemi czyli ceramiką. Część całą opisów architektonicznych powierzył znanemu zaszczytnie architektowi, drowi Dörpfeldowi. Nadto uprosił profesora berlińskiego F. Adlera, który w świecie uczonym wsławił się wydawnictwem pomników budownictwa średniowiecznego północnych Niemiec, aby napisał obszerną przedmowę z naukowem ocenieniem wyników dotychczasowych wykopalisk Schliemanna pod względem dziejów architektury.

Trzeba zaś przyznać, że architektura główną prawie ważność Tyrynsu stanowi. Troja przeważnie zbudowaną była z cegły, która uległa zniszczeniu tak, że tylko o murach warownych można sobie wyrobić jakie takie wyobrażenie. Myceny zapewne zawierają niejeden ważny przyczynek do historyi budownictwa epoki heroicznej, ale dotąd w tym kierunku nie zostały zbadane. Z pałaców Odyseusza, Menelausa, i innych bohaterów nie pozostało nic. Resztki mu-

rów rozwalonych w Itace, nazywane czasem pałacem Odyseusza, na tę nazwę w istocie wcale nie zasługują. Całe wyobrażenie jakie mieliśmy dotychczas o urządzeniu i rozkładzie tych siedzib książęcych przedhistorycznych, polegało na opisach Homera. Lecz mimo przenikliwości komentatorów wiele tu zostawało zagadek dla dzisiejszego czytelnika, który nic podobnego nie może mieć przed oczyma. Homer podaje mimochodem nieco wskazówek, lecz nie opisuje pałaców szczegółowo. Dzięki Schliemannowi tak łatwo nam dziś uzupełnić sobie obraz, który za mgłą pokazywała nam opowieść o powrocie Odyseusza i wymordowaniu gachów. Widzimy potężne mury z bramami ich i basztami. Przez propilee zdobne kolumnami, możemy wstąpić w wnętrze pałacu, obejść podwórze obwiedzione podcieniami, oglądać sień i salę rycerzy, i łaźnię pobliską, i zwiedzić mieszkanie kobiet sąsiednie, z osobnem jego podwórzem i licznemi izbami. Słowem można powiedzieć, że Tyryns jest dotychczas jedynem naszem źródłem do poznania pałaców przedhistorycznych greckich, a źródłem znakomitem. Dokładniej niż gdziekolwiek indziej dały się tu zdjąć plany i pomiary. Na to złożyło się wiele przyczyn.

Materyał użyty do budowy w Tyrynsie był wyjątkowo dobry i trwały. Mury forteczne są zbudowane z olbrzymich głazów twardego wapienia, nietylko w substrukcyach, ale w całej swojej osnowie i siłą swoją już u starożytnych największy wzbudzały podziw. Podanie przypisywało Cyklopom ich budowę, a sława ich była zasłużoną, skoro dziś jeszcze twierdzą znawcy, że są one najpotężniejszemi murami warownemi nietylko Grecyi, ale może świata całego. Dość powiedzieć, że grubość ich dochodzi miejscami do $17^1/_2$ metrów.

Mury budynków mieszkalnych, w obrębie akropoli zamkniętych, w substrukcyach z podobnych złożone są głazów. Wyżej, na wysokość około 1 metra nad dawny poziom składały się z drobniejszego kamienia gliną spajanego, i zachowane są wybornie. Dalsze warstwy zbudowano z cegły surówki, a pożarowi któremu uległy pałace, zawdzięczamy zachowanie znacznych części i tych warstw, albowiem wypalając surówkę, zamienił ją w cegłę czerwoną i twardą.

Ceglane te szczątki sterczały zawsze widzialne w górnej terasie wzniesienia zamkowego. Tak mało starożytnie wyglądał ich materyał, że brano je za resztę budowli jakichś średniowiecznych.

I do najnowszych czasów przewodniki po Grecyi zapisywały najspokojniej, że na Akropoli Tyrynckiej nie zachowało się nic ciekawego.

Wreszcie podnieść warto i to, że gdy zarówno w Troi jak w Mycenach późniejsze warstwy budowlane i cywilizacyjne zakrywają przed nami warstwę z epoki bohaterskiej i utrudniają jej odsłonięcie — tu warstwa ta właśnie jest jeżeli nie pierwszą to z pewnością ostatnią. Z małą bardzo niedokładnością można powiedzieć, że po zburzeniu Tyrynsu, które wbrew dotychczasowym zapatrywaniom historyków, cofa Schliemann wstecz, jeszcze w czasy przedhistoryczne, nic już później nie stanęło na gruzach tej akropoli. A po pracy Schliemanna mury te i ruiny pałacu stają w całej jasności przed naszemi oczyma. Okazały się jako reszty wcale poważne jedynej w swoim rodzaju fortecy z tak odległej starożytności, zbudowanej według jednego planu i pomysłu, powstałej na raz, nie w długiem następstwie pokoleń, których potrzeby zmieniałyby się z czasem.

Nie dość na tem. Jest to dzieło, którego rozkład i technika budownicza przynosi zaszczyt architektom co je wznieśli, a pod względem obronności rodzaj pierwowzoru, z którego możemy powziąć doskonałe wyobrażenie o fortyfikacyi przedhistorycznej. Oprócz sił i środków jakiemi rozporządzali założyciele grodu, przyczyniła się do tego potrzeba wynikła z natury miejsca.

Niezbadana dotąd akropola myceńska, była twierdzą górską, wznoszącą się dumnie na wysokości 277 metrów. Widok jej musiał być wspaniały, ale obronę jej stanowiło już samo położenie. Podobnie jak Pergamos Trojańska, gród Tyrynsu był natomiast warownią leżącą prawie wśród równiny, z tym dodatkiem, że znacznie jeszcze mniej wyniesiony niż tamta, miał za podstawę skaliste wzgórze zaledwie 26 metrów sterczące ponad poziom morza pobliskiej zatoki argińskiej. Stąd wynikła potrzeba wysilenia się na sztuczną obronę, godną siedziby potężnego rodu Alcydów. — Budynki mieszkalne grodu zapewne mniejsze wywierały wrażenie, zasłonięte ogromem murów warownych, lecz dzięki temu możemy dziś podziwiać szczyt tego, na co zdobyć się umiała ówczesna sztuka fortyfikacyjna

Przyjrzyjmy się teraz szczegółom wyników prac dokonanych w Tyrynsie. Jakże przedstawia się plan grodu?

Mury warowne, o których potężnych rozmiarach wspominaliśmy, obejmują dość obszerne wzgórze, o kształcie bardzo wydłużonym od południa ku północy, bo na długość 300 metrów, szerokość jego waha się pomiędzy 45 a 90 metrów. Połowa północna stanowiąca niższą terasę dotąd nie została prawie całkiem zbadaną, bo zachodziły trudności ze strony właściciela, który obsiewa ją zbożem. Łatwiejsza sprawa była z poszukiwaniami połowy południowej, która z powodu zalegających kamieni nie mogła pod agronomię być użytą. Tutaj też na szczęście najciekawsza część całej akropoli, stanowiąca nawet całość osobną i zamkniętą drugim pierścieniem murów obronnych już nieco mniej potężnych. Grubość ich wynosi 8 metrów. Po bliższem badaniu zdaje się, że wielki mur obwodzący całe wzgórze okaże przeciętną grubość 11 metrów, a zdumiewający wymiar $17^1/_2$ metrów od strony południowej wyniknął ze zetknięcia się tutaj na dłuższej przestrzeni murów pierwszej i drugiej kategoryi.

Olbrzymie to dzieło, które w znacznej części stoi do dziś dnia zachowane, a więc zdołało oprzeć się 30-wiekowym przeszło nawałnościom, zbudowane jest z ogromnych wapiennych głazów, między któremi wiele dochodzi do 3 metrów długości na 1 wysokości i szerokości. Obliczono, że niejednego z nich ciężar wynosi 13.000 kilogramów. Takich głazów nie spotykamy w innych, nawet t. zw. cyklopejskich zabytkach. Wywołują one podziw nasz doskonałością środków mechaniki budowniczej, a majestatyczna powaga tych murów słusznie wywołała porównanie ich przez Pauzaniasza do piramid egipskich. — Głazy z grubsza tylko obrobione, i nierównych wymiarów, ale warstwami poziomemi układane, zostawiają szpary i przerwy, które wypełniono mniejszemi kamieniami. Czy do spojenia ich użyto jakiego cementu czy nie, musi być rzeczą niełatwą do wyjaśnienia, skoro sprzeczne o tem zdania wydają sami współpracownicy w dziele wykopalisk i sprawozdania o niem. Zdaje się jednak, że spoiwo niegdyś było, lecz było z gliny, która zeschła się i wypłókaną została przez deszcze; a te czasu miały na to dosyć. W narożnikach i kilku innych punktach muru większego obwodowego pokazały się ślady baszt czworokątnych, które go wzma-

cniały, i których potężne rozmiary przypominają, że w starożytności Tyryntczycy uchodzili za wynalazców budowy wież. Przystęp do zamku stanowiła wznosząca się od strony wschodniej popod murem rampa, zastosowana do odwiecznego prawidła, ażeby napadających bok prawy jako niezasłonięty tarczą wystawionym był na pociski obrońców. Oprócz tego wjazdu głównego, były jeszcze pomniejsze wejścia, jedynie dla piechotnych, jak to wskazują schody wąskie i kręte przez nie prowadzące ku górze. Jedno z tych wejść strony zachodniej, obwarowane jest osobliwszym półkolistym występem wielkiego muru fortecznego — przypominającym nieco barbakakany średniowieczne — w Krakowie rondel bramy floryańskiej — które tak samo jak zapewne występ w Tyrynsie do zbrojnych wycieczek z oblężonej twierdzy służyły.

Wiele trudności dało Schliemannowi i jego towarzyszom wytłumaczenie sobie przeznaczenia szeregów sporych ubikacyj prostokątnych, na których ślady natrafiono w grubości południowego muru fortecznego. Są one połączone korytarzem, tworzącym rodzaj galeryi krytej a bardzo zmyślnie jakby zasklepionej w rodzaj ostrołuku utworzonego z wystających jedna ponad drugą poziomych warstw kamieni. Nowa zagadka stanęła przed niemi w postaci drugiego korytarza podobnie zbudowanego i równoległego, tylko na poziomie wyższym tego samego muru. Łamano sobie nad tem wszystkiem głowę, i upatrywano kazamaty służące do celów obrony. Lecz gdy w roku następnym powrócono do roboty — zagadka zaczęła się wyjaśniać. Natrafiono na całkiem podobne urządzenia także i w innych częściach murów, od zachodu i od wschodu, pokazało się, że kazamaty te nie mogły służyć na mieszkania, bo były bez okien albo z małemi tylko otworami, i że drugi wyższy korytarz był poprostu schodami prowadzącemi z platformy zamkowej przez korytarz niższy do szeregu składów na zboże i inne zapasy dla załogi grodu, gromadzone na wypadek oblężenia. Na podstawie tych odkryć głównie oparto wniosek, że do ufortyfikowania pierwotnych grodów greckich musiano używać budowniczych z Fenicyi, albo nawet, że powstawały one w miejscu starych warownych emporyj fenickich. Rodzaj ten niby sklepienia kamiennego spotyka się w wielu bardzo ruinach osad fenickich dokoła morza śródziemnego, a w kartagiń-

skiej Byrsie znaleziono nawet kazamaty zupełnie do tyryńckich podobne.

Główna droga wjazdowa od wschodu, prowadzi nas przez długi przesmyk pomiędzy murem obwodowym a murem górnego zamku aż do bramy tego ostatniego, a dalej za nią ma ujście na plac dość obszerny. Tu zaczynają się budowle właściwego pałacu, najwyższą terasę zajmującego. Skręcając na prawo, a więc ku południowemu bokowi placu wstępujemy we wspaniałe propilee, tj. rodzaj bramy tryumfalnej przyozdobionej kolumnadą od strony zewnętrznej i wewnętrznej. Plan i wymiary czynią z tego właściwego wejścia na zamek dekoracyę istotnie okazałą. Przeszedłszy, znajdujemy się na ogromnym placu, który z powodu zbudowanego tam później kościołka bizantyńskiego i wykopanych grobów dobrze nie mógł być zbadanym; ale z kilku stron mieści ślady galeryj z kolumnami czy portyków prowadzących do jakichś otaczających go gmachów. Tu może też były stajnie i szopy na wozy, o których wspomina Odyssea. Z tego placu skręcając znów w prawo, a więc ku północy przestępujemy drugie cokolwiek mniejsze propilee, które wprowadzają nas na wielkie płytami wyłożone podwórze. Jesteśmy w części pałacu zawierającej mieszkania męskie.

Podwórze otoczone z 3 stron galeryą i kolumnadą. Blisko wejścia, w podłużnej osi stoi jeszcze dobrze zachowany ołtarz ofiarny, popod którym jama ocembrowana służyła na przyjmowanie krwi bydląt. Naprost ołtarza w głębi podwórza znów portyk z kolumnami, za nim rodzaj sieni a dalej wielka sala. Jest to naczelna ubikacya pałacu, megaron czyli sala mężczyzn. Tu gromadzili się, a zapewne i mieszkali przedniejsi bohaterowie i rycerze w zimie około ogniska zajmującego sam środek i dziś jeszcze nie całkiem zniszczonego. Cztery słupy otaczające je w pewnem oddaleniu dźwigały zapewne powałę, a może odcinały środkową część sali o dachu podwyższonym dla wpuszczenia światła przez boczne otwory. Z placu bowiem nie można odgadnąć, gdzieby w tej sali zewsząd obudowanej były okna jakie. Drzwi żadnych oprócz wejścia od portyku ona nie ma.

Od portyku na lewo cała grupa małych ubikacyj i przejść, których przeznaczenia trudno oznaczyć. Wśród nich jedna, wyraźnie była łaźnią pałacową. Umieszczenie jej blisko głównego wejścia

przypomina, że kąpiel była jedną z pierwszych czynności wstępującego w progi domu, pierwszą rzeczą ofiarowaną gościowi przybyłemu z daleka. Będziemy jeszcze o niej mówić dalej. Za łazienką były prawdopodobnie schody na dach gmachu, są jeszcze widzialne schodki prowadzące na niższą część terasy, jeszcze nie dość zbadaną, a następnie łączące się ze schodami, które przez barbakanę już wspomnianą mają ujście do furtki w głównym murze obwodowym. Była to więc najkrótsza, pokątna i służbowa komunikacya z pałacu na zewnątrz grodu.

Po przeciwnej stronie megaronu, więc na prawo i na wschód, gineceum, czyli mieszkanie kobiet. Z salą mężczyzn, mimo bezpośredniego sąsiedztwa nie miało ono żadnego połączenia i tylko korytarz obiegający je łączył się z korytarzem, który przechodzi z tyłu po za megaronem i przez szereg załamań sionek i przejść, miał połączenie ze schodami służbowemi, prowadzącemi za mury twierdzy. Z głównem zaś wejściem łączyło się gineceum prawie bezpośrednio, przez zewnętrzne wielkie propilee.

Mieszkanie kobiet ma rozkład podobny do mieszkania mężczyzn, tylko wszystko mniejsze i prostsze. Dziedziniec frontowy wskazuje częściową jedynie kolumnadę, portyk kolumn nie miał, za nim nie było sieni, tylko zaraz sala kobiet niewielka, z ogniskiem w środku. Parę izb mniejszych dalej na wschód, z komunikacyą mniej ułatwioną, może mieściło sypialnię władcy, oraz skarbiec pałacowy. Prócz nich mnóstwo izb i korytarzy, których nie dało się wyjaśnić przeznaczenie.

Wszystkie wyżej opisane gmachy, razem z budynkami w części zachodniej wzgórza, niestety zwalonemi przez usunięcie się ziemi, musiały tworzyć wielką i wspaniałą monarszą rezydencyę.

Ale skąd pewność, iż to istotnie była rezydencya? Wszak nie ma na to dowodów, ani w inskrypcyach, ani w opisach jakichś przez starożytnych nam przekazanych. Wątpliwość niejednokrotnie podniesiono, a niedawno wystąpił z nią przed szerokie grono czytelników w *Revue des deux Mondes* Emil Burnouf, w artykule, wydrwiwającym naiwne zuchwalstwo, z jakiem Schliemann stawia hipotezy i naciąganemi broni ich dowodami. Według Burnoufa, to co Schliemann uważa za salę mężczyzn i salę kobiet, to były świątynie główne miejsce zajmujące, a przez nie całe wzgórze poświęcone

było czci bóstwa, zapewne Herkulesa, skąd dalszy związek z kultem słońca i t. d. W tem przypuszczeniu mieszkania właściwe zajmowałyby drugi plan, miejsce, które w stosunku do siedziby boga należy się słusznie człowiekowi.

Bardzo to wszystko piękne; a przemawia za tem jeszcze i okoliczność, że Schliemannowski megaron, czyli sala mężczyzn, zwrócony jest czołem do południa, a na ścianie jednej z pobliskich ubikacyi znaleziono wyobrażenie człowieka, poskramiającego byka. Cóż kiedy proste uważne przyjrzenie się planowi okazuje, że ten kompleks izb, sionek, korytarzy, schodków i przejść nie mógł być przeznaczonym na co innego, jak na mieszkanie i gospodarskie cele. Że wśród nich znajdują się dwie sale większe, rzecz prosta w takim pańskim pałacu. Prawda, że te sale planem swoim przypominają świątynię grecką pierwotną, ale to tylko okazywaćby mogło pochodzenie typu świątyni z typu domu mieszkalnego. Zresztą cóż znaczyłoby w świątyni owo ognisko na środku, które ołtarzem nie mogło być, bo nie ma studzienki na krew ofiar?

Przeciwnie mnóstwo argumentów potwierdza przypuszczenie Schliemanna. Witruwiusz[1] opisując dom mieszkalny grecki, mówi tak, jakby patrzał na wielki dziedziniec tyryncki. „Podwórze to, *(peristylion)* z trzech stron ma portyki czyli kolumnady, zaś od strony mającej widok na południe, a więc od północy właściwie, okazuje dwie *anty* znacznie od siebie odległe (przedsionek z występującemi bocznemi zakończeniami murów). Miejsce to nazywa się *prostas* albo *parastas* i przylegają doń wielkie sale mieszkalne".

Na bardzo wiele szczegółów rozkładu tych mieszkań można znaleźć potwierdzające miejsca u Homera, zebrane zresztą przez Schliemanna z drobiazgową skrzętnością. Wystarczy parę z nich przytoczyć Korytarz np. nader wąski między salą mężczyzn a gmachem kobiet, jakże przywodzi na pamięć ustęp Odysei[2], gdzie Telemak z pomocą pasterzy owe niegodziwe dziewki służebne „zapędzili pomiędzy kuchnię i silny mur podwórzowy, w miejsce ciasne z którego uciec nie było sposobu".

Jeszcze wyraźniejsze są alluzye do ołtarza umieszczonego na po-

---

[1] De arch. VI., 7.
[2] XXII., 458—459.

dwórzu gmachu mężczyzn. Odgrywa on w życiu domowem bohaterów ważną rolę, i nieraz bywają wspomniane ofiary całopalne na nim czynione zwykle Zeusowi. Taki ołtarz znajdował się też w pałacu Odyseusza. Podczas rzezi gachów, śpiewak Phemios, będący w sali mężczyzn „stał blisko wyjścia schodami opatrzonego, trzymając cytarę dźwięczną. I ważył w myśli, czy ma wyjść z izby i usiąść w dziedzińcu u stopni dobrze zbudowanego ołtarza wielkiego Zeusa herceeńskiego, na którym Laertes i Odyseusz spalili byli liczne udźce wołów“ [1].

Ale na co wyszukiwać zgodności z Homerem, który dla Burnoufa żadną tu nie jest powagą? Wszak Odysea jest powieścią, a dworzec Alkinousa pałacem z tysiąca i jednej nocy. Zresztą nawet Iliada, czyż to ewangelia? Z taką argumentacyą trudno się rozprawiać; dowodzi ona tylko powierzchowności sądu. Zapewne, że Odysea jest fantastycznym poematem, a w Iliadzie niejedna da się wykazać niedokładność, ale czyż zamki z tysiąca i jednej nocy mógłby opisać ten coby nigdy nie był widział rozkosznych i kapiących od złota rezydencyj mocarzy wschodu? Zapewne że Schliemann czasem uniesiony zapałem dla swoich odkryć, mija się ze ścisłością naukową, ale czyż z drugiej strony można nazwać metodą naukową zaprzeczanie opisom Homera wszelkiej realnej podstawy, wszelkiego pozytywnego tła? Jeżeli śpiewak Odysei, żyjąc kilka wieków po epoce bohaterów, nie był naocznym świadkiem ich walk i czynów, nie patrzał na ich życie, urządzenia, sprzęty i stroje, jedno jest pewnem: że mógł jeszcze widzieć niejednę z budowli im współczesnych, ich grody i pałace mieszkalne, których potężna budowa liczne przetrwała pokolenia.

Jednym zaś z najwymowniejszych dowodów przeciw twierdzeniu Burnoufa jest łazienka, której niezaprzeczalne ślady znalazły się w pałacu Tyrynckim. Jest to niewielka izba, półczwarta metra w kwadrat, z zachowaną do dziś dnia posadzką z jednego olbrzymiego płaskiego głazu. Przewiercony w narożniku nad samą posadzką otwór w jednej ze ścian izby, służyć musiał za kanał do odprowadzenia wody rozlanej, a odszukane ślady dalsze tego kanału jakoteż i innych odprowadzających wodę z odkrytych dzie-

[1] Odysea XXII, 332—336.

dzińców, doskonale widzieć się dają miejscami na planie. Znaleziono nawet jeszcze w nich dreny. W tej łaźni domyślać się trzeba wanny przenośnej. Szczęście, które nie odstępuje Schliemanna, dozwoliło mu stwierdzić i to przypuszczenie. W sąsiedniej ubikacyi, gdzie widocznie przy jakiemś spustoszeniu wyrzucano potłuczone skorupy, napotkał on na wielki $^3/_4$ metra długi odłam bardzo mocnej i grubej terakoty z zachowanym brzegiem i silnem uchem. Krzywizna brzegu i płaszczyzny pozwala uzupełnić resztę kształtu naczynia tak, aby przedstawiało wannę podobną do dziś jeszcze używanych.

Dobrze, ale jeżeli to wszystko prawda — więc nie było żadnej świątyni na całej przestrzeni grodu? Czy godzi się to ze znaną nam czcią Greków dla bogów, z usposobieniem ich religijnem a nawet zabobonnem? Nie, tak być nie potrzebowało. Prócz ołtarzy umieszczonych pod gołem niebem na podwórcach pałacu, mogły świątynie znajdować się w części południowo-wschodniej górnej platformy zamkowej. Nie da się ona zbadać. Część jedna budynków przez obsunięcie góry zawaliła się bezpowrotnie — nieco dalej na przeszkodzie stanęły podwaliny dużo późniejszego kościoła bizantyńskiego i groby go otaczające. Może już nigdy nie dojdziemy, co pod niemi było dawniej. Ale wiadomo, że tradycye miejsc kultowi religijnemu poświęconych bywały bardzo trwałe; nieraz z zasady chrystyanizowano pogańskie miejsca święte przez zajmowanie ich pod kościoły na cześć Boga jedynego stawiane. Czyż i w Tyrynsie tak być nie mogło?

Opisując ogólny rozkład pałacu musiałem pominąć wiele ciekawych szczegółów jego urządzenia. I tak np. zachowało się na swojem miejscu kilkadziesiąt kamiennych progów, które dają nam wskazówkę co do systemu wszystkich bez mała bram i drzwi budynku. Obrobiona i wygładzona górna powierzchnia tych głazów silnie w fundamentach osadzonych zawiera bowiem wykute zagłębienia wskazujące naprzód, że wrota obracały się na czopach, a następnie, które z nich były jednoskrzydłowe, a które dwuskrzydłowe. W jednem z takich zagłębień zachowało się jeszcze w stanie wyśmienitym spiżowe okucie czopu, w kształcie czapki całkowicie go zakrywającej, bardzo starannie wyrobione. Trzy dziury w niem służyły do wpuszczenia gwoździ lub śrub mocujących, a zostawiona w bocznej ścianie przerwa dla przeprowadzenia skrzydła wrót, każe

przypuścić, że było ono drewniane, z forsztu 95 milimetrów grubego, i że razem ze skrzydłem obracał się cały czop dolny. O górnych nie mamy dobrego wyobrażenia. Za to położenie otworu w progu dozwala często obliczyć dość dokładnie szerokość skrzydeł. Nadto w bramie głównej fortyfikacyjnej zachował się w murze bocznym otwór głęboki wskazujący, że już wówczas znano zapieranie wrót przez belkę obu końcami w mur zapuszczoną i wysuwalną.

Wspominałem już o materyale budowy murów. O ile w częściach fortyfikacyjnych kamień jest tylko łamany i z grubsza ociosany, o tyle wszędzie gdzie był widzialnym w ścianach właściwych budynków, przedstawiają się głazy, jako starannie obrobione, o kształtach prostokątnych, a powierzchownie nawet okazują niemylne ślady piłowania. Ale ciosy nie sięgają poza wysokość cokołu. Dalej ściany były z cegły, w niektórych ubikacyach obłożonej rodzajem boazeryi, w drugich może płytami spiżowemi. Ślady tego wykładania, a raczej umieszczenia i przytwierdzenia płyt, są widoczne. W innych izbach ściany pokrywał stiuk. Sufity tak jak w Troi były płaskie bez wyjątku, z dylów oblepionych gliną. Nie brak świadectw, że podobnie jak w Egipcie i w ogóle na wschodzie, sypiano nieraz na płaskim dachu. Dość wspomnieć o Elpenorze, towarzyszu Odyseusza, który spojony zasnął na dachu mieszkania Circy, a nagle zbudzony spadł na dół. Węgary drzwi i wspomniane wyżej parastady były z drzewa; podłogi miały rodzaj polepy urobionej z wapna i drobnych kamyków, albo i z samego tylko wapna, według tego czy była więcej lub mniej na wpływ powietrza wystawiona. W sali mężczyzn widać w niej jeszcze ryte prostolinijne rysunki z śladami zapuszczanych w nie barw, czerwonej i niebieskiej. W Troi znajduje się tylko ubita na sposób klepiska glina, o jakiej zresztą mówi Homer w opisie pałacu Odyseusza.

Do najważniejszych wyników poszukiwań należy wykazanie w Tyrynsie całych szeregów kolumn, których użycia nie ma śladu w Troi. Jestto drugi dowód znacznego postępu. W licznych miejscach zachowały się jeszcze płyty kamienne, które słupom służyły za podstawę. Tych ostatnich szczątków nie ma; były one drewniane, tak jak i parastady, średnicy ich dojść można z kół zarysowanych na podstawach, z wysokości zaś mieszkań wynika, że długość ich wynosiła 10—12 średnic. Kapitelów wzór zapewne podaje płaskorzeźba

bramy lwów w Mycenach; jego proste kształty były podstawą, na której rozwinął się późniejszy kapitel dorycki. Nietylko że kolumny takie obiegały podwórza pałacowe, stały przy wejściu do znakomitszych części pałacu i tworzyły propilee bram tryumfalnych, ale przy ostatnich poszukiwaniach znaleziono ślady kolumnad koronujących mury warowne od strony wewnętrznej. Musiały one nadawać twierdzy wejrzenie wspaniałej i bogatej zdobności.

Jednym z najcenniejszych szczegółów artystycznej ozdoby pałacu jest przepyszny fryz alabastrowy, znaleziony w kilku znacznych odłamach w przedsionku sali mężczyzn. Ornamentacya jego składa się z przeplatanych płaskorzeźbionych motywów prostolinijnych i liściowatych, robiących zdaleka wrażenie podobne do fryzu doryckiego z tryglifami. Wypukłe środki rozet i wężownic, oraz kwadraciki obiegające wstęgą główne części rysunkowe, okryte są glazurą niebieską. Tak wytworny rysunek i pomysł, jak śliczne modre zabarwienie, czynią z tego fryzu jednę z najświetniejszych pozostałości dekoracyi architektonicznej owych odległych czasów. Dodaje jej atoli jeszcze znaczenia zestawienie z Homera wzmianką w opisie pałacu Alkinousa (Odysea VII, 86): „Spiżowe ściany biegły po obydwóch stronach domu począwszy od progu w głąb daleko, zakończone u góry błękitnym *kyanos* (gzymsem)".

O znaczenie homerycznego przymiotnika *kyanos* długie spory wiedli uczeni niemieccy, aż nagle wykopaliska Tyrynsu dozwoliły nam w ten sposób oglądać wyjaśnienie jego, zaś inne poszukiwania Schliemanna wydobyły na jaw w różnych miejscowościach Grecyi pokrewne motywa ozdoby.

Niemniej cennem odkryciem były pozostałości fresków, zachowane w wielu częściach pałacu na tynku ścian. Bogatą skalą igrają na nich w rytmicznej kolei barwy: czarna, czerwona, żółta i niebieska. Są to w zmyślnym układzie lub połączeniach skromne prostolinijne fryzy, albo bogate wężownice i zwoje ślimakowe, rozety i łuski najróżnorodniejsze. Niejeden z tych motywów powtarza się w malowanych lub rzeźbionych ozdobach innych miejscowości. Rzadsze są wzory roślinne i liściaste, niekiedy bardzo szlachetne i delikatne. Wreszcie najbardziej osobliwem jest przedstawienie rozpędzonego byka, na którego grzbiecie młodzieniec nagi w postawie akrobatycznej unosi się, chwytając go za rogi. Pomimo fałszywego

stosunku między wielkością zwierzęcia a człowieka, uderza tu wybitny realizm kształtów, życie i prawda ruchu, oraz zręczność techniczna stojąca w rażącej sprzeczności z nieudolnemi wyobrażeniami postaci ludzkich i zwierzęcych na licznych wazach również w Tyrynsie znajdowanych. W obec niesłychanej rzadkości malowań ściennych greckich, odkrycie wcale znacznych ułamków fresk zdobiących ściany pałaców z przed kilku tysięcy lat nabiera podwójnej wagi, i nie dziw, że w swoim czasie ciekawe odkrycie to tak wielkiego nabrało rozgłosu w świecie uczonym i po za nim nawet.

Rzucając jeszcze raz okiem na całość pałacu, jak się ona nam obecnie przedstawia, możemy powiedzieć, że pięknością i jasnością układu przewyższa on wszystko, co po starożytnym zostało Wschodzie. Zwłaszcza jeśli pałac ten porównamy z jedynym dobrze nam znanym asyryjskim, w Korsabad, widzimy tam przepych azyatyckiego despotyzmu, tu zaś bardzo wybitne piętno ducha greckiego. Wyrażające się w pomyśle umiarkowanie obok niepospolitej okazałości, stopniowanie efektów, a przedewszystkiem bogate i urozmaicone zastosowanie kolumnad nadaje pałacowi tyrynckiemu niezaprzeczoną wyższość artystyczną. W tych obszernych salach przytykających do przewiewnych a jednak podcieniami zaopatrzonych dziedzińców, otoczeni wspaniałemi i rozległemi widokami tak gór jak morza, musieli ludzie tutaj oddychać swobodnie. Niezmiernie ułatwiona komunikacya tak dla panów zamku jak dla służby pałacowej świadczy dobrze o praktycznym zmyśle budowniczego. Liczne ślady wskazują, że kanałów i ścieków dla wody nie brakowało. Ład, czystość, jasność, miara, szlachetność, wytworna okazałość artystyczna, na tle pięknej przyrody — wszystko to są warunki, które cechują całą sztukę grecką, dając jej w dziejach cywilizacyi świata jakieś odrębne, arystokratyczne, piętno. Słowem, jak w Mycenach widzieliśmy głównie pierwociny rzeźby i drobnej sztuki greckiej, tak w Tyrynsie podobno stoimy u kolebki monumentalnej architektury tego tak wyjątkowo artystycznie uposażonego narodu. Całą jej późniejszą wielkość, wszystkie jej zalety oglądać tu możemy w zarodku.

V.

Oto w pobieżnem streszczeniu wyniki mało co więcej niż dziesięcioletniej pracy jednego człowieka. Rezultat w każdym razie

olbrzymi. Nie przechwalając się nim, ale z uczuciem szczęśliwego znalazcy, który swoim skarbem chce się podzielić z jak najszerszem gronem znajomych, śpieszył się Schliemann z ogłaszaniem swoich zdobyczy.

W świecie uczonych znaleźli się niebawem podejrzliwi lub niechętni, którzy starali się zmniejszyć doniosłość odkryć. Punktów zaczepienia dla zarzutów nie brakło. Schliemann nie jest uczonym z rzemiosła, późno wziął się do nauk, uczył się sam bez systemu, nie zdawał egzaminów, nie dobijał się zwykłą drogą stopni akademickich. Uniesiony powodzeniem w odkryciach, zaczął nieco gorączkowo rzucać twierdzenia, stawiać hipotezy, tłumaczyć teksty klasyków, cel tylko swój mając zawsze na oku. Zdarzały się w tem pewne nieścisłości, było czasem zbyt śmiałości w przypuszczeniach, pewne naciąganie rzeczy, popuszczanie wodzy fantazyi. Uczeni więc dalej podchwytywać słabe strony i ośmieszać zuchwałego samouka czy samozwańca, co śmiał uczyć rozumu patentowanych mędrców poprawiać ich błędy, prostować twierdzenia, podawać w wątpliwość ich dogmata i wywracać ich powagi.

Już miałem wyżej sposobność wspomnieć o takich atakach wychodzących od zazdrosnej kasty uczonych. Było ich więcej, a sprawa przeniosła się do dzienników, oraz w szersze koła wykształconej publiczności. Epilog znalazły te wycieczki niedawno, bo zaledwie dwa miesiące temu. Sprawozdawca *Times'a* p. Stillman zaczepił ostro twierdzenia wielkiego badacza co do wieku wykopalisk Tyrynckich, a uczynił to w tonie i stylu, o którego zjadliwości wyobrażenie da następujące zdanie: „Dr. Schliemann dał się opętać najdziwaczniejszym przywidzeniom *(hallucinations)* niedouczonego marzyciela, jakie literatura wykazać może“. Otóż na wezwanie angielskiego stowarzyszenia helleńskiego przybyli d. 2 lipca Schliemann i dr. Dörpfeld z Aten do Londynu, aby w odpowiedzi wyłożyć rzecz swoją. Rozgłos sporu ściągnął tłumy publiczności do sali towarzystwa starożytników; natłokowi jej nie zdołał ani trochę przeszkodzić straszliwy upał, który właśnie nastał po dłuższym czasie niepogody.

Po krótkiej wstępnej przemowie przewodniczącego, rozpoczął się wykład Schliemanna, którego wrażenie było stanowczo rozstrzygające. Do tryumfu przyczyniła się odczytana przez uczonego Newtona

w angielskiem tłumaczeniu rozprawa dra Dörpfelda, który pod koniec zresztą sam przemówił też po niemiecku z najzupełniejszem powodzeniem. Wszystkie, jakie tylko się wyszukać dały zarzuty przeciw przedhistorycznej starożytności wykopalisk, czy to ze względu na cegłę surówkę, na rurkowate świdry, kamienne piły, czy ze strony teoryi napływu celtyckich hord do Peloponezu, wszystko to wywody prelegentów obaliły, zdruzgotały. Nie przeszło niepostrzeżenie to, że główny oponent, sprawozdawca *Times'a*, wcale się nie zjawił na zgromadzeniu. Odrzucił on też był przed niejakim czasem uczynioną mu przez dra Dörpfelda propozycyę udania się razem do Tyryntu, aby na miejscu przedyskutować każdą wątpliwość. Gotowość tę objawił obecnie dr. Dörpfeld jeszcze raz i to zwracając się do wszystkich uczestników zgromadzenia. Silne wrażenie wywarła przemowa profesora Middletone z Cambridge, wielkim zasobem znawstwa popierająca z naciskiem opinie obu poszukiwaczy. Wywodów jego nie osłabił głos przeciwny pana Pelhama. Wreszcie wystąpił pewien niemiecki mowca, dowodząc, że w styczniu zmarły najznakomitszy angielski pisarz w przedmiocie budownictwa tak starożytnego jak nowszego, i niegdyś członek zarządu towarzystwa helleńskiego, dr. James Fergusson, oznaczył epokę założenia grodu tyrynckiego po gruntownych dochodzeniach, na XV. wiek przed Chr. A z pewnością nie był on świadkiem stronnym, gdyż jawnie zwalczał mniemanie Schliemanna, jakoby wzniesienie murów Tyrynsu było dziełem Fenicyan. W tym punkcie obstawał Fergusson przy tradycyach klasycznych, zgodnie z wywodami dra Adlera w przedmowie do dzieła Schliemannowego, że pierwowzoru budowli zdobiących Argolidę, szukać należy we Frygii i Licyi, a więc w trackich krainach Małej Azyi.

Pod tym względem podobno miał zupełną słuszność a uporczywe „semityzowanie“ początków budownictwa należy do dowcipnych mrzonek, w które niejednokrotnie Schliemann popada, a które tylko przyczyniają się do zamącania pojęć. Łatwy stąd asumpt do wycieczek przeciw nienaukowym uprzedzeniom, naiwnej łatwowierności, i brakom krytycznej metody. A jednak gdyby nie ta naiwność i nie uprzedzenia, świat może długo jeszcze czekałby i na wielkie odkrycia Schliemanna. Drobne usterki i błędy odpadną powoli jak plewy, ale zostanie ziarno wielkich prawd i zdobyczy naukowych

na wieki z imieniem Schliemanna złączonych. Zresztą niejedna hipoteza jego, z początku podawana w wątpliwość, już dziś nabiera znaczenia pewnika naukowego. Wielkie powagi, jak dopiero zmarły Ranke i Virchow, obok wielu innych, przyznają i głoszą np., że istotnie tę Troję, którą opromieniło podanie i poezya, udało się Schliemannowi odnaleść. Lübke, głośny i zasłużony historyk sztuki, pisze się prawie bez zastrzeżeń na większą część innych twierdzeń Schliemanna. Coraz więcej hipotez jego zdobywa sobie prawo obywatelstwa w nauce, a postać samego badacza, rośnie coraz bardziej, i już dziś można przepowiedzieć, że imię jego będzie żyło otoczone sławą i wdzięcznością potomności.

Aureoli sławy, jaka otaczać będzie tego wielkiego „dyletanta“ nie przyćmią odkrycia uczonych niemieckich w Olimpii, ani ateńskiego towarzystwa archeologicznego w Eleuzis, ani Francuzów w Delos, ani wyprawy archeologiczne różnych uczonych i mecenasów do Pergamu, do Miletu i Pamfilii w Małej Azyi. Każde z tych przedsięwzięć rzuca silny promień światła na jakąś część dziejów i jakąś stronę kultury greckiej. To czego dokonał Schliemann, nietylko jako dzieło jednego człowieka i lat niewielu jest zdumiewającem, lecz przez związek z bohaterskim światem podań aryjskich i pieśni Homerowych, zapewnioną ma największą popularność i najżywszy budzić zawsze będzie interes, jak długo istnieć będzie europejska cywilizacya. Dzięki Schliemannowi, rozdarła się tajemna zasłona, która dotąd kryła przed nami kolebkę kultury greckiej, a zatem i naszej własnej, będącej tylko córą tamtej. A co najważniejsza, wykopaliska jego w Troi, Mycenach i Tyrynsie, tak szczęśliwie się dopełniają, że wyniki jednych znajdują wyjaśnienie w drugich, a przez zestawienie wszystkich razem, staje przed nami, prawie w całości swej, obraz Grecyi przedhistorycznej w epoce bohaterskiej.

Nie dość na tem. Zasługa Schliemanna nie jest archeologiczną tylko. Nabiera ona nowej doniosłości i nowego uroku, gdy zważymy jaki wpływ wywarły jego odkrycia na skierowanie umysłów ku przedmiotom humanistycznym. W epoce realizmu, panowania nauk przyrodniczych i umiejętności praktycznych, nadzwyczajne odkrycia człowieka, który się pod szczęśliwą jakąś urodził gwiazdą, nagle zwróciły oczy ludzkości w stronę zupełnie inną, w świat pojęć in-

nego porządku. Potrącenie to było potrzebne, jako przeciwwaga w obec groźnego prądu materyalizmu. Ale rzecz prosta, iż nawet taki idealny zwrot w naszej epoce dokonać się musiał na podstawie realnej. Nie rozumowania i dedukcye, ale „umiejętność kilofa“, czarodziejskiem zaklęciem wydobyła na jaw z pod ziemi cały świat dziwów i skarbów, i zbudziła do nowego życia myśli zakute w kamieniu i złocie, przez tysiące lat uśpione.

Tak to z twardej ziemi, z twardszych jeszcze głazów i kruszców, krzesiwo pracy i nauki zdoła wykrzesać iskrę poglądów wzniosłych i uszlachetniających, wyrywających nas z codziennej rzeczywistości, w sfery idealne, a przecież tak realne, jak historya kultury i historya sztuki, a więc dzieje idei obowiązku, idei piękna i idei religii. Nauczająca to wskazówka.

Na tej drodze, licząc się zarówno z dotykalną rzeczywistością, jak z warunkami historycznemi i idealnemi wymaganiami umysłu ludzkiego, wiele dokonać można. I wiele jeszcze zostaje do dokonania.

Świetny początek przez Schliemanna dany, oby służył za wskazówkę, że nie zimny sceptycyzm, ale wiara w prawdę i miłość jej może spełniać cuda, nawet naukowe.

Stanisław Tomkowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Św. Jana Chryzostoma wykład ewangelii św. Mateusza w 90 homiliach zawarty. Z greckiego na język polski przełożył *Jan Krystyniacki,* prof. IV. gimn. we Lwowie. Lwów 1886. Tom I. Str. XXVIII. i 320.

Że dzieła Ojców kościoła, jako świadków i tłumaczy nauki objawionej, zajmują miejsce pierwszorzędne między pomnikami Tradycyi, że mieszczą w sobie nieprzebrane skarby wiedzy religijnej, że na nich wykształciło się i urosło w znaczenie wszystko, co mamy znakomitego w teologii i kaznodziejstwie, od Tomasza z Akwinu do Bossueta: tego dowodzić nie potrzeba, są to rzeczy znane i uznane powszechnie. Szkoda tylko, że zazwyczaj niepodobna wynieść z gimnazyum znajomości języków klasycznych w tym stopniu, iżby się zdołało czytać Ojców kościoła w tekscie oryginalnym, bez napotykania wielorakich trudności lingwistycznych. W tem, obok innych okoliczności, szukać należy przyczyny zjawiska wcale nie pocieszającego, że nawet kapłani częstokroć nie są dostatecznie obznajomieni z literaturą patrystyczną. W obec tego stanu rzeczy pożądane są przekłady owych pism na języki nowoczesne, bo ułatwiają lekturę tyle pożyteczną. Takich tłumaczeń istnieje sporo gdzieindziej; w Niemczech np. złożyłoby się z nich okazałą bibliotekę, a niektórzy Ojcowie doczekali się kilku przekładów. U nas na tem polu nie wiele się robi. Liczbę chlubnych wyjątków pomnaża obecnie cenna praca prof. Krystyniackiego, który spolszczył homilie św. Chryzostoma na ewangelię św. Mateusza. Dotychczas wyszedł tom

pierwszy i zawiera, oprócz wstępu, homilij 25. Mamy tu przed sobą przekład dokonany z oryginału a opracowany sumiennie.

W tłumaczeniu radziśmy widzieć dwa głównie przymioty: wierność i ścisłość. Wierność polega na dokładnem oddaniu myśli autora, bez uronienia lub przydania czegokolwiek; przez ścisłość rozumiem zachowanie kolorytu, cechującego pierwotwór pod względem stylu, więc zatrzymanie tychże samych form i zwrotów, tego samego porządku w zdaniach i wyrazach, o ile da się to uskutecznić bez pogwałcenia praw, krępujących język, na który tłumaczenie zostało dokonane. Otóż praca prof. Krystyniackiego celuje przedewszystkiem wiernością, świadczącą, że tłumacz gruntownie poznał i tę greczyznę, którą się posługiwano za czasów św. Chryzostoma i właściwości językowe samegoż św. Doktora. Kto zestawi staranny przekład łaciński Aniana z polskim, i tam gdzie się różnią, porówna tekst grecki, przekona się, że różnica wychodzi na korzyść przekładu polskiego. Co się tyczy drugiego warunku dobrego tłumaczenia, to prof. Krystyniacki zdaje się obawiać tego, iżby go nie pomówiono o brak ścisłości (ob. str. XI.); mnie się wydaje przeciwnie, że, jeżeli tu grzeszy, to chyba zbytkiem, a pragnąłbym szczerze, aby w następnych tomach szanowny Profesor mniej się wiązał względami ścisłości, i częściej np. niż to czynił dotychczas, rozbijał zdanie złożone na kilka współrzędnych, gdy konstrukcye imiesłowowe miałyby budowę zdania polskiego zrobić niezwykłą, zbyt sztuczną i zawisłą. Tak postępując nie sprzeciwi się czci winnej Ojcom i ich pismom; owszem pójdzie za ich duchem, bo właśnie tem różnią się Ojcowie św. przedewszystkiem od retorów pogańskich, że ostatnim chodzi głównie o formę artystycznie wykończoną, choćby ze szkodą jasności, pierwsi zaś głównie dbają o myśl i dla jej uwydatnienia nie wahają się nigdy poświęcić formy.

Polszczyzna przekładu w ogóle dobra; w doborze wyrazów widać chęć i zdolność dostrojenia się do powagi przedmiotu. Tu i owdzie tylko napotyka się usterki, które kłaść należy na karb chwilowego roztargnienia, jeżeli — co o znacznej ich części przypuścić można — nie wkradły się w tekst przez nieuwagę odpisywacza lub drukarza.

Tak czwartemu przypadkowi udzielono stanowczo za wiele przywilejów, np. „pilność jaką dokładamy“ (str. 55), „stara się *to*

dowiedzieć“ (str. 146), „wszystk*ie* przykazan*ia* zaniechawszy“ (str. 180), „mniejsz*e* rzeczy udzieli“ (str. 227). Tu należy kilkanaście razy powtórzone użycie 4-go przypadku przy słowach przechodnich wprawdzie, lecz połączonych z negacyą, np. „byłby *ją* nie zatrzymał“ (str. 37), „abyś ewangelist*ę* nie trudził“ (str. 38), „któr*ąby* tak nie nazwał“ (str. 43). Dość często a wadliwie zdanie rozpoczyna się od zaimka zwrotnego, lub bez akcentowych form zaimka osobistego, np. „c i pokazać“ (str. 15), „m u podchlebiał“ (str. 49), „c i ę ogarnie (str. 52), „s i ę nawracają“ (str. 59). Niekiedy znajdzie się też germanizm: jak „pod temi słowami rozumieć“ (str. X., 79, 303), zamiast: „przez te słowa“, lub „jak długo — tak długo“ (str. 77, 86, 185, 263) zamiast: „dopóki — dopóty“; „dumny na coś“ (str. 105, 122, 243), „zapomnieć na coś“ (str. 146), „obwiniać z czegoś“ (str. 158) zamiast: dumny z c z e g o ś, lub c z e m ś, zapomnieć c o ś lub o c z e m, obwiniać o c o ś. Niepolskie są formy: „unikli“ (str. 84), „przyciągli“ (str. 3), „zaciągliśmy“ (str. 184) zamiast: uniknęli, przyciągnęli, zaciągnęliśmy i „karamy“ (str. 211) zamiast karzemy; „poganów“ (str. 156) zamiast „pogan“. Zamiast „opamiętuje się“ (98) i „dokonujemy“ (str. 269) lepiejby niewątpliwie brzmiało: „opamiętywa się“, „dokonywamy“. W słówku „ani“ widocznie się autor lubuje; we wielu razach można je było zastąpić wyrazami: „bynajmniej“, „wcale nie“, „zgoła nie“, a już dla samej rozmaitości wypadało to uczynić. Z pomyłek drukarskich, (których spisu brakuje), ważniejsze są: „zgromadzenia“ (str. 124) zamiast: „zgromienia“, „państwie“ (str. 169) zamiast: „panieństwie“ i zdanie na str. 239: „Anna także choć głosu jej wołało“, któremu całego wiersza nie dostaje, powinno tak opiewać: „Anna także, choć głosu jej słychać nie było, uzyskała wszystko czego żądała, bo serce jej wołało“.

Przytoczyłem te drobne i łatwe do usunięcia usterki jedynie z miłości prawdy i chcąc utorować drogę prośbie, by czcigodny tłumacz zechciał ostateczną rewizyę manuskryptu i korektę tomów następnych powierzyć oczom młodszym, a takim, na któreby się spuścić można było bezpiecznie; bynajmniej zaś nie myślę przez to obniżać wartości pracy, którą zaliczam do najlepszych, jakie w tym kierunku wydała nasza literatura. Profesorowi K. należy się szczera wdzięczność za podjęcie tej żmudnej pracy i dałby Bóg, by kroczył

dalej a długo drogą szczęśliwie obraną. Spełnienie tego życzenia zależeć będzie poczęści od zbytu, jaki znajdzie przekład w mowie będący.

Niechaj wolno będzie spodziewać się, że kapłani nasi nie pozwolą, by bezowocnie zalegał półki księgarskie Chryzostom w szacie polskiej, w szacie, skrojonej i uszytej wedle wszelkich wymogów sztuki. Wszakże św. Chryzostom z ojców greckich najwyżej się dźwignął, zgodnie go chwalą sobory i papieże, obecnie nam panujący Leon XIII. ogłosił go (1880 r.) patronem kaznodziejów. W homiliach św. Doktora w cudowną harmonię się zlewa naukowa egzegeza i wymowa kaznodziejska, a homilie na ewangelię św. Mateusza zawierają całą etykę katolicką, tak po mistrzowsku wyłożoną, iż według zdania św. Tomasza z Akwinu, dzieło to nie byłoby przepłacone, gdyby za nie dać przyszło cały Paryż. W każdej nauce z osobna znajdzie czytelnik i myśl głęboką i trafne porównanie i obraz przemawiający do serca. Kazania nasze zyskałyby wiele na prostocie ewangielicznej, jędrności, namaszczeniu, mieściłyby w sobie więcej życia i ognia apostolskiego, gdybyśmę więcej, niż to się przydarza pospolicie, zajęli się duchem, wiejącym z pism św. Ojca. Bezsprzecznie nie można duszpasterzom, szukającym zdrowego pokarmu dla owiec swoich, dać rady lepszej nad tę, iż się wskaże im dzieła Ojców św., w szczególności zaś Chryzostoma i równocześnie zacytuje słowa Pisma św.: *State super vias, et videte, et interrogate de semitis antiquis, quae sit via bona et ambulate in ea.* (Jer. VI. 16).

X. Dr. Z. L.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Grzegorz IX. (Papst Gregor IX. von *Dr. Joseph Felten.* Freiburg 1886. Pr. 6 mark).

Grzegorz VII. Aleksander Innocenty III., Grzegorz IX., świetne postacie na „ciemnem tle średnich wieków", zmuszają przyjaciół czy wrogów do oddania im należytego hołdu i uznania. Tę samą podjęli walkę i tych samych zasad bronili; lecz wobec róż-

nych stosunków i w odmiennym czasie, do odmiennych doszli i dojść musieli rezultatów. Grzegorz VII. umarł jako wygnaniec na obczyźnie; ale jego zasady, jego przewodnia idea ugruntowała karność, ocaliła niezawisłą wolność Kościoła. Aleksander III. staje do walki z potężnym a zwycięskim Barbarosą — ostatecznie go zwycięża i do pokuty przywodzi. W Innocentym III. gwiazda papieskiej potęgi dochodzi do zenitu. Grzegorz IX. nietylko ciałem, ale i duchem pokrewny Innocentemu, pomimo żelaznej swej energii i niewzruszonej stałości w walce z Hohenstaufem, mniej był szczęśliwym od swego wuja; choć walczył jak prawdziwy bohater, umarł zamknięty przez swych nieprzyjaciół w Rzymie A przecież walka jego nie była daremną. Despotyzm, jakim Fryderyk II. na wzór cesarzów wschodu, rządzić chciał i państwem i Kościołem, runął głównie pod młotem Grzegorza.

Takie myśli nasuwają się po przeczytaniu dzieła Dr. Feltena, prawdziwej, w najlepszem słowa tego znaczeniu apologii, wymierzonej widocznie przeciw niemieckiej szkole Sybla, mającej na celu kłamstwa historyczne systematycznie rozszerzać. Grzegorz i Fryderyk stają naprzeciw siebie; od zwycięstwa tej, lub owej strony zależeć będą przyszłe losy Europy, cywilizacyi, prawdziwej wolności. Grzegorz urodził się około r. 1170 w Anagni, wolnem mieście papieżów, które niegdyś było kolebką Innocentego III., a później jego synowca Hugona czy Hugolina z szlachetnego rodu hrabiów Segni. W wieku młodzieńczym spotykamy go w aulach paryskiej wszechnicy; tutaj przyjazne zawiązał stosunki z Iwonem Odrowążem, późniejszym biskupem krakowskim. Czy po ukończeniu nauk, Hugo przeszedł przez twardą szkołę kamedulskiego życia? rzecz to nie dość wyjaśniona; w każdym razie z wstąpieniem na tron papieski Innocentego III., Hugo występuje z dotychczasowego ukrycia, a dzierżąc z kolei coraz trudniejsze i ważniejsze urzędy, dochodzi r. 1198 do godności kardynalskiej, a w ośm lat później zostaje kardynałem-biskupem Atryjskim.

Była to godność najbliższa tyary. Biskupią swą stolicę obwarował murami i podobnie jak w Anagni wystawił w niej 2 klasztory. Odtąd zaczyna się jego działalność w zawodzie politycznym W r. 1207 udaje się wraz z kardynałem Brancaleone jako legat papieski do Niemiec, aby pośredniczyć w zawarciu pokoju między

Filipem Szwabskim i Ottonem Brunświckim i zarazem wyjednać uwolnienie uwięzionego przez Filipa — arcybiskupa kolońskiego Brunona. W dwa lata później jedzie znowu w ważnych poselstwach do Spiry, Kolonii, Czech i Austryi, następnie godzi ze sobą różne miasta włoskie, stara się o przywiedzenie do skutku zdawna zamierzonej krucyaty; a pomyślny skutek trudnych tych zabiegów, jedna mu coraz głośniejszą sławę. Przy tych zajęciach nie zapominał o kształceniu ducha. Ścisła przyjaźń łączyła go ze św. Franciszkiem z Asyżu, św. Klarą i św. Dominikiem; w ich to przyjaźni i modlitwach, w częstej z nimi korespondencyi czepał tę odwagę i cechującą go niezłomność połączoną z duchem słodyczy i gotowości do przebaczenia uraz.

Po śmierci Honoryusza III., Hugolino jednogłośnie 11 marca 1227 r. obrany został papieżem i ku uczczeniu pamięci wielkiego Grzegorza VII., jakby przewidując, iż podobne walki przyjdzie mu staczyć, przybrał jego imię. Śmiało rzec można, że dwie głównie idee, dwa pragnienia ożywiały Grzegorza IX.: Najprzód wyswobodzenie Ziemi Świętej z rąk pohańców, co już od Grzegorza VII. było pierwszorzędnem zadaniem papieży, stąd zaś wynikły pierwsze zapasy z Fryderykiem i pierwsza ekskomunika. Drugą przewodnią ideą Grzegorza była zupełna niezawisłość Kościoła, tak w życiu dyscyplinarnem, jak we wszystkich jego członkach, oraz polityczne oswobodzenie Włoch z pod despotyzmu Hohensztaufów. Ta ostatnia idea daje nam klucz do zrozumienia drugiego aktu walki i powtórnej ekskomuniki Fryderyka. Historya wykazuje, że słuszność była po stronie papieża, gdyż Fryderyk nie dotrzymał kilkakrotnych uroczystych przysiąg, odnoszących się do podjęcia krucyaty i utrzymania Sycylii w lenniczej zawisłości od Stolicy św. Nadto z zupełną obojętnością dopuścił Saladynowi zająć Damiettę, ostatnią warownię Chrześcijaństwa. Na dworze Sycylijskim wschodnie zaprowadził zwyczaje, Saracenom wszędzie dawał pierwszeństwo a przywileje Kościoła okroił i ścieśnił. Sam Fryderyk, naglony groźbami i prośbami Grzegorza, zgodził się na ukaranie siebie klątwą, jeśliby w przeciągu roku krucyaty nie podjął. Nic dziwnego, że gdy po upłynięciu tego czasu, cesarz w zgrabny może, ale niecny sposób od uiszczenia swych przyrzeczeń się uchylał, spadł d. 29 września 1227 grom klątwy papieskiej na głowę cesarską.

Przyszło do otwartej walki, tem bardziej, że Fryderyk klątwie się nie chciał poddać. Papież rzucił interdykt na każdą miejscowość, w którejkolwiekby cesarz przebywał i zagroził mu uwolnieniem poddanych od przysięgi wierności. Fryderyk odpowiedział na to konfiskatą majątku Templaryuszów i Joannitów, wygnaniem arcybiskupa Tarentu, zaborem rozległych dóbr sycylijskich magnatów, i wreszcie w samym Rzymie wywołaniem przez Frangipanich buntu, który zmusił papieża do opuszczenia własnej stolicy. Głos powszechnego oburzenia przeciw cesarzowi rozległ się po całych Niemczech i Włoszech; w skutek czego postanowił nakoniec Fryderyk w czerwcu 1228 r. podjąć wyprawę krzyżową. Była to raczej ironia krucyaty. W Jeruzalem sam się uwieńczył królewską koroną; a równocześnie słał tureckich żołnierzy w Państwo kościelne, rabował i palił, aby niebawem znowu, za zmianą pomyślnych konstelacyj, kornie błagać papieża o przebaczenie i obiecywać święcie rzeczy, których dotrzymać nie myślał. Jakie były jego prawdziwe zamysły, o tem najlepiej świadczy następny np. zasadniczy artykuł kodeksu Sycylijskiego: „Cesarz jest nietylko źródłem prawa i sprawiedliwości, tak, że konstytucye jego są święte, ale też jest on panem osób swoich poddanych". „Roztrząsać królewskie wyroki, czynności, prawa i zamiary, lub o słuszności tego, co król uznał za dobre sąd swój wydawać — zbrodnią jest świętokradztwa". Kościół, jako instytucya nadprzyrodzona, Boska, nie uznaje i uznać nie może takich kodeksów. Wszystko co kościelne, zarówno osoby jak rzeczy, poddaje Fryderyk pod sądownictwo cesarskie, i tylko drogą łaski dozwala, aby sprawy kościelne na pierwszem miejscu były omawiane. Gdyby zaś ktokolwiek z kleru, nie uznając orzeczenia jego trybunałów, śmiał apelować do Rzymu, karany miał być utratą całego majątku. Co znaczy innemi słowy, że wszelka władza, świecka czy kościelna od cesarza pochodzi, któremu też wszystko podlegać winno. Tak pojmowali ten statut wszyscy współcześni prawoznawcy — a Ludwik król francuski jasno wypowiedział, że Fryderyk II. zamyśla z godnością cesarską połączyć najwyższą godność kościelną.

W obec takich zasad komicznie wygląda przedłożone dalej papieżowi żądanie, aby tenże zawarł z nim następującą ugodę: papież miał klątwą karać każdego, ktokolwiekby wystąpił przeciw

statutowi sycylijskiemu, cała bowiem Sycylia odrzuciła te prawa; za to cesarz podejmował się spalić na stosie lub wyciąć w pień wszystkich kacerzy. Tym sposobem obadwa miecze, tj. duchowny i świecki złączyłyby się jak najdoskonalej. Cóżby się stało z wolnością Kościoła, z wolnością ludów a w szczególności z wolnością Niemiec i Włoch, gdyby papież zgodził się był na ten szalony pomysł cesarza! Z jakiemż oburzeniem dzisiejsi uczeni niemieccy rzuciliby na Grzegorza kamień potępienia! Potępiają go jednak obecnie właśnie dla tego, że nie przyjął prawodawstwa Fryderyka, lecz owszem bezwarunkowo je odrzucił i przeciwstawił mu swoje dekretalia! Oczywiście Rzym nie kto inny musiał zbłądzić, a zatem nie cesarz lecz papież zawinił i na hańbę zasłużył!

Nie skończylibyśmy, chcąc wyliczać cały szereg krzywd i podłości, jakich Fryderyk dopuścił się względem zbyt chyba i zbyt długo cierpliwego Grzegorza. Wreszcie przyszło do ponownej ekskomuniki, szczególnego kamienia obrazy, dla wielu dzisiejszych niemieckich dziejopisarzy. Autor cały osobny rozdział (XIX.) poświęca roztrząśnieniu tej kwestyi. Przeczytawszy sumiennie ów rozdział, trudno nie przyznać, iż siedmnaście powodów wyliczonych przez Grzegorza w bulli ekskomunikacyjnej z dnia 20 marca 1239 r. wystarczało aż nadto do usprawiedliwienia tego ostatecznego kroku.

Czyż papież mógł przypatrywać się z założonemi rękami, jak w Rzymskiej jego stolicy deptano prawowitą władzę? Mógłże spokojnie wyczekiwać, aż mu z łaski cesarskiej spadnie jakie nowomodne prawo gwarancyi!? Albo może miał dopuścić, aby Fryderyk samowolnie więził papieskich legatów i posłów, wysłanych do Rzymu przez chrześcijańskich panów; aby skazywał bezprawnie na śmierć i kajdany sycylijskich księży; aby dozwalał, niemal nakazywał Saracenom burzyć katolickie kościoły; przyprowadzając je, jak mawiał szyderczo, do stanu pierwotnego, Chrystusowego ubóstwa? Nikczemny cesarz, noszący tytuł króla Jerozolimskiego, śmiał dopomagać Turkom i w zawiązku przecinać zamysły chrześcijan co do odzyskania Palestyny. Przeciw takiemu cesarzowi żaden środek nie był za surowym. To też wnet po bulli z 20 marca wydał papież dnia 7 kwietnia drugą jeszcze surowszą, w której

uwalniając poddanych od obowiązku wierności, rzucał interdykt na każdą miejscowość, w którejby cesarz przebywał.

Na bullę tę odpowiedział Fryderyk okólnikiem, w którym usiłował się usprawiedliwić, uskarżając się gorzko na despotycznego papieża, największego swego, i całego cesarstwa wroga. Dostawszy ów okólnik, ogłosił papież słynną swą encyklikę o apokaliptycznym potworze: *Ascendit de mari bestia*, d. 20 czerwca 1239. Oczyściwszy się z zarzutów, wykazuje w całej swej nagości ukryte myśli Fryderyka, a wreszcie przytacza owo osławione jego zdanie; że „cały świat zwiedziony został przez trzech oszustów: Mojżesza, Chrystusa i Mahometa“ i że „Chrystus nie narodził się z Dziewicy sposobem nadprzyrodzonym“.

Czy owe słowa o „trzech oszustach“ wyszły istotnie z ust Fryderyka, nie tu pole rozbierać. To pewna, że odpowiadały one najzupełniej usposobieniu filozofii i sposobowi życia niezrównanego tego hipokryty, prawdziwego Woltera swojego wieku, dla którego wiara chrześcijańska była czczą igraszką, a jedyną religią, skrajny naturalizm. Skąd w każdym razie niesłuszną byłoby rzeczą, obwiniać Grzegorza o zbytnią łatwowierność. Choćby bowiem pomylił się papież co do faktu z e w n ę t r z n e g o bluźnierstwa, nie pomylił się mniemając, iż bluźnierstwo to jest wyrazem ukrytych jego myśli. Tak sądzi nawet Reuter, dziejopisarz zresztą bardzo nieprzychylnie dla Grzegorza usposobiony.

Nie mogąc zemścić, ani uniewinnić się inaczej Fryderyk rozpoczął systematyczne prześladowanie kleru, gdziekolwiek tylko praw klątwy i interdyktu sumiennie przestrzegać chciano. Niestety znalazł on w zbyt łaskawie ocenionym przez Feltena Eliaszu z Kortony, i w kilku innych pokrewnych mu duchem odstępcach, ochocze narzędzia nienawiści swej przeciw papieżowi. W ogóle jednak, prócz kilku Judaszów, całe duchowieństwo wytrwało na swem stanowisku, stojąc wiernie pod sztandarem Kościoła. Cesarz rozjątrzony tym oporem, pochwycił za oręż, chcąc Rzym zdobyć szturmem i stamtąd, jak sam powiedział „nadać wszystkim ludom daleko doskonalsze ustawy wiary i moralności“. Jakoż niebawem stanął pod murami wiecznego miasta, a ufając w swych żołdaków i silne stronnictwo zorganizowane wewnątrz samegoż Rzymu, nie wątpił, iż wnet go do posłuszeństwa przywiedzie. Ostatni to był śmiertelny już cios

zadany sercu wielkiego papieża. Boleść na widok strasznego spustoszenia w Państwie kościelnem, ucisk chrześcijaństwa pod biczem hord tatarskich, bodaj czy nie przez cesarza na Europę naprowadzonych, wreszcie febra grasująca w zamkniętym Rzymie powaliła go na łoże boleści, z którego nie podniósł się więcej. W dniu 21 lub 22 sierpnia 1241 otrzymał on wieniec nieziemskiej chwały z rąk Tego, którego Oblubienicy, jak wierny rycerz bronił aż do zgonu. Z tryumfującym uśmiechem przyjął cesarz wieść o śmierci swego przeciwnika. Lecz Grzegorz zasad swoich a raczej Chrystusowych nie zabrał z sobą do grobu. Fryderyk pragnął już oddawna innego, tj. więcej pobłażliwego papieża, twierdząc, że walka jego z Grzegorzem była tylko sporem prywatnym, nie z władzą, lecz z osobistością. Twierdzenie to kłamstwem było i obłudą: bo chociaż na Apostolskiej stolicy zasiadł najlepszy przyjaciel cesarski, Innocenty IV., dawna walka wybuchła na nowo gwałtowniej jeszcze niż wprzódy — i ostatecznie zakończyła się złamaniem dumy i upadkiem rodu obłudnego Fryderyka. Powiedział on kiedyś, że „żaden papież nie może być Gibellinem". I słusznie: bo nie chodziło tu o spór osobisty, ale o obronę najwyższych zasad, o niepodległość Kościoła, o wolność narodów.

Oto ogólne ramy wielkiego obrazu, po mistrzowsku przedstawiającego nam walkę dwóch olbrzymów, uosabiających w sobie wiarę i niewiarę, gołębiczą prostotę i szatańską chytrość, katolicką cywilizacyę i wschodni despotyzm. Niby drugi Mojżesz walczył Grzegorz modlitwą; wierzył silnie, iż sprawiedliwość, cnota i pokora zwyciężą. Papieska dostojność nie wzbiła go w pychę. „Tu na Stolicy Apostołów, pisze papież do św. Klary, czuję się jakby do krzyża przybitym, żółcią i mirą napawanym... Módlcie się, aby Pan nie wzgardził ofiarą sługi swego. Módlcie się za mnie: sługę sług i służebnic Chrystusowych. Bo codzień oddaję się na ofiarę za was i za wszystkie owieczki trzody Chrystusowej" i t. d. (str. 53).

Wśród zgiełku olbrzymiej walki, zapełniającej całe życie, nie zapomniał papież o obowiązkach swych względem całego chrześcijaństwa. Hiszpania, Polska, Wołochy, Francya, Bośnia, Węgry, nawet daleka Rosya były przedmiotem szczególnych jego starań. Gromiąc i karcąc heretyków, czuwał pilnie, aby inkwizytorowie nie przeszli nigdy

granic ścisłej sprawiedliwości; dowiedziawszy się np. o zbytniej surowości Dominikanów w Tuluzie, usunął ich natychmiast. Niemniej starał się o nauki; dość tu przypomnieć powstałe za jego inicyatywą *Decretalia*, które po dziś dzień w niczem nie straciły swej wagi. Tak przedstawia nam się w cennem dziele Dr. Feltena, wielki ten i niestrudzony papież. Postać to idealna a wykuta z granitu, której sam widok czcią przejmuje i uszanowaniem. Wzór to prawego charakteru i świątobliwości, któremu nawet nieprzyjaciele nigdy mętnych nie zarzucali zamiarów. „Z czynów jego pokazuje się, mówi jeden ze współczesnych pisarzy, jak dobrym był Grzegorz pasterzem i jak dzielnym władcą. Powierzonej sobie trzody bronił przeciw napastnikom wszystkiemi siłami, i nie wahał się narażać życia swego za owce swoje, aż oddał ducha w ręce Tego, który go doświadczał w tylu cierpieniach i walkach". Sami nawet bezstronniejsi protestanccy pisarze uznają w Grzegorzu siłę woli, łagodność i świątobliwość, czystość zamiarów, energię i sprawiedliwość w całem jego postępowaniu. Ale dopiero katolik szczery, jakim jest Dr. Felten, chciał i mógł piękną tę monumentalną postać w należytem wystawić świetle. Niezmordowana praca, troskliwe badanie źródeł przez katolickich uczonych, pomnaża coraz bardziej i tak już liczną galeryę wielkich i świętych papieży. W galeryi tej, dzięki dziełu Dr. Feltena, stanął dziś odkryty na widok publiczny, wspaniały posąg Grzegorza IX., tem wspanialszy, iż odbija od rysującej się na drugim planie, lecz nie mniej starannie wykończonej machjawelskiej postaci Fryderyka II. Malarz, chcący oddać na płótnie walkę Kościoła z cesarstwem, mógłby w tej książce czerpać natchnienie.

X. A. Kraetzig.

La Russie politique et sociale, par *L. Tikhomirov.* Paris 1886. Chez Giraud. Str. IV. 560.

Nie od dzisiaj Rosyanie wydają na wielką skalę tłumaczenia swych arcydzieł, popularne i uczone książki o swym kraju w języku francuskim, wiedząc, iż bądź co bądź, po dziś dzień najlepszy to środek zapoznania Europy z obecnym politycznym, społecznym i literackim stanem Rosyi. Książka p. Tichomirowa pół uczona, pół popularna, za wiele odrazu wiadomości wlać chce w głowę cudzoziemca; pisze nietylko o polityce i społeczeństwie, ale przekraczając zakreślone tytułem ramy, buja po polu historyi, geografii, literatury, splatając najróżniejsze przedmioty: *disjecti membra poetae*, tysiącznemi

anegdotkami. To pierwszy i główny błąd, z którego wypływać musi niedokładne obrobienie podjętych tematów. Drugim, już nietylko literackim błędem, jest ultra-rewolucyjny duch, ożywiający całą tę książkę. Dla miłości wolnej ma autor tylko pochwały, dla studenckich rozruchów głębokie podziwienie, w kryminalistach uderza go przedewszystkiem Boża iskra, tląca w ich sercach; uznałby może moralność, ale moralność swego wyrobu, wolną od praw, form i musu.

L. Tichomirow potrafi może swą książką zjednać dla Rosyi, a przedewszystkiem dla siebie sympatye skrajnej dzisiejszej lewicy parlamentu francuskiego; jeśli dążył do tego celu, dopiął go najzupełniej. *B.*

Etudes sur Victor Hugo par Louis Veuillot. Introductions, notes et appendices, par *Eugène Veuillot.* Paris 1886. Str. IX. 372.

Wiktor Hugo spotkał się z Veuillot'em na pisarskiej arenie po raz pierwszy r. 1842. Autor Hernani'ego wydał już do tej pory około dwudziestu wielkich tomów prozą i wierszem, w każdym staczając się coraz niżej w przepaść, na dnie której już wonczas dojrzeć można było przyszłe kanibalowskie utwory: „Papież" i „Osioł". Z cechującą go bystrością umysłu, Veuillot zrozumiał kim jest ten poeta i w szeregu artykułów o tylko co wyszłej książce „Le Rhin" zdemaskował właściwe jego uczucia i zasady. Odtąd ostrzegał wszystkich dobrze myślących o każdym nowym ważniejszym utworze W. Hugo'na, o każdym nowym jego pomyśle, ukrytym zazwyczaj w takiej powodzi brzmiących słów i frazesów, iż nie każdy poznać się mógł odrazu na całej jego bezecności i śmieszności.

Rozrzucone te artykuły po różnych rocznikach l'Univers'a, tryskające dowcipem i życiem, jak wszystko co wyszło z pod pióra Veuillot'a, odsłaniają nam w całej szkaradzie obraz życia i dzieł ubóstwianego poety. Czemże jest Hugo? Religijnym i politycznym apostatą, urzędowym obrońcą „zbrodniarza, błazna i bachantki", prorokiem wolnej miłości, czcicielem księżyca, odkąd Boga czcić przestał. A nie są to zniewagi rzucane w twarz poecie, ale własne jego wyznania, podkreślone tylko, dosłownie cytowane przez Veuillot'a. Tysiące bluźnierstw i szkaradzieństw rozrzucone w stu tomach kompletnego wydania poety, mniej może rażą; ustawione tutaj choć w bardzo niekompletnym szeregu, dają miarę, jak ten człowiek był złym, niemoralnym, i gorzej, bo — podłym.

Nie mogli też prawdziwi czciciele dobra i piękna lepiej odpowiedzieć na bezecną manifestacyę, jakiej widownią stał się Paryż w dzień pogrzebu Hugona, jak właśnie publikacyą wszystkich tych artykułów, umiejętnie ze sobą powiązanych przez dzisiejszego redaktora l'Univers'a. Ostrze Veuillot'a trafiało celnie; świadkiem gniewy W. Hugo'na, graniczące z furyą na „frenetyczny dziennik pisany przez bandytów, dziennik sztyletniczy w Chrystusowej służbie, i na obrzydłego redaktora „szpiega, jezuity, a w dodatku świętego, gorszego od złodziejów i od zbójów, lokaja Kajfasza".

Hugo lubił i umiał się gniewać, a na kogo się gniewał, temu zazwyczaj różnych niepoetycznych przydomków nie szczędził, ale przecież rzadko kogoś nazwał tyle razy: Kajfaszem i Judaszem, wyrzutkiem społeczeństwa, błotem ulicznem, i t. d., co właśnie Veuillot'a. Prawda, a prawda wypowiedzenia be-

ogródki, czasem aż za szorstko, kłóć go musiała w oczy, gniewał się i rzucał, ale nie mógł zaprzeczyć, że Veuillot mówi prawdę. I dla tego właśnie ogólny sąd wydany przez Veuillot'a pozostanie w historyi: Wiktor Hugo otrzymał od Boga geniusz olbrzymi, ale oddał ten geniusz na służbę ciemności, a tem samem nie rozświeca i nie rozgrzewa, lecz zaciemnia rozum, mąci wyobraźnię i serce. Od takich geniuszów oby P. Bóg strzegł naszą ziemię. *B.*

Les artisans et domestiques d'autrefois, par M. Albert Babeau. XV. 364. Firmin Didot et C^ie^. Paris 1886. 6 francs.

P. Babeau podjął cały cykl o życiu społecznem różnych warstw społeczeństwa, za dawnych, monarchicznych czasów; poprzednio wyszły studya o miastach i wsiach w trzech ostatnich wiekach, niebawem ukazać się ma tom o dawnych mieszczanach, a obecnie ukazała się, jeśli nie najciekawsza, to bez wątpienia nadzwyczaj ciekawa część o dawnych rzemieślnikach i służących. Autor wyraża jasno swój cel: „Pragnę odmalować, odfotografować rzemieślnika w domowem zaciszu, przy warsztacie, w rodzinnem gronie, wystudyować jego pozycyę materyalną, moralną i społeczną, wykazać jego potrzeby, pragnienia, słowem, przedstawić go takim, jakim był". Niemałe zadanie, które jednak, dzięki skrzętnym poszukiwaniom, uwieńczone zostało pożądanym skutkiem. Autor opisuje najprzód ubiór, pracę, wypoczynek i posiłek dawniejszego rzemieślnika. Ubiór jego nie był tak zgrabny jak dzisiaj, ale był trwalszy i cieplejszy; na obiad jadał głównie chleb i jarzyny, ale do chleba i jarzyn było przynajmniej tyle mięsa co dzisiaj. Mieszkanie nie zawsze było czyste i zdrowe; pytanie tylko, czy dziś lepiej w tym względzie. Słowem, w okrzyczanych tych czasach, gorzej nie było, nie płacili ubodzy podatku ani za jedzenie, ani za pomieszkanie, ani za światło; pracowali nie więcej, a żyli lepiej, zdrowiej i wygodniej.

Podobnież i słudzy, choć nie byli szczęśliwymi w ścisłym tego słowa znaczeniu, byli zazwyczaj szczęśliwszymi od biednych sług dziewiętnastego wieku, przesiąkniętych pojęciami o zupełnej wolności i równości, a widzących z bólem serca, iż pojęcia te w kraj rzeczywistości przejść nie mogą. W każdym razie, kiedy pan źle ich traktował, mieli przynajmniej pociechę w religii, mogli się cieszyć nadzieją życia przyszłego; dziś tę pociechę i nadzieję zabierają im bezbożne książki, dzienniki i szkoły, a w zamian nie dają innej.

Dla tych, którzy zbyt dobrodusznie wierzą w liczne dobrodziejstwa, jakiemi rewolucya z 1879 nas obdarzyć miała, książka, a raczej cały cykl książek Babeau'a nadzwyczaj jest nauczającym, tem bardziej, iż sam autor wierzy w te dobrodziejstwa. Widocznie nie spostrzegł się, iż sumiennie podane akta i fakta, zadają kłam tym teoretycznym poglądom.

Egdar, oder vom Atheismus zur vollen Wahrheit, von *L. v. Hammerstein S. J.* Trier 1886. S. 256.

Jaka droga prowadzi od zupełnej niewiary, do wiary w Boga osobowego, a od tejże do prostej, szczerej i pokornej wiary w Jezusa Chrystusa i wszystkie dogmaty Kościoła katolickiego? Na ciekawe to pytanie, dotykające najgłębszych tajników historyi wiary i historyi duszy ludzkiej, odpowiada O. Hammerstein sam konwertyta, a zatem znający z własnego doświadczenia, część przynajmniej

drogi. którą z czytelnikiem przebiega. Edgar, utalentowany, ale niewierzący prawnik, dostaje się w skutek ciężkiej choroby do szpitala Sióstr Miłosierdzia, a spotkawszy się tutaj z wypędzonym z Niemiec zakonnikiem, zawiązuje z nim z początku ustne, później długie listowne dysputy o religii. Z kolei przypatruje się, dziwi się, roztrząsa, wreszcie przyjąć musi jeden po drugim dogmat, aż wreszcie przekonywa się, że nieubłagana logika faktów i opartej na nich nauki, doprowadza go koniecznie do Kościoła katolickiego. Edgar idzie za światłem poznanej prawdy. Bodaj tylko jak najwięcej Edgarom, — ludziom niewierzącym, albo słabo wierzącym, ale dobrej woli, — mogła książka ta wpaść w ręce; uważnie przeczytana zachęciłaby ich z pewnością do pójścia śladami Edgara, a co najmniej wzbudziłaby silne wątpliwości, czy dotąd na dobrej znajdują się drodze, i zachęciła do szukania owej ukrytej, a nieocenionej perły Prawdy, którą kto znajdzie, chętnie za nią całe swe mienie oddaje.

Die Deutschen Predigten und Katechesen der ermländischen Bischöfe Hosius und Kromer. Von *Dr. Franz Hipler.* Festschrift gewidmet dem Hochw. Herrn Erzbischof von Köln, Dr. Philippus Krementz, zum feierlichen Einzuge in seine kölnische Kathedrale. (Vereinsschrift der Görresgesellschaft). S. VIII. 180. Köln. Bachem. (in Commission) 1886. Preis M. 4.

Trzy wieki temu wydrukował Hozyusz sześć postnych kazań, a niebawem potem przyjaciel jego i następca na biskupiej stolicy Kromer, dwanaście katechetycznych nauk w Kolonii. Kazania te, a zwłaszcza nauki Kromera, były w swym czasie znane i cenione; wnet po ukazaniu się, wyszły te nauki r. 1570 w Krakowie po polsku, łacinie i niemiecku, a w tymże samym roku znowu w Kolonii po łacinie i po niemiecku. Od tego czasu, mimo znakomitej treści, o nowych wydaniach nie słychać. Dopiero teraz, na uczczenie arcybiskupa Krementza, przeniesionego z warmińskiej na kolońską stolicę, wydobył je Dr. Hipler z zapomnienia, niosąc tak hołd nowemu arcybiskupowi od Warmii i od Kolonii, od miejsca, gdzie Hozyusz i Kromer budujące swe dzieła pisali i gdzie je drukowali. Myśl ta piękna została zarazem pięknie i starannie przeprowadzoną. Nadto wzbogacił wydawca swą książkę opisem wzajemnych stosunków między obiema dyecezyami w XVI. stuleciu, krótkiemi życiorysami Hozyusza i Kromera, portretami obu tych dostojników Kościoła i niewydanemi dotąd listami Cholinusa do Kromera.

Z pism peryodycznych.

Ateneum od Lipca 1885 do Lipca 1886.

Pismo to, jak wiadomo, od dziesięciu lat usiłuje wmówić w nasze społeczeństwo, jakoby „prawdziwa nauka“ nie mogła godzić się z wiarą i katolicyzmem. Ateneum daje sobie pozory wyż-

szej ponad wszystko, europejskiej uczoności, i strojąc się w powagę naukową — zdaniem naszem częściej nudną, niż imponującą — uderza nieraz bez litości na nasze najzdrowsze religijne i społeczne tradycye, stanowiące i dziś jeszcze główną naszą siłę... Skoro zdajemy sprawę z różnych innych pism peryodycznych, wypada nam więc także i o pracach zawartych w tym miesięczniku naukowo-literackim wypowiedzieć od czasu do czasu nasze zdanie, przyczem chcielibyśmy przedewszystkiem innem naśladować pszczołę, która, jak mówią, nawet i w zatrutem zielu zdrowy miód wynaleść umie.

Ateneum jest jedynem pismem polskiem stale uprawiającem psychologię. W każdym roczniku znajdują się artykuły psychologicznej treści, w ostatnim, który właśnie mam pod ręką, jest długi szereg art. p. *Wł. Kozłowskiego* p. t. Psychologia doświadczalna, prócz tego: O drugorzędnych źródłach miłości, przez *J. W. Dawida*, w ostatnich zaś miesiącach rozpoczęło się studyum p. *Józefa Siemaszki* p. t. Dusza jako pojęcie przyrodnika.

P. Kozłowski w swej „Psychologii doświadczalnej“ streścił „zarys psychologii James'a Sully'ego [1]. Według tej książki, zachwalonej przez p. K. jako kwintesencya dzisiejszej psychologicznej wiedzy, psychologia ma być „ogólnem poznaniem umysłu sprowadzonem do formy ścisłej i systematycznej“. Przedmiotem więc psychologii jest — nie dusza — lecz umysł, w szerszem znaczeniu tego słowa, obejmującem: rozum, uczucie i wolę, czyli „sumę(?) zjawisk psychicznych“... „Że zaś psychol. doświadczalna woli używać wyrazu umysł, zamiast dusza, tłumaczy p. K., dzieje się to dlatego, iż wyraz dusza ma uświęcone przez tradycyę znaczenie i nasuwa pojęcia, które nie zgadzają się ze stanowiskiem psychol. empirycznej“. Jednem słowem wyraz dusza przestał być wyrazem naukowym... „wyraz zaś umysł, nie przesądza o kwestyi istoty duszy i oznaczając całość(?) zjawisk psychicznych, wszystkie wiążące się z niemi zagadnienia metafizyczne usuwa na bok“. W taki to sposób urządza się dziś psychologię, naukę o duszy — bez duszy. Mniejsza zresztą o słowo, ale tu idzie o rzecz samą, bez

[1] Outlines of. Psychology by James Sully.

czego nauka o tej rzeczy staje się bezprzedmiotową, bo tu już nie o istotę duszy sprawa, lecz po prostu o fakt jej istnienia. Wszak nie znamy także istoty materyi, znamy tylko pewną sumę jej zjawisk, i czyż to nam nie wystarcza do uznania istnienia materyi jako faktu najpewniejszego, bez którego cała nasza fizyka byłaby nonsensem? Chemik nie potrzebuje nic „przesądzać“ o istocie swoich pierwiastków chemicznych, lecz skoro zna pewną „sumę zjawisk“ chemicznych, czyż to nie zmusza go *eo ipso* do uznania istnienia tychże pierwiastków, jako osobnych substancyj w ich atomowej czy drobinowej treści, i czyż postąpiłby w swej nauce choć krok naprzód? czy wytłumaczyłby choć jedno zjawisko? gdyby metafizyczne pojęcia atomu i drobiny „usuwał na bok“ i nie traktował rzeczy przez te nazwy oznaczonych jako cząstki rzeczywistej materyi, której przecie nie można „usunąć na bok“ gdy się uprawia naukę o „materyalnych“ zjawiskach. Na jakiejże to więc podstawie wolno nazywać jakąś umiejętność „psychologią doświadczalną“, nauką o zjawiskach psychicznych, bez substancyi psyche, skoro niedorzecznością byłaby wszelka nauka doświadczalna o zjawiskach materyi — bez substancyi materyi? tembardziej, gdy p. K. wyraźnie się zastrzega przeciw identyfikowaniu zjawisk psychicznych ze zjawiskami fizycznemi, i gdy przecież każdy odrębny szereg zjawisk jakąś odpowiednią substancyę za racyę swego bytu mieć musi.

Takiej psychologii bez duszy, opartej na zasadniczym błędzie logicznym, nie wymyślił ani James Sully, ani p. Kozłowski, płynie ona wraz z szerokim prądem t. zw. pozytywizmu z zachodu od lat wielu, i znalazła w Ateneum swój główny spust do naszego kraju. Jaka zaś jest wartość naukowa tego do nas importowanego wyrobu, osądzić można ze sofistycznej tkanki przesłanek, z których się wysnuwa. Zagraniczna „psychologia doświadczalna“, popularyzowana w Ateneum nie zaprzecza „różnicy, jaka zachodzi między czynnością nerwową a zjawiskiem umysłowem“ tj. psychicznem, mówi wyraźnie, „że pewna czynność nerwowa poprzedzająca, np. wrażenie światła, dźwięku i t. d. nie jest tem samem, co owe (świadome nam) wrażenia“. Wypierając się więc w ten sposób grubego materyalizmu, i faktów naszej świadomości wprost do substancyi nerwowej, jakoby do jedynej sprawczej przyczyny i racyi ich bytu — według zasad materyalizmu — wcale nie odnosząc; z drugiej jednak strony nie czuje się

obowiązanym, odnieść je do duszy, bo z góry powiada „iż nie wie, czyli to co nazywamy duszą, jest czemś substancyalnem, czy tylko czemś fenomenalnem“. Zostawia więc tem samem cały ten szereg zjawisk, faktów psychicznych, któremi się zajmuje, jakoby zawieszony w powietrzu, tak, że biedny czytelnik czy uczeń zgoła nie wie, gdzie go właściwie uczepić wypada. A że umysł ludzki z natury swojej nie może nawet pomyśleć sobie skutków, tj. zjawisk, fenomenów rzeczywistych, bez rzeczywistej jakiejś odpowiedniej im przyczyny, mającej w sobie moc objawiania się nam właśnie przez owe zjawiska w swym faktycznym bycie, więc też każdy adept tej szkoły, chcąc niechcąc, pod wpływem powyższej doktryny rozwiewającej dawne nasze pojęcie duszy w proch niepochwytnych fenomenów, powoli przyzwyczaja się do tego, iż oprócz ciała, materyi, nic innego w sobie, w człowieku nie widzi, coby jako najbliższa, substancyalna przyczyna jego życia, czyli w ogóle zjawisk psychicznych naukowo stwierdzonem być mogło, i tak, *eo ipso*, choć tego przyznać nie chce — w materyaliźmie się pogrąża. Bo chociaż w teoryi niby nie zaprzecza możliwości istnienia duszy substancyalnej, jako indywidualnej przyczyny psychicznych zjawisk ludzkiego życia, w praktyce jendak stawia tezy i doktryny, które od grubego materyalizmu, od zupełnej negacyi duszy w niczem się nie różnią. I w tem właśnie tkwi najgłębsza, czasem aż prawie naiwna, hipokryzya nowoczesnej, t. z. postępowej naukowości naszego wieku, iż pierwsze zasadnicze kwestye pozornie niby „zostawiając na boku“, w rzeczy samej kryje w sobie i sieje na wsze strony ateizm i apsychizm.

Ofiarą tego kierunku, bardzo wymownie charakterystyczną, jest właśnie p. *Józef Siemaszko* autor wspomnianego art.: „Dusza jako pojęcie przyrodnika. Autor widocznie młody, bardzo oczytany i szczerze w nauce rozmiłowany, opowiada nam żywo różne przemiany, jakie w jego umyśle przechodziło pojęcie własnej jego duszy, a robi to w sposób tak naiwny, iż za typ umysłu obałamuconego pozytywizmem uchodzić może, i dlatego też pozwalam sobie przytoczyć kilka ustępów z przedwstępnych uwag jego przy tej pracy. „W pierwszych latach nauki metodycznej, mówi p. Siemaszko, zdawało mi się, że dobrze zrozumiałem co to jest dusza, gdy katechizm wytłumaczył mi, że jest nią to, co w ciele mojem myśli i niem rządzi“. Lecz chciwy wiedzy młodzieniec nie spo-

czął w „godzeniu się z orzeczeniem katechizmu“, i jak drugi Eklezyastes „umyślił w sercu swojem szukać i dowiadować się mądrze o wszystkiem, co się dzieje pod słońcem“... „Wcześnie zacząłem, prawi, zajmować się fizyką, przerobiłem wiele doświadczeń, a ilekroć przygotowałem wszystko jak należy, doświadczenie zawsze mi się udawało. Wyrobiło mi się pojęcie o niezmiennem, niewzruszalnem następstwie pewnych zjawisk natury po innych zjawiskach przyrodzonych... i wiara moja w cudowność znikła, zniknięcie to rzuciło cień na moje pojmowanie duszy, albowiem ten sam katechizm, który tak przekonywająco nauczał o duszy, mówił i o cudach, z równą powagą“. — I tak autor poznał, „że to wszystko jest marność“.... „Zacząłem wówczas, mówi dalej, studyować powstawanie praw moralnych. A były to dla mnie prawdziwe studya, pożerałem zadrukowane karty, prowadziłem gorące spory, przewróciłem do dna archiwum wypadków.... upadła wiara moja w istnienie moralności absolutnej“... I tak znowu „doznał“ nasz autor po raz drugi, „że w tem jest marność i utrapienie ducha“... „Poznałem, mówi dalej, rozmaite maszyny fizyczne, wiele z tych mechanizmów odmodelowałem sam; pojmowałem kombinacye coraz bardziej złożone, zawilsze, subtelniejsze, coraz dziwniejsze w działaniu swojem... i zrozumiałem co chciał powiedzieć Wundt, dowodząc, że logika to mechanizm... i że dusza jest tylko terminem, który pozwala jednem słowem wskazać na tysiączne objawy ... dusza znakiem algebraicznym, który daje się rozwinąć w obszerne wzory i używa się dla skrócenia“... I tak poznał, że dusza to „marność nad marnościami i wszystka jest marnością“. Dalej mówi nasz mędrzec, „z zapałem rzuciłem się do nauk przyrodniczych; chciałem wiedzieć wszystko, co tylko było można — o tem, jak jest zbudowane ciało ludzkie i zwierzęce, jak powstał człowiek, jego mózg i narzędzia zmysłów... i poznałem wszystkie dowody, które zmuszają do przekonania(?), że człowiek rozwinął się z organizmów niższych, a że te jakąbądź drogą, powstały z materyi nieorganicznej“... a więc oprócz materyi nieorganicznej wszystko marnością. Nareszcie kończąc swój ustęp, mówi autor: „na reszcie obszerne przygotowanie przyrodnicze, dało mi klucz do podwoi... do studyów nad fizyologią układu nerwowego... pochłaniałem to obfite pożywienie z łapczywością człowieka, który odbył post czterdziesto-

dniowy, rozkoszowałem się jak smakosz, którego podniebienie łechtały subtelne i bajecznie ścisłe dochodzenia współczesnych fizyków, chemików, anatomów, embryologów, histologów, i t d., i w końcu (o dziwo!)... przypomniałem sobie katechizmowe określenie duszy, i co więcej, nauczyłem się je szanować... a szacunek ten należy mu się jako dobrej charakterystyce najwyższego stopnia rozwoju samoświadomości u osobników gatunku: *Homo sapiens*" (!!)... Jak szczery zaś jest ten szacunek u p. Siemaszki dla „duszy katechizmowej", pokazuje nam dalszy tok jego rozprawy[1], gdzie mówiąc o wrażeniach, pojęciach, ideach, sądach, wnioskach, natężeniach i wielu innych funkcyach psychicznych bez ładu i składu, mięszając je ze sobą nielitościwie[2], dochodzi wreszcie do niespodzianej konkluzyi: że „dusza nawet jako symbol streszczający wszystkie zjawiska psychiczne, lub jako siła powodująca je... jest nadużyciem tej nazwy. Gdyż siłę tę, jak w ogóle wszystkie siły, nauki przyrodnicze, w obszernem znaczeniu tego słowa, starają się wyrugować ze szranek wiedzy, stawiając natomiast najrozmaitsze funkcye — w matematycznem znaczeniu — przestrzeni czasu i materyi". Substancyalność duszy, jest według myśli autora tylko mrzonką „samoświadomości, jaźni, subjektu człowieka cywilizacyjnego"... „fikcyą" podobną do tej, jaką dla fizyka jest „siła przyciągania". A więc już nie tylko „duszę"... lecz i „siłę" w ogóle „ruguje się ze szranek wiedzy", już i „siła" przestała być wyrazem naukowym! Cóż więc zostaje? — „matematyczne funkcye przestrzeni, czasu i materyi". — To już nawet nie materyalizm, lecz poprostu nihilizm naukowy. Ale nie tracimy nadziei, że autor przejdzie jeszcze niejedną ewolucyę w swem pojmowaniu duszy, bo jak znać ze wszystkiego, jeszcze bardzo młody.

Rozprawa p. *J. W. Dawida:* „O drugorzędnych źródłach miłości", zwłaszcza w pierwszej części swojej, w „Ateneum", w piśmie naukowo-literackiem wcale miejsca znaleść nie była powinna. Fizyologiczna analiza „instynktu miłosnego" z całą pedanteryą nowożytnej terminologii medycznej rozwinięta, kwalifikuje się chyba

[1] W zeszytach „Ateneum" z czerwca i lipca b. r.

[2] Na to wszystko odpowiedź znaleść można w mojej w książce „O wiedzy ludzkiej".

tylko do specyalnych pism i archiwów fizyologicznych, a w żadnym razie nie należy do *forum* przeciętnej naszej czytającej publiczności. A gdy, jak w tym wypadku, ścisła naukowa wartość tej pracy redukuje się do kilku obserwacyj i klasyfikacyj powszechnie znanych fenomenów, które na podstawie pierwszych lepszych kilku romansów lub sztuk teatralnych łatwo sobie każdy wysnuć może, to już doprawdy nie wiem, co mogło skłonić redakcyę Ateneum do umieszczenia w „poważnych“ łamach swego pisma tego niesmacznego erotyku.

Czego żaden mężczyzna dotąd w Polsce zrobić nie śmiał, na to odważyła się bez wahania znana nowelistka, pani Eliza Orzeszkowa, rzucając przed oczy naszej publiczności pierwszą w tych rozmiarach w polskim języku apoteozę *Ernesta Renana* napisaną na podstawie pamiętników i dzieł jego, streszczonych *ad usum delphini*[1]. Nikt nie odmówi autorce pisarskiego talentu, ma go w wysokim stopniu, jak dowodzi tego także jej powieść „Dziurdziowie“ w tymsamym roczniku *Ateneum*, z którego właśnie zdajemy sprawę[2]. Tem większa szkoda, że talent ten jest w służbie złych i przewrotnych tendencyj, złym przykładem minując jedną z ostatnich twierdz naszych, prawy, tradycyjny, religijny, kościelny grunt w sercach naszych kobiet, żon, matek i córek. Biedna autorko „Pamiątek po dobrej matce!“ więc tak pięknie, tak poważnie tak poczciwie zainaugurowane przez ciebie w naszym wieku autorstwo polskich kobiet, dziś już doszło do tego, że kobieta, Polka z uwielbieniem wtóruje perfumowanym bluźnierstwom w stylu książki „O życiu Jezusa“ Renana, nie czując całej ohydy tego pocałunku, którym Renan, drugi Judasz, pocałowaniem zdradza „Syna Człowieczego!“. I nie zawahało się serce kobiece, by nazwać tę książkę „jednym z najpiękniejszych poematów, na jaki kiedykolwiek zdobył się język francuski“, i by autora jej poczytać „za jednego z największych mężów, jakimi Francya obdarzyła cywilizacyę świata“. Na takie wyznanie z ust kobiety, mężczyzna odpowiada rumieńcem wstydu... Ale pocieszamy się tem, że pani Eliza na szczęście jest wyjątkiem, ostrzegającym wyraźnie nasze społeczeństwo,

[1] W *Ateneum* z kwietnia, maja i czerwca 1886 r.

[2] W zeszytach z lipca, sierpnia, września, października i listopada 1885 r.

aby córkom swoim dawało nietylko samą religię serca i uczucia, jak się to najczęściej praktykuje, lecz i zarazem głębsze religijne wykształcenie, obwarowane gruntowną znajomością katechizmu i historyi Kościoła, jako *antidotum* przeciw podobnej strawie umysłowej, jakiej dostarcza nam p. Orzeszkowa.

Przejdźmy lepiej do tych prac w *Ateneum*, z których rzeczywiście czegoś nowego dowiedzieć i nauczyć się można. Na szczególną uwagę zasługują „Listy Czeskie“ *Dra Gablera*, czeskiego posła do wiedeńskiej Rady państwa. Nigdzie nie spotkałem lepszego przedstawienia tej tragicznej walki idącej już prawie na noże, między słowiańskim a niemieckim żywiołem, jaka się obecnie w Czechach rozgrywa. Autor „Listów czeskich“ nie pomija żadnych sprężyn, jakie tu w grę wchodzą i nie zamyka oczu na ostateczne cele i prawdopodobnie konsekwencye tej zażartej walki plemiennej. Mianowicie list XII.[1] zawiera bardzo ciekawe wiadomości, dowodzące nam jak ważnym czynnikiem a nawet kierownikiem sił niemieckich w tym boju, jest niemieckie wolnomularstwo zakorzeniające się coraz silniej w Czechach i w niemieckich austryackich prowincyach. Z głęboką znajomością rzeczy, rozwija autor przed nami swoje spostrzeżenia, któremi tem śmielej się dzielimy, ile że u nas co do wolnomularstwa w ogóle panują przesądy, lekceważące znaczenie tej sekty i jej przeważny wpływ na dzisiejszy bieg rzeczy tego świata, a nikt przecie nie posądzi *Ateneum* o to, żeby chciało oczerniać Masonów.

„Naród niemiecki, mówi p. Gabler, odniósłszy zwycięstwo nad Austryą, szczególnie zaś po swoich świetnych tryumfach wojennych nad Francyą, przejął od Francuzów te wszystkie właściwości, które ich od czasów Napoleońskich cechowały. Niemcy mają dziś przeświadczenie, że są pierwszym narodem na świecie; Anglików i Francuzów uważają za swych rywali a wszystkich Słowian za niższą rasę; za przedmiot swojej rozbudzonej żądzy panowania. Spotęgowanie siły i wielkości państwa niemieckiego jest dziś przewodnią myślą patryotyzmu niemieckiego. A że zachodnia połowa Austryi i tak należała niegdyś do rzeszy niemieckiej, przedstawia się więc prawdziwym patryotom niemieckim jako prowincya

[1] *Ateneum* z września 1885 r.

gotowa do aneksyi, i chodzi tylko o to, aby przygotować już dziś to, co według ich mniemania prędzej czy później stać się musi.

„Ponieważ, zdaniem mojem, niemiecki związek wolnomularski, rozwijający w tym kierunku groźną działalność, jest dla istnienia Austryi wielce niebezpiecznym, niechże mi wolno będzie w krótkich słowach to moje twierdzenie udowodnić.

„Przedewszystkiem, mówi p. Gabler, muszę tu wystąpić przeciwko ogólnie rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby całe wolnomularstwo uważane być mogło za coś zgoła niewinnego, za jakieś nieszkodliwe amatorstwo kosmopolityczno-humanitarnych ideałów przyszłości. Rzecz się ma inaczej. Wolnomularstwo dzisiejsze, wolnomularstwo z r. 1885 nie jest już tem, czem mogło być przed stu laty, przyjęło bowiem w różnych krajach Europy, wedle istniejących stosunków, odrębną, śmiało rzec można, narodową cechę. W Anglii masyonerya nie ma znaczenia pod względem politycznym... we Francyi jest prawie wyłącznie antykościelną, we Włoszech i w Hiszpanii — republikańską, w Niemczech zaś zdecydowanie monarchiczną, a przedewszystkiem niemiecko-narodową, z dążnością rozszerzania granic państwa niemieckiego, tak daleko, jak tylko sięga mowa niemiecka.

„Rozpowszechnianemu przez wolnomularzy twierdzeniu, że z zasady nie zajmują się religijnemi ani politycznemi kwestyami, wierzyć nie należy. W masoneryi dzieje się jak w armii: zwykły szeregowiec nie wie dziś, co na jutro wódz przygotowuje, ale jutro wykonywa to, co mu wódz rozkaże. W wolnomularstwie znajdują się, jak wiadomo, niższe stopnie niewtajemniczonych, tak zwane loże Janowe *(Johanneslogen)*, i wyższe stopnie wtajemniczonych według obrządku szkockiego. „Gazeta wolnomularzy“ z r. 1874 (nr. 19, str. 150) zawiera nader pouczające pod tym względem mowy wolnomularstwa włoskiego, w której między innemi powiedziano:

„Punkt ciężkości naszej pracy znajduje się wśród wyższych stopni. Tam stwarzamy postęp, politykę i historyę. Dla tego szkocki obrządek utrzymuje się w całej swej rozciągłości. W tym rytuale ojcowie nasi spełniali swoje głośne czyny, strącali tyranów, wypędzali obcych. Ale wielkie dzieło nie jest jeszcze spełnione (utworzenie rzeczypospolitej), dla tego potrzebny nam jest jeszcze obrządek szkocki. Czem ma być dla nas Joannes (niższe stopnie)? Niczem więcej, tylko spokojną nazwą, po-

trzebną do zaskoczenia nieprzyjaciela znienacka. Co dla nas znaczy symbol? Ma być tarczą i osłoną w dniu walki — niczem więcej. Do czego służyć nam mają wszystkie formy lóż? Ukryją nas przed wrogiem, ilekroć zdarzy nam się nieszczęście, lub ilekroć potrzebować będziemy wypoczynku, skupienia".

„W Niemczech wolnomularstwo ma dążyć do „najwyższych celów ludzkości". Otóż dla narodu niemieckiego najwyższym celem obecnie jest panowanie nad światem, a według Findla, (Duch i forma wolnomularstwa str. 69), wolnomularz ma być „człowiekiem pojmującym swój czas i pracującym nad utorowaniem drogi dla piękniejszej przyszłości". Pod tym względem na uwagę zasługuje okoliczność, że w Niemczech przed rokiem 1866, a więc przed wielkiemi powodzeniami Prus i dynastyi Hohenzollerów, wątpiono dość powszechnie o wartości i pożytku naówczas jeszcze humanitarnego wolnomularstwa, i że masonerya rehabilitowała się i znacznie rozpowszechniła dopiero po r. 1866. Z 492 obecnie istniejących w Niemczech lóż i tak zwanych „kółek", 199 powstało po 1866 r. albo zupełnie na nowo, albo też odrodziło się z dawnych, które porozwiązywano z powodu, iż zupełnie utraciły były swoje znaczenie. W Alzacyi i Lotaryngii po 1871 r. znikli francuscy wolnomularze, a na ich miejsce zjawili się niemieccy, co dowodzi, że dawny kosmopolityczny charakter masoneryi ustąpił w obec cech narodowych".

„Cesarz niemiecki jest protektorem wielkich lóż pruskich, a następca tronu jest Wielkim Mistrzem... Dotychczas poczynano sobie w Prusach w ten sposób, że wszystkie loże, tworzące się pod zwierzchnictwem lóż niepruskich, były rozwiązywane, loże zaś krajów zdobytych zmuszano do poddania się wielkim lożom pruskim". Tak pisze jeden z dawnych wolnomularzy, należący widocznie do kierunku masoneryi kosmopolitycznego, w swej książce: „Loże masońskie i anneksya" (str. 16). I tak się rzecz ma od r. 1866. Wielkie loże pruskie wytwarzają w innych krajach, a mianowicie w Austryi, loże masońskie, albo tak zwane „kółka humanitarne", niepruskim zaś lożom nie wolno w Prusiech, a nawet w całych Niemczech zakładać filij miejscowych. Wielkie loże berlińskie sterują obecnie całem kołem lóż niemieckich, w których dawniejszy kosmopolityzm humanitarny stanowczo ustąpił miejsca narodowo-niemieckiemu kierunkowi szowinistycznemu. Od r. 1872

istnieje tak zwany związek wielkich lóż w liczbie ośmiu, z których 3 w Berlinie a po jednej w Bajreucie, Darmsztadzie, Dreźnie, Frankfurcie nad Menem i Hamburgu. I nie ulega najmniejszej wątpliwości, że działalność wolnomularstwa niemieckiego jest obecnie prawie wyłącznie polityczną. Przytoczę na to kilka dowodów:

„Na uroczystości loży w Stendalu, brat Ronnenfahrt mówił 22-go marca jeszcze w r. 1869. „On (król pruski) jest nietylko naszym królem, ale i członkiem naszego związku i protektorem wolnomularstwa. Jak niegdyś Jehowa mówił do Dawida i Salomona: „Zbudujcie mi dom, ażebym mógł mieszkać przy moim ludzie, któremu przygotowałem ojczyznę w Chanaanie", tak Bóg wszechmocny powiedział do naszego króla: Zjednocz mi wszystkie ziemie niemieckie w jednę wielką dzierżawę, ażebym nareszcie mógł znaleść upodobanie w tym ludzie, który zawsze miłowałem mimo jego niezgodności, odśrodkowych dążeń, i kłutliwych skłonności". (wyborny ten wszechmocny bóg masoński, mówiący o „odśrodkowych dążnościach" zupełnie jakby drugi Bismarck w obec niesfornego parlamentu niemieckiego!).

„Następca tronu niemieckiego miał z powodu stuletniego jubileuszu wielkiej loży w Berlinie (24 czerwca 1870 r.) mowę, w której, jako ówczesny Mistrz zakonu otwarcie wypowiedział: „że wolnomularstwo nie może uchylać się od umysłowego ruchu swego czasu", a co pod tem rozumieć, wyjaśnia nam „Gazeta wolnomularzy" z 1874 r. (str. 141) w słowach dość wyraźnych: „Ażeby loże skuteczniej działać mogły należy je więcej oświecać i obznajamiać z wielkim ruchem współczesnym. W Niemczech zrobiono już krok ku temu celowi. Jeżeli w pewnym punkcie centralnym (w berlińskiej loży) będą przygotowane niektóre zgodne z duchem czasu temata, i tak przygotowawczo opracowane dostaną się do lóż innych pod rozprawę, aby jednocześnie uwaga wszystkich lóż zwróconą została na te same kwestye, w takim razie wytworzy się jednomyślne przekonanie a w następstwie zbawienna działalność". Rozumie się tu działalność polityczna, czyli, ściślej mówiąc, że wolnomularstwo niemieckie służy za dobrowolne narzędzie do celów politycznych „pewnego punktu centralnego. Jakże się zachowuje tak centralizowana masonerya niemiecka względem państwa austryackiego?

„Znaczącem jest to, że już 19-go stycznia 1868 r. niewiedzieć pod jakim wpływem, wydane zostało rozporządzenie ministeryalne, na mocy którego z roty przysięgi urzędników austryackich wykreślono klauzulę, „że obejmujący urząd nie należy ani nigdy należeć nie będzie do żadnego związku tajnego".

„Że w Austryi, a szczególniej w niemieckiej części Czech, jak niemniej w Pradze, istnieją związki wolnomularskie i że znajdują się wszędzie tam, gdzie są stowarzyszenia „niemiecko-narodowe", o tem wiadomo powszechnie. Nie jest również żadną tajemnicą, że Schneeberg w Saksonii, o kilka godzin drogi od Karlsbadu, ma naczelną zwierzchność nad związkami wolnomularskiemi w Czechach *via* Karlsbad i że tym sposobem kierunek całego niemiecko-narodowego ruchu w Czechach wychodzi właściwie z cesarstwa niemieckiego. Trudno, żeby znalazł się kto tak naiwny, coby wierzył, że celem tej agitacyi jest utrzymanie samoistności, potęgi i wielkości cesarstwa austryackiego, tem bardziej, gdy niemiecko-narodowe zwierzenia wskazują na wręcz przeciwne cele. Do stronnictwa niemiecko-narodowego w Austryi należy wielu młodych ludzi, którzy jeszcze nie nauczyli się milczeć, a nawet szukają w tem sławy, ażeby pewne rzeczy bez obawy, jawnie wypowiadać, jak np. *studiosus philosophiae* Brückner, który oświadczył w Wiedniu na publicznem zebraniu (12 listop. r. 1883): że możemy się jeszcze spodziewać ostatniego aktu wielkiego dramatu narodowego, w którym bohaterką jest: Germania, a treścią: rewindykacya zachodniej części narodu niemieckiego.

„Że tu idzie o istnienie Austryi, wątpić niepodobna, tem bardziej więc dziwnym to jest objawem, że w obec tego prądu rząd austryacki zachowuje się niemal bezwładnie... Ponieważ chodzi tu również o narodowe istnienie Czechów, więc łatwo pojąć, iż zwracam uwagę powszechną na te stosunki i knowania, których znaczenia lekceważyć nie należy.

„W mowie, którą miałem (3 marca 1883 r.) w wiedeńskiej radzie państwa z powodu rozpraw nad budżetem, powiedziałem między innemi: Stronnictwo niemiecko-narodowe, mimo swego t. z. liberalizmu obstaje przy mniemanem prawie do narodowej przewagi, odtrąca rękę podaną do porozumienia się i pojednania, i w sposobnej chwili, chce przy pomocy potężnego cesarstwa niemieckiego

wszechwładztwo swoje utrzymać, choćby nawet runąć miała przytem pozycya Austryi, jako wielkiego mocarstwa. Partya niemiecko-narodowa głosi: „Austrya musi być niemiecką, albo musi zginąć“... A wiemy jak dawno już jestto hasłem lóż masońskich. *Delenda est Austria!* i że już Mazzini, za najstosowniejszy środek do tego celu uważał: *l'exploitation de la rivalité des nationalités diverses*, a zatem rozniecanie i podtrzymywanie waśni narodowych jest w programie lóż masońskich także i w Austryi rozgałęzionych a z Niemiec kierowanych, bo wiemy jak dalece masonerya niemiecko-narodowa kształciła się w szkole Mazziniego“.

Tyle o Masonach — wdzięczni jesteśmy Ateneum za te szczegóły, tem bardziej, że po artykule p. Chmielowskiego: „Kazimierz Brodziński wolnomularzem“ tchnącym wielką sympatyą dla masoneryi [1], poprzednie wyznania „listu czeskiego“ p. Gablera o Masonach szczególnej nabierają wiarogodności, gdyż w obec tego nikt Ateneum o stronnicze uprzedzenia przeciw wolnomularstwu w ogóle posądzać nie może.

W końcu z przyjemnością zapisujemy obszerną historyczną pracę p. Wiktora Czermaka w kilku zeszytach ostatniego rocznika Ateneum zawartą p. t. Sprawa Lubomirskiego w roku 1664. Teki wypisów z archiwów zagranicznych przedwcześnie zmarłego a nieodżałowanego Stanisława Lukasa dostarczyły do niej materyału. „Aby dać miarę nadzwyczajnej pracowitości zmarłego, mówi p. Czermak w przypisku do swej przedmowy, dosyć powiedzieć, że wypisy te, które nabyła na własność biblioteka Ossolińskich, stanowią w niej dział osobny złożony z 44 tomów, nazwanych Tekami Lukasa. Przeważna ich część zawiera kopie z rękopisów paryskiego archiwu w ministeryum spraw zagranicznych i odnosi się do czasów Zygmunta III-go Władysława IV-go, a głównie Jana Kazimierza. Prócz tego znajdujemy tu znaczną ilość wypisów z innych zbiorów francuskich, jak z archiwum książąt Orleańskich w Chantilly, lub z biblioteki narodowej w Paryżu. Kopie, notatki i t. p. z berlińskiego archiwum ministerstwa spr. zagr. do czasów Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego, stanowią drugą część mniejszą całego zbioru“. Zabiegi królowej Maryi Gonzagi o tron

[1] Ateneum zeszyt z lipca 1886.

polski dla ks. Kondeusza, jakoteż proces i bunt Lubomirskiego, stanowią treść niniejszej rozprawy p. Czermaka, wysnutą z kilku tek Lukasa, na podstawie których tragiczna ta karta z dziejów naszych znalazła pod piórem p. Czermaka niemal fotograficzne odbicie z wielką sumiennością i miłością prawdy historycznej dokonane.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Rozmaitości.

Voltaire i Rousseau w *Revue des Deux Mondes.*

Deus mirabilis, fortuna variabilis! Ten dzisiejszy prąd umysłów do badań, do wertowania źródeł, do wydawania dokumentów, ma widocznie swoje dobre strony: prawda w końcu wychodzi na wierzch. A jak prawda się pojawia, biada jej nieprzyjaciołom, starym i nowym — choćby byli półbogami swego wieku, jak Voltaire i Rousseau!

Mnóstwo publikacyj o tych wielkościach przeszłego stulecia, które się niemal co dzień pojawiają, tyle już rzuciły na nich światła, że przy największej stronniczości trudno ich nie widzieć w tem świetle jakiemi byli.

Świeżo p. Gaston Maugras w książce *Querelles de philosophes: Voltaire et J. J. Rousseau*, rzucając kamieniem na Rousseau'a, staje najzupełniej po stronie Woltaire'a. Ale *Revue des Deux Mondes*, w recenzyi podpisanej przez p. Brunetière, szydzi z jego apologii Woltera i słusznie powiada, że jeden nie więcej wart jak drugi.

„Mówiąc w ogóle, pisze p. Brunetière, z wyjątkiem Buffon'a „i Montesquieu'ego, wielcy nasi ludzie z XVIII. w. dość są brzyd„kiemi osobistościami: taki np. d'Alembert, Grimm, Diderot, „a przed wszystkimi innymi właśnie dwaj najwięksi: Voltaire „i Rousseau, dwaj potężni bogowie i dwaj podli i brzydcy „potentaci[1]. Kiedy myślę o jednym, zawsze zdaje mi się, że drugi „jest lepszym. Voltaire był większym faryzeuszem, Rousseau „bardziej podejrzliwym; tamten łatwo się irytował, ten był niebez-

[1] „Deux „puissans dieux" et deux vilains sires".

„pieczniejszym: błaznowanie było tłem charakteru Voltaire'a, nale-„żało do samej istoty jego talentu; Rousseau działał najgenialniej „pod wpływem nieufności, zazdrości lub nienawiści". Jak ci dwaj ludzie się wzajemnie tytułują, jak się szkalują! — a każdy miał coś racyi za sobą. Rousseau może nie zazdrościł przeciwnikowi pieniędzy, ale w każdym razie, zazdrościł mu wpływów i znaczenia, jakie dają pieniądze. Voltaire znowu strawić nie mógł, aby ktoś stołownika królewskiego, przyjaciela metres i cesarzowych, śmiał przyrównywać do tego genewskiego smarkacza, tego chłopca od zegarmistrza, bez grosza, bez stanu, bez otoczenia. A tu jak na złość, sami nawet przyjaciele Voltaire'a czytali „Nową Heloizę", zachwycali się nad „Emilem". Voltaire, zacięty konserwator we wszystkiem, wyjąwszy religii, trzymał się ślepo starych wzorów i starego stylu; wierzył święcie, że kto nie pisał wedle stałych, niewzruszonych, uświęconych formułek, pisał źle, nie po francusku, ale po szwajcarsku, po hotentocku. Tymczasem ten Szwajcar, ten Hotentot uchodził za filozofa, kiedy Voltaire'a uważano tylko za człowieka dowcipnego, za literata.

Z zazdrości Voltaire uwziął się zostać filozofem. „W miarę „jak Rousseau wyjaśniał swe zasady, Voltaire przeciwstawiał im „swoje; — tak różne i wręcz przeciwne, iż istotnie, aby zjedno-„czyć te dwie nauki i tych dwóch ludzi w wspólnej apoteozie, jak „to niektórzy usiłowali uczynić, — trzeba było całej naszej śmie-„sznej nieznajomości ich nauk i ich samych, ich dzieł i życia „XVIII. wieku, i wreszcie nas samych. Co dziś nazywają liberalizmem, „szerokością umysłu, głębszym poglądem, ja zwę poprostu oboję-„tnością, jeśli przypadkiem obojętność ta nie zasługuje na nazwę „głupoty. Kto tureckiego sułtana ożeni z rzeczpospolitą wenecką, „ten potrafi pogodzić Rousseau'a z Voltaire'm"... Boć pierwszy miał przynajmniej jakąś moralność, jakąś filozofię; drugi „obojętny „a raczej obcy wszelkiemu pojęciu dobra i złego moralnego, pod „nazwą uczciwości rozumiał jedynie zachowywanie pewnych towa-„rzyskich zwyczajów, pod nazwą cnoty poddanie się pewnej liczbie „koniecznych i powszechnych p r z e s ą d ó w", Rousseau wierzył w Opatrzność; Voltaire wierzył w siebie i w swój dowcip. Voltaire pozował wiecznie na arystokratę; Rousseau był pierwszym przykładem autora, który zostawszy autorem, nie zrzucił z siebie

szaty plebejusza, owszem z szaty tej się pysznił, przypominał wciąż plebejuszowskie swe pochodzenie, choć swoją drogą znieść nie mógł, aby mu je inni przypominali.

Jakże się nie dziwić, że tacy dwaj ludzie żyli z sobą jak pies z kotem, chociaż, a może właśnie dla tego, iż w niektórych, co prawda, niepięknych przymiotach ze sobą się zgadzali. „Nikt „pewnie na świecie tyle się nie nakłamał co Voltaire... Ale i wy- „znaniom Rousseau'a nie bardzo można wierzyć, podobno nie „jedno tam kłamstwo się mieści, a gdyby zachodziła potrzeba, „możnaby łatwo wykazać fałsz lub błąd w niejednym punkcie, który „dotychczasowi fanatyczni jego uczniowie uważali za niepodlegający „wątpliwości". Choć zaprzeczyć trudno, iż dziwną mamy miarę w krytycznem ocenieniu prawdziwości tych wyznań. „Kiedy „Rousseau szkaluje sam siebie, wierzymy mu święcie; kiedy napada „na Grimm'a lub Diderot'a, zwiemy jego książkę dziełem gorączki, „monumentem szaleństwa. Czyż taki Grimm, lub Diderot są dla „nas bogami, których dotknąć się nie wolno? Niechże sobie będą „bogami dla swych wydawców — ja, kładę ich wszystkich w jed- „nym szeregu, a jeśli już koniecznie wybierać trzeba, to z dwojga „złego wybieram Rousseau'a".

Wybieram Rousseau'a, bo dziś już wątpić nie podobna, że był on w pewnej przynajmniej części nieodpowiedzialnym za swe uczynki i słowa. „Rousseau był, czy został waryatem; dziś jest to „niemal pewnikiem. Był waryatem nie w ogólnem znaczeniu tego „słowa, ale w właściwem, patologicznem; arcydzieła jego nic temu „twierdzeniu nie przeszkadzają, owszem, właśnie waryactwo ich „autora tłumaczy nam najlepiej naturę niektórych z nich, charakter „ich i wpływ... Dowodów na to, aż za wiele... Tak np. jedynie „waryactwem wytłumaczyć można owo bronienie najwyższego prawa „namiętności, które w praktyce życia, jak codzienne stwierdza do- „świadczenie, prowadzi swych zwolenników do zbrodni, szaleństwa „lub śmierci, i nigdy ich gdzieindziej nie poprowadziło i nie po- „prowadzi. Piękne namiętności nie istnieją, jak nie istnieją „piękne choroby, lub piękne zbrodnie; każda namiętność „z natury swej jest złą, bo każda wprawia w niepokój i do złego „doradza". Jedynie waryactwem można wytłumaczyć owo niepojęte samolubstwo, odnoszące cały świat, wszystkich ludzi do własnego

ja; owe śmieszne polityczne, a śmieszniejsze jeszcze społeczne pomysły genewskiego obywatela. „Od przeszło stu lat idziemy za „popędem danym przez Rousseau'a, nie uważając, iż wzięliśmy „sobie za przewodnika człowieka chorego... Wyznajmy po prostu, „że szaleństwo Rousseau'a, więcej może niż wszystkie inne względy, „przyczyniło się do zjednania mu powodzenia w swoim czasie, „a wpływu w naszym; fanatycy Rousseau'a mogą, jeśli im się po„doba, przekładać to szaleństwo nad zdrowy rozsądek świata, ależ „przynajmniej trzeba zrozumieć, że to jest szaleństwo".

Tak traktuje te wielkości XVIII. wieku, tych inicyatorów wolnej myśli dzisiejsza najwyższa tej wolnej myśli przedstawicielka *Revue dex Deux Mondes* — więc i naszym liberalnym gazetkom i broszurkom godziłoby się już mówić o tych wielkościach bez owych wiecznych objawów hołdu i wykrzykników admiracyi: „wielki mąż! nieustraszony szermierz idei!"... Ale zanim światło z nad Sekwany do Wisły dojdzie, wiele wody w tej ostatniej upłynie.

X. J. B.

Do sz. Redakcyi „Gazety Narodowej". W feljetonie „Gazety Narodowej" z 30 Lipca znajduje się artykuł, czy raczej krytyka, czy może, jakby starzy retorzy powiedzieli, chryja p. t. *George Sand jako kobieta*, podpisana trzema literami *Stb.* — Nałamawszy sobie głowy, coby te trzy litery mogły znaczyć, doszedłem — z osnowy artykułu, — że to są tajemnicze inicyały, które czytać należy: „Śmiechu tylko warte", (bo *b*, jak filologom wiadomo, zastępuje nieraz literę *w*.) Po tem odkryciu rzecz mi się stała całkiem zrozumiałą i cel wydał mi się w zupełności osiągnięty. Szanowny autor *Stb.* mając pisać o tem obrzydliwem stworzeniu, zwanem *George Sand*, którego tylko szczypczykami dotknąć się można, i polemizując z Johnem Alberts'em, który zganił wprawdzie i potępił George Sand, ale zapewnie nie dosyć ją zgniótł i zdeptał — Szanowny Stb., mówię, nie chciał szlachetnem oburzeniem tego kału ruszać, i wolał z atycką solą stanąć niby w obronie pani Sand przeciw Alberts'owi i pociskami ironicznych pochwał zmiażdżyć tę ropuchę. Stąd oczywiście te uwielbienia autorki „u której prze-

szłe pokolenie uczyło się budującej analizy duszy niewieściej". To twórczyni „ideałów minionej ery"! „nie Lais, ale Aspazya, nie bachantka namiętności, ale niewolnica uczucia"! „kobieta w sumieniu własnem rozgrzeszona i wolna"! „kobieta genialna, której jedynym nerwem było uczucie"! słowem kobieta idealna, dla której kult mieć trzeba prawdziwy, kochać ją, i ile się da, naśladować. Tutaj autor feljetonu wpada w zapał i z niezrównaną finezyą moralizuje swych czytelników: Porzućcież raz te poziome realistyczne powieści, a wstąpcie na szczyt ideału, na którym w stosach piętrzą się powieści George Sand, czytajcie o! wpółobumierające, wpółzgniłe plemiona! napawajcie się tą wonią, a uczcie się żyć od *Jndyany*, czuć i myśleć od *Lelii!*...

Wspaniale! — wszelako gdybym się był przypadkiem mylił, gdyby owe litery *Stb.* oznaczały nie com przypuszczał — ale rzeczywiste nazwisko jakiegoś młodego pisarka, który w czasie wakacyj szan. Redakcyi, zastępował ją przy zielonym stoliku[1] i — nie wiedząc czem była George Sand — na serio te wszystkie pochwały i wykrzykniki kreślił: w takim razie sól atycka się rozwiewa i komika przechodzi w tragiczność.

Chcąc pisać choćby nawiasowo o George Sand, trzeba wiedzieć, panie Stb., co to była za istota. Ta George Sand, czyli właściwie Armantyna-Lucylla-Aurora Dudevant, była poprostu co Grecy nazywali heterą, obracającą się w najwyuzdańszych kołach paryskiej „hemii". Gdyby żyła za dawnych czasów, musiałaby chodzić w żółtej sukni i pokutować za swe grzechy w więzieniu połączonem

[1] W ten też jedynie sposób tj. nieobecnością Redakcyi we Lwowie, wytłumaczyć sobie możemy umieszczenie w *Przeglądzie* lwowskim z 8 lipca b. r. korespondencyi z Paryża p. t.: Pojedynek we Francyi. *Przegląd* jest i chce być pismem konserwatywnem i katolickiem; pojedynek wzbroniony jest prawami państwowemi i kościelnemi, owszem Kościół groźbą klątwy wiernych od niego wstrzymuje. Niepodobna więc, aby *Przegląd* wiedząc co robi, umieścić miał w swych łamach niesmaczne te androny. Ale korzystając z tej sposobności, zwracamy uwagę Sz. Redakcyi *Przeglądu*, iż już dawniej w najpoważniejszych kołach dziwiono się, czemu Redakcya nie daje dymisyi swemu korespondentowi z Paryża. Niektóre żarciki tego pana nie nadają się nawet podobno do głośnego czytania; a z dwojga złego, lepiej, iż korespondencyi z Paryża nie będzie, niż gdyby ona miała kompromitować pismo, któremu skądinąd życzyć możemy tylko wszelkiego powodzenia.

z przymusowym postem i dyscypliną; żyjąc w Paryżu w XIX. w., ubierała się po męzku, za literackiego giermka obrała sobie Sainte-Beuve'a, i jak prawdziwa Lais czy Aspazya, wplątała w swe sidła Musseta, Sandeau, Michała z Bourges, i całą plejadę na tuziny liczących się satelitów.

Taką była k o b i e t ą; jakąż była jako autorka?

Romanse zaczęła pisać nie z literackiego powołania, ale dlatego, że nie miała pieniędzy. Pierwszy romans *Blanche et Rose* przyniósł jej 400 franków, i to zdecydowało o przyszłym jej zawodzie. *Jndyana* uczy jak łamać wiarę małżeńską, a wychyliwszy cały kielich brudnych roskoszy, kończyć samobójstwem. *Valentine* powtarza tę samą lekcyę. *Lelia* przechodzi w cynizmie pogańskich poetów Rzymu; dawne — jeśli jakie były — idealne marzenia uleciały, a autorka bez wstydu klęka przed bóstwem Afrodyty: „Prawo me do szczęścia — mówi bohaterka, w której wszyscy krytycy jednogłośnie uznają samą Sand — ograniczam na używaniu rzeczywistości. Nie wzgardzać tem używaniem, oto moja cnota; zadowalniać się niem, to moja mądrość. Moją liturgię spisał Anakreon; starożytność jest mym pierwowzorem... Przeciw zwątpieniu mam lekarstwo w religii roskoszy..., roskosz jest nagrodą mej walki". — Nie mówimy o innych powieściach, o: *André, Leone Leoni, Elle et lui* i t. d., to wszystko należy do kategoryi rzeczy, o których powiedziano: *nec nominetur in vobis.*

I o takiem to brzydactwie, ktore jest istną negacyą wszelkiej moralności, ubliżeniem godności kobiety, które splami każdą duszę a nawet rękę, co się okładki dotknie... śmie p. Stb. pisać, że „uczy budującej analizy duszy niewieściej", że jest „twórczynią ideałów minionej ery"! — i śmie swoją chryję kończyć aspiracyą do powrotu ery takich ideałów: „Może nastanie i może już nastała generacya szlachetnie zrozpaczonych, która nie zechce, która nie będzie pracować wśród tej zarazy morowej, i może jaki nowy Jeruzalem-Werther o te wasze mury rozbije w czerepy czaszkę swoją umęczoną". O Redakcyo „Gazety Narodowej"! gdziekolwiek używasz zasłużonych ocyów — w Zakopanem czy w Rabce, w Ems czy w Helgolandzie — wracaj prędko do nadzoru swojego biura!

Ks. M. M.

Kronika gimnazyum Rzeszowskiego napisana przez profesora *Filipa Świstunia.*

Rzadko tylko odpowiadamy na zaczepki wymierzone przeciw naszemu Zakonowi, bo w ogóle szkoda nam na to czasu, którego lepiej użyć możemy. Pracę też p. Świstunia zawierającą stare, a oddawna gruntownie i wielokrotnie zbijane baśnie przeciw Jezuitom byłbym milczeniem pominął, gdyby nie to że została umieszczona w „Sprawozdaniu Dyrekcyi c. k. wyższego Gimnazyum w Rzeszowie za rok szkolny $188^5/_6$“, a przez to nabrała większej powagi. Czy na tę większą powagę zasługuje, niech czytelnik sam osądzi.

We wstępie do swej rozprawy autor mówi: „Na podstawie tej kroniki (Historiae gymnasii ressoviensis ab anno 1809) i wiadomości aczkolwiek skąpych o dawnem kolegium OO. Pijarów w Rzeszowie, którego dalszym ciągiem jest nasze gimnazyum, jakoteż aktów gimnazyalnych, aktów starostwa tutejszego, ksiąg ławniczych i wójtowskich miasta Rzeszowa i dzieł odnoszących się do dziejów oświecenia w ogólności w Polsce, ułożył autor niniejszą monografię, częścią sposobem pragmatycznego, historycznego opowiadania, częścią na wzór kroniki właściwej. Tym sposobem, mniema, na dziejach jednego zakładu będzie podana sposobność porównania stanu szkolnictwa minionych wieków ze stanem obecnym“.

P. Świstuń twierdzi, że Jezuici źle uczyli i źle wychowywali młodzież; jako dowód powołuje się na ź r ó d ł a, odsyła mianowicie czytelnika do Łukaszewicza. Otóż, że Łukaszewicz tak utrzymywał nie przeczę, ale p. Świstuń wiedzieć był powinien, jeżeli nie skądinąd, to przynajmniej z Bartoszewicza, że Łukaszewicz był stronniczym, wrogo usposobionym dla Kościoła i wszystkich instytucyj katolickich, krytycznym pisarzem nie był. Nadto p. Świstuń powołując się rzekomo na Łukaszewicza i przytaczając bardzo dokładnie liczby tomów i stronnic, przepisuje po prostu całe ustępy z Encyklopedyi Orgelbranda, bez wszelkiej by też najmniejszej o niej wzmianki. I tak:

Kroniki str. 8.	Encyklopedyi T. XXI. str. 274.
Stanisław Hozyusz kardynał i biskup warmiński, poznawszy na	Stanisław Hozyusz kardynał i biskup warmiński, znajdując się

soborze Trydenckim kilku członków świeżo wówczas założonego zakonu OO. Jezuitów, trudniącego się wychowaniem młodzieży, spostrzegł, że zakon ten największe korzyści Kościołowi katolickiemu i wychowaniu w Polsce przynieść może. Sprowadził przeto Jezuitów natychmiast z Rzymu i Niemiec do Brunsberga i Warmii 1564 r., oddał im opuszczony od Franciszkanów klasztor i zaopatrzył w potrzebne fundusze. W ślady Hozyusza wstąpił Andrzej Noskowski biskup płocki, który w r. 1565 Kolegium...

na soborze Trydenckim, miał sposobność zapoznania się tam z kilku członkami świeżo dopiero założonego zakonu Jezuitów, trudniącego się wychowaniem młodzieży, i wnet spostrzegł, że zakon ten jest właśnie takim, jakiego sobie w ówczesnym stanie Kościoła krajowego duchowieństwo Polskie życzyć mogło. Sprowadził przeto Jezuitów natychmiast z Rzymu i Niemiec do Brunsbergi i Warmii, oddał im opuszczony od Franciszkanów klasztor i zaopatrzył w dostateczne fundusze... Pierwszym z biskupów polskich, który poszedł w ślady Hozyusza, był Andrzej Noskowski biskup płocki, który w r. 1565 kolegium...

Kroniki str. 9.

Co do metody nauczania, nie działali oni na rozwijanie rozsądku u młodzieży, i pojęć jej, ale na wyobraźnię; nie uczono jej myśleć, zastanawiając się nad treścią rzeczy, lecz wpajano w umysły mechanicznie tylko formę rzeczy. Uczono łaciny i czytano klasyków, lecz na to tylko, aby uczeń płynnie mówił złą łaciną; naładowano pamięć ucznia postaciami retorycznemi, syllogizmami i urywkowemi mądrościami, aby...

Encyklopedyi T. XXI. str. 278.

... nie chodziło Jezuitom o to, aby uczeń obznajmił się z duchem klasyków starożytnych, ale aby jedynie mówił złą łaciną; nie działano na rozwinięcie jego rozsądku, pojęć, ale na imaginacyę; nie uczono go myśleć, zastanawiać się nad rzeczą, którą czytał, ale nad jej formą; nie bogacono umysłu jego pożytecznemi... wiadomościami, ale ładowano pamięć jego zawiłemi regułami... postaciami retorycznemi, syllogizmami.

Dziennikarzowi skazanemu na pisanie z dnia na dzień długich i najrozmaitszej treści artykułów, uchodzi może zapożyczać taniej

mądrości z encyklopedyi, ale „monografii“, i to umieszczonej w urzędowem sprawozdaniu dyrekcyi publicznego zakładu naukowego, przez profesora historyi przy tymże zakładzie poczesne stanowisko zajmującego, bez przytoczenia źródła, to chyba nie uchodzi, zwłaszcza iż autor encyklopedycznego artykułu, podpisujący się L. R., przez nikogo za krytyka i historyka nie jest uznawanym.

Jeżeli nie można się zgodzić na wiarogodność świadków, przytaczanych przez p. Świstunia, tem bardziej zgodzić się nie można na jego apryoryczne zapatrywania i rozumowania, w których ciągle się wikła i sam z sobą wpada w sprzeczność. I tak autor jest zdania, że Jezuici źle uczyli (str. 9), w innem miejscu (str. 14), że Pijarzy nie uczyli lepiej, a w innem znowu, iż wady nauczania były wspólne „wszystkim szkołom katolickim i protestanckim“ u nas i za granicą. Jezuici tedy nie uczyli gorzej od innych; co więcej, na tej samej stronnicy Encyklopedyi, z której zrobił wyciąg p. Świstuń, mógł był wyczytać zdanie swego historyka L. R. który pisze: „Szkoły te, (jezuickie), jeśli pod względem zakresu nauk nie były gorszemi od akademickich, owszem przewyższały je w tej lub owej mierze“... P. Świstuń utrzymuje, że Pijarzy sprowadzeni byli dlatego przez Lubomirskiego i Władysława IV., ażeby stawić zaporę Jezuitom i naprawić ich nauczanie; jakże się to zdanie godzi z uwagą, którą sam autor czyni, że Pijarzy, według przewodniej myśli swego założyciela, winni byli zajmować się szkołami niższemi, podczas gdy Jezuici przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, zakładali szkoły średnie i wyższe! Na str. 13 dowodzi autor, że pauprowie pijarscy nie dopuszczali się takich ekscesów, jak pauprowie jezuiccy, i twierdzi, że w aktach miejskich Rzeszowa nie ma śladu jakichkolwiek ekscesów uczniów pijarskich, lecz już na str. 16 sam zbija swoje wywody, objaśniając zapis 3.000 złp., uczyniony 1685 r. przez kahał żydowski na rzecz Pijarów tem, że „zapis ten prawdopodobnie wypływał z zatargów i bijatyk uczniów pijarskich ze żydami“. Na str. 17 pod nr. 1707 wypisuje z tychże aktów miejskich: „co do potłóczenia szewczyków przez bursaków, to ponieważ ostatni do juryzdykcyi miejskiej nie należą, sprawę *ad superioritatem collegii remittit*“. Janowi Zamojskiemu przypisuje autor zamiar przeciwdziałania Jezuitom przez utworzenie Akademii w Zamościu. Ciekawą to rzeczą na czem autor ten domysł opiera,

kiedy wiadomo, że Jan Zamojski był kanclerzem, głównym doradzcą i przyjacielem serdecznym Batorego, który Jezuitów i szkoły jezuickie tak silnie popierał, i nadto tenże Zamojski dawał Jezuitom wiele wyraźnych dowodów swego zaufania.

Pisze dalej p. Świstuń: „Raziła powszechnie niekarność szkół „jezuickich. Sami bowiem Jezuici, chcąc dokuczyć któremu z różno- „wierców lub Żydów, albo też gminie, poduszczali natychmiast „swoich uczniów, którzy śmiało, bez obawy najmniejszej kary, tar- „gali się na chudoby, zdrowie, a nawet i życie niemiłych lub nie- „przyjaznych Jezuitom osób. Skoro ksiądz rektor, albo ksiądz pre- „fekt szepnął im do ucha, że burmistrz przeszkadza zakonowi „w nabywaniu planu lub domostwa jakiego w mieście, skoro szewc „lub inny rzemieślnik odważył się obyczajem szlacheckim nosić pas „na kontuszu, natychmiast młodzież jezuicka rzucała się z wście- „kłością na niego i t. d.

Cały ten ustęp jest nielogicznym i potwarczym. Nielogicznem jest wyrażenie „raziła powszechnie“, i przypomina on frazes ministra: *es ist notorisch bekannt*, którem w sejmie berlińskim uzasadniono ustawę 100-milionową przeciw Polakom, ale jakże się to może zgodzić z faktem przez autora przytoczonym, że Jezuici posiadali w Polsce i Litwie 1616 r. 29 kolegiów, a 1741 r. aż 72 (istotnie tylko 66), przybyło im więc w przeciągu 135 lat około 40 szkół, i to dobrze uczęszczanych. Jeżeli tak „powszechnie raziła“ niekarność szkół jezuickich, skądże płynęły fundusze na zakładanie wciąż nowych i coraz liczniejszych tych rażących szkół jezuickich? i jacyż to byli rodzice, co pomijając inne szkoły, powierzali dzieci swoje Jezuitom?

Wprost niesumienny, bo potwarczy jest zarzut, że Jezuici poduszczali swoich uczniów na mienie, zdrowie, a nawet i życie różnowierców lub Żydów, że już nie jaki niedowarzony albo niegodny swego powołania młodzik, ale poważni rektorowie lub prefekci kazali uczniom rzucać się z wściekłością na jakąbądź niemiłą im osobistość. Niech wybaczy autor, że na taką potwarz się oburzam. My Jezuici dzisiejsi tak wysoko cenimy i czcimy naszych dawnych ojców, że szczęśliwymi byśmy się czuli, gdybyśmy tyle co oni zdziałali dla chwały Bożej i dla dobra kraju, więc chociaż mamy dosyć do tego sposobności, aby z tem się oswoić, przecież zawsze

boli każdego z nas niepoczciwe poniewieranie Zakonu, który nas przygarnął i wychował, niemniej jak gdyby nam kto matkę rodzoną lub miłą ojczyznę szkalował. Ale nie ten jeden tylko wzgląd mię pobudził do odpowiedzi szanownemu autorowi. Czyż szanowny pan profesor, który przecież powinien być wytrawnym pedagogiem, czyż dyrekcya zakładu, która nadała pracy p. profesora oficyalną cechę, nie zrozumiała, jaką krzywdę napaść ta, wymierzona przeciw korporacyi duchownej w całym kraju głośnej, wyrządza nie tej korporacyi, nie duchowieństwu z nią się chętnie solidaryzującemu, ale tej biednej młodzieży naszej? „Sprawozdanie“ wraz z „kroniką“, przez Dyrekcyę gimnazyum wydane, kogoż może więcej obchodzić, któż z większą ciekawością będzie je czytał, jeśli nie sama młodzież do rzeszowskiego gimnazyum uczęszczająca. I jakiż z tego czytania będzie rezultat? W tej właśnie chwili jeden z naszych XX. Biskupów, w Rzeszowie i całej dyecezyi przemyskiej dobrze znany, podnosił wymowny swój głos, aby, choć podobno nad zasługi nasze, ale szczerze i nieobłudnie prace i usiłowania naszego Zakonu pochwalić. Młodzież po większej części nie może o tem nie wiedzieć. Komuż uwierzy? Czy swemu profesorowi, czy biskupowi? W subtelne dystynkcye młodzież nie lubi się bawić, nie będzie w siebie wmawiać, że to dawniejsi tylko Jezuici kazili serca młodzi sobie powierzonej, podmawiając ją podstępnie do rabunku i mordów ale teraźniejsi to są ludzie uczciwi i kapłani sumienni, lecz wcale logicznie wnioskować będzie, że teraźniejsi chyba nie lepsi od starych Jezuitów — a jednak tych takich Jezuitów jeden biskup publicznie wychwala, inni jawnie popierają, księża proboszczowie do pomocy w swoich kościołach chętnie i często wzywają, a nawet pod ich przewodnictwem rekolekcye odprawiają, X. Katecheta inaczej też niż p. profesor o nich prawi: Więc albo p. profesor napisał prawdę — a w takim razie, ponieważ *simile simili gaudet*, oczywiście Jezuici już całe prawie duchowieństwo nasze, a najwięcej biskupów jadem swoim zarazili, wszyscy księża tak samo jak Jezuici nic nie warci, i demoralizujący tylko wywierają wpływ — albo p. profesor rozminął się z prawdą, i w takim razie sam się dopuścił występku, który innym zarzucił, gdyż uczniom swoim dość wyraźnie „szepnął na ucho“, żeby za jego przykładem, na Jezuitów kamieniem rzucali.

Ks. Henryk Jackowski.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Burza socyalistyczna. — Konferencya biskupów belgijskich. — Socyalizm i dzienniki liberalne. — Wybory zbrodniarzy do parlamentu włoskiego. — Proces Des Dorides'a. — Burzenie Rzymu. — Zmniejszenie ludności a wzrost zbrodni we Francyi. — Nuncyatura papieska w Pekinie.

Każdy tydzień, każdy niemal dzień przynosi nam potwierdzenie słów Leona XIII., że jedynie Kościół katolicki, że tylko wprowadzenie w życie całej Chrystusowej nauki zabezpieczyć może świat przed zbliżającą się z niezmierną szybkością socyalistyczną nawałą. Nie było dnia w ostatnich kilku tygodniach, w którymby telegram nie doniósł o nowej jakiejś socyalistycznej zmowie czy bitce. Jednocześnie w Lipsku i Brukseli toczył się proces przeciw anarchistom, z których niektórzy, jakby dla ironii, zasiadają na ławach parlamentu. W Berlinie, mimo praw wyjątkowych, potrafili socyaliści 21 lipca rozrzucić kilka tysięcy proklamacyj, zawierających surową krytykę czynności ministra Puttkamera, a kończących się okrzykiem: „Niech żyje socyalna demokracya"! Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie okrzyki belgijskich komunistów, a już w sąsiedniej Holandyi bandy złoczyńców, upojone frazesami bezkarnie rozchodzących się pism socyalistycznych, wznieciły w Amszterdamie zaburzenia, których ofiarą padło około pięćdziesiąt osób. W Danii ludność nie zadowolniona z ministerstwa Estrupa, utrzymywanego wbrew parlamentowi jedynie powagą królewską, nie tai się z sympatyami dla coraz wzmagającej się nietylko tu, ale i w całej Skan-

dynawii, socyalistycznej partyi. 16 lipca stanęli w Chicago przed sądem przysięgłych anarchiści zawikłani w tak zwanym spisku bomby, a co najsmutniejszy cień rzuca na całą tę sprawę, trzeba było trzech tygodni czasu, zanim zdołano zebrać dwunastu sędziów, tak dalece przeraziły wszystkich pogróżki, których nie szczędziły socyalistyczne dzienniki *Arbeiter* i *Volks Zeitung*. Amerykańscy socyaliści nie zadowalniają się uregulowaniem zapłaty i czasu pracy; nie wierzą w parlamentaryzm, ale idąc za wskazówkami słynnego Mosta chcą zburzyć wszystko i wtedy dopiero będzie lepiej! Przed paru zaledwie dniami odegrał się przed sądem ostatni akt smutnej historyi w Decazeville, a już sztrejki robotników w Liwornie, Florencyi, Marsylii, rozruchy w Barcelonie, zapowiedziana na 15 sierpnia wielka manifestacya socyalistyczna w Brukseli, słusznie niepokoją umysły.

Czy te, jakby na komendę w coraz innych miejscach mnożące się bunty i rozruchy, podlegają wspólnemu jakiemuś podziemnemu kierunkowi mniejsza o to, w każdym razie są symptomatem, zdradzającym wewnętrzny rozkład społeczeństwa. Na chorobę tę trzeba lekarstwa i na to w zasadzie wszyscy się zgadzają. Prusy ustanowiły prawa wyjątkowe, rząd angielski rozpoczął z Stanami Zjednoczonemi pertraktacye o wzajemne wydawanie anarchistów, choć z dziwną nielogicznością rząd waszyngtoński Fenjenów do rzędu anarchistów nie chce zaliczyć: ale z natury rzeczy są to chwilowe prezerwatywy, nie istotne środki zaradcze. O takich istotnych środkach pomyśleli biskupi belgijscy zebrani 26 lipca na osobnej, w tym celu zwołanej konferencyi w Malines, a środki te identyfikują się z podanemi przez Leona XIII. w encyklice o socyalizmie. Poprzednio już biskup z Namur, ks. Belin, podał licznemu swemu klerowi trzy pytania, które mają być roztrząsane na najbliższych konferencyach dekanalnych:

1) Jakie przyczyny sprowadziły kwestyę socyalną, zagrażającą dziś niemal wszędzie porządkowi publicznemu?

2) Jakich środków przeciw temu wielkiemu złemu użyćby można?

3) O ile i w jaki sposób duchowieństwo powinno brać udział w walce niezbędnej dla ocalenia społeczeństwa?

Liberalne dzienniki belgijskie żartują sobie z tego „mieszania

się Kościoła“ w kwestyę socyalną, ale niech parę razy jeszcze przejdą się po Belgii socyalistyczne procesye, nową opowiadając ewangielię, a podobno liberałom zamrą dowcipy na ustach. W pierwszej chwili przerażenia, nazajutrz po rozruchach belgijskich pisał *Le Temps*, jeden z najgłówniejszych organów liberalnej prasy europejskiej:

„Istotnie nie wiedzieć, jak wytłumaczyć wypadki dni ubie-
„głych, spoglądające na nas z prawdziwą ironią. Ironia ta, jeśli
„nad nią bliżej się zastanowimy, sięga dalej niżby się zdawało:
„wydawałoby się, iż dotyka najfundamentalniejszych
„zasad liberalizmu. Boć ostatecznie, dlaczegożeśmy tyle wal-
„czyli za wolność mówienia i pisania? Czyż nie dlatego właśnie,
„aby dopuszczając wszędzie wolną dyskusyę, odjąć gwałtowi nawet
„cień jakiejkolwiek słuszności? Dlatego również żądaliśmy głoso-
„wania powszechnego, aby raz na zawsze uniemożliwić rozruchy
„i bitki uliczne. A oto prasa, wolność publicznych zebrań, sztrejki,
„które miały umorzyć gwałt, wywołują go w najstraszniejszy i naj-
„skrajniejszy sposób“.

Ilustracyą do tych słów, jak gdyby wyjętych z pism Donozo-Cortes'a, a wykazujących tak dobitnie całą przepaść systematu liberalnego, były ostatnie skandaliczne wybory do parlamentu włoskiego. Czterech więźniów: Cipriani, Sbarbaro, Moneta i Coccapieller, po dziś dzień karę odsiadujących i to wcale nie za polityczne przewinienia, obranych zostało werdyktem ludu na posłów, a więc na przedstawicieli kraju, na sędziów w najżywotniejszych i najważniejszych interesach. *Neue Freie Presse* radzi, aby tych wyborów nie brać zbyt tragicznie: jest to poprostu zagadka psychologiczna, którą chyba wytłumaczyć można epidemią, opanowującą lud rzymski za pośrednictwem krzykliwych trybunów. Być może, ale kto nam zaręczy, że ta epidemia stale się choćby tylko we Włoszech, nie rozgości? Rozsądniej rzecz tłumaczący widzą w tych wyborach wotum niezaufania dane rządowi przez ludność Romanii. W każdym razie czuć i tutaj wpływ socyalizmu. Po wyborze Ciprianiego w Forli, wielu młodych socyalistów urządziło mu owacyę, przebiegając procesyonalnie ulice miasta z czerwonemi i żółtemi czapkami na głowie, na których zdala błyszczał haniebny numer więźnia z Portolongone. Coccapieller znowu obrany został po zaciętej walce

z rządowym kandydatem księciem Colonna. Natychmiast po wyborze, udała się do ministra sprawiedliwości deputacya z prośbą o ułaskawienie nowego posła, który właściwie do stycznia przyszłego roku winien był pozostać w więzieniu. Minister a raczej rada ministeryalna odmówiła; ciekawa rzecz, czy parlament włoski nie da wotum nieufności ministeryum, tak bezwzględnemu dla jednego z jego członków.

Już to w ostatnich czasach stanowczo zaborcom Rzymu, w Rzymie się nie powodzi. Przed rokiem, 13 sierpnia 1885 r. uwięził rząd włoski Francuza, hr. Karola Des Dorides, współpracownika papieskiego dziennika *Le Moniteur de Rome*, oskarżając go o szpiegowanie i zdradzanie tajemnic marynarki włoskiej. Prasa liberalna rozdmuchała tę sprawę do niesłychanych rozmiarów, a dopomógł jej jakiś bezimienny list z Wiednia, któremu poważne, zdawałoby się, gazety i ludzie z dziwną naiwnością uwierzyli. Już nietylko Des Dorides, ale i kilku kardynałów, ba! nawet sam papież mieli brać udział w rozgałęzionym spisku, mającym widocznie w dalszych następstwach wypędzić Włochów z Rzymu. Ostateczny wyrok miał zapaść 27 lipca; czekano nań z febryczną niecierpliwością. Tymczasem trzech admirałów wezwanych dla zdania sprawy o ważności dokumentów, znalezionych u Des Dorides'a i na podstawie których ukuto cały olbrzymi akt oskarżenia, oświadczyło, iż dokumenta te nie zawierają żadnej tajemnicy państwowej, i że można je z daleko mniejszem niebezpieczeństwem podać do świadomości całego świata, niż np. sprawozdania z posiedzeń parlamentu. Po tem oświadczeniu, sędziowie nie mieli naturalnie dalej co robić; wydali wyrok uniewinniający, i Dorides'a po całorocznem blizko zamknięciu, wypuszczono nakoniec na wolność. Cały przebieg tej sprawy wyglądał jakby na teatralną sztukę wymyśloną na zohydzenie Stolicy św., ale w której aktorowie nie zrozumieli, czy nie mogli zrozumieć i wyuczyć się rozdanych ról, i tragedyę zmienili w komedyę, wyśmiewającą samychże swych autorów. Nadzwyczaj też komicznem było ostatnie przemówienie prezydenta trybunału: „Hrabio Karolu Des Dorides, sąd włoski uwolnił ciebie Francuza; „idź i powiedz twym rodakom, jaka sprawiedliwość panuje we „Włoszech". Biedne Włochy, jeśli nie mają z czego innego się po-

chwalić przed obcemi narodami, jak z uwolnienia człowieka, który niewinnie siedział w więzieniu przez dziewięć miesięcy!

Prawda, że trudno np. chwalić się z wandalizmu, z jakim rzymska rada miejska zamyśla zniszczyć i obrócić w gruzy najpiękniejsze pamiątki, należące do całego katolicyzmu, aby powozom radnych, deputowanych i ministrów wygodniej było jeździć po stolicy włoskiej. Przeciw temu barbarzyństwu, któremu między innemi uledz ma i kaplica św. Stanisława Kostki, zaprotestowali niemieccy uczeni: Grimm i Gregorovius i znany liberalny historyk włoski Bonghi. List Bonghiego, umieszczony w *Opinione* nie oszczędza radców miejskich, pragnących choćby kosztem sztuki i historyi zniszczyć jak najprędzej wszelkie ślady dawnego chrześcijańskiego Rzymu. „Wolno nam uskarżać się, pisze Bonghi, na niemieckich „i angielskich pisarzów..., ale faktem jest niezaprzeczalnym, iż, „o ile tylko możemy, pracujemy nad przemienieniem Rzymu na śmie„cisko obrzydliwości... Nie podlega też wątpliwości, iż owa wol„ność zostawiona wszystkim i każdemu oszpecania i znieważania „Rzymu dla prostej spekulacyi, jest smutnym znakiem artystycznego, „a nawet moralnego upadku Włoch. Ale, powie mi kto, nie mów „takich rzeczy, bo zrobisz przyjemność klerykałom; nie wiem, czy „im to robi przyjemność, ale jeśli robi, to bardziej jeszcze muszą „się cieszyć, iż cała hańba brudnej tej sprawy spada na nas".

Bonghiemu przywtórzyły gazety najrozmaitszych odcieni. Jedna z nich *La Rassegna* domaga się, aby Bonghi wywiódł sprawę burzenia Rzymu przed parlament i położył raz wreszcie koniec panowaniu „municypalności, która od lat 15 nie umiała zrozumieć ani „materyalnych, ani moralnych potrzeb Rzymu... Rzym nie miał ani „jednego z potrzebnych warunków, aby zostając stolicą Włoch, mógł „się samoistnie rządzić. Rząd znowu, opierający się na parlamen„taryzmie, a zatem chronicznie słaby, pozwolił Wandalom robić co „im się podobało, a za lat kilka dzieło ich będzie skończone. Miasto „Wieczne straci swój historyczny charakter i zostanie, nie jednem „z najpiękniejszych miast na świecie, ale wzorem brzydoty dla „potomnych".

Czy słowa te, dyktowane przez szlachetne oburzenie, sprawią jakie wrażenie na radcach miejskich, a przynajmniej na członkach parlamentu, przed sądem którego kwestya burzenia Rzymu nieza-

zawodnie stanie — czy nad artystyczne, historyczne i moralne względy przemoże zaciekłość sekciarska? Patrząc na to, co się dzieje w sąsiedniej Francyi, powinniby sekciarze, choćby tylko z pewnego zachowawczego instynktu, hamować zbrodnicze swe zamysły. Przed paru laty oficyalne dzienniki piorunowały na zakony, i domagały się ich rozwiązania; dziś pytają, czy nie lepiejby było rozwiązać Akademię francuską, kiedy akademicy śmią prawić komplementa księciu d'Aumale. Precz więc z książętami, precz z Akademią, precz z zakonami; niezadługo przyjść musi: precz z biskupami i z księżmi! Czekając na tę szczęśliwą chwilę, ma parlament francuski natychmiast po swem zebraniu się obradować nad prawem, konfiskującem na rzecz rządu wszystkie probostwa paryskie, których wartość rachują na ośm milionów franków, za indemnizacyę 1200 franków na osobę. Autorowie tego projektu szczycą się jeszcze swą wspaniałomyślnością: Przecież moglibyśmy wam zabrać probostwa, a w zamian nie dać ani centyma. *La République Française* ostrzega znowu przed groźnem niebezpieczeństwem, wiszącem nad ojczyzną: mnóstwo zakonników wypędzonych z Francyi, osiadło w niej na nowo, a co gorsza, tak mądrze się urządzili, że wedle dotychczasowych praw zabronić im nie można pobytu. Koniecznem jest zatem zmienić w tym względzie prawodawstwo, a *La République* zbyt zna przekonania szlachetnej większości parlamentu, aby miała wątpić, czy ona się cofnie od wypełnienia świętego obowiązku.

Dokąd doprowadzą nieszczęśliwą Francyę Jakobini tej trzeciej rzeczypospolitej?! Dziś już mimo republikańskich katechizmów, nakazujących ścisłe wykonywanie „cnót cywilnych", zbrodnie rozrastają się w przerażających, dotąd niebywałych rozmiarach. Wedle najnowszych obrachowań, liczba dziewcząt karanych za występki, a liczących mniej niż lat szesnaście, podniosła się w przeciągu ostatnich paru lat z 408 na 908, a liczba chłopców z 2.235 na 5.579; dziewcząt uwięzionych między szesnastym a dwudziestym pierwszym rokiem, podniosła się z 1.046 na 2.836, a liczba chłopców z 5.936 na 20.480. Nieznane dotąd między dziećmi samobójstwo, pochłonęło w ostatnich pięciu latach wiele ofiar. Ogłoszenie tych danych statystycznych wywarło we Francyi, zwłaszcza w kołach republikańskich, przygnębiające wrażenie. Ludowy, rewolucyjny dziennik *Le Cri du Peuple* wyznał otwarcie, iż ten wzrost zbrodni przypisać

tylko można coraz bardziej szerzącemu się, popieranemu z góry ateizmowi w szkole i w kraju:

„Nasz mieszczanin został materyalistą, a pragnąc uniewinnić „się z swego egoizmu, zaczął wołać w niebogłosy: Śmierć jest kre- „sem wszystkiego. Jestem silniejszy, a więc mogę bez obawy gnieść „tych, których natura lub społeczeństwo nie tak jak mnie uzbroiło „do walki. Taka już moja natura: jestem człowiekiem drapieżnym: „za to jestem nieodpowiedzialnym. Mogę używać i nadużywam".

„Zabierając krzyże z naszych szkół, pisał znów de Cassagnac, „zakazując nauczania katechizmu, wypędzając Boga, otwarto szkoły „na oścież dla najbardziej zwierzęcych namiętności... I któż jeszcze „teraz, z pomiędzy republikanów będzie śmiał twierdzić, że pobie- „ranie nauki początkowej jest ułatwione, że nic nie kosztuje? W tej „chwili kosztuje nas ta nauka miliard franków, później kosztować „będzie więcej, a w dodatku zabiera dawną cnotę francuską".

Istotnie, nauka świecka drogo kosztuje — mówiąc już tylko o frankach — trzecią rzeczpospolitę. Roku 1877 uczęszczało do szkół 3.823.348 dzieci; r. 1884 uczęszczało tylko 3.778.746, a więc o 56.000 mniej; ale natomiast r. 1877-go wydatki na szkoły wynosiły 37 milionów, kiedy dziś przechodzą 147 milionów. Zmniejszenie się liczby uczniów, jest również bardzo smutnym znakiem ogólnego topnienia ludności we Francyi. Na początku panowania Ludwika XIV., ludność Francyi stanowiła 38 setnych ogólnej ludności większych mocarstw europejskich; roku 1815 cyfra ta spadła do 20 setnych; r. 1871 do 14 setnych; a r. 1880 do 13 setnych. Zewnętrzne to objawy zła głęboko i szeroko zakorzenionego, a przeciw któremu urzędowa Francya, nietylko nie walczy, ale przeciwnie bardziej je popiera złem prawodawstwem i systematycznem usuwaniem wszelkich lekarstw moralnych.

Dawnemi laty Francya uważała sobie za honor, a zarazem za dobrze zrozumiany interes, popierać rozwój katolicyzmu na Wschodzie, tak, iż w wielu krajach nazwy „Frank" i „chrześcijanin" stały się jednoznaczącemi. Dzisiejsza Rzeczpospolita ciągnęła wszystkie możliwe korzyści z tego położenia, jednającego szczególny urok imieniowi francuskiemu, ale od wypełniania nałożonych przez to obowiązków, o ile mogła, się wyłamywała. Bo i jakże wypędzając sama zakonników, miała ich bronić np. w Chinach; kasując wszy-

stkie szkoły katolickie we Francyi, miała się niemi opiekować lub nowe zakładać w Azyi lub Afryce? Obrońcą interesów katolickich w Chinach miał być ambasador Constans, znany mason, i przy wyjeździe na swą posadę przez loże fetowany. Pod okiem wojsk francuskich w Tonkinie i Anamie mordowano katolików i misyonarzy. Rzecz prosta, że Papież musiał się starać o inne jakieś trwalsze zabezpieczenie interesów katolickich wa Wschodzie. Jakoż już od r. 1881 weszła kurya rzymska w bezpośrednie pertraktacye z dworem pekińskim, które ostatecznie doprowadziły przed paru dniami do zamianowania osobnego nuncyusza papieskiego dla Chin. Dla oszczędzenia, o ile tylko być może, patryotycznych uczuć francuskich, papież zastrzegł wyraźnie, iż w niczem uwłaczać nie chce starodawnym prawom i prerogatywom Francyi i że nuncyusz papieski ma mieć przedewszystkiem na oku ściśle religijne sprawy, we wszystkich zaś dyplomatycznych wystąpieniach działać będzie w porozumieniu z ambasadorem francuskim.

Zdawałoby się, że Francuzi powinni być papieżowi wdzięczni, za tyle niezasłużonych względów. Tymczasem ledwie do Paryża doszła wieść o podjętych rokowaniach, wszczął się hałas nie do opisania. Półurzędowy dziennik *La Paix* w długim artykule usiłował udowodnić, że zamianowanie nuncyusza w Pekinie, nie przynosząc żadnej korzyści chińskim chrześcijanom, jest krzyczącą obrazą dla Rzeczypospolitej. „Jeśli Leon XIII., znany zresztą z ducha roztropności i umiarkowania, rozporządzeń swych nie cofnie, jeśli „kierując się jedynie źle zrozumianą miłością własną“, poświęci katolików chińskich, których obronić od prześladowania nie jest w stanie: wtedy, woła *La Paix*, i my z naszej strony, nie będziemy się nadal poczuwać do żadnych względów, odwołamy naszego ambasadora z Kwirynału i zerwiemy konkordat“. Podobnie, tylko mniej brutalnie odezwał się *Le Temps*: „nie sądzimy, pisze, aby papież działał tutaj z własnej inicyatywy; najprawdopodobniej uległ tylko niechętnym dla nas podszeptom gabinetów: angielskiego, niemieckiego i włoskiego“ Organom francuskim przywtórzyły jednozgodnie liberalne i rewolucyjne dzienniki włoskie. *Diritto* ostrzega z całą powagą rząd włoski, aby bacznie uważał na ustawiczny wzrost potęgi i powagi Stolicy św., która z czasem może narazić zjednoczone Włochy na realne niebezpieczeństwo. *Riforma* radzi papieżowi, aby

raczej zajmował się losem Polaków, niż Chińczyków. *Tribuna* widzi już okiem proroczem, jak zwolna wpływ i dyplomacya papieska coraz szersze będzie zakreślać koła, jak po Chinach przyjdzie kolej na Syryę, Palestynę, Konstantynopol.

Wszystkie te deklamacye śmieszne i przykre, należące do dziedziny *de la haute bouffonnerie*, jak wyraża się o nich *Figaro*, okazują najlepiej, jak ważnym wypadkiem jest zawiązanie stosunków dyplomatycznych między Watykanem a Pekinem. Tak również zapatrują się na tę sprawę, uważając ją za nader pomyślny wypadek dla Kościoła katolickiego, poważne protestanckie dzienniki, jak *Le Journal de Genève* lub *Morning Post*. Za lat trzy ma rzeczpospolita francuska z nadzwyczajną pompą obchodzić stuletnią rocznicę wielkiej rewolucyi, a gotując się do niej, coraz bardziej gnębi Kościół; ale wiadomą jest rzeczą, iż opatrznościowem prawem Kościół na jednem miejscu zgnębiony, gdzieindziej tem piękniej i bujniej się rozrasta. W Paryżu coraz mniej, przynajmniej widocznych śladów chrześcijaństwa; daj Boże, aby ich wkrótce jak najwięcej było w Pekinie!

B.

Listy z nad Baltyku.

VIII.

Charakterystyka kurlandzkich Starowierców. — Rusini i Polacy tamże przebywający.

W Inflantach polskich, oprócz wspomnianej w ostatnim liście garstki Estów, pomiędzy katolickimi Łotyszami sporadycznie rozsiani są: Starowiercy-Rosyanie (czyli roskolnicy) Litwini i Polacy — włościanie.

Starowiercy-Rosyanie przesiedlili się do Kurlandyi i Inflant z gubernii twerskiej za czasów rzeczypospolitej polskiej. Trzeźwi i pracowici, ale niesłychanie chytrzy i przebiegli, głównie trudniąc się handlem i dostawami, często przychodzą do znacznej zamożności. Ochędożni a nawet do zbytku zamiłowani w strojach. Młody ros-

kolnik musi mieć kaftan z cienkiego sukna, pas jedwabny, a nieraz pstro pomalowane i rzeźbami zdobne sanie, zaprzężone rysakami kłusującemi na zabój. W zimie, na lodzie licznych jezior, nieraz ciekawe niemi odbywają wyścigi.

Dziewczęta roskolników, idąc w gościnę lub na jarmark, ubierają się w bławaty; zimą noszą szuby atłasowe, najczęściej czerwone, u bogatszych lisami, u uboższych zającami podbite.

Zdaje się, że przy rozdwojeniu kościoła wschodniego pragnęli oni pozostać wiernymi Rzymowi. Dowodzą tego stare ich do nabożeństwa księgi, surowo zakazane a kupowane na wagę złota, w których znajduje się na czele modlitwa za p o t ę ż n e g o O j c a z n a d Tybru.

Nie mając kapłanów, wybierają sobie przewodników i nauczycieli, których zowią „Nastawnikami".

Małżeństwa, uświęconego obrzędem religijnym, nie znają. Oblubieniec wykrada kochankę z domu ojcowskiego i do swego domu przywozi. Mimo tego małżonkowie prowadzą zwykle życie wzorowe, chociaż bywają przypadki, że roskolnik rzuca żonę a bierze drugą.

Przed dwudziestu laty ukaz cesarski wprowadził rozporządzenie rządowe, uznające dzieci tych roskolników, którzy się wpisali do ksiąg metrycznych cywilnych (wyłącznie dla nich zaprowadzonych) za dzieci prawego łoża. Ciemni i zabobonni niechętnie się wszelako do takich ksiąg zapisują. Pewna tylko liczba najzamożniejszych skorzystała skwapliwie z tej łaski rządu, bez czego ich dzieci nie mogły drogą spadkobierstwa przyjść do posiadania nieruchomego majątku.

Niektórzy z nich, niegdyś fanatycznie przywiązani do swych wierzeń, lecz obecnie aż nazbyt już folgujący sumieniu, dawniej byli wstrzemięźliwymi w paleniu tytuniu i piciu gorzałki, a dzisiaj palą i piją do zbydlęcenia. Ci naturalnie zatracili tradycyę okoliczności, które ich przodków tu sprowadziły. Jak wiadomo ogólnie, dano im tu schronienie za czasów Rzeczypospolitej, w czasie prześladowań religijnych, dokonywanych w gubernii twerskiej i innych.

O wdzięcznem uczuciu — mowy być nie może, odkąd przed laty dwudziestu trzema, uzbrajając rozjuszone chłopstwo w noże, siekiery i strzelby, bezkarnie napadali na bliższe i dalsze dwory szlacheckie

i plebanie, rabując je, niszcząc i pastwiąc się najbezczelniej nad właścicielami, ich rodziną, ich gośćmi i służbą.

W wielu miejscach, obdarłszy okrutnie dwory i plebanie, zabrawszy srebra i pieniądze, krępowali mieszkańców i prawie nagich, bez obuwia, bez czapek, w chłodną noc pędzili do miasta powiatowego, bijąc, tłukąc i pastwiąc się nad każdym, a przytem podusczając niektórych ciemnych Łotyszów przeciw dawnym panom, a nawet przeciw księżom. Starowiercy okolic Dagdy i Kownaty w Inflantach polskich najbardziej niekorzystnie od swych współplemieńników się odznaczają. Dawniej wstrzymywani mocą wiary i władzą dziedziców, nie popuszczali wodzy przyrodzonym instynktom: teraz zaś, nie mając żadnych hamulców, a naturę posiadając surową i niemal dziką, trudnią się dość powszechnie złodziejstwem, rozbojami i są postrachem mieszkańców, którzy się z tym barbarzyńskim, lecz zarazem bardzo przemysłowym elementem w każdym razie liczyć muszą.

Litwinów niewielu zamieszkuje kraje nadbałtyckie. Najnowsze źródła statystyczne liczą ich w Kurlandyi 2,66% całej ludności kraju; rozsiedleni są tam oni wyłącznie tylko we wsiach przytykających do granic Litwy. Oprócz tych w Kurlandyi od wieków osiadłych Litwinów napotykamy ich jeszcze kilkuset na Łotwie, a mianowicie w Inflantach polskich, powiecie rzeżyckim około dóbr Ciskadzkich oraz w powiecie dynaburskim około dóbr Krasławskich. Po bliższe o nich szczegóły odsyłamy ciekawszych czytelników do książki: „Inflanty Polskie“ (Poznań, 1879) str. 46 tudzież do artykułu „Krasław“ w „Słowniku geograficznym ziem polskich“ (Warszawa, 1883) Tom IV. str. 616—619.

Rusini rozsiedleni na Łotwie katolickiej (tak w górnej Kurlandyi jako i w Inflantach polskich) są po większej części rzymsko-katolickiego wyznania; ci tylko, którzy poprzednio byli unitami, musieli przejść na prawosławie równocześnie ze wspomnionymi powyżej polsko-inflanckimi Estami.

Włościanie-polacy zamieszkują tylko niektóre części dawnych posiadłości Hylzenowskich i Borchowskich w Inflantach polskich. Prawdopodobnie przez polskich wojewodów przesiedleni, po dziś dzień stoją na wyższym od Łotyszów stopniu uobyczajenia. Często tam znaleść można mały owocowy a nawet kwiatowy ogródek. Po-

dwórze zdobią rozłożyste lipy. W dobrach polsko-inflanckich księżnej Teresy z Sanguszków Sapieżyny znajdują się cztery wioski, zamieszkane wyłącznie przez włościan polskich, ostatniemi laty wszelako coraz mniej od miejscowych Łotyszów się wyróżniających. Oprócz tego polska zagrodowa szlachta i tak zwani jednodworcy (wyrażenie rządowe dla tych szlachciców zagrodowych, którzy swego szlacheckiego pochodzenia nie zdołali należycie wykazać), zamieszkują w górnej Kurlandyi i Inflantach polskich osady jako dziedzice lub dzierżawcy, nigdzie się wszakże nie znajdują w większej liczbie.

Jeśli w Inflantach szwedzkich znaczną część ludności wiejskiej składają obok Łotyszów i Esty, — to natomiast w Kurlandyi i w Inflantach polskich przeważa wszędzie żywioł łotewski a w Estonii żywioł estoński. Jakoż, spis ludności z dnia 12 stycznia r. 1882 n. s., (ogłoszony zaledwie w czerwcu roku 1885) wykazał w Estonii ogółem 376.337 mieszkańców, w tej liczbie 329.777 samych Estów, 21.855 Niemców, 17.465 Rosyan a 7.240 Żydów oraz innych narodowości, pomiędzy nimi i pewną ilość Szwedów.

Tenże spis wykazał w Inflantach szwedzkich czyli gubernii ryskiej 1.163.493 mieszkańców płci obojga, z których aż 490.346 składają sami Łotysze, 476.769 Esty, 113.373 Niemcy, 53.872 Rosyanie a 29.133 inne narodowości.

Najnowsze źródła statystyczne wykazują w Kurlandyi ludności wiejskiej 471.932, miejskiej zaś 101.407, a więc ogółem 573.339 całej ludności kraju. Podług pochodzenia plemiennego ludność Kurlandyi rozdziela się na rodzimą i napływową; tę ostatnią tworzą Litwini, Rusini, Polacy, Rosyanie i Żydzi, ludność zaś rodzimą: Łotysze, Niemcy i Liwowie. O Liwach, zaludniających niegdyś przeważnie kraje nadbałtyckie, tak mało słyszą czytelnicy Zachodniej Polski, że w następnym liście opisowi tego szczepu choć parę kart poświęcić zamierzamy.

Gustaw Manteuffel.

Z Wiednia.

Ustawa o zabezpieczeniu robotników na wypadek okaleczenia. — Średnie wieki i przemówienie posła ks. Chotkowskiego w Izbie poselskiej.

Izba poselska austryackiej rady państwa przyjęła ostatecznie prawie jednogłośnie ustawę o zabezpieczeniu losu robotników na wypadek kalectwa.

„Kto z przekonania pragnie reform społecznych, ten w ustawie niniejszej dopatrzy się pierwszego, niezbyt wielkiego, ale zawsze ważnego kroku na tej drodze, po której dalej postępując, pięknych się możemy spodziewać owoców. Tu chodzi o ogólne zabezpieczenie losu robotnika, o wzniesienie niejako wału ochronnego, za który tenże się cofnie, gdy w smutnej walce o byt, przez wypadek nieszczęśliwy, chorobą lub kalectwem zostanie rozbrojony. Tu chodzi o usunięcie ciężaru, który przygniata pierś każdego robotnika, — obawy, że zakończeniem pracy całego życia nie będzie spokój zasłużony, lecz niezasłużona nędza. To co w pewnem państwie sąsiedniem, po wojnie szczęśliwej, z miliardów nieprzyjacielskich uczyniono dla inwalidów wojny, to z czasem w każdem państwie z nadwyżki zysku osiągniętego przez pracę pokojową uczynić będzie można dla weteranów tej pracy“.

Temi słowy scharakteryzował wzmiankowaną ustawę ks. Aloizy Lichtenstein, referent większości komisyi; a charakterystyka to zupełnie trafna. Nie ma też w niej wcale przesady; ilu bowiem robotnikom i ilu rodzinom robotników zagraża smutny los nędzy skutkiem wypadków przy robocie, o tem świadczą cyfry przytoczone w parlamencie niemieckim przez sekretarza stanu p. Böttichera. Otóż wedle tych cyfr statystyki pruskiej, zdarzyło się w jednym roku pomiędzy robotnikami zajętymi w przemyśle i budownictwie 1986 nieszczęśliwych wypadków, skutkiem których śmierć nastąpiła; pomiędzy robotnikami zajętymi w rolnictwie, 1435 takichże wypadków. Ileż „to nędzy niezasłużonej“ ściągnęły wypadki te na rodziny dotkniętych?! Z prac przygotowawczych do wprowadzenia ustawy o zabezpieczeniu robotników na wypadek kalectwa w Niemczech, dowiadujemy się też, że zabezpieczenie obejmie blisko $3^1/_2$ miliona robotników.

Wiadomo, że wnosząc projekt ustawy wzmiankowanej do rady państwa, rząd austryacki szedł za przykładem danym przez Niemcy, gdzie wpierw już rządy związkowe zabezpieczenie robotników zaproponowały; ale projekt austryacki pomimo to nie jest ślepem naśladownictwem, bo i owszem w punktach zasadniczych różni się od podobnej ustawy w Niemczech już w życie wprowadzonej. Rządy niemieckie po trzykrotnie przedkładały odnośny projekt parlamentowi niemieckiemu, a gdy myśl zastosowania zasady zabezpieczenia w tak szerokich rozmiarach właściwie była nowa, nic w tem nie było dziwnego, że po krytyce publicznej każdy nowy projekt nowe też zawierał zmiany.

Rząd austryacki już w czasie ubiegłej sesyi przedłożył radzie państwa projekt ustawy o zabezpieczeniu robotników. Gdy jednakże projekt tylko raz był czytany w Izbie poselskiej a następnie przeszedł przez obrady komisyi, Izba sama zaś już nie zdążyła go uchwalić, przedłożył go rząd nanowo w samym początku sesyi, czyniąc w pierwotnym projekcie zmiany, zastosowane do uchwał komisyi Izby. Wprawdzie Izba wyższa dotychczas ustawy nie uchwaliła, ale gdy o jej wotum przychylnem ani chwili wątpić nie można, gdy dalej ustawa wychodząca z inicyatywy rządu niewątpliwie też uzyska sankcyę cesarską, wprowadzenie jej w życie w Austryi kwestyi nie ulega.

Dla poznajomienia czytelnika z głównemi zasadami ustawy, wystarczy, jeżeli odpowiemy na pytania następujące: Jakie kategorye podlegają ubezpieczeniu przymusowemu? W jaki sposób zbiera się fundusz potrzebny na asekuracyę i kto go składa? Na jakie wypadki rozciąga się zabezpieczenie? Jaka jest organizacya stowarzyszenia ubezpieczeń? Przy końcu pomówimy o sposobie zarządzania stowarzyszeniem a raczej stowarzyszeniami.

O kategoryach robotników, podlegających wedle tej ustawy przymusowemu zabezpieczeniu informują nas pierwsze paragrafy ustawy. Wedle nich zabezpieczeni być muszą: urzędnicy, robotnicy, pomocnicy i uczniowie zajęci w fabrykach, w hutach, w górnictwie, w warsztatach okrętowych, przy ładowaniu towarów, w łomach i przy wszelkich budowlach, z wyjątkiem tych, którzy przy budynkach drobne wykonywają reparacye, dorywczo, tj. nie traktując tego jako procederu. Tak samo są wykluczone z obo-

wiązku zabezpieczenia osoby podobne, zajęte przy budowli na wsi, gdy chodzi o budowle nie piętrowe, a przy stawianiu budynków takich zajęci są tylko: właściciel, jego oficyaliści i ludzie w tej samej wiosce zamieszkali. Zabezpieczeni zaś dalej muszą być wszyscy robotnicy i t. d., zajęci przy fabrykacyi materyi wybuchowych, również zajęci w rolnictwie i leśnictwie, przy znajdujących się tamże zakładach przemysłowych pędzonych parą, siłą elementarną lub pociągową. Gdy tylko pewna część robotników zajętych przy rolniczych i leśniczych zakładach przemysłowych, wystawiona jest na niebezpieczeństwo, obowiązek asekuracyi na tychże się ogranicza.

Od obowiązku zabezpieczania zwolnione są z wymienionych zakładów rolniczych, leśnych i przemysłowych, zakłady będące w posiadaniu rządu, kraju, gminy, jako i wszystkie te zakłady publiczne, w których osoby zatrudnione i bez tej ustawy mają prawo do pensyj i wynagrodzeń w razie wypadków nieszczęśliwych. Dalej nie odnosi się przymus zabezpieczenia do robotników i urzędników zajętych na kolejach żelaznych i przy żegludze; nareszcie nie obejmuje robotników zajętych w rolnictwie, poza istniejącemi tamże zakładami przemysłowemi.

Wykluczenie przymusu zabezpieczenia w zakładach publicznych, gdzie los robotników i urzędników bez tego jest zapewniony, jest rzeczą zupełnie naturalną. O kwestyę osób zatrudnionych przy kolejach żelaznych i żegludze powstał spór. Jeden z posłów domagał się objęcia ich ustawą o zabezpieczeniu; z ławy rządowej odpowiedziano, iż ustawa dająca tej kategoryi robotników prawa do wynagrodzenia w razie kalectwa powstałego w służbie istnieje od kilkunastu lat. A chociaż uznano, iż ustawa ta niedostateczna — większość odrzuciła wniosek o zastosowaniu ustawy także do osób zatrudnionych przy kolejach i żegludze, zastrzegając jednakże reformę istniejącej ale niedostatecznej ustawy.

Zacięty spór powstał o asekuracyę robotników rolniczych. Po tem co o kwestyi tej powiedzieliśmy w ostatnich listach, wstrzymujemy się od dalszych uwag, a nadmienimy tylko, iż Izba przyjęła rezolucyę wzywającą rząd, aby przedłożył projekt zastosowania zabezpieczenia także do wszystkich robotników wiejskich. W zasadzie tedy zabezpieczenie to przyjęto, a tylko ze względu na trudno-

ści zachodzące przy regulowaniu tej sprawy i ze względu na to, iż potrzeba tu nie tak pilna, załatwienie tej sprawy odroczono.

Przystępując do odpowiedzi na pytanie drugie: w jaki sposób zbiera się fundusz potrzebny na asekuracyę i kto go składa?, nadmienimy zaraz, iż tu w poglądach zasadnicze istnieją różnice. Ze stanowiska techniczno-asekuracyjnego dwie są drogi zebrania funduszu: albo opłacanie z góry stałych premij, z których się tworzy kapitał rezerwowy na pokrywanie potrzeb, mianowicie na płacenie pensyj poszkodowanym lub ich rodzinom, albo też drugi sposób: obliczenia rocznych potrzeb i rozłożenia ich stosunkowo na tych co mają obowiązek opłacania szkód. Niemcy nazywają te dwa sposoby: *Capital-deckungssystem* i *Umlagesystem;* my je nazwiemy krótko: system premiowy, i system składkowy, możnaby dokładniej jeszcze powiedzieć „system stałych składek“ i system „rozkładu ciężarów“. W skutkach pomiędzy dwoma sposobami wymienionemi ta jest różnica, iż gdy przy opłacaniu stałych premij, opartych na obliczeniach, wysokość składki pozostaje zawsze niezmienną, przy systemie rozkładu ciężarów w miarę potrzeby, składki z początku są niskie, ale w miarę zwiększania się liczby kalek uprawnionych do pobierania pensyj i rodzin po robotnikach, którzy skutkiem wypadków życie utracili, składki kolosalnie się zwiększają. Obliczenia zrobione doprowadziły do przekonania, iż składki w latach późniejszych 25 razy więcej wynosić mogą niżeli w latach pierwszych.

Pomimo to w ustawie niemieckiej, przyjęto zasadę corocznego rozkładu ciężarów, ale już dziś przed ostatecznem wprowadzeniem ustawy w życie, podobno myślą o zmianie systemu.

W tutejszej Izbie poselskiej po rozprawie akademickiej o wartości obydwu systemów, zgodzono się na przyjęcie systemu opłaty stałych premij, z góry. Spór tylko powstał przy kwestyi, kto ma opłacać premię, pracodawca czy robotnik.

Śmiało powiedzieć można, że spór ten więcej był spowodowany — z jednej przynajmniej strony — względami politycznemi niżeli przedmiotowemi. W zasadzie zgodzono się na to, że obowiązek zabezpieczenia robotnika przeciwko skutkom kalectwa, i zabezpieczenie losu rodziny na wypadek śmierci robotnika skutkiem wypadku przy pracy, ciąży na przedsiębiorcy. Większość komisyi

reprezentująca także większość Izby oświadczyła się jednakże za tem, aby opłatę premij tak rozdzielono, iżby przedsiębiorca płacił 90% robotnik 10%. Gdy w ogóle premia, która od jednostki musi być opłacaną, stosunkowo jest nizką bardzo, uczestniczenie dziesiątą częścią w opłacie tej premii w rzeczywistości i dla robotnika żadnym nie jest ciężarem. Większość komisyi i Izby zaś kierowała się tem zapatrywaniem, iż przyczynia się to do podniesienia poczucia godności w robotniku, jeżeli on nietylko bierną w całym tym stosunku odgrywa rolę, lecz także na podstawie udziału w opłacaniu składki uważa się za równouprawnionego. Przez to nabiera też większego znaczenia udział w zarządzie instytucyą asekuracyjną, jaki ustawa robotnikom zapewnia.

W obec tego argument lewicy, ujmującej się rzekomo za robotnikiem, którego nowemi ciężarami obarczać nie należy, wyłącznie zakrawa na agitacyę polityczną i chęć popularyzowania się w kołach krótkowidzących robotników.

Na pytanie: na jakie wypadki rozciąga się zabezpieczenie, czyli raczej jakie ono nadaje prawa poszkodowanym, odpowiemy tylko ogólnikowo, iż przedmiotem zabezpieczenia jest strata wynikająca dla zabezpieczonego z okaleczenia, które albo częściową albo całkowitą trwałą niezdolność do zarobkowania spowodowała, lub też dla jego rodziny z śmierci skutkiem wypadku Pensya roczna normuje się w stosunku do pobieranej płacy i wedle stopnia okaleczenia; w razie śmierci opłaca towarzystwo koszta pogrzebu, rodzinie zaś pensye odpowiednie, także w stosunku do płacy rocznej, jaką nieboszczyk pobierał.

Ważną tu jest kwestya od której chwili towarzystwo opłaca obowiązkowe pensye? W razie śmierci oczywiście rodzinie natychmiast; gdy zaś z okaleczenia często wyleczyć się można, a przedmiotem zabezpieczenia jest trwała częściowa lub całkowita niezdolność do zarobkowania, przeto ogólną przyjęto zasadę, iż opłata pensyj rozpoczyna się dopiero począwszy od piątego tygodnia od dnia wypadku. Staranie o los robotnika przez pierwsze tygodnie należy do kas chorych, które przeważnie przy zakładach przemysłowych już istnieją, a osobną ustawą, radzie państwa już przedłożoną, powszechnie mają być zaprowadzone.

Ożywiona bardzo toczyła się w Izbie dyskusya nad tem jak

towarzystwa asekuracyjne organizować należy, mianowicie czy je organizować terytoryalnie, czy też według kategoryj zajęć osób asekurowanych. O stanowisku jakie w tej kwestyi zajęły poszczególne stronnictwa, już oczywiście wyłącznie prawie rozstrzygnęły względy polityczne. Lewica, która się domagała organizowania stowarzyszeń według kategoryj zajęć osób asekurowanych na całą monarchię, starała się wprawdzie dowodzić, iż czyni to wyłącznie ze względów przedmiotowych, ale nie trudno dopatrzyć się, że idea przewodnia polityczna lewicy, tj. centralizacya, główną tu odegrała rolę. Lewicy więcej chodziło o to, aby o ile możności centralne władze stowarzyszeń utworzonych wedle kategoryj zajęć miały stałą siedzibę w Wiedniu i stąd wszystkiem rządziły w duchu centralistycznym, niżeli o jakieś względy praktyczne. Bo jakież względy praktyczne mogą przemawiać za tem, aby w każdej sprawie interesanci czy to z Bukowiny, czy z Dalmacyi lub Vorarlbergu zgłaszali się do Wiednia? Czy nie jest daleko lepiej i praktyczniej, aby osoby te mogły się porozumiewać z władzami stowarzyszenia mającemi siedzibę np. we Lwowie, w Spolecie i w Inszpruku?

Z lewicy ten przytoczono argument, iż z jednej strony ryzyka wypadków w tym samym zawodzie są mniej więcej te same, iż dalej osoby zasiadające w sądach rozjemczych, gdy do tego samego należą zawodu, łatwiej sprawę osądzić potrafią. Ale na to odpowiedzieć można, że do należytego ocenienia danego wypadku, o którym rozstrzygać wypadnie, często daleko przydatniejsza jest znajomość stosunków miejscowych niżeli znajomość zawodu; tak samo ryzyko wypadku często zależne od stosunków miejscowych. Że zaś ze względów administracyjnych daleko więcej się zaleca decentralizacya, niżeli centralizacya, to obok ogólnych doświadczeń administracyjnych, widać choćby już z przykładu Niemiec, gdzie przyjęto system organizowania stowarzyszeń asekuracyjnych, według kategoryj zajęć osób asekurowanych z jedną władzą centralną, gdzie korespondencya tak kolosalne przybiera rozmiary, iż pomimo znanej sumienności urzędników pruskich i ogólnej sprężystości w administracyi zaleganie spraw staje się nieuniknionem.

Daleko odpowiedniejszą nam się tedy widzi być, przyjęta w ustawie austryackiej organizacya terytoryalna stowarzyszeń, w której zasadą jest podział na kraje, a ministrowi pozostawiona możność

połączenia ze sobą kilku krajów tam, gdzie obszar za mały na jedno stowarzyszenie. Nierówność ryzyków wyrównać przecież można unormowaniem odrębnej skali opłacać się mających premij, jak to też przepisuje §. 14 ustawy. Chociaż tedy na wniosek lewicy przyjęto przepis pozwalający na to, aby w obrębie krajów tworzyły się stowarzyszenia asekuracyjne, że tak je nazwiemy, zawodowe, sądzimy, iż z tego prawa nie wiele zawodów będzie korzystało; chyba tylko o tyle, że tam gdzie dla pewnej kategoryi zajęć stowarzyszenia podobne, z prywatnej inicyatywy utworzone, już istnieją, i nadal się utrzymają.

Co do strony administracyjnej stowarzyszeń, nadmienić należy przedewszystkiem, iż interesu ogółu stowarzyszonych w pierwszym rzędzie przestrzega zarząd. Gdy członkami stowarzyszeń są przedsiębiorcy, u których asekurowani pracownicy są zajęci i ciż sami pracownicy, przeto jednym i drugim przysługuje prawo wyboru członków zarządu. Przedsiębiorcy wybierają jedną trzecią część członków zarządu, robotnicy drugą trzecią, ostatnią zaś trzecią mianuje rząd.

Rząd w ogóle nad stowarzyszeniami stałą wywiera kontrolę, do której w pierwszym rzędzie powołane organa rządu krajowego, w drugiej instancyi minister spraw wewnętrznych, któremu dla decydowania o ważniejszych kwestyach dodana jest do boku rada, składająca się z ludzi fachowych na polu przemysłu, rolnictwa, leśnictwa i asekuracyi.

Celem rozstrzygania o sporach stowarzyszonych z zarządem stowarzyszenia, przepisuje ustawa, (§. 38) ustanowienie sądu rozjemczego, któremu przewodniczy sędzia, powołany do tego przez ministra sprawiedliwości. Od wyroków tego sądu rozjemczego nie ma apelacyi.

Ograniczamy się na powyższem streszczeniu głównych przepisów ustawy, której ważność już na wstępie listu niniejszego scharakteryzowaliśmy. Ustawa ta częściowo tylko zabezpiecza los tych, których dobro ma na celu. Nadmieniliśmy bowiem już, że na mocy niniejszej ustawy, okaleczeni robotnicy dopiero od piątego tygodnia po dniu okaleczenia wsparcie stałe pobierać mogą. Do tego czasu o losie ich pomyśleć trzeba za pomocą kas chorych. Przy wielu zakładach kasy takie wprawdzie już istnieją. Ale nowa jeszcze

ustawa ma je zaprowadzić obowiązkowo; ustawa ta też już jest przygotowana i zostanie przez radę państwa uchwaloną w sesyi najbliższej, jako uzupełnienie ustawy o zabezpieczeniu losu robotników okaleczonych.

Koło polskie, aczkolwiek niektórzy jego członkowie początkowo nieprzychylne dla ustawy zajęli stanowisko, ostatecznie jednakże głosy swoje oddało za ustawą, kiku nawet członków koła, mianowicie posłowie Dr. Biliński, Chamiec i Madejski w rozprawach nad ustawą żywy wzięli udział.

Powinnoby się zdawać, że jeżeli za inicyatywą ludzi myślących prawodawstwo wchodzi na drogę reform społecznych, które mają polepszyć los klas roboczych, zbytecznem jest uchwalanie środków, że tak powiemy, policyjnych, przeciwko wybrykom klas roboczych, gdyż te wybryki, o ile się zdarzały, same przez się ustaćby powinny. A jednak rada państwa prawie równocześnie z uchwaleniem ustawy o zabezpieczeniu losu robotników okaleczałych, uchwaliła ustawę przeciwko niebezpiecznym dążeniom socyalistycznym.

O pozornej tej sprzeczności dużo możnaby pisać, przedewszystkiem też wskazać na to, na co w przemówieniu swojem uwagę zwrócił ks. Aloizy Lichtenstein, mianowicie że w krajach niektórych potrzeby reform społecznych jeszcze nie widzą i że np. we Francyi i w Belgii troskę o los klas biednych wyłącznie pozostawiają miłosierdziu prywatnemu, gdy, niestety, równocześnie chrześcijańska miłość bliźniego coraz więcej egoizmowi ustępuje. Zresztą pozorną sprzeczność tę można też wytłumaczyć charakterystyką bardzo słuszną, którą dał o biedzie poseł ks. Chotkowski w przemówieniu swojem, wypowiedzianem podczas dyskusyi nad ustawą przeciwko socyalistom. Szanowny poseł powiedział: „Ja znam podwójną biedę, — jedna nazywa się ubóstwem, które mimo niedostatku chwali Pana Boga — i znam inną, która przytem patrzy zazdrosnem okiem na bogatych i przeklina“.

Charakterystyka to trafna a dopóki z reformami socyalnemi nie zostanie połączona reforma wychowana w duchu religijnym, dopóki rzekomi obrońcy praw ludu będą się domagali absolutnej równości wszystkich, a zamiary swoje przeprowadzić będą chcieli na drodze przewrotów gwałtownych, z reformami socyalnemi długo jeszcze będą musiały iść w parze środki policyjne dla tych, którzy

nie posiadają dosyć ducha religijnego do zniesienia przykrzejszej doli i nie dosyć cierpliwości do zaczekania na skutki reform, które zresztą i tak wielkiej liczby malkontentów nigdy nie zadowolnią, bo jako dzieło ludzkie zaród niedoskonałości w sobie noszą.

Skoro już wspomnieliśmy o mowie posła ks. Chotkowskiego, uważamy za potrzebne poświęcić jej jeszcze kilka uwag, gdy ks. Chotkowski wystąpił w niej z niepopularną dziś jeszcze obroną wieków średnich. Trudno zaprzeczyć, że dziś, pomimo pewnego zapędu do objektywniejszego i gruntowniejszego badania rzeczy, góruje jeszcze — frazes; że hasła powtarzane przez kilka dziesiątków lat dosyć bezmyślnie za prewodyrami, którzy w rzucaniu tych haseł w świat, specyalny cel mieli, i dziś jeszcze wielu znajdują zwolenników. Do ulubionych takich haseł należy napadanie na średnie wieki i na te ich urządzenia, które powstały z inicyatywy Kościoła i pod wpływem ducha religijnego. To też nic dziwnego, że pomimo obrony przekonywającej średnich wieków, jaką w wiekopomnem dziele swojem złożył badacz tych wieków, Janssen, i dziś jeszcze słychać frazesy o „długiej nocy wieków średnich, po której było potrzeba pracy długich wieków, zanim wolność myśli i światło nauki rozprószyły te posępne ciemności". Przeciwko frazesowi temu, wypowiedzianemu przez liberalnego posła czeskiego dra Gregra, założył protest ks. Chotkowski a w dłuższem, wybornem przemówieniu zwrócił uwagę na to, o ile np. lepszy był wówczas byt ekonomiczny klas mniej zamożnych, niżeli jest dziś.

Żałujemy, że ciasne ramy listu nie pozwalają nam podać choć w streszczeniu przemówienia szanownego posła, który w zręczny bardzo sposób polemizował przeciwko frazesom t. zw. liberalnym Czytelnicy wtedy mogliby osądzić o ile potrzebne było zwracanie szanownemu posłowi podczas jego przemówienia przez jednego z posłów uwagi na to, żeby wyraźnie powiedział, że nie przemawia imieniem Koła. Chociaż ks. Chotkowski nie miał zamiaru przemawiać imieniem Koła, to jednak zdaje nam się, że stanowisko jakie zajmuje naród, a mianowicie lud polski w obec dążeń socyalnej demokracyi, szanowny poseł bardzo trafnie zaznaczył.

Prawda, że zdania tego nie podziela widocznie tutejszy korespondent warszawskiej *Gazety polskiej*, który za wystąpienie ks. Chotkowskiego napadł na niego, używając wyrażeń i zwrotów, ja-

kiemi chyba korespondent pisma polskiego o pośle polskim nawet odzywać się nie powinien. Ton taki pozostawmy lepiej reporterom brukowych pisemek wiedeńskich. Nie dziwimy się zresztą, że wyhodowany w atmosferze liberalnej żurnalistyki wiedeńskiej korespondent, przestrasza się poglądami ks. Chotkowskiego, który swoję wiedzę z innych czerpał źródeł. Z korespondentem nie polemizujemy, ale dziwimy się redakcyi poważnego dziennika, za jaki uważamy *Gazetę polską*, iż nie wykreśliła z korespondencyi podobnej napaści na posła polskiego, gdy przecież wiadomo jej zapewne, że ks. Chotkowski to nie jakiś *simplex servus Dei*, który może bredzić o rzeczach, o których nie ma wyobrażenia, lecz profesor uniwersytetu, i znany z gruntownego i wszechstronnego wykształcenia autor wielu dzieł niepospolitych.

A. D.

Listy z podróży do Australii [1].

I.

24 października 1885. Na parowcu „Oceanien“. Morze Jońskie.

Trzeba koniecznie wierzyć, że Opatrzność naszemi losami kieruje! Bo tak się tu „dziwnie plecie,“ że faktycznie nie ma się co trudzić i „rozumem dochodzić,“ jak i dlaczego człowiek padł na tę, nie na inną stronę, czemu ja dziś np. płynę do Australii, nie do Ameryki? Powiesz mi, że jak kiedyś za studenckich czasów, pozuję na sceptyka, żem się wczytał w Szopenhauera. Gadaj co chcesz, ale jak przeczytasz, w jaki sposób dostałem się na „Oceanien“

---

[1] Listy te pisane przez młodego Polaka, p. Karola M. do brata, p. Henryka M. udzielone nam łaskawie przez tego ostatniego — umieszczamy tem chętniej, iż, zwłaszcza późniejsze, rzucają bardzo ciekawe światło na stan pewnej części emigracyi polskiej w Australii. W tej chwili jesteśmy w posiadaniu ośmiu, które, opuściwszy wzmianki czysto osobiste, szerszej publiczności nie obchodzące, z kolei umieścimy w Przeglądzie, nie tracąc nadziei, iż z biegiem czasu i z dalszemi listami interesującego podróżnika będziemy się mogli z naszymi czytelnikami podzielić.

(Przypisek Redakcyi.)

w drogę do Oceanii — przyznasz, że my sami tak mało jesteśmy panami naszego jutra, jak tego, co się nam przyśni dzisiejszej nocy.

Dziś tydzień, o tym czasie, nie miałem jeszcze najmniejszej pozytywnej nadziei — ba nawet najmniejszej danej tego, co się potem o kilka godzin stać miało. Dziwne tylko jakieś ciemne i nieokreślone przeczucie tkwiło we mnie od pewnego czasu, że coś się zmieni, że zajdzie coś niespodziewanego coś stale decydującego dla mej przyszłości. To przeczucie, z którego sobie sam sprawy zdać nie mogłem, opanowało mię było do tego stopnia, że mimo, iż właśnie w ostatnim czasie wszelkie nadzieje i wszelkie widoki nasze wywalczenia środków do wyjazdu z Europy spełzły były na niczem, ja czując się w ciągłem stanie biernego oczekiwania, nie przedsiębrałem nic, nie szukałem niczego, jakby to wszystko zbytecznem było: — chociaż rozumem zważając, otwierała się przed nami tylko smutna perspektywa dalszego życia bez jutra nędznej wegetacyi z dnia na dzień i sroga zima bez chleba i butów... Pod wpływem też tego stanu wewnętrznego nakreśliło mi się, jakby bezwiednie, kilka zwrotów w liście do Polka i w karcie do ciebie, pisanych temu dni dziesięć, z których możeście wnosili nawet, że podróż ta, którą odbywam, już wtedy była bliską zrealizowania. Otóż tak rzecz się nie miała wcale! Bo powtarzam ci, że to, co się stało, stało się po za wszelką rachubą i ponad wszelkie spodziewanie nasze. Francuz, nie znający nas nigdy, którego towarzysz mój (p. Karol Żwirglis, Litwin) pierwszy raz w życiu spotkał i zapoznał się z nim przypadkowo, usłyszawszy od niego w jakim celu przybyliśmy do Marsylii, i że dr. Piotrowski wróży nam dobrą przyszłość w Australii, zaproponował nam pożyczkę na podróż z własnego popędu, bez niczyjej gwarancyi, jakby to nie o sumę półtora tysiąca franków, ale o kilka susów chodziło! „Oddacie mi przecież kiedyś?“ to było całe umotywowanie jego wspaniałomyślnej propozycyi, która nam się żartem z jego strony wydała, bo tak była dla nas niespodzianą i nieprawdopodobną! Francuz ów nazywa się M-eur Barnabe i jest dyrektorem prywatnego pensyonatu w Marsylii do którego udał się Żwirglis, chcąc dla mnie lub dla siebie znaleźć miejsce prywatnego metra do niemieckiego lub czegoś podobnego. Sądźże sam teraz, czy wypadek

ten nie jest jedyny w swoim rodzaju, i czy nie jest zrządzeniem opatrznościowem?!

25, X. Niedziela. Piąty dzień jesteśmy w podróży i czas tak schodzi, że nie ma chwili wolnej do pisania: a już minęliśmy Kandyę, ostatnią piędź ziemi europejskiej: jutro z rana zawiniemy do portu Saïd w Egipcie, skąd chciałbym koniecznie list ten nadać do ciebie.

Podróż mamy prześliczną. Czas przecudowny, może tylko trochę za gorący dla mego gustu. W kabinach termometr wskazuje 26° C. na pokładzie jest jednak chłodniej z powodu wiatru. Robimy w godzinie 13 węzłów (węzeł ma 1856 m.) tak, że ujechaliśmy dotąd przeszło 2,000 kilometrów czyli 400 mil morskich (po 5555 m.) i minęliśmy właśnie południk przechodzący przez nasz Lwów. Życie okrętowe, jak dotąd, ma dla nas wiele powabu. Jest się niby ciągle na ulicy a nieustannie w towarzystwie, co może w końcu się sprzykrzy, ale jak dotąd bawi nowością. Wstaje się ze słońcem razem, bo w kabinach dość duszno, mimo otwartych drzwi i okien, co nic dziwnego w obec faktu, że w kojcu takim, mającym 8—10 kroków długości a 3—4 szerokości sypia sześciu chłopów. Wstawszy kąpiel zimna w marmurowych wannach z tuszami etc. Potem herbata, kawa lub czekolada, kto co zapragnie, z bułkami co dzień świeżo pieczonemi. O 10-ej śniadanie, składające się z 4—5 potraw, 1) *entrée:* sardynki, wędliny, oliwki lub tp. — 2) potrawa z jaj, — 3) jarzyna, — 4) pieczyste, — 5) ciasta, owoce, ser, czarna kawa z koniakiem i wino — wszystko to *à discretion!* O wpół do 6 obiad z 6 potraw, o $9^1/_2$ herbata. Odżywiamy się zatem za naszych siedm chudych miesięcy marsylijskich i humoru przybywa z dniem każdym. Nie ma podróży, jak na statku francuskim! Kuchnia wyśmienita, czystość niesłychana, służba i cała załoga tak grzeczne i przyjacielskie, że trzeba ich pokochać koniecznie. Statek nasz olbrzymi trójmasztowiec o dwu maszynach 150 m. długości, cały z żelaza, elektrycznie oświetlony — jest urządzony z rzadkim komfortem. My nadto mamy ciągłą protekcyę w osobie naszego nieocenionego dr. Piotrowskiego, który się troska nami jak swemi dziećmi i codziennie coś nowego wymyśla, coby nam przyjemność sprawić mogło. Oficerów, komendanta (p. Didich) i wszystkie znakomitości podróżujące już poznaliśmy — i to jest właśnie przyczyną, że czas nasz cały zajęty. Na ostatku znajduje się także jedna

rodzina polska, pani Czerwińska z poznańskiego z Kaśką swą i trojgiem dzieci. Mąż jej zajmuje w Australii wysokie stanowisko, bo jest dyrektorem departamentu robót technicznych i naszym przyszłym chlebodawcą prawdopodobnie. Jestto Belgijka, bardzo miła kobieta, mówiąca już po polsku i mająca troje bobaków zachwycających! Reszta podróżnych to wieża Babel! Angliki, Duńczyki, Hiszpany, Niemcy, Amerykany, Araby, Murzyny, Kreole, słowem arka Noego, bo mamy także na pokładzie krowę, kilka wołów na mięso w czasie podróży, barany, kury, indyki, pantarki, gołębie, króliki, kuropatwy, ryby żywe; słowem całą domową faunę europejską.

Z portu marsylskiego wyjeżdżając, mieliśmy silny wiatr zachodni, t. zw. Mistral, specyalność prowansalską. Statek, mimo swego ogromu, już w pierwszej godzinie kołysał się dość znacznie, tak, że chorych nie brakło już podczas pierwszego obiadu. 22-go wpłynęliśmy na archipelag wysp między Korsyką i zatoką Genueńską — przejeżdżając ponad Capo-Corso, pomiędzy wyspą Elbą a Pianosą i Montecristo. Wieczorem wiatr się wzmagał i nawet ja, twardo-ruska natura, czułem się coś nie swój, tak, że obiad nietęgo mi smakował; do dalszych skutków jednakowoż nie przyszło. Noc spędziłem wyśmienicie, nad rankiem 23-go obaczyliśmy z dala archipelag Liparyjski ze Strombolą, koło której przepływaliśmy o kilkaset kroków tylko. Krater nachylony ku północnemu zachodowi zionął klębami pary, a od czasu do czasu brunatnym dymem. Po stronie przeciwnej (płd. wsch.) znajduje się jeszcze drugi, mniejszy i spokojniejszy. Na stromych stokach góry, od południa plantacye winnic w tarasach i gromadka wil z białemi domkami. Strona północna góry oberwana pionowo i poorana łożyskami strumieni lawy. W południe przepływaliśmy sławną ze swej piękności cieśninę między Włochami (Kalabryą) i Sycylią, starożytną Scyllę i Charybdę. Capo di Pharo z prawej, Scylla, na urwiskach skał przylepiona, po lewej, następnie Mesyna, a naprzeciwko Regio, oba miasta w cudnym amfiteatrze gór, o kolorze pomarańczowym z sinemi cieniami. Dwa delfiny towarzyszyły nam przez cały przesmyk, wyprawiając takie pląsy około statku, jakby się popisać chciały, co umieją! kozły, saltomortale, nurki, piruety, to znów od czasu do czasu na przestrzeni kilku sążni przelatywały ponad powierzchnią wody, i potem „hoc"! — znikały w głębinach.

Były to bestye, co najmniej 3—4 m. długie, z głową zakończoną długim, wąskim pyskiem, jak dziób, albo raczej morda charcia. Etnę widzieliśmy tylko z daleka, jak olbrzymią siną piramidę, czołem skrytą w obłokach.

Wczoraj 24-go przez cały dzień nie widzieliśmy nic prócz morza, nieba i kilku mijających nas w znacznem oddaleniu żaglowców. Dziś 25-go z rana o świcie mijaliśmy Kretę (Kandyę). Teraz znów tylko siny piacek wód przed nami, i jasno błękitne sklepienie nad głową, ze słońcem lipcowem. Czas wolny od zatrudnień – tj. od jedzenia, picia i spania, bo powietrze morskie sprawia, że cały dzień jest się przy apetycie jak ludojad, a w nocy śpi się, jak suseł — poświęcam angielskiemu i listom, których nazbierała mi się siła! W ogóle jednak nie przyszedłem jeszcze całkiem do siebie. Będąc w ostatnich dniach przed odjazdem z Marsylii przeciągnięty w każdym nerwie jak struna, ulegam teraz naturalnej reakcyi: mało jestem wrażliwy, mało czuję, żyję niby we śnie. Ale bo też cała podróż nasza ma taki charakter swojski, że nie można prawie przekonać samego siebie, że to eskapada do antypodów, na inną półkulę i do całkiem innego świata, przez morza i oceany, dzielące nas całemi tysiącami mil od ojczyzny, od wszystkiego tego, w czem istota nasza cała głębokie zapuściła korzenie, skąd czerpała pierwiastki składowe całej swej intelektualnej i moralnej indywidualności.

Niedziela wieczór. Cudowny był wieczór. Słońce zapadało w morze, jak rozżarzona Verne'owska kula działowa, lub roztopione opale. Niebo przejrzyste mieniło się w tęczowe kolory od zachodu. A statek nasz ogromny, świetny, wspaniały, dominujący na całym widnokręgu, płynie spokojnym i jednostajnym wciąż ruchem — jakby planeta jaka w tych przestworach. Prawdziwy mikrokosmos z pełnem gwaru i ruchu życiem w swem łonie. Bo niedziela tu się świątecznie obchodzi, i każdy sprawia sobie rekreacyę, jaką może. Majtkowie grali w tombolę. Angliki, z powodu dnia gorącego, ponadziewali różne fantastyczne kostiumy, kobiety się postroiły. Mursów (chłopców okrętowych) gromadka tańczy w małpich podrygach przy harmonijce. Przy obiedzie podano lody i *sherry* na deser! Humory podniecone — i na pokładzie, niby na *corso* jakiem włoskiem, tłok spacerujących, wesołych, śmiejących się, palą-

cych, plotących bzdury we wszystkich narzeczach europejskich i niektórych egzotycznych, bo Araby, stanowiący część załogi, śpiewają jakąś tęskliwą pieśń swoją, siedząc jak pająki na sznurzanych drabinach. Jeden z nich brzdąka do taktu na rodzaju arfy o pięciu strunach. Malownicze to i oryginalne dla nas nowicyuszów bardzo. Chłopak obsługujący nas, jest Arabem z Aden i nazywa się Alim. Śliczna twarz, jakby w bronzie wykuta. Między sąsiadami w naszej kabinie szczególnie ciekawy jest Anglik młody, który skupuje jaja po całym świecie, i był już nawet w Tarnopolu! Ruchliwy, jak nasz żydek galicyjski, gada wciąż, nie troszcząc się bynajmniej, czy go tam kto rozumie, w okropnie szerokich szarawarach białych i z wieczną fajką w zębach, słowem pociecha nasza. Strasznie mu się podobała pewna panienka Francuzka, jadąca do St. Maurice, miałby ochotę dla niej tam zostać, cóż, kiedy niestety, kur w tym kraju brak zupełny, więc i *business'u* nie byłoby żadnego. Namawia ją zatem, aby z nim do Australii jechała, obiecuje złote góry i jeszcze lepsze rzeczy, a dzieje się to wszystko na migi, bo ani on po francusku, ani panienka po angielsku słowa wykrztusić nie umieją. Pantomina cyrkowa! — Ja dużo bawię się z dziećmi, a najwięcej z psem polskim p. Czarlińskiej, który się do mnie przywiązał jakbym ja go wyhodował, i nie odstępuje mnie na chwilę. Podczas herbaty, którą pija się w salonie, Dr. Piotrowski grywa na pianinie, artystycznie i przedewszystkiem Chopin'a, *Mein liebchen, was willst du noch mehr*! Potem odprowadzam go do jego kajuty i zwykle jeszcze małą godzinę filozofujemy sobie tam w cztery oczy, przy czem wiele, wiele się uczę, bo też to człowiek rzadki pod każdym względem. Serce człowiekowi rośnie w jego obecności. Dość, jeżeli ci powiem, że z 8000 fr. stałej pensyi 7000 przeszło rozdaje stałej zapomogi różnym ludziom biednym lub potrzebującym. Sam zaś nie potrzebuje nic, żyje jak najskromniej jakby mnich jaki; za radę i pomoc lekarską od nikogo nigdy nic nie bierze; mając lat 33, był naczelnym lekarzem armii Loarskiej w 1871 r., wyrzekł się następnie zaszczytów i karyery aby tem swobodniej służyć ludzkości całej i żyć dla studyów swych antropologicznych, w którym to celu już 14 razy świat objechał dokoła i zna każdą piędź lądu i wody na tej ziemi. — Jestto postać, jakby z jakiejś biblii przyszłości wycięta; żywot pełen

poświęceń i dobrych uczynków — a tak cichy i skromny, że każdego zawstydzać musi.

Z drogi, będę pisał do Ciebie z każdej przystani, i listy te będą w rodzaju pamiętnika podróży; bo codzień będę się starał nakreślić kilkanaście wierszy. Statki francuskie do Australii odchodzą zawsze co czwartą środę — a więc: 21 paźdz, 18 listop., 16 grudn. i t. d. w 1886 r. tak, że łatwo Ci będzie obliczyć, kiedy trzeba list wysłać, aby na czas do Marsylii przybył. Proszę Cię mój drogi także o rodzaj pamiętnika — codzień, co drugi, po parę nakreśl wierszy o wszystkiem tem, co Ci się uwagi godnem wyda, mnie bowiem z pewnością wszystko interesować tam będzie. Ja będę Ci również w ten sam sposób odpisywał — tak, że co miesiąc będziemy znosić się ze sobą i spędzać kilka chwil niby na pogadance. A teraz dobranoc, może mi się przyśnisz, a przynajmniej list od ciebie.

26, X. Poniedziałek z rana. Pogoda wciąż cudna. Przed południem jeszcze zawiniemy do Port-Saïd. Bliskość lądu manifestuje się mewami, których stadko okrąża nasz statek. Bliskość zaś świata tropicznego mnóstwem rybek l a t a j ą c y c h, które co chwila jak spłoszona hurma jaskółek, podrywają się z przodu okrętu. Są to rybki na 10 może do 15 cm. długości, lśniąco niebieskie u grzbietu a bieluśkie pod spodem. Przednia para płetw długa i wązka jak skrzydełka jaskółek, przezroczysta i koloru złotego, tylna para mniejsza, płetwa ogonowa widlasta: w ogóle zupełne wrażenie jaskółki, i lot także do jaskółki podobny bo przelatując tuż ponad powierzchnią wody, to znów na odległość 40—50 a nawet i więcej metrów (czego nigdy nie myślałem), muskają fale i znów lecą dalej, zmieniając nawet kierunek lotu bez względu na wiatr. Dziwna sprzeczność: ryby latają w powietrzu! Dzieciarnia waryuje z powodu tego spektaklu!

Trzeba kończyć, bo już dojeżdżamy do Port-Saïd.

Karol.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujące pismo:

Kilka słów z powodu artykułu Dra K. Petelenza pod tytułem: „Po Zjeździe Nauczycielskim".

Pod dewizą „Nihil est veritatis luce dulcius" poddał pan Dr. Karol Petelenz w zeszycie majowym i czerwcowym „Przeglądu powszechnego" surowej krytyce uchwały III. walnego zgromadzenia Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Kto lepiej poznał prawdę czy autor, czy większość zgromadzonych kolegów, na to pewnego kryteryum nie mamy. Żałować tylko wypada, że autor swych oryginalnych poglądów nie wypowiedział raczej na zgromadzeniach, bo byłby się do wyświecenia prawdy przyczynił w toku samej dyskusyi. Nie mam zamiaru polemizować z autorem, bo ciekawi odmiennego zdania i motywów, na których uchwały zjazdu się opierają, znajdą dokładne sprawozdanie z obrad w zeszycie czerwcowym „Muzeum". Ograniczę się tylko na sprostowaniu kilku twierdzeń autora, które ze sprawami szkolnemi szczegółowo nieobeznanych w błąd wprowadzić mogą.

Instrukcya nie jest ustawą, ażeby literę instrukcyi wykonywać. (strona 6). A nawet gdyby była kategorycznym imperativem, nie wykonanie litery, lecz ducha przepisów od nauczycielstwa wymagać potrzeba. Że instrukcya kategorycznym przepisem nie jest, przyznaje zresztą autor sam na stronie 11.[1].

Całkiem nowem jest twierdzenie autora, że dom dla szkoły nic uczynić nie może (strona 8).

Grupa nauk historyczno-filologiczna czyli jak autor nazywa „idealna" i grupa matematyczno-przyrodnicza nie są wcale w gimnazyach równorzędne Podstawą wychowania są języki. Dowodzi już tego nierówna liczba godzin na te dwa działy przeznaczona Na matematykę i nauki przyrodnicze przeznacza plan lekcyjny tylko 5 lub 6 godzin w tygodniu. Celem nauk przyrodniczych nie jest bynajmniej „zasycenie umysłu niemałą ilością tworów przyrodzonych." Tworami takiemi można tylko zasycić żołądek. Nie jest także ich celem wpojenie w pamięć wyobrażeń o pewnej ilości tworów przyrody, co autor miał zapewne na myśli, ani celem matematyki wpojenie „abstrakcyj liczbowych" (strona 9). Nauki matematyczno-przyrodnicze i języki nie są wcale wręcz przeciwnemi siłami, (strona 9). lecz uzupełniają się wzajemnie w wychowaniu i harmonijną tworzą całość.

Że to rzekome równouprawnienie obu kierunków jest zasadniczym powodem obarczenia, jest całkiem nowem odkryciem, szkoda tylko, że jest fikcyą, i niepotrzebnie autor przypuszcza, że „filologiczno-historyczne nauki" w gimnazyum otrzymują pierwszeństwo (strona 9). bo faktycznie całkiem słusznie je mają. Jeżeli w gimnazyum obok języków uczy się także nauk przyrodniczych, nie zostawia się przez to młodzieńcowi wyboru „czy zechce tak w na-

[1] Strony podane są podług odbitki.

uce jak w polityce i w życiu zaciągnąć sie do szeregu idealistów czy realistów, i w interesie jednej lub drugiej frakcyi z zaparciem siebie i poświęceniem wiernie walczyć".

Co mają właściwie znaczyć te szumne frazesy? gdzie to autor widział te z zaparciem siebie walczące frakcye idealistów i realistów? Co właściwie autor rozumie pod tymi idealistami i realistami? Odkąd to szkoła ma na celu zamiast wychowania rozumnych i zacnych obywateli wyrabianie jakichś walczących idealistów, realistów, frakcyi i tym podobnych, tylko w wyobraźni autora istniejących strachów.

Czy ten kto się uczy filologii musi koniecznie stać się idealistą, a kto uczy się dwie lub trzy godziny w tygodniu nauk przyrodniczych — realistą, co ma zapewne znaczyć to samo co materyalistą. Czy Leonardo da Vinci, Goethe, którzy się naukami przyrodniczemi zajmowali, Schiller który się uczył medycyny, także byli realistami?

Dlaczego sukna są obecnie mniej trwałe od dawniejszych, a wiktuały droższe mimo postępów chemii i fizyki, które są mimo lichego sukna i drogiego mięsa całkiem słusznie dumne ze swych zdobyczy, nie rozumie autor zapewnie dlatego, że jest jednym z tych z zaparciem siebie walczących idealistów. Czy nowe teorye filozofii, to także realizm? A co za związek ma filozofia, z jękami tysięcy nieszczęśliwych pozbawionych ogniska? co za związek ma ta cała frazeologia (strona 10) z dowodem twierdzenia, że w szkole nauki matematyczno-przyrodnicze cieszą się większem powodzeniem, aniżeli „idealne kierunki wiedzy". Z tego twierdzenia wynikałoby, że w wykształconem społeczeństwie naszem, znajomość nauk przyrodniczych jest wcale zadowalniającą, i większą od literatury, historyi, języków. Znajomość przyrody jest u nas przeciwnie niestety bardzo małą.

Dziwi się autor, że przyrodnicy mimo „karłowacenia rodzaju ludzkiego i jęku nieszczęśliwych mają wiarę w swoje siły, a dwa wiersze dalej dodaje, że niemal co dzień o nowych wynalazkach powiedzieć umieją (strona 11.)

Byłoby rzeczywiście smutną rzeczą, gdyby temu, co młodzieży podają nauki przyrodnicze. filologia, jak autor twierdzi, nic przeciwstawić nie mogła. Owszem, świat ducha jest równie bogaty, równie ponętny, a jeżeli ten świat często nie nęci młodzieży, wina w tem nie filologii, lecz dotyczącego filologa. Trzeba przyznać autorowi wielką bezstronność, że będąc sam filologiem, kilka gorzkich prawd filologom powiedział. Autor jest w tej mierze kompetentniejszym sędzią od podpisanego, lecz mniemam, że zarzuty te odnoszą się chyba do niedorosłych swemu zadaniu między filologami wyjątków.

Sprawa szkół przemysłowych jest wcale odpowiednią na porządku dziennym walnego zgromadzenia nauczycieli szkół wyższych, bo szkoły przemysłowe państwowe są zakładami średnimi.

Twierdzenie, że szkoły przemysłowe o tyle tylko zostają w związku z zadaniem szkół wyższych, o ile najskuteczniej zbytniemu napływowi do szkół średnich zapobiedz mogą dowodzi niedokładnej znajomości rzeczy. Szkoły przemysłowe nie mogą wcale służyć za „odpływisko dla młodzieży do wyższych nauk mniej przydatnej". Owszem potrzebują młodzieży zdolnej, bo tego wymaga program nauki. Smutno wyglądałby przemysł, gdyby szkoły przemysłowe zapełniały same umysłowe niedołęgi.

Z ciężkiego kalibru zarzutami autora w sprawie mundurów trudno z au-

torem polemizować, bo autor jest w tej sprawie rzeczywiście idealistą. Zwolennicy mundurów liczą się z naturą młodzieży taką, jaką ona jest w istocie. Poglądy autora stosują się do natury młodzieży takiej, jaką być powinna. Zapatrywania w sprawie mundurów są bardzo podzielone, bo obok bardzo wielu dodatnich, mają one bezsprzecznie niejedną ujemną stronę. Tylko praktyka może stwierdzić, co przeważa. Ci ktorzy sami w mundurach szkolnych chodzili, twierdzą, że działają bardzo korzystnie. Z całą stanowczością więc należy odeprzeć ciężkie zarzuty autora, że w pojęciu tej kwestyi przez większość zgromadzenia uwydatnia się: 1) „zamach na konstytucyjne prawa i swobodę obywatelską 2) niema skarga na brak potrzebnej energii w szkole która swe dziury chce łatać suknem mundurowem 3) zupełne zapoznanie zakładów humanitarnych i ducha w tychże mającego panować.

Doniosłości tych zarzutów, a szczególnie ostatniego autor zapewne nie obliczył. Bo cóż cięższego można zarzucić nauczycielstwu nad to, że nie pojmuje ducha zakładów, w których ma działać.

Od trzech pierwszych rozdziałów artykułu bardzo korzystnie odbija, czwarty, nie polemizujący z uchwałami walnego zgromadzenia. Rozdział ten zawiera wiele prawdziwie zdrowych poglądów.

Po przeczytaniu całego artykułu, odnosi się nie miłe wrażenie, jakoby zjazd walny nauczycieli w uchwałach swoich nie wielką odznaczył się mądrością. Tem dziwniej brzmi końcowy ustęp „że najskuteczniejszym środkiem do podźwignięcia stanu nauczycielskiego jest zawiązywanie stowarzyszeń, jak dotychczas doświadczenie pouczyło“.

Franciszek Tomaszewski.

Druk ukończony dnia 26 sierpnia 1886.

JOANNA D'ARC MATEJKI.

W ostatnich dniach maja mieliśmy w Krakowie niezwykłą uroczystość artystyczną. Nasz mistrz Matejko w chwili wysłania obrazu swego na wystawę jubileuszową do Berlina pozwolił, aby obraz ten był przedtem dni kilka wystawiony w Krakowie. Była to niespodzianka i radość niemała. Nieliczna garstka bliższych znajomych i wielbicieli naszego wielkiego artysty, którzy obraz ten w pracowni w miarę jego postępu oglądali, opowiadali o nim to z zachwytem, to z obawą. Sam mistrz, zdawało się, szczególną do obrazu tego przywiązywał wagę, i kochał go bardziej, niż wszystkie inne, jak kocha ojciec najmłodsze swe dziecko, lub poeta pieśń ostatnią wielkiego swego poematu. Nie wiem czy wielu z tych, którzy na wspaniałe obrazy Matejki patrzą, zdają sobie sprawę ze siły miłości, jaka w nich jest, jaką ten artysta dla każdego swego dzieła mieć musiał. Ideał jaki miał w duszy, ten na końcu dopiero mógł być osiągnięty, a przedtem trzeba było całych lat pracy, wyczerpującej siły fizyczne, a nieraz szarpiącej ducha, trzeba było wśród ciągłego wysiłku szukającego umysłu i wyrywającej się woli niezliczonego mnóstwa dotknięć pendzlem, całego szeregu dni i godzin jednostajnych, w których dzieło postępowało, ale dla gorącej duszy jakżeż powoli i niepostrzeżenie, zanim stanęło gotowe! A te przeszkody miejsca i czasu i stosunków i ludzi i samejże niesfornej i nieprzyjaznej materyi, której się do swego dzieła używa!... Kto to zważy i obliczy, ten dopiero patrząc w obraz zdolen przeczuć całe bogactwo miłości, która starczyła aż do końca. Ostatnie swoje dzieło zdawał się mistrz nasz malować jeszcze wytrwalej niż inne, z jakąś smutną i milczącą zaciętością, bez wytchnienia, i to otoczyło je jakąś tajemnicą i zwiększyło ciekawość, a razem żal i boleść, że może na całym obszarze Polski pokazanem nie będzie, i nigdy do niej nie wróci!

Ale było nam pokazane i obchodziliśmy tryumf, a z nami i mistrz, który sam mówił, że po raz pierwszy w Sukiennicach obraz swój w dobrem ujrzał świetle, i który nie mógł nie odczuć wielkiem sercem swojem zachwytu, jaki ogarniał patrzących, i radości jaką im sprawił.

Joanna d'Arc wprowadzająca do Reims Karola VII., króla francuskiego, przedmiot „nie narodowy", jak mniemają niektórzy, a wyjęty z pod najgorętszego serca polskiego, jakie dziś bije, oto treść obrazu, o którym mówimy. Płótno olbrzymich rozmiarów porywa nas na pierwsze wejrzenie niezmierną siłą i żywością kolorytu, i niezwykłą nawet u mistrza naszego potęgą ruchu i życia. Już w tem pierwszem wrażeniu jest pewna niespodzianka. Ile razy Matejko nowy maluje obraz, słyszy się do znudzenia powtarzane uwagi, że już się zaczyna powtarzać, że tym razem daje nam same znane już postacie i typy i ten sam zawsze sposób wykonania, a zważywszy olbrzymią działalność mistrza, jest się gotowym uwierzyć ze smutkiem, że może już rzeczywiście wyczerpuje się i starzeje. Tymczasem nie! Zawsze obraz skończony zadaje kłam tym niemiłym wieściom, a ten więcej, niż którykolwiek. Wszystko w nim, i układ i typy i rytm i koloryt i wykonanie przedstawia nowość i postęp. To nie malarz, który już wszystko znalazł i spoczął, ale który szuka i coraz to nowe odkrywa tajemnice sztuki, to nie dzieło starości, ale siły wieku. I to pierwsza radość, jaką się czuje, bo nie koniec jeszcze i bardzo do końca daleko.

Wpatrując się zaś uważniej w treść obrazu, w to co i jak do nas mówi, widzimy że trzy elementa, po mistrzowsku wyrażone, składają się na jego potężną i porywającą całość. Oficyalny pochód króla i jego świty, entuzyazm ludu wybiegającego naprzeciw, i bezpośrednia cudowna interwencya Boga w dziejowym wypadku wielkiego znaczenia, wszystkie te trzy elementa, od siebie różne, a poniekąd sprzeczne, dostrojone są do zupełnej jedności w postaci Joanny, bohaterki dziejowego zdarzenia i obecnego obrazu. I dlatego to ani Zygmunt August w Unii, ani Rejtan, ani nawet Witold i Batory nie są w obrazach Matejki do tego stopnia bohaterami jak Joanna d'Arc w tym obrazie. Ona to ciągnie za sobą, choć niewesoło, nieufną i chwiejną oficyalną Francyę, ona jest przedmiotem najwyższej czci i wdzięczności patryotycznego ludu, i ona, jakby nie widząc tego, co się koło niej dzieje, i jakby na świadectwo, że jest narzędziem wyższej ręki i woli, patrzy w górę na tych Świętych, którzy ją wiedli

i przywiedli aż do najwyższego tryumfu ojczyzny. Postać dziwnie szlachetna i piękna swem znużeniem, abnegacyą i boleścią, które są w jej obliczu jakby na drugim planie, jakby tłem radosnej wdzięczności, że ojczyzna wolna. Chłodna i obojętna twarz króla, i podejrzliwy wzrok biskupa, jadącego tuż za bohaterką, tłumaczą nam dlaczego ona taka zmęczona i smutna i mimowoli przypominają nam straszny los, który ją czeka, a od którego nie zdoła wyratować jej entuzyazm ludu, choć w tej chwili tak potężny... bo lud taki zmienny! Widać że akcya nie skończona, to nie piąty akt wielkiego dramatu, ale czwarty bolesnej tragedyi; bolesnej, jak niewdzięczność ludzka.

Wszystkie szczegóły obrazu są tylko rozwinięciem rozmaitych odcieni tego troistego czynnika jednej wielkiej akcyi, a tych odcieni jest tak wiele i tak są subtelne, że niepodobna mówić o wszystkich. Orszak królewski na koniach zdąża poważnie i wspaniale wzdłuż całego obrazu od prawej ku lewej ręce patrzących. Rozpoczyna go herold, dmący w fanfarę, za nim Dunois i Richemont, obok prześliczny rycerz pieszy, objaśniający mieczem pochodnię, dalej Joanna d'Arc, potem król i królowa pod baldachimem, obok na pierwszym planie Agnieszka Sorel, za nimi La Hire i paru innych rycerzy. Po za tą linią przesuwającą się przed oczami naszemi, ścisk ludzi formujących szpaler, jeszcze dalej domy z mnóstwem ciekawych głów w oknach, w głębi zaś po lewej, na tle gwiaździstego nieba, fasada słynnej katedry. Szpaler z drugiej, bliższej nam strony pochodu, stanowimy my, którzy na obraz patrzymy, kilka tylko osób wybiegło naprzeciw, by się do wybawczyni zbliżyć, a że ulica krzywi się nieco ku kościołowi, więc przed koniem Joanny jest tych ludzi więcej, niż za nim, i tu największa wre radość i życie. Na pierwszym planie po lewej klęczy zamożna rodzina mieszczańska, zapewne dawniejsi stronnicy Anglii, dziś on skruszony zdaje się przepraszać Boga za swą zdradę ona, z miną wielkopańską, dość obojętna, klęcząc wspiera się jedną ręką na małej córeczce, a drugą wyciąga do schodzącego z tyłu po schodach synka, niosącego kwiaty. Za tą grupą postacie więcej ludowe, o gwałtownych ruchach, opowiadają, pokazują, krzyczą, rozpychają się, a z tej grupy wybiegła ku bohaterce matka z małem dzieckiem, które podnosi do góry, jakby chciała ściągnąć na nie błogosławieństwo obecności Joanny, i wrazić mu w pamięć tę postać na całe życie.

Posuwając dalej wzrok nasz od lewej ręki ku prawej, spoty-

kamy się już tylko z osobami pieszemi, należącemi do orszaku. Więc trubadur z wiolą przewieszoną przez plecy, zdejmujący z ziemi wieniec laurowy, rzucony pod nogi Joanny, chłopiec niosący pochodnię, jakiś rycerz cały w stal zakuty, rudy Anglik w łańcuchach z buldogiem, jakiś ranny depcący sztandar angielski. . . oto najwybitniejsze postacie. Wszystkie wykonane z mistrzostwem, przewyższającem dotychczasowe wykonanie Matejki. Ten tylko, kto widział portrety jego córek, może sobie zrobić wyobrażenie jak traktowanem jest ciało na tym obrazie. Tej pewnej srebrzystości i pewnej nierówności płci, którąśmy w obrazach Matejki tyle razy widzieli, tu nie ma zupełnie. Ciało tu gładkie, piękne, z pulsującą krwią i życiem. Szczególnie postacie tuż przy bohaterce odznaczają się wykończeniem Trubadur i chłopiec z pochodnią prześliczni, tors młodzieńca rozpychającego tłum jest niezrównany, głowa króla wykonana przepysznie. Ale wprost zadziwiająca, jako niezwykłe zjawisko w sztuce, jest owa wiejska kobieta, podnosząca dziecko. Ubrana czerwono i żółto, z białą chustką na głowie, żywością kolorytu, plastycznością, życiem i ruchem, pewną doraźnością entuzyazmu, który ją całą porywa, przewyższa wszystko co w tym rodzaju stworzył mistrz Matejko. A najlepszy na to dowód, gdy od tego obrazu a szczególnie od tej postaci zwrócimy oczy na umieszczony tuż obok „Hołd pruski“, taki (mówiliśmy niegdyś) krzyczący co do barw, świetny co do strojów, a obecnie taki blady!

Na dalszych planach obfitość głów, bogactwo i rozmaitość typów i wyrazów świadczy, jak mistrz nasz nie skąpi nam wrażeń, jak swej pracy nie ceni, by wypowiedzieć choć w części to, co w swej bogatej duszy widzi i czuje. Postać główna Joanny d'Arc, nie żywością kolorytu, nie dramatycznością ruchu pociąga, ale wielkim spokojem i powagą, powiem świętością oblicza i całego układu. Z kobiecych postaci Matejki najbardziej urocza, blada jakąś nadziemską bladością, gołębim wzrokiem patrzy na święte postacie, które przed nią w powietrzu płyną, a którym duszą swą tak bliska, i wyciągniętą ku nim ręką zdaje się dziękować, i nadal los kraju i siebie polecać.

W żadnym dotąd obrazie historycznym nie dał Matejko pierwiastkowi nadnaturalnemu tak wielkiego znaczenia, jak w tym. Trzy postacie Świętych, tej samej wielkości i siły kolorytu, co wszyscy ludzie żywi na obrazie, unosząc się przed Joanną swobodnym, powietrznym ruchem naprzód, nietylko biorą udział w po-

chodzie, ale, choć niewidzialne dla tłumu, one go rzeczywiście prowadzą: — to wieczysty porządek Boży, panujący nad doczesnością. Zarazem słodkie i potężne, te postacie wyrażają zarówno miłosną Opatrzność jak i nemezys dziejową, i nadają całej akcyi charakter niezwyciężonej, nadziemskiej mocy. A znużona i zbolała Joanna, która jedna je widzi, jest w obrazie z całą świadomością tem, czem była w historyi: narzędziem Opatrzności bożej, która prowadząc ją przez Świętych swoich, dała jej wśród niezmierzonych przeszkód i trudności dokonać wielkiego dzieła, i bohatersko zginąć.

Dużo mówiono o znakach niebieskich i postaciach Świętych, które mistrz nasz zwykł na swych obrazach umieszczać. Wiek nasz „rozsądny“, jeśli broni mistrza, stara się widzieć w tem pewne uosobienie dominujących uczuć w historycznem zdarzeniu, a jeśli jest w złym humorze chce go potępić, nazywa to niezdrowym mistycyzmem. Żeby zaś Matejko brał te rzeczy w całej prawdzie, żeby rzeczywiście dla tego umieścił św. Stanisława w Grunwaldzie, że rycerze go na niebie widzieli, lub żeby dlatego umieścił nad Joanną d'Arc Świętych, że przez nich Bóg tej dziewicy wolę swą objawiał, i że ona ich rzeczywiście widywała i z nimi mówiła — tego nikt nie powie, aby mistrzowi „nie ubliżyć“, aby mu nie przypisać czegoś, coby przyniosło ujmę jego geniuszowi w obec „mądrości XIX. wieku“. My zaś nie wahamy się twierdzić, że mistrz nasz właśnie dla tego, iż nie hołduje miernocie, nie zatrzymuje się w pół drogi, ale bierze rzeczy tak jak są, w całej ich rzeczywistości i prawdzie, i tej prawdy się nie lęka, a w tem właśnie jest jego wyższość. Ci święci nad Joanną d'Arc, to święci rzeczywiści, patronowie Francyi, tak jak rzeczywistą jest bezpośrednia pomoc Boga w tym dziejowym wypadku. Dość znać dokumenta współczesne, czytać odpowiedzi prostej wiejskiej dziewczyny na subtelne i podstępne zapytania uczonych profesorów uniwersytetu paryskiego, aby być zupełnie przeświadczonym o tej prawdzie. I dla tego Matejko inaczej jej nie rozumiał.

A nie rozumiał jej inaczej z innego jeszcze, a nierównie wyższego powodu. Gdy stawiamy sobie pytania, co jest w tem zdarzeniu francuskiej historyi, co mistrza naszego tak szczególnie pociągało? dlaczego tak stanowczo dawał się z tem słyszeć, że w obecnej chwili nie potrafiłby malować nic innego? dlaczego ten malarz nawskróś narodowy, a w szeregu obrazów swoich twórca najszerszej polskiej epopei historycznej, chcąc nam dalej tę epopeję rozwinąć i wypowie-

dzieć wszystko co w duszy czuł i widział, potrzebował uciec się do historyi obcej? dlaczego do tego przedmiotu, niby nie naszego, lgnął całą duszą, malował go tak zapamiętale i nie spoczął aż go skończył? — czujemy, że musi być między tym obrazem a wszystkiemi, które go poprzedziły związek ścisły bardzo i logiczny, musi on do całości tej myśli, tej narodowej syntezy, którą mistrz chciał wypowiedzieć, rdzennie należeć — i należy rzeczywiście. To nie przypadek, że ten wielki miłośnik Polski zaczął od Stańczyka, potem przeszedł do Skargi i sejmu grodzieńskiego, aby nam dać Unię, Batorego, Grunwald, Hołd pruski i Wiedeń. Jest w tym szeregu niechronologicznym jakiś inny głębszy porządek duchowy, jakieś powtórzenie i rozwiązanie się w duszy mistrza całej naszej historyi, nie luźne ale dotykające najgłębszych tajników tej wielkiej duszy i najwyższych historycznych zagadnień.

Więc najprzód, ku upamiętaniu i pokucie, ciśnięte nam w twarz to wszystko, co nas dziś z przeszłości naszej najbardziej boli, i najbardziej dręczy. Ta obojętność na dworze starego Zygmunta, w której pogrążone wszystko, oprócz królewskiego błazna, to jakby tytułowa karta tej historyozofii swego rodzaju. Dalej przestroga natchnionego Skargi, której naród nie posłucha, aż dojdzie do ostatecznego zdeptania narodowej godności w Rejtanie. W tych paru olbrzymich rysach zawarty cały nasz bezdenny i niegodny upadek, całe piekło boleści, przez które nas mistrz przeprowadził. Ale gdyśmy je przeszli, mówi on nam, że jednak nie wszystko było złe w przeszłości naszej, że są karty dziejowe niezrównanie piękne, ilekroć byliśmy wierni Bogu, i szerzyli cywilizacyjną myśl chrześcijańską płynącą z Kościoła, ilekroć zwalczaliśmy nieprzyjaciół jego i ojczyzny. Najwyższe dzieło nasze w tym kierunku to Unia, i tę daje nam mistrz nasz najpierwej, aby nas podnieść i pocieszyć, tak jak sam był nią w rozwoju ducha swego pocieszony i podniesiony. Potem idzie cały szereg tryumfów wojennych nad nieprzyjaciółmi Boga, Kościoła, cywilizacyi i Polski, tryumfów niestety nie dość wyzyskanych, lub popsutych późniejszemi politycznymi błędami. Więc Batory, ten wielki nasz król niesfornością szlachty zawcześnie zmuszony do zawarcia pokoju z potęgą północną. Więc Grunwald, po którym zbyt szybko następuje niemądre i słabe zgodzenie się na Hołd pruski. Więc Wiedeń, ostatni czyn bohaterski rozprzężonego narodu. W tych zwycięstwach jednak jakaż wielkość, jakie bohaterstwo! Doprawdy nie wszystko było złe w przeszłości naszej. A teraz?...

Gdy wielki Michał Anioł malował kaplicę Sykstyńską, i dał nam w niej całą historyę tego, co Bóg uczynił dla ludzi, od stworzenia świata aż do odkupienia i do założenia Kościoła swojego na ziemi, i dał jeszcze całą historyę tego, co ludzie uczynili Bogu, od grzechu pierworodnego aż do ukrzyżowania Chrystusa — i spojrzawszy koło siebie zapytał: a teraz?.. : wtedy widząc całe morze zepsucia: dobrodziejstwa Boże zapomniane, Kościół rozdarty i deptany, zawrzał gniewem i na bezdenną niewdzięczność ludzką jedną znalazł tylko odpowiedź: Sąd ostateczny. Nie tak nasz mistrz. Choć morze złego i jego przeraża, choć my tacy niepoprawni, a narody i państwa, doprawdy nie lepsze od nas, wyrosły nam ponad głowę, zgniotły nas i zdeptały i dotąd depcą, jakby nie mogły doczekać się chwili, w której przestaniemy istnieć na świecie, w której wymażą nas z oblicza ziemi, choć zda się, że wszystko przepadło, on nie gniewa się i nie gardzi, ale podnosi nas i ufać każe. Niezbadane są wyroki Boże, ale to, co się dzieje nie świadczy bynajmniej, że dla nas nie ma ratunku. Już takie rzeczy bywały na świecie, już były państwa i narody w położeniu naszemu podobnem, a w przededniu, gdy miały przestać istnieć, Bóg je wybawiał. Jest w dziejach Dziewica Orleańska, która na obrazie Matejki wpatrzona w niebo mówi do nas: Dla narodów opuszczonych przez wszystkie potęgi ludzkie, zgniecionych i bezsilnych, byle wierzących w Boga i chcących Bogu służyć, jest zawsze Bóg. Nie jakiś mglisty „duch narodu“, nie jakaś abstrakcyjna „sprawiedliwość dziejowa“, nie jakieś ideały z marzenia wysnute, których nie ma, a w które pod grozą niepatryotyzmu ślepo wierzyć nam każą ci, co sami w nie nie wierzą — ale Bóg żywy i potężny, który j e s t, który stworzył narody i z opieki ich swojej nie wypuszcza. Nas bynajmniej nie dziwi, że w obec tego co się dziś z nami dzieje, było tak pilno Matejce to wypowiedzieć, i t a k wypowiedzieć i to swoje słowo posłać do Berlina.

A jeśli w samej myśli obrazu jest, obok konkluzyi dla poprzedzających, wyraźna aktualność na obecną chwilę, to nierównie większa jest aktualność w sposobie, jakim malarz tę myśl wyraził. Ten lud na obrazie taki nerwowy, a taki niespokojny, zrywający się tak gwałtownie, który w osobie owej matki podnoszącej dziecko apeluje do świadectw przyszłych pokoleń, to nie lud francuski z XV. wieku, to my, deptani jak nieludzkie stworzenia a rozdarci w sobie, którzy się zrywamy, aby powiedzieć, że nie koniec jeszcze, że możemy jeszcze coś zaważyć w historyi, jeśli zechce Bóg,

a nie w mocy ludzkiej zdeptać nas i zdławić. „Nie jest deptany przez ludzi, kto cierpi prześladowanie, mówi św. Augustyn, ale ten, kto bojąc się prześladowania wietrzeje. Deptanym bowiem nie może być jak tylko ten, kto się poniżył, a nie poniża się, kto choć w ciele dużo znosi, sercem jednak tkwi w niebie“ [1]: — podobnie jak sercem tkwi w niebie na obrazie Matejki Joanna d'Arc a z nią i przez nią cała Francya w chwili swego tryumfu. Nauka tu podwójna a ostateczna. Dla nas: sercem bądźmy w niebie, abyśmy się nie obniżyli i nie byli zdeptani. A dla wrogów naszych: nie w waszej mocy zdeptać nas, jeśli się sami nie zniżymy i zdeptać nie damy.

Gdy na Matejkę patrzę z tej wysokiej strony, wyznaję, że bardzo drobnemi zdają mi się być zarzuty, które się robią jego obrazom. Cóż nam szkodzi, że jest ścisk, kiedy ten ścisk taki prawdziwy i taki porywający, i cóż nam szkodzi, że światło nie ze wszystkiem się tłumaczy, kiedy jest tak znakomicie, tak wspaniale rozlane na obrazie, iż odeń oczu oderwać nie można. Są nawet wśród krytyków i tacy, którzy liczą ilość rąk i nóg, czy też się nie pokaże, że się ze sobą nie zgadzają, są tacy, którzy zdaje się, iż największą rozkosz mają w tem, aby błąd wynaleść. Jabym się z tymi pedantami sztuki nigdy nie spierał, przyznałbym im chętnie wszystko, na to właśnie, by ich potem zapytać: dlaczego pomimo tych wszystkich niezliczonych, jak mówią, błędów, te obrazy przykuwają widza? dlaczego nie dopuściły nikomu przejść koło siebie obojętnie?

Niech mię Pan Bóg broni, abym w jakiemś fałszywem i niezdrowem przeciwstawieniu treści i formy, lekceważył tę ostatnią. Choć zupełnie mylną jest rzeczą w dziele sztuki pomijać treść, s z t u k a jednak leży przedewszystkiem w formie, w sposobie wykonania, i o ile ten jest doskonalszy, o tyle dzieło znamienitsze i bardziej niespożyte, i o tyle nawet treść zyskuje na rozgłosie i na trwałości. Powiem nawet, że danie pewnej przewagi treści nad formą w ogólnej opinii naszej artystycznej świadczy, jak wielki jeszcze u nas brak prawdziwej artystycznej kultury; a obrazy niektórych, niedouczonych jeszcze naszych uczniów szkoły sztuk pięknych, którzy częstokroć ani rysować, ani malować nie umieją, wy-

[1] „Non itaque calcatur ab hominibus, qui patitur persecutionem: sed qui persecutionem timendo infatuatur. Calcari enim non potest nisi inferior: sed inferior non est, qui quamvis multa in terra sustineat, corde tamen fixus n coelo est. (De sermone Domini in monte. Lib. I. C. VI.

stawiane w sukiennicach dla jakiejś niby wyższej myśli w nich zawartej, są prawdziwym skandalem, i w obec (nielicznych na szczęście dotąd) gości z Zachodu, prawdziwą ujmę nam przynoszą. Nie pomijam więc formy, ale przeciwnie mówię, że obrazy Matejki w ogóle, a ten w szczególności, dlatego właśnie robią tak wielkie wrażenie, że są znakomicie malowane, bo i pod względem wykonania, błędy, jakie wytknąć można, są mało znaczące w obec pierwszorzędnych zalet, które w nich zadziwiają znawców sztuki. Dość poznać krytykę zagraniczną, dla której treść obrazów Matejki jest niezrozumiałą, obojętną lub przykrą, aby się o tem przekonać. Gdy obejmiemy myślą to wszystko, co wydała sztuka współczesna, a nawet cofniemy się i w przeszłość, przyznać musimy, że są u Matejki rzeczy malowane tak doskonale, jak nikt dotąd nie malował i nie maluje, i że dla samego wykonania jego obrazy mają swe miejsce wśród arcydzieł świata. To pierwszy powód wartości dzieł naszego mistrza, który sam z siebie jużby wystarczył; ale jest i drugi i wyższy.

Nie mówię tu już o przeszłości, ale w obecnej chwili na całym świecie zdawałoby się, jakoby malarze w ogóle nie mieli nam nic do powiedzenia. Gust powszechny, moda, wiadomości archeologiczne, gra światła, harmonia kolorów, większy pociąg do tej lub owej dziedziny tworów natury lub sztuki, do ciała ludzkiego lub do bogatych materyj i klejnotów, a nieraz i czynniki dużo niższego rzędu, oto co ich pobudza do wybrania sobie przedmiotu obrazu. Sztuka stała się bezmyślną, forma nie jest już suknią jakiejś wyższej treści, jej wyrazem, środkiem jej podania, ale jest sama dla siebie jako przedmiot artystycznego epikureizmu, po za którym nic nie ma. — Jak dalece Matejko jest od tego kierunku wyjątkiem, to my wiemy. On dlatego maluje, dlatego pracą, jakiej nie ma może dziś równej na świecie, zdobył sobie te niepospolite artystyczne środki, to subtelne i inteligentne zrozumienie i oddanie natury, by mógł jak najdoskonalej wyprowadzić to, co ma w duszy, co czuje, co go rozpiera i nie da mu spocząć, aż dzieło stanie gotowe. Stąd każdy obraz Matejki płynie z głębi jego duszy, i obok niezrównanego artystycznego znaczenia, jest wyrazem jakiejś wielkiej myśli, i stąd nowej a bardzo wysokiej nabiera wartości. A nie trzeba myśleć, że to się i wykonaniu nie udziela. Ta sumienność w szczegółach, która patrzącemu przedstawia się jako pewnego rodzaju uszanowanie dla sztuki i dla publiczności i jako miłość artysty dla obrazu — z tej właśnie drogiej artyście wyższej myśli płynie; jak niemniej i to ży-

cie niesłychane, które jest jakby wlaniem w obraz duszy artysty. W obrazie to tylko jest, co artysta weń włoży, i dlatego obrazy Matejki takie są żywe i wymowne, bo on dał im swe życie i dał im swą mowę. I dlatego też obrazy te są dla nas czemś więcej niż dziełami sztuki, są rodzajem apostolstwa zdrowej myśli i prawdy i Matejkę we czci naszej szczególnie wysoko stawiają.

Czy mamy już dość dobrej woli, by z nauki w tym ostatnim obrazie zawartej korzystać? Ufajmy w Bogu że tak, a wdzięczni bądźmy temu, który w tak ciężkiej dla nas chwili tak wysoko godność naszą narodową stawia, i tak wzniosłą wypowiada prawdę.

I rzeczywiście wdzięczność tej garstki Polaków, którzy mieli szczęście obraz oglądać, była wielką. Zrazu przychodzili tylko tłumnie i wracali ciągle, potem zaczęli przynosić kwiaty i wieńce; i rzecz najzwyklejsza w świecie, wystawa nowego obrazu, zamieniła się w jakąś rzewną i cichą, ale głęboko odczutą uroczystość. Nam, którzy naszego mistrza w szczególny sposób kochamy, uroczystość ta z innego jeszcze względu była pożądana i miła. Zwykłym jestto losem ludzi niezwykłej miary, że czepiają się ich w ich pochodzie całe roje niechęci, plotek, bezimiennych zawiści, tak zręcznie przez nikczemnych układane i podawane, że wielkie nawet serca goryczą i zniechęceniem zatruć mogą. I Matejko ten los dzielić musiał. I w Krakowie niestety znalazły się gdzieś takie roje nikczemnych. Wielką więc było dla nas pociechą, że dana była sposobność szerszemu Krakowowi okazać, jak mistrza swego ceni i kocha, i że była dana sposobność mistrzowi naszemu przekonania się o tem. Każde bezpośrednie zetknięcie się Matejki z dawną stolicą Polski, dziś stolicą jej ducha, miało zawsze ten skutek i zawsze mieć będzie. Upewnia nas w tem wielkie serce mistrza, i wielka dlań cześć Krakowa.

X. Eustachy Skrochowski.

DWUWIEKOWA ROCZNICA

NABOŻEŃSTWA DO SERCA JEZUSOWEGO.

Dnia 2. lipca, po zachodzie słońca, wyszła z kościołka św. Barbary w Krakowie niezwykle uroczysta procesya. Prowadził ją ks Biskup Krakowski. Długie szeregi kleru i zakonników snuły się między zwartemi tłumami pobożnego ludu, władze miejscowe, korporacye, cechy, wszelkie stany i warstwy starej stolicy brały w uroczystości gorący udział; wszystkie domy po drodze procesyi przystrojone były świątecznie zwieszonemi dywany i makaty; wszystkie okna rzęsisto oświetlone. Na małym rynku, wysoko podniesiony ołtarz i wianem gazowych świateł okolony, był miejscem przystanku. Kaznodzieja[1] do łez pobudzał, ukazując w Sercu Zbawiciela ucieczkę na złe dni, jakie przebywamy i gromiąc grzechy, które miłosierdzie boże od nas odwrócają. Arcypasterz przemawiał także, rzewnemi słowy wzywając do modlitwy i ufność podnosząc; a gdy Przenajś. Sakramentem błogosławił lud, powiał nad klęczącemi tłumami jakiś niezwykły duch — *spiritus gratiae et precum.* Mówiono sobie, że od dawna nie widziano takiej procesyi w Krakowie.

Byłto obchód dwuwiekowej rocznicy ustanowienia święta Serca Jezusowego. Roku 1686, w pierwszy piątek po oktawie Bożego Ciała, w cichym kościołku Wizytek w Paray-le-Monial, odbyło się pierwsze nabożeństwo do Najśw. Serca — a upłynione dwa wieki historyi tego nabożeństwa, jego dziwne przejścia, trudności, jakich doznało ze strony władz Kościoła, walki z Jansenizmem, podboje i wzrost niesłychany po całym świecie katolickim, zasługują na

[1] X. H. Jackowski, prowincyał Tow. Jez.

uwagę nietylko dusz nabożnych, ale wszystkich umysłów głębszych, których dzieje ludzkości, a w szczególności największego tych dziejów zjawiska, Kościoła katolickiego obchodzą.

Nabożeństwo, o którem mówimy szerzy się w naszym kraju nie mniej, może więcej, niż w innych; ale bywa tylko pojęte sercem. Ci, którzy sercem biorą religię, doznają ku niemu szczególnego pociągu; inni, którzy biorą wszystko pod krytykę rozumu, nie mogą wcale pojąć stosunku tego nabożeństwa do katolicyzmu i doznają względem niego rozmaitych trudności, czasem i niechęci. Dla jednych i drugich bardzo pożądanem będzie zastanowić się właśnie nad tym stosunkiem, zrozumieć, na podstawie historyi i dogmatyki, jakie miejsce zajmuje to nabożeństwo w ekonomii religii — albo raczej, rozszerzając kwestyę — jakie miejsce w niej zajmują wszystkie w ogólności tak zwane n a b o ż e ń s t w a. W tych ramach kwestya zyskuje na znaczeniu i jasności.

I.

Czem są nabożeństwa *(les dévotions)* w katolicyzmie? „Dogmata, mówi pewien głęboki teolog[1], są wyrazem myśli Kościoła, nabożeństwa tryskają z jego serca". Dogmata, wprost od Boga podane, co do swej zawartości są zawsze jednakie — i towarzyszy im zawsze jednaki kult, na ofierze i modlitwie zależący. Lecz oprócz tego kultu powszechnego, stanowiącego nabożeństwo Kościoła istotne, pojawiają się raz poraz i po wsze czasy się pojawiały osobne grupy kultu, szczegółowe nabożeństwa, które z mniejszym lub większym zapałem przyjmowane bywały, mniej lub więcej trwały i krzewiły się i w różnym stopniu sankcyę Kościoła uzyskiwały.

Jak ów kult powszechny Kościoła odpowiada dogmatowi w całości wziętemu, jest niejako reakcyą serca w obec wiary katolickiej w rozumie tkwiącej, tak i te szczegółowe nabożeństwa niczem innem nie są, tylko takiemi reakcyami serca, takiemi podrywami duszy w obec poszczególnych przedmiotów wiary, które w pewnych czasach i miejscach szczególnie się uwydatniają. To niekiedy pewna tajemnica wiary, to znów któryś z świętych, to coś dotyczącego życia Chrystusa albo Matki Boskiej — co dogmatem, lub kultem katolickim

[1] *Rev. Dalgairns*, Oratoryanin z Birmingham, w dziele p. t. „Nabożeństwo do Serca Jezusowego w przeciwieństwie do jansenizmu".

zawsze objęte było, ale na co nikt szczególnej nie zwracał uwagi — nagle wysuwa się niejako naprzód i wyjątkowym sposobem serca i umysły zajmuje. Zdaje się, jak gdyby promień jakiś z nieba ten punkt religii wyjątkowo w tej chwili oświetlał, resztę w półcieniu zostawiając. I w tej chwili, ku temu oświetlonemu przedmiotowi zwracają się oczy i serca, budzi się względem niego jakaś szczególna miłość wiernych, wymyślają się nowe uczczenia go sposoby, zawiązują się pod jego hasłem bractwa, wznoszą się świątynie, teologia go objaśnia, sztuka go wsławia... Czasem ten zapał nie przechodzi granic pewnej miejscowości, pewnego kraju, innemi razy opanowuje cały świat katolicki: jak nabożeństwa Różańca św. w XII. wieku, Bożego Ciała w XIII., św. Józefa w XVI., Serca Jezusowego w XVII., Niepokalanego Poczęcia w wieku obecnym [1].

Fakt ten w dziejach Kościoła jest dosyć widocznym. Ale podług jakich praw ten fakt się pojawia i z jakich przyczyn pochodzi? jaki ma udział w tem powstawaniu nabożeństw pobożność wiernych, jaki udział ma Kościół rządzący, jaki Duch św?

W ogólności mówiąc, inicyatywę w nabożeństwach bierze nie władza kościelna, jak w orzekaniu dogmatów, ale lud wierny. Jestto całkiem zgodne z podanemi wyżej pojęciami: dogmata do Głowy należą, nabożeństwa z serca tryskają. Lud się porywa samorzutnie do czci jakiejś świętości, Kościół tę cześć sądzi, reguluje i sankcyonuje. Niekiedy długiemi laty nabożeństwo jakieś kiełkuje między wiernymi. Przedstawiciele ludu, monarchowie, kapłani, wielokrotne do Głowy Kościoła prośby zanoszą. Dopiero po wielu zwłokach, badaniach, roztrząsaniach, niekiedy odmowach, Kościół przychyla się do tych próśb i nadaje istniejącemu już nabożeństwu urzędową sankcyę i postać liturgiczną.

Ze strony wiernych rozmaite okoliczności mogą dać początek takim porywom pobożności. Cud, łaski nadzwyczajne, objawienie komuś uczynione, .. niekiedy napaść heretyków na pewien dogmat lub osobę świętą, wywołują w ludzie wiernym szczególne nabożeństwa, zwrócone ku pewnym miejscom lub pewnym świętościom. Kościół zaś nauczający — któremu powiedziano: *depositum custodi*, strzeż depozytu wiary [2] — kiedy zwraca oko na ten nowy objaw pobo-

[1] Dalgairns l. c.

[2] Do Tym. VI. 20.

żności ludu, co innego ma na uwadze. Nie wydaje on sądu o tem co wywołało takie nabożeństwo, nie ma nawet pretensyi, że się tak wyrażę, do sądzenia o prawdziwości prywatnych objawień, ale sądzi właściwie o tem, co to nabożeństwo zawiera, jak się ono zgadza z dogmatem, czy nie wyraża mylnego pojęcia rzeczy świętych, czy nie mieści w sobie zabobonu, czy ludzi do prawdy i świętości prowadzi. Nabożeństwo do obrazów świętych rozkwitło się nadzwyczajnie na Wschodzie, w skutek zaczepki obrazoborców, i cudów które podówczas miały miejsce, czego ślady widzimy dotąd w bogatych ikonostazach; ale polega ono i na soborach potwierdzonem zostało jedynie na tej podstawie, że katolicka cześć obrazów różni się najistotniej od bałwochalstwa i pożyteczną jest w ogólności do podnoszenia myśli wiernych ku rzeczom niewidzialnym. Nabożeństwo Różańca wprowadzone zostało w świat cudami wielkiego zakonodawcy Dominika św.; ale polega jedynie na tem, że ta praktyka czczenia w taki sposób Matki Boskiej i rozpamiętywania tajemnic życia Chrystusowego, jest absolutnie dobrą i dla uświątobliwienia wiernych pożyteczną. Nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej wywołane zostało łaskami i cudami bez liku, których w tem miejscu wierni doznali, ale zasadza się właściwie na tem, że cześć Maryi jest święta i że szczególne Jej czczenie, czy to pewnemi sposoby, czy w pewnych miejscach, jest dobre, niezabobonne, z naturą ludzką i z istotą religii zgodne. Nabożeństwo do Serca Jezusowego kilkakrotnej najprzód odmowy ze strony Stolicy św. doznało, dlatego głównie, że ci, którzy się o nie starali, opierali swe prośby na fakcie objawienia bł. Małgorzacie uczynionego, jak świadczy Benedykt XIV., który wówczas jako kardynał brał udział w pracach Kongregacyi Obrządków — a dopiero wtedy sankcyę kościelną otrzymało, kiedy przedłożonem zostało niezależnie od tego objawienia, jako praktyka sama w sobie pobożna i święta, z dogmatem i kultem kościelnym zgodna. Słowem, nabożeństwa kościelne wywoływane bywają względnemi i przejściowemi powodami, ale polegają na bezwzględnym i wiecznotrwałym dogmacie.

Z tego punktu, orzeczenia Kościoła o nabożeństwach mają charakter dogmatyczny, nie podlegający krytyce. Może katolik nie mieć skłonności do pewnych nabożeństw, przez Kościół zatwierdzonych, może powątpiewać o pewnych faktach historycznych lub nadprzyrodzonych, towarzyszących ich założeniu — ale tylko

heretycy mogli krytykować ich treść i potępiać ich praktykę: jak Nestoryanie potępiali cześć Bogarodzicy, Ikonoklaści kult świętych obrazów, Janseniści nabożeństwo do Serca Jezusowego.

Wszelako nie na tem koniec znaczenia nabożeństw. Wznosząc się wyżej, postawić sobie jeszcze musimy pytanie: jaki jest cel tych nabożeństw w myśli Bożej? jaka rola w ich wskrzeszaniu Ducha św.? — „Nabożeństwa, powiada wyżej przytoczony autor, są środkiem Ducha św., dla poruszania w świecie chrześcijańskim stojących wód pobożności". Stygnięcie, zamieranie w rutynie, są nieoddzielnemi ułomnościami natury ludzkiej. Wszystko, co się w niej złoży, i największa świętość, jaką jest religia, temu złemu podlega. I dlatego, gdy widzimy w dziejach Kościoła te „stojące wody" poruszane raz poraz — jak gdyby ręką Anioła, zstępującego nad sadzawką Siloe — poruszane nowemi zapałami serc, nowemi instytucyami, nowymi nabożeństwami, które odmładniają stygnącą pobożność, jakżeż w tem nie uznać działania tego Ducha, który, jak mówi św. Ireneusz, „jest pierwiastkiem życia wciąż odmładniającym Kościół „i zadatkiem jego nieskazitelności?".

Wiem, że wiele takich nabożeństw powstaje z przyczyn naturalnych, bez nadprzyrodzonej interwencyi; przypuszczam, że niektóre mogły się zacząć od źle sprawdzonego faktu — cudu lub objawienia nierzeczywistego — bo, jak powiedziałem, nie na tych faktach stoją katolickie nabożeństwa; ale nie wątpię oraz, że nad tym całym posiewem i wzrostem nabożeństw panuje Duch św., że często naturalnych środków używa do spełnienia swych cudownych zamiarów, a że nieraz także wyraźnem natchnieniem, objawieniem prywatnej osobie udzielonem, niekiedy cudem, a nawet szeregiem cudów wprowadza w świat i zaszczepia takie nabożeństwa, do całości Jego planów należące.

Wiara ta nikomu się nie narzuca; bo nabożeństwa te, nawet przez Kościół uznane, stoją niezależnie od faktów, które im dały początek. Ale widząc znaczenie, jakie te nabożeństwa w całym ustroju religii mają, wierząc że Duch św. jest duszą Kościoła, niepodobna sądzić, żeby to zjawisko, tak powszechne w Kościele, tak doniosłe, tak głęboko sięgające, było Mu obcem, przypadkowem, żeby On nie był w jakiejś mierze jego motorem i kierownikiem. Jak na wiosnę, pod wpływem promieni słońca, jakaś siła życiodajna budzi się w ziemi i wypiera na jaw coraz nowe formy życia, tak w Kościele,

pod wpływem tego Ducha żywota, który *flat ubi vult*, kiełkują ustawicznie coraz nowe kształty pobożności, praktyki, nabożeństwa. Duch św. jest w Kościele nauczającym, aby według obietnicy Pana Jezusa, strzegł nieskazitelności dogmatu, ale jest też w Kościele nauczanym, w sercach wiernych — według słów Apostoła: *vos unctionem habetis* [1] — aby utrzymywać i ciągle budzić, pod kierunkiem władz nauczających, to życie religijne, wiecznie młode, wciąż jednakże w pierwiastkach a wciąż nowe w objawach.

Co więcej, nietylko ten rozkwit nabożeństw w ogólności jest niezawodnie wypływem działania Ducha św., ale też niektóre z tych nabożeństw w szczególności przedstawiają niewątpliwe znamiona nadzwyczajnej interwencyi i woli Bożej. Jakież są te znamiona? Jak nadprzyrodzona misya chrystyanizmu zatwierdza się dwojakim sposobem: rozszerzeniem się w świecie za pomocą środków po ludzku najnieudolniejszych, i skutkami w świecie wywartemi ponad ludzką możność, tak też w pewnej mierze, sposób powstania niektórych nabożeństw i więcej jeszcze wpływ, jaki w świecie katolickim wywarły świadczą o ich nadludzkiem pochodzeniu. Ludzkie dzieła wymagają zawsze odpowiednich środków i podstaw; ludzkie pomysły, w sferze moralnej zwłaszcza, mają zawsze bardzo ograniczoną doniosłość; kiedy więc jakieś nabożeństwo przyszło na świat, nie z inicyatywy wielkiego męża, z nauką Augustyna, z wielkimi czynami Bernarda, nie pod wpływem wielkiego wypadku, który głęboko może wstrząsnął społeczeństwem i tłumaczy jakkolwiek naturalnie rozbudzenie się pobożności; ale jak ziarnko gorczyczne, w sercu i ustach jakiegoś prostaka, w duszy jakiejś ubogiej i nieśmiałej zakonniczki, kiedy z takiego początku, bez pomocy, mimo oporu możnych i uczonych, rozszerzyło się na cały Kościół, kiedy zwłaszcza takie nabożeństwo utwierdziło wiarę, podniosło obyczaje, rozgrzało serca miłością bożą, wówczas sądzę najpewniej możemy powiedzieć: *Digitus Dei est hic.* Najwybitniejszą może cechą boskiego pochodzenia nabożeństwa jest jego przeciwieństwo z jakiemś kacerstwem czasu, walka z herezyą. Herezya ma dobry węch. Kiedy wydaje walkę jakiemuś nabożeństwu, jestto najlepszy znak, że jest w niem coś wyższego, coś bożego, co duchowi kłamstwa staje oporem i do wściekłości go doprowadza. Tak Nestoryanizm pioruno-

[1] I. Jan II. 20.

wał przeciwko czci Bogarodzicy i przez tę cześć został pokonany. Tak jansenizm usiłujący wykluczyć z chrystyanizmu ducha miłości a zgalwanizować zimnego trupa kalwinizmu, z niesłychaną zawziętością miotał się przeciwko nabożeństwu do Serca Jezusowego, zwalczał je wszelką bronią, agitacyą w Rzymie i pamfletami w Paryżu; ale w końcu duchem z tego nabożeństwa płynącym stanowczo pokonany i wyparty został.

I tu widać, że rozwój nabożeństw w Kościele odbywa się podobnym sposobem, jak rozwój wiary: jak nauka wiary rośnie w dziejach Kościoła ewolucyjnie, nie przez zewnętrzne dodatki, ale przez rozwój tego, co się w zasadach od początku znanych i wierzonych zawierało, a główną podnietą do tego ewolucyjnego procesu bywają herezye — tak i nabożeństwa w Kościele powstające, są szczegółowaniem się tego, co już w pierwotnym kulcie Kościoła się mieściło, prawidłowem pączkowaniem tego kultu, na korzeniu dogmatu rosnącego, i znów herezye, zaczepiające z różnych stron religię, są główną tego rozwoju sprężyną. A jakżeżby Duch św., ten „włodarz Chrystusów w winnicy Kościoła“, jak go Tertulian nazywa, miał być temu rozwojowi obcy? jakżeżby nie miał go swoim wpływem i natchnieniem kierować?

Przychodzimy więc do wniosku, że już nietylko ganić treść i zawartość nabożeństw przez Kościół zatwierdzonych, jest rzeczą z wyznaniem katolika niezgodną, jak powiedzieliśmy wyżej, ale też lekceważyć ryczałtem wszystkie nadprzyrodzone fakta, cuda i objawienia, które nabożeństwom dały początek, uważać je wszystkie, bez różnicy i rozbioru, za wymysły ludzkie, jest z punktu katolickiego czemś nieracyonalnem i nielogicznem, co się nie inaczej tłumaczy, tylko resztką tego deistycznego racyonalizmu, który wszelką interwencyę Boga instynktowo uchyla. Katolik z zupełną swobodą ducha przywłaszcza sobie z pomiędzy nabożeństw to, co jego sercu odpowiada, wstępuje lub nie wstępuje do bractw, używa lub nie używa praktyk do przykazań Kościoła nienależących, według własnej woli i skłonności; ale nabożeństwa w ogólności szanuje i czci, uznając w nich powagę władzy duchownej i skutek tego impulsu Ducha św., który Kościół wiecznie porusza, odradza i użyznia.

II.

Zastosujmy teraz te ogólne o nabożeństwach pewniki do czci Najśw. Serca Jezusowego w szczególności.

Na czem właściwie zależy to nabożeństwo? Jak Wcielenie jest najwyższym wyrazem miłości Boga dla ludzkości, tak adoracya Wcielonego Boga jest głównym wyrazem, istotą religii chrześcijańskiej. Już w pierwszych chwilach chrystyanizmu dogmat, że Słowo stało się Ciałem — czyli, że Chrystus jest w jednej Osobie Bogiem i człowiekiem — występuje na pierwszy plan, jako hasło i treść całej nauki uczniów Chrystusowych. Herezye ohydne i dziwaczne, niby widma poganizmu, zaczepiają to z jednej, to z drugiej strony, chcą rozerwać ten dogmat. Raz człowieczeństwo Chrystusowe mienią być marą, drugi raz Bóstwo jego ogłaszają za podrzędne, za jeden z tysiąca Eonów z Bóstwa wyłonionych, innemi razy o jedności osoby sofistykują; Ojcowie Kościoła kruszą kopie z kacerzami, prawdę w coraz większem świetle stawiają. Ale podczas gdy uczeni rozprawiają, Kościół podaje wiernym do adoracyi Człowieka-Boga — i wśród wrzawy i sofistyki kacerzy, od Doketów aż do Nestoryanów, ta adoracya zwycięża, ta adoracya jest najkrótszą drogą do prawdy. Kto Narodzonemu z Maryi i Ukrzyżowanemu boską cześć oddaje, ten niemylnie pojmuje, choćby się i wysłowić nie umiał, że to człowieczeństwo, które czci, jest realnem, że jego Bóstwo jest prawdziwem, i że jeden i ten sam, który się narodził z Maryi człowiekiem, jest też wiekuistym Bogiem. Później, gdy już adoracya człowieczeństwa Chrystusowego utwierdzona, a temsamem dogmat Wcielenia w serca wszczepiony został, duch herezyi, zwalczony co do całości Boskiego człowieczeństwa, czepia się szczegółów, powstają monoteizm, adopcyanizm, kacerstwo Berengaryusza i t. p. Ale w walce z herezyą i dogmat się wyjaśnia i nabożeństwo zwraca się do szczegółów dotyczących człowieczeństwa Chrystusowego, pod wpływem czasowych okoliczności i pod tchnieniem Ducha łaski: rodzą się nabożeństwa do Ziemi Św., do Grobu Pańskiego, do Bożego Ciała, do Krwi Pańskiej, do pięciu Ran ....

Nabożeństwo do Serca Jezusowego jest tylko epizodem tej walki około człowieczeństwa Chrystusowego, fazą rozwoju jego czci. Jest to ta sama adoracya, ta sama miłość Boskiego człowieczeństwa, która jak się zwracała w wiekach średnich do Grobu Chrystusa, później do jego Krwi i Ran, tak zwróciła się w wieku XVII. do jego Serca. Jest to także ten sam sposób wyszczególniania w tej adoracyi Chrystusa czegoś, co z pewnych powodów przyciąga szczególnie serca i umysły wiernych: jak Ziemia święta przypomina im, co dla nich

uczynił Zbawiciel i jest areną Jego prac, jak Krew i Rany Chrystusowe przypominają im, co dla nich przebolał i same są częścią tego, co ucierpiał, tak Serce Jego przypomina im, jak ich ukochał i jest właśnie narzędziem, siedliskiem tej miłości.

W tych prostych słowach mieści się cała istota tego nabożeństwa i odprawa na nieskończone dysputy i teologiczne, filozoficzne, fizyologiczne nawet szykany, jakiemi przeciwnicy przez długie lata to nabożeństwo zwalczali: czci się Serce prawdziwe Zbawiciela nie w oderwaniu od jego Boskiej Osoby, ale z wyszczególnieniem w jego Osobie, i czci się miłość Zbawiciela dla rodzaju ludzkiego, której to Serce jest naturalnym organem i symbolem. Janseniści zarzucali odłączanie Serca od Osoby Zbawcy, mówili, że Serce w ten sposób oderwane nie może być przedmiotem adoracyi Bogu należnej; czcicielom Serca Jezusowego zarzucali wręcz bałwochwalstwo, nazywając ich *cordicolae*, sercochwalcami. Czyż nie słychać w samej tej nazwie echa owego krzyku ἀνθρωπόλατραι, człowieczochwalcy! którym Nestoryanie piętnowali katolików? Widocznie ten sam duch piekielny w obu razach zrzymał się przeciwko adoracyi tego Człowieka-Boga, któremu on przed wiekami pokłonu odmówił, a ta sama prawda w obu razach broniła wiernych: jedność Boskiej Osoby Chrystusa, do której cześć i jego człowieczeństwa, i każdej jego części się odnosi.

Później, gdy już Kościół wyraźnie nabożeństwo do Serca Jezusowego uznał i pochwalił, przeciwnicy jęli znów utrzymywać, że przedmiotem potwierdzonego nabożeństwa nie jest realne i fizyczne Serce Zbawcy, ale tylko miłość Jego, wyrażona symbolicznie ogólnikowym znakiem serca. Akta rozpraw Kongregacyi obrządków o tem nabożeństwie odbywanych pod Benedyktem XIII. i Klemensem XIII., które O. Nilles w znakomitem dziele: O święcie Serca Jezusowego, wydał[1], pełne są takich wybiegów i wykrętów; ale pokazało się najwidoczniej, że w myśl pobożnych czcicieli Serca Jezusowego i w myśl orzeczeń Kościoła, przedmiotem tego nabożeństwa jest rzeczywiste Serce Pana Jezusa, jako symbol naturalny i organ Jego miłości ku ludziom: czyli jedno w drugiem, serce

[1] De rationibus festorum Sacr. Cordis Jesu et Pur. Cordis Mariae, libri IV., auctore Nicolao Nilles S. J. Vol. 2, edit. quinta. Oeniponte. 1885.

i miłość, przedmiot materyalny i przedmiot duchowy, w nierozdzielnej łączności[1].

Czci się więc samo Serce Zbawiciela, czcią adoracyi: bo jak człowieczeństwo Jego odbiera tę cześć, ponieważ do Boskiej osoby, nakształt części, należy, tak każda część tego człowieczeństwa: i dusza i ciało i krew i rany i Serce, tej czci najwyższej wymagają, bo tak samo do Boskiej osoby należą, są ἐνύπόστατα, są duszą Boga, ciałem Boga, krwią, ranami, Sercem Boga.

Czci się w tem Sercu Zbawiciela, Jego miłość ku ludziom, i ona jest głównym, końcowym tego nabożeństwa przedmiotem. Z tego już względu to nabożeństwo staje poniekąd nad innemi i przedstawia się jako najczystsza kwintescencya chrystyanizmu. Miłość ku Bogu, jak wiadomo, jest najwyższem i zupełnem chrystyanizmu zadaniem: *koniec zakonu miłość.* A najistotniejszym do wzniecenia tej miłości środkiem jest miłość Boga ku ludziom objawiona w Wcieleniu. Serce ludzkie jest tak zbudowane, że tylko miłość może go do miłości skutecznie pobudzić. Piękność, mądrość, wszechmoc Stwórcy objawione w naturze, obudzą w nim podziw, może bojaźń przed Nim; miłować Boga wtedy dopiero będzie, kiedy się dowie, że i Bóg go miłuje. A tego znów, że Bóg go miłuje, nie pojmie, nie wyobrazi sobie, nie spocznie w tej myśli, aż Bóg mu się objawi z sercem ludzkiem, czującem i kochającem tak, jak ono samo czuje i kocha[2].

Dlatego to Apostołowie, stawiając miłość po nad wszystkie cnoty i wszystkie przykazania — *major autem horum est charitas*[3] — za powód i pobudkę i niejako mus do tej miłości podają w pier-

[1] Nawet obrazom Serca Jezusowego zarzucano nieprawdziwość i nieprzyzwoitość. To ostatnie nie warte nawet słowa odpowiedzi. Co się tyczy nieprawdziwości, trzeba wiedzieć, że prawda obrazów religijnych nie zależy wcale na realizmie, ale na tem, żeby wyrażały lub oznaczały w jakikolwiek sposób wierzenie dogmatycznie prawdziwe. Obrazy Boga Ojca pod postacią starca, aniołów pod postacią ludzi, symbole baranka, gołąbka, zwierząt apokaliptycznych nie są wcale błędne, ale prawdziwe, bo prawdziwe wyrażają pojęcia. Tak i obrazy przedstawiające Najśw. Serce odosobnione, albo uwidoczniające to Serce na piersiach lub w ręku Pana Jezusa, są również prawdziwe, bo wyrażają myśl wiernych, która wyszczególnia a nie odrywa Najśw. Serce. Rozchodzić się tylko może o różnice gustu i wymagań artystycznych.

[2] U pogan pojęcia miłości Boga nie było; ledwo parę razy to słowo filozofia nieśmiało wyszepnęła. W Izraelu, mimo formalizmu synagogi, były już jakieś objawy tej miłości, uprzedzające Oczekiwanego; ale dopiero po rozgłoszeniu Wcielenia, miłość Boga stała się pospolitą i jakby naturalną.

[3] I. Do Korynt. XIII. 13.

wszym rzędzie miłość Boga wcielonego ku nam: *Miłość Chrystusowa przyciska nas*[1]. — *Bog zaleca miłość swoją ku nam... iż Chrystus za nas umarł*[2]. — *Umiłował mnie i wydał samego siebie za mnie*[3]. — *I myśmy poznali (iż Jezus jest Syn Boży) i uwierzyli w miłość, którą Bóg ma ku nam*[4]. — *Umiłował nas i omył nas z grzechów naszych*[5]...

Więc ostatniem słowem chrystyanizmu jest: kochaj Boga, — a najwyższym do tego środkiem: bo cię Bóg ukochał sercem ludzkiem. Otóż nabożeństwo do Serca Jez. jest właśnie ujęciem tej kwintesencyi chrystyanizmu: w Sercu Zbawiciela każe ono czcić, rozważać, uwielbiać jego miłość, wszystkie Jego dzieła, słowa, zwłaszcza cierpienia dla nas podjęte, każe rozpamiętywać jako dzieła i dowody miłości — i tak najprostszą i najnaturalniejszą drogą prowadzi do tej miłości Bożej, która jest końcem zakonu.

Co więcej, zwracając wciąż myśl ku Sercu Zbawiciela, to nabożeństwo naprowadza do rozważania, obok miłości, innych uczuć, cnót i doskonałości wnętrznych Pana Jezusa, do wpatrywania się w jego życie wnętrzne, którego tyle rysów charakterystycznych wyczytać można z Ewangelii, a z tych tyle innych odgadnać. A to jest skrócona droga do wewnętrznej doskonałości, do wypełnienia tego, co św. Paweł nazywa „przyobleczeniem Chrystusa“ i co wyraża o sobie temi głękokiemi słowy: *Żyję, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus*[6]. I to tłumaczy, z jednej strony, dlaczego nowsi mistrzowie życia duchownego uważają powszechnie nabożeństwo do Najśw. Serca za jedną z najpotężniejszych dźwigni doskonałości, a dusze do wyższych stopni doskonałości dochodzące doświadczeniem to stwierdzają. Z drugiej strony jestto nowa kongruencya tego nabożeństwa z najistotniejszym znamieniem chrystyanizmu, który jest *par excellence* religią wnętrza, religią serca, w przeciwstawieniu do wszystkich innych religij, — który, jak powiada Donoso Cortez, reformuje grzesznego człowieka i upadłe społeczeństwa, rękę przykładając nie do form społecznych, ale do serca ludzkiego.

---

[1] II. Do Korynt. V. 14.
[2] Do Rzym. V. 8.
[3] Do Galat. II. 20.
[4] I. Jan. IV. 16.
[5] Objaw. I. 5.
[6] Galat. II. 20.

III.

Jeżeli więc nabożeństwo do Serca Jezusowego jest tak ściśle spojone z główną myślą chrystyanizmu, jeżeli jest tak prostem, tak naturalnem — bo cóż naturalniejszego, jak do miłości ku Bogu pobudzać się miłością Jego ku nam, a tę znów miłość uosabiać sobie w jego Sercu? — jakimże sposobem to nabożeństwo nie wyklulo się w pierwszej wiośnie chrześcijaństwa? dla czegóż dopiero w XVII. wieku zakwitło?

W istocie po wsze czasy, dusze najwyżej w doskonałości sięgające, przejęte były tym samym duchem, który się później w tem nabożeństwie wcielił, często nawet Serce Jezusowe miały wyraźnie na ustach i pod piórem, i używały tych samych sposobów mówienia i modlenia się, tych samych praktyk, które się kiedyś pod wpływem tego nabożeństwa rozpowszechnić miały. Już św. Paweł używa zwrotu: „w wnętrznościach Chrystusowych". *Testis est enim mihi est Deus, quomodo cupiam omnes vos in visceribus* (ἐν σπλάγχνοις) *Jesu Christi*, co można przetłumaczyć: „Bóg świadkiem, jak pragnę, żebyście wszyscy byli w Sercu Jezusa Chrystusa[1]. I z wieków męczeńskich są ślady, że wyznawcy Chrystusowi, idąc na katusze, mieli Boskie jego człowieczeństwo na myśli, w jego miłości krzepili swe męstwo i niekiedy niemal wyraźnie o jego Sercu wspominali. Jeden z najautentyczniejszych dokumentów z onych czasów, znany List kościoła Lugduńskiego, zastanawiając się nad wytrwałością w mękach dyakona Sanktusa, jednego z towarzyszów św. Blandyny, czyni tę uwagę: „iż święty dyakon skropiony był i wzmocniony źródłem wody żywej, wytryskującej z Serca (νηδὺς) Chrystusa".

W następnych paru wiekach walka z aryanizmem przeważnie do Bóstwa Chrystusowego myśl wiernych zwracała. Ale zaraz w początkach wieków średnich, w VII. stuleciu, św. Gertruda, ksieni z Nivelle, pisze, że zapytawszy w pierwszem zachwyceniu św. Jana Ewangelisty, czemu nie wspomniał wyraźnie w swej Ewangelii o Sercu Jezusowem, otrzymała odpowiedź: „Mojem zadaniem było „ogłaszać Kościołowi naukę o Słowie Wcielonem, słodycze zaś Jego „Serca oznajmi Bóg ludziom dopiero w ostatnich czasach, ażeby „świat, w miłości Bożej ostygły, poznał je i na nowo miłością Jego

[1] Do Filip. I. 8.

„się zapalił". W XI. wieku św. Piotr Damian niejednokrotnie o Najśw. Sercu wyraźnie wspomina: „Ponieważ w Sercu Jezusa, „mówi on w jednem kazaniu [1], ukryte są wszystkie skarby mądrości, „przeto wybrał Pan z tej niebieskiej skarbnicy bogactwa, któremi „niedostatek nasz obficie uposażył... W tem uwielbienia godnem „Sercu znajdujemy broń, ażeby się zasłonić przed nieprzyjaciółmi, „środki, ażeby sobie pomagać w dobrem, potężne wsparcie prze„ciwko pokusom, najsłodszą pociechę w cierpieniu i najczystsze „wonie na tej łez dolinie..." W XII. wieku miodopłynny Bernard, tak często, tak pięknie i głęboko o Najśw. Sercu wspomina, że widoczna, iż życie w tem Sercu stanowiło treść jego życia wewnętrznego. Z pod jego pióra płyną te wspaniałe porywy duszy ku Sercu Jezusowemu, których Kościół miał później użyć w liturgicznych pacierzach tego święta: „Ponieważeśmy raz przyszli do „Serca Jezusowego, nie dajmy się łatwo od Niego oderwać! O jak „dobrze, jak słodko mieszkać w tem Sercu... Wszakże dlatego „ono zostało na krzyżu zranione, ażebyśmy przez tę widomą ranę „poznali niewidomą, którą Ci miłość zadała"...

W XIII. wieku żyły i pisały te dwie słynne w nauce ascetycznej dziewice, Mechtylda i siostra jej Gertruda, ksieni z Eisleben. Pierwszej, jak sama pisze, powiedział Chrystus; „Uścielesz sobie gniazdko w Sercu Mojem"; i pewnej osobie kazał przez nią powiedzieć: „ażeby wszystkiego czego pragnie szukała w Sercu „Jego, ażeby miała wielkie nabożeństwo do tego Serca i o wszystko „przez to Najśw. Serce prosiła, jak dziecię, które nie zna innego „sposobu wypraszania sobie czego chce od ojca, prócz tego, który mu „miłość podaje" [2]. Druga również udarowaną była łaską nabożeństwa do Boskiego Serca, a to w nagrodę za gorliwość swej miłości: „Odkąd się starasz, rzekł jej Pan Jezus, lepszą cząstkę twej „istoty tj. serce twoje nieść mi w ofierze, i Ja też za stosowne „uważam za wszelkie roskosze dać ci Serce moje"... [3]. Równocześnie żył wielki mistrz teologii mistycznej i wielki czciciel Najśw. Serca Jezusowego, św. Bonawentura, z którego pism wyjęte też zostały ustępy do liturgii święta Serca Jezusowego: „O szczęśliwa włócznio!

---

[1] Sermo 63. „De S. Joanne Ewang".
[2] De gratia spir. l. II. c. 14. et l. IV. c. 10.
[3] Insinuat. divinae pietat. l. IV. c. 60.

„odzywa się ten święty Doktor, błogosławione gwoździe, któreście „taki otwór uczyniły! Patrz, duszo, twój najsłodszy Oblubieniec „otworzył ci bok swój, ażeby ci darować Serce swoje... tam jako „synogarlica twe płody czystej miłości ukrywaj, tam usta przykła- „daj ażebyś piła ze źródeł Zbawicielowych...„ [1].

W XIV. wieku, ta przedziwna święta, która wymową swoją uśmierzała Florencyę, jednała z nią papieża, Urbana VI. z Awinionu sprowadzała do Rzymu, Katarzyna z Sienny otrzymała od Chrystusa, jak opowiadają pisarze jej życia, dziwną i tajemniczą łaskę wymiany z Nim serca. „Córko, rzekł jej Pan, odebrałem ci „twe serce a dałem ci moje, ażebyś niem żyła na zawsze". „Nabywszy tedy to Serce, pisze dalej jej biograf, niemniej łaskawie jak cudownie, z obfitości łaski Jego przechwalebne na zewnątrz spełniała czyny, a przedziwne objawienia wewnątrz odbierała". — W XV. wieku słynął św. Wawrzyniec Justiniani, pierwszy patryarcha Wenecki, także znakomity mistrz doskonałości chrześcijańskiej. Pisma jego tchną duchem, a niekiedy i wyrażeniami temu nabożeństwu właściwemi: „Nie wahaj się, pisze, wejść do Serca Jezusowego, „tam są niezmierzone przestrzenie, drogocenne wonie odnawiające „wnętrzne uczucia duszy, tam najszczęśliwszy pokój" [2]. — W XVI. wieku ozdabiała Kościół ta plejada wielkich świętych i ascetów: Ignacy Lojola, Filip Neri, Tomasz z Willanowy Augustyanin, Jan Lanspergiusz Kartuzyanin, Teresa, Magdalena de Pazzis .. z których każdy był duchem tego nabożeństwa przejęty, i każdy go w pismach swoich mniej albo więcej wyraził: „Usiłuj, powiada Lans- „pergiusz, pobudzić się do gorącej czci Najśw. Serca Pana Jezusa „przepełnionego miłosierdziem i miłością, nawiedzaj je pilnie i po- „bożnie, tul się do niego. Ono jest źródłem wszelkich łask, bramą „i drogą, którą my do Boga a Pan Bóg do nas się zbliża". „Zwra- „caj oko twoje, mówi znów św. Teresa, do boku otwartego, pozna- „waj to Serce i zgłębiaj miłość jego; gdyż On chciał, ażeby to „Serce było gniazdkiem naszem i ucieczką naszą" [3].

W początkach XVII. stulecia pisał swe głębokie dzieła św. Franciszek Salezy, którego później Kościół tytułem doktora życia

---

[1] De stimul. div. amor. c. I.
[2] Tract. De cast. connub. c. VIII.
[3] W liście 8 n. 9.

duchownego uczcił. Pisma jego zawierają tak wyraźne i tak dokładne tego nabożeństwa omówienie, że one głównie posłużyły obrońcom tegoż w obec Kongregacyi Obrzędów do pokonania oporu przeciwników i do uzyskania uznania Kościoła. — Ale wśród tego pocztu świętych i nauczycieli życia duchownego, pierwszy, który napisał książkę o Sercu Jezusowem, był to Polak, wielebny O. Kasper Drużbicki T. J. zmarły r. 1672, a więc 3 lata przed objawieniem bł. Małgorzaty, a 28 lat przed jej śmiercią. Książka ta, wydana dopiero po śmierci autora, r. 1683 pod tytułem: *Cor Jesu meta cordium.* „Serce Jezusowe ogniskiem, czyli metą serc" — zawiera w przedmowie najdokładniejsze pod względem teologicznym określenie przedmiotu i treści tego nabożeństwa: „Te ćwiczenia na cześć Serca „Jezusowego odnoszą się do Serca Jezusa fizycznego *(corporeum et „carneum)*, nie inaczej jednak, jak o ile takowe ożywione jest najśw. „jego duszą... i o ile osobową spójnią na osobie Słowa się opiera". Następnie mieści ta książka rozmyślania i strzeliste modlitwy, w których cały duch tego nabożeństwa jest dziwnie głęboko pojęty i z wielką siłą wyrażony.

Ale ci wszyscy uczeni, wpływowi, cudotwórcy, czcili Serce Zbawiciela w swojem życiu wnętrznem, mówili i niekiedy pisali o niem dla wybranego otoczenia, nie czuli się wcale powołani do szerzenia tego nabożeństwa w całym świecie. Św. Bernard głosi nabożeństwo do św. Grobu, o Sercu Jezusa mówi tylko do braci zakonnej w Clairvaux; Katarzyna z Sienny szerzy we Włoszech nabożeństwo do Krwi Pańskiej, Serce Zbawiciela, które w darze otrzymała, dla siebie chowa. — Widać, że czasy jeszcze nie po temu; a raczej widać w tem niezawodnie rękę Opatrzności, która dobiera chwili stosownej, czeka z jednej strony, ażeby życie duchowne doszło w świecie katolickim do tego delikatnego rozkwitu, jakiego wymaga rozumienie i kosztowanie tego nabożeństwa; z drugiej strony zachowuje ten potężny środek na czas, kiedy pod tchnieniem skażonych doktryn prawdziwa, serdeczna pobożność chrześcijańska pocznie obumierać. A narzędzie do spełnienia tych zamiarów Opatrzności wybrane ma być według tego, co św. Paweł o pierwocinach Chrystyanizmu powiedział: *Elegit infirma mundi ut confundat fortia* [1]. Do założenia tego nabożeństwa w Kościele katolickim powołaną jest

[1] I. Do Korynt. I. 17. Wybrał słabe, ażeby zawstydził mocne.

cicha, bojaźliwa, w murach jednego klasztoru na zawsze zamknięta Wizytka. Jej dopiero pokazuje Chrystus Serce swoje, koroną cierniową i płomieniami otoczone, skarży się na niewdzięczność ludzką, nakazuje ustanowienie święta Boskiego Serca i najobfitsze obiecuje błogosławieństwa tym, co jego Serce czcić i cześć jego szerzyć będą.

Fakt ten nadprzyrodzony, jak już powiedziałem, ani do wiary katolickiej ani nawet do istoty tego nabożeństwa nie należy. Zważywszy jednak, że impuls od tego faktu datujący był historycznie początkiem tego nabożeństwa, pokonał napiętrzone wszelkiego rodzaju trudności, i — czego wspomniani wprzódy święci nie dokonali — do założenia tego nabożeństwa po całym świecie doprowadził; zważywszy, że życie siostry Małgorzaty przeszło ogniową próbę procesu betyfikacyi — trzeba, sądzę, uchylić czoło przed bijącą w oczy powagą tego faktu i uznać, że i tu Palec Boży się objawił.

Nie zapuścimy się w dalsze tego nabożeństwa dzieje: prośby przez królów i miasta do Stolicy św. o ustanowienie święta zanoszone, rozprawy w obec kongregacyj rzymskich, dwukrotne odmowy Stolicy św. za Innocentego XII. i Benedykta XIII., wreszcie uznanie tego nabożeństwa i zaprowadzenie święta przez Klemensa XIII. i rozszerzenie go na cały świat przez Piusa IX. Historya to już skąd inąd znana, a zwłaszcza w wspomnianem dziele O. Nilles'a źródłowo i wyczerpująco obrobiona. Ale pominąć tu nie mogę chwalebnej inicyatywy, jaką Polska w tej sprawie wzięła. Jeszcze ledwo gdzie w świecie o tem nabożeństwie słyszano, kiedy już OO. Pijarzy zakładali je w Polsce, za pozwoleniem Klemensa XI. r. 1705, Wizytki w Krakowie r. 1718, a w parę lat potem w Warszawie, Wilnie i Lublinie[1]. Niebawem, gdy skromne supliki Wizytek o zaprowadzenie święta Serca Jez. za Innocentego XII. odrzucone zostały, a szło o wznowienie tej sprawy za Benedykta XIII., znowu Polska w urzędowych instancyach zajęła pierwszeństwo, i prośby do Stolicy św. zasłali: Konstanty Szaniawski biskup krakowski i król August II. roku 1726: „Ponieważ stałe nabożeństwo wiernych do „Najśw. Serca Jezusowego, pisze Szaniawski, w królestwie Polskiem „kwitnie, pałają także pragnieniem pobożne dusze, ażeby Serce Zba„wiciela coraz większą z dniem każdym cześć i miłość odbierało....

[1] X. Stojałowski. „Ostatnia nadzieja Serce P. Jezusa", str. 49.

„Tym pobożnym żądzom zadość uczyni Wasza Świątobliwość, jeżeli „z pasterskiej łaskawości i Apostolską powagą, wedle życzeń pra„wowiernego ludu, święto Serca Jezusowego z osobną Mszą i mo„dlitwami liturgicznemi ustanowić raczy". — „Ponieważ królestwo „moje, pisze znów król August, szczególnej opieki Najśw. Serca „doznaje i szczególną cześć i nabożeństwo ku Niemu i ja i cały na„ród Polski mamy, uznałem za stosowne prosić Świątobliwość Wa„szą, ażeby nietylko dla mojej i poddanych moich pociechy du„chownej, ale też dla zbudowania wiernych innych krajów, to na„bożeństwo Apostolską powagą na cały świat rozszerzone zostało. „Skąd obfitości błogosławieństwa boskiego i dla siebie i dla króle„stwa mojego się spodziewam"[1].

Gdy i tym razem, z powodu niewłaściwego umotywowania rzeczy przez promotora, sprawa w Rzymie upadła, ponownie za Klemensa XIII. wznowioną została, i na ten raz znowu inicyatywa należy do biskupów polskich, którzy obszerny podają memoryał z następującemi podpisami: *Wacław Sierakowski*, arcybiskup lwowski, *Ignacy Massalski*, biskup wileński, *Hieronim Szeptycki*, b. płocki, *Jędrzej Bayer*, b. chełmiński, *Jędrzej Załuski*, b. kijowski, *Adam Krasiński*, b. kamieniecki, *Adam Grabowski*, b. warmiński, *Walenty Wężyk*, b. chełmski. Prócz tego zanoszą prośby: król August III., Stanisław Leszczyński, wówczas już książe Lotaryngii, i Marya Leszczyńska, królowa francuzka. Szczególnie podniosły i bolesnym nastrojem chwili nacechowany jest list króla Augusta:

„Ponieważ bolesne klęski i trudności obecnej chwili, pisze on „do Papieża, coraz więcej się wzmagają, do tego stopnia, że stają „się widocznie biczem Bożym, który zaciężył powszechnie nad „ludźmi wszelkiego stanu, świeckimi i kościelnymi, w doczesnych „i duchownych interesach, przeto uciekam się w tem powszechnem „i ciężkiem utrapieniu do Najśw. Serca Jezusowego, i natchniony, „jak sądzę, z nieba, dla przebłagania Boskiego Majestatu, zanoszę „prośby do Świątobliwości Waszej, aby raczyła moją pobożną myśl „potwierdzić i Apostolską powaga przyczynić się do rozszerzenia „w mojem królestwie Polskiem i w W. Ks. Litewskiem rzeczonego „nabożeństwa, które już skądinąd w wielu kongregacyach rozpo„wszechnionem zostało. Racz więc Świątobliwość Wasza zaprowa-

[1] Nilles. De rat. fest. l I. p. 1. pag. 34. (editio 5-a).

„dzić Officyum i Mszę o Najśw. Sercu Jezusowem na piątek po „oktawie Bożego Ciała dla całego mego Królestwa Polskiego i W. „Księstwa Litewskiego; a wielką mam ufność, że miłosierdzie Boże „da się nakłonić tą świętą gorliwością do uchylenia sprawiedliwych „chłost, które w tych opłakanych czasach na ludzkości ciążą. Obie- „cując sobie tę łaskę od Świątobliwości Waszej, z synowskiem „uszanowaniem skłaniam się wraz z ludami memi pod Jego błogo- „sławieństwem i całuję święte stopy.

„Dan w Warszawie, dnia 21 sierpnia 1762.

Świątobliwości Waszej posłuszny syn
August król Polski“ [1].

Prośby te wysłuchane zostały. Po nowem zbadaniu rzeczy papież Klemens XIII. cofnął dawne odmowne odpowiedzi i przychylił się, *petentibus plerisque Poloniae Episcopis*, do zaprowadzenia żądanego święta i nabożeństwa. Polsce w tem przypadła chwała w obec świata katolickiego i zasługa w obec Boga. Niestety ponad głowami wierzących i gorliwych, którzy te piękne i rzewne słowa kładli pod pióro Króla, wznosiła się już fala niewiary, swawoli i rozwiązłości, która miała wszystko pogrążyć i gniew Boży przyspieszyć. Ale, *sine poenitentia sunt dona et vocatio Dei* [2]. Serce Zbawiciela, które raczyło ojczyznę naszą do przewództwa w założeniu Jego czci powołać, nie zapomni jej tej szlachetnej inicyatywy. A jeśli kiedy, to dziś zaiste, spełnianie królewskiej obietnicy — „uciekania się w tem powszechnem i ciężkiem utrapieniu do Najśw. „Serca Jezusowego“ — całemu narodowi na sercu być powinno.

X. M. Morawski.

[1] Oryginalny dokument po włosku, przytoczony u Nilles'a l. c. str. 97.
[2] Do Rzym. XI. 29. — Bóg nie żałuje i nie cofa darów i powołań raz danych.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Joanna d'Arc Matejki, przez *Ks. Ł. Skrochowskiego.* (Dodatek) I

Dwuwiekowa rocznica nabożeństwa do serca jezusowego, przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* (Dod.) XI

Po zjeździe nauczycielskim, (dok.) przez *Dra K. Petelenza* 86

Położenie własności ziemskiej i projekt reformy prawa spadkowego dla zagród włościańskich, przez *A. Donimirskiego* 149

Schliemann i jego odkrycia, przez *Stanisława Tomkowicza* 240, 398

W sprawie katechetów przy szkołach ludowych, przez *Ks. Dra Chotkowskiego* 325

Kilka uwag o stypendyach szkolnych, przez *Jana Popiela* 376

Artykuły naukowe i literackie.

Celowość przyrody w obec krytyki dzisiejszej, przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 1, 167

O projektach wprowadzenia czasu wszechspólnego (dok.), przez *Dra Wierzbickiego* 26

Stronnica

Bazylika Litewska. III., przez *A. H. Kirkora* . . . 17
Człowiek w stosunku do religii i wiary, przez *Ks. Antoniego Langera T. J.* 41, 206
Prawo prywatne w świecie starożytnym i nowożytnym i potrzeba dalszego rozwoju tego prawa, przez *Ludwika Żychlińskiego* 54
Z współczesnej poezyi prowansalskiej, przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 71
Adam z Brusiłowa Kisiel Wojewoda Kijowski. Kartka z życia jego, przez *Rudolfa Ottmana* 182, 340
Janssen i Historya Reformacyi, przez *Ks. A. Kraetziga T. J.* 221
Z roczników męczeńskich w Anglii 361
Jan III. w Piekarach, przez *Ks. Z. B. T. J.* 387

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Dzieje Reformacyi w Polsce, zebrał i opowiedział *ks. Julian Bukowski*, św. T. dr. Proboszcz Kolegiaty św. Anny w Krakowie. Tom III. *(Ks. St. Załęski T. J.)* 98
Z czasów Saskich spraw wewnętrznych polityki i wojny, przez *Kazimierza Jarochowskiego* 106
Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, przez *Juliusza Falkowskiego (B. Jasieńczyk)* 108
Sejm czteroletni. Tom II., część 2-ga. Napisał *Ks. Waleryan Kalinka* C. R. D. *(Ks. St. Załęski T. J.)* 258
Rocznik Filarecki. Rok. 1-szy. 272
Historya Towarzystw tajnych. 276
Św. Jana Chryzostoma wykład ewangelii św. Mateusza w 90-ciu homiliach zawarty. Z greckiego na język polski przełożył *Jan Krystyniacki*, prof. IV. gimn. we Lwowie 425

Z piśmiennictwa zagranicznego:

La France Juive, par *Edouard Drumont* 110
Dom François Regis, par l'Abbé *J. Bersange* 113
A travers l'empire britannique, par *M. le baron Hübner* . 115
Un devoir social et les logements d'ouvriers, par *G. Picot.* 116
Ostrożskaja Tipografia i jeja izdańja, istoriczeskaja Monografia *A. Sieleckawo (Marek Gozdawa)*. 117
Współczesna powieść i poezya w Ameryce północnej *(Ks. Jan Badeni T. J.)* 277
Sancti Thomae Aquinatis Doct. Ang. opera omnia. Tom. III. 286
Langage interieur et les divers formes de l'aphasie, par *Gilbert Ballet* 286

Stronnica.

Die historische und religiöse Weltstellung der Juden und die moderne Judenfrage, von *Dr. C. Fr. Heman* . . 286
Grzegorz IX. (Papst Gregor IX.), von *Dr. Joseph Felten* . . 428
La Russie politique et sociale, par *L. Tikhomirov* 435
Etudes sur Victor Hugo par Louis Veuillot Introduction, notes et appendices, par *Eugène Veuillot* 436
Les artisans et domestiques d'autrefois, par *M. Albert Babeau* 437
Edgar, oder vom Atheismus zur vollen Wahrheit, von *L. v. Hammerstein S. J.* 437
Die Deutschen Praedigten und Katechesen der ermländischen Bischöfe Hosius und Kromer, von *Dr. Franz Hipler* 438

Z pism peryodycznych:

Przewodnik naukowy i literacki. — Rok 1886 118
La Civilta cattolica, *(Ks. Jan Badeni T. J.)* 121
Zeitschrift für katholische Theologie. 9-ter Jahrgang. *(Ks. A. Langer T. J.)* 288
Ateneum od lipca 1885 do lipca 1886, przez *Dra Ignacego Skrochowskiego* 438

Rozmaitości:

Czasopismo: „Cyryl i Metody". — Świeże niepowodzenia Darwinistów. — Nowe książki 293
Woltaire i Rousseau. — Do Sz. Redakcyi „Gazety Narodowej". — Kronika gimnazyum Rzeszowskiego. 451

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Lipiec.

Sprawy kościoła: Intronizacya Arcybiskupa Poznańskiego. — Przemówienie Oficyała Wrocławskiego. — Wybory w Belgii. — Stosunki Francyi z Watykanem 125
Z Anglii: Towarzystwo literackie Przyjaciół Polski, jego stan obecny; przygotowania do jego reorganizacyi. — Towarzystwo Rolników polskich w Londynie. — Potrzeba kapłana polskiego i szkoły. — Sprawa irlandzka: Projekt Gladstone'a 129
Ze Szwecyi: Szkoły szwedzkie. — Nowy gmach gimnazyalny w Sztokholmie. — Gimnazya na prowincyi. — Szkoły klasyczne i realne. — Czas i porządek nauk. — Egzamin dojrzałości. — Liczba uczniów w Szwecyi. — Tolerancya religijna 140
Stowarzyszenie św. Pawła, poświęcające się katolickiej prasie 145

Stronnica.

Sierpień.

Sprawy kościoła: Mowy francuskiego ministra wyznań. — Wrzekomy sobór w Tuluzie. — Antyklerykalna demonstracya w Paryżu. — Wybory municypalne w Rzymie. — *Modus vivendi* między Watykanem a Kwirynałem. — Konkordat z Portugalią. — Ugoda z Czarnogórą. — Stan katolicyzmu w Danii 296

Z Poznania: Sześciomiesięczny *Polenschlacht*. — Projekt kolonizacyjny i pierwsze kroki w tej mierze. — Germanizacyjne reformy w szkołach i protestantyzowanie. — Prześladowania na drodze administracyjnej. — Jedyna pociecha: nie pierwszy to raz 300

Listy z nad Bałtyku VII.: Ogólna charakterystyka Estów, ich ubiór, język i literatura. — Esty wyspiarze — ich wojny i twierdze — późniejsza historya — przemysł — statystyka. Przez *bar. Gustawa Manteuffla* 308

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: Przechadzki po dnie morza w skafandrze. — Statki podmorskie Nordenfelta i Goubeta — Język powszechny „Volapük". Przez *Dra Ignacego Skrochowskiego* 314

Odkrycie mumij Ramsesów 321

Katolicki Uniwersytet w Syryi 324

Wrzesień.

Sprawy Kościoła: Burza socyalistyczna. — Konferencya biskupów belgijskich. — Socyalizm i dzienniki liberalne. — Wybory zbrodniarzy do parlamentu włoskiego. — Proces Des Dorides'a. — Burzenie Rzymu. — Zmniejszenie ludności a wzrost zbrodni we Francyi. — Nuncyatura papiezka w Pekinie 462

Listy z nad Bałtyku, viii.: Charakterystyka Starowierców kurlandzkich. — Rusini i Polacy tamże zamieszkali. Przez *br. Gustawa Manteuffla* 470

Z Wiednia: Ustawa o zabezpieczeniu robotników na wypadek okaleczenia. — Średnie wieki i przemówienie posła ks. Chotkowskiego w Izbie poselskiej 474

Listy z podróży do Australii i: Zajścia w Marsylii. — Na parowcu „Oceanien". — Morze Jońskie 483

Korespondencya Redakcyi 490

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski. T. J.